

MARGINESY



# JULIAN FELLOWES

## *Belgravia*

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

Londyn, rok 1840. Sekrety, skandale, miłość, zdrada.

Najnowsza powieść twórcy

**DOWNTON ABBEY**

JULIAN  
FELLOWES

*Belgravia*

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

KONSULTACJA HISTORYCZNA LINDY WOODHEAD

REDAKCJA MERYTORYCZNA IMOGEN EDWARDS-JONES

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1. Bal w przededniu bitwy
2. Przypadkowe spotkanie
3. Więzy rodzinne
4. Przyjęcie przy Belgrave Square
5. Schadzka
6. Szpieg we własnych szeregach
7. Człowiek interesu
8. Pieniądze na życie
9. Przeszłość to obca kraina
10. Przeszłość powraca
11. Dziedzictwo

Przypisy

Tytuł oryginału BELGRAVIA

Przekład ANNA BAŃKOWSKA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA

Redakcja DOMINIKA CIEŚLA-SZYMAŃSKA

Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK

Projekt okładki The Orion Publishing Group

Adaptacja projektu okładki, opracowanie graficzne ANNA POL

Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © for the translation by Anna Bańkowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Warszawa 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65586-20-9

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a,

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Belgravia*

First published in Great Britain in 2016 by Weidenfeld & Nicolson

Copyright © The Orion Publishing Group Limited 2016

JULIAN FELLOWES'S is an unregistered trade mark of Julian Fellowes and is used by The Orion Publishing Group Limited under licence BELGRAVIA is a registered trade mark of The Orion Publishing Group Limited

Lindy Woodhead była odpowiedzialna za konsultację historyczną podczas powstawania *Belgravii* Juliana Fellowesa Imogen Edwards-Jones zajęła się redakcją merytoryczną podczas powstawania *Belgravii* Juliana Fellowesa

The right of Julian Fellowes to be identified as the author of this work has been asserted in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana, przechowywana w systemie wyszukiwania informacji ani przekazywana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy, ani w inny sposób rozpowszechniana w innej niż ta, w której została opublikowana.

Wszystkie postaci występujące w książce są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób żywych lub martwych jest czysto przypadkowe.

*Mojej żonie, Emmie,  
bez której nic w moim życiu  
nie byłoby do końca możliwe*

— 1 —

Bal w przededniu bitwy



Przeszłość, jak wielokrotnie nam powtarzano, to obca kraina, gdzie wszystko dzieje się inaczej. Może to i prawda... tak, rzeczywiście jest to prawda, gdy chodzi o moralność czy obyczaje, rolę kobiet, rządy arystokratów i mnóstwo innych elementów naszego codziennego życia. Ale istnieją też podobieństwa. Ambicja, zazdrość, gniew, chciwość, dobroć, altruizm i nade wszystko miłość zawsze tak samo potężnie oddziaływały na ludzkie wybory jak i dzisiaj. Oto opowieść o ludziach sprzed dwóch wieków: wynika z niej, że wiele pragnień, resentymentów i namiętności rozpałało ich serca tak samo jak dramaty rozgrywające się na nasz własny sposób, w naszych własnych czasach...

Nie wyglądało to na miasto u progu wojny, a jeszcze mniej na stolicę kraju, który zaledwie trzy miesiące wcześniej został oderwany od jednego królestwa i zaanektowany przez inne. Bruksela w czerwcu 1815 roku mogłaby równie dobrze być *en fête*: przy kolorowych straganach na targach trwał ożywiony handel, szerokimi ulicami sunęły jaskrawo wymalowane otwarte powozy ze swoim cargo wielkich pań i ich córek spieszących się, by sprostać pilnym obowiązkom towarzyskim. Nikt by nie odgadł, że cesarz Napoleon jest już w drodze i lada moment rozbije obóz na obrzeżach miasta.

Nie interesowało to specjalnie także Sophii Trenchard, która zdecydowanie przepychała się przez tłum, co raczej nie pasowało do jej osiemnastu lat. Jak każdej dobrze wychowanej pannie, zwłaszcza w obcym kraju, towarzyszyła jej pokojowa. Dwudziestodwuletnia Jane Croft, starsza od swojej pani o cztery lata, miała osłaniać ją przed poszturchiwaniem przechodniów, ale prędzej można by przypisać tę rolę Sophii, która wyglądała na osobkę gotową na wszystko. Była ładną, nawet bardzo ładną, klasyczną angielską niebieskooką blondynką, ale zacięte usta wyraźnie świadczyły o tym, że ta panienska nie oglądałaby się na pozwolenie od mamy, by rzucić się w wir przygody.

– Pospiesz się, on zaraz wyjdzie na lunch i cała nasza wyprawa pójdzie na marne!

Znajdowała się w tym okresie życia, przez który musi przejść prawie każdy, kiedy dzieciństwo ma się już za sobą, a fałszywa, niewsparta doświadczeniem dojrzałość budzi złudne poczucie wszechmocy, co wyjdzie na jaw dopiero wraz z nadejściem prawdziwej dorosłości.

– Już szybciej nie mogę, panienko – mruknęła Jane. Jakby na poparcie tych słów jakiś huzar w pośpiechu pchnął dziewczynę w tył i nawet nie zatrzymał się, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało. – To istne pole bitwy. – Wprawdzie Jane nie dorównywała urodą swojej młodej pani, ale miała żywą rumianą twarz, bardziej pasującą do wiejskich opłotków niż ulic wielkiego miasta.

Była też na swój sposób dość zdeterminowana i młoda pani ją za to lubiła.

– Co się tak guzdrzesz?

Sophia już prawie dotarła do celu. Właśnie skręciła z głównej ulicy na dziedziniec, który mógł kiedyś służyć za targ bydła, ale teraz zaanektowało go wojsko na coś w rodzaju składu zapasów. Z wielkich furgonów wyładowywano tu skrzynie, worki i pudła, które natychmiast odnoszono do otaczających plac magazynów. Nieustannie też przesuwał się tędy strumień oficerów ze wszystkich



regimentów. Panowie kręcili się w grupkach po placu, pogrążeni w dyskusjach, czasem nawet w kłótniach. Pojawienie się w takim miejscu młodej panny z pokojową od razu zwróciło ich uwagę, przerywając na chwilę rozmowy.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – odezwała się Sophia, tocząc wokoło chłodnym spojrzeniem. – Przyszłam zobaczyć się z ojcem, panem Trenchardem.

– A zna pani drogę? – spytał jakiś młodzieniec.

– Tak, dziękuję.

Ruszyła w stronę nieco bardziej reprezentacyjnego wejścia do głównego budynku i razem z rozrzuconą Jane weszła na piętro. Także i tu zastała kilku oficerów, wyraźnie oczekujących w kolejce, ale Sophii ani się śniło podporządkowywać takim rygorom.

– Poczekaj tu – przykazała Jane i pchnęła drzwi do gabinetu.

Dziewczyna cofnęła się posłusznie, mile połączona zainteresowaniem mężczyzn.

Pokój, w którym znalazła się Sophia, choć duży i jasny, z eleganckim mahoniowym biurkiem i dobranymi stylem innymi meblami, był raczej typowym pomieszczeniem handlowym, nie salonem, miejscem pracy, nie rozrywki. W jednym kącie zażywny jegomość po czterdziestce beszał oficera w wytwornym mundurze:

– Kogo znów diabli nio... – Obrócił się na pięcie, ale na widok córki od razu złagodniał i jego czerwoną z gniewu twarz rozjaśnił uśmiech. – No co tam?

Dziewczyna zerknęła na oficera i ojciec skinął głową.

– Kapitanie Cooper, musi mi pan wybaczyć.

– W porządku, Trenchard...

– Tren-chard?

– Panie Trenchard. Ale musimy mieć tę mąkę do wieczora. Mój dowódca kazał mi przyrzec, że się bez niej nie pokażę.

– A ja przyrzekam wypełnić jak najlepiej to, co do mnie należy.

Wyraźnie poirytowany oficer musiał się z tym zgodzić, wiedząc, że nic więcej nie uzyska. Skłonił się i wyszedł, zostawiając ojca sam na sam z córką.

– Masz je? – spytał z wyczuwalną niecierpliwością. Było coś rozbijającego w tym jego entuzjzmie: korpulentny, łysiejący pan i władca aż kipi z ekscytacji, jak dziecko w wigilię Bożego Narodzenia.

Bardzo wolno, smakując tę chwilę do ostatniej kropli, Sofia otworzyła woreczek i ostrożnie wydobła kilka białych kartoników.

– Trzy. Dla ciebie, dla mamy i dla mnie.

Prawie wyrwał kartoniki z jej dłoni. Gdyby nie jadł i nie pił przez miesiąc, nie mógłby się bardziej niecierpliwić. Kaligraficzny druk wyglądał prosto i elegancko:

KSIĘŻNA RICHMOND

—• *Wieczór tańczący* •—

23 Rue de la Blanchisserie

CZWARTEK, 15 CZERWCA 1815

Powozy od trzeciej —•— Tańce od dziesiątej

Wpatrywał się w bilecik, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Przypuszczam, że lord Bellasis będzie na obiedzie?

– Ona jest jego ciotką.

– Rzeczywiście.

– Ale obiadu nie przewidują. To znaczy takiego normalnego. Tylko dla rodziny i stałych gości.

– Zawsze mówią, że obiadu nie ma, ale i tak jest.

– Chyba nie sądziłeś, że nas zaprosi?

Marzył o tym, ale jednak się nie spodziewał.

– Nie, nie. Jestem zupełnie ukontentowany.

– Edmund mówi, że po północy przewidziana jest kolacja.

– Tylko nie nazywaj go Edmundem przy obcych. – Mimo to nastrój wyraźnie mu się poprawił, a chwilowe rozczarowanie pierzchło na myśl o tym, co jeszcze ich czeka. – Musisz już wracać do matki. Będzie potrzebowała każdej minuty, aby się przygotować.

Młodość i nieuzasadniona pewność siebie nie pozwalały Sophii uświadomić sobie ogromu swojego sukcesu. Zarazem jednak miała w tych sprawach więcej doświadczenia niż jej zapatrzony w wyższe sfery ojciec.

– Już za późno na nową kreację.

– Ale nie za późno, by dostosować się do obowiązujących wymogów.

– Mama nie zechce tam jechać.

– Pojedzie, bo tak trzeba.

Sophia już wychodziła, ale nagle sobie o czymś przypomniała.

– Kiedy jej powiemy?

Zaskoczony pytaniem ojciec zaczął bawić się dewizką od zegarka. Nastąpił dziwny moment. Niby wszystko było jak przedtem, a jednak ton i istota rozmowy się zmieniły. Dla każdego, kto obserwowałby ich z boku, stałoby się jasne, że chodzi o coś znacznie poważniejszego niż wybór kreacji na bal.

– Jeszcze nie teraz – padła w końcu zdecydowana odpowiedź. – Wszystko musi iść swoim trybem: to do niego należy pierwszy krok. A teraz idź. I przyślij mi z powrotem tego kretyna.

Sophia spełniła jego polecenie, ale James Trenchard po jej wyjściu wciąż zdawał się czymś dziwnie zaabsorbowany. Z ulicy dobiegały krzyki, więc zbliżył się do okna i patrzył, jak jakiś oficer wyklóca się z handlarzem.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Cooper. Trenchard powitał go skinieniem głowy. Czas wracać do pracy.

Sophia miała rację: matka nie chciała jechać na bal.

– Zaprosiła nas tylko dlatego, że ktoś jej sprawił zawód.

– A co to za różnica?

– Jakoś mi niezręcznie... – Pani Trenchard kręciła bez przekonania głową. – Przecież nie znamy tam żywej duszy.

– Papa zna.

Kiedyś Annę Trenchard irytowały jej własne dzieci. Przy całej swojej protekcyjności tak mało wiedziały o życiu! Pobłażliwy ojciec rozpieszczał je od najmłodszych lat, aż wreszcie uznały swoje jedwabne życie za coś naturalnego i nie zaprzętały sobie nim głowy. Nie miały pojęcia o kamienistej drodze, którą ich rodzice musieli pokonać, aby dochrapać się swojej obecnej pozycji, ale ona, ich matka, pamiętała każdy krok.

– Zna najwyżej kilku oficerów, którzy przekazują mu w biurze rozkazy. Ci z kolei mogą się zdziwić, że spotykają na sali balowej człowieka, który zaopatruje ich w chleb i piwo.

– Mam nadzieję, że nie będziesz rozmawiać w ten sposób z lordem Bellasisem.

Twarz pani Trenchard złagodniała nieco.

– Moja droga... – rzekła, ujmując rękę córki w obie dłonie. – Nie buduj zamków na lodzie.

Sophia wyszarpnęła ze złością palce.

– Oczywiście nie wierzysz, że jest zdolny do poważnych zamiarów.

– Przeciwnie, uważam lorda Bellasisa za człowieka honoru. I do tego bardzo sympatycznego.

– No to dobrze.

– Ale jest też jedynym synem hrabiego, moje dziecko, ze wszystkimi konsekwencjami związanymi z tą pozycją. Nie może wybrać sobie żony, kierując się tylko sercem. Nie gniewam się na ciebie, oboje jesteście młodzi, przystojni, a ta odrobina flirtu żadnemu z was nie zaszkodziła... na razie. – Nacisk na ostatnie dwa słowa jasno wskazywał, do czego zmierza. – Ale trzeba położyć temu kres, zanim ludzie zaczną gadać, bo inaczej, Sophio, tylko ty na tym ucierpisz, nie on.

– A to, że zdobył dla nas zaproszenia na bal u swojej ciotki, nic ci nie mówi?

– Mówi tyle, że jesteś śliczną panienką, więc chciał ci sprawić przyjemność. W Londynie to by nie przeszło, ale w Brukseli, w obliczu wojny, zwykłe zasady nie mają zastosowania.

Ta ostatnia uwaga zirytowała Sopię jeszcze bardziej.

– Chcesz powiedzieć, że według tych „zwykłych” zasad nie uznano by nas za odpowiednie towarzystwo dla przyjaciół księżnej?

Pani Trenchard miała na swój sposób równie silny charakter jak jej córka.

– Tak, to właśnie chciałam powiedzieć, i dobrze wiesz, że mam rację.

– Papa by się z tym nie zgodził.

– Twój ojciec przebył pomyślnie długą drogę, dłuższą, niż ktokolwiek sobie wyobraża, i dlatego nie widzi naturalnych barier, które nie pozwolą mu zajść wyżej. Ciesz się tym, co masz, i bądź dumna, że tak świetnie sobie poradził.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła pokojowa pani Trenchard z suknią na wieczór.

– Nie za wcześnie, psze pani?

– Nie, nie, Ellis, wejdz. Skończyliśmy już, prawda?

– Skoro tak uważasz, mam...

Sophia opuściła pokój, ale jej uniesiony podbródek świadczył, że bynajmniej nie uważa się za pokonaną.

Ellis krzątała się po pokoju w wymownej ciszy. Było oczywiste, że dziewczyna aż płonie z ciekawości i chce dowiedzieć się, o co chodziło w tej kłótni, ale Anna pozwoliła jej jeszcze przez kilka minut tonąć w domysłach. Dopiero kiedy pokojowa kończyła rozpinać jej popołudniową suknię, tak aby zsunęła się z ramion, pani Trenchard zdecydowała się przerwać milczenie:

– Dostaliśmy zaproszenie na bal u księżnej Richmond piętnastego czerwca.

– No nie! – Mary Ellis opanowała już prawie sztukę zachowywania swoich uczuć dla siebie, ale ta zdumiewająca nowina okazała się ponad jej siły. Szybko jednak się pozbierała. – Skoro tak, psze pani, trzeba podjąć decyzję w sprawie sukni. Potrzebuję czasu na przygotowanie.

– Co powiesz na tę z szafirowego jedwabiu? Nie nosiłam jej zbyt często w tym sezonie. Może znajdzie się trochę czarnej koronki do obszycia dekoltu i mankietów, to powinno dodać jej szyku.

Anna Trenchard była kobietą praktyczną, ale niecałkowicie pozbawioną próżności. Zachowała dobrą figurę, a przy zgrabnym profilu i kasztanowych włosach z pewnością mogła uchodzić za przystojną; nie pozwalała jednak, aby świadomość własnej urody uderzyła jej do głowy.

Ellis uklękła, by przytrzymać jej gotową do wciągnięcia od dołu taftową suknię koloru słomki.

– A biżuteria? – spytała.

– Nie myślałam o tym jeszcze. Pewnie włożę to, co mam.

Obróciła się tyłem, żeby pokojówka mogła upiąć jej suknię złotymi szpilkami. Owszem, była stanowcza wobec córki, ale nie żałowała tego. Sophia żyła marzeniami, podobnie jak jej ojciec, a marzenia, przy braku ostrożności, mogą ściągnąć na człowieka kłopoty. Niemal na przekór sobie Anna się uśmiechnęła. Wprawdzie powiedziała wcześniej, że James przebył długą drogę, ale czasem wątpiła, czy nawet Sophia wiedziała, jak bardzo długą.

– Pewnie to lord Bellasis wystarał się o zaproszenia? – dopytywała się Ellis, zmieniając swojej pani pantofelki.

Pytanie nie spodobało się Annie. Jak służąca śmie zastanawiać się głośno, dlaczego Trenchardowie trafili na tę iście olimpijską listę gości? I dlaczego w ogóle są gdzieś zapraszani?

Postanowiła nie odpowiadać, ale mimo woli sama zaczęła rozmyślać nad ich życiem w Brukseli. Wszystko zmieniło się dla nich w chwili, gdy James zwrócił na siebie uwagę wielkiego księcia Wellingtona. To prawda: pomimo niedoborów żywności, zaciekłości walk, nędzy ogołoconych z plonów wsi jej mąż zawsze potrafił wyczarować skądś zaopatrzenie dla wojska. Księżę nazywał go Magikiem, bo też James nim był albo tylko sprawiał takie wrażenie. Ale sukces jedynie podsycił jego wygórowane ambicje, by wspiąć się na towarzyskie szczyty, i ta skłonność wciąż się pogłębiała. Syn straganiarza z targu, James Trenchard, którego ojciec Anny zabronił jej poślubić, uważał zaproszenie od księżnej za najnaturalniejszą rzecz na świecie. Mogłaby nazywać te jego ambicje śmiesznymi, gdyby nie to, że zadziwiająco często się spełniały.

Anna, córka nauczyciela, była znacznie lepiej wykształcona od męża, a kiedy się poznali, stała o niebo wyżej od niego, teraz jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że dawno ją wyprzedził. W rzeczy samej zaczynała wątpić, czy kiedyś zdoła dotrzymać mu kroku w tej fantastycznej wspinaczce. Może, kiedy dzieci dorosną, powinna wycofać się do skromnego domku na wsi i pozwolić mu pisać dalej na ten szczyt samemu?

Ellis oczywiście uświadomiła sobie, że popełniła nietakt; poznała to po milczeniu pani. Już chciała załagodzić sytuację jakimś miłym słówkiem, ale ostatecznie postanowiła siedzieć cicho i po prostu przeczekać burzę.

Do pokoju wszedł James.

– Ach, więc już ci powiedziała? – domyślił się, ogarnawszy wzrokiem pokój. – Zrobił to jednak!

Anna zerknęła na pokojową.

– Dziękuję, Ellis. Jeśli łaska, wróć tu za kilka minut.

Po jej wyjściu James nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Mówisz, że wynoszę się ponad stan, ale ton, jakim ją odprawiasz, przywodzi mi na myśl samą księżnę.

Anna zachnęła się.

– Mam nadzieję, że to nieprawda.

– Czemu? Masz coś przeciw księżnej?

– Absolutnie nic, a to z tego prostego powodu, że jej nie znam, podobnie jak ty. – Annie zależało, by jak najprędzej dodać nieco rozsądku do tego absurdalnego i niebezpiecznego przedsięwzięcia. – I dlatego właśnie nie powinniśmy pozwalać, by ktoś narzucał nieszczęsnej kobiecie nasze towarzystwo. Po co mamy się wpychać do jej zatłoczonej sali balowej i zajmować miejsce przynależne jej własnym znajomym?

James jednak był już tak podekscytowany, że nic do niego nie docierało.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Owszem, ale ty nie słuchasz.

Miała rację. Nic nie może stłumić jego radości.

– Pomyśl tylko, co to za szansa! Wiesz, że sam księżę tam będzie? A nawet dwóch księząt: mój

dowódca i mąż gospodyni.

– Tak przypuszczam.

– I jeszcze książęta krwi! – Umilkł na chwilę, bo entuzjazm niemal go rozsadzał. – James Trenchard, który zaczynał na straganie w Covent Garden, ma się szykować do tańca z księżną!

– Przecież nie poprosisz żadnej z nich do tańca. Wprawilibyś nas tylko w zakłopotanie.

– Zobaczymy.

– Mówię serio. I tak źle się stało, że podsyciłeś nadzieje Sophii.

James zmarszczył brwi.

– Ty możesz w to nie wierzyć, ale ten chłopak jest szczery. Z całą pewnością.

Anna kręciła niecierpliwie głową.

– Nie możesz być tego pewny. Może lord Bellasis uważa, że mówi prawdę, ale wciąż pozostaje poza jej zasięgiem. Nie jest panem własnej woli i nic dobrego z tego nie wyniknie.

Na ulicy rozległ się hałas i Anna podeszła do okna sprawdzić, co się tam dzieje. Okna jej sypialni wychodziły na szeroką, ruchliwą arterię. Maszerowali tamtędy żołnierze w czerwonych mundurach szamerowanych złotem, od którego odbijało się słońce. Jakie to dziwne, pomyślała: wokół szaleje wojna, a my tu sobie w najlepsze dyskutujemy o balu...

– No nie wiem. – James nie porzucał tak łatwo swoich fantazji.

Anna odwróciła się z powrotem w stronę pokoju. Jej mąż stał z miną przypartego do muru czterolatka.

– Ale ja wiem. I jeśli to w jakikolwiek sposób jej zaszkodzi, osobiście się z tobą policzę.

– Doskonale.

– A jeśli chodzi o wymuszenie na tym biedaku zaproszeń od jego ciotki, uważam to za szczyt upokorzenia.

James miał już dość.

– Nie popsujesz mi tego. Nie pozwolę ci.

– Nie muszę niczego psuć, to się stanie samo.

I to był koniec. James wypadł z pokoju, żeby się przebrać do obiadu, a Anna zadzwoniła po Ellis.

Nie była z siebie zadowolona. Nie chciała się kłócić, a jednak czuła, że ten incydent naruszył jej spokój. Lubiła swoje życie. Cieszyli się teraz bogactwem, sukcesami, czuli się pożądanymi członkami londyńskiego środowiska kupieckiego, ale James niszczył to wszystko, wciąż zabiegając o więcej. Ciągnął ją do coraz to nowych salonów, gdzie nikt ich nie lubił ani nie cenił, zmuszał do nawiązywania rozmów z ludźmi, którzy mniej lub bardziej jawnie nimi gardzili. A przecież teraz, gdyby tylko zechciał, mogliby żyć w atmosferze komfortu i szacunku. Niestety już rozmyślając o tym, wiedziała, że nie potrafi powstrzymać swojego męża. Nikt tego nie potrafi, bo James taki już ma charakter.

Na przestrzeni lat tyle już napisano o balu u księżnej Richmond<sup>[1]</sup>, że można by założyć, iż dorównywał splendorem koronacji jakiejś średniowiecznej królowej. Wieczór ten doczekał się miejsca w każdym rodzaju literatury, a każde jego wyobrażenie zdawało się prześcigać wspaniałością poprzednie. Malowidło Henry’ego O’Neilla z roku 1868 przedstawia bal w ogromnym, załoczonem pałacu z rzędami marmurowych kolumn. Setki wytwornych gości, płaczących z żalu i grozy, prezentują się efektowniej niż rewia na Drury Lane. Ale jak wiele ikonicznych momentów w historii, rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej.

Księżstwo Richmond przybyli do Brukseli częściowo ze względu na niższe niż w Anglii koszty utrzymania, ale także na znak solidarności z ich wielkim przyjacielem, księciem Wellingtonem<sup>[2]</sup>, który wybrał sobie to miasto na kwaterę główną. Sam Richmond, jako były żołnierz, miał otrzymać zadanie zorganizowania obrony Brukseli, gdyby doszło do najgorszego, czyli inwazji nieprzyjaciela. Wyraził na to zgodę. Wiedział, że czeka go głównie praca administracyjna, którą jednak należało wykonać i która dawała mu miłe uczucie satysfakcji z udziału w wysiłku wojennym. Dzięki temu nie powiększał rzeszy biernych obserwatorów, jakich pełno widziało się w mieście.

Brukselskie pałace, i tak nieliczne, były już przeważnie pozajmowane, toteż ostatecznie księżstwo Richmond zdecydowali się zamieszkać w dawnej rezydencji modnego fabrykanta powozów przy Rue de la Blanchisserie, czyli „ulicy pralniczej”. Z tego powodu Wellington od razu ochrzcił ich nowy dom „Pralnią”, który to żart bardziej przypadł do gustu księciu niż jego żonie. Po lewej stronie głównego wejścia mieściła się wielka jak stodoła hala, zapewne dawny salon wystawowy powoźnika. Wchodziło się tam przez kantorek, gdzie dawniej klienci wybierali tapicerkę i inne dodatkowe detale, lecz we wspomnieniach trzeciej córki Richmondów, lady Georgiany Lennox, pomieszczenie to przeobraziło się w „przedpokój”. Przestrzeń, w której dawniej wystawiano na pokaz powozy, wyklejono tapetą w rozpięte na trelażach róże i tak powstała sala w sam raz odpowiednia na bal.

Księżna Richmond zjechała na kontynent z całą rodziną, a ponieważ zwłaszcza dziewczęta od dawna marzyły o jakiejś atrakcji, zapadła decyzja o wydaniu przyjęcia z tańcami. Tymczasem na początku czerwca Napoleon, który już wcześniej uciekł ze swojego wygnania na Elbie, opuścił Paryż i wyruszył na poszukiwanie sojuszników. Księżna zapytała Wellingtona, czy wobec tego wypada jej kontynuować przygotowania, ten jednak zapewnił ją, że nic nie stoi na przeszkodzie. On sam wręcz sobie życzy, by bal odbył się jako swego rodzaju demonstracja angielskiej zimnej krwi i dowód, że nawet panie nie przejmują się wymarszem francuskiego imperatora, a w każdym razie nie zamierzają z tego powodu odkładać zabawy. Ale oczywiście łatwo mu było mówić...

– Mam nadzieję, że to nie pomyłka – powtórzyła po raz dwudziesty w ciągu godziny księżna, patrząc uważnie w lustro. To, co zobaczyła, całkiem jej odpowiadało: przystojna kobieta nie pierwszej młodości, ubrana w kremową jedwabną suknię i wciąż zdolna przyciągać męskie spojrzenia. I te imponujące diamenty... chociaż przyjaciółki zastanawiały się po cichu, czy ze względu na konieczność oszczędzania nie zastąpiła oryginalnych kamieni replikami.

– Już za późno na takie gadanie. – Księżna Richmond nieco bawiła ta sytuacja. Uważali wyjazd do

Brukseli za coś w rodzaju ucieczki od świata, a tymczasem, ku ich zdumieniu, świat przybył tu razem z nimi. Teraz jego żona wydaje przyjęcie dla gości, którzy w Londynie raczej nie mogliby się u nich pokazać, i to akurat w chwili, kiedy w mieście słychać już huk francuskich armat. – Obiad był wyśmienity, chyba nie dam już rady kolacji.

– Dasz, dasz.

– Słyszę jakiś powóz. Powinniśmy schodzić.

Księżę był zgodnym, serdecznym człowiekiem i czułym, uwielbianym przez dzieci ojcem. Miał też w sobie dość siły, by sprostać córce sławetnej księżnej Gordon, o której wyskokach od lat plotkowała cała Szkocja. Swego czasu wielu uważało, że mógł wybrać pannę o łatwiejszym charakterze, a co za tym idzie, zapewnić sobie łatwiejsze życie, lecz w sumie niczego nie żałował. To prawda, jego żona bez wątpienia była ekstrawagancka... ale miała dobry charakter, odznaczała się urodą i inteligencją. Cieszył się ze swojego wyboru.

W saloniku (czyli „przedpokoju” Georgiany), przez który przechodziło się do sali balowej, znajdowało się już kilkoro pierwszych gości. Floryści świetnie wywiązali się z zadania: wielkie kompozycje z blad różowych róż i białych lilii (ze specjalnie przyciętymi pręcikami, żeby pyłek nie ubrudził paniom sukien) na tle wysokiej zieleni dodały dawnej powozowni szyku, podobnie jak migotliwy blask licznych kandelabrow, przy którym wszystko wyglądało nieco korzystniej niż za dnia.

Siostrzeniec księżnej, Edmund wicehrabia Bellasis, rozmawiał właśnie z Georgianą. Po chwili podeszli razem do jej rodziców.

– Kim są ci ludzie, których zaproszenie wymusił na was Edmund? – chciała wiedzieć Georgiana. – Dlaczego ich nie znamy?

– Poznasz ich na balu – uciał lord Bellasis.

– Nie jesteś zbyt przystępny – skrzywiła się Georgiana.

Księżna, która miała swoje podejrzenia, zdążyła już pożałować okazanej wielkoduszności.

– Mam nadzieję, że twoja matka nie pogniewa się na mnie. – Dała mu te zaproszenia odruchowo, ale wystarczyła chwila refleksji, by się domyślić, że siostra będzie zła, i to bardzo.

W tym momencie, jakby na zawołanie, rozległ się głos szambelana:

– Pan Trenchard z małżonką. Panna Sophia Trenchard.

Księżę spojrział w stronę drzwi.

– Chyba nie zaprosiłaś Magika? – zwrócił się do wyraźnie zaniepokojonej żony. – To główny dostawca Wellingtona, co on tu robi?

Księżna wbiła w siostrzeńca surowy wzrok.

– Dostawca księcia Wellingtona? Zaprosiłam na swój bal jakiegoś kupczyka?

Lord Bellasis nie poddawał się tak łatwo.

– Droga ciociu, zaprosiłaś jednego z najbardziej lojalnych i skutecznych popleczników księcia w jego walce o zwycięstwo. Każdy porządny Brytyjczyk byłby dumny, mogąc przyjąć go w swoim



domu.

– Wyprowadziłeś mnie w pole, Edmundzie. A ja tego bardzo nie lubię. – Ale młody człowiek ruszył już na powitanie nowo przybyłych, więc gniewne spojrzenie księżnej trafiło na jej męża.

– Nie patrz na mnie z taką złością, moja droga – rzekł, wyraźnie ubawiony jej miną. – To nie ja ich zaprosiłem, tylko ty. I muszę przyznać, że dziewczyna jest naprawdę ładna.

Przynajmniej to ostatnie się zgadzało: Sophia nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie.

Na dalszą dyskusję zabrakło czasu, gdyż Trenchardowie już się do nich zbliżali. Anna przemówiła pierwsza:

– Jak to uprzejmie z pani strony, księżno.

– Drobnostka, pani Trenchard. Słyszałam, że okazuje pani wiele względów mojemu siostrzeńcowi.

– Zawsze z przyjemnością widzimy lorda Bellasisa.

Anna dokonała trafnego wyboru: w szafirowym jedwabiu, ozdobionym przez Ellis wytworną koronką, prezentowała się bardzo dystyngowanie, a choć jej diamenty nie mogły rywalizować z innymi na tej sali, i tak budziły należyty respekt.

Księżna zdążyła się już nieco udobruchać.

– To trudny czas dla młodych mężczyzn – zauważyła pojednawczo. – Tak daleko od domu...

James tymczasem zastanawiał się gorączkowo, czy do księżnej nie należy zwracać się „Wasza Księżęca Mość”. Chociaż podczas rozmowy z Anną nikt nie wyglądał na urażonego, nadal nie był pewien, i właśnie miał coś powiedzieć...

– No proszę, przecież to Magik! – zawołał rozpromieniony książę Richmond. Jeśli nawet widok tego handlarza we własnym salonie go zaskoczył, nie dał po sobie nic poznać. – Pamiętasz o naszych planach na wypadek powołania rezerwistów?

– Pamiętam doskonale, Wasza... to znaczy pamiętam ten harmonogram. Proszę księcia. – Ostatnie dwa słowa wymówił po krótkiej pauzie, tak że nie łączyły się z poprzednią wypowiedzią. Jamesowi wydało się nagle, że wrzucił kamyczek do spokojnej wody. Na kilka sekund zapadła dziwna, krępująca cisza. Ale żona leciutkim uśmiechem i skinieniem głowy dodała mu otuchy, inni zaś nie wyglądali na urażonych, więc mógł odetchnąć z ulgą.

Anna uznała, że powinna się wtrącić:

– Pozwolę sobie przedstawić moją córkę Sophię. – Sophia dygnęła przed księżną, która zmierzyła ją wzrokiem, jakby kupowała udziec sarni na obiad, czym oczywiście nigdy się nie splamiła. Zauważyła, że panienka jest ładna i ma nawet sporo wdzięku, no ale wystarczyło rzucić okiem na jej ojca, by uświadomić sobie jasno, że rzecz nie wchodzi w rachubę. Drętwiała ze strachu na myśl, że kiedy siostra dowie się o zaproszeniu, oskarży ją o sprzyjanie młodym. Lecz przecież Edmund nie może mieć poważnych zamiarów? To rozsądny chłopiec i nigdy dotąd ani przez chwilę nie sprawiał kłopotów.

– Panno Trenchard, czy pozwoli pani odprowadzić się do sali balowej? – Składając tę propozycję, Edmund zachowywał kamienny wyraz twarzy, ale ciotki nie oszukał; zbyt dobrze znała się na

światowych obyczajach, żeby dać się nabrać na ten pokaz obojętności. Prawdę rzekłszy, serce jej zamarło, kiedy zobaczyła, jak dziewczyna wsuwa mu dłoń pod ramię i odchodzą razem na bok, gawędząc ściszym głosem niczym dobrzy znajomi.

– Major Thomas Harris. – Przystojny młody człowiek skłonił się lekko gospodarzom, kiedy Edmund wymienił jego nazwisko.

– Harris! Co za niespodzianka!

– Należy mi się chyba jakaś rozrywka – odrzekł oficer, uśmiechając się do Sophii, która roześmiała się z taką swobodą, jakby należeli do tej samej sfery. Potem ona i Edmund ruszyli w stronę sali balowej, odprowadzani wzrokiem jego zaniepokojonej ciotki. Musiała przyznać, że ładna z nich para: delikatna uroda jasnowłosej Sophii podkreślała czerń kędziorów Edmunda i jego rzeźbione rysy wraz z twardą linią ust, rozciągniętych teraz w uśmiechu nad podbródkiem z dołkiem. Wymieniła spojrzenia z mężem; oboje wiedzieli, że sytuacja lada moment wymknie się spod kontroli. Być może już się wymknęła.

– Pan James i lady Frances Wedderburn-Webster – zaanonsował szambelan i księżę wysunął się do przodu, aby powitać nowych gości.

– Lady Frances, jak ślicznie pani wygląda! – Zauważył niespokojne spojrzenie żony. Cóż oni, Richmondowie, mogliby jeszcze zrobić w sprawie tej zakochanej pary? Ale pochylił się ku niej i szepnął na pociechę: – Pomówię z nim później. Na pewno otrzeźwieje, tak jak zawsze.

Księżna pokiwała głową. Tak właśnie należy postąpić. Poczekać, aż bal się skończy, dziewczyna odjedzie, i wtedy spokojnie wszystko rozważyć. Nagle przy drzwiach wybuchło poruszenie i znów zabrzmiał dźwięczny głos szambelana:

– Jego Królewska Wysokość księżę Orański<sup>[3]</sup>.

Do gospodarzy zbliżył się młody człowiek o miłej powierzchowności. Księżna, z plecami prostymi, jakby kij połknęła, złożyła przed nim głęboki dworski ukłon.

Księżę Wellington pojawił się dopiero przed samą północą, ale wyraźnie uznał to za coś naturalnego. Rozejrzawszy się bacznie po sali, od razu ruszył w stronę Trencharda, ku jego ogromnej satysfakcji.

– Cóż to sprowadza Magika na bal? – spytał.

– Jej Księżęca Mość raczyła nas zaprosić.

– Naprawdę? I bardzo dobrze. No i jak się bawicie?

– Och, świetnie, Wasza Księżęca Mość. Ale wszyscy mówią, że Bonaparte jest coraz bliżej.

– Tak mówią? Na Jowisza... Czy słusznie się domyślam, że ta urocza dama to pani Trenchard? – Niewątpliwie był bardzo opanowany.

Nawet Annę zawiiodły nerwy, kiedy musiała zwrócić się do niego oficjalnie:

– Spokój Waszej Księżęcej Mości bardzo podnosi nas na duchu.

– Tak właśnie być powinno – odparł ze śmiechem, odwracając się do jednego z oficerów w pobliżu: – Ponsonby, znasz już Magika?

– Oczywiście, książę. Sporo czasu spędzam pod drzwiami gabinetu pana Trencharda, czekając na okazję, by wstawić się za moimi ludźmi. – Ale mówiąc to, uśmiechał się.

– Pani Trenchard, pozwoli pani, że jej przedstawię: sir William Ponsonby. Ponsonby, to jest małżonka Magika.

Ponsonby skłonił się lekko.

– Mam nadzieję, że panią traktuje lepiej niż mnie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podeszła do nich córka Richmondów, Georgiana.

– Sala aż huczy od plotek.

Wellington pokiwał smętnie głową.

– Rozumiem, rozumiem.

– Ale czy są prawdziwe? – Georgiana Lennox była przystojną panną o otwartej twarzy, a jej zniecierpliwienie podkreśliło jedynie szczerą pytaniami i świadomością wiszącą nad nimi zagrożenia.

Patrząc jej prosto w oczy, książę po raz pierwszy odpowiedział z powagą:

– Obawiam się, że tak, lady Georgiano. Wygląda na to, że jutro ruszamy w bój.

– Jakie to straszne. – Obróciła się w stronę wirujących na parkiecie par. Większość młodych ludzi w mundurach wymieniała żarciki, śmiejąc się z nich razem z partnerkami. Ilu przeżyje nadciągającą bitwę?

– Co za ciężkie brzemie książę musi dźwigać... – Anna Trenchard też patrzyła na tańczących mężczyzn. – Niektórzy z nich zginą w najbliższych dniach, a skoro mamy wygrać tę wojnę, nawet pan nie może temu zapobiec. Doprawdy, nie zazdrozczę panu.

Wellingtona przyjemnie zaskoczyła ta uwaga w ustach żony dostawcy, kobiety, której istnienia dotąd sobie prawie nie uświadamiał. Nie każdy pojmował, że nie tylko chwala jest jego udziałem.

– Dziękuję pani za tę myśl.

W tym momencie rozmowę przerwał im przenikliwy jazgot dud i na salę wkroczyli Szkoci z oddziału piechoty Gordona. Było to *coup de théâtre* księżnej, która wyblagała je sobie u dowódcy pod pretekstem, że w jej żyłach płynie krew Gordonów. Ponieważ oddział ten utworzył dwadzieścia lat wcześniej jej nieżyjący ojciec, wódz raczej nie mógł jej odmówić. Historia nie odnotowała, co naprawdę sądził o angażowaniu swoich ludzi w charakterze głównej atrakcji balu w przeddzień bitwy, która miała zdecydować o losach Europy. Tak czy inaczej, występ dudziarzy rozgrzał serca obecnych na balu Szkotów i dostarczył rozrywki ich angielskim sąsiadom, cudzoziemcy jednak nie kryli zdumienia: książę Orański wymienił pytające spojrzenia z adiutantem, krzywiąc się przy tym na ogłuszający hałas. Ale Szkoci zaczęli już wirować w narodowym tańcu, swoim zapałem i potęgą skocznych rytmów szybko zarażając pozostałych. Wkrótce nawet wzięci z zaskoczenia księżęta niemieccy zaczęli wiwatować, klaszcząc do taktu.

Anna odwróciła się do męża.

– Jakie to przykre, że oni wszyscy przed upływem miesiąca staną w obliczu wroga!

– Miesiąca? – James uśmiechnął się gorzko. – Raczej tygodnia...

Ledwie to wypowiedział, drzwi otworzyły się z impetem i do sali wpadł młody oficer. Nie bacząc na zabłocone buty, rozglądał się pilnie wokoło, póki nie wypatrzył swojego dowódcy, księcia Orańskiego. Skłoniwszy się przed nim, podał mu kopertę, czym natychmiast zwrócił na siebie uwagę całego towarzystwa. Książę wstał i ruszył przez salę do księcia, ale kiedy przekazał mu wiadomość, ten schował kopertę do kieszeni kamizelki, nawet jej nie otwierając, gdyż szambelan akurat zapowiedział kolację.

Anna mimo złych przeczuć zdobyła się na uśmiech.

– Godne podziwu opanowanie! Przecież to może być wyrok śmierci na jego armię, ale on gotów jest raczej postawić wszystko na jedną kartę, niż pozwolić sobie na najmniejszą oznakę niepokoju.

James nie mógł się z nią nie zgodzić.

– Niełatwo go poruszyć, to pewne. – Zauważył zmarszczone brwi żony. W tłumie zmierzającym do jadalni była Sophia, której nadal asystował wicehrabia Bellasis.

Anna starała się powściągnąć niecierpliwość.

– Powiedz jej, żeby usiadła do kolacji z nami albo ostatecznie z kimś innym.

– Sama jej to powiedz.

Skinęła głową i podeszła do młodej pary.

– Widzę, że Sophia całkiem pana zawłaszczyła, milordzie. Nie można na to pozwalać. Na pewno ma pan tu wielu przyjaciół, którzy chętnie posłuchają pańskich nowin.

Ale młody człowiek uśmiechnął się tylko.

– Bez obawy, pani Trenchard. Jestem tu, gdzie chcę być.

W głosie Anny pojawił się ton determinacji:

– To znakomicie, milordzie – odparła, uderzając raz po raz zwiniętym wachlarzem o dłoń – ale Sophia musi dbać o swoją reputację, a przez nadmiar pańskich łaskawych względów może ją utracić.

Jeśli miała nadzieję, że córka się nie odezwie, to się pomyliła.

– Nie martw się o mnie, mamó. Mogłabyś choć raz zaufać, że mam odrobinę rozsądku.

– Chciałabym. – Anna traciła cierpliwość do swojej głupiutkiej, zakochanej córki o nadmiernej ambicji. Ale wyczuła, że kilka par już się im przygląda, więc wolała się raczej wycofać, niż dać się przyłapać na kłótni z własnym dzieckiem.

Nieco wbrew życzeniom męża wybrała spokojniejszą stronę stołu, wśród paru oficerów z żonami obserwującymi lepsze towarzystwo pośrodku. Wellington siedział między lady Georgianą Lennox a jakimś olśniewającym stworzeniem w głęboko wydekoltowanej sukni koloru nieba o północy, haftowanej srebrną nicią, i oczywiście w garniturze wspaniałych diamentów. Dama śmiała się cichutko, ukazując oślepiająco białe zęby, i od czasu do czasu zerkała na księcia z ukosa spod ciemnych rzęs.

– Kim jest ta pani po prawej ręce księcia? – spytała Anna męża.

– To lady Frances Wedderburn-Webster.

– Oczywiście! Przyszła tuż po nas. Wydaje się bardzo pewna zainteresowania księcia.

– Ma po temu wszelkie powody. – James mrugnął nieznacznie do Anny, ta zaś przyjrzała się damie z większą ciekawością. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, jak groźba wojny i bliskość śmierci wzmagają apetyt na korzystanie z życia. Wiele par na tej sali ryzykowało swoją reputacją i nawet przyszłym szczęściem, byle tylko zaznać odrobiny radości, zanim rozdzieli je głos trąbki bojowej.

Przy drzwiach wszczął się jakiś ruch, więc Anna skierowała wzrok w tamtą stronę. Posłaniec, którego widzieli wcześniej, wrócił, nadal w tych samych zabłoconych butach, i znów podszedł do księcia Orańskiego. Porozmawiali przez chwilę, po czym książę ponownie odnalazł Wellingtona i coś mu szepnął na ucho. Teraz uwaga całego zgromadzenia jeszcze bardziej się wyostrzyła i ogólna rozmowa zaczęła przygasać. Wellington wstał. Zamienił parę słów z księciem Richmondem, po czym obaj panowie skierowali się do wyjścia, ale nagle wódz przystanął. Rozejrzał się wokoło i ku zaskoczeniu Trenchardów oraz osób zebranych przy ich stole podszedł prosto do Jamesa.

– Ty, Magiku. Pozwól no z nami, dobrze?

James zerwał się na równe nogi, w jednej chwili zapominając o kolacji. Przy obu wysokich mężczyznach wyglądał jak mały pulchny dzoker między dwoma królami, bo też istotnie nim był, z czym Anna musiała się pogodzić.

Jej sąsiad z naprzeciwka nie krył podziwu:

– Pani mąż najwyraźniej cieszy się zaufaniem księcia.

– Na to wygląda. – Naprawdę była z niego dumna, co ją samą mile zaskoczyło.

Kiedy otworzyli drzwi do garderoby, wpadli na pokojowca, który właśnie układał na łóżku nocną koszulę pana. Służący podniósł na nich zdumiony wzrok, by zniecacka znaleźć się przed obliczem samego naczelnego wodza.

– Możesz nas zostawić na chwilę samych? – spytał Wellington, a pokojowiec o mało się nie zatchnął, biorąc nogi za pas. – Ma pan porządną mapę tego terenu?

Richmond przytaknął i wyciągnąwszy z półki opasy tom, otworzył go na Brukseli i najbliższej okolicy. Wellington zaczął już zdradzać furję, którą podczas kolacji udało mu się tak dobrze ukryć.

– Napoleon wystrychnął mnie na dudka! Książę Orański dostał drugą wiadomość, tym razem od barona Rebecque. Bonaparte ciągnie z Charleroi prosto na Brukselę i jest coraz bliżej. – Pochylił się nad mapą. – Wydałem rozkaz koncentracji wojsk przy Quatre Bras, ale tam go nie zatrzymamy.

– To się da zrobić. Do świtu jeszcze kilka godzin... – Richmond nie wierzył w swoje własne słowa bardziej niż wielki książę.

– Jeśli się nie da, będę musiał przyjąć tam bitwę.

James wyciągnął szyję nad mapą. Kciuk księcia spoczywał na małej miejscinie Waterloo. Wydało się czymś dziwnie nierealnym, że w jednej chwili jadł spokojnie kolację w jakimś bliżej nieokreślonym kącie, a w następnym stał w garderobie Richmonda, razem z nim i naczelnym wodzem, w samym środku wypadków, które miały odmienić życie ich wszystkich.

Nagle przypomniał sobie o nim Wellington.

– Potrzebuję twojej pomocy, Magiku. Rozumiesz? Będziemy w Quatre Bras pierwsi, a potem prawie na pewno w... – tu sprawdził nazwę na mapie – Waterloo. Dość dziwna nazwa jak na miejsce, które przejdzie do historii.

– Tylko Wasza Księżęca Mość potrafi to sprawić. – James miał stosunkowo prosty system wartości; rzadko przepuszczał okazję, by się komuś przypochlebić.

– Ale czy masz wystarczająco dużo informacji? – Wellington był zawodowym żołnierzem, a nie amatorskim partaczem, i za to James go podziwiał.

– Tak, proszę być spokojnym. Nie przegramy z powodu braku zaopatrzenia.

Wellington spojrział na niego z uśmiechem.

– Bystry z ciebie gość, Trenchard. Wykorzystaj ten talent po zakończeniu wojny, a z pewnością daleko zajdziesz.

– Wasza Księżęca Mość jest bardzo uprzejmy.

– Tylko nie rozprasza się błyskotkami socjety. Jesteś na to za mądry... przynajmniej tak miemam, i wart znacznie więcej niż te fircyki z sali balowej. Nie zapominaj o tym. – Zupełnie jakby jakiś głos mówił mu do ucha, że oto nadeszła godzina próby. – Dostyc. Trzeba się zbierać.

Kiedy stamtąd wyszli, w całym towarzystwie aż wrzało, więc od razu zrozumieli, że wiadomość już się rozeszła. W przesyconych zapachem kwiatów pokojach, które na początku wieczoru budziły podziw swoim eleganckim wystrojem, rozgrywały się teraz rozdzierające sceny pożegnania. Matki i młode panienki jawnie szlochały w ramionach swoich synów, braci, mężów i ukochanych, wyzbywszy się wszelkich pozorów zimnej krwi. Ku zdumieniu Jamesa orkiestra wciąż grała, co więcej, kilka par kontynuowało taniec, chociaż trudno było to pojąć, zważywszy na panującą wokół konsternację i smutek.

Anna podeszła do męża, zanim zdołał odnaleźć ją w tym tłumie.

– Powinniśmy już wychodzić – rzekł. – Muszę iść prosto do składów. Wsadzę was do powozu, a sam pójdę pieszo.

– To ostateczna bitwa?

– Kto wie? Tak przypuszczam. Od lat każdą potyczkę uważamy za ostatnią, ale tym razem może to być prawda. Gdzie Sophia?

Zobaczyli ją w holu, gdzie szlochała w ramionach lorda Bellasisa. Anna dziękowała Bogu, że w ogólnym zamieszaniu nikt nie zważał na tę niedyskrecję. Bellasis szepnął coś Sophii do ucha i przekazał ją matce.

– Proszę się nią zaopiekować.

– To właśnie zwykle robię – odparła Anna, nieco poirytowana tą bezczelnością. Ale smutek rozłąki sprawił, że młody człowiek nie zauważył jej tonu. Obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem obiekt swoich uczuć, przyłączył się spiesznie do grupy oficerów. James odnalazł okrycia i szale swoich pań, a potem tłum zaczął ich popychać ku wyjściu. Księżnej nie było nigdzie widać, więc Anna zrezygnowała z poszukiwań i postanowiła napisać do niej rano, przyjąwszy, że w takim momencie

gospodyni nie będzie przywiązywać wielkiej wagi do towarzyskich konwenansów.

Wreszcie z holu wyszli na ulicę. Tam też panował ścisk, ale mniejszy niż w domu. Kilku oficerów siedziało już na koniach. Anna wypatrzyła w tym zamieszaniu Bellasisa. Także i jemu służący przyprowadził właśnie wierzchowca i przytrzymał go do wsiadania. Lord przeczesywał wzrokiem tłum, wyraźnie kogoś szukając, ale jeśli chodziło mu o Sophię, nie zdołał przyciągnąć jej uwagi. I w tym właśnie momencie Anna usłyszała, jak ktoś za jej plecami gwałtownie wciąga powietrze. Córka wpatrywała się jak zahipnotyzowana w grupę żołnierzy poniżej.

– O co ci chodzi? – zapytała, bo nie rozpoznała żadnego z nich, ale Sophia kręciła tylko głową – trudno powiedzieć, ze zgrozy czy ze smutku. Matka objęła ją za ramiona. – Wiesz, że musimy już iść...

– To nie to... – Sophia wyraźnie nie mogła oderwać oczu od grupki umundurowanych mężczyzn szukających się już do wymarszu. Nagle zadygotała, a z jej piersi wydobył się tak potworny szloch, że zdawał się rozrywać jej duszę na strzępy.

– Moja droga, musisz bardziej nad sobą panować... – Anna rozejrzała się wokoło, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi. Jej córka najwyraźniej traciła zmysły z rozpacz. Trzęsa się jak w febrze, po policzkach spływały jej strumienie łez. Matka zrozumiała, że pora działać. – Idziemy stąd. Szybko. Musimy się wycofać, zanim ktoś cię rozpozna.

Razem z mężem pociągnęli roztrzęsioną dziewczynę wzdłuż rzędu powozów, a kiedy wreszcie odnaleźli swój, wepchnęli ją do środka. Potem James odszedł, ale minęła godzina, zanim udało im się wyjechać spomiędzy stłoczonych pojazdów i dotrzeć do domu.

Przez cały następny dzień Sophia nie opuszczała swojego pokoju, ale i tak nie miało to znaczenia, bo wszyscy w Brukseli siedzieli jak na szpilkach i nikt nie zwrócił uwagi na jej nieobecność. Czy wojska nieprzyjacielskie wtargną do miasta? Czy każda młoda kobieta jest w niebezpieczeństwie? Mieszkańcy byli w rozterce: czy w nadziei na zwycięstwo mają zakopywać w ziemi kosztowności, by nie padły łupem maruderów, czy raczej spodziewać się klęski i od razu uciekać? Anna większość dnia spędziła na rozmyślaniach i modlitwie. James nie wrócił do domu. Przysłał tylko swojego człowieka po zmianę odzieży i koszyk z jedzeniem, a ona prawie się roześmiała, że główny dostawca sam potrzebuje zaopatrzenia.

Potem zaczęły napływać wiadomości o potyczce pod Quatre Bras. Księżę Brunszwiku zginął od strzału w serce. Anna przypomniała sobie ciemnowłosego mężczyznę o uwodzicielskiej urodzie, który zaledwie poprzedniego wieczoru tańczył z księżną walca. Zanoszą się na więcej takich wieści, zanim to wszystko się skończy. Rozejrzała się po salonie wynajętej willi. Wyglądał całkiem przyjemnie, jak dla niej – nieco zbyt okazale dla Jamesa – wręcz za skromnie, ze swoimi ciemnymi meblami, zasłonami z białej jedwabnej mory, wykończonymi na górze drapowanymi lambrekinami z frędzlą. Wzięła do rąk robotkę i zaraz ją odłożyła. Jak mogła teraz haftować, skoro kilka mil dalej trwała walka na śmierć i życie? Taki sam los spotkał książkę: Anna nie była w stanie skoncentrować się na fikcyjnej historii, kiedy okrutna akcja rozgrywała się na tyle blisko, że aż tu dobiegał ją huk dział.

Wszedł jej syn Oliver i rzucił się na fotel.

– Czemu nie jesteś w szkole?

– Kazali nam wracać do domów.

Anna pokiwała głową. No oczywiście, nauczyciele pewnie przygotowują się do ucieczki.

– Są jakieś wieści od ojca?

– Nie, ale nic mu nie grozi.

– Dlaczego Sophia leży w łóżku?

– Nie czuje się dobrze.

– To przez lorda Bellasisa?

Anna przyjrzała mu się uważnie. Co on wie o tych sprawach? Ma dopiero szesnaście lat i nawet nie otarł się jeszcze o socjetę.

– Oczywiście, że nie.

Ale syn tylko się uśmiechnął.

Anna zobaczyła męża dopiero we wtorek rano. Jadła właśnie śniadanie w swoim pokoju, chociaż zdążyła już wstać i się ubrać, kiedy stanął w drzwiach, okryty kurzem i zabłocony, jakby prosto z pola bitwy. Powitała go dość lakonicznie:

– Dzięki Bogu.

– Udało się! Bonio wziął nogi za pas. Ale nie wszyscy ocaleli.

– Tak się domyślam. Biedacy!

– Księżę Brunszwiku poległ.

– Słyszałam.

– Lord Hay, sir William Ponsonby...

– Och. – Ten łagodnie uśmiechnięty mężczyzna, który żartował z nią na temat stanowczości męża...

– Jakie to smutne! Słyszałam, że część z nich zginęła w galowych mundurach, które włożyli na bal.

– To prawda.

– Musimy się za nich pomodlić. Mam wrażenie, że przez obecność na tym balu wytworzyła się między nami wszystkimi swego rodzaju więź.

– Rzeczywiście. Ale jest też ofiara, z którą więzi nie musisz sobie wyobrażać. – Spojrzała na niego wyczekująco. – To wicehrabia Bellasis.

– Och, nie! – Dłoń sama podniosła się jej do twarzy. – Czy to pewne? – Poczowała skurcz w żołądku... właściwie dlaczego? Trudno powiedzieć. Czyżby jednak istniał cień szansy, że Sophia miała rację, a teraz wszystko przepadło? Nie. To czysta fantazja, ale... Jakie to straszne.

– Byłem tam wczoraj. Znaczy na polu bitwy. Mimo wszystko to naprawdę obrzydliwy widok.

– Po coś tam jeździł?

– A niby po co, jak nie w interesach? – Od razu pożałował swojego kostycznego tonu. – Usłyszałem, że Bellasis jest na liście poległych i poprosiłem, żeby pozwolono mi zobaczyć jego ciało. Dlatego jestem pewien. Co z Sophią?



Anna westchnęła.

– Od czasu balu wygląda jak cień. Niewątpliwie truchleje na myśl o wiadomości, którą teraz musimy jej przekazać. Lepiej, żeby dowiedziała się od nas niż od kogoś obcego.

– Sam jej powiem.

Zaskoczyło ją to. To nie był rodzaj obowiązku, do którego James zgłaszałby się na ochotnika.

– Myślę, że to moja rola. Jestem jej matką.

– Nie, ja to zrobię. Ty możesz przyjść później. Gdzie ona jest?

– W ogrodzie.

Wyszedł energicznym krokiem, zostawiając pogrążoną w zadumie żonę. Więc tak zakończy się szaleństwo Sophii: nie skandalem, chwalić Boga, tylko smutkiem. Dziewczyna nabiła sobie głowę marzeniami, James je wręcz podsycił, ale teraz wszystko obróci się w proch. Nigdy się nie dowiedzą, czy Sophia słusznie uważała, że Bellasis miał wobec niej poważne zamiary, albo czy to ona, Anna, była bliższa prawdy, on zaś traktował jej córkę jako uroczą laleczkę, z którą chciał się zabawić podczas stacjonowania w Brukseli. Przeniosła się na kanapkę w okiennej niszy. Ogród w dole utrzymany był w sztywnym, eleganckim stylu, wciąż podziwianym w Niderlandach, chociaż w Anglii dawno go porzucono. Sophia siedziała na ławce przy żwirowanej alejce, obok leżała zamknięta książka. Ojciec usadowił się przy niej i ująwszy jej rękę, zaczął mówić. Anna zastanawiała się, jakich słów użyje. Raczej się nie spieszył, przemawiał łagodnie, przez kilka minut, aż nagle Sophia drgnęła, jakby ją kto uderzył. James wziął ją w ramiona, a ona zaczęła płakać. Anna wreszcie poczuła ulgę. Najwyraźniej mąż umiał się zdobyć na delikatność, tak konieczną w takiej sytuacji.

Później Anna zada sobie pytanie, dlaczego była wtedy taka pewna, że to już koniec historii Sophii. Ale kto lepiej od niej mógł wiedzieć, że w pryzmacie perspektywy wszystko wygląda inaczej? Wstała. Pora zejść na dół i pocieszyć córkę, która z pięknego snu obudziła się właśnie w okrutnym świecie.

— 2 —

Przypadkowe spotkanie



Rok 1841.

Powóz stanął. Zdawało się, ledwie moment upłynął, odkąd do niego wsiadła. Ale odległość między Eaton Square a Belgravia Square w ogóle nie wymagała brania powozu i gdyby Anna mogła postąpić po swojemu, poszłaby pieszo. Oczywiście przy tego rodzaju wizycie nie było to możliwe. Chwilę później lokaj zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki, po czym podał jej rękę, żeby nie potknęła się na chwiejnych stopniach. Wzięła głęboki wdech, by nieco ukoić nerwy. Dom, przed którym teraz stała, należał do typu klasycznych „tortów weselnych”. Takie rezydencje niczym grzyby po deszczu wyrastały w ciągu ostatnich dwudziestu lat przy placach i alejach dzielnicy świeżo nazwanej Belgravią, ale w Annie Trenchard nie budziły już żadnej ciekawości. Przez ostatnie ćwierćwiecze bowiem mąż jej pracował w firmie braci Cubitt<sup>[4]</sup>, gdzie nadzorował budowę owych prywatnych pałacyków dla bogaczy dziewiętnastowiecznej Anglii, przy okazji zbijając też własną fortunę.

Przed chwilą lokaj wpuścił do domu dwie panie i nadal stał w progu, przytrzymując otwarte drzwi. Annie nie pozostało nic innego, jak ruszyć po schodach do przepastnego holu, gdzie czekała już pokojówka, by wziąć jej szal, bo kapelusz zdecydowanie pozostawiła na głowie. Dawno przywykła do odwiedzania osób, które ledwie znała, a dzisiejsza wizyta nie należała do wyjątków. Teść gospodni, nieżyjący książę Bedford, był kiedyś klientem Cubittów, a i James sporo pracy włożył w jego rezydencje przy Russell Square i Tavistock Square. Oczywiście teraz mąż lubił przedstawiać się jako dżentelmen, który tylko przypadkiem wpadł do biura Cubitta, i czasem nawet mu to uchodziło. Udało mu się zawrzeć przyjaźń, a przynajmniej życzliwą znajomość z księciem i jego synem, lordem Tavistockiem. Tak się jednak złożyło, że żona tego ostatniego, lady Tavistock, która zawsze odgrywała w tle ważniejszą rolę, prowadziła też swoje odrębne życie jako jedna z dam dworu młodej królowej<sup>[5]</sup>. Z Anną w ciągu paru ostatnich lat zamieniła najwyżej kilka uprzejmych słów, ale James uroił sobie, że to tylko pierwszy krok do dalszych stosunków. Po pewnym czasie stary książę umarł, a kiedy jego dziedzic zaprzagnął pomocy Jamesa przy dalszej rozbudowie londyńskich posiadłości Russellów, ten dał mu do zrozumienia, że Anna chętnie wzięłaby udział w jednej ze sławnych „popołudniowych herbatek”, nowym, szeroko dyskutowanym rodzajem przyjęcia, niedawno wprowadzonym przez księżnę. I rzeczywiście niebawem nadeszło zaproszenie.

Nie chodziło o to, że Anna nie pochwałała starań swojego męża o coraz wyższą pozycję w towarzystwie. Zdążyła już do nich przywyknąć. Widziała, ile przyjemności mu to daje, i nie zamierzała odzierać go z marzeń, tylko po prostu ich nie podzielała – tak samo jak przed trzydziestoma laty w Brukseli. Nazbyt dobrze rozumiała, że panie, które zapraszały ją do siebie, działały na polecenie mężów, wydane na wypadek, gdyby James mógł się im do czegoś przydać. Wysyłając swoje cenne karty wstępu na bale, wytworne lunche i obiady, a ostatnio także na „herbatki”, wykorzystywały jego snobizm i wdzięczność do własnych celów, aż wreszcie dla Anny (jeśli nie dla samego Jamesa) stało się jasne, że nim manipulują. Jej mąż zaprzęgał się do wozu, ale

wodze oddawał tym, którzy w ogóle o niego nie dbali i patrzyli jedynie na zyski, jakie im zapewniał. Rola Anny w tym wszystkim polegała na przebieraniu się po kilka razy dziennie, wysiadaniu w wielkich salonach w towarzystwie kobiet, które traktowały ją jak intruza, i powrocie do domu. Z czasem przywykła do takiego trybu życia. Przestała przejmować się lokajami, a wzrastający z każdym rokiem przepych nie onieśmiał jej już, ale też nie robił na niej wrażenia. Widziała w nim to, czym był w istocie: inny styl życia.

Westchnąwszy ciężko, ruszyła na górę po okazałych schodach ze złożonymi poręczami. Królował nad nimi portret gospodyni w stroju z okresu regencji, pędzla Thomasa Lawrence'a<sup>[6]</sup>. Anna zastanawiała się, czy nie jest to kopia sporządzona w Londynie specjalnie dla oczu gości, podczas gdy oryginał spoczywa bezpiecznie w Woburn.

Z podestu skierowała się do wielkiego salonu obitego bladoniebieskim adamaszkiem, z wysokim malowanym sufitem i złożonymi drzwiami. Na sofach, fotelach i otomanach rozsiadły się już panie, balansując dość niezręcznie talerzykami i filiżankami. Zabawiali je ploteczkami nieliczni dżentelmeni w ubraniach jak spod igły, najwyraźniej prowadzący próżniaczy tryb życia. W oczach jednego z nich Anna dostrzegła jakby błysk rozpoznania, ale zauważywszy z boku wolne krzesło, ruszyła w tamtą stronę. Właśnie przechodziła koło jakiejś starszej pani, kiedy ta wychyliła się gwałtownie, próbując ratować talerzyk z tartinką, który zsuwał się z obfitych fałdów jej spódnicy. Anna błyskawicznie go złapała, wywołując promienny uśmiech na twarzy nieznamoj.

– Mało brakowało! – wykrzyknęła, po czym odgryzła kęs. – Nie mam nic przeciwko lekkiej przekąsce przed obiadem, na przykład herbacie z ciastem, ale czemu nie podać tego do stołu?

Anna zajęła upatrzone krzesło, a uznawszy uwagę sąsiadki za zaproszenie do rozmowy, kontynuowała temat.

– Moim zdaniem chodzi o to, żeby nie być uwiązany do wyznaczonego miejsca. Możemy swobodnie się przemieszczać i rozmawiać, z kim chcemy.

– W takim razie ja chcę rozmawiać z panią.

Zmierzała już w ich stronę zaaferowana gospodyni.

– Pani Trenchard, jak miło, że pani wpadła. – Nie zabrzmiało to jak zachęta do dłuższej wizyty, co zresztą Annie w zupełności odpowiadało.

– To dla mnie ogromna przyjemność.

– Czy nie przedstawiś nas sobie? – upomniała się starsza pani, wyratowana przez Annę z opresji. Księżna z początku wyraźnie się do tego nie kwapiła, ale widocznie uznała, że nie ma wyjścia, więc uśmiechnęła się z przymusem i spełniła obowiązek:

– Księżna pozwoli: pani Jamesowa Trenchard... – Anna pochyliła głowę w oczekiwaniu na dalszy ciąg. – A to księżna wdowa Richmond.

Wymieniła jej tytuł takim tonem, jakby chciała raz na zawsze zamknąć temat. Zapadła cisza. Gospodyni spojrzała na Annę, spodziewając się chyba odpowiednio czołobitnej odpowiedzi, ale ta przeżywała właśnie coś w rodzaju szoku... jeśli można tak nazwać ukłucie smutku i tęsknoty. Zanim zdążyła powiedzieć coś, co uratowałoby sytuację, gospodyni wybuchnęła potokiem słów:

– A teraz pozwoli pani ze mną, żebym mogła ją przedstawić pani Carver i pani Shute. – Oczywiście znaczyło to tyle, że przeznaczyła Annie miejsce wśród gorzej urodzonych pań, których nie zamierzała dopuszczać do możliwych tego świata. Ale stara księżna nie przyjmowała tego do wiadomości.

– Nie porywaj jej jeszcze, moja droga. My się znamy – stwierdziła, przyglądając się badawczo twarzy swojej sąsiadki.

Anna przytaknęła.

– Ma pani wspaniałą pamięć, księżno. Myślałam, że po tylu latach zmieniłam się nie do poznania, ale owszem, spotkałyśmy się już. W Brukseli. Na balu, który wydała pani przed bitwą pod Waterloo.

Księżna Bedford nie posiadała się ze zdumienia.

– Była pani na tym słynnym balu?

– Tak.

– A ja myślałam, że pani dopiero co... – Urwała w samą porę. – Muszę sprawdzić, czy wszyscy mają, czego im trzeba. Proszę mi wybaczyć...

Odeszła spiesznie, zostawiając obie panie, które teraz przyglądały się sobie jeszcze uważniej.

W końcu stara księżna pierwsza przerwała milczenie:

– Dobrze panią pamiętam.

– Doprawdy jestem pod wrażeniem.

– Oczywiście nie poznałyśmy się tak naprawdę. – W pomarszczonej twarzy rozmówczyni Anna nadal dostrzegała ślady dawnej królowej Brukseli, która rządziła w tym mieście tak, jak jej pasowało.

– Nie. Ktoś poprosił o zaproszenie dla nas i uważam za wielką uprzejmość z pani strony, że pozwolono nam przyjść.

– Pamiętam. Mój nieżyjący siostrzeniec był zakochany w pani córce.

– Może i tak. W każdym razie ona go kochała.

– Nie, nie, on także. Z pewnością tak wtedy myślałam. Księżę i ja pokłóciliśmy się o to po balu.

– Nie wątpię. – Obie doskonale wiedziały, o co chodzi, ale po co to teraz rozdrapywać?

– Lepiej zostawmy ten temat. Tam siedzi moja siostra, nie chcę jej niepokoić po tylu latach. – Anna spojrzała we wskazanym kierunku. Dystyngowana dama w sukni z fioletowej koronki na szarym jedwabiu wyglądała na niewiele starszą od niej samej. – Jest między nami niecałe dziesięć lat różnicy, wiem, że to zaskakujące.

– Czy kiedykolwiek wspomniała jej pani o Sophii?

– To było tak dawno temu... Jakie to ma znaczenie? Nasze problemy umarły razem z moim siostrzeńcem. – Urwała, wiedząc, że się zdradziła. – Gdzie jest teraz pani piękna córka? Bo wie pani, ja pamiętam, jaka była piękna. Co się z nią stało?

Anna skurczyła się w sobie; takie pytania nadal ją raniły.

– Podobnie jak lord Bellasis, Sophia nie żyje. – Zawsze starała się podawać tę informację suchym, rzeczowym tonem, aby nie prowokować wybuchu sentymentów. – Umarła kilka miesięcy po balu.

– Więc nie wyszła za mąż?

– Nie.

– Bardzo mi przykro. Może to zabawne, ale świetnie ją pamiętam. Mają państwo inne dzieci?

– O tak, syna Olivera. Ale... – Tym razem to Anna się zdradziła.

– ...ale to Sophię nosiła pani w sercu.

Anna westchnęła. Nadal niełatwo jej było o tym mówić, nieważne, ile minęło lat.

– Wiem, że zawsze trzeba podtrzymywać tę fikcję o jednakowej miłości do wszystkich dzieci, ale mam z tym trudności.

Księżna zachichotała.

– Ja nawet nie próbuję. Kilkoro z moich dzieci bardzo lubię, z większością utrzymuję poprawne stosunki, ale dwojga po prostu nie znoszę.

– A ile ich pani ma?

– Czternaścioro.

– Wielkie nieba! W takim razie można być spokojnym o tytuł księcia Richmond.

Stara księżna znów się zaśmiała, ale także ścisnęła Annę za rękę. Jakoś nie sprawiło jej to przykrości. Obie w tej starej historii grały swoje role, każda według własnego scenariusza.

– Pamiętam pani córki na tym balu. Jedna wydała mi się ulubienicą księcia Wellingtona.

– Nadal nią jest. To Georgiana. Nazywa się teraz lady de Ros, ale nawet gdyby on nie był wtedy żonaty, pewnie i tak nie miałby u niej szansy. Muszę iść. Za długo już tu siedzę i pewnie za to zapłacę. – Podniosła się z wysiłkiem, opierając się ciężko na lasce. – Miło mi się z panią gawędziło, pani Trenchard, o tych niezwykłych czasach. Ale przypuszczam, że to także zaleta tych herbatek „podnieś – odstaw”: można z nich wyjść, kiedy się chce. – Przed wyjściem dodała coś jeszcze: – Życzę dobrze i pani, i pani rodzinie. Bez względu na to, po której stronie każda z nas stała w przeszłości.

– Ja pani także, księżno.

Anna wstała i patrzyła za starą arystokratką zmierzającą ostrożnie ku drzwiom. Potem rozejrzała się wokoło. Niektóre panie znała, część z nich nawet kiwnęła jej przez grzeczność głowami, ale znała też granice ich zainteresowania i nie zamierzała ich przekraczać. Uśmiechała się więc tylko, nie próbując do nikogo podchodzić. Duży salon otwierał się na mniejszy, z draperiami z jasnoszarego adamaszku, dalej zaś znajdowała się galeria czy raczej pokój do prezentacji obrazów. Anna przechadzała się po nim wolno, podziwiając wystawione płótna. Był wśród nich piękny Turner, zawieszony nad marmurowym kominkiem. Zastanawiała się leniwie, jak długo jeszcze musi tu zostać, kiedy z tyłu odezwał się jakiś głos:

– Miała pani wiele do powiedzenia mojej siostrze.

Obróciwszy się, zobaczyła osobę, którą księżna wskazała jej wcześniej jako matkę lorda

Bellasisa. Czy wyobrażała sobie kiedyś ten moment? Pewnie tak. Z filizanką na spodku w ręku stała przed nią hrabina Brockenhurst.

– I teraz chyba rozumiem dlaczego – ciągnęła. – Nasza gospodyni mówi, że była pani na tym słynnym balu.

– Owszem, milady.

– Więc ma pani nade mną przewagę. – Lady Brockenhurst kierowała się ku krzesłom stojącym przy dużym oknie, skąd rozciągał się widok na zielony ogród przy Belgravia Square. Na centralnym trawniku bawiło się spokojnie dwoje dzieci pod opieką piastunki. – Powie mi pani, jak się nazywa, skoro nie ma tu nikogo, kto by nas sobie przedstawił?

– Nazywam się Trenchard. Jamesowa Trenchard.

Hrabina wytrzeszczyła oczy.

– Czyli miałam rację. To rzeczywiście pani.

– Bardzo mi pochlebia, że pani o mnie słyszała.

– Oczywiście, że słyszałam – odrzekła, nie zdradzając tonem, czy to dobrze czy źle. W tej chwili podszedł do nich lokaj z tacą małych tartinek z jajkiem. – Ach, są zbyt pyszne, by się im oprzeć – westchnęła, biorąc na talerzyk od razu trzy. – Nie sądzi pani, że to dziwna pora na posiłek? Mam nadzieję, że nie stracimy apetytu na obiad.

Anna uśmiechnęła się w milczeniu. Miała wrażenie, że jest przesłuchiwana, i wcale się nie myliła.

– Proszę mi opowiedzieć o balu.

– Na pewno dostatecznie często rozmawia pani o tym z księżną.

Ale lady Brockenhurst nie dawała się zbyć.

– Skąd się państwo wzięli w Brukseli? Jak poznali państwo moją siostrę i jej męża?

– Nie znaleźmy księstwa Richmond. To znaczy nie osobiście. Mój mąż był głównym dostawcą armii księcia Wellingtona. Kontaktował się czasem służbowo z księciem Richmondem, który dowodził obroną Brukseli, ale nic poza tym.

– Wybacz pani, moja droga, ale to nie do końca wyjaśnia państwa obecność na balu jego żony.

Hrabina Brockenhurst musiała być bardzo piękna, kiedy jej jasne włosy jeszcze nie posiwiały, a gładkiej skóry nie szpeciły zmarszczki. Miała żywą, kocią twarz o drobnych rysach, zawsze czujną i zdecydowaną, usta wygięte w tak zwany łuk Kupida, a jej ostry sposób mówienia przypominał skrzypcowe *pizzicato*, co w młodości musiało wydawać się urzekające. Niepozbowiona podobieństwa do siostry, miała ten sam władczy sposób bycia, ale w jej szaroniebieskich oczach czaił się smutek, co z jednej strony budziło współczucie, ale zarazem czyniło ją jeszcze mniej przystępną niż księżna Richmond. Anna oczywiście знаła przyczynę tego smutku, ale nie miała ochoty o niej wspominać.

– Bardzo mnie to ciekawi. Dużo słyszałam o panu Trenchardzie, głównym kwatermistrzu armii, oraz jego żonie. Teraz spotykam panią tutaj i zastanawiam się, czy nie poinformowano mnie fałszywie i czy wasza pozycja nie jest inna niż ta, o której mi mówiono.

To było wręcz obraźliwe i Anna dobrze wiedziała, że powinna dać temu wyraz. Każdy na jej miejscu tak by zrobił. Ale czy lady Brockenhurst nie miała racji?

– Nie, to się w zasadzie zgadza. Rzeczywiście wydawało się dziwne, że znaleźliśmy się wśród gości tamtego balu w roku tysiąc osiemset piętnastym, ale od tego czasu nasze życie się zmieniło. Po wojnie interesy mojego męża zaczęły iść nadspodziewanie dobrze.

– Oczywiście. Czy nadal zajmuje się dostawami żywności dla swoich klientów? Musi być doskonałym fachowcem.

Anna zastanawiała się, ile jeszcze wytrzyma.

– Nie, porzucił to i wszedł w spółkę z panem Cubittem i jego bratem. Kiedy po bitwie wróciliśmy z Brukseli, ci panowie szukali inwestorów i pan Trenchard postanowił im pomóc.

– Ten wielki Thomas Cubitt? Wielkie nieba! To znaczy, on już wtedy nie był cieślą okrętowym?

Anna uznała, że pozwoli tej grze toczyć się aż do końca.

– Zajmował się budownictwem. Kiedy razem z bratem Williamem poznali mojego męża, zbierali fundusze na budowę siedziby London Institution w Finsbury Circus. Pan Trenchard zaproponował im pomoc i przystąpił z nimi do spółki.

– Pamiętam otwarcie tego gmachu. Uznaliśmy, że jest imponujący.

Czyżby w jej uśmiechu kryła się ironia? Trudno orzec, czy lady Brockenhurst naprawdę była pod wrażeniem, czy bawiła się Anną z jakichś sobie tylko wiadomych powodów.

– Potem już wspólnie pracowali przy nowym Tavistock Square...

– Dla teścia naszej gospodyni.

– Nie tylko, ale rzeczywiście głównym inwestorem był nieżyjący książę Bedford.

– Odnieśli wielki sukces, a potem pewnie nadszedł czas na Belgravię markiza Westminsteru, który musi być teraz bogatszy niż sam Krezus, i to dzięki Cubittom oraz, jak właśnie się dowiaduję, pani mężowi. Jak dobrze ułożyły się wasze sprawy! Pewnie ma pani już dość takich domów jak ten. Najwyraźniej do wielu z nich przyłożył rękę pani mąż.

– Miło jest patrzeć, jak domy nabierają życia, kiedy już usunie się rusztowania i opadnie pył budowy. – Anna starała się skierować rozmowę na neutralne tory, ale lady Brockenhurst nie zamierzała do tego dopuścić.

– Co za historia! Jest pani tworem nowej ery, pani Trenchard. – Parsknęła krótkim śmiechem, ale zaraz się opamiętała. – Chyba pani nie obraziłam?

– Ani trochę. – Anna w pełni zdawała sobie sprawę, że lady Brockenhurst ją prowokuje. Na pewno wie wszystko o flircie swojego syna z Sophią, nie może być innego powodu. Ale ona pokrzyżuje jej plany i zakończy sprawę. – Ma pani rację, że ostatnie sukcesy mojego męża nie tłumaczą naszej obecności na tamtym balu. Dostawca wojskowy zwykle nie ma szans na wpisanie swojego nazwiska do karnetu księżnej. My jednak byliśmy zaprzyjaźnieni z ulubieńcem pani siostry i to on załatwił nam zaproszenie. Mogłoby się to wydać bezwstydne, ale miasto u progu wojny nie rządzi się takimi samymi zasadami jak salony Mayfair w czasie pokoju.



– O, z pewnością. A co to za ulubieniec? Może go znam?

Annie niemal ulżyło, kiedy ostatecznie dotarły do sedna. Mimo to wciąż nie bardzo wiedziała, jak to rozegrać.

– No proszę, pani Trenchard, śmiało!

Nie było sensu kłamać, gdyż lady Brockenhurst w pełni sobie uświadamiała, co za chwilę usłyszy.

– Doskonale go pani знаła. To lord Bellasis.

Nazwisko zawisło między nimi w powietrzu jak upiorny sztylet z bajki. Nie, lady Brockenhurst nie dała się wyprowadzić z równowagi, bo przedtem musiałyby wydać ostatnie tchnienie... a jednak nie do końca była gotowa na dźwięk tytułu syna w ustach osoby, którą świetnie znała w swoich wyobrażeniach, ale nie w rzeczywistości. Teraz potrzebowała chwili, aby wyrównać oddech. Milczała, sącząc herbatę. Annę ogarnęła nagle fala współczucia do tej smutnej kobiety, tak samo nieugiętej wobec samej siebie jak innych.

– Lady Brockenhurst...

– Dobrze znała pani mojego syna?

Anna skinęła głową.

– Prawdę rzekłszy...

W tym momencie nadeszła gospodyni.

– Pani Trenchard, czy zechciałaby pani...

– Przepraszam cię, moja droga, ale właśnie rozmawiamy.

Odprawa nie mogłaby być bardziej stanowcza, niż gdyby zamiast księżnej Bedford miała przed sobą niesubordynowaną służącą, która nie zdążyła wygarnąć popiołu z kominka przed powrotem rodziny z jadalni. Lady Brockenhurst odczekała, aż znów zostaną same.

– Zaczęła pani coś mówić...?

– Tylko tyle, że moja córka znała lorda Bellasisa lepiej od nas. W Brukseli wrzało wtedy jak w ulu, aż się roiło od młodych oficerów i córek starszych dowódców. Podobnie jak od ludzi, którzy zjechali z Londynu w poszukiwaniu rozrywki.

– Jak moja siostra z mężem.

– No właśnie. Kiedy oglądam się wstecz, mam wrażenie, że nikt nie wiedział wtedy, czego się spodziewać: triumfu Napoleona i podboju Anglii czy wręcz przeciwnie – zwycięstwa naszych. Może to źle zabrzmieć, ale ta niepewność wytworzyła specyficzną atmosferę podniecenia, która uderzyła ludziom do głowy.

Hrabina cały czas przytakiwała jej w milczeniu.

– I nade wszystko ta wisząca w powietrzu świadomość, że wielu z tych młodych, roześmianych mężczyzn, którzy salutują na paradach, piją wino na piknikach czy walczą z córkami dowódców, nie wróci już do swoich domów... – Mówiła spokojnym tonem, w którym jednak lekkie drżenie zdradzało emocje.

Jak dobrze Anna ją rozumiała!

– O tak.

– Przypuszczam, że to właśnie im się podobało. Mam na myśli dziewczęta w rodzaju pani córki. Niebezpieczeństwo, fascynacja... bo dla młodych niebezpieczeństwo jest fascynujące. Gdzie ona teraz jest?

Znowu. Drugi raz w ciągu jednego dnia.

– Sophia nie żyje.

Lady Brockenhurst wciągnęła gwałtownie powietrze.

– No, tego to nie wiedziałam – przyznała, jakby na potwierdzenie, że wiedziała o wszystkim innym. Najwyraźniej omawiały całą sprawę wiele razy z księżną Richmond, co wyjaśniałoby dotychczasowe zachowanie hrabiny.

– To się stało niedługo po bitwie, nawet niecały rok, a więc bardzo dawno temu.

– Bardzo mi przykro. – Po raz pierwszy lady Brockenhurst powiedziała coś ciepłym tonem. – Każdy zawsze mówi, że dobrze wie, jak to jest, ale ja naprawdę wiem. I wiem, że to nigdy nie mija.

Anna nie odrywała wzroku od tej wyniosłej matrony, która włożyła tyle wysiłku, by wskazać pani Trenchard jej miejsce. Wniosła do tego pokoju tyle złych emocji, a jednak gdy dowiedziała się, że Anna też straciła dziecko, że zła dziewczyna z gorzkich wizji lady Brockenhurst nie żyje, stosunki między nimi uległy pewnej zmianie.

– Dziwne, ale widzę w tym coś pocieszającego. Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami, i może rzeczywiście tak jest.

– A zapamiętała pani Edmunda z tego balu?

Wyładowawszy swoją złość, lady Brockenhurst z krępującą skwapliwością pragnęła usłyszeć coś o utraconym synu.

I doczekała się naprawdę szczerzej odpowiedzi:

– Pamiętam go bardzo dobrze, zresztą nie tylko z balu. Bywał w naszym domu wraz z innymi młodymi ludźmi. Cieszył się ogólną sympatią: czarujący, przystojny, wesoły, jak tylko...

– O tak. To i jeszcze więcej...

– Ma pani inne dzieci? – Anna najchętniej odgryzłaby sobie język. Dobrze pamiętała, że Bellasis był jedynakiem, często się o tym mówiło. – Przepraszam. Teraz sobie przypomniałam, że nie. Proszę mi wybaczyć.

– Ma pani rację. Nikogo po sobie nie zostawimy. – Lady Brockenhurst gładziła jedwabną spódnicę, zerkając w pusty kominek. – Zupełnie nikogo.

Przez chwilę Anna obawiała się, czy hrabina się nie rozpłacze, ale postanowiła się nie wycofywać. Czemu, jeśli to możliwe, nie pocieszyć zbolącej matki? Co to komu szkodzi?

– Musi pani być bardzo dumna z lorda Bellasisa. Był wspaniałym młodym człowiekiem i bardzo go lubiliśmy. Czasem sami urządzaliśmy wieczory tańcujące na sześć czy siedem par, a ja grałam im na fortepianie. Dziwnie jest mówić tak dzisiaj, ale te dni przed bitwą były szczęśliwe. Przynajmniej dla mnie.

– Z pewnością. – Lady Brockenhurst wstała. – Wychodzę już, pani Trenchard. Przyjemnie mi się z panią rozmawiało. Przyjemniej, niż oczekiwałam.

Anna patrzyła na nią zimno.

– Kto pani powiedział, że tu będę?

– Nikt. Zapytałam gospodynię, kto rozmawia z moją siostrą, więc podała mi pani nazwisko. Zaciekało mnie to. Tyle razy rozmawiałam o pani i jej córce, że nie chciałam stracić okazji do pogawędki z panią. Tak czy inaczej, widzę teraz, że się myliłam. A już prawdziwą gratką była dla mnie możliwość zamienienia kilku słów o Edmundzie z osobą, która go znała. Dzięki pani poczułam się tak, jakbym go znowu zobaczyła – tańczącego, flirtującego, cieszącego się ostatnimi godzinami życia. Lubię i chcę o tym myśleć, dlatego dziękuję pani.

I pożeglowała majestatycznie przez salony w swojej półżałobnej sukni, zręcznie lawirując wśród rozbawionych grup w kolorowych strojach.

Widząc, że hrabina wychodzi, księżna Bedford wróciła.

– Zatem nie muszę się o panią troszczyć, pani Trenchard. Najwyraźniej ma pani tu przyjaciółki – zauważyła, przy czym słowa zdawały się życzliwsze od tonu, jakim je wypowiedziała.

– Nie tyle przyjaciółki, co wspólne wspomnienia. A teraz ja także już pójdę. Bardzo się cieszę, że tu przyszłam, dziękuję.

– Zapraszam ponownie. I następnym razem opowie mi pani wszystko o tym słynnym wieczorze przed bitwą.

Ale Anna doszła do wniosku, że wcale nie ma na to ochoty. Rozmowa ze starą księżną, a nawet z jej kostywną siostrą, okazała się wręcz oczyszczająca, jednak nie zamierzała dyskutować o wypadkach sprzed lat z zupełnie obcą, niezaangażowaną osobą.

Może Eaton Square rzeczywiście był większy od Belgravia Square, ale tamtejsze domy nie wyglądały aż tak wielkopańsko i chociaż wcześniej James upierał się, by zamieszkać przy tym ostatnim, uległ w końcu życzeniom żony i zdecydował się na nieco skromniejszą rezydencję przy pierwszym. Rzeczony dom przy Eaton Square był wprawdzie także dość okazały, ale Anna bynajmniej nie czuła się tam nieszczęśliwa. W rzeczywistości lubiła go i włożyła sporo pracy, by urządzić pokoje gustownie i przyjemnie, nawet jeśli nie ociekały aż takim przepychem, jakiego życzyłby sobie James. „Mam upodobanie do luksusu”, zwykł mawiać, ale tego akurat upodobania Anna nie podzielała. Mimo to przeszła teraz przez chłodny szary hol, uśmiechnęła się do lokaja, który otworzył jej drzwi, i skierowała się na schody bez najmniejszego śladu niechęci do swojego otoczenia.

– Pan w domu? – zapytała, ale nie, wyglądało, że mąż jeszcze nie wrócił. Pewnie wpadnie w ostatniej chwili, w sam raz, żeby się przebrać, więc trzeba będzie odłożyć dyskusję aż do końca wieczoru. Bo że taka dyskusja odbyć się musi, to nie ulega kwestii.

Obiad jedli z synem Oliverem i jego żoną Susan, którzy z nimi mieszkali. Wieczór upłynął dość przyjemnie. Kiedy siedzieli przy dużym stole w jadalni na parterze, opowiedziała im o podwieczorku

u księżnej Bedford. Obsługiwał ich kamerdyner Turton, mężczyzna pod pięćdziesiątkę, w asyście dwóch lokajów, co Annie wydało się przesadą, jak na rodzinny obiad dla czterech osób, ale James lubił trzymać się swoich zasad, a jej i tak było wszystko jedno. Pokój prezentował się przyjemnie, choć może nieco chłodno, z rzędem wspaniałych kolumn odgradzających kredens od pozostałej części. Blasku dodawał mu też kominek z kararyjskiego marmuru, nad którym wisiał portret jej męża, pędzla Davida Wilkiego<sup>[7]</sup>. James bardzo się nim szczyił, czego nie dało się powiedzieć o artyście. Wilkie namalował go na rok przed sportretowaniem młodej królowej na pierwszym spotkaniu z Radą, co zdaniem Jamesa miało wpłynąć na wzrost cen jego obrazów. Ten akurat nie należał do najlepszych. Przy krześle Anny siedziała jej jamniczka Agnes, wpatrując się z nadzieją w swoją panią. Anna podsunęła jej kawałek mięsa.

– Tylko zachęcasz ją do żebraniny – zauważył James. Ale Anna w ogóle się tym nie przejęła.

Ich synowa Susan właśnie na coś narzekała. Był to tak normalny stan rzeczy, że Anna puszczała to mimo uszu, nie mogąc się zmusić do wysłuchiwania tej ciągłej litanii biadań. Tym razem, jak się zdawało, chodziło o to, że teściowa nie zabrała Susan na herbatkę u księżnej Bedford.

– Przecież nie zostałam zaproszona – przypomniała jej Anna.

– A co to za różnica? – Susan była bliska łez. – Wszystkie panie w Londynie odpowiadają w takim przypadku, że czują się zaszczycone i przybędą wraz z córkami.

– Nie jesteś moją córką. – Ledwie wypowiedziała te słowa, zrozumiała swój błąd. Właśnie podała Susan jak na tacy moralną przewagę. Wargi synowej zadrgały. Po drugiej stronie stołu Oliver z brzękiem odłożył sztucce.

– Ale jest twoją synową, a w każdym innym domu znaczy to tyle samo co córka. – Głos Olivera cechowała pewna szorstkość, która w gniewie, tak jak teraz, stawała się jeszcze wyraźniejsza.

– Oczywiście. – Anna odwróciła się, sięgając po sosjerkę. – Po prostu nie sądzę, że wypada mi wprowadzać kogoś... kogokolwiek... do domu osoby, którą ledwie znam.

– Do księżnej, którą ty znasz słabo, a ja wcale. – Susan najwyraźniej odzyskała rezon przynajmniej na tyle, by bronić swojej pozycji. Anna zerknęła na nieprzeniknione twarze służących. Za chwilę powtórzą wszystko na dole i nieźle się przy tym ubawią, ale teraz zachowują się nadzwyczaj profesjonalnie i nawet im nie drgnie powieka.

– Nie widziałem cię dziś w biurze, Oliverze. – Na szczęście James, podobnie jak żona, uważał, że Susan jest nieznośna, chociaż w kwestii tak zwanego *beau monde* w zupełności podzielał jej wielkie aspiracje.

– Bo tam nie byłem.

– Dlaczego?

– Wybrałem się na inspekcję robót przy Chapel Street. Zastanawiam się, czemu te domy są takie małe. Czy nie przepadła nam przez to pokaźna część zysku?

Anna spojrzała na męża. Może James, oślepiiony blaskiem wyższych sfer, daje się czasem wyprowadzić w pole, ale z pewnością zna się na swojej robocie.

– Kiedy zabudowuje się dany teren, trzeba wziąć pod uwagę całą scenerię. Nie można stawiać samych pałaców. Książęta mają przecież swoich popleczników, zarządców, kancelistów, wyższych rangą służących. Oni też muszą gdzieś mieszkać. Trzeba zaprojektować stajnie, wozownie, kwatery dla stangretów. Wszystko to wymaga przestrzeni, ale jest to przestrzeń dobrze wykorzystana.

Irytacja Susan znów dała o sobie znać:

– A pomyślałeś może, ojczec, gdzie my moglibyśmy zamieszkać? – Anna obserwowała uważnie synową. Niewątpliwie ładna z niej kobieta, z tą jasną karnacją, zielonymi oczami i kasztanowymi włosami. Ma też doskonałą figurę i dobrze się ubiera. Żeby jeszcze dało się ją zadowolić!

Problem wyboru miejsca dla młodych od dawna nie dawał im spokoju. W miarę rozbudowy Belgravii James przedstawiał różne propozycje, ale jego pomysły wciąż nie spełniały oczekiwań samych zainteresowanych. Im marzyło się coś podobnego do domu rodziców przy Eaton Square, James natomiast uważał, że „tak krawiec kraje, jak materii staje”, a więc powinni zacząć od czegoś skromniejszego. W końcu Susan uznała, że woli mieszkać z teściami w domu, który spełnia jej wymagania, niż godzić się na obniżenie standardów, i tak wypracowali swego rodzaju rytuał: James raz po raz wysuwał nowe propozycje, a Susan nieodmiennie je odrzucała.

– Z przyjemnością pozwolę wam wybrać coś wolnego przy Chester Row.

Susan zmarszczyła lekko nos, ale zaraz złagodziła swoją reakcję śmiechem.

– A nie jest tam trochę za ciasno?

Oliver prychnął.

– Susan ma rację. Te domy są za małe na przyjmowanie gości, a jako twój syn muszę trzymać poziom odpowiedni do mojej pozycji.

James dobrał sobie jagnięciny.

– Nie są ciaśniejsze niż pierwszy dom, w którym zamieszkaliśmy z matką.

Anna parsknęła śmiechem, co jeszcze bardziej rozdrażniło Olivera.

– Ja wychowałem się już w zupełnie innych warunkach. Może mam skłonności do życia w luksusie, ale to wy mi je wszczepiliście.

Oczywiście było w tym ziarno prawdy. Po cóż bowiem James upierałby się przy kształceniu syna w Charterhouse School i Cambridge, gdyby nie chciał wychować go na dżentelmena? W rzeczywistości małżeństwo Olivera z Susan Miller, córką zamożnego kupca, przyniosło Jamesowi rozczarowanie, gdyż liczył na coś więcej. Ale synowa była jedynaczką i w swoim czasie miał jej przypaść pokaźny spadek. Oczywiście, jeśli Miller nie zmieni zdania i nie zostawi córki na lodzie. James zauważył, że ojciec Susan, który zaraz po ślubie był dość hojny, teraz coraz mniej chętnie daje jej pieniądze. „Wydaje na same głupstwa” – zwierzył się kiedyś Jamesowi przy zakrapianym lunchu, i ten musiał się z nim zgodzić.

– Dobrze, dobrze. Zobaczmy, co się da zrobić. – James odłożył sztucę i lokaj zaczął zbierać talerze. – Cubitt ma jakiś ciekawy pomysł na Wyspę Psów.

– Wyspa Psów? Tam w ogóle coś jest? – Anna podziękowała uśmiechem lokajowi, który zabrał jej

talerz. Oczywiście James uważał takie gesty za poniżej swojej godności.

– Otwarcie Doków Zachodnio- i Wschodnioindyjskich diabelnie zmieniło sytuację... – Urwał, pochwyciwszy spojrzenie Anny, i poprawił się szybko: – ...bardzo zmieniło sytuację. Co dzień wyrasta jakaś nowa prymitywna buda, ale Cubitt uważa, że jeśli tylko ludziom godnym szacunku – nie tylko robotnikom, lecz także kierownictwu – zapewnimy jakieś porządne mieszkania, to możemy stworzyć solidną wspólnotę. To takie ekscytujące...

– Czy Oliver weźmie w tym udział? – spytała Susan z nadzieją w głosie.

– Zobaczymy.

– Oczywiście, że nie – burknął Oliver. – Czy mnie się kiedy wciąga do interesujących projektów?

– Zdaje się, że dziś nie wychodzi nam żaden temat. – James dolał sobie wina z karafki, którą trzymał przy swoim nakryciu. Niestety syn naprawdę nie spełniał jego nadziei i chyba zdawał sobie z tego sprawę, co nie ułatwiało wzajemnych stosunków.

Agnes zaczęła skamleć, więc Anna wzięła ją na ręce i ukryła między fałdami sukni.

– Większość następnego miesiąca spędzimy w Glanville – oznajmiła, chcąc poprawić atmosferę. – Mam nadzieję, że nas tam odwiedzicie, a ty, Susan, może zostaniesz na kilka dni?

Zapadła cisza. Glanville było ich posiadłością w Somerset. Ten przepiękny elżbietański dwór, który Anna uratowała od ruiny, Oliver przed swoim małżeństwem lubił najbardziej ze wszystkich domów, ale Susan miała inne pomysły.

– Przyjedziemy, jeśli nam się uda – odparła, błyskając uśmiechem. – To taki kawał drogi!

Wszyscy wiedzieli, że oprócz luksusowego domu w Londynie Susan marzyła się posiadłość pod miastem, do której dałoby się dojechać w ciągu kilku godzin. Najlepiej wielki nowoczesny dom ze wszystkimi wygodami. Zabytkowy, omszały dwór z żółtego wapienia z oknami o małych szybkach i nierównych błyszczących podłogach nie robił na niej wrażenia. Ale Anna pozostała niewzruszona. Za nic nie zrezygnowałaby z Glanville i James wcale tego po niej nie oczekiwał. Wiele razy próbowała przekonać syna i synową do uroków tego domostwa, ale w końcu, skoro Oliver go nie zechce, będzie musiała poszukać sobie innego dziedzica. I była na to całkowicie przygotowana.

Anna słusznie się domyślała, że służących ubawi relacja z ich rozmowy przy obiedzie. Wszyscy zrywali boki ze śmiechu, kiedy lokaje Billy i Morris opowiadali w jadalni dla służby, co działo się „na górze”. To znaczy, dopóki w progu nie stanął pan Turton.

– Mam nadzieję, że nie jest to popis lekceważenia – zauważył surowo.

– Nie, panie Turton – odrzekł Billy, ale jedna z pokojówek zaczęła chichotać.

– Państwo Trenchard płacą nam pensje, za co należy im się szacunek.

– Tak, panie Turton.

Chichoty ucichły, jeszcze zanim Turton zajął swoje miejsce przy dużym stole i wszyscy zaczęli jeść. Kamerdyner zwrócił się ściszym głosem do gospodyni, pani Frant, która jak zwykle siedziała tuż przy nim.

– To oczywiste, że nie są tymi, za których się uważają. Widać to zwłaszcza, kiedy są w swoim gronie.

Pani Frant była bardziej pobłażliwa w ocenach:

– Są szanowani, uprzejmi i uczciwi, panie Turton. Znałam o wiele gorszych pracodawców wśród utytułowanych rodzin – zauważyła, dobierając sobie sosu chrzanowego.

Kamerdyner jednak kręcił głową.

– Ja sympatyzuję z panem Oliverem. Wychowali go na dżentelmena, a teraz jakby mieli pretensje, że chce nim być. – Turton nie miał problemu z obowiązującym systemem społecznym, tylko ze swoim miejscem w jego ramach.

Z drugiego końca stołu zabrała głos kobieta o wyostrzonych rysach, ubrana w czarny strój osobistej pokojowej:

– Dlaczego pani Oliverowa nie może mieć domu odpowiedniego do przyjmowania gości? Przecież wniosła dość pieniędzy do tego małżeństwa. To niesprawiedliwie i nedorzecznie ze strony pana Trencharda, że próbuje wepchnąć ich do jakiejś króliczej nory, chociaż wszyscy wiemy, jak bardzo chce uchodzić za głowę wielkiego rodu.

– Nedorzecznie? To zbyt mocne słowo, panno Speer – zauważył Billy, ale pokojowa nawet mu nie odpowiedziała.

– To pani Trenchard sprowokowała młodą panią – wtrącił Morris.

– Jest tak samo zła jak on – poparła go panna Speer, biorąc z talerza wielką pajdę chleba z masłem.

Pani Frant miała jeszcze coś do dodania:

– Cóż, przykro mi to mówić, panno Speer, chociaż cieszę się, że uważa ją pani za dobrą chlebobawczynię... Niestety pani Oliverowej bardzo trudno dogodzić. Można by pomyśleć, że to jakaś infantka hiszpańska z tymi wszystkimi fumami i minami. Natomiast ze starszą panią Trenchard nigdy nie ma żadnych problemów. Jest bezpośrednia, jasno wyraża swoje życzenia i naprawdę nie mam powodu się skarżyć. – Gospodyni z coraz większym zapalem broniła swoich pracodawców. – A co do żądań młodych państwa, którzy domagają się większych i wspanialszych domów czy posiadłości... to chcę wiedzieć jedno: co pan Oliver zrobił, żeby na nie zarobić?

– Dżentelmeni nie zarabiają na swoje domy, pani Frant. Oni je dziedziczą.

– Mamy różne spojrzenie na te sprawy, panie Turton, więc lepiej na tym poprzestańmy.

Panna Ellis, pokojowa pani Trenchard, nie mogła nie zgodzić się z kamerdynerem:

– Pan Turton ma rację. Pan Oliver chce tylko żyć na przyzwoitym poziomie, więc co w tym złego? Pochwalam jego wysiłki w tym kierunku. Ale musimy też mieć trochę wyrozumienia dla starszego pana. Taka sztuczka nie może się udać w jednym pokoleniu.

Turton pokiwał głową, jak gdyby uznał to za dowód swoich racji.

– I tu się z panią zgadzam, panno Ellis.

Po czym rozmowa zesłała na inne tematy.

– Oczywiście, że jej nie powiesz! Co ci przyszło do głowy? – James Trenchard z największym wysiłkiem powstrzymywał się od wybuchu. Znajdował się w pokoju żony, gdzie zwykle spędzał noce, chociaż miał też na tym samym piętrze własną sypialnię z garderobą; słyszał, że taka moda panuje teraz wśród małżeństw z wyższych sfer.

Pokój Anny również był wysoki i przestronny, o bladoróżowych ścianach, z kwiecistymi zasłonami z jedwabiu, ale apartamenty Jamesa mogłyby uchodzić za prywatne komnaty cesarza. Podobnie jak wszystkie pokoje, które pani Trenchard urządzała według własnego gustu, sypialnia prezentowała się przyjemnie, lecz bez wielkiego przepychu. Teraz Anna leżała już w łóżku i byli z mężem sami.

– Ale czy to nie jest mój obowiązek?

– Jaki obowiązek? Sama opowiadałaś, jak niegrzecznie cię potraktowała.

– No tak, ale to skomplikowana sprawa. Cała ta sytuacja... Ona świetnie wiedziała i kim jestem, i to, że jej syn był zakochany w naszej córce. Dlaczego nie miałyby poznać prawdy? Czy jej siostra musi zachować ten sekret dla siebie?

– To dlaczego nie przyznała tego od razu?

– Wiem, zgadzam się z tobą. Ale może najpierw próbowała wy badać, jaką jestem osobą?

– Wygląda, że nadal nie chce tego przyjąć do wiadomości.

– Gdyby wiedziała o tym w swoim czasie, pewnie zrobiłaby wszystko, by temu zapobiec.

– Jeszcze jeden powód, by trzymać ją w nieświadomości.

James zdjął jedwabny szlafrok i rzucił go ze złością na fotel.

Anna zamknęła książkę, odłożyła ją na sheratoński stolik przy łóżku i sięgnęła po gasidło do świec.

– Ale kiedy powiedziała z takim żalem: „Nikogo po sobie nie zostawimy”... Też byś zmiękł na moim miejscu.

– Chyba ci rozum odjęło! Co nam przyjdzie z tego, że jej powiemy? Zrujnujemy tylko reputację Sophii, a sami zyskamy opinię skandalistów.

Anna poczuła wzbierający gniew.

– I dlatego ci się to nie podoba. Bo jakaś lady mogłaby kręcić na ciebie nosem, wiedząc, że twoja córka nie była lepsza od niej!

Oburzyły go te słowa.

– Rozumiem. A ty nie masz nic przeciwko temu, że Sophię zapamiętają jako ladacznicę?

To uciszyło ją na chwilę. Potem odezwała się już znacznie spokojniejszym tonem:

– Oczywiście jest takie ryzyko, ale poprosiłabym ją o zachowanie sekretu. Wiem, nie mogłabym jej zmusić, ale i tak nie mamy prawa nie zawiadomić jej, że ma wnuka.

– Siedzieliśmy cicho ponad ćwierć wieku...

– Ale nie znaliśmy rodziców lorda, a teraz znamy. Przynajmniej ja znam jego matkę.

James położył się do łóżka i zdmuchnął świecę.



– Zabraniam ci – rzekł, obracając się plecami do żony. – Nie pozwolę szargać pamięci naszej córki, a już na pewno nie pozwolę, żeby robiła to jej własna matka. I zabierz stąd tego psa.

Anna zrozumiała, że nie ma sensu kłócić się dalej, więc zgasiła ostrożnie świecę po swojej stronie, podciągnęła przykrycie i przytuliła Agnes. Ale sen długo jeszcze nie nadchodził.

Zanim Sophia zdążyła im powiedzieć, rodzina wróciła do Anglii. Następstwa bitwy jeszcze przez kilka tygodni kosztowały Jamesa wiele wysiłku, ale w końcu przywiózł ich wszystkich do domu w Kennington, który wprawdzie okazał się lepszy od poprzedniego, ale absolutnie nie mógł uchodzić za ostatni krzyk mody. Pan Trenchard nadal zajmował się dostawami żywności dla wojska, chociaż zaopatrzenie w czasach pokoju nie wiązało się z takimi wyzwaniem jak w dramacie wojny i wkrótce dla Anny stało się jasne, że jej mąż zaczyna się nudzić. Nudziła go sama praca, środowisko, w którym się obracał, a nade wszystko brak perspektyw rozwoju. Potem zauważył, że w Londynie rozkwita budownictwo. Zwycięstwo nad Napoleonem i pokój, który po nim nastąpił, sprawiły, że zaczęto ufniej patrzeć w przyszłość. Postać francuskiego cesarza przez dwadzieścia lat rzucała cień na cały naród, i to bardziej, niż sobie uświadamiał. Teraz jednak groźny przeciwnik został zesłany na daleką wyspę na południu Atlantyku i tym razem pewnie już nie wróci. Europa odzyskała wolność i nadszedł czas, by pomyśleć o przyszłości. Tak więc pewnego dnia James wrócił do domu zarumieniony z podniecenia. Anna właśnie sprawdzała z kucharką stan zapasów. Nie musiała tego robić; ich dochody wzrosły na tyle, że mogli sobie pozwolić na zmianę stylu życia, i James ciągle jej o tym przypominał. Widok żony w fartuszkach przebierającej jarzyny nigdy nie sprawiał mu przyjemności, a szczególnie teraz, kiedy stale szedł w górę i czasy brukselskie dawno miał za sobą. Tego wieczoru jednak nic nie mogło mu popsuć dobrego humoru.

– Poznałem absolutnie niezwykłego człowieka.

– Tak? – Anna przyglądała się etykietce na mące: była pewna, że jest błędna.

– Chce przebudować Londyn.

Anna jeszcze o tym nie wiedziała, ale mąż miał rację. Thomas Cubitt, dawny cieśla okrętowy, wymyślił nowy sposób kierowania procesem budowy. W swoim przedsiębiorstwie zatrudnił przedstawicieli wszystkich związanych z tym rzemiosł: murarzy, tynkarzy, dekarzy, hydraulików, cieśli, kamieniarzy, malarzy. Ludzie odpowiedzialni za wykonanie zadania mieliby do czynienia wyłącznie z Cubitem i jego bratem Williamem, którzy zapewniali im wszystkie potrzebne materiały oraz narzędzia.

– No czy to nie genialne?

Anna rzeczywiście dostrzegała sporo zalet w tym systemie. Może i miał przed sobą przyszłość, ale czy z tego powodu James powinien rzucać swoją stabilną pozycję? Przecież w ogóle się na tym nie znał. A jednak z czasem rozumiała, że mąż nie da się odwieść od swojego zamiaru.

– On właśnie buduje nową siedzibę London Institution przy Finsbury Circus. Potrzebuje wsparcia finansowego i kogoś do pilnowania dostawców.

– A ty przez całe życie nie robisz nic innego.

– No właśnie!

I tak to się zaczęło. Narodził się przedsiębiorca budowlany James Trenchard i wszystko szłoby jak po maśle, gdyby ledwie miesiąc później Sophia nie podłożyła im bomby.

Tego ranka przyszła do pokoju matki i usiadła na łóżku, czekając w milczeniu, aż Ellis skończy układać swojej pani włosy. Siedząca przed lustrem Anna czuła, że coś nadciąga i że to coś poważnego, ale wcale się jej do tego nie spieszyło. W końcu jednak pogodziła się z nieuniknionym.

– Dziękuję, Ellis, możesz odejść.

Pokojowa oczywiście była ciekawa nawet bardziej niż jej pani, ale posłusznie zgarnęła bieliznę do prania i zamknęła za sobą drzwi.

– No więc?

Sophia podniosła na nią wzrok i westchnęła ciężko.

– Będę miała dziecko.

Annę jeszcze w dzieciństwie kucyk kopnął w żołądek. Te słowa przypomniały jej, jak się wtedy czuła.

– Kiedy?

Pytanie, zważywszy na okoliczności, zabrzmiało zaskakująco rzeczowo, ale przecież nie będzie krzyzczyć i rzucać się na podłogę, chociaż ta wizja bardzo ją pociągała.

– W końcu lutego. Tak myślę.

– Nie wiesz na pewno?

– W końcu lutego.

Anna policzyła w myśli wstecz.

– Mam za to podziękować lordowi Bellasisowi?

Sophia przytaknęła.

– Ach, ty głupia dziewczyno!

Córka znów się z nią zgodziła. Najwyraźniej nie stać jej było na opór.

– Jak to się stało?

– Myślałam, że jesteśmy małżeństwem.

Anna o mało nie parsknęła śmiechem. Co za bzdurę wmówiono jej córce?

– Ale tak nie było?

– Nie.

– No oczywiście, że nie. To przecież nieprawdopodobne. – Jak Sophia mogła być na tyle głupia, by uwierzyć, że Bellasis naprawdę zechce ją poślubić? Nagle ogarnęła ją fala złości na Jamesa. To on córkę zachęcał. On ją przekonywał, że niemożliwe jest możliwe.

– Opowiedz mi wszystko.

Historia brzmiała zupełnie znajomo. Bellasis przysięgał, że kocha, i namówił Sophię na ślub przed swoim powrotem do walki. Na wieść, że Napoleon maszeruje na Paryż, ubłagał ją, by pozwoliła mu

zorganizować ceremonię, która z początku miała być trzymana w tajemnicy i dopiero w stosownym czasie ujawniona jego rodzicom. Tak czy inaczej, Sophia miała dostać świadectwo ślubu, więc gdyby Bellasisowi coś się stało, mogłaby w razie potrzeby żądać opieki ze strony Brockenhurstów.

– A nie wiedziałaś, że bez zgody ojca małżeństwo będzie nieważne? Miałaś osiemnaście lat! – Chciała wzbudzić w córce jeszcze większe wyrzuty sumienia, ale ta spojrzała jej spokojnie w oczy.

– Papa się zgodził.

Kucyk kopnął Annę po raz kolejny. Jej mąż pomógł temu mężczyźnie uwieść własną córkę? Zawrzała takim gniewem, że gdyby James stanął w tej chwili w drzwiach, chyba wydrapałaby mu oczy.

– Twój ojciec o tym wiedział?

– Wiedział, że Edmund chce mnie poślubić przed powrotem do regimentu. I dał na to zgodę. – Sophia wzięła głęboki oddech. Mimo wszystko poczuła ulgę, że sprawa się wydała. Miała już dość dźwigania swojego brzemienia w samotności. – Edmund powiedział, że znalazł pastora, który udzieli nam ślubu... i ceremonia się odbyła w jednej z kaplic polowych. Potem ten pastor wypisał nam świadectwo i wtedy... wtedy to się stało.

– Rozumiem, że małżeństwo okazało się nieważne?

– Tak. Nawet przez moment tego nie podejrzewałam. Edmund zapewniał mnie o swojej miłości, snuł plany na przyszłość i tak trwało aż do naszego wyjścia z balu.

– A kiedy odkryłaś prawdę?

Sophia podeszła do okna. Na dole jej ojciec wsiadał akurat do powozu. Cieszyła się, że nie ma go w domu i matka będzie miała czas ochłonać. A także obmyślić jakiś plan.

– Kiedy wyszliśmy na ulicę, zobaczyłam grupkę oficerów na koniach. Wszyscy byli w mundurach pięćdziesiątego drugiego regimentu lekkiej piechoty z Oxfordshire... regimentu Edmunda...

– I?

– Jeden z nich okazał się tym „duchownym”, który dał nam ślub. Więc sama widzisz. – Westchnęła ciężko. – To był oficer, przyjaciel Edmunda. Po prostu obrócił sobie kołnierzyk tyłem naprzód, żeby mnie oszukać.

– Coś ci powiedział?

– W ogóle mnie nie widział, a jeśli nawet, to udał, że nie widzi. Stałam daleko, a kiedy go rozpoznałam, to oczywiście się cofnęłam.

Anna pokiwała głową. Nagle cała ta scena po wyjściu z domu księżnej nabrała dla niej sensu.

– Teraz rozumiem, czemu tak strasznie płakałaś. Wtedy myślałam, że to z powodu wyjazdu lorda Bellasisa na wojnę.

– Ledwie zobaczyłam tego człowieka, zrozumiałam, że wpadłam w pułapkę. Edmund wcale mnie nie kochał i nie czekała mnie żadna świetlana przyszłość. Byłam głupią dziewczyną, którą potraktowano jak ulicznicę, oszukano i wykorzystano. Gdyby Edmund przeżył, skończyłabym w rynsztoku, co jego zdaniem słusznie by mi się należało. – W świetle dziennym twarz Sophii

wydawała się zupełnie dojrzała, a gorycz, którą przesiąkły jej słowa, dodała dziewczynie co najmniej dziesięć lat.

– Kiedy się dowiedziałaś, że będziesz miała dziecko?

– Trudno powiedzieć. Zaczęłam podejrzewać już po miesiącu, ale nie chciałam tego przyznać, dopóki nie było już sensu zaprzeczać. Edmund zginął, a ja jak jakaś idiotka dalej udawałam, że nic się nie stało. Sama nie wiedziałam, co robię, po prostu odchodziłam od zmysłów z rozpacz. Przyznaję, brałam jakieś głupie środki, nawet zapłaciłam Cygance pięć funtów za coś, co na pewno było tylko wodą z cukrem. Nic to wszystko nie dało. Nadal jestem *enceinte*.

– Co powiedziałaś ojcu?

– Że zostałam oszukana. Powiedziałam mu jeszcze w Brukseli, tego dnia, kiedy zawiadomił mnie o śmierci Edmunda. Ale uważa, że już się z tego otrząsnęłam.

– Musimy ułożyć jakiś plan.

Anna Trenchard była kobietą praktyczną. Do jej głównych zalet należało to, że nigdy nie rozwodziła się nad katastrofą, tylko od razu szukała lekarstwa na to, co dało się uleczyć, a to, czego się nie dało, po prostu przyjmowała do wiadomości. Córkę trzeba natychmiast wywieźć z Londynu. Może się „rozchorować” albo wyjechać do „krewnej, która wymaga opieki”, w każdym razie do końca dnia wymyśli się stosowną historyjkę. Sophia jest pewnie co najmniej w czwartym miesiącu i teraz Anna rzeczywiście widziała jej zmienioną figurę. Na razie ledwie dostrzegalnie, ale to już długo nie potrwa, więc nie ma czasu do stracenia.

Kiedy James po powrocie z pracy zastał w swoim gabinecie żonę, ta nie potraktowała go zbyt uprzejmie:

– Nie przyszło ci do głowy, aby się mnie poradzić? Bogaty lord proponuje sekretne małżeństwo pięknej osiemnastoletniej dziewczynie z kompletnie nieodpowiedniej dla niego sfery, ślub daje jakiś podejrzany pastor, a ty nawet nie porozmawiasz z nikim o jego motywach? – Anna ledwie wstrzymywała się od krzyku.

James tylko kiwał głową. Sam roztrząsał to już dostatecznie często.

– To się wydaje takie oczywiste teraz, kiedy o tym mówisz... Ale Bellasis sprawiał takie dobre wrażenie i był naprawdę zakochany...

– Myślisz, że zwierzyłby ci się z zamiaru uwiedzenia twojej córki?

– Pewnie nie.

Prawie go opluła.

– Złamałeś jej życie już w chwili, gdy dałeś zgodę.

Przez twarz Jamesa przebiegł skurcz.

– Proszę cię, Anno. Myślisz, że tego nie żałuję?

– Myślę, że teraz pożałujesz jeszcze bardziej.

W swoim czasie Annie zrobiło się przykro, że tak bardzo obwiniła swojego męża za błąd Sophii.

Bo kiedy dziewczyna umarła przy porodzie, przypomniał sobie ten zarzut i uznał śmierć córki za własną winę, karę za próżność, ambicje i wysokie mniemanie o sobie. Nie wyleczyło go to z owych wad, ale wyrzuty sumienia już nigdy go nie opuściły.

Nic nie zapowiadało nieszczęścia, ale też, jak mówił lekarz, zwykle tak bywa. Anna i Sophia wyjechały do Derbyshire, gdzie wynajęły skromny dom na obrzeżach Bakewell. Podążyły za panią Casson z córką, panią Blake, wdową po żołnierzu spod Waterloo. Nie miały w tamtej okolicy przyjaciół ani znajomych, ale i tak nie widywały się z nikim i prowadziły bardzo proste życie. Nie wzięły z sobą pokojowych, toteż Ellis i Croft aż do ich powrotu nie pobierały pensji, poprzestając na zakwaterowaniu i wikcie. Czy interesowało je, co się dzieje z panią i panienką? Tego Anna nie wiedziała, w każdym razie, jak przystało na profesjonalne służące, nigdy się z tym nie zdradziły.

Matka i córka nie czuły się pokrzywdzone na swoim zesłaniu. Życie upływało im dość przyjemnie, dużo czytały i spacerowały po parku w Chatsworth. Po zasięgnięciu informacji wpisały się na listę pacjentek renomowanego lekarza, doktora Smileya, który zdawał się zadowolony z rozwoju ciąży Sophii. Z czasem Anna zaczęła podejrzewać, że doktor Smiley zna prawdę, a przynajmniej domyśla się, iż występują pod fałszywym nazwiskiem, ale dobre maniery nie pozwalają mu na zadawanie pytań.

Jeszcze przed ich wyjazdem z Londynu James znalazł dla dziecka odpowiedni dom. Nawet Sophia zdawała sobie sprawę, że nie będzie mogła go zatrzymać. Niemowlę musi mieć zapewnioną właściwą opiekę, nazwisko, wykształcenie, ale nie może poznać swojego prawdziwego pochodzenia. Żadne z nich nie chciało szargać nazwiska Sophii, poza tym Anna wiedziała, że jej mąż obawia się, czy jego aspiracje do lepszego świata nie zostaną przekreślone przez skandal. Gdyby to ich syn został ojcem bękarta, sytuacja byłaby zupełnie inna, ale córce nigdy by nie wybaczone takiej zbrodni. James działał szybko i z pomocą kompanijnych szpiegów dotarł do pewnego duchownego, Benjamina Pope'a, który urodzony jako dżentelmen, żył z żoną na tyle biednie, że dodatkowy dochód wielce by mu się przydał. Co więcej, para nie miała dzieci i bardzo nad tym ubolewała. Sophia, kiedy jej wszystko wyjaśniono, z żalem przyjęła propozycję. Jamesowi pozostało więc tylko zawrzeć ostateczną umowę z panem Pope'em, który zgodził się adoptować niemowlę jako „dziecko zmarłej kuzynki”. Miał za to dostać sporą sumę, dzięki której cała trójka będzie mogła żyć na poziomie, a dziecko otrzyma stosowne wykształcenie. Z jego postępów będzie składał panu Trenchardowi regularne sprawozdania i wysyłał je na adres biura z zaznaczeniem „do rąk własnych”.

Tymczasem doktor Smiley zatrudnił doświadczoną akuszerkę i poczyniwszy wszelkie przygotowania, przyjechał do domu nadzorować poród. Wszystko zapowiadało się świetnie. Ale na końcu, kiedy chłopiec był już na świecie, lekarz nie potrafił zatamować krwotoku. Anna nigdy w życiu nie widziała tyle krwi. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko trzymać Sopię za rękę i zapewniać ją, że to zaraz przejdzie i że nic złego się nie dzieje. Nigdy nie zapomni, jak siedziała przy niej, kłamiąc jak z nut, dopóki jej córka nie umarła.

Potem przez całe tygodnie nie mogła patrzeć na dziecko, chłopczyka, który zabił swoją matkę. Doktor Smiley znalazł mamkę i wspólnymi siłami sprawili, że malec przeżył, ale Anna nadal tkwiła w uporze. Zaraz po przyjeździe zatrudniła służącą i kucharkę, więc życie toczyło się dalej, z pustymi

dniami, nietkniętymi posiłkami, a ona wciąż nie potrafiła się przemóc. W końcu pewnego wieczoru doktor Smiley wszedł do saloniku, gdzie przesiadywała z książką w ręku, patrząc bezmyślnie w ogień, i uświadomił jej łagodnie, że to dziecko jest wszystkim, co zostało po Sophii. Dopiero wtedy zdecydowała się wziąć maleństwo na ręce, a potem już mało brakowało, by nie dała go sobie odebrać.

Często się później zastanawiała, czy gdyby wcześniej nauczyła się kochać wnuczka, próbowałyby zmienić plan i zechciała wychować go sama. Ale James raczej by się na to nie zgodził, a ponieważ umowa została sfinalizowana, trudno byłoby się wycofać. Ostatecznie dom w Bakewell zamknięto i Anna wyruszyła w drogę razem z piastunką, która miała odwieźć niemowlę do nowego domu. Po wypłaceniu jej należności życie wróciło do normalnego trybu... ale bez Sophii. Nastąpiło łzawe rozstanie z Croft, której usług już nie potrzebowano. Anna dała jej na pożegnanie wysoką premię, bo zależało jej, by pokojówka nie próbowała dociekać przyczyny śmierci swojej młodej pani. Być może i tak domyślała się prawdy. Trudno ukryć ciążę przed osobistą pokojówką.

Minęły lata. Pierwotny plan zakładał, że Charles zostanie duchownym, i kształcono go w tym kierunku, dopóki nie zaczął dorastać. Już w wieku kilkunastu lat zdradzał talent do matematyki, a wkroczywszy w wiek dojrzały, oświadczył, że chce spróbować szczęścia w City. Nie mogło to nie pochlebiać Jamesowi, który uznał, że oto doszła do głosu jego własna krew, ale Trenchardowie nadal nie poznali swojego wnuka osobiście. Mogli tylko wyrobić sobie o nim zdanie na podstawie raportów wielebnego Pope'a. Prawdę rzekłszy, James aż rwał się do pomocy młodemu człowiekowi, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać, nie otwierając puszek Pandory, czyli nie ujawniając prawdy o jego pochodzeniu. Dlatego trzymali się z boku, wypłacając mu tylko skromną pensyjkę, którą pan Pope nazywał darowizną od „życzliwej osoby”. Żyli teraz od listu do listu, te zaś pastor Pope przysyłał cztery razy w roku z regularnością zegarka. Przynajmniej mieli pewność, że chłopcu jest dobrze, nic nie wskazywało, że jest inaczej. Zgodnie z ich życzeniem powiedziano mu tyle, że jego ojciec poległ w bitwie, matka zaś umarła przy porodzie, i z tego powodu został adoptowany. Wydawało się, że przyjął to do wiadomości, Pope'owie z czasem bardzo go polubili, więc niby nie było powodu do obaw, ale... jak Anna powtarzała sobie w bezsenne noce, fakt pozostawał faktem: mieli wnuka i nawet go nie znali.

A teraz wkroczyła na scenę lady Brockenhurst i jeszcze bardziej wszystko skomplikowała. Anna mogła nie znać Charlesa Pope'a, ale przynajmniej wiedziała o jego istnieniu i o tym, że jej córka nie zniknęła z tego świata, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Lady Brockenhurst prawie płakała, mówiąc, że nie mają z mężem dziedzica, gdy tymczasem Anna tak łatwo mogłaby ją pocieszyć wiadomością, że jej syn został ojcem zdrowego, obiecującego młodzieńca. Oczywiście James nigdy by jej na to nie pozwolił. Częściowo z powodów, których nie pochwalala, ale także dlatego, aby chronić dobre imię ich zmarłej córki, a z tym musiała się liczyć. I tak mijała godzina za godziną przy chrapiącym u jej boku mężu, ona zaś nadal nie widziała rozwiązania, aż wreszcie zapadła w niespokojny sen, po którym rano obudziła się zmęczona.

Dopiero po miesiącu takich bezsennych, pełnych smutku nocy Anna zdecydowała się na działanie.

Nie lubiła lady Brockenhurst, słabo ją znała, ale nie mogła dalej żyć z brzemieniem takiego sekretu. Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że gdyby ich role się odwróciły i to lady Brockenhurst nie podzieliłaby się z nią tego rodzaju wiadomością, nie wybaczyłaby jej do końca życia. Dlatego pewnego dnia zasiadła przy swoim ślicznym biurczku we własnym saloniku na drugim piętrze i napisała, co następuje:

*Wielmożna Pani Hrabino,*

*chciałabym złożyć Pani wizytę w dogodnym dla Niej czasie. Będę wdzięczna, jeśli znajdzie Pani chwilę, w której mogłybyśmy porozmawiać w cztery oczy.*

Nietrudno było ustalić adres domu przy Belgrave Square, ponieważ to jej mąż go budował. Anna złożyła papier, zapieczętowała go, wypisała adres i osobiście poszła przekazać go posłańcowi. Pewnie pokojowa dostarczyłaby list w dziesięć minut, ale Anna nie chciała, aby wszystkie jej sprawy omawiano „na dole”.

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Rano znalazła ją na tacy ze śniadaniem, którą Ellis postawiła na łóżku.

– To przyniósł jakiś lokaj, psze pani.

– Czy coś powiedział?

– Nie, psze pani, po prostu podał i odszedł.

Naturalnie to pytanie tylko podsyciło ciekawość Ellis, ale Anna nie zamierzała się z niczym zdradzać. Wzięła z tacy srebrny nożyk i rozcięła kopertę. Arkusik grubego kremowego papieru, z literą *B* pod hrabiowską koroną, zawierał tylko dwa zdania:

*Proszę przyjść dzisiaj o czwartej. Będziemy same przez pół godziny.*

*CB*

Postanowiła nie brać powozu. Lady Brockenhurst raczej by tego nie pochwaliła, ale Anna nie życzyła sobie żadnych świadków. Dzień był dość przyjemny, a droga niezbyt długa. Co więcej, nie zadzwoniła nawet po pokojówkę, żeby pomogła jej z peleryną i kapeluszem. Po prostu za dwadzieścia czwarta udała się do swojego pokoju, sama włożyła okrycie i zeszła na dół. Drzwi przytrzymał jej lokaj, więc nie udało się utrzymać eskapady w całkowitej tajemnicy, ale czy w ich życiu coś takiego w ogóle jest dziś możliwe, skoro odkąd się obudzą, śledzą ich ciekawskie oczy?

Już na ulicy żałowała przez chwilę, że nie wzięła na spacer Agnes, lecz po namyśle uznała, że to tylko skomplikowałyby sprawy. Niebo od rana wprawdzie nieco pociemniało, ale Anna się tym nie przejęła. Skręciła w lewo, potem przy Belgrave Place jeszcze raz w lewo i po kwadransie od wyjścia z domu stanęła przed Brockenhurst House. Wielka rezydencja, jeden z trzech wolno stojących pałaców przy skwerze, zajmowała cały róg między Upper Belgrave Street a Chapel Street. Anna wahała się przez chwilę, gdy nagle zauważyła, że obserwuje ją lokaj podpierający ścianę przy wejściu. Wyprostowała się i ruszyła prosto do drzwi frontowych. Otworzyły się, zanim zdążyła

pociągając za dzwonek, i kolejny lokaj w liberii zaprosił ją do środka.

– Jestem Jamesowa Trenchard.

– Jaśnie pani czeka – padła odpowiedź w dziwnie neutralnym tonie, niewyrażającym ani zachęty, ani dezaprobaty, typowa dla doświadczonego służącego. – Jest w salonie, pozwoli pani za mną.

Anna zdjęła pelerynę, którą lokaj odłożył na jedną ze złoconych sof w holu, po czym ruszyła za nim po szerokich schodach z zielonego marmuru. Na szczycie otworzył podwójne drzwi i zaanonsował:

– Pani Trenchard.

Następnie wycofał się, zostawiając Annę przed ogromną połacią kolorowego dywanu Savonnerie, by już sama podeszła do kominka, przy którym siedziała hrabina.

– Proszę wejść, pani Trenchard, i usiąść tu przy mnie. Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani ogień w środku lata. Mnie niestety zawsze jest zimno. – Anna uznała to powitanie za względnie przyjazne.

Usiadła naprzeciwko gospodyni, na pokrytej adamaszkiem berżerce w stylu Ludwika XV. Nad kominkiem wisiał portret jakiejś pięknej damy w stylu z poprzedniego stulecia, z wysoko upiętymi pudrowanymi włosami i w koronkowej wydekoltowanej krynolinie. Z lekkim zdziwieniem skonstatowała, że ma przed sobą portret samej lady Brockenhurst.

– To Beechey<sup>[8]</sup> – poinformowała ją hrabina, tłumiąc chichot. – Namalował mnie w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym drugim, zaraz po ślubie. Miałam wtedy siedemnaście lat. Mówiono wówczas, że jest duże podobieństwo, ale dzisiaj nikt by już mnie nie rozpoznał.

– Ja panią rozpoznałam.

– Zaskoczyła mnie pani... – Wyraźnie czekała na pierwszy krok; w końcu to Anna poprosiła o spotkanie.

Nie miało sensu kluczyć wokół tematu. Nadszedł właściwy moment.

– Lady Brockenhurst, wydaje mi się, że jestem w posiadaniu pewnego sekretu i chociaż przysięgłam mężowi nigdy go nie wyjawić... Bo naprawdę byłby bardzo zły, gdyby się dowiedział, że tu przyszłam... – Urwała. Zupełnie nie mogła skleić odpowiedniego zdania.

Lady Brockenhurst nie miała najmniejszego zamiaru dać się wciągnąć w zawilóści małżeńskiego życia Trenchardów. Zapytała więc krótko:

– Tak?

Wbrew samej sobie Anna była pod wrażeniem mocy, jaka biła z postawy pani domu. Musiała już wydedukować, że zaraz wyjdzie na jaw coś porażającego, ale minę miała taką, jakby przyjmowała u siebie żonę pastora.

– Tamtego dnia powiedziała pani, że nikogo państwo po sobie nie zostawią.

– Istotnie.

– No więc... to nie do końca jest prawda.

Lady Brockenhurst ledwie dostrzegalnie zeszywniała. Nareszcie Annie udało się pozyskać całą jej uwagę.



– Sophia, zanim umarła, urodziła dziecko, chłopca. Syna lorda Bellasisa.

W tym momencie wielkie podwójne drzwi otworzyły się na oścież i dwóch lokajów wniosło tace z zastawą do herbaty. Następnie przysunęli stolik, nakryli go obrusem i zaczęli wszystko ustawiać, podobnie jak odbywało się to u księżnej Bedford.

– Spodobał mi się ten zwyczaj bardziej, niż wtedy przypuszczałam – rzekła hrabina z uśmiechem – toteż wprowadziłam go także u siebie: codziennie około czwartej. Jestem pewna, że wkrótce się upowszechni. – Anna przyznała jej rację i przez chwilę, dopóki służący się krzątali, rozmowa oscylowała wokół zalet lekkiego posiłku przy herbacie. – Dziękuję, Peter, dziś poradzimy sobie same.

Annie wydało się, że zanim lokaje wyszli, upłynął cały wiek, a one obie niemal fizycznie mocno się postarzały.

Lady Brockenhurst naląła do filiżanek herbaty i jedną podała gościowi.

– Gdzie jest teraz ten chłopiec? – Nie zdradzała ani ekscytacji, ani odrazy. Nie zdradzała w ogóle żadnych uczuć. Jak zawsze.

– W Londynie... i to nie jest już chłopiec, tylko dorosły mężczyzna. Ostatniego dnia lutego skończył dwadzieścia pięć lat. Pracuje w City.

– Jaki on jest? Dobrze go państwo znają?

– W ogóle go nie znamy. Zaraz po urodzeniu mąż umieścił go w rodzinie pewnego duchownego nazwiskiem Pope. I występuje teraz pod nazwiskiem Charles Pope. Nigdy nie przyszło nam do głowy, by warto było ujawnić jego prawdziwe pochodzenie. On sam nic nie wie.

– Muszą państwo chronić pamięć córki. Biedactwo! Oczywiście, teraz rozumiem. Trzeba starać się nie obciążać jej winą, tylko raczej jej współczuć. Mówiła pani, że atmosfera w Brukseli przed bitwą była taka, że każdy mógł na chwilę stracić rozum.

Jeśli to miała być obrona Sophii, to nieskuteczna.

– Wcale jej nie obwiniam ani też ona nie straciła rozumu – odparła z całą stanowczością Anna. – Sophia myślała, że lord Bellasis ją poślubił. Ale jak się okazało, on jej tylko wmówił, że zawarli małżeństwo.

Tego lady Brockenhurst zupełnie się nie spodziewała.

– Słucham?

– Oszukał ją. Wyprowadził w pole. Powiedział, że przygotował wszystko do ślubu, a potem namówił kolegę oficera do odegrania roli duchownego. Sophia odkryła prawdę, kiedy już było za późno.

– Nie wierzę pani – odrzekła z absolutną, niewzruszoną pewnością hrabina.

Anna jednak ani myślała się poddać. Odstawiła filiżankę i ciągnęła rzeczowym, spokojnym tonem:

– Oczywiście wolno pani nie wierzyć, ale taka jest prawda. Zaraz po wyjściu z balu, zanim lord Bellasis odjechał do swojego regimentu, Sophia rozpoznała jego współnika. Tak zwany pastor śmiał się i żartował ze swoimi towarzyszami broni, w niczym nie przypominając duchownego. Dziewczyna

o mało nie zemdląca na ten widok.

Lady Brockenhurst także odstawiła filiżankę na spodek i wstała.

– Teraz wszystko rozumiem. Pani córka zastawiła po prostu sidła na mojego nieszczęsnego syna... niewątpliwie przy pomocy rodziców, a potem...

Anna przerwała jej ostro.

– Teraz to ja nie wierzę własnym uszom.

Ale lady Brockenhurst kontynuowała swój wywód z coraz większym zapałem:

– ...kiedy usłyszała, że on nie żyje, i okazało się, że na próżno dała się uwieść, wykoncypowała tę bajeczkę jako pretekst, gdyby doszło do najgorszego. Co zresztą nastąpiło.

Anna z trudem hamowała swoją wściekłość na tę zimną, bezduszną kobietę, na nieżyjącego lorda Bellasisa i na siebie samą... że mogła być aż tak ślepa.

– Chce pani powiedzieć, że lord Bellasis nie był zdolny do takiego postępku?

– Jestem o tym całkowicie przekonana. Nigdy w życiu nie wpadłby na ten pomysł. – Lady Brockenhurst dała się ponieść swojej roli. Stała się w tej chwili pomnikiem Oburzenia. Nie szanowała takich osób jak Anna, więc nie potrafiła spojrzeć na nią we właściwym świetle ani też jej osądzić. Ale Anna Trenchard miała w sobie nie mniej bojowego ducha niż jej przeciwniczka.

– Czy jego chrzestnym ojcem nie był lord Berkeley?

Od razu zauważyła, że to nazwisko podziałało na hrabinę tak, jakby wymierzyła jej policzek.

– Skąd pani o tym wie?

– Od samego lorda Bellasisa. Opowiedział mi, że kiedy lord Berkeley zmarł w tysiąc osiemset dziesiątym, jego najstarszemu synowi nie pozwolono używać tytułów, gdyż urodził się, zanim rodzice zawarli legalne małżeństwo, chociaż matka święcie w to wierzyła. Później się okazało, że lord namówił przyjaciela do odegrania roli pastora, żeby móc Bogu ducha winną dziewczynę zaciągnąć do łóżka. Z czasem poślubił ją naprawdę, ale dziecka uznać za prawe już nie mogli. Dobrze pani wie, że to prawda.

Lady Brockenhurst milczała.

– Dlatego – kontynuowała Anna – proszę mi nie wmawiać, że lord Bellasis nie mógł wpaść na taki pomysł.

Po przerwie taktycznej hrabina odzyskała rezon i zareagowała po swojemu. Posuwistym krokiem przemknęła do kominka i szarpnęła haftowaną taśmę dzwonka, ani na chwilę nie przestając mówić:

– Powiem tylko tyle: mój syn został uwiedziony przez nazbyt ambitną dziewczynę bez skrupułów, wspieraną przez równie ambitnych rodziców. Chciała wykorzystać chaos wojny, aby doprowadzić do związku, który zapewniłby jej awans ponad wszelkie wyobrażenia ojca. Ale się nie udało. Mój syn uczynił z niej swoją kochankę, temu nie przeczę, ale co z tego? Był młodym mężczyzną, a ona ładną ladacznicą, która zawróciła mu w głowie. I nie zamierzam za niego przeproszać, bo nic mnie to nie obchodzi. O, Peter. – Lokaj zjawił się na dźwięk dzwonka i czekał w otwartych drzwiach. – Pani Trenchard wychodzi, odprowadź ją na dół.

Oczywiście Annie nie wypadło przy nim odpowiadać, zresztą była tak wściekła, że nie wykrztusiłaby ani słowa. Skinęła tylko głową swojemu wrogowi, żeby nie dawać służącemu pola do domysłów, i ruszyła do drzwi. Ale lady Brockenhurst jeszcze z nią nie skończyła.

– To zabawne, myślałam, że ma pani dla mnie jakąś sentymentalną historyjkę o moim synu. Coś pocieszającego na temat jego ostatnich dni. Tak dobrze pani o nim mówiła przy naszym pierwszym spotkaniu!

Anna obróciła się w pół kroku.

– Mówiłam, jak zapisał mi się w pamięci przed tą nocą. Naprawdę lubiliśmy jego towarzystwo, a poza tym nie chciałam pani sprawiać przykrości. Ale popełniłam błąd. Powinnam była od razu zdobyć się na szczerość i wyznać pani prawdę. Jeśli to panią pocieszy, dodam jeszcze jedno: nikt nie był bardziej ode mnie zaskoczony, że lord Bellasis okazał się zdolny do takiej podłości. – Zatrzymała się jeszcze przy drzwiach, widząc, że lokaj przeszedł do galerii, i znowu są same. – Czy zachowa pani nasz sekret dla siebie? – Musiała zadać to pytanie, chociaż przejmowało ją wstrętem. – Da mi pani słowo honoru?

– Oczywiście, ma pani moje słowo. – Uśmiech hrabiny mógłby zamrozić wodę. – Po cóż miałabym rozgłaszać grzeszki mojego poległego syna?

Annie nie pozostało nic innego, jak przyznać, że pozwoliła lady Brockenhurst na ostatnie słowo. Zeszła z godnością ze schodów; dopiero na ulicy mogła dać upust całej przepełniającej ją złości.

— 3 —

Więzy rodzinne



Może Lymington Park nie był najstarszą siedzibą dynastii Bellasisów, ale bez wątpienia najokazalszą. Jako przedstawiciele klasy właścicieli ziemskich swoją karierę rozpoczęli od skromnego dworu w Leicestershire. Na początku XVII wieku, dzięki korzystnemu małżeństwu jednego z Bellasisów z pewną posażną dziedziczką, rodzina wzbogaciła się o posiadłość Hampshire, po czym z zadowoleniem przeniosła się na południe. Następnie w ogniu wojny domowej król Karol I zwrócił się do poddanych z rozpaczliwym apelem o wsparcie finansowe, a tym, którzy go udzielią, obiecał tytuł hrabiowski. I chociaż potem został stracony, jego syn po swoim triumfalnym powrocie na tron spełnił obietnicę ojca. Dopiero jednak drugi hrabia Brockenhurst uznał, że dotychczasowa siedziba nie odpowiada już jego pozycji. Na nową zaproponowano mu wielki palladiański pałac według projektu Williama Kenta<sup>[9]</sup>. Zamierzał przeznaczyć na budowę dochód z jakichś sensownych inwestycji z czasów wczesnego Cesarstwa, ale z powodu nagłego spadku ich wartości nigdy jej nie dokończył. Tak więc dopiero dziadek obecnego hrabiego zatrudnił w latach osiemdziesiątych XVIII wieku architekta George'a Steuarta<sup>[10]</sup>, któremu powierzył rozbudowę dworu. Nowej, znacznie wspanialszej rezydencji, która powstała w rezultacie, nie można by nazwać przytulną ani nawet wygodną, dawała jednak stosowny wyraz tradycji i wysokiego urzędu właściciela. Kiedy Peregrin Bellasis, piąty hrabia Brockenhurst, przemierzał wielki hol albo przesiadywał w bibliotece w otoczeniu wspaniałych ksiąg, z psami u stóp, albo siedł po schodach, mijając rząd portretów swoich przodków, czuł, że wszystko to razem stanowi właściwą scenerię życia szlachetnie urodzonych osób. Caroline, jego żona, znała się na prowadzeniu takiego domu i chociaż jej początkowy zapał umarł wraz ze śmiercią jej syna, potrafiła w razie potrzeby zrobić wrażenie i pokazać, kto gra pierwsze skrzypce w hrabstwie.

Tego jednak ranka jej myśli krążyły wokół innych spraw. Podziękowała pokojówce Dawson za tacę ze śniadaniem, którą ta ustawiła na jej kolanach, i nadal obserwowała przez okno stado danieli hasających z gracją po parku. Uśmiechnęła się lekko i na chwilę aż zastygła, zdumiona własnymi uczuciami.

– Czy wszystko w porządku, milady? – zaniepokoiła się Dawson.

– Tak, dziękuję. Zadzwoń, kiedy zechcę się ubrać.

Pokojówka skinęła głową i wyszła. Lady Brockenhurst ostrożnie naląła sobie kawy. Skąd ta lekkość na sercu? Czy to takie niezwykle, że ta mała harpia próbowała szantażować jej syna? Niewątpliwie to właśnie stało się przyczyną narodzin tego chłopca, a jednak... Zamknęła oczy. Edmund kochał Lymington. Już jako dziecko znał tu każdy zakątek. Można go było zostawić dosłownie wszędzie z zawiązanymi oczami, a bez pomocy odnalazłby drogę. Ale też zawsze miał tę pomoc zapewnioną, gdyż każdy stróż, dzierżawca czy pracownik nosił go w sercu. Caroline dobrze wiedziała, że ani jej, ani męża nie kochano w ich dobrach. Owszem, ludzie ich szanowali... w pewnym sensie. Ale nic poza tym. Uważano ich za zimnych, nieczułych, bezwzględnych i nawet

szorstkich, a jednak właśnie oni wydali na świat to cudowne dziecko. Tak zawsze myślała o Edmundzie: cudowny, złoty chłopiec, kochany przez wszystkich, którzy go znali. Przynajmniej taki obraz hołubiła w sobie przez te wszystkie puste, samotne lata, aż wreszcie utrwalił go werniks historii, a Caroline doszła do wniosku, że jako jedynej na świecie udało się jej urodzić idealnego syna. Oczywiście chcieli mieć więcej dzieci. Ale w końcu, po trojgu martwo urodzonych, tylko Edmund zamieszkał w dzieciennych pokojach na drugim piętrze. I całkowicie jej wystarczał. To znaczy tak sobie wmówiła, ale to prawda, wystarczał. W miarę jak dorastał, dzierżawcy i inni okoliczni mieszkańcy z utęsknieniem wyczekiwali dnia, w którym obejmie dziedzictwo. Wiedziała o tym i sama to powtarzała, nawet wbrew sobie. Był ich nadzieją na lepszą przyszłość i może nawet by im ją zapewnił. A teraz został tylko Peregrin i John. Czyli starzec niezainteresowany życiem, a po nim chciwy, egoistyczny fircyk, który będzie o nich dbał tyle co o zeszłoroczny śnieg. Jakie to smutne!

Tego ranka jednak Caroline czuła się inaczej. Rozglądając się po pokoju obitym bladzielonym prążkowanym jedwabiem, z wysokim lustrem w złożonych ramach nad kominkiem i serią sztychów na ścianach, zastanawiała się, co właściwie to sprawiło. Nagle, z pewnym zaskoczeniem, uświadomiła sobie, że jest... szczęśliwa, jak gdyby tego uczucia, tak dawno utraconego, nie potrafiła w pierwszej chwili rozpoznać. Ale taka była prawda: czuła się szczęśliwa, że jej syn pozostawił po sobie potomka. To oczywiście niczego nie zmieniało. Tytuł, posiadłość, dom w Londynie i wszystko inne nadal przypadną Johnowi, niemniej Edmund zostawił syna, więc czyż mieliby go nigdy nie poznać? Nie odnaleźć i w niczym mu nie pomóc? W końcu nie byłiby pierwszą utytułowaną rodziną, która pochwaliłaby się dzieckiem miłości. Bastardów zmarłego króla<sup>[11]</sup> młoda królowa przyjmowała na swoim dworze. Z pewnością oni także mogliby wydobyć wnuka z ukrycia. Być może znajdzie się dla niego jakaś nieruchomość niezwiązana majoratem. Wyobraźnia zaczęła zasypywać ją pomysłami. Czy ta nieznośna kobieta nie powiedziała, że chłopiec został wychowany przez duchownego, w szanowanej rodzinie, a nie przez nią i jej wulgarnego męża? Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że przeważają u niego cechy ojca, a nie matki. Może być nawet w jakimś stopniu dżentelmenem. Och, tak, dała słowo, że nie powie ani nie zrobi niczego, by prawda wyszła na jaw, ale czy koniecznie musi dotrzymywać słowa danego osobie w rodzaju tej Trenchard? Poruszyła się niespokojnie. Caroline Brockenhurst była kobietą zimną i do tego snobką – tyle mogła przyznać – ale nikt nie zarzuciłby jej nieuczciwości czy niegodnego zachowania. Nie może złamać obietnicy i okazać się kłamczuchą. Niemniej jakieś wyjście z tego labiryntu musi się znaleźć.

Kiedy zeszła na dół, lord Brockenhurst wciąż jeszcze siedział w jadalni, zagłębiając się w lekturze „Timesa”.

– Znosi się na to, że Peel<sup>[12]</sup> wygra wybory – oznajmił, nie podnosząc głowy. – Melbourne<sup>[13]</sup> chyba jest już na wylocie. Jej się to nie spodoba.

– Myślę, że faworytem księcia<sup>[14]</sup> jest sir Robert Peel.

– Całkiem możliwe. – Lord zgrzytnął zębami. – Przecież to Niemiec.

Lady Brockenhurst nie zamierzała kontynuować tej dyskusji.

– Pamiętaj, że na lunchu mają być Stephen i Grace?

– John także?

– Tak sędzę. Przecież z nimi mieszka.

– A niech to! – Nadal nie odrywał wzroku od gazety. – Pewnie chcą pieniędzy.

– Dziękuję, Jenkins. – Hrabina uśmiechnęła się do kamerdynera, który stał na baczność przy bufecie, a teraz uklonił się i wyszedł. – Doprawdy, Peregrinie, czy my już w ogóle nie możemy mieć sekretów?

– Nie musisz się martwić o Jenkinsa. Wie o naszej rodzinie więcej niż ja. – Jenkins rzeczywiście był dzieckiem Lymington: jako syn dzierżawcy wstąpił na służbę w wieku trzynastu lat. Z początku „chłopak do wszystkiego”, nigdy już nie opuścił ich domu, wspinając się na coraz wyższe szczeble, aż wylądował na stanowisku kamerdynera. Jego lojalność wobec klanu Bellasisów pozostała niewzruszona.

– Nie martwię się o Jenkinsa, tylko uważam, że nieładnie jest poddawać go próbie. Czy nam się to podoba czy nie, Stephen jest twoim bratem i dziedzicem. Powinien być traktowany z respektem, przynajmniej przy obcych.

– Ale nie w rodzinnym gronie, na Boga! Poza tym zostanie moim dziedzicem tylko wtedy, jeśli mnie przeżyje, a już ja dopilnuję, żeby do tego nie doszło.

– Ach, te słynne ostatnie słowa! – Została jednak w jadalni i wciągnęła męża w rozmowę na temat posiadłości. Zachowywała się przy tym tak przyjaźnie, jak nie zdarzało się jej od miesięcy czy nawet lat, a wszystko z powodu poczucia winy w związku ze sprawami, których nie poruszyła.

Ostatecznie czcigodny i wielebny Stephen Bellasis przybył ze swoją rodziną wcześniej, niedługo po dwunastej. Przy lunchu tłumaczył się zamiarem odbycia przed posiłkiem spaceru po ogrodach, ale Peregrin wiedział swoje: brat po prostu chciał go zdenerwować. W każdym razie nikt z Brockenhurstów nie czekał na krewnych w momencie ich przyjazdu.

Niższy i sporo tęższy od starszego brata Stephen Bellasis nie odziedziczył nic z wdzięku Brockenhurstów, w przeciwieństwie do bardzo atrakcyjnego w młodości Peregrina, nie wspominając o poległym w bitwie lordzie Bellasisie, którego męska uroda nieodmiennie przyciągała wzrok pań na sali balowej. Przeciwnie, na łysej czaszce Stephena z trudem trzymało się kilka siwych kosmyków, co rano starannie zaczesywanych na pożyczkę. Spod długich i zaskakująco bujnych wąsów wystawał miękki, słabo zarysowany podbródek.

Tuż za nim do wielkiego holu weszła jego żona Grace. Jako najstarsza z pięciu córek baroneta z Gloucestershire dorastała w przekonaniu, że zasługuje na coś lepszego niż otyły i ubogi „młodszy syn”. Ale przeceniła swoją wartość na małżeńskim rynku, zresztą matka wciąż jej powtarzała, że z tymi burymi oczami i cienkimi wargami nadaje się w sam raz dla drugiego syna. Wprawdzie urodzenie i edukacja dawały młodej Grace prawo do wyższych aspiracji, ale mierna uroda i skromny posąg szybko pozbawiły ją złudzeń.

Oddając lokajowi pelerynę, kapelusz i rękawiczki, podziwiała ogromny bukiet bzu u podnóża szerokich kamiennych schodów. Z przyjemnością wdychała słodką woń. Uwielbiała bzy, ich obfitość

w rodzinnym domu zawsze sprawiała jej niezmierną przyjemność, ale plebania była zbyt mała, by mogli sobie pozwolić na tak okazałą ekspozycję.

John Bellasis prawie deptał matce po piętach. Że też zawsze tak się wlecze, kiedy on nie może się doczekać szklaneczki czegoś mocniejszego! Wręczywszy laskę służącemu, udał się prosto do jadalni i pierwsze kroki skierował do srebrnej tacy z kolekcją karafek z rżniętego szkła, ustawionej po prawej stronie wielkiego marmurowego kominka. Nim Jenkins zdołał go dogonić, złapał jedną z nich, nalał sobie sporą porcję brandy i wypił ją jednym haustem.

– Dziękuję, Jenkins – zwrócił się do kamerdynera. – Możesz mi nalać następną.

Jenkins sięgnął po małą nieotwartą butelkę.

– Życzy pan sobie wody sodowej?

– Tak.

Kamerdyner nawet nie mrugnął okiem. Znał dobrze zwyczaje pana Johna. Napełnił szklaneczkę brandy, tym razem zmieszaną z wodą sodową, i podał mu ją na srebrnej tacce. John wziął drinka i wrócił do rodziców, którzy rozgościli się już w dużym salonie po przeciwnej stronie holu. Na jego widok przerwali rozmowę.

– Tu jesteś! – zawołała Grace. – Zastanawialiśmy się, co się z tobą stało.

– Chętnie ci powiem, co się ze mną stanie – odparł, przykładając czoło do chłodnej szyby i wpatrując się w przestrzeń parku – jeśli zaraz nie dorwę się do jakichś funduszy.

– No cóż, nie musieliśmy długo czekać – rzekł lord Brockenhurst, który wraz z żoną stanął właśnie w drzwiach. – Myślałem, że zanim zaczniesz prosić o pieniądze, zdążymy dojść przynajmniej do deseru.

– Gdzieście się podziewali? – zapytał Stephen.

– Byliśmy na dolnej farmie – odparła Caroline, wysuwając się energicznie z za męża. Musnęła policzek Grace przelotnym, zimnym pocałunkiem, gdy ta podniosła się na jej powitanie. – Mówiłeś coś, Johnie?

– I to bardzo poważnie. Nie mam nic do dodania. – Obrócił się, by spojrzeć ciotce w oczy.

– Do dodania w jakiej sprawie? – spytał Peregrin, który z założonymi do tyłu rękami grzał się przy kominku. Mimo przyjemnego, słonecznego dnia buzował tam wielki ogień. Caroline lubiła, żeby we wszystkich pokojach utrzymywano temperaturę jak w oranżerii.

– Mam do zapłacenia rachunek u krawca i czynsz za Albany<sup>[15]</sup>. – John rozłożył ręce w geście zdumienia, jakby czuł się absolutnie niewinny, a owe opłaty wymuszał na nim jakiś nedorzecznym nieznajomy.

– Albany? Czy za to nie płaci czasem twoja matka? – Lord Brockenhurst udał zdumienie. – I znowu jakieś rachunki od krawca?

– Nie wiem, jak mężczyzna o mojej pozycji może przetrwać sezon bez żadnych ubrań. – John wzruszył ramionami, biorąc łyk brandy.

Grace poparła syna.



– To nie w porządku oczekiwać po nim, żeby wyglądał jak obszarpaniec. Szczególnie teraz.

Caroline podniosła czujnie głowę.

– Dlaczego akurat „teraz”? Co takiego się dzieje?

– No... – zaczęła Grace z uśmiechem. – To właśnie powód naszego przyjazdu...

– Chcesz powiedzieć: jeden z powodów – wtrącił Peregrin.

– Więc? – Caroline chciała to wreszcie usłyszeć.

– John doszedł do porozumienia z lady Marią Grey.

Ku swemu zaskoczeniu Peregrin ucieszył się z tej wiadomości.

– Z córką lorda Templemore’a?

Stephen przytaknął, zadowolony, że zarobił punkt.

– Jej ojciec nie żyje. Obecny hrabia jest jej bratem.

– Ale zawsze to córka lorda Templemore’a – zauważył z uśmiechem Peregrin, czując przypływ entuzjazmu. – To znakomicie, Johnie. Świetnie się spisałeś, moje gratulacje!

Młodego człowieka zirytowało to wyraźne zdumienie stryja.

– A co w tym takiego dziwnego? Czemu nie miałbym poślubić Marii Grey?

– Ależ nie widzę przeszkód. To dobra partia i powtarzam jeszcze raz: świetnie się spisałeś, serio.

– Dobra partia, ale dla niej – prychnął Stephen. – Templemore’owie nie mają pieniędzy, o których warto by wspominać, dziewczyna zaś idzie w końcu za przyszłego hrabiego Brockenhursta. – Nie mógł powstrzymać się od wypomnienia braterstwu bezdzietności.

Peregrin nie odpowiedział. Nigdy nie lubił Stephena, nawet w dzieciństwie. Być może przez tę jego ciastowatą różową gębę. Albo dlatego, że jako dziecko wciąż płakał i wymagał nieustającej uwagi. Mieli jeszcze młodszą siostrę, ale lady Alice w wieku niespełna sześciu lat zmarła na koklusz i w rezultacie to młodszy od niego o dwa lata Stephen stał się beniaminkiem rodziny. Zwłaszcza matka bardzo mu pobłażała.

– Co pijesz? – spytał bratanka, widząc, że John pociągnął następny łyk.

– Brandy – odparł młody człowiek bez najmniejszego skrępowania.

– Czyżbyś zmarł?

– Niespecjalnie.

Peregrin się roześmiał. Nie przepadał za Johnem, ale wolał go od jego ojca. Przynajmniej ma tupet. Spojrzał na Stephena ze źle skrywanym niesmakiem.

– Dlaczego przyjechaliście tak wcześnie?

– Jak się ostatnio miewasz? – odpowiedział ze swojego fotela wielebny. Założył nogę na nogę i kiwał prawą stopą, udając, że nie słyszał pytania. – Nie dokucza ci ta mokra aura?

– Jak dla mnie jest zupełnie ciepło.

– Na dolnej farmie wszystko w porządku?

– Sprawdzasz stan przyszłego dziedzictwa?

– Bynajmniej. Czy to zbrodnia, że się interesuję majątkiem?

– Miło cię widzieć, moja droga – skłamała Caroline, sadowiac się obok Grace. Nudziły ją te wieczne jałowe utarczki braci.

– Jakaś ty uprzejma. – Grace należała do kobiet, których szklanka jest zawsze w połowie pusta. – Zastanawiałam się, czy miałabyś coś do ofiarowania na kościelny festyn. Przydałyby się jakieś hafty, chusteczki, poduszcзки i tym podobne. – Złożyła palce w wieżyczkę. – Mamy ogromne potrzeby... i wiele próśb o pomoc. Są starcy, kaleki, młode wdowy z dziećmi bez żadnej opieki. Wystarczy, by poruszyć każde serce.

– A co z kobietami upadłymi?

Grace patrzyła na nią tępym wzrokiem.

– Upadłymi?

– No wiesz, chodzi o matki, które nigdy nie miały mężów.

– Ach, rozumiem. – Grace skrzywiła się, jakby Caroline popełniła gafę. – Zwykle zostawiamy je parafii.

– A zwracają się do was o pomoc?

– Czasami. – Grace ten temat wyraźnie był nie w smak. – Ale staramy się zanadto nie roztkliwiać. Niech inne dziewczęta zobaczą, jaki smutny los czeka te upadłe, inaczej skąd miałyby się o nim dowiedzieć? – I wróciła do bezpiecznego tematu planowania kiermaszu.

Słuchając jej paplaniny o grach, namiotach, zawodach w rzucaniu kulami do kokosów, hrabina nie mogła przestać myśleć o ciężarnej osiemnastoletniej Sophii Trenchard. Gdyby stanęła, zrozpaczona i załamana, przed tym komitetem o kamiennych twarzach, czy i ją Grace odprawiłaby z kwitkiem? Pewnie tak. A czy ona sama okazałaby więcej miłosierdzia?

– Znajdę jakieś przydatne rzeczy – obiecała.

– Dziękuję. Komitet będzie bardzo zobowiązany.

Do lunchu w sali jadalnej usługiwało czterech lokajów pod nadzorem Jenkinsa. Posiłek nie umywał się do dawnych wielkich przyjęć dla gości zjeżdżających na polowanie. Od śmierci Edmunda Brockenhurstowie prawie nikogo nie zapraszali. Ale nawet w ścisłym rodzinnym gronie Peregrin nie rezygnował z przestrzegania zasad. Lunch składał się z sześciu dań: podano *consommé*, szczupaka faszerowanego, przepiórki, kotlety jagnięce z zawiesistym cebulowym sosem, lody cytrynowe i pudding z rodzynkami – co może wydawało się przesadą, ale Caroline wiedziała, że jej szwagier tylko szuka najdrobniejszego pretekstu do narzekań.

Przy *consommé* Grace, zachęcona nietypową dla hrabiny gotowością pomocy przy kiermaszu, postanowiła uraczyć zebranych rodzinną nowiną:

– Emma spodziewa się kolejnego dziecka.

– Jak miło, zaraz do niej napiszę – ucieszyła się Caroline.

Emma, o pięć lat starsza siostra Johna, była sympatyczną kobietą, o wiele miłszą od reszty rodziny. Jako żona miejscowego dziedzica, sir Hugona Scotta, prowadziła przeznaczone sobie nudne życie.

Punktualnie dziewięć miesięcy po ślubie wydała na świat pierwszą córkę, Constance, a potem co roku pojawiały się kolejne dzieci. To nowe miało być już piąte, ale jak na razie poza trzema zdrowymi córkami urodziła tylko jednego syna.

– Przypuszczamy, że urodzi się na jesieni, chociaż Emma nie jest całkowicie pewna. – Grace szybko upiła łyk *consommé*. – Hugo tym razem ma nadzieję na chłopca. Dziedzic plus jeden w zapasie, ciągle to powtarza. – Roześmiała się perliście, ale wkładając ponownie łyżkę do zupy, rzuciła okiem na twarz Caroline i umilkła.

Caroline w zasadzie nie była zła, tylko znudzona. Straciła już rachubę, ile razy Grace lub Stephen częstowali ją opowieściami o swoich licznych hałaśliwych wnukach. Sama już nie wiedziała, czy świadomie próbowali ją zranić, czy po prostu kompletnie brakowało im taktu. Peregrin zawsze uważał, że robią to z premedytacją, ale Caroline obciążała winą raczej ich głupotę. Jej zdaniem Grace nie była dość inteligentna na tak wyrafinowaną złośliwość.

Lokaje w milczeniu zbierali talerze. Przywykli już do tego, że jaśnie pan nie wkłada zbyt wiele wysiłku w podtrzymywanie grzecznościowej konwersacji przy posiłkach czy w innych okolicznościach, a już szczególnie małomówny bywa podczas wizyt swojego brata. Włożywszy za młodu sporo energii w odnowienie posiadłości, zupełnie przestał się nią interesować po śmierci syna, a w późniejszych latach coraz częściej spędzał czas samotnie w swojej bibliotece.

– No więc – zaczął Stephen, biorąc spory łyk bordo – zastanawiam się, drogi bracie, czy po lunchu moglibyśmy zamienić słówko na osobności.

– Na osobności? – Peregrin odchylił się na oparcie krzesła. – Przecież wszyscy wiemy, co to znaczy. Chcesz mówić o pieniądzach.

– Cóż... – Stephen odchrząknął. Jego blada, spocona twarz błyszczała w promieniach wpadającego przez okna słońca. Przesuwał palcami po kołnierzyku, jakby chciał go rozluźnić. – Nie chcemy chyba nudzić pań – bąknął słabym głosem. Jakże nienawidził swojej pozycji. Brat doskonale wiedział, o co mu chodzi, czego potrzebuje. I pomyśleć, że ta pozycja wynikała jedynie z niesprzyjającego momentu, braku szansy, pecha. Bo jak inaczej określić to, że urodził się dwa lata po przystojnym, lubianym w towarzystwie Peregrinie? Dlaczego wepchnięto go w tę upokarzającą sytuację?

– Ale mnie nudzić możesz? – Peregrin dolał sobie porto i posłał karafkę w obieg.

– Gdybyśmy mogli chociaż...

– Daj spokój. Gadaj, o co chodzi.

– Ojciec chce prosić o pożyczkę na konto mojego przyszłego spadku – wtrącił John.

– Twojego spadku czy jego? – prychnął Peregrin.

John, jak zresztą wszyscy w tym pokoju, najwyraźniej uważał, że pastor nie przeżyje brata.

– Naszego spadku – wybrnął gładko z pułapki.

Peregrin musiał przyznać, że młody człowiek odpowiednio dba o siebie, jest dobrze ubrany i wygląda w każdym calu jak dziedzic. Ale on go po prostu nie lubił.

– Znaczący chce kolejnej pożyczki na konto swojego spadku.

– No dobrze: kolejnej pożyczki. – John wytrzymał spojrzenie stryja. Nie dawał się tak łatwo zbić z tropu.

Peregrin sącył swoje porto.

– Myślę, że mój braciszek uszczknął już całkiem sporo ze swojej działki.

Stephen nie znosił być nazywanym „braciszkiem”. Miał sześćdziesiąt sześć lat, dwoje dzieci i prawie pięcioro wnuków, więc po prostu kipiał z wściekłości.

– Ale zgodzisz się chyba, że honor rodziny wymaga, abyśmy utrzymywali odpowiedni poziom życia. To nasz obowiązek.

– Wcale się z tym nie zgodzę. Owszem, powinieneś żyć godnie, jak przystało na wiejskiego proboszcza. Ale nikt nie oczekuje od osoby duchownej żadnych ekstrawagancji. Byłoby to nawet niestosowne. Można by zadać sobie pytanie, na co wydajesz pieniądze.

– Na nic, czego byś nie pochwalał. – Stephen stapał po cienkim lodzie: gdyby Peregrin wiedział, na co naprawdę potrzebuje pożyczki, z pewnością by tego nie zaaprobował. – Przecież dawniej godziłeś się na naruszanie tych funduszy.

– Wiele razy. Zbyt wiele – przyznał Peregrin. Więc to głównie dlatego brat zaproponował ten lunch... Jakby on, Peregrin, z góry tego nie wiedział!

Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna, więc Caroline zdecydowała się przejąć stery.

– Opowiedz mi coś więcej o Marii Grey – zaproponowała dość zaskakującym tonem. – Myślałam, że dopiero co przedstawiono ją na dworze.

Grace wzięła sobie kotlet z półmiska.

– Nie, nie. Upłynął rok od jej debiutu, teraz już jest nieźle wprowadzona w świat. Liczy sobie dwadzieścia jeden wiosen.

– Dwadzieścia jeden... – Caroline zamyśliła się nieco. – Jak ten czas leci! Dziwne, że lady Templemore nic mi nie napomknęła. – Od lat przyjaźniła się z matką Marii.

– Może czeka, aż wszystko zostanie ostatecznie ustalone? – odparła z uśmiechem Grace.

– Przecież już kłamka zapadła, skoro doszli do porozumienia.

Świadomie czy podświadomie, lady Brockenhurst zdradziła się, że uważa te zaręczyny za mało prawdopodobne.

Grace stanowczym ruchem odłożyła sztućce.

– Trzeba jeszcze wyjaśnić kilka drobiazgów, ale potem formalnie się to ogłosi.

Caroline myślała o ładnej, inteligentnej dziewczynie, którą знаła, o nadętym, aroganckim bratanku swojego męża, a wreszcie o swoim wspaniałym, leżącym w ziemi synu.

– Dlatego sam widzisz, że na gwałt potrzebujemy... to znaczy John potrzebuje pieniędzy – ciągnął Stephen, zerkając z aprobatą na żonę. Słusznie wyciągnęła tę kartę. Przecież Peregrin w końcu nie odmówi im pieniędzy. Wystarczy wyobrazić sobie, jak fatalnie odbiłoby się na wizerunku rodziny, gdyby kazał własnemu dziedzicowi żyć w nędzy. Zwłaszcza że panie na pewno zaraz omówią to ze sobą.

W końcu, kiedy zjedzono już lody cytrynowe, wypito w salonie kawę i odbyto spacer po ogrodach, goście wyjechali. Udało się im uzyskać dostateczną ilość gotówki, żeby starczyło na krawca i spłatę innych długów, także tych, o których Stephen nie wspomniał. Peregrin wycofał się do biblioteki i z ciężkim sercem usiadł w swoim wielkim skórzanym fotelu przy kominku. Zamierzał poczytać Pliniusza; wolał Starszego niż Młodszeo, bo lubił zgłębiać fakty historyczne i naukowe, ale tym razem słowa, zamiast wyskakiwać kolejno ze strony, przepływały mu tylko przed oczami. Już trzeci raz czytał ten sam akapit, kiedy do biblioteki weszła Caroline.

– Byłeś dziś wyjątkowo milczący podczas lunchu. O co chodzi?

Peregrin zamknął tom i przez chwilę siedział w ciszy, wodząc wzrokiem po rzędzie portretów nad szafami bibliotecznymi. Patrzyli z nich surowo mężczyźni w perukach, kobiety zasznurowane w atlasowe suknie – jego antenaci, rodzina, która użyczyła swojej krwi jemu, ostatniemu z linii. Potem obejrzał się na żonę.

– Dlaczego mój brat, człowiek, który nigdy nie powiedział ani nie uczynił niczego wartościowego, doczekał się małżeństw swoich dzieci i żyje otoczony wianuszkami wnuków?

– Och, mój drogi... – Caroline usiadła obok i położyła mu dłoń na chudym kolanie.

– Przepraszam. – Peregrin poczerwieniał. – Zachowuję się jak stary głupiec. Ale czasem nie mogę się powstrzymać od pomstowania na taką niesprawiedliwość.

– Myślisz, że ja mogę?

Westchnął.

– Zastanawiasz się kiedy, jaki on byłby teraz? Żonaty, oczywiście, i raczej grubszy niż wtedy. Miałby mądrych synów i ładne córki...

– Albo mądre córki i ładnych synów.

– Rzecz w tym, że go tu nie ma. Nasz syn Edmund odszedł i Bóg mi świadkiem, że nie rozumiem, czemu nas to spotkało. – Peregrin Brockenhurst miał typowo angielski kłopot z wyrażaniem uczuć, stąd jego uwagi na ten temat brzmiały bardziej oschle niż wylewnie. Ujął dłoń żony i uściśnął ją lekko. Jego wodniste oczy wezbrały łzami.

– Przepraszam cię, moja droga, bardzo to głupio z mojej strony. – Patrzył na nią niemal czule. – Chyba nic na to nie poradzę, że wciąż się zastanawiam nad sensem tego wszystkiego. – Ale zaraz zaśmiał się sucho, wyraźnie biorąc się w garść. – Nie słuchaj mnie. Muszę przestać pić porto, zawsze się po nim rozklejam.

Caroline pogładziła jego dłoń. Tak łatwo byłoby wyznać mu prawdę, powiedzieć, że ma wnuka, dziedzica swojej krwi, jeśli nawet nie pozycji... Ale nie znała wszystkich faktów. Czy Anna Trenchard mówiła prawdę? Trzeba będzie to zbadać. Caroline obiecała tej kobiecie zachować milczenie, a faktem jest, że zwykle dotrzymywała obietnic.

Żadna ilość waleriany nie mogła usmierzyć straszliwego bólu głowy. Anna miała wrażenie, że ktoś rozcina jej czaszkę stalowym nożem. Znała przyczynę i chociaż zwykle nie ulegała hysterii, samotna wędrownica do domu po rozmowie z lady Brockenhurst była dla niej jednym z najgorszych

doświadczeń w życiu.

Tak mocno dygotała, pukając do drzwi pod numerem 110 przy Eaton Square, że kiedy otworzono, nawet nie chciała wyjaśniać, co jej jest. Billy wydawał się tym naprawdę zaintrygowany. Co jego pani robiła sama na ulicy i czemu trzęsie się jak galareta? Gdzie się podziewa stangret Quirk? Wszystko to wyglądało bardzo tajemniczo i na pewno będzie o czym plotkować na dole, w oczekiwaniu na obiad dla służby. Ale najbardziej zmieszana była sama Anna, która właśnie szła wolno po schodach do swojego pokoju.

– Zupełnie jakby była we śnie – opowiadała potem przy stole dla służby pokojowa Ellis. – Nic tylko tuliła tego psa i bujała się w fotelu.

Lata nie okazały się łaskawe dla Ellis. Po przyprawiających o zawrót głowy dniach Waterloo, kiedy to ulice Brukseli roiły się od przystojnych żołnierzy, którym nic nie sprawiało większej przyjemności niż możliwość pogawędki z ładną subretką, dziewczyna uznała Londyn za nieco zbyt senny jak na swój gust. Często wspominała swoją przyjaciółkę, pokojową panienci Sophii. Teraz Jane Croft świetnie prosperowała jako główna gospodyni w wiejskim dworze i Ellis też czasem groziła, że znajdzie sobie podobną posadę, ale dobrze wiedziała, że byłaby to głupota z jej strony. Owszem, marzyła o pracy w bardziej dystyngowanym domu, najlepiej w rodzinie z tytułem, jednak Trenchardowie płacili służbie więcej niż większość arystokracji, a jedzenie „pod schodami” było u nich znacznie lepsze niż w innych znanych jej domach. Pani Babbage dysponowała odpowiednim budżetem i podawała mięso prawie do każdego posiłku.

– Dobrze mówi – przyznał Billy, zacierając ręce i wciągając zapach gulaszu wołowego z ziemniakami z wielkiego miedzianego rondla pośrodku stołu. – To znaczy, czy kto kiedy słyszał, żeby taka pani chodziła sama po ulicy? Na pewno miała do załatwienia jakąś sprawę, tak żeby pan się nie dowiedział.

– Myślisz, że ma kochasia? – zachichotała jedna z pokojówek.

– Mercy, idź do swojego pokoju!

W drzwiach stała pani Frant z rękami na biodrach, ubrana w czarną bluzkę z wysokim kołnierzykiem spiętym zieloną kameą i czarną spódnicę. Pracowała u Trenchardów dopiero trzy lata, ale miała dostatecznie długi staż w służbie, by wiedzieć, że jest to posada, której warto się trzymać, toteż nie tolerowała pod schodami żadnych głupot.

– Przepraszam, pani Frant, ja tylko...

– Ty „tylko” pójdziesz dziś spać bez obiadu, a jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo, jutro wylecisz stąd bez referencji.

Dziewczyna prychnęła, ale nie próbowała już się bronić. Kiedy wyszła, pani Frant zajęła jej miejsce.

– Teraz porozmawiamy w elegancki sposób, ale nie na temat naszych chlebodawców.

Ellis zależało na podkreśleniu, że nie uważa się za podwładną gospodyni.

– Tak czy inaczej, to absolutnie niezwykle, żeby pani brała walerianę. Nie widziałam, żeby tak

fatalnie się czuła, odkąd wyjechała z panią Sophią do tej chorej kuzynki w Derbyshire. – Tu obie kobiety wymieniły znaczące spojrzenia.

Zamiast poszukać wyjaśnienia, James Trenchard tylko snuł spekulacje, dlaczego żona leży w łóżku i jeszcze poprosiła o kolację na tacy. Zakładał, że ma to coś wspólnego z Charlesem Pope'em i tym, że zakazał Annie wspominać o jego istnieniu lady Brockenhurst. I chociaż nie zmienił zdania, bardzo pragnął jak najszybciej przywrócić dobre stosunki z żoną, dlatego kiedy w jej ostatniej poczcie znalazł zaproszenie na przyjęcie w Kew Gardens, postanowił wykorzystać je jako pierwszy krok do zgody, w nadziei, że to podniesie Annę na duchu. Wiedział, jaki entuzjazm budziło w niej ogrodnictwo i jak chętnie wspierała Kew.

– Moglibyśmy wybrać się razem – zaproponował dobrodusznie, patrząc, jak obraca kartę w palcach. Siedziała wsparta na poduszkach i chociaż ogólnie wyglądała blado, to jednak widział, że jest zainteresowana.

– W Kew? Przecież ty nie przejdziesz nawet przez ogród w Glanville, jeśli uda ci się tego uniknąć – wytknęła mu, ale z uśmiechem.

– Może Susan zechce?

– Susan nie cierpi kwiatów i nie dostrzega piękna w niczym, co nie błyszczy na wystawie pana Aspreya<sup>[16]</sup>. W zeszłym tygodniu zmusiła mnie do odwiedzenia jego nowego sklepu, ledwie zaciągnęłam ją z powrotem do powozu.

– Wyobrażam sobie. – James kiwał głową z uśmiechem. – To mi coś przypomina. Po naszej wieczornej rozmowie zastanawiałem się, czy nie wciągnąć Olivera bardziej w interesy. Na razie lawiruje na obrzeżach, a być może potrzebuje jakiegoś ukierunkowania. Jutro mam się spotkać z Williamem Cubitem w związku z Wyspą Psów i jeśli Oliver naprawdę ma do tego zapał, mógłbym go ewentualnie zarekomendować.

– A myślisz, że on mówi serio? Coś mi się nie wydaje, że pasowałoby mu to.

– Może powinien trochę mniej kręcić nosem. – James nie chciał być niegrzeczny, ale lekceważenie, z jakim Oliver odnosił się do firmy i ciężkiej pracy, naprawdę go denerwowało.

– Cóż, spróbować nie zaszkodzi. Najlepiej go zapytaj.

Niezupełnie takiej reakcji spodziewał się James. Byłoby pewną przesadą, gdyby poprosił Williama Cubitta o większy udział w interesach dla syna, zwłaszcza że Oliver dotychczas nie zdradzał skłonności w tym kierunku. Przy całym ich lukratywnym partnerstwie uważał to za zbyt śmiałość.

Anna dostrzegła to wahanie, ale chociaż sama czuła tak samo, nie mogła się zdobyć na podjęcie walki. Zawsze szczyliła się swoją zdolnością oceny sytuacji – umiała dobrze odczytywać ludzkie intencje, a swoje karty trzymała przy orderach. Nie należała do tych głupich kobiet, którym wystarczy kieliszek szampana do popełnienia niedyskrecji. Więc co sobie myślała, wyjawiając prawdę lady Brockenhurst? Czy hrabina ją onieśmielała? A może po prostu Anna zbyt długo dźwigała swój ciężar? Fakt pozostaje faktem: zdradziła sekret o niewyobrażalnym znaczeniu, sekret, który mógł

spowodować ogromne szkody. W dodatku zdradziła go kompletnie obcej osobie, nie wiedząc o niej nic lub prawie nic. Dała w ten sposób lady Brockenhurst amunicję do zniszczenia całej swojej rodziny. Pytanie tylko, czy hrabina jej użyje. Anna zadzwoniła po Ellis. Czas na wieczorny spacer Agnes.

Następnego dnia James wcześniej zniknął z domu. Zwykle przed wyjściem zaglądał do żony, ale tej nocy tak źle spała, że musiała wziąć miksturę, i teraz pewnie nie obudzi się przed południem. Mimo to specjalnie się nie przejmował; cokolwiek jej jest, na pewno wydobrzeje. O wiele bardziej martwiło go spotkanie z Williamem Cubitem. Umówili się na dwunastą, a przedtem musiał jeszcze wpaść do biura i dokończyć bieżące sprawy.

Cubitt na miejsce spotkania wybrał klub Athenaeum<sup>[17]</sup>. James koniecznie chciał dotrzeć tam wcześniej, żeby móc się rozejrzeć. Słyszał, że ze względu na pilne potrzeby finansowe władze klubu rozluźniły ostatnio zasady członkostwa, więc złożył stosowny wniosek. Na razie nie należał jeszcze do żadnego elitarnego klubu i trochę go to irytowało.

Przybywszy na Pall Mall 107, podziwiał imponujące kolumny przed frontonem budynku; nawet specjalnie przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby oddać hołd fryzowi Partenonu zwieńczającemu fasadę. Aż wierzyć się nie chce, że Decimus Burton miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, kiedy zaprojektował ten gmach.

Kiedy znalazłszy się w środku, oddał rękawiczki i laskę oczekującemu stewardowi, zaczął zastanawiać się gorączkowo, kogo by tu zagadnąć o losy swojego podania. Minęło już trochę czasu, a on nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Może go odrzucono? Ale czy nie powinni o tym poinformować? Jakie to irytujące! Rozglądał się z zazdrością po ogromnym holu ze wspaniałymi schodami, które na półpiętrze rozdzielały się na dwie strony.

– James! – William zerwał się z fotela na powitanie. – Dobrze cię widzieć. – William Cubitt, szczupłej budowy, z gęstą siwą czupryną, miał miłą, inteligentną twarz o wielkich bystrych oczach, które zwykł przemykać, gdy czegoś pilnie słuchał. – Widziałeś po drodze nowy Reform Club<sup>[18]</sup>? Czyż nie jest piękny? Zdolny gość, ten Charles Barry<sup>[19]</sup>, chociaż nie orientuję się zbytnio w polityce jego klubu – dodał, unosząc jedną brew. – Pełno tam liberałów, a wszyscy aż proszą się o kłopoty, no ale sam budynek to arcydzieło. – Po wybudowaniu Covent Garden, Fishmongers' Hall, portyku dworca Euston i wielu innych Cubitt nieodmiennie zwracał uwagę na detale, które mało kto dostrzegał. – Zauważyłeś te dziewięć okien od frontu? Bardzo śmiałe! I jakie rozmiary! Ten mały Travellers Club<sup>[20]</sup> może się przy nim schować. Słuchaj, napijesz się czegoś? A może przejdziemy do biblioteki?

Biblioteka klubowa zajmowała prawie całe piętro. Widok tej wielkiej sali, gdzie na obudowanych półkami ścianach mieścił się imponujący księgozbiór, wzmógł tylko niecierpliwość Jamesa, by jak najprędzej poczuć się tu jak u siebie. Jakim prawem tak długo trzymają go w niepewności? Z największym wysiłkiem starał się skupić na temacie rozmowy, ale wreszcie przy kieliszku madery ochłonął nieco i razem z Cubitem pochyłili się nad planami, koncepcjami i zmianami, jakie William obmyślił dla Cubitt Town.



– Zmienię tę nazwę – obiecał, odchylając się na oparcie. – Ale na razie niech zostanie.

– Czyli plan zakłada rozwój doków, stworzenie warunków dla lokalnych firm i budowę domów dla tych, którzy znajdą tam zatrudnienie?

– Tak. Ceramika, produkcja cegieł, cement, cała ta brudna robota, którą jednak trzeba wykonać, i to ja chcę się tym zająć. Ale potrzeba też domów dla buchalterów i oficjalistów, no i mam nadzieję namówić również osoby z kadry kierowniczej do osiedlenia się tam, jeśli tylko zapewnimy im przyzwoite warunki. Krótko mówiąc, chcemy na nowo zagospodarować cały teren i stworzyć zupełnie nową społeczność.

– To mnóstwo pracy przed nami.

– Rzeczywiście. Najpierw trzeba zdrenować grunt, ale po Belgravii wiemy już, jak to zrobić, więc mam nadzieję, że na końcu będziemy mieli czym się chlubić.

– Czy nie sądzisz, że może to być jakaś możliwość dla Olivera? Rozumiesz, on się rwie do tego rodzaju projektów. – John starał się narzucić sobie zdawkowy ton.

– Dla... Olivera?

– Mojego syna. – Poczł, że głos mu się łamie.

– Ach, tego Olivera! – Atmosfera wyraźnie zgęstniała. – Być może on jeszcze waha się z wyborem, ale nigdy nie sądziłem, że pociąga go architektura. Czy budownictwo, ściślej rzecz biorąc. Nie mówię, że mam coś przeciwko niemu, ale rozumiesz... Wymagania związane z tak gigantycznym projektem mogą być takie, że nie zechce się tego podjąć.

– Ależ on o tym marzy – nalegał James, starając się stłumić zakłopotanie. Cały czas myślał o ewentualnych komentarzach Anny. – Naprawdę jest zainteresowany, tylko czasem... nie potrafi tego wyrazić.

– Rozumiem.

Cubitt jednak nie wyglądał na przekonanego. James znał Williama i jego starszego brata Thomasa od prawie dwudziestu lat. W tym czasie zdążyli się do siebie zbliżyć nie tylko jako wspólnicy w interesach, lecz także jako przyjaciele. We trójkę zbili niezłą fortunę i mieli wszelkie powody do radości, ale teraz po raz pierwszy James prosił jednego z braci o coś w rodzaju przysługi i nie robił tego z przyjemnością. Potarł sobie z namysłem skroń. Właściwie to niezupełnie po raz pierwszy. Kiedyś poprosił ich, żeby przyjęli Olivera do pracy. Najwyraźniej młody człowiek nie wywarł na nich korzystnego wrażenia i w tej chwili James po prostu liczył na łut szczęścia.

William przymknął oczy. Prawdę rzekłszy, czuł się nieco zbity z tropu: nie spodziewał się takiej prośby. Olivera znał niemal od dziecka i przez cały czas jego pracy w kompanii chłopak nie zadał mu ani jednego pytania na temat budowy Bloomsbury, Belgravii czy któregoś z poprzednich przedsięwzięć. Niby pracował w biurze, ale wyraźnie bez entuzjazmu ani nawet zainteresowania. Natomiast jego ojca William naprawdę lubił. James Trenchard był bystry, wytrwały, pracowity i odpowiedzialny. Może czasem za bardzo się nadymał, a z powodu nadmiernych aspiracji towarzyskich mógł wydawać się śmieszny, ale w końcu każdy ma jakieś słabości.

– Doskonale, znajdę coś dla niego – rzekł w końcu. – To ważne, żeby rodziny pracowały razem.

My z bratem robimy to od lat, więc czemu nie ty i twój syn? Wyciągnijmy go z biura i wyślemy w teren. Dobry kierownik robót zawsze się przyda. Powiedz mu, żeby zgłosił się do mnie w poniedziałek, na początek weźmiemy go do projektu Wyspy Psów. Masz na to moje słowo.

Wyciągnął rękę, a James uściśnął ją z uśmiechem. Ale nie był już taki pewien, czy rezultat będzie zgodny z jego życzeniami.

Kiedy Anna doszła już do siebie, nic poza tyfusem nie powstrzymałoby jej od uczestnictwa w przyjęciu w Kew. Ogrody otwarto dla publiczności zaledwie rok wcześniej, w 1840 roku, głównie dzięki gorliwości księcia Devonshire, który jako prezes Horticultural Society of London<sup>[21]</sup> był głęboko zaangażowany w ten projekt, a popierali go w tym ogrodnicy z całego kraju. Moda na ogrodnictwo, która zapanowała w roku 1840, idealnie wprost pasowała do wszystkich klas społecznych. Anna Trenchard walnie przyczyniła się do sfinansowania inwestycji, czemu zapewne zawdzięczała swoje miejsce na liście gości. Mimo problemów z lady Brockenhurst i swojej zwykłej niechęci do spotkań towarzyskich, jeśli zmuszał ją do nich James, na to akurat wydarzenie czekała z prawdziwą radością.

Ogrodnictwo było nie tyle jej hobby, co namiętnością, wręcz obsesją. Zaczęła się nim interesować tuż po śmierci Sophii i wkrótce dostrzegła własności terapeutyczne tego zajęcia. Przy pielęgnowaniu i obserwacji kwiatów stopniowo odzyskiwała spokój. James bezwiednie przyczynił się do tego, kiedy pewnego razu natknął się w Bloomsbury na niezwykle rzadkie i kosztowne dzieło Thomasa Fairchilda *City Gardener* [Ogrodnik miejski] z roku 1722. Od tej pory stale powiększał jej biblioteczkę książek o ogrodnictwie.

Ale tak naprawdę jej entuzjazm podsyciło dopiero nabycie Glanville w roku 1825. Ten rozpadający się elżbietański dwór miał w sobie coś, co po prostu uwielbiała, i nigdy nie czuła się szczęśliwsza niż podczas głębokich dyskusji z Hooperem, głównym ogrodnikiem. Razem zakładali od nowa sady, urządzali warzywniak, który teraz dostarczał jarzyn dla domu i całej posiadłości, odtwarzali zapuszczone terasy, czerpiąc pomysły zarówno z ubiegłego stulecia, jak i z oryginalnych form i parterów węzłowych<sup>[22]</sup> z czasów powstania dworu. Założyła też szklarnię, w której udało się jej wyhodować pigwy i brzoskwinie. Tych ostatnich było niewiele, ale wyróżniały się aromatem i idealnym kształtem, toteż w zeszłym roku poleciła Hooperowi pokazać je na wystawie ogrodniczej w Chiswick.

Oczywiście zawarła w bractwie ogrodniczym wiele znajomości, między innymi z Josephem Paxtonem, utalentowanym nowicjuszem o niezwykłych, niemal rewolucyjnych pomysłach. Bardzo się ucieszyła na wiadomość, że książę Devonshire zaprosił go do pracy w ogrodach przy swojej willi Chiswick House na obrzeżach Londynu. Jeszcze większą radość sprawiło jej, kiedy książę zaproponował Paxtonowi przeniesienie się do Chatsworth, wielkiego pałacu w Derbyshire, gdzie młody ogrodnik miał sprawować nadzór nad budową prawie stujardowej oranżerii. Oczywiście Anna nie знаła księcia osobiście, ale jako prezes towarzystwa był wyraźnie takim samym pasjonatem ogrodnictwa jak ona sama.

Właśnie Paxtona spodziewała się spotkać na przyjęciu w Kew. Jako wybitnego fachowca od

hodowli roślin pod szkłem musi wypytać go o wiele szczegółów na temat swoich pigw. Kiedy przybyła na miejsce, w ogrodach roiło się już od gości. Wokół trawników spacerowały setki pań w pięknych pastelowych sukniach i kapeluszach, z parasolkami w rękach. Wszyscy podziwiali nowe rabaty i alejki, zaprojektowane tak, aby wytrzymały rosnący entuzjazm tłumów, które ciągnęły tu z Londynu w każdy słoneczny dzień. Anna zmierzała właśnie w stronę oranżerii, kiedy zauważyła cel swoich poszukiwań.

– Pan Paxton! Miałam nadzieję, że się tu spotkamy – powitała go, wyciągając rękę.

– Pani Trenchard! – Ogrodnik uśmiechnął się szeroko. – Jakże się pani miewa? I jak tam pani nagrodzone brzoskwinie?

– Co za pamięć! – ucieszyła się Anna i po chwili dyskutowali żywo o zawiłościach hodowli brzoskwiń, o tym, jak trudno zmusić je do owocowania w tak nieprzychylnym klimacie i czego właściwie spodziewaliby się sędziowie, gdyby chciała pokazać je na wystawie HSL. Tak bardzo pochłonęła ich rozmowa, że nie zauważyli dwóch dystyngowanych postaci, które zbliżały się w ich stronę.

– Tu jesteś, Paxton! – wykrzyknął książę Devonshire. – A ja cię wszędzie szukam! – Wysoki, elegancki mężczyzna o ciemnych włosach, długim nosie i dużych migdałowych oczach tryskał dobrym humorem. – Słyszałeś już nowinę?

– Jaką, Wasza Wysokość?

– Zabrali wszystkie cytrusy z oranżerii! – Najwyraźniej uważał tę wiadomość za zabawną. – Uwierzyłbyś w to? Podobno mają tam za ciemno. Budynek stoi pod złym kątem. Nie mieli okazji skorzystać z twoich rad. – Tu obrócił się z uśmiechem do Anny, która wyraźnie czekała, aż Paxton jej go przedstawi. I teraz dopiero zauważyła towarzyszkę księcia, która przyglądała się jej spod kapelusza.

– Wasza Wysokość, jaśnie pani... – Paxton cofnął się o krok – pozwolę sobie przedstawić panią Trenchard, utalentowaną ogrodniczkę i znaną członkinię naszego towarzystwa.

– Bardzo mi przyjemnie – odrzekł książę z ukłonem. – Słyszałem już o pani, chociaż nie od Paxtona. Czy mogę... – zaczął, obejrzwawszy się na swoją towarzyszkę.

– Znamy się już z panią Trenchard – powiedziała lady Brockenhurst z nieprzeniknioną miną.

– Znakomicie! – ucieszył się książę, marszcząc lekko czoło i spoglądając to na jedną, to na drugą z pań. Nie bardzo rozumiał, skąd jego przyjaciółka może znać tę kobietę, ale cieszyło go to. – Może pójdziemy zobaczyć, co zrobili z oranżerią?

Ruszył dziarskim krokiem naprzód, podczas gdy Paxton z paniami postępowali z tyłu. Książę nie mógł wiedzieć, że jego dumną towarzyszkę aż skręcało z podniecenia. Oto okazja, na którą czekała.

– Pani Trenchard... Ten pan, o którym mówiłyśmy ostatnio...

Anna miała serce w gardle. Co ma powiedzieć, żeby wyszło jak najlepiej? Ale przecież sekret już się wydał, po co więc udawać, że jest inaczej?

– Charles Pope? – spytała nieco chrapliwym głosem, czemu trudno się dziwić.

– Właśnie. Charles Pope.

– Co z nim? – Anna rozglądała się po rodzinnych grupkach, mężczyznach robiących notatki, kobietach usiłujących opanować dzieci... Nie po raz pierwszy w takich przypadkach zastanawiała się, jak mogą sobie tak zwyczajnie żyć, jak gdyby kilka jardów dalej nie działo się nic niezwykłego.

– Zapomniałam, gdzie on mieszka, ten cały pan Pope. – Teraz Paxton je obserwował. Coś w ich tonie kazało mu się domyślać, że jest świadkiem czegoś niezwykłego. Że mowa tu o jakimś sekrecie, który właśnie ujrzał światło dzienne. Anna zauważyła tę ciekawość i za wszelką cenę chciała ją stłumić.

– Chyba nie mam jego adresu.

– A jego rodziców?

Przez chwilę Annę kusilo, żeby po prostu odejść, wymówić się czymkolwiek, udać ból głowy, nawet zemdleć. Ale lady Brockenhurst nie zamierzała odpuścić.

– Zapamiętałam, że jego ojciec jest duchownym.

– Tak, to wielebny Benjamin Pope.

– No proszę. Chyba nie bardzo bolało, co? A hrabstwo?

– Surrey. Ale to naprawdę wszystko, co mogę powiedzieć. – Anna za wszelką cenę chciała uciec od tej kobiety, w której rękach spoczywał teraz ich los.

– Aha, Charles Pope, syn wielebnego Benjamina Pope'a z Surrey. To mi wystarczy.

I rzeczywiście wystarczyło.

Caroline Brockenhurst niewiele czasu zajęło wysledzenie wnuka. Jak wszyscy z jej sfery, miała wśród kleru wielu przyjaciół i krewnych, którzy chętnie pomogli jej odszukać młodego człowieka. Wkrótce się dowiedziała, że Charles Pope dał się już nieźle poznać w City. Był ambitny, miał też szerokie plany. Zakupił w Manchesterze przędzalnię i aby rozwinąć produkcję, starał się o regularne dostawy bawełny, może z subkontynentu indyjskiego, a może z jakiegoś innego miejsca. Tak czy inaczej, okazał się dynamicznym i pełnym pomysłów przedsiębiorcą. Musiał jedynie trochę więcej zainwestować, tyle przynajmniej wykazało śledztwo hrabiny.

Pukając do biura Charlesa Pope'a, czuła zaskakujący spokój. Wcześniej rzeczowym tonem poinstruowała stangreta Hutchinsona, aby zawiózł ją pod wskazany adres na Bishopsgate. Kazała mu tam poczekać – pół godziny powinno wystarczyć, w jej pojęciu miało to być krótkie spotkanie. Nie zamierzała zagłębiać się w szczegóły, nie układała też sobie zawczasu, co powie. Zupełnie jakby nie śmiała wierzyć, że opowieść tej Trenchard może być prawdą. Bo dlaczego miałyby być?

– Hrabina Brockenhurst? Już tu jest? – Młody człowiek zerwał się z krzesła, kiedy kancelista otworzył drzwi i wypowiedział nazwisko. Hrabina stała w progu, mierząc go wzrokiem.

Przez chwilę nie była w stanie się ruszyć. Wpatrywała się w jego twarz: czarne kędziory, błękitne oczy, zgrabny nos, ładnie wykrojone usta. To była twarz jej odrodzonego syna, może bardziej ożywiona, z pewnością bardziej szczerą, ale bez wątplenia twarz jej ukochanego Edmunda.

– Szukam pana Charlesa Pope’a – powiedziała, całkowicie świadoma, kogo ma przed sobą.

– To ja – odparł z uśmiechem, podchodząc bliżej. – Zapraszam dalej... – Nagle zmarszczył brwi. – Lady Brockenhurst, dobrze się pani czuje? Bo wygląda pani tak, jakby zobaczyła ducha.

Mój błąd, pomyślała, kiedy pomagał jej usadowić się przed biurkiem. Powinna rozważyć wszystko wcześniej, a nie wyznaczać spotkanie bez namysłu, pod pretekstem chęci zainwestowania w jego przedsiębiorstwo. Szkoda, że nie wzięła z sobą Peregrina, poszłoby łatwiej, chociaż... mogłaby się rozplakać, a już dość łez wylała, by wystarczyć na całe życie. Pope zaproponował jej szklankę wody, którą przyjęła. Wprawdzie nie zemdląca, ale nogi z pewnością trochę się pod nią uginały. Oczywiście, że syn Edmunda mógł go przypominać. Czemu nie pomyślała o tym wcześniej i nie przygotowała się na to?

– A więc – zaczęła – proszę mi trochę o sobie opowiedzieć. Skąd pan pochodzi?

– Skąd pochodzę? – Młody człowiek patrzył na nią ze zdumieniem. Spodziewał się rozmowy o swoim przedsiębiorstwie. Gdzie hrabina usłyszała o nim i jego przędzalni, dokładnie nie wiedział. To dziwne, że wielka pani interesuje się takimi sprawami, ale jest ustosunkowana i dostatecznie bogata, by móc zainwestować w przędzalnię. – To niezbyt ciekawa historia. Jestem synem pastora z Surrey.

– Rozumiem. – Stawiała się w niezręcznej sytuacji. Jak miała to skomentować? Jak wyjaśnić to, co już wcześniej o nim wiedziała? Ale on potraktował jej pytanie zwyczajnie, nie dopatrując się żadnych ukrytych motywów.

– To znaczy... Mój prawdziwy ojciec zmarł, zanim się urodziłem, dlatego wychował mnie jego kuzyn, wielebny Benjamin Pope. W myślach nazywam go ojcem, ale on, niestety, także już nie żyje.

– Przepraszam. – Caroline aż drgnęła z przykrości. Siedziała naprzeciwko swojego wnuka i pilnie słuchała. Uważał jakiegoś wiejskiego proboszcza za ojca, a przecież... Gdyby tylko wiedział, kto nim był naprawdę! Tak bardzo chciała zasypać go pytaniami, głównie po to, aby móc słuchać brzmienia jego głosu, ale co tu jeszcze jest do powiedzenia? Zupełnie jakby się bała, że jeśli zakończy to spotkanie, może jutro po przebudzeniu dowiedzieć się, iż Charles Pope nie istnieje, nigdy nie istniał, a to wszystko był tylko sen. Ponieważ ten młody człowiek okazał się dokładnie takim, jakim chciała widzieć swojego wnuka.

Potem, gdy już obiecała zainwestować pokaźną sumę w jego przedsięwzięcie, wypadało wyjść. Już w drodze do drzwi przystanąła nagle.

– Panie Pope, w czwartek wydaję skromne przyjęcie. W ogóle przez cały sezon przyjmuję gości w każdy drugi czwartek miesiąca i pomyślałam, że może zechciałby pan przyjść.

– Ja? – Jeśli przedtem czuł się nieco oszołomiony, to teraz dopiero naprawdę się zdziwił.

– Początek jest o dziesiątej. Przedtem będzie obiad, a o północy także kolacja, więc nie ma potrzeby nic przedtem jeść, jeśli się nie ma ochoty.

Charles w żadnym sensie nie należał do towarzystwa, ale wiedział o nim dostatecznie dużo, by zrozumieć, że to dla niego wielki zaszczyt. Czemu, na Boga, go zawdzięczał?

– Nie bardzo rozumiem...

– Panie Pope, zapraszam pana na przyjęcie w czwartek. Czy to takie dziwne?

Nie był pozbawiony żyłki do przygody. Na pewno wkrótce wszystko się wyjaśni.

– Będę zaszczycony, milady.

Przybycie na Eaton Square lokaja w liberii z zaproszeniem dla państwa Trenchard na *soirée* u hrabiny Brockenhurst nie pozostało długo tajemnicą. Anna chciała poczekać na powrót Jamesa, żeby to z nim omówić, bo nie miała najmniejszej ochoty na kolejną wizytę u tej kobiety. I właściwie po co ich zaprosiła? Przecież w Kew Gardens dostatecznie jasno wyraziła swoje uczucia. Zachowywała się wyniośle, nieprzyjemnie i Anna nie życzyła sobie mieć z nią nic wspólnego. A jednak Jamesowi trudno będzie odrzucić takie zaproszenie. Brockenhurstowie to typ ludzi, z którymi jej mąż namiętnie pragnął spędzać czas. Jeszcze zanim zdążyła rozważyć całą sprawę, rozległo się pukanie do drzwi.

– Mamo? – W progu stała Susan z przymilnym uśmiechem na ładnej twarzy. Jej intencje były przezroczyście jak szkło. Pochyliła się nawet, aby pogłaskać pieska, co zawsze Annie wydawało się podejrzane. – Czy mam rozumieć, że hrabina Brockenhurst zaprosiła was na obiad? – spytała, potrząsając lekko lokami. Miało to zapewne dodać jej dziewczęcego wdzięku, na co Anna pozostawała kompletnie nieczuła.

– Nie na obiad. To przyjęcie zaczyna się po obiedzie, chociaż prawdopodobnie podadzą później coś do jedzenia. Ale nie wiem jeszcze, czy pójdziemy. – Czekala z uśmiechem na kolejny ruch synowej. Biedna dziewczyna jest taka przewidywalna!

– Nie pójdziecie?

– Prawie jej nie znamy. I trudno wykrzesać w sobie odrobinę entuzjazmu dla czegoś, co zaczyna się tak późnym wieczorem.

Twarc Susan skrzywiła się niemal jak do płaczu.

– Ale przecież...

– Moja droga, o co właściwie chcesz zapytać?

– Bo... Bo pomyślałam sobie, że to zaproszenie obejmuje i nas.

– Otóż nie.

– Proszę, nie każ mi błagać. W końcu Oliver i ja mieszkamy z wami pod jednym dachem. Czy nie powinniśmy obracać się w tym samym towarzystwie? Czy to tak strasznie trudno zapytać?

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy tam pójść.

– Ojciec tak właśnie uważa. – Susan odzyskała rezon. To dobry argument. Teść nie pozwoli żonie odmówić, a Anna wie, że nie będzie miała chwili spokoju, jeśli nie pozwoli synowi i synowej im towarzyszyć. Nie warto dla takiego drobiazgu psuć atmosfery w domu.

Tak więc wieczorem usiadła przy sekretarzyku, wzięła do ręki pióro i napisała odpowiedź dla lady Brockenhurst, jak najuprzejmiej pytając, czy ich synowi z żoną także będzie wolno wziąć udział w przyjęciu. Już w chwili pieczętowania koperty wiedziała, że taka prośba będzie poczytana za

przedwczesną, może nawet wulgarną, ale lady Brockenhurst na pewno jej nie odrzuci.

Tym, czego Anna nie przewidziała, była wiadomość, która nadeszła wraz z odpowiedzią. Kiedy przebiegła ją wzrokiem, list wypadł jej z ręki i serce tak przyspieszyło, że ledwie mogła oddychać. Musiała przeczytać to jeszcze raz. Oprócz drugiego zaproszenia na nazwisko pana Olivera Trencharda z małżonką znalazła w kopercie karteczkę z jednym zdaniem:

*Zaprosiłam na ten wieczór także pana Charlesa Pope'a.*

— 4 —

Przyjęcie przy Belgrave Square





Dochodziła dziesiąta. Annie Trenchard z podekscytowania drżały ręce, a żołądek skręcał się w supeł. Patrzyła na siebie w lustrze, milcząco ponaglając Ellis, która wykańczała jej fryzurę. Postanowiła włożyć diadem i teraz kilka szpilek kłuło ją w czaszkę. Wiedziała jedno: nim wieczór dobiegnie końca, niechybnie rozboli ją głowa.

Zerknęła na złożony zegar kominkowy, którego tarczę podtrzymywały solidarnie dwa nadąsane cherubinki. Do Belgrave Square mieli najwyżej pięć minut jazdy powozem. Byłoby niegrzecznie zjawić się zbyt punktualnie, ale już naprawdę nie mogła się doczekać.

Anna rzadko tak entuzjastycznie odnosiła się do obowiązków towarzyskich. Ale też rzadko kiedy człowiek ma okazję spotkać się z własnym wnukiem po dwudziestu pięciu latach.

Czy lady Brockenhurst napisała prawdę? Annie po prostu nie mieściło się to w głowie. Poprawiając diamentową *collier de chien*, zastanawiała się, jak też on może wyglądać. Wtedy miał jasnoniebieskie oczy Sophii, ale przecież wszystkie niemowlęta rodzą się z takimi, więc może mu się zmieniły. Pamiętała jego słodki, mleczny zapach, krzepkie nóżki, kolanka z dołeczkami i mocny chwyt malutkich rączek. Pamiętała też wszystkie emocje, jakie się wówczas w niej kłębiły: gniew i straszliwy, bolesny smutek, kiedy go zabierano. To wprost nie do pojęcia, jak mała, bezbronna ludzka istotka mogła wzbudzać takie uczucia. Anna podniosła Agnes, która w wyczekującej postawie siedziała u jej stóp. Ta bezwarunkowa miłość dawała jej pewną pociechę, chociaż może psia wierność zawdzięczała tylko regularnemu karmieniu? Zaraz jednak poczuła wyrzuty sumienia, że w nią zwątpiła, i w ramach rekompensaty pocałowała suczkę w nos.

– Gotowa? – W drzwiach ukazała się łysa głowa Jamesa. – Susan i Oliver czekają w holu.

– Nie powinniśmy zjawiać się jako pierwsi. – Annę rozczuliło to ożywienie męża; nic go tak nie cieszyło jak wielkie wyjście, a trudno o coś bardziej ekskluzywnego niż przyjęcie w Brockenhurst House.

– Nie będziemy, bo wcześniej wydają obiad.

To akurat była prawda: zakwalifikowano ich do drugiego sortu gości. Anna wiedziała, że James duszę by sprzedał za zaproszenie także na obiad, ale w tym stanie podniecenia machnął na to ręką, aby nie psuć sobie przyjemności. Dziwne jednak, że w swoim zapale zapomniał o tym, co naprawdę łączy ich z rodziną Brockenhurstów. Najwyraźniej oczekiwano po nich takiego zachowania, jakby nie było żadnego związku, żadnego dziecka. Oczywiście, gdyby Charles Pope rzeczywiście znalazł się wśród gości, należałoby dopuścić Jamesa do sekretu, ale teraz nie ma potrzeby go niepokoić. Wstała.

– Doskonale. Ellis, przynieś mi wachlarz, proszę. Ten nowy, z Duvelleroy<sup>[23]</sup>.

Mimo że James nigdy nie skąpił jej na stroje, Anna niespecjalnie interesowała się modą, miała natomiast szczególną słabość do wachlarzy. Ten z Duvelleroy – misternej roboty, ręcznie malowany – należał do najcenniejszych w jej kolekcji, toteż chowała go na szczególne okazje. Teraz Ellis wsunęła jej go do ręki. Przedstawiał francuską rodzinę królewską, wyniesioną na tron dekadę wcześniej, po

rewolucji<sup>[24]</sup>. Anna przyjrzała się korpulentnemu staremu królowi. Jak długo zdoła utrzymać tę śliską, kłopotliwą koronę? A jak długo ona potrafi zachować swój sekret? Jak długo jeszcze Trenchardowie będą cieszyć się łaskami fortuny, zanim wszystko się im z hukiem zawali?

W jej zadumę wdarł się nagle niecierpliwy głos Jamesa:

– Nie możemy trzymać koni na zimnie.

Rzeczywiście, nie powinni. Przyciskając wachlarz do piersi, starała się zapanować nad nerwami i nadążyć za dziarskim krokiem męża zmierzającego w stronę schodów. Tak bardzo jej zależało, aby James zrozumiał, dlaczego przerwała milczenie. Po prostu nie miała wyboru... Może z czasem jej wybaczy. Ale jeśli kiedyś myślała, że dawno wyrzucił z głowy Sophie i Bellasisa, to jeszcze zanim zeszli na dół, uświadomiła sobie, że jest w błędzie.

– Pamiętaj, co ci mówiłem. – Dotknął lekko jej rękawa. – Masz nie wspominać nikomu o tamtej sprawie. Kategorycznie ci zabraniam.

Skinęła posłusznie głową, chociaż serce jej się ścisnęło. Przecież gdy tylko przedstawią im tego pana Pope'a, James zrozumie, że wszystko się wydało. I znów, chyba po raz setny, poczuła to rozdarcie pomiędzy gniewem a dreszczykiem oczekiwania.

Wkrótce zauważyła, że nie ją jedną przejmuje taki dreszczyk: Susan wyglądała na znacznie bardziej ożywioną niż zwykle. Kasztanowe włosy upięła wysoko, nosiła też imponujący garnitur perłowy, złożony z naszyjnika, bransoletki i kolczyków. Co więcej, wiecznie skwaszoną minę synowej zastąpił uśmiech. Nareszcie udało się jej wdrzeć do twierdzy lepszego świata i zamierzała zrobić z tego jak najlepszy użytek. Trzy dni spędziła u krawcowej, nadając ostatnie szlify swojej kreacji. Może suknia wyszła trochę zbyt dziewczęco, jak na młodą mężatkę, ale w sumie dość ładnie, nawet Anna musiała to przyznać.

– Jaką masz śliczną fryzurę! – skomplementowała synową.

Chociaż bardzo pragnęła dobrze rozpocząć ten wieczór, popełniła błąd. Susan miała we włosach diamentowe gwiazdy, naprawdę bardzo efektowne, ale na widok teściowej zaraz spochmurniała.

– Nie mam diademu. Bo inaczej bym go włożyła.

– Znajdziemy na to lekarstwo – obiecał James ze śmiechem. – A teraz wszyscy na pokład! – I pierwszy ruszył na chodnik, gdzie przy krawężniku czekał już powóz.

Anna postanowiła zignorować uwagę synowej. Mało co tak ją złościło jak ta ustawiczna kontrola: Ile Anna wydała na modystkę? Ile szafirów jest w tej broszce? To jedna ze spraw, które utrudniały jej życie pod jednym dachem z synem i coraz bardziej zachłanną synową.

Ostatecznie minęło siedem minut, zanim oba małżeństwa wysiadły przed Brockenhurst House na rogu Belgrave Square. Z holu ze złożonymi sofami i posadzką z czarno-białego marmuru lokaj skierował ich na olśniewającą klatkę schodową z zielonego marmuru, gdzie stali już rzędem jego zastygli w bezruchu koledzy. Jeszcze przed wejściem do salonu Trenchardowie słyszeli ożywiony gwar.

– Ciekawe, ile osób zaprosili na obiad – szepnęła Susan do męża, zbierając spódnice.

– Z pewnością dom wygląda na zapełniony.

Anna niepotrzebnie obawiała się, że przyjadą za wcześnie. Za podwójnymi drzwiami salonu panował już niezły ścisk. W kłębowisku jasnych jedwabiów i nieznośnie szeleszczących taft Anna rozpoznała kilka postaci, ale większości osób nie знаła. Czekając, aż kamerdyner ich zaanonsuje, wodziła wzrokiem po salonie i pogrążonych w rozmowie grupkach w nadziei, że zobaczy jego. Który to? Uśmiechała się do siebie, pewna, że go rozpozna, chociaż nie miała po temu żadnych przesłanek. Jakiś charakterystyczny szczegół twarzy – zarys podbródka, te piękne, długie jak u Sophii brwi – pomoże jej chyba odróżnić własną krew, nawet w takim tłumie.

– Miło mi państwa widzieć – powitała ich hrabina, wychodząc zza wielkiego wazonu pachnących różowych lilii.

– Lady Brockenhurst...

Anna uświadomiła sobie, że jej głos zabrzmiał nieco bojaźliwie. Wcześniej tak się skupiła na wypatrywaniu Charlesa, że nie mogła myśleć o niczym innym. Lady Brockenhurst zauważyła to spłoszone spojrzenie, którym jej gość rozglądał się po salonie, i całą siłą woli powstrzymywała się, by nie okazać triumfu. Ta kobieta tak długo zachowywała przy sobie sekret istnienia ich wspólnego wnuka! Teraz to ona, Caroline, potrzyma ją w niepewności.

– Co za piękne kwiaty! – Anna próbowała odzyskać równowagę. Najchętniej chwyciłaby tę nieznośną kobietę za ramię i zasypała ją pytaniami. Czy on naprawdę przyjdzie? Jaki jest? Jak, u licha, go odnalazła? Ale zdołała wykrztusić tylko: – I co za boski zapach!

– Rano przywieziono je z Lymington. – Lady Brockenhurst także z upodobaniem grała swoją rolę. – Chyba nie poznałam jeszcze pani męża.

– Lady Brockenhurst – Anna cofnęła się o krok – pozwoli pani przedstawić sobie pana Trencharda.

Nie wyglądał tak, jak spodziewała się Caroline. Wyglądał gorzej. Nie żeby w ogóle się zastanawiała nad jego wyglądem. Wiedziała, że zajmuje się handlem, więc nie robiła sobie wielkich nadziei, ale był jeszcze niższy i znacznie okrąglejszy, niż sądziła. Przez całe lata tyle się nasłuchiwała od siostry o urodzie Sophii, że mogła tylko przypuszczać, iż dziewczyna odziedziczyła ją po matce.

– Lady Brockenhurst, to bardzo łaskawe z pani strony, że zaprosiła nas pani do swojego uroczego domu... – James wykonał coś w rodzaju półukłonu, tyleż niezgrabnego, co niestosownego.

Annie uśmiech zastygł na ustach. Mąż po prostu nie mógł się powstrzymać. Miał w sobie coś uniżonego, służalczego, co nawet po latach wręcz krzyczało, że ani on sam, ani jego żona nie pasują do salonów Belgravii.

– Drobiazg, panie Trenchard. Nie sądzę, aby ten dom miał dla pana jakieś niespodzianki, w końcu to pan go zbudował.

James roześmiał się nieco zbyt radośnie.

– Pozwoli pani, że jej przedstawię: mój syn Oliver Trenchard z małżonką.

Susan wysunęła się do przodu i skłoniła głowę.

– Hrabino, co za piękny salon!

Anna aż drgnęła na tak wulgarne zachowanie.

Lady Brockenhurst odwzajemniła ukłon.

– Pani Trenchard...

Starła się nie zdradzić swoim tonem ani aprobaty, ani nagany. Kobieta była dość ładna: jasnoniebieska suknia i takie same wstążki sprytnie kontrastowały z gęstymi kasztanowymi włosami. Ale hrabinę bardziej zainteresował jej mąż. Więc to jest młodszy brat Sophii! Zbyt młody, by uczestniczyć w tantym balu u księżnej Richmond, ale z pewnością nie na tyle młody, by nie mógł znać jej syna.

– Proszę mi powiedzieć, czy podziela pan zainteresowania ojca?

– Oliver u mnie pracuje – wtrącił James, zanim zobaczył wyraz twarzy synowej. – Chociaż powinienem powiedzieć „ze mną”. Właśnie zaczęliśmy nowy projekt: rozbudowę Wyspy Psów.

Lady Brockenhurst wyraźnie nic ta nazwa nie mówiła.

– Wyspy Psów?

– We wschodnim Londynie.

– Wschodni Londyn? – Hrabina wyglądała na coraz bardziej zaintrygowaną. Zupełnie jakby chodziło o jakąś nowo odkrytą cywilizację na Zanzibarze.

Ale James tego nie zauważył.

– Tworzymy tam nowe nabrzeże z lokalami dla firm, osiedlem dla robotników, a także domami dla kadry kierowniczej i tak dalej. I rozbudowujemy doki, bo brakuje miejsca dla statków. – Anna próbowała ściągnąć go wzrokiem: czy nie mógłby przestać mówić o interesach? Ale wyraźnie nie mógł: – Przy tej ilości towarów z całego świata potrzeba przestrzeni do rozładunku. Im bardziej rozszerza się nasze Imperium, tym..

– Rozumiem. – Lady Brockenhurst uśmiechnęła się kwaśno. – Jak to ciekawie brzmi w pana ustach. Ale zechcą mi państwo wybaczyć? – I pod pretekstem dokonywania dalszych prezentacji pozęgłowała dalej, zostawiając oba małżeństwa Trenchardów przy wejściu do salonu, gdzie nikt z towarzystwa nie raczył zaszczycić ich uwagą.

– Jak można w środku lata palić we wszystkich kominkach! – mamrotała Susan, wachlując się zawzięcie. – Co za duchota! Oliverze, idziemy dalej.

James poruszył się, jakby chciał pójść za nimi, ale Anna dotknęła jego ramienia.

– Wolałabym tu zostać i przyglądać się nowym gościom – wyjaśniła w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie. – Może zjawi się ktoś ze znajomych? – Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy w drzwiach stanęła prześliczna dziewczyna o blond lokach i idealnie białej karnacji, w towarzystwie równie atrakcyjnej matki.

– Hrabina Templemore – zaanonsował kamerdyner. – I lady Maria Grey.

Hrabina miała na sobie pastelową błękitną krynolinę, udrapowaną na podkładce z końskiego włosa, z koronkowym kołnierzem. Ale uwagę całego salonu skupiła na sobie jej córka, której piękna

kremowa suknia odsłaniała ramiona tak gładkie i nieskazitelne jak u jednego z marmurowych posągów lorda Elgina<sup>[25]</sup>. Z rozdzielonych pośrodku, wysoko upiętych włosów wysuwały się dwa pukle, idealnie podkreślające ładną twarz w kształcie serca. Anna patrzyła, jak obie panie torują sobie w tłumie drogę do mniejszego salonu.

– Pan Trenchard?

James obrócił się raptownie. Miał przed sobą jakiegoś nadętego jegomościa w przyciasnym surducie, o nalanej, błyszczącej twarzy z okazałymi siwymi wąsami i długim nosem, na którym popękane poprzeczne żyłki przypominały rozgałęzione drzewo. Krótko mówiąc, człowieka wyraźnie gustującego w późnowieczornych przyjęciach z obfitością porto.

– Jestem Stephen Bellasis – przedstawił się nieznajomy.

– Sir...

– Wielebny pastor Bellasis jest bratem naszego gospodarza – wyjaśniła mężowi Anna, która o rodzinie Brockenhurstów wiedziała już prawie wszystko.

Grace w sukni z rdzawego jedwabiu, pamiętającej z pewnością lepsze czasy, stała sztywno tuż za mężem. Z zaciętymi ustami wodziła trochę nieobecny wzrokiem po zebranych towarzystwie.

– Pani Bellasis – zwrócił się do niej James – pozwoli pani, to moja żona, pani Trenchard.

Grace przyjrzała się uważnie Annie i jej sukni. Udało się jej przywołać na twarz słaby uśmiech, który jednak nie sięgnął oczu.

– Ponoć jest pan człowiekiem Cubitta – zagadnął Bellasis, wysuwając do przodu jedną nogę. – To przez pana ulice Londynu zmieniły się w ciągu jednej nocy w białą kolumnadę?

– Zajęło to nieco więcej niż jedną noc. – James przywykł już do tego rodzaju krytyki. Na salonach Londynu spotykał się z tym zarzutem już wcześniej i nie pamiętał, ile razy musiał rechotać z dowcipu o zarzucaniu stolicy „tortami weselnymi”. – To, co robimy, cieszy się dużą popularnością.

– Bunt i rewolucje także są dziś popularne. To żaden dowód.

– Czyż nie podziwia pan Brockenhurst House?

– Rozmiar i wysokość pokoiów jeszcze ujdą. Ale nie mogę powiedzieć, że wolę ten dom od londyńskiej rezydencji moich rodziców.

– A gdzie się ona znajduje?

– Przy Hertford Street, w Mayfair.

– Ach tak. Ale te nowe domy bardziej się nadają do przyjmowania gości.

– Więc tak pan zbił swoją fortunę? Żerując na ludzkiej skłonności do ostentacji?

Grace wiedziała swoje: Stephen po prostu był zły, że ten osobliwy człowieczek ma znacznie więcej pieniędzy niż oni, ale za nic by się do tego nie przyznał, nawet przed samym sobą.

James zaniemówił, więc Anna uznała, że czas na interwencję:

– Wielkie nieba, ależ tłok w tych pokojach!

Tym razem Grace gotowa była ją wesprzeć:

– Lady Brockenhurst wspomniała, że znali państwo naszego bratanka, lorda Bellasisa.

– Owszem – przyznał James, wdzięczny za ratunek. – Zналиśmy go dość dobrze. Ale to już tyle czasu...

– I byli państwo na tym słynnym balu?

– Jeśli ma pani na myśli bal u księżnej Richmond, to tak, byliśmy tam.

– Jakie to ciekawe! Tamte czasy to już prawie legenda, czyż nie? – Grace uśmiechnęła się; dość już zrobiła, żeby naprawić nietakt męża.

– O tak – zgodziła się Anna. – Legenda i tragedia. Pomyśleć, że akurat lord Bellasis... że ci wszyscy wspaniali młodzi ludzie prosto z tego balu poszli na śmierć...

Stephen zaczynał już żałować swojej impertynencji. Po co pchał się z drugiego końca salonu, żeby obrazić człowieka, który mógł mu się przydać?

– Oczywiście, ma pani rację. Strata Edmunda to straszliwy cios dla rodziny. Teraz już tylko mój syn John może ją uratować od wygaśnięcia, przynajmniej w męskiej linii. O, tam stoi, rozmawia z tą ładną panną w niebieskim.

James spojrział we wskazanym kierunku. Młody człowiek z ożywieniem konwersował z Susan, ta zaś śmiała się perliście, trzepocząc rękami i przesuwając palcem po krawędzi kieliszka z szampanem.

– Ta ładna panna to moja synowa – wyjaśnił, obserwując Johna, który właśnie się pochylił i musnął jej dłoń. – Chyba dobrze się bawią.

– John niebawem ogłosi swoje zaręczyny. – Grace prawdopodobnie chciała uprzedzić podejrzenia, że dzieje się coś nieprzyzwoitego, ale oczywiście wywołała przeciwny efekt.

Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu. Miała nadzieję, że nieszczęsna dziewczyna, kimkolwiek jest, przeczuwa, że bierze sobie zwykłego bawidamka.

– To na pewno wielka radość dla pani.

– Wolnoż poznać nazwisko wybranki? – spytał James, pragnąc koniecznie popisać się znajomością wyższych sfer.

– Lady Maria Grey. – Grace zerknęła w stronę drugiego salonu. – Córka nieżyjącego hrabiego Templemore'a. – Uśmiechnęła się z satysfakcją, bo wszystko już ustalono.

– To doskonała wiadomość – przyznał James z zazdrością. – Prawda, Anno?

Jeśli Anna w ogóle poczuła coś do uroczej panienci, którą niedawno zaanonsowano, to raczej litość: ten fircyk zupełnie na nią nie zasługiwał. Nie odpowiedziała jednak, bo jej uwagę przyciągnął nowy przybysz, który nagle pojawił się w progu: wysoki, ciemnowłosy, o jasnoniebieskich oczach i mocno zarysowanych brwiach. To musi być on. Przecież to wykapany Edmund Bellasis. Mógłby być bliźniakiem swojego ojca. Annie zaschło w ustach, a knykcie zbieleły jej od zaciskania kieliszka. Młody człowiek nadal stał w progu i wyraźnie niespokojny, przebiegał wzrokiem pokój, jakby kogoś szukał.

Lady Brockenhurst szła mu już na spotkanie niespiesznym krokiem, ucinając po drodze dwie

rozmowy. Gdy tylko nieznamy ją zauważył, Anna dostrzegła na jego twarzy widoczną ulgę. Potem oboje ruszyli prosto w jej stronę. Jak powinna zareagować? Co powiedzieć? Tyle razy wyobrażała sobie tę scenę, nie tylko od chwili odebrania listu hrabiny, ale całe lata wcześniej: jak to będzie, kiedy się wreszcie spotkają?

– Pani Trenchard... – W głosie lady Brockenhurst, która sunęła ku niej majestatycznie niczym galeon pod pełnymi żaglami, dawała się wyczuć wyraźna nutka triumfu. – Pani pozwoli, oto mój nowy znajomy, pan Charles Pope.

Ale pan Pope zareagował w zupełnie nieoczekiwany sposób. Zamiast na Annę, skierował wzrok poza jej plecy, na Jamesa, i aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Pan Trenchard! Co pan tu robi?

– Pan Pope! – wybełkotał James, upuszczając kieliszek.

Na brzęk rozbitego szkła ucichły rozmowy i wszyscy zwrócili oczy na grupkę przy drzwiach. Pośrodku niej stał James spocony, zażenowany, z kompletnym mętlikiem w głowie, purpurowymi policzkami i płonącymi wręcz uszami.

Naturalnie jako pierwsza oprzytomniała lady Brockenhurst.

– A to ci dopiero – zauważyła, kiedy podjęto przerwane rozmowy, a dwóch lokajów bezszelestnie i z szybkością huraganu uprzętnęło z parkietu okruchy szkła. – Już myślałam, że pan Pope to wyłącznie mój sekret, a tu nagle okazuje się, że także pana Trencharda! Jakie to zabawne! Długo panowie się znają?

– Nie. Niedługo – odparł z wahaniem James.

– Od pewnego czasu – odpowiedział jednocześnie z nim Charles.

– Niedługo? Od pewnego czasu? – powtórzyła hrabina, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

Anna obróciła się twarzą do męża. Przez te wszystkie lata tylko raz poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w brzuch: kiedy Sophia zawiadomiła ją o swojej ciąży. A teraz znowu... W dodatku tym razem wrażenie było jeszcze bardziej druzgoczące. Dekady wysiadywania na napuszonych obiadach i nudnych przyjęciach, gdzie traktowano ją z góry, jeśli nie z jawną pogardą, uczyniły z Anny mistrzynią ukrywania uczuć, ale takiej miny jak teraz James nie widział u żony przez całe czterdzieści lat ich małżeństwa. Poczucie zdrady i krzywdy, złość na obłudę jedyne go człowieka, którego darzyła zaufaniem – wszystko to dawało się jasno wyczytać w jej wrażliwych szarych oczach.

– Tak, mój drogi, powiedz nam, proszę – odezwała się, gdy tylko odzyskała głos. – Jak długo znasz pana Pope’a?

James starał się, by zabrzmiało to najnormalniej na świecie. Poznał tego pana, kiedy ten zaczął pracować w City. Ojciec Charlesa, stary przyjaciel Jamesa, poprosił go o udzielenie synowi kilku rad w kwestii organizacji życia w Londynie. Młody człowiek zrobił na nim bardzo korzystne wrażenie, więc kiedy zwierzył mu się z zamiaru nabycia przędzalni w Manchesterze, James postanowił mu pomóc zarówno w tym, jak również w nawiązaniu kontaktów z dostawcami surówki bawełnianej.

– A gdzież to się dzisiaj kupuje bawełnę? – spytała lady Brockenhurst, mężnie przyłączając się do

wysiłeków Jamesa, by nadać rozmowie pozory swobody. – Pewnie w Ameryce?

– Ja wolę sprowadzać ją z Indii – odparł Charles.

– A ja kiedyś z Indiami handlowałem – dodał James, bardziej rozluźniony, bo wreszcie na swoim terenie. – Wiem coś niecoś o tym kraju, więc to naturalne, że powinienem spróbować pomóc. – I prawie się roześmiał, jakby dla zademonstrowania swojej łatwości nawiązywania przyjaźni.

– I zrobiłeś to? – zapytała Anna.

– Zrobiłem... co?

– Udzieliłeś pomocy. – Głos miała zimny jak stal.

– Och, i to wielkiej – odpowiedział Charles, nie dostrzegając fruujących w powietrzu strzał. – Rachunkowości uczyłem się w Guildford i tam też rozpocząłem praktykę w handlu, więc oczywiście uznałem się za gotowego na wszystko, ale w Londynie szybko się przekonałem, że gram w zupełnie inną grę. Uratowała mnie interwencja pana Trencharda i to on pomógł mi wystartować. Bez niego na pewno by mi się nie udało. To zresztą jest to samo przedsięwzięcie, które i panią interesuje, lady Brockenhurst.

– W jakim sensie to panią „interesuje”? – zwróciła się Anna do gospodyni.

Ale Caroline nie dała się tak łatwo przyłapać.

– Jaki ten Londyn jest mały, nieprawdaż? – zawołała, klaszcząc radośnie w ręce.

– Wybacz pan, ale nie rozumiem. – Anna nigdy jeszcze nie miała aż takich trudności z opanowaniem gniewu. – Czy pan i pan Trenchard...? – Tu dosłownie zabrakło jej słów.

– Czy jesteśmy współnikami? – pospieszył z pomocą Charles. – W pewnym sensie tak, co bardzo mnie cieszy.

– A jak długo to trwa?

– Dziewięć czy dziesięć miesięcy. Ale pan Trenchard od lat przyjaźnił się z moim ojcem.

– Ojciec pana Pope’a – wtrącił James – poprosił mnie o pomoc dla syna niedługo przed swoją śmiercią. Oczywiście po starej przyjaźni potraktowałem sprawę bardzo poważnie i sprawiło mi to dużą satysfakcję.

Ale lady Brockenhurst już to nie interesowało. Chwyciła Charlesa pod łokieć i pociągnęła go w głąb salonu. Wreszcie miała u boku swojego wnuka, dziecko Edmunda, i nic nie mogło popsuć jej tej chwili.

– Panie Pope – rzekła przymilnie – musi pan poznać lorda Brockenhursta.

Trenchardowie zostali sami. Anna przez chwilę tylko patrzyła mężowi w oczy.

– Posłuchaj... – zaczął jak najłagodniejszym tonem.

– Nie rozmawiam z tobą – szepnęła i odwróciła się, by odejść.

– Ale przecież wiedziałaś, że on tu będzie. Czemu mnie nie uprzedziłaś?

Anna zatrzymała się w pół kroku.

– A ty? – Nie umiała kłamać, najwyraźniej w przeciwieństwie do męża.



– Spodziewałaś się zobaczyć go tutaj – ciągnął, bulwersując się coraz bardziej. – Zaskoczyło cię, że go znam, rozumiem to, ale ty się go po prostu spodziewałaś. Innymi słowy, nie posłuchałaś mojego polecenia i opowiedziałaś wszystko hrabinie.

– Ciszej – syknęła Anna, bo jakaś para obejrzała się w ich stronę.

– Myślałem, że zawarliśmy umowę. – Kark Jamesa znów zaczął purpurowieć.

– Nie masz prawa pouczać mnie na żaden temat – odparła Anna, odchodząc. – Pracujesz z naszym wnukiem i nic mi o tym nie mówisz.

– Nie pracuję z nim, to nie tak. Zainwestowałem w jego przedsięwzięcie. Doradzałem mu. Myślisz, że Sophia by tego nie chciała?

– Panie Trenchard! Tu pan jest, a ja pana szukam... – rozległ się aksamitny głos wielebnego Bellasisa. – Proszę, bardzo proszę, chciałbym pana przedstawić mojemu synowi, Johnowi Bellasisowi.

James miał kompletny mętlik w głowie. Co oznacza obecność Charlesa Pope'a w tym domu? I czemu Stephenowi Bellasisowi tak bardzo zależy, żeby on, James, poznał jego syna? Czy już wszyscy wiedzą, że jest ojcem Sophii i do spółki z lordem Brockenhurstem ma wnuka bękarta? Serce waliło mu jak młotem, kiedy John wysunął się naprzód z wyciągniętą ręką.

Na drugim końcu salonu lady Brockenhurst wprowadzała Charlesa do towarzystwa. Zupełnie jakby koniecznie chciała się nim popisać; gdyby się mniej kontrolowała, pewnie poprosiłaby o ciszę i zaanonsowała jego przybycie wszystkim gościom. Zamiast tego afiszowała się z nim jak z jakimś czempionem, on zaś stał, kłaniając się z uśmiechem, kiedy wymieniała jedno nazwisko za drugim. Tym, którzy dobrze hrabinę znali, owa demonstracja wydała się dziwna; nie należała bowiem do kobiet, które promują faworytów czy wynajdują różne kulawe kaczęta, aby sprzedać je światu jako łabędzie. Pan Pope wyglądał dość sympatycznie jak na kupca i nikt mu źle nie życzył, ale czemu lady Brockenhurst wychwała nagle pod niebo cnoty tego mało znanego handlarza bawełną?

Tuż przed końcem przyjęcia Anna niewiele mogła działać. Krążyła więc tylko wśród gości, wymieniała grzecznościowe uwagi i odliczała minuty do chwili, kiedy będzie jej wolno wrócić do domu. Przedwczesne wyjście mogło wywołać plotki, a to ostatnia rzecz, jakiej Trenchardowie teraz potrzebowali.

Obserwowała lady Brockenhurst, która przedstawiała Charlesa wielkim osobistościom Londynu. Jakiż on jest przystojny! Taki pewny siebie, starannie wykształcony, a zarazem cierpliwym i uprzejmym. Pastor Pope z żoną wyraźnie wpoili mu dobre maniery i dopilnowali edukacji. Jak bardzo Sophia by go kochała! Anna aż pojaśniała z dumy, ale zaraz przywołała się do porządku. Jakie prawo do dumy może mieć babka, która oddała wnuka do adopcji?

Tymczasem John desperacko pragnął uwolnić się od towarzystwa tego absurdalnego człowieczka, który koniecznie chciał mu wyjaśnić zawilosci swoich interesów na East Endzie. Oczywiście Johna interesowały pieniądze jako takie, ale już nie wysiłek związany z ich zarabianiem. Dawno pojął, jakie ma szczęście, że w przyszłości zostanie dziedzicem znacznego majątku. Ojca może fascynować każdy człowiek, który potrafi się dorobić, ponieważ on sam jest do tego niezdolny, ale dla Johna

sprawy mają się inaczej: wystarczy, że poczeka. A zanim się doczeka... któż może go winić, jeśli zechce się trochę zabawić? Hazard nie należał do jego ulubionych rozrywek; widział, jak marnie wyszedł jego ojciec na tej właśnie słabości. John, jeśli już, preferował towarzystwo kobiet – im ładniejszych, tym lepiej. Poza własną sferą dość łatwo mógł je sobie zapewnić, ale w przypadku szanujących się pań skłaniał się raczej ku mężatkom. Znudzone żony szybko się poddawały, a gdy już do tego doszło, nie miały możliwości żądać więcej, niż chciał im zaoferować. Wystarczyła groźba skandalu i zrujnowanej reputacji, by utrzymać w ryzach nawet te najbardziej harde.

Głośne zaręczyny z Marią Grey niezbyt wpłynęły na zmianę jego zwyczajów. Panna była piękna i to go cieszyło. Ale szczerze mówiąc, miała zbyt wiele wymagań, poza tym okazała się większą – skrzywił się na to słowo – intelektualistką, niż mu się początkowo zdawało. Zaczynał podejrzewać, że uważa go za... nudziarza (czy tego właśnie określenia szukał?). Co za fanaberia: żeby taka pannica kręciła nosem na Johna Bellasisa, jedną z najlepszych partii w Londynie, tylko dlatego, że jest trochę zbyt nudny jak na jej gust? W świetle tego wszystkiego, bez względu na obecność Marii w salonie i grożące mu z tego powodu kłopoty, nie mógł pozostać obojętny na oczywiste wdzięki młodej pani Trenchard.

Susan zauważyła, że John przygląda się jej ukradkiem, kiedy gawędziła ochoczo z jakimś dyplomatą z kraju, o którym nigdy nie słyszała. Mrugnął do niej, więc oczywiście powinna wyrazić jakoś swoją dezaprobatę, ale nie było to możliwe, więc tylko zachichotała. Jej towarzysza najpierw to zdziwiło, ale kiedy kątem oka dostrzegł manewry Johna, obraził się i pod pierwszym lepszym pretekstem odszedł.

– Znowu się spotykamy – rzekł John, podchodząc bliżej.

– Doprawdy, panie Bellasis... – Susan uśmiechnęła się rozkosznie, potrząsając wstążkami we włosach. – Przez pana obraził się na mnie ten baron Jakiśtam. Szczerze mówiąc, ja też dałam niezły popis.

– Założę się, że pani zawsze zachowuje się nienagannie... niestety – odparł ze śmiechem. – Szybko! – Wciągnął ją do pokoju karcianego, gdzie było znacznie mniej osób niż w głównym salonie. – Ten okropny nudziarz właśnie szedł w naszą stronę, a ostatnio przez pół godziny nie mogłem się go pozbyć.

Susan powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Ten nudziarz to mój teść.

– Biedactwo!

– Już wiem, co z pana za typ. Przy takich jak pan zawsze coś każe mi mówić to, czego absolutnie nie powinnam.

– A ja mam nadzieję sprawić, że pani nie tylko powie, lecz także zrobi to, czego absolutnie nie powinna.

Patrzył znacząco w jej oczy, Susan zaś zaświtało w głowie, że właśnie wchodzi do bardzo głębokiej wody. John zastanawiał się, czy powinien odważyć się na dalszy krok. Raczej skłaniał się ku myśli, że jak na jeden wieczór to zupełnie wystarczy. To ładna kobietka i nie wygląda na taką nie

do zdobycia, ale nie ma pośpiechu. Przez cały spędzony wspólnie czas tylko przelotnie napomknęła o mężu, więc z łatwością sklasyfikował ją jako znudzoną żonę. Teraz jednak powinni się już rozdzielić. Nie ma sensu, żeby o nich gadano, zanim w ogóle do czegoś dojdzie.

Maria Grey krążyła po salonach właściwie trochę bez celu. Matka rozmawiała właśnie z podstarzałą ciotką, więc zamiast słuchać nudnych uwag o tym, że tak bardzo urosła od ich ostatniego spotkania, postanowiła przyjrzeć się lepiej portretowi młodej hrabiny Brockenhurst nad kominkiem. Wkrótce jednak zrobiło się jej tak gorąco od buzującego ognia, że uciekła na taras.

– Przepraszam – rzekła, wychodząc na chłodne powietrze czerwcowej nocy. – Nie chciałam panu przeszkodzić.

Charles Pope obejrzał się na odgłos kroków.

– Ależ nic się nie stało. Obawiam się, że to raczej ja pani przeszkadzam. Jeśli szuka pani samotności...

– Nie.

– Ale pani matka pewnie wolałaby, żeby pani była tu sama. A przynajmniej nie w towarzystwie obcego mężczyzny, którego pani nie przedstawiono.

Marię zaintrygował ten człowiek.

– Matka właśnie rozmawia z moją cioteczną babką, która tak łatwo jej nie puści.

Tym razem Charles się roześmiał.

– W takim razie przedstawmy się sobie sami. Jestem Charles Pope. – Wyciągnął do niej rękę, którą uścisnęła.

– Maria Grey.

Na chwilę zapadła cisza i oboje zpatrzyli się w plac na dole. Na chodnikach było prawie pusto, ale wzdłuż jezdni stały rzędy powozów. Konie od czasu do czasu grzebały kopytami w ziemi, a znajomy zgrzyt podków o kamienie docierał aż na taras.

– A więc czemu pan się tu ukrywa?

– Czy to takie oczywiste?

Maria przyłapała się na studiowaniu jego twarzy. Nie da się zaprzeczyć, był naprawdę przystojny, a w przeciwieństwie do Johna chyba sobie tego nie uświadamiał.

– Widziałam, jak nasza gospodyni oprowadza pana po salonach, i szczerze panu współczułam. Skąd pan zna Brockenhurstów? Jest pan ich krewnym?

– Och nie. – Charles patrzył na tę śliczną dziewczynę, która wydawała się taka ufna wobec niego, zupełnie obcego w tej sferze. – To dla mnie zdecydowanie za wysokie progi. Jestem kimś zupełnie zwyczajnym.

Chyba się nie przejęła tym wyznaniem.

– Cóż, lady Brockenhurst najwyraźniej jest innego zdania. Nigdy dotąd nie widziałam jej tak ożywionej. To raczej nie w jej stylu.

– Rzeczywiście się mną interesuje, chociaż nie umiałbym powiedzieć dlaczego. Chce

zainwestować w pewne moje przedsięwzięcie.

A to już prawdziwa rewelacja! Marii prawie zabrakło tchu.

– Lady Brockenhurst inwestuje pieniądze w jakiś interes? – Równie dobrze mógłby jej oznajmić, że ich gospodyni wybiera się na księżyc.

– Też tego nie rozumiem, ale bardzo się zapaliła do tego pomysłu.

– A co to za pomysł?

– Kupiłem w Manchesterze przędzalnię. Teraz potrzebuję dostaw surowej bawełny, a co za tym idzie, także środków na jej zakup. Na fabrykę wziąłem kredyt i uważam, że opłaci mi się go zmniejszyć, zwiększając dług wobec hrabiny, jeśli tylko wyrazi na to zgodę. Bo na końcu głównie ona na tym zyska, tego jestem pewien.

– Oczywiście. – Wzruszyło ją, jak bardzo mu zależy, by dobrze wypaść w jej oczach.

On zaś widział jej zdumienie. Czy popełnił jakąś niezręczność? Skąd to nagłe zainteresowanie jego przedsięwzięciami handlowymi u pięknej młodej dziewczyny? Czy nie wbijano mu do głowy, żeby nigdy nie rozmawiał o pieniądzach, tym bardziej z damą?

– Nie wiem, po co w ogóle o tym mówię. Ale to już chyba wszystko, co powinna pani o mnie wiedzieć.

– Niezupełnie. – Badała go uważnie wzrokiem. – Podobno produkcja bawełny w Indiach kompletnie leży, a koszt transportu sprawia, że nie opłaca się jej sprowadzać. Czy większość przędzalni nie korzysta z bawełny amerykańskiej?

Teraz z kolei on się zdumiał.

– Na Jowisza, skąd pani to wszystko wie?

– Interesuję się Indiami – odparła z uśmiechem, zadowolona, że udało się jej go zaskoczyć. – Mój wuj był gubernatorem Bombaju. Niestety byłam za młoda, by móc go odwiedzić przed upływem kadencji, ale on do dziś nie przestaje mówić o nieszczęściach i zaletach tego kraju. Czyta tamtejsze gazety, chociaż odbiera je z trzymiesięcznym opóźnieniem.

Słuchając, podziwiał biel jej równych zębów.

– Nigdy tam nie byłem, ale uważam Indie za kraj o dużej przyszłości.

– W ramach Imperium. – Czy jej ton sugerował, że się z nim zgadza? Trudno powiedzieć.

– Oczywiście, na razie w ramach Imperium, ale nie na zawsze. Jak się nazywa pani wuj?

– Lord Clare<sup>[26]</sup>. Przebywał w Indiach od tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego do tysiąc osiemset trzydziestego piątego roku. Przywoził najpiękniejsze na świecie jedwabie i wprost olśniewające kamienie szlachetne. Wie pan, że mają tam studnie, w których do lustra wody jest aż tysiąc stopni? A w niektórych miastach na niebie roi się od latawców. I są świątynie ze złota. Słyszałam też, że nie grzebią swoich zmarłych tak jak my, tylko ich palą, a prochy wrzucają do rzeki. Zawsze chciałam pojechać do Indii.

Charles patrzył w jej przejrzyste niebieskie oczy, podziwiał miękkość warg i kształt zdecydowanego podbródka. Nigdy dotąd nie poznał kogoś tak ujmującego.

– Wie pan, z którą częścią Indii będzie miał do czynienia?

– Nie bardzo. Z północną, jak sędzę.

– Ach. – Entuzjazm zabarwił jej policzki i Charles po raz kolejny uznał, że jest po prostu prześliczna. – Gdybym ja miała kiedyś wybrać się do Indii, koniecznie chciałabym zobaczyć Tadz Mahal<sup>[27]</sup> w Agrze. – Westchnęła na samą myśl. – Mówi się, że to najpiękniejszy na świecie pomnik miłości. Kazał go wznieść cesarz z dynastii Mogołów, przejęty żalem po śmierci ukochanej żony. Niestety miał więcej żon, co u nas oczywiście bardzo się potępia. – Teraz już śmiali się oboje. – Ale ta była najukochańsza. Podobno marmur, z którego zbudowano owo mauzoleum, zmienia kolor w zależności od pory dnia – od różowego o poranku i mlecznobiałego wieczorem do złocistego w blasku księżyca. Legenda głosi, że odcień odzwierciedla nastrój kobiety, która na niego patrzy.

Charles słuchał jej, kompletnie oczarowany. Ten sposób poruszania się, mówienia, rozum, wdzięk, a zarazem nieświadomość własnej urody...

– A mężczyźni? Co im ten pomnik ma do powiedzenia?

– Że kiedy utracą tę właściwą kobietę, będzie im bardzo trudno ją zastąpić.

Ciągle jeszcze się śmiali, kiedy zza ich pleców rozległ się głos:

– Mario?

Dziewczyna szybko się obróciła.

– Mama!

W progu stała lady Templemore.

– Proszą nas na kolację – rzekła, mierząc Charlesa spojrzeniem. To jasne, że się jej nie spodobał.

– Pora poszukać Johna. Prawie z nim dzisiaj nie rozmawiałam.

Chwilę później już ich nie było. Charles stał, gapiąc się na miejsce, gdzie wcześniej siedziała Maria. Marzenia przerwała mu dopiero lady Brockenhurst, która uparła się na jego towarzystwo przy kolacji.

Goście tłoczyli się już w jadalni, gdzie czekały na nich okrągłe stoliki z lnianymi obrusami i srebrnymi kandelabrami. Rozstawiono na nich pięknie udekorowane talerze oraz karafki z rżniętego szkła. Charles nigdy dotąd nie widział czegoś tak wystawnego. Wiedział, że w wyższych sferach wszystko odbywa się jak należy i że lady Brockenhurst słynie ze swoich przyjęć, ale nie spodziewał się aż takiej fety.

– Panie Pope, pan siedzi przy mnie – zarządziła hrabina. Oprócz nich przy stoliku siedziały tylko cztery osoby. Rozglądał się gorączkowo po sali, czując, że się czerwieni. Z pewnością gospodyni zechce posadzić kogoś innego na honorowym miejscu. A jednak z zachęcającym uśmiechem poklepała wachlarzem krzesło tuż obok siebie, więc nie pozostało mu nic innego, jak spełnić jej życzenie. Lokaje krążyli po sali, w miarę jak goście to wchodzili, to wychodzili, i wkrótce Charles zanurzył łyżkę w talerzu z zupą na zimno. Na drugie podano mus z łososia, następnie przepiórki, sarninę, ananasy, lody, a na koniec owoce kandyzowane. Wszystko zgodnie z nową modą *à la Russe*: lokaje wnosili kolejne danie i stojąc z lewej strony gościa, czekali, aż sobie nabierze na talerz.

Hrabina przez cały czas wyglądała na zachwyconą, ciągle włączała Charlesa do rozmów, raz nawet przerwała własnemu mężowi, żeby móc do końca wysłuchać planów młodego człowieka.

– Co ta moja bratowa sobie myśli? – skarżył się Stephen Bellasis synowi. Ponieważ siedzieli po obu stronach Anny Trenchard, ta, siłą rzeczy, czuła się wciągnięta w ich rozmowę, chociaż wcale sobie tego nie życzyła. – Czemu robi tyle zamieszania wokół tego nudziarza?

– Też tego nie rozumiem – zgodził się John.

– Na tej sali jest co najmniej trzech ksiąząt, ale kiedy spojrzeć na stolik gospodyni, kogo się widzi po jej prawej ręce? Kto to w ogóle jest? – Złość nie przeszkadzała Stephenowi w zmaganiach z niedopieczoną przepiórką.

– Myślę, że nasza sąsiadka zna odpowiedź. Czyż to nie pracownik pani męża?

Annę zaskoczyło to pytanie, bo młody pan Bellasis nie zdradził się dotąd ani słówkiem, że wie, kim ona jest.

– Nie, ten pan pracuje wyłącznie na własny rachunek. Ale znają się z moim mężem, więc mogą mieć jakieś wspólne interesy.

– Więc nie może pani wyjaśnić, skąd u lady Brockenhurst ta fascynacja?

– Niestety nie.

Anna spojrzała w stronę stolika gospodyni. Caroline Brockenhurst prowadziła jakąś niebezpieczną grę. Nawet John Bellasis zauważył, z jaką atencją odnosi się do wnuka, i Annę bardzo to niepokoiło. Czy lord Brockenhurst wie? Jeśli nie, to jak długo to potrwa, skoro jego żona zamierza być tak niedyskretna? Jak długo w ogóle sekret się utrzyma? Czy już niebawem reputacja Sophii legnie w gruzach, podobnie jak cały dorobek ich życia? Spojrzała na męża. James siedział po przeciwnej stronie, mając po jednej ręce Olivera, a po drugiej tę okropną Grace. Teraz, pochwycawszy jej wzrok, skinął dyskretnie głową na znak, że dostrzega niebezpieczeństwo.

– Przypuszczam, że pańską ciotkę interesuje przedsiębiorstwo pana Pope'a – zasugerowała po chwili Anna, rezygnując z przepiórki. Szkoda, że nie poprzestała na musie z łososia, przynajmniej był miękki i łatwy do przełknięcia. Zresztą i tak prawie nic nie jadła.

– Ja też prowadzę interesy z miejscowym rzeźnikiem – oburzył się John – ale nie zapraszam go na kolacje.

– Nie sądzę, aby pan Pope należał do tej samej kategorii co rzeźnik – zauważyła Anna, starając się, aby zabrzmiało to jak najbardziej dyplomatycznie.

– Doprawdy? – John uśmiechał się właśnie do Susan, siedzącej w drugim końcu sali. Zabrakło dla niej miejsca przy tym stole, więc chociaż bardzo ją to rozgniewało, próbowała kontentować się towarzystwem kilku polityków, którzy kompletnie nie zwracali na nią uwagi. Teraz jednak, na widok uśmiechu Johna, gotowa była śpiewać z radości.

Dopiero przed samym końcem przyjęcia Annie udało się zamienić kilka słów na osobności z gospodynią, a i po to musiała ją przyłapać na podeście głównych schodów i wciągnąć za kolumnę,

do niszy okiennej.

– Co pani wyprawia? – szepnęła.

– Staram się poznać wnuka, którego pani ukrywała przede mną przez ćwierć wieku.

– Ale dlaczego tak na oczach wszystkich? Nie widzi pani, że połowa gości zadaje sobie teraz pytanie, kim może być ten nieznajomy?

Hrabina uśmiechnęła się zimno.

– Oczywiście. Dla pani to musi być przykre.

Nagle Anna zrozumiała, że wpadła w pułapkę. Lady Brockenhurst obiecała wprawdzie zachować tożsamość Charlesa w sekrecie, i honor nakazuje jej dotrzymać słowa, ale nie ma nic przeciwko temu, aby inni sami się wszystkiego domyślili. Jej syn wdał się przed śmiercią w przelotny romans. Czy flirt przedmałżeński to rzeczywiście coś niewybaczalnego? Przecież w tym salonie na palcach jednej ręki można zliczyć panów bez podobnych doświadczeń. Nieślubne potomstwo dżentelmena, tak samo jak przed wiekami, przedostaje się z łatwością na salony, nie jest to nic nowego. A jeśli ktoś otwarcie zada pytanie, to chyba pani Trenchard nie oczekuje, że lady Brockenhurst dopuści się kłamstwa? Sama z siebie niczego nie zdradzi, ale przecież nie zaprzeczy.

– Pani chce, żeby się domyślili! – wypaliła Anna, której właśnie łuski spadły z oczu. – A my mamy być tego świadkami.

Lady Brockenhurst patrzyła na nią spokojnie. Nie czuła już do tej kobiety takiej niechęci jak na początku. To ta Trenchard doprowadziła ją do Charlesa i za to ona, Caroline, winna jej wdzięczność, a przynajmniej wybaczenie. Zerknęła szybko na hol.

– Chyba Cathcartowie wychodzą. Pani wybaczy, muszę ich pożegnać. – I spłynęła ze schodów tak lekko, jakby ledwie muskała ich powierzchnię.

Jazda na Eaton Square zdawała się wiecznością. Wszyscy pasażerowie powozu byli tak pełni wrażeń, że nikt nawet nie zaczynał rozmowy. Stangret Albert Quirk zwykle bardziej interesował się zmianami pogody i mocą koniaku w swojej flaszcze niż dziwactwami rodziny chlebobawców, ale tej nocy nawet on zwrócił uwagę na ich nastrój.

– Jeśli tak zachowują się na przyjęciach – zwierzał się potem pani Frant, pijąc z dużego kubka herbatę przy stole w sali dla służby – to już lepiej niechby siedzieli w domu. Nieprawdaż, panno Ellis?

Ale pokojowa, zajęta przyszywaniem guzika, nie raczyła mu odpowiedzieć.

– Nic pan z niej nie wyciągnie – rzekła kwaśno pani Frant.

– I bardzo słusznie, taka powinna być pokojowa pani – zauważył Quirk, który dość lubił Ellis.

James uznał, że najlepszą formą obrony jest atak. Przyłapany na sekretnych kontaktach z Charlesem, postanowił winę za wpadkę zrzucić na żonę. Gdyby dochowała tajemnicy, nic takiego by się nie stało. Co oczywiście było prawdą, a poza tym rozgrzeszało go z podwójnego życia, zawarcia znajomości z własnym wnukiem i radości z jego towarzystwa bez informowania o tym żony.

Anna nie mogła na niego patrzeć. Czowała się tak, jakby męża, którego znała i kochała, porwały jakieś złe duchy, podrzucając na jego miejsce wroga.

Oliver też miał pretensje do żony, ale raczej z tradycyjnych powodów. Susan ignorowała go przez cały wieczór, flirtując zawzięcie z Johnem Bellasisem, który Olivera ledwie raczył zauważać. Ojciec także doprowadzał go do białej gorączki. Kto to jest ten Pope? I dlaczego ojciec tak się rozpromienia, gdy tylko ten typek wchodzi do pokoju?

Co do Susan, to z jednej strony czuła się załamana plebejskością rodziny, do której weszła, a z drugiej oczarowana światem swoich marzeń, który nareszcie pozwolono jej zobaczyć. Te salony, te schody, galerie, sale jadalne – wszystko takie przepastne i wspaniałe, a wśród tego przepychu same znakomitości o nazwiskach jak z podręcznika historii Anglii... A do tego jeszcze John Bellasis. Zerknąwszy na Olivera, na jego nalaną, naburmuszoną gębę, od razu spostrzegła, że mąż szykuje się do awantury, ale się tym nie przejęła, bo wciąż miała przed oczami tę inną twarz, na którą patrzyła zaledwie kilka minut wcześniej. Wiedziała, że Oliver jest wściekły, ale to dlatego, iż nie przywykł do zwyczajów panujących w modnym świecie. Nikomu tam nie przyszłoby do głowy mieć za złe szanowanej mężatce, że pozwala sobie na mały flircik z przystojnym i dowcipnym nieznajomym. Zastanowiła się nad tym słowem: czy on na zawsze pozostanie nieznajomym? Czy Susan nie dowie się już niczego więcej o Johnie Bellasisie?

Powóz stanął – dojechali do domu.

– Dziękuję, Williamie, dalej już sobie poradzę. Możesz odejść. – Oliver uwielbiał zwracać się do służby tak, jakby grał na scenie teatru Haymarket. Ale Billy zdążył do tego przywyknąć i wręcz polubił swoją rolę pokojowca. Nawet pokojowca pana Olivera. Zawsze to jakaś odmiana po czyszczeniu sreber i usługiwaniu do stołu, poza tym, jeśli kiedyś zdecyduje się odejść, będzie mu łatwiej znaleźć pracę już jako pokojowiec z praktyką. To niewątpliwie krok we właściwym kierunku.

– Doskonale, proszę pana. Czy życzy pan sobie, abym obudził go rano?

– Przyjdź o dziewiątej. Spóźnię się do pracy, ale chyba po tym, co przeżyłem dziś wieczorem, powinni mi wybaczyć.

Oczywiście Billy tylko czekał na więcej szczegółów, ale pan Oliver przebrał się już w szlafrok, więc okazja przeszła koło nosa. Może spróbuje wrócić do tematu następnego dnia. Skłonił się lekko i wycofał za drzwi, zamykając je cicho za sobą. Oliver odczekał chwilę, pograżając się w coraz większej irytacji dosłownie na wszystko: na Susan, Charlesa Pope'a, tego durnego pokojowca, który nawet nie był żadnym pokojowcem, tylko lokajem. Potem, kiedy uznał, że Billy musiał już opuścić galerię, wymknął się z garderoby i bez pukania pchnął drzwi do sypialni Susan.

– Och! – Przynajmniej udało mu się ją przestraszyć. – Myślałam, że już się położyłeś.

– Co za okropny wieczór! – Wyrzucił te słowa z siebie, czując się, jakby wyciągnął szpunt z beczki.

– Według mnie było miło. Trudno narzekać na towarzystwo – chyba zebrała się tam połowa gabinetu... I z całą pewnością widziałam markizę Abercorn rozmawiającą z ministrem spraw



zagranicznych. Przynajmniej tak myślę, że to ona, tylko znacznie piękniejsza niż na tym portrecie wyrytym w...

– To był koszmar! I ty też się do tego przyczyniłaś!

Susan zrobiła głęboki wdech. Zanosilo się na kolejną burzliwą noc. Widziała, że pokojowa Speer zastygła w bezruchu przy drzwiach, żeby tylko o niej zapomnieli, ale nie z Susan takie sztuczki.

– Możesz odejść, Speer. – Starala się mówić spokojnym, wręcz lekkim tonem. – Niedługo po ciebie zadzwonię.

Zawiedziona służąca wyszła i dopiero wtedy Susan zwróciła się do męża:

– No więc o co ci chodzi?

– Wiedziałybyś, gdybyś przez cały czas nie gapiła się w oczy tego wyperfumowanego bubka.

– Pan Bellasis używa perfum? Nie zauważyłam. – Ale ta uwaga ją zainteresowała, bo najwyraźniej nie John był główną przyczyną gniewu męża.

– Zachowuj się jak dziwka, to tak cię potraktują. Nie myśl sobie, że masz *carte blanche* tylko dlatego, że jesteś jałowa.

Susan przez chwilę zbierała myśli w milczeniu. Robiło się bardziej nieprzyjemnie, niż się spodziewała. Obrzuciła męża zimnym spojrzeniem.

– Powinieneś iść spać. Jesteś zmęczony.

Oliver żałował swoich słów. Znała go na tyle dobrze, by to dostrzec. Ale jak to Oliver, nie potrafił przeproszać, to było wykluczone. Zamiast tego zmienił ton.

– Kto to w ogóle jest ten Pope? Skąd on się wziął? I dlaczego ojciec inwestuje w jego przedsiębiorstwo? Czy kiedykolwiek zainwestował w moje?

– Ty nie masz żadnego przedsiębiorstwa.

– Więc po prostu we mnie. I dlaczego lady Brockenhurst wodziła go cały czas po salonach jak konia na wystawie? Jak mu się to udało, skoro do nas nawet nie raczyła się odezwać? – Krztusił się własnymi słowami i Susan przez chwilę się bała, że się rozpłacze.

Oliver znów zaczął krążyć po pokoju. Susan śledziła go wzrokiem, rozmyślając o swoich wrażeniach z Brockenhurst House. Naprawdę dobrze się bawiła, John był dla niej taki miły! Od lat nie czuła się tak atrakcyjna i okazało się to bardzo przyjemne.

– Podobał mi się ten pastor... – Umknęło jej nazwisko, więc spojrzała pytająco na męża. – Bellasis, no tak. Ojciec pana Bellasisa. Wydali mi się sympatyczną rodziną. – Starala się ukazać swoją długą i bardzo widoczną dla wszystkich rozmowę z Johnem jako coś zupełnie niewinnego. Na szczęście Olivera tak pochłaniała złość na pana Pope'a, że przyjął jej niewypowiedziane wyjaśnienie do wiadomości.

– Wiesz, kim on jest? To znaczy oprócz tego, że jest ojcem tego fircyka.

– A powinnam? – Nie była pewna, dokąd ich ta rozmowa doprowadzi.

– Wielebny pastor Bellasis...

Przyjrzał się jej uważnie. Naprawdę nie wiedziała, kim jest ten człowiek? On sam nie był aż tak

leniwy, by odkąd ojciec obrósł w piórka, nie sprawdzić tego i owego. Dawno już zrozumiał, jaka prawda kryje się za legendą większości arystokratycznych rodów, ale myślał, że Susan mu w tej drodze towarzyszy. Przecież musiała coś słyszeć...

– To młodszy brat lorda Brockenhursta. I jego dziedzic, ale sądząc z wyglądu, raczej nie doczeka spadku, więc wszystko przypadnie synowi, Johnowi właśnie.

– John Bellasis będzie następnym... – Susan zjeżdżała właśnie z cukrowej góry swoich marzeń, zagubiona we własnych fantazjach.

– Tak, tak, następnym hrabią Brockenhurst. Jedyne dziecko obecnego hrabiego zginęło pod Waterloo i nie ma nikogo innego.

Dochodziła trzecia, kiedy lady Brockenhurst zasiadła w końcu przed lustrem i zaczęła odpinać diamentowe kolczyki.

– Chyba wszyscy się cudownie bawili, proszę jaśnie pani – zauważyła Dawson, wyjmując ostatnią szpilkę z jej włosów i odkładając na bok ciężki diadem. Caroline potrząsnęła głową. Lubiła swoje klejnoty i miała słabość do przepychu, ale czuła wielką ulgę, kiedy mogła się od nich uwolnić. Podrapała się po głowie z uśmiechem.

– Tak, wszystko dobrze poszło.

Rozległo się delikatne pukanie i w drzwiach ukazała się głowa lorda Brockenhursta.

– Mogę wejść?

– Proszę.

Peregrin opadł na najbliższy fotel.

– Co za ulga, że już sobie poszli!

– Właśnie mówiliśmy, jak się wszystko udało.

– Tak sędzę. Ale wciąż tylko wymieniano uwagi na temat zdrowia tego czy tamtego, gadano o ciąży królowej albo o tym, dokąd się wybrać na lato. Kim był ten gość od handlu bawełną? I co on u nas robił?

Caroline badała w lustrze twarz męża. Czyżby się domyślił? Czy mógł nie zauważyć, jak bardzo Charles przypomina ich pięknego Edmunda? Te oczy. Te długie palce. Ten uśmiech. Przecież to wykapany Bellasis, czy to nie oczywiste?

– Masz na myśli pana Pope'a?

– Pope? Tak się nazywa? – Peregrin pogładził wąsy i lekko się skrzywił. Buty go trochę uwierały. – Rzeczywiście – zauważył, zatrzymując wzrok na jednej z akwarel swojej żony – sympatyczny, o wiele bardziej interesujący od tych bab, przy których posadziłaś mnie podczas kolacji, ale nadal nie rozumiem, co on robił w naszym salonie.

– Zaciekawiał mnie.

– Ale dlaczego?

– Cóż... – Caroline urwała, a Dawson zastępną w oczekiwaniu z przechyloną na bok głową

i szczotkami w rękach. Chwile, kiedy pomagała pani rozebrać się po wieczorze w towarzystwie, stanowiły najbardziej interesujący aspekt jej pracy. Wino zawsze rozwiązywało języki, a „kąski” pozyskane przy tych okazjach uważano za cenną walutę podczas rozmów w sali dla służby. – Widzisz, mój drogi...

Nagle Caroline uchwyciła wzrok Dawson i ugryzła się w język. Niczego bardziej nie pragnęła, jak wyznać mężowi prawdę, ale przecież dała słowo. Czy obowiązuje ono także wobec małżonków? Czy trzymając coś w sekrecie przed mężem, nie łamie się jakiegoś przykazania? Czyż tak nie stoi w Biblii? Ale nawet jeśli to prawda, Caroline nie uważała za stosowne wprowadzać Charlesa w swój świat na fali plotek służących. Dawson może być dyskretna z zasady, jednak nigdy nie można być stuprocentowo pewnym pokojowej. Może rozgadać wszystko na całą Belgravię, zanim chłopak od rzeźnika pojawi się o piątej rano z bekonem. Służba naprawdę bywa gorsza od szczurów, łązi między domami, przekazując Bóg raczy wiedzieć co i komu. Caroline wiedziała, jak dużo gadają na dole nawet ci najbardziej lojalni. Dlatego nie, nic na razie nie powie, a później się zobaczy. Tak więc zrobiła to co zwykle w sytuacjach, gdy sprawy zaczynały się komplikować – zmieniła temat:

– Maria Grey wyrosła na śliczną pannę. Dawniej wydawała się taka poważna, zawsze z nosem w książce, a teraz wygląda czarująco.

– Uhm – zgodził się Peregrin. – Szczęściarz z tego Johna. Mam nadzieję, że na nią zasługuje. – Zsunął buty i próbował zebrać siły, by dojść do łóżka. – Widać, że stara się jakoś żyć dalej po śmierci ojca.

– Co za straszna historia.

Dawson znów wzięła się do rozplątywania tresek swojej pani. Słyszała już wcześniej o tym, jak lord Templemore spadł na polowaniu z konia i rozbił sobie głowę o kamień.

– Lady Templemore wychwala Reggiego pod niebiosa – ciągnęła Caroline.

– Reggiego...?

– Ich syna. Mówiła mi, że to on teraz prowadzi sprawy posiadłości, a przecież ma zaledwie dwadzieścia lat. Wprawdzie mają dobrego pełnomocnika, ale mimo wszystko...

Peregrin chrząknął.

– Będzie potrzebował kogoś więcej niż dobrego pełnomocnika, jeśli chce uniknąć licytacji. Z tego, co mi wiadomo, ojciec zostawił posiadłość zadłużoną ponad wszelkie wyobrażenie.

Caroline westchnęła współczująco.

– A jednak i matka, i córka wystąpiły dziś w nowych sukniach. Trochę mnie to zdziwiło. Ale pewnie wiedziały, że będzie John i nie chciały wyglądać na zbyt ubogie w oczach przyszłego narzeczonego.

Peregrin oparł głowę na dłoniach, ogarnięty nagle falą smutku. Może to się wiąże z nadejściem lata i tą wyczuwalną w powietrzu nadzieją. Ludzie chodzą na jedną galę za drugą, wszyscy snują plany ucieczki od miejskich upałów... A patrząc dziś na Johna flirtującego z ładną synową tego dziwnego Trencharda... Ileż on ma lat? Trzydzieści dwa, trzy? Całkiem niedużo. Edmund miałby dziś czterdzieści osiem, wciąż jeszcze byłby w kwiecie wieku. Ale on nie wyjedzie na północne

wybrzeże Francji ani nad włoskie górskie jeziora. Leży zamknięty w grobie, jak ci wszyscy waleczni młodzieńcy, którzy zginęli tamtego czerwcowego ranka, wiele lat temu. Dawniej Peregrin myślał, że przeprowadzka do nowego domu przy Belgrave Square, z tymi wspaniałymi salonami w sam raz na wytworne przyjęcia, tchnie w nich nowe życie, nową energię. Dziś jednak poczuł, że stało się coś wręcz przeciwnego. Widok tej frywolności, tych strojów, diamentów, gwar rozmów służył wyłącznie jako ilustracja bezsensu ludzkiego życia, które zawsze kończy się w zimnym, samotnym grobie. I z tą myślą podniósł się z wysiłkiem i ruszył do drzwi.

– Lepiej już się położyć. Jutro mam ciężki dzień.

Caroline wyczuła jego smutek; wisiał w powietrzu niczym czarna chmura. Tak bardzo chciała przekazać mu dobrą nowinę, zwłaszcza teraz, kiedy nabrała pewności. Edmund miał syna. Znow jest ktoś, kogo możemy pokochać.

– Mój drogi... – Obejrzał się. – Śpij dobrze. Może jutro wszystko będzie wyglądać inaczej.

James Trenchard umierał ze strachu przed jutrem. A także przed następnym dniem, skoro już o tym mowa. Bo jak długo potrwa, zanim wybuchnie skandal? To było jak powolne tykanie zegara, przybliżające coraz bardziej Dzień Sądu, myślał, leżąc w łóżku i gapiąc się na biały gzyms pod sufitem. Czuł się niczym żołnierz, który czeka na wybuch granatu. Nic dziwnego, że nie może zasnąć. Czuwał tak już od godziny, wsłuchując się w ciszę. Wiedział, że Anna także nie śpi. Leży sztywno, plecami do niego, ale on i tak czuje, jaka jest spięta.

Weszli do domu w milczeniu i James od razu zniknął w garderobie. Anna wyprowadziła psa, a potem udała się prosto do siebie. Nigdy nie była zbyt gadatliwa, ale nawet Ellis zaskoczyło to milczenie. Nie pomogło ostrożne zagadywanie na temat przyjęcia, toteż pokojowa wyszła zaraz po dopełnieniu swoich obowiązków. Zanim zjawił się James, Anna leżała już w łóżku, szczelnie owinięta kołdrą, z psem w ramionach, i udawała, że śpi. Stał bosy, w nocnej koszuli i już zamierzał wrócić do swojej wspaniałej sypialni, co zdarzyło mu się zaledwie kilka razy w ciągu czterdziestu lat małżeństwa, ale jednak się położył, zdmuchnął świecę i leżał teraz na wznak z otwartymi oczami. Nie ma sensu unikać scysji, która musi nastąpić, skoro każde z nich obwinia drugą stronę. Oboje kipieli gniewem, wściekli na podstępne, dwulicowe zachowanie tego drugiego.

– Charles na pewno już wie – zauważył wkrótce, niezdolny utrzymać języka za zębami.

– Nieprawda! – Anna poderwała się w łóżku, wytrącając psa ze snu.

Widziała profil męża w świetle ulicznej latarni gazowej. Czasem żałowała tej absolutnej ciemności, która ogarniała w nocy miasto za jej młodych lat. Przez to wszechobecne przyćmione światło wydaje się, że na świecie panuje permanentny zmierzch. Ale rzeczywiście w Londynie zrobiło się bezpieczniej.

James jeszcze nie skończył.

– Posadziła go obok siebie przy stole. Po prawej ręce. Wszyscy to widzieli, a już na pewno reszta rodziny Bellasisów. Równie dobrze mogłaby to ogłosić w „Timesie”. Chciała po prostu ściągnąć na niego uwagę, a po co miałyby to robić, jeśli nie po to, by szydło wyszło z worka? Gdyby nawet

Charles nie domyślił się jeszcze prawdy, to teraz jest to kwestia dni, jeśli nie godzin.

– Od jak dawna utrzymujesz z nim kontakt?

James nie raczył odpowiedzieć, kontynuował swój wywód:

– Skąd wiesz, że już mu nie powiedziała? Po co przyjmowałaby zaproszenie, jeśli nie dlatego? On musi już wiedzieć. Tacy jak Charles Pope nie dostają zaproszeń na kolacyjki do domów przy Belgrave Square i nie wcinają bażantów z parami Anglii. Nie siadają po prawicy hrabiny Brockenhurst. Tacy jak Charles Pope w ogóle nie znają osób w rodzaju hrabiny Brockenhurst. Normalnie hrabina nie poświęciłaby mu ani chwili swojego czasu! – Teraz James także już siedział i coraz bardziej podnosił głos.

– Ciszej – syknęła Anna. Oliver i Susan mieszkali tuż nad nimi. Cubitt w tych domach kładł w stropach warstwy muszli, żeby wygłuszyć dźwięki między piętami, ale i tak były za cienkie.

– Wszystkie te bzdury o inwestowaniu w jego interes...

– Dlaczego bzdury? Ty też w to zainwestowałaś. Wspierasz go od miesięcy... – Nie brzmiało to pojednawczo.

– Ja jestem mężczyzną. Lady Brockenhurst nie ma żadnych pieniędzy, a w każdym razie nie ma prawa inwestować bez zgody męża. Dlaczego hrabia miałby ją dać, gdyby nie znał powodu jej zainteresowania? To zwykła lipa i głupie gadanie, które skończy się ruiną Trenchardów!

Nie przypadkiem Jamesowi tak dobrze się wiodło w anarchicznej, swobodnej atmosferze, jaka panowała w Brukseli podczas wojny. Kiedy musiał zagrać ostro i twardo, nic go nie krępowało. Nadal pozostawał synem straganiarza, który osaczony w kącie, świetnie umiał się bronić. A teraz znowu tam trafił. Wszystko, co zarobił, co sobie wywalczył, miało zostać zniszczone, i to przez kogo? Przez jego własną żonę!

– Po prostu nie mogłam dopuścić, żeby uważali się za ostatnich z rodu – tłumaczyła Anna, wygładzając wokół siebie prześcieradło.

– A to dlaczego? Myśleli tak przez ćwierć wieku, zdążyli się przyzwyczaić! – Znowu twarz mu zaczęła czerwienić. Teraz, kiedy dał upust złości, nie potrafił jej z powrotem okiełznać. – Zresztą co to zmienia? Charles Pope nie ma prawa do żadnych roszczeń wobec tej rodziny. Jest bękartem, chociaż pewnie nie podziękuje ci za upublicznienie tego faktu.

– Mają wnuka. Powinni o tym wiedzieć.

– I to dlatego nas zaprosili, tak?

Anna nie odpowiedziała. Osiągnęła już swój cel.

James wściekał się dalej:

– Żebyśmy zobaczyli, jak hrabina afiszuje się z Charlesem, i nie mogli nawet z nim porozmawiać? To miała być jej zemsta?

– Przecież z nim rozmawiałaś. Jesteście teraz starymi znajomymi – wytknęła mu lodowatym głosem.

– I oczywiście już wiemy, że jego obecność nie była dla ciebie niespodzianką.

Annie w pewnym sensie przyniosło to ulgę.

– Tak – przyznała. – Rzeczywiście wiedziałam, że tam będzie. Ale jeśli sądzisz, że wysłucham choćby jednego słowa wyrzutu, to wiedz, że jesteś tak samo winien jak ja.

– Jaaa? – Trenchard wyskoczył z łóżka. – A co ja takiego zrobiłem?

– Kontaktowałeś się wcześniej z naszym wnukiem, spotykaliście się, nawet pracowaliście razem i nigdy nie uznałeś za stosowne powiadomić o tym mnie, swojej żony, matki kobiety, która go urodziła! – Głos zaczął się jej łamać, słyszała to, ale chociaż starała się ze wszystkich sił nadać mu mocne, stanowcze brzmienie, i tak łzy zrobiły swoje. – Rozmawiałeś z nim, dotykałeś go, i nigdy ani słowa... Żyłam w nieświadomości przez ponad dwadzieścia lat, zastanawiając się, jak on wygląda, jak mówi... a ty go znałeś! Nie było takiej godziny, w której bym nie żałowała, żeśmy oddali go obcym ludziom. Zgodziłam się oddać naszego ślicznego wnuczka, bo ty się bałeś, że gdybyśmy go zatrzymali, mógłbyś dostać o kilka zaproszeń na obiad mniej. A teraz oszukujesz mnie w taki ohydny, haniebny sposób!

Oczywiście w swojej tyradzie Anna wygodnie pominęła fakt, że swego czasu, tuż po porodzie i śmierci Sophii, plan pozbycia się niekochanego dziecka bardzo jej odpowiadał. James w pierwszej chwili chciał jej to wypomnieć, ale ostatecznie zmienił zdanie. Patrząc na łzy płynące po policzkach żony, na palce szarpiące nerwowo pościel, uznał, że to mądra decyzja.

– To, że lady Brockenhurst nic nie wiedziała, nie usprawiedliwia okrucieństwa ukrywania przed nią prawdy – kontynuowała Anna. – Był już najwyższy czas, żeby ją poznała. Musiała się dowiedzieć.

Nie było sensu mówić nic więcej. James to rozumiał, ale nie mógł się wyrzec ostatniego słowa:

– Twój sentymentalizm zwali nam dach na głowy. Nazwisko naszej córki uszargają w błocie, będą ją nazywać ladacnicą, a wszystkie drzwi, które z takim trudem pootwierałem, znowu się przed nami zamkną! A wtedy tylko do siebie będziesz mogła mieć pretensje.

To rzekłszy, James Trenchard obrócił się plecami do łkającej żony i zamknął oczy.

— 5 —

Schadzka



Susan Trenchard leżała w łóżku, słuchając dzwonów kościoła Wszystkich Świętych w Isleworth. Od czasu do czasu dobiegały ją odgłosy od strony rzeki: nawoływania przewoźników, plusk wiosł. Rozejrzała się po pokoju. Urządzono go bardziej w stylu sypialni w wielkopańskim domu niż jak pokój do wynajęcia: ciężkie brokatowe zasłony, klasyczny kominek i wytworne łoże z baldachimem, zresztą nadzwyczaj wygodne. Inną kobietę zastanowiłby może fakt, że John Bellasis wynajmuje mały domek w Isleworth ze skromną jadalnią, wielką luksusową sypialnią i... niczym więcej, poza pomieszczeniem gospodarczym i być może izdebką dla małomównego fagasa do obsługi. I jeszcze coś: kiedy tu przyjechali, ten służący nie zadawał żadnych pytań, tylko od razu podał pyszny lunch, a potem wprowadził ich do sypialni z zaciągniętymi zasłonami i ogniem na kominku. Można by założyć, że aż za dobrze wiedział, jak przebiegają tego typu spotkania, i uznać to za podejrzan. Ale Susan czuła się zbyt szczęśliwa, zbyt usatysfakcjonowana, by szukać dziury w całym. Przeciągnęła się.

– Powinnaś się już ubrać – zauważył John, który właśnie zapinał spodnie przy łóżku. – Jem obiad na mieście, a ty musisz wrócić na czas, żeby zdążyć się przebrać.

– Naprawdę?

Susan podciągnęła się wyżej na poduszce. Kasztanowe włosy opadały jej w puklach na gładkie białe ramiona. Patrzyła na Johna, przygryzając pulchną wargę, i w tej pozie była wprost nieodparcie pociągająca, z czego świetnie zdawała sobie sprawę. John usiadł przy niej i przesunął palcem po jej szyi aż do obojczyka. Zamknęła oczy, a on ujął ją pod brodę i pocałował.

Jakim nadzwyczajnym darem losu okazała się ta Susan Trenchard! Spotkanie u ciotki, chociaż zupełnie nieplanowane, zaowocowało największym odkryciem sezonu. John naprawdę uwierzył, że ta kobieta zapewni mu rozrywkę na całe tygodnie.

To Speer, jej pokojowej, zawdzięczał łatwość, z jaką nawiązał ten romans. Jak na oschłą kobietę o żalostnej aparycji, wykazała się niezwykłą zręcznością w przygotowaniu gruntu do uwiedzenia swojej pani. Zresztą Susan w zasadzie nie wymagała zachęty, szczególnie gdy chodziło o kogoś tak biegłego w miłosnych arkanach jak John. Zawsze umiał wypatrzeć kobiety gotowe zbłądzić. Już podczas pierwszej rozmowy z Susan w Brockenhurst House zauważył jej znużenie i brak uczucia do męża. Musiał tylko pochlebić jej nieco, skomplementować urodę, wysłuchać uważnie, co ma do powiedzenia, i tak krok po kroku utwierdzał się w przekonaniu, że potrafi ją odciągnąć od tego wymocza Olivera Trencharda. Kobiety to naprawdę nieskomplikowane stworzenia, myślał, patrząc teraz w jej jasnoniebieskie oczy. Mogą się wahać i trząść z oburzenia, doznawać szoku na samą myśl o zdradzie, ale to tylko stadia, przez które po prostu muszą przejść. Od chwili, kiedy Susan roześmiała się z jego dowcipu, wiedział, że wystarczy mu kiwnąć na nią palcem.

Po tym pierwszym spotkaniu przy Belgrave Square napisał do niej liścik, a ze względu na dyskrecję wysłał go pocztą, za cenę jednego pensa. W możliwie kwiecistych i romantycznych



słowach wyznał w nim, jak miło wspomina ich rozmowę i jakie wrażenie zrobiła na nim jej wyjątkowa uroda. Po prostu nie potrafi o niej zapomnieć, narzekał, uśmiechając się do siebie, bo już widział w myślach jej minę.

Zaproponował, aby spotkali się na herbacie w Morley's Hotel przy Trafalgar Square. Był to dość chętnie odwiedzany lokal, ale raczej nie przez bliskich znajomych Johna. Zaproszenie miało być czymś w rodzaju próby: jeśli Susan należy do tych, które potrafią sfabrykować pretekst, by pojechać na drugi koniec Londynu i spotkać się z nim w środku dnia, to znaczy, że dość luźno traktuje prawdę, jest zdolna do podwójnego życia, a więc warta zachodu. Ledwie udało mu się zapanować nad uczuciem triumfu, kiedy zobaczył, jak w towarzystwie Speer wchodzi przez szklane obrotowe drzwi hotelu.

Oczywiście trzeba zaznaczyć, że w większości tych spekulacji John gruntownie się mylił. Miał tak wysokie mniemanie o swojej uwodzicielskiej mocy, że nawet nie przeszło mu przez myśl, iż Susan Trenchard wcale nie trzeba uwodzić. Prawdę rzekłszy, świadomość wspaniałych perspektyw Johna na przyszłość połączona z autentycznym zainteresowaniem sprawiła, że natychmiast postanowiła zostać jego pierwszą metresą. Jeśli dobrze pójdzie, to potem się zobaczy, jak daleko można na tym zajechać. Powinien zrozumieć, że sam fakt dopuszczenia pokojowej do sekretu (musiała to zrobić, żeby zapewnić sobie towarzystwo w drodze do hotelu) oznacza jej aktywny, a nie tylko bierny udział w spisku. Przecież nikt nie będzie wypytywał żony, która wybrała się do miasta z pokojową. Jest po temu mnóstwo racjonalnych powodów: zakupy, lunch z przyjaciółką, wizyty, wszystko ujdzie, dopóki będzie razem ze Speer. Okazując jej zaufanie, Susan zapewnia sobie powodzenie planu. Niewątpliwie pozwoli Johnowi myśleć, że to on zawrócił jej w głowie i namówił do grzechu... Wszyscy mężczyźni lubią czuć, że to oni prowadzą w tańcu, ale w rzeczywistości, gdyby sama Susan nie zechciała zejść na manowce, to nic by się nie wydarzyło.

Tego dnia powiedziała Oliverowi, że umówiła się z dawną szkolną przyjaciółką ze wsi i wybiera się z nią na wystawę w National Gallery. Mąż nawet nie zapytał o nazwisko tej kobiety; chyba ucieszył się, że Susan sama znalazła sobie rozrywkę.

W hotelowym foyer Speer taktownie się ulotniła, pozwalając swojej pani samej wejść do sali. John siedział w kącie obok fortepianu, za plecami miał bujną palmę w donicy. Wydał się jej jeszcze przystojniejszy, niż zapamiętała, znacznie bardziej atrakcyjny od jej żalostnego męża. Klucząc między stolikami, uświadomiła sobie z pewnym zaskoczeniem, że teraz, kiedy ten moment nastąpił, trochę się denerwuje. I nie chodzi tu o perspektywę przygody; od prawie dwóch lat wiedziała, że to prędzej czy później nastąpi, bo okazjonalne obmacywanki z Oliverem dawały jej zbyt mało satysfakcji. W dodatku była bezpłodna. Kiedyś z tego powodu cierpiała, teraz jednak dostrzegła w tym pewien pożytek. Pozwoliła sobie na uśmiech. Ta nerwowość musi być pozostałością po dziewczęcej pruderii, która cudem przetrwała w twardej kobiecie, jaką się stała po latach. Spuściła głowę, żeby nie napotkać wzroku któregoś z pań siedzących w pobliżu przy herbacie. Te z jej własnego kółka raczej nie bywały w Morley's, jak słusznie zauważył John, ale nigdy dość ostrożności. Stolica to wbrew pozorom nieduże miasto, a reputację można stracić w jedno popołudnie.

Szybko usiadła plecami do sali i rzuciła okiem na Johna. Jako doświadczony w tych sprawach,

przynajmniej we własnym mniemaniu, wziął na siebie rozluźnienie atmosfery, na co Susan mu pozwoliła. Dobrze wiedziała, że aby mieć pełną satysfakcję z przygody, mężczyzna potrzebuje dreszczyku zdobywcy niewzruszonej cnoty, a jej przecież bardzo zależało na jego zadowoleniu. Skromny rumieniec odegrał należycie swoją rolę i w niedługim czasie John zaczął sugerować następne spotkanie, tym razem w nieco innych okolicznościach.

Prawdę rzekłszy, Susan nie miała wielkiego pożytku z Olivera jako męża. Przez pierwszych pięć lat małżeństwa daremnie próbowali począć dziecko, a potem mąż na dobre z niej zrezygnował. Nie do końca go za to winiła. Odkąd stało się jasne, że dziecka nie będzie, pożycie małżeńskie przestało ich nęcić. Nie dyskutowali o tym jednak, najwyżej rzucali w kłótni jakąś obraźliwą uwagę albo trzymali to jako argument na szczególnie przykrą wieczorną rozmowę w jej garderobie, zwłaszcza jeśli Oliver za dużo wypił. Z czasem jednak Susan uświadomiła sobie, że jako bezdzietna żona straciła władzę nad mężem, a nad teściami nigdy jej nie uzyska. Dlatego jeśli nie będzie ostrożna, może w ogóle zostać na lodzie. Nawet własny ojciec przestał się nią interesować, a chociaż to akurat zawdzięczała w znacznym stopniu swojej rozrzutności, wołała myśleć, że rozczarowała go niezdolność córki do macierzyństwa. Nie będzie miał następców i nie wiadomo, czy potrafi jej to wybaczyć. Co do Trenchardów, to z pewnością ucieszyliby się, gdyby umarła na jakąś chorobę. Oliver mógłby wtedy znaleźć drugą żonę, która wreszcie zapełniłaby dziecięce pokoje przy Eaton Square. I być może świadomość tej właśnie gorzkiej prawdy doprowadziła Susan do przekonania, że jeśli chce zaznać jeszcze w życiu jakiejś satysfakcji, to powinna sama znaleźć do niej drogę. Naturalnie wymagało to czasu, przejścia od optymizmu, przez utratę złudzeń, aż do determinacji, by rozpocząć własne życie... i właśnie gdy te pomysły nabrały realnego kształtu, Susan poznała Johna Bellasisa.

Tak więc tego popołudnia, kiedy John zaproponował przejażdżkę do Isleworth, gdzie, jak twierdził, wynajmował „mieszkanko, do którego ucieka od londyńskiego zgiełku”, Susan tylko pro forma udała, że się waha. Musiała jedynie poszukać pretekstu do jednodniowej wycieczki do Isleworth. Zdecydowała się podać prawdziwe miejsce na wypadek, gdyby ktoś miał ją tam zobaczyć. Ostatecznie wyjaśniła, że myśli o kupnie sadu i chce zapoznać się z ofertami. Wiele dużych londyńskich domów utrzymywało w tej okolicy sady, traktując je jako źródło zaopatrzenia w świeże owoce latem i jesienią, i chociaż z początku Oliver marudził, że to on powinien dokonać transakcji, ostatecznie się nie sprzeciwił. Dla dopełnienia obrazu swojej niewinności Susan postanowiła zabrać Speer i nawet znalazła miejsce, w którym pokojowa na nią zaczeka.

I tak właśnie zrobili: Speer miała zatrzymać się w Bridge Inn, gospodzie nieopodal domku Johna, i od godziny trzeciej czekać tam na swoją panią. Gdy to zostało uzgodnione, Susan poszła dalej pieszo, zostawiając stangreta w absolutnej nieświadomości. Nawet służba wiedziała o zamiarze nabycia sadu, co dawało Susan pretekst do kolejnych wizyt w tych stronach.

– Pomyślałem, że dam odpocząć swojemu koniowi i wrócę razem z tobą – zaproponował John, gładząc kciukiem jej policzek.

– Ach, to by było cudownie – odparła, przeciągając się sennie – gdybyśmy tylko mogli sobie na to pozwolić.

– A nie możemy?

Rzuciła mu leniwy uśmiech – obietnicę czegoś więcej w przyszłości.

– Jeżdżę powozem męża w towarzystwie pokojowej.

John z początku nie pojął, o co jej chodzi. Chyba można przesadzić służącą na kozioł, obok stangreta? Najwyżej ktoś go zobaczy z ładną mężatką w powozie jej małżonka. Po chwili jednak nawet on zrozumiał, jakie to ważne dla Susan, z której miny jasno wynikało, że rzecz nie wchodzi w rachubę. Przebiegło mu przez myśl, że ma do czynienia z kimś równie silnym jak on, kto tak samo panuje nad sytuacją, ale wrażenie szybko minęło i teraz widział tylko roześmianą, szaleńczo zakochaną kobietę, leżącą na poduszkach, z przymkniętymi oczami. To go uspokoiło i nie próbował już naciskać.

Z westchnieniem sugerującym, że jej najgorętszym życzeniem jest pozostać tu z nim na zawsze, Susan wstała z łóżka i włożyła koszulę. Stąpając bosymi stopami po wspaniałym tureckim dywanie, podeszła do okna i podniosła z podłogi gorset.

– Speer czeka na mnie w gospodzie – złożyła usta w dzióbek – więc musisz mi z tym pomóc.

John uniósł brwi i też wydał teatralne westchnienie. Roześmiali się oboje, chociaż prawdę rzekłszy, nużyły go nieco zawilóści damskich strojów.

– Mam to zasznurować?

– Nie, takie komedie to tylko w teatrze. Sznurówki są już zaciągnięte, ale te haftki z przodu mogą stawiać pewien opór.

Zapinanie piekielnych haftek zajęło mu ponad pięć minut, a potem czekał go cały rząd guziczków z tyłu sukni. W pokoju robiło się coraz duszniej i palce mu się pociły przy zmaganiach z żółtym jedwabiem.

– Następnym razem – napomknął przymilnie – sugerowałbym, abyś włożyła coś mniej... skomplikowanego.

– Przecież nie wyjdę na ulicę w szlafroku. Nawet dla ciebie. Dziwne, bo kiedy pomagasz mi się rozebrać, to jakoś tyle nie marudzisz.

Znów wróciło niejasne podejrzenie, że Susan z niego kpi; tak się jakoś składało, że to on robił, co mu kazała, a nie na odwrót. Ale znowu je odrzucił.

– Może teraz spotkamy się w Londynie? – zaproponował, sprawdzając czas na zegarku kieszonkowym. – Albo chociaż gdzieś bliżej?

Susan przytaknęła ochoczo.

– Te nowe koleje wszystko zmieniają.

– W jakim sensie?

– W takim, że moglibyśmy się spotykać nawet w odległych miejscach, a i tak zdążyć z powrotem na podwieczorek. Podobno podróż do Brighton ma trwać niewiele ponad godzinę, a do Yorku zaledwie pięć czy sześć. Ta perspektywa po prostu zapiera dech.

Niezupełnie się z nią zgadzał.

– Nie rozumiem, dlaczego ciągle wszystko musi się zmieniać. Ja tam lubię, jak jest po staremu.

– No... w takim dniu jak ten rzeczywiście niczego bym nie zmieniała. – Napompuwała jego próżność, tak jak lubił, o czym świetnie wiedziała. – A teraz naprawdę muszę już iść. – Pocałowała go znowu, dotykając jego warg czubkiem języka, i zaraz się odsunęła: taka zapowiedź przyszłych rozkoszy. – Nie każ mi długo czekać – szepnęła mu do ucha i zanim zareagował, była już w holu, gdzie małomówny służący zaraz otworzył jej drzwi. Najwyraźniej cała procedura nie miała dla niego niespodzianek.

Teraz jedyne wyzwanie to droga do gospody. Tam czeka pokojowa i powóz, i tam Susan znów zmieni się w stateczną zamężną damę. Włożyła gęściejszą niż zwykle woalkę, żeby nikt, kto przypadkiem ją zobaczy, nie mógł być pewnym rozpoznania, i trzymając nerwy na wodzy, dotarła spokojnie do celu, gdzie Speer siedziała skromnie nad pustą filiżanką po herbacie. Na widok pani od razu się podniosła.

– Byłam na przechadzce, psze pani.

– To dobrze. Nie chciałam, żebyś siedziała przez całe popołudnie w pubie.

– Odwiedziłam agenta nieruchomości. Pokazał mi kilka opisów posesji z ogrodami na sprzedaż. – Wyjęła plik ulotek z sadami i warzywnikami. – Pomyślałam, że mogą się przydać.

Susan nie odezwała się, ale wzięła papiery, starannie je złożyła i schowała do torebki. Teraz miała żelazne alibi.

Czy istnieje coś takiego jak zła passa? – zastanawiał się leniwie Stephen Bellasis, a tymczasem krupier znów zgarniał jego żetony. Każdy gada o dobrej, szczęśliwej passie, a co z tą złą? Bo przecież słowo „passa” oznacza coś przemijalnego, a ta jego zdaje się w ogóle nie mieć końca. Sporo już dzisiaj przegrał... można by to nazwać małą fortuną. Kiedy John zabawiał się w Isleworth, jego ojciec w Jessop’s Club, nieopodal Kinnerton Street, zdążył przepuścić tysiąc funtów.

Do takiego klubu jak Jessop’s nie wstępowali panowie z ambicjami; raczej lądowali tam utracjusze. Brudny i cuchnący, ciągnął się przez ponad cztery piętra, gdzie w rzędach obskurnych pokoi przesiadywali różnego rodzaju hazardziści. Przy kieliszku marnego alkoholu trwonili tam resztki pieniędzy, jakie udało im się wysupłać bądź wyżebrać, pożyczyć, a nawet ukraść. Tak wyglądała ta druga strona Belgravii.

Kilka lat wcześniej Stephen należał do Crockford’s w St James, gdzie możni tego świata chętnie bywali na kolacyjkach i mogli liczyć na mnóstwo szampańskiej rozrywki. Ale William Crockford to szczwany lis. Miał w małym palcu historię i życiorysy członków wielkich rodów, toteż wiedział, ile kto jest wart, a co za tym idzie, komu może przedłużyć w nieskończoność linię kredytową. Nie trzeba dodawać, że czcigodny i wielebny Stephen Bellasis nie utrzymał się tam długo. Mimo to przekonał samego siebie, że przy karcianym stoliku nie potrzebuje wymyślnego francuskiego kucharza ani eleganckiego towarzystwa, i zaczął odwiedzać mniej snobistyczne miejsca. Coraz większym uznaniem darzył zwłaszcza Victoria Sporting Club przy Wellington Street, gdzie członkowie zamiast o „hazardzie” mówili o „grze”, lubił też czasem obstawiać gonitwy w Ascot i Epsom. Niestety do

koni miał takie samo szczęście jak do kart.

Ale jakże on kochał to uczucie zwycięstwa! Nie potrzebował wiele, wystarczył mu choćby ślad wygranej, kilka funtów za zwycięzcę, by znów wpadł w ciąg. Czasem kontentował się statecznym wdziękiem Argyll Rooms, gdzie mógł świętować w swoim własnym stylu – przy butelce porto, z szansą na sięgnięcie pod spódnicę ładnej tancerki. Innym razem ważył się na więcej, zapuszczając się w zaułki podejrzanej dzielnicy wokół Seven Dials, gdzie nawet policja wolała nie zachodzić bez potrzeby. Jak człowiek ryzykujący życie dla kaprysu, pił w tamtejszych barach, wdawał się w pogawędki ze złodziejami i prostytutkami. Czasem taka noc przybierała groźny obrót, na co się godził, nie wiedząc, czy rano będzie leżał w rynsztoku z nożem w plecach, czy we własnym łóżku przy żonie, która nie dawała mu żadnej przyjemności.

Teraz jednak na wygraną zupełnie się nie zanosilo. Do wista miał nawet niezłą rękę i jeśli gra toczyła się do skutku, często zdarzało mu się odrobić część strat, ale dzisiaj nic z tego nie będzie, dumał, tasując karty. Pani Fortuna definitywnie go opuściła i Stephen zaczynał żałować, że tak niefrasobliwie poczynił sobie z pieniędzmi.

Prawdę rzekłszy, był to nie tyle żal, co przerażenie. Tysiąc funtów to wielka suma, absolutnie nie ma jak tego spłacić, chyba że jakimś cudem udałoby mu się odegrać. W miarę jak nadal przegrywał, słabo oświetlony pokój działał na niego coraz bardziej klaustrofobicznie. W suterenie z ciemną boazerią zrobiło się nieznośnie duszno i Stephen co chwilę szarpał kołnierzyk, który uciskał go w lepką od potu szyję. Na takie wypadki nigdy nie wkładał befyki, ale gruby fular, którym ją zastępował, zdawał się go dusić swoimi fałdami. Nie pomagały ani wypity gin, ani ustawiczne kłęby dymu z fajki hrabiego Sikorskiego. Stephen czuł, że prawie nie może oddychać.

Przy lepiącym się od brudu karcianym stoliku siedziało jeszcze trzech graczy, w tym dwóch znajomków Stephena. Jeden to Oleg Sikorski, podstarzały rosyjski arystokrata, właściciel zrujnowanej posiadłości na Krymie, na której odwiedzanie nie było go już stać. Rozwodził się bez końca o dobrych czasach w Sankt Petersburgu, kiedy to popijał szampana na Fontance, robiąc coraz większy wyłom w majątku swojej babki, czcigodnej damy, która, jak powiadał, była zausznicką samego cara Aleksandra I. Miejsce obok niego zajmował przyjaciel Johna, kapitan Black z Gwardii Grenadierów. Nowy przy tym stoliku, zaraził się bakcylem hazardu od swoich podwładnych. Miał lotny umysł i dobrą pamięć do lew, ale także skłonność do pochopnych ruchów i nadmiernej gestykulacji, co rzadko owocowało dużą wygraną, choć akurat dzisiaj – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – szło mu całkiem nieźle. Czwartym graczem był niejaki pan Schmitt, niedźwiedziowate chłopisko z czaszką najwyraźniej uszkodzoną przez młotek w jednej z potyczek jego zmarnowanej młodości. Dziwnym trafem wyszedł cało z ataku, po którym zostało mu w czole przerażające wgłębienie. Prowadził z powodzeniem firmę pożyczkową i głównie z tego powodu znalazł się w tym miejscu, gdyż nie tylko z upodobaniem sam uprawiał hazard, lecz także ułatwiał innym ów nałóg. Dziś okazał się bardzo szczodry dla Stephena, co w skrócie oznaczało, że pastor był mu teraz winien tysiąc funtów.

– Chyba będę się zbierał – oznajmił Oleg, pykając swoją nieapetyczną fajkę. – Muszę odpocząć, wybieram się dziś do teatru.

– Nie możesz odejść – zaprotestował Stephen. Serce waliło mu jak młotem, kiedy sięgał po ostatnie krople ginu. – Jesteśmy partnerami, zapowiada się dobra passa!

– Dobra passa? – prychnął Schmitt. Oparł potężne przedramiona o stół i wlepił oczy w Stephena. – Niby taka jak hiszpańskiej Armady<sup>[28]</sup>?

– Przykro mi, Bellasis – usprawiedliwiał się hrabia Sikorski, pocierając twarz. – Nie mam wyboru, i tak jestem już winien panu Schmittowi za ostatni tydzień.

– Dwieście gwinei – potwierdził Schmitt. – Plus trzysta za dzisiejszą rozgrywkę. Kiedy pan zapłaci?

– Nie musimy tym zanudzać innych. – Hrabia wyraźnie nie chciał wtajemniczać partnerów w swoją sytuację.

– No więc kiedy? – naciskał Schmitt.

– W piątek. A teraz naprawdę muszę już iść.

– Cóż, Oleg, skoro wychodzisz, to i ja będę się zbierał – zadeklarował Black. – Nieczęsto człowiekowi zdarza się taka gratka, że nagle jest o siedem stówek do przodu. – Zaśmiał się i szurając krzesłem o kamienną posadzkę, podniósł się chwiejnie na nogi. Nie ruszali się od stolika przez ostatnie trzy godziny, więc dopiero po dłuższej chwili wróciło mu krążenie. – Chyba w życiu nie odniosłem takiego sukcesu. – Zgarnął pieniądze i złożył plik banknotów. – Pech, co? – Poklepał Stephena po plecach. – To jak, do zobaczenia za tydzień?

– Nie! – zaprotestował głośno Stephen z wyczuwalną dla wszystkich nutą paniki. Jakby próbując ratować i tak beznadziejną sytuację, wybuchnął gromkim śmiechem. – Proszę, nie! – krzyczał, gestykułując gwałtownie, jakby chciał zapanować nad partnerami. – Słuchajcie, panowie, jeszcze jedną rundkę, co? To najwyżej dwadzieścia minut. Oleg, możesz potem pójść prosto do teatru. Black, nie wolno ci tak po prostu odejść, nie pozwalając innym się odegrać! – Wodził błagalnie swoimi ciemnymi oczkami od jednego do drugiego. – Tylko jedną rundkę, o tak niewiele proszę...

Zamilkł. Stephen był świadom, jak żałośnie to brzmi, ale nie umiał się pohamować. Musiał coś zrobić. Wszyscy już wstawali, zostawiając go w tej ciemnej suterenie, sam na sam ze Schmittem. A nie wiadomo, co się wtedy stanie. Stephen bywał mu już winien, ale nigdy aż tak dużą sumę, poza tym zawsze jakoś udawało mu się zapłacić.

Nie ruszał się z krzesła, kiedy kapitan Black i hrabia Sikorski szli już po schodach. Odgłos ich kroków na drewnianych stopniach odbijał się nienaturalnie głośnym echem. Wosk z tandetnego mosiężnego kandelabru wolno skapywał na stolik.

– No więc, jaśnie panie? – zagaił sarkastycznie Schmitt, prostując się na całą wysokość.

– Tak? – Stephen potrząsnął wyzywająco głową. Nie pozwoli się zastraszyć temu przerażającemu typowi. Ma przecież jeszcze koneksje, wysoko postawionych przyjaciół...

– Pozostaje kwestia tysiąca funtów.

Stephen wzdrygnął się, oczekując, że tamten zaraz rąbnie pięścią w stół. Ale nic takiego nie nastąpiło. Schmitt zaczął tylko spacerować po pokoju, stukając podkutymi butami o kamienną

posadzkę.

– Obaj jesteście dżentelmenami – zauważył, a pastor oparł się pokusie, by podać w wątpliwość, czy ten lichwiarz z dziurą w głowie rzeczywiście nim jest. – Poza tym dobry ze mnie kompan i gotów jestem okazać rozsądek.

– Dziękuję – padła ledwie słyszalna odpowiedź.

– Dlatego daję panu dwa dni na zebranie gotówki. Za dwa dni mam ją otrzymać, jasne? – Schmitt milczał przez chwilę, po czym nagłym ruchem roztraskał butelkę po ginie tuż przed nosem Stephena, który zerwał się na równe nogi. – Dwa dni – wysyczał, pochylając się z rozbitą butelką w rękę nad pastorem. – Dwa – powtórzył z naciskiem, zbliżając coraz bardziej szkło do jego szyi.

Stephen uciekł stamtąd z taką szybkością, na jaką mógł się zdobyć przy swojej tuszy i z brzuchem pełnym ginu; biegł aż do rogu Sloane Street. Dopiero tam, kiedy sapiąc i dysząc, stał oparty o mur, uświadomił sobie, że coś z nim jest nie tak. Dwie panie na wieczornej przechadzce ominęły go szerokim łukiem. Jakiś mężczyzna podszedł bliżej i czym prędzej przeszedł na drugą stronę ulicy. Stephen przesunął palcami po twarzy... była mokra. Wyjął chustkę i ostrożnie dotknął policzka. Okazało się, że krwawi. Kiedy spojrzął w szybę pobliskiej wystawy, zobaczył, że ma twarz całą poranioną okruchami szkła.

Następnego dnia sprawy wyglądały już nieco lepiej. W każdym razie twarz, kiedy przyjrzał się jej w lustrze. To tylko drobne skaleczenia, nic strasznego, wmawiał sobie. Całe szczęście, bo właśnie znów wybierał się po prośbie do brata, i ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to pokiereszowana gęba.

W ponurej jadalni domu przy Harley Street panowała lodowata atmosfera. Żadne z małżonków Bellasis nie lubiło tu mieszkać. Dostali ten dom w prezencie ślubnym od matki Grace, ale jak większość rzeczy związanych z Grace, był już trochę podniszczony i sfatygowany. W stolicy nowe budynki wyrastały teraz jak grzyby po deszczu, toteż Stephen myślał, że pewnego dnia uda się im porzucić tę wąską, ciemną i zawsze zimną norę przy Harley Street. Bez względu na pogodę zawsze panował tam dojmujący chłód. Czy wiązało się to ze skąpstwem Grace w kwestii opału, czy brakiem służby do podtrzymywania ognia, i tak wychodziło na to samo. Goście zaraz za progiem zaczynali trząść się z zimna. Zresztą Bellasisowie rzadko teraz kogoś przyjmowali. Grace czasem zapraszała panie z parafii albo z komitetów dobroczynnych, ale obiady przeważnie jadali sami.

Zatrudniali tylko podstawowy personel: kucharkę, pomywaczkę, kamerdynera, który pełnił też obowiązki pokojowca, główną pokojową do ubierania Grace i dwie pokojówki, które zmieniały się z przygnębiającą regularnością. Grace uważała, że chodziło o zbyt niskie wynagrodzenia, ale z czasem nabrała podejrzeń, że niektóre z tych nagłych wymówień muszą być sprawką Stephena. Prawdę rzekłszy, w ogóle nie stać ich było na życie w Londynie. Gdyby mieli odrobinę rozsądku, dawno sprzedaliby dom i zamieszkali w Hampshire, co pozwoliłoby im zaoszczędzić na pensjach wikariuszy. Ale wtedy brakowało im rozumu, a raczej to Stephenowi go brakowało. Nie miał ani rozumu, ani ambicji, ani – Bóg to wie – zamiaru pełnienia swoich, lekkich przecież, obowiązków duszpasterskich, myślała zgryźliwie Grace, siedząc przy nieapetycznym śniadaniu. Zawsze chlubiła się tym, że niejadała śniadań w łóżku, jak inne znajome mężatki, ale dziś raczej tego żałowała.

W sypialni przynajmniej było ciepło. Podniosła leżącą na stole kopertę.

Nie oderwała jeszcze oczu od listu córki, kiedy na dole zjawił się Stephen. Wiedziała, że poprzedniego dnia grał i prawdopodobnie przegrał, poznała to po westchnieniu, które z siebie wydał, siadając do stołu. Gdyby wygrał, już w drzwiach klaskałby i zacierał ręce, wszedłby sprężystym krokiem, a tymczasem prawie nie tknął jedzenia. Podniósł tylko pokrywę półmiska i gapił się bez przekonania w wyschniętą jajecznicę.

– Emma czuje się dobrze – zawiadomiła go żona, podnosząc wzrok i sztywniejąc ze zgrozy. – Dobry Boże, co ci się stało?

– Nic, nic. Szyba pękła, a ja stałem w pobliżu. Jak tam dzieci? – spytał, nakładając sobie plasterek wystygłego bekonu.

– Píše, że Freddie kaszle.

– To dobrze, dobrze. – Rozparł się na krześle.

– Dlaczego to ma być dobrze? – Przyjrzała mu się podejrzliwie z drugiego końca ciemnego stołu. – Dobrze, że chłopiec źle się czuje?

Rozmyślał nad czymś przez chwilę.

– Może wybiorę się dziś do brata.

– To ma jakiś związek z wczorajszym wieczorem? – Grace aż uniosła się z miejsca.

– Nie należał do moich najlepszych. – Nie podnosił wzroku, jakby artykułował jakąś myśl, nie zwracając uwagi na żonę.

Dla Grace nie wróżyło to niczego dobrego. Stephen z zasady nie przyznawał się do porażek czy jakichkolwiek błędów. Prawdę rzekłszy, rzadko kiedy przyznawał się do hazardu.

– Jest bardzo źle? – spytała, myśląc o szkatułce z mocno już uszczuploną biżuterią, którą ewentualnie można by sprzedać. Dzięki Bogu zdążyła już zapłacić czynsz za pokoje Johna w Albany, chociaż nadal nie rozumiała, czemu syn nie mógłby zamieszkać z nimi na Harley Street.

– Nie ma się czym przejmować. – Stephen odzyskał już panowanie nad sobą i uśmiechnął się słabo do żony. – Dziś wszystko doprowadzę do porządku.

– To może zacznij od twarzy.

Dotarłszy na Belgrave Square, Stephen nie od razu dał znać o swoim przybyciu. Stał na szerokiej brukowanej ulicy i patrzył na błyszczące czarne drzwi z białymi doryckimi kolumnami po bokach, dumając nad niegodziwością losu i powtarzając w duchu stale tę samą śpiewkę: Dlaczego tylko z powodu lepszej daty urodzenia Peregrin żyje w takim luksusie, on zaś musi się kontentować tym ciasnym, obskurnym domem? Nic dziwnego, że gra. Kto by nie grał, kiedy życie wymierzyło mu tak okrutny cios? Czy to coś strasznego, że w tej sytuacji szuka pociechy u kobiet lekkich obyczajów? Czy to jego wina, że uzależnił się od dreszczyku emocji i ryzyka przy grze?

Zapukał wreszcie. Otworzył mu młody lokaj w liberii i wprowadził do biblioteki, gdzie miał zaczekać na brata.



– Co za miła niespodzianka! – powitał go Peregrin, ukazując się niespiesznie pięć minut później. – Akurat wybierałem się do White’s.

– To cieszę się, że cię złapałem. – Stephen nie bardzo wiedział, jak ma zacząć tę rozmowę, chociaż brat na pewno spodziewał się, co nastąpi.

– Co ci się stało z twarzą? – Peregrin wlepił wzrok w drobne strupki na jego policzkach.

– Przykry wypadek u balwierza. – Brzmiało lepiej niż rozbita szyba, ale i tak obaj wiedzieli, że to nieprawda.

– Przypomnij mi, żebym tam nigdy nie chodził. – Peregrin zarechotał i usiadł przy biurku. – No więc czemu zawdzięczam ten honor?

Oczywiście droczył się z nim. Wiadomo, że Stephenowi zawsze chodziło tylko o pieniądze, ale Peregrin chciał usłyszeć to na własne uszy. Zanim cokolwiek mu da, musi koniecznie maksymalnie go upokorzyć.

– Chyba wdepnąłem w niezłe bagno – zaczął Stephen, spuszczać głowę. Miał nadzieję, że jeśli okaże skruchę albo dramatycznie ugnie się przed bratem, Peregrin hojniej sypnie groszem.

– Jak głębokie bagno?

– Na tysiąc funtów.

– Tysiąc funtów? – Peregrin był szczerze wstrząśnięty. Każdy czasem lubi postawić. Jego stary przyjaciel, książę Wellington, potrafił w jedną noc u Crockforda przepuć w wista nawet więcej, ale stać go było na to. Stephen naprawdę aż tyle przegrał? Peregrin nie spodziewał się tak ogromnej sumy. Niezależnie od faktu, że ostatnio po lunchu w Lymington dał bratu prawie tyle samo...

– Normalnie bym nie prosił, ale...

– ...ale problem w tym, że „normalnie” to ty właśnie prosisz – przerwał mu Peregrin. – Szczerze mówiąc, ciągle prosisz. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio odwiedziłeś mnie w innym celu. – I po chwili milczenia dodał: – Nie.

– Nie...?

– Nie. Nie dam ci tych pieniędzy, czy to dostatecznie jasne?

– Co?! – Stephen nie wierzył własnym uszom. Udawana pokora znikła z jego twarzy, ustępując miejsca zwykłej furii. – Ależ musisz! Musisz! Jestem twoim bratem i potrzebuję ich! Muszę je mieć!

– Powinieneś pomyśleć o tym wcześniej, zanim je przegrałeś. Postawiłeś pieniądze, których nie posiadałeś, i oto skutki.

– Wcale ich nie przegrałem! To w ogóle się nie zdarzyło! – Stephen zacisnął pulchne dłonie w pięści. Nigdy się nie spodziewał takiego obrotu sprawy. W głowie mu wirowało. Jeśli nie przegrał, to jak się wytłumaczy? Że niby co się stało z pieniędzmi?

– Obaj wiemy, że kłamiesz. – Peregrin czuł całkowity spokój. Brat jest nie do zniesienia, bez śladu odpowiedzialności, przynosi hańbę swojej krwi. Czemu on, Peregrin, miałby bez końca finansować takie marnotrawstwo?

– Jak śmiesz oskarżać mnie o kłamstwo? – nadał się Stephen. – Jestem duchownym!

– Mówię, że kłamiesz, bo to prawda. Nie zapłacę już żadnego z twoich długów. Masz przyzwoity dochód ze swojej części spadku i z Kościoła, a przynajmniej powinieneś mieć, żona także wnosi ci jakieś środki. Musisz po prostu nauczyć się odpowiednio tym wszystkim gospodarować.

– Odpowiednio gospodarować! – Stephen o mało nie eksplodował. – Jak śmiesz! Za kogo ty się uważasz? Tylko dlatego, że jesteś o dwa lata starszy, zgarnąłeś tytuł, dom, posiadłości, wszystkie pieniądze...

– Nie wszystkie.

– Zastanowiłeś się kiedy, jakie to niesprawiedliwe? Tak czy nie? I ty masz czelność kazać mi „odpowiednio gospodarować”?!  
– Życie nie jest sprawiedliwe – zgodził się z nim Peregrin. – Tutaj przyznam ci rację. Ale winę za to ponosi system, w którym urodziliśmy się obaj. Nikt nigdy nie obiecywał ci więcej, niż otrzymałeś. Wielu uznałoby, że życie pastora to jedno pasmo szczęścia: mieszka taki w wielkiej plebanii i od stycznia do grudnia nie musi nawet kiwnąć palcem.

– Cóż, pewnego dnia John zostanie dziedzicem. – Stephen zadarł triumfalnie podbródek. – Mojemu, a nie twojemu synowi to wszystko przypadnie w udziale.  
To był cios poniżej pasa, ale Peregrin nie zamierzał się przejmować.

– Przypominam ci, że kiedy to nastąpi, ty będziesz już martwy, więc syn nie zacznie finansować twoich nałogów.

Stephen stał z wybałuszonymi oczami i zaciśniętymi zębami. Pokaleczona twarz mu szcerwieniła, a ze złości brakowało słów.

– Dobrze, dobrze – wymamrotał w końcu. – To do zobaczenia, bracie.

I wymaszerował z biblioteki, trzaskając tak mocno drzwiami, że aż okruch tynku odpadł od ściany.

Na podeście zatrzymał się na chwilę, bo nie miał pojęcia, co dalej. Peregrin za nim nie wyszedł. Nie wybiegł z biblioteki i nie wcisnął mu do ręki zwitka banknotów. Więc co teraz? Stephen nie miał jak spłacić tego długu. Co do Schmitta, to drżał na samą myśl o tej kreaturze. Chodził tam i z powrotem, zastanawiając się, czy nie wrócić, nie przeprosić brata, nie zaapelować do lepszej strony jego natury. Potrzebował jakiegoś planu, ale na razie bił się z myślami, szarpiąc nerwowo podbródek. Zostać czy odejść?

Nagle usłyszał śmiech, kobiecy śmiech. Rozglądając się po błyszczącej klatce schodowej, doszedł do wniosku, że dobiega on z saloniku Caroline. Czyżby słyszała ich kłótnię i teraz oboje się z niego śmieją? Bo to zdecydowanie był jej śmiech. Tak się cieszy z jego upadku? Stephen ruszył galerią w stronę drzwi. To tam siedziała ta wstrętna baba, chichocząc w najlepsze z... czy to nie męski głos? Któż to rozbawił do tego stopnia lady Brockenhurst? Ukląkł i przyłożył ucho do dziurki od klucza. I wtedy drzwi się otworzyły.

– Mój Boże, Stephen! Mało ataku serca nie dostałam! – Caroline przycisnęła rękę do piersi. – Co tu robisz, u licha?

– Nic. – Stephen wstał z wysiłkiem i zmrużył oczy. Kim jest ten ciemnowłosy typ? Wygląda znajomo. Policzki mu poczerwieniły, jakby złapano go na gorącym uczynku... Tymczasem Caroline

nie spuszczała z niego wzroku. – Ja tylko...

– Pamiętasz pana Pope’a? Był na moim wieczorze. – Cofnęła się o krok, z wyraźną dumą prezentując swojego gościa.

– Tak, pamiętam. – Rzeczywiście, to ten młody człowiek, który siedział przy niej na honorowym miejscu. To z nim prowadziła się wśród gości. Pracował nad czymś z tym nadętym głupkiem Trenchardem, a teraz znów tu jest.

– Charles właśnie opowiadał mi o swoich planach – paplała jego bratowa, cała rozpromieniona. – Ma w Manchesterze przędzalnię.

Stephenowi wydało się to dziwne.

– Interesują cię manchesterskie przędzalnie?

– Lady Brockenhurst patronuje mojemu przedsięwzięciu – odpowiedział Charles z uśmiechem, jakby to coś wyjaśniało.

– Istotnie – przytaknęła hrabina, nie rozwijając jednak tematu i prowadząc Charlesa w stronę schodów. – Ale już dostatecznie długo go tu zatrzymuję. – Wysunęła się przed Stephena i ruszyła za swoim gościem na dół. – Tak miło mi się z panem gawędziło, panie Pope! Musi pan koniecznie znowu mnie odwiedzić.

W holu lokaj podał Charlesowi płaszcz i przytrzymał drzwi wyjściowe. Caroline zerknęła w górę, ale nie wróciła do szwagra, tylko udała się do jadalni i zamknęła za sobą drzwi. Stephen odczekał kilka minut, zanim zszedł na dół. Gnębiło go podejrzenie, że to, co przed chwilą widział, da się jakoś wykorzystać do jego potrzeb pieniężnych, ale jeszcze nie wiedział jak.

Charles Pope wyszedł z Brockenhurst House na zalany słońcem Belgrave Square w stanie wielkiej ekscytacji. Spotkanie z hrabiną poszło dobrze; obiecała mu więcej pieniędzy, niż się spodziewał, aż dwa razy tyle co poprzednio. Oczywiście wciąż pozostaje to palące pytanie: dlaczego? I dlaczego także pan Trenchard okazał niezwykłą hojność, wpłacając zaliczkę za przędzalnię na tak korzystnych warunkach? Dzięki tym dwóm sponsorom Charles będzie mógł zawrzeć umowy z dostawcami bawełny w Indiach i rozwinąć swoje przedsiębiorstwo na skalę, jaką zamierzał osiągnąć dopiero po dziesięciu latach. I znowu: dlaczego? To niezwykle zagadkowe. Czuł się ogromnie zaszczycony zaproszeniem do lady Brockenhurst, ona zaś zdawała się cieszyć z jego wizyty. Ale wciąż nie mógł się nadziwić, co on takiego zrobił, by sobie na to zasłużyć.

– Ktoś tu jest bardzo z siebie zadowolony.

Charles obrócił się na pięcie i zmrużył oczy w słońcu.

– To pani?

– Ja – odpowiedziała z uśmiechem dziewczyna.

– Lady Maria Grey, jeśli się nie mylę?

Wypytał o nią hrabinę na przyjęciu, dlatego znał jej tytuł. Odczuł to jako cios, bo wcześniej miał nadzieję, że panna jest w jego zasięgu, ale od razu pojął, że nic z tego. Niemniej miło, że znów ją

widzi, trudno zaprzeczyć.

– Ta sama. A pan to pan Pope. – Miała na sobie ciasno zapięty granatowy żakiet, szeroką spódnicę i kapelusz przybrany kwiatami w tym samym kolorze. Charles nigdy w życiu nie widział nic piękniejszego. – Mogę zapytać, skąd ta wiosenna radość?

– Ach, to interesy. Tylko się pani znudzi.

– Tego nie może pan wiedzieć. Czemu mężczyźni zawsze sądzą, że panie interesują się wyłącznie modą i plotkami?

Patrzyli na siebie w milczeniu, gdy nagle z tyłu ktoś cichutko zakaszał. Charles obejrzał się i zobaczył kobietę w czerni. To pewnie pokojowa lady Marii, pomyślał. Przecież nigdy nie puściliby młodej panny bez przyzwoitki.

– Proszę mi wybaczyć. – Charles złożył błagalnie dłonie. – Nie chciałem pani obrazić. Po prostu uznałem, że finansowanie dostaw bawełny raczej pani nie zabawi.

– Sama to ocenię, panie Pope. Dlatego proszę opowiedzieć mi coś więcej o pańskiej przędzalni i bawełnie. Jeśli mnie to znuży, zasłonię sobie usta, tłumiąc ziewnięcie, a pan zrozumie, że poniósł klęskę. Więc jak? – spytała, przechylając głowę na bok.

Charles się uśmiechnął. Maria Grey nie przypominała żadnej ze znanych mu kobiet. Z pewnością była piękna i ujmująca, ale także prostolinijna, ambitna i może trochę uparta.

– Z radością podejmę to wyzwanie. Czy gdzieś się pani wybiera?

– Idę do tej nowej Biblioteki Londyńskiej<sup>[29]</sup>, pomyślałam, że się do niej zapiszę. Pan Carlyle przyjaźni się z moją mamą i wygłasza peany na temat jej zasobów. Podobno są znacznie większe niż te w bibliotece British Museum, chociaż trudno w to uwierzyć. A Ryan mi towarzyszy.

Panna Ryan nie wydawała się zachwycona rozwojem wypadków.

– Milady...

– O co chodzi?

Pokojowa milczała, więc Maria wzięła ją na bok. Po chwili wróciła uśmiechnięta.

– Jej zdaniem mamie się nie spodoba, że ludzie zobaczą nas spacerujących razem.

– Naprawdę?

– Pewnie tak. – Z odpowiedzi nie wynikało jednak, że rezygnuje ze swojej propozycji. – Dokąd pan idzie?

– Wracalem właśnie do biura.

– A gdzie się ono znajduje?

– W Bishopsgate, w City.

– To kawałek możemy przejść razem. Biblioteka jest przy Pall Mall 49, więc nie musi pan nigdzie zbaczać. A po drodze opowie nam pan wszystko o bawełnie i o tym, co właściwie planuje pan w Indiach. I postara się pan, żeby to nas zabawiło tak, jak to tylko możliwe. A potem każde z nas pójdzie w swoją stronę.

Tak więc następne pół godziny spędzili całą trójką na spacerze przez Green Park, gdzie Charles Pope tłumaczył lady Marii zawiłości handlu bawełną. Opowiadał o swoich planach, a potem o nowych krosnach z automatycznym systemem hamowania, który włącza się natychmiast po zerwaniu nici. Maria cały czas obserwowała zapał i ferwor, z jakim mówił, nie mogąc oderwać oczu od jego warg. Zanim doszli do rogu Green Park i Piccadilly, wiedziała już wszystko, co należy, o zbiorach, dostawach i tkaniu bawełny.

– No i wygrał pan! – oznajmiła, kręcąc na ramieniu liliową parasolką.

– Ale co?

– Nie musiałam tłumić żadnego ziewnięcia. Mówił pan zajmująco, a zarazem rzeczowo, brawo! – zaśmiała się, klaszcząc dłońmi w rękawiczkach. Charles się skłonił. – Bardzo chciałabym zobaczyć kiedyś pańskie biuro.

– Obawiam się, że pani mama uzna to za niemożliwe. – Zerknął na Ryan, która stała z kamienną twarzą. – Trudno mi uwierzyć, żeby wizyta w Bishopsgate...

– Nonsens. Skoro lady Brockenhurst zainteresowała się pańską firmą, to dlaczego i ja nie mogłabym jej sobie obejrzeć?

– Nie widzę związku.

Maria przedtem mówiła bez namysłu, teraz jednak zawahała się przed odpowiedzią.

– Bo... jestem zaręczona z bratankiem jej męża.

– Ach! – No i skąd to głupie rozczarowanie? Nawet więcej niż rozczarowanie: Charles poczuł się tak, jakby nagle utracił drogocenną perłę. Czy on sobie wyobrażał, że tak piękna dziewczyna jak Maria Grey nie ma wielbicieli? Oczywiście, że jest zaręczona. Zresztą i tak pochodzi z utytułowanej rodziny, on zaś jest nikim, synem nikogo. Mimo to nie był w stanie wykrztusić nic ponad ten okrzyk.

– Może odwiedziłabym pana razem z lady Brockenhurst – zaproponowała Maria nieco zbyt radośnie.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. – I uchyliwszy kapelusza, dodał: – Czas do pracy.

– Po czym pożegnał się i skręcił w Piccadilly.

John Bellasis siedział nad kuflem piwa w Mr Pimm's Chop House przy Poultry 3, kiedy do środka wmaszerował jego ojciec i zajął miejsce naprzeciwko. Jak prawie w każdy wtorek, John odwiedził właśnie znajomego brokera, który urzędował tuż za rogiem w Old Jewry. Już zawczasu szukał sposobu powiększenia swojej przyszłej fortuny i badał możliwości korzystnego inwestowania. To ważne, by zachowywać pozory, przekonywał sam siebie; wierzyciele powinni nabrać zaufania, że kiedyś zostaną spłaceni.

– Tu jesteś! – sapnął Stephen.

– Dzień dobry, ojcze. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

– Zawsze tu jesteś – zauważył Stephen, kuląc się w sobie. – No więc... – uderzył mocno dłońmi o stół – no więc mi odmówił.

– Kto? – John odstawił kufel i odsunął talerz z ogryzionymi kośćmi barana.

– Twój stryj, oczywiście. – Stephen szarpał nerwowo kołnierzyk. – Co ja teraz zrobię? – Wiedział, że jego głos nabiera piskliwego tonu, ale był w panice. – Mam tylko dwa dni... a właściwie teraz już jeden.

– O ile go prosisz? – John nie musiał zgadywać powodu zdenerwowania ojca. Zawsze chodziło o pieniądze i długi.

– O tysiąc. – Stephen spojrział na talerz syna, żeby sprawdzić, czy da się jeszcze czymś pożywić. Zawiesił palce nad kośćmi, ale ostatecznie wyłowił tylko zimną otłuszczoną marchewkę. – Mam dług u Schmitta.

– U Schmitta? Tego szubrawca? – John uniósł brwi i westchnął. – To lepiej mu zapłacić.

– Jasne – burknął Stephen, żując marchewkę. – Nie wiesz czasem, kto może mi pomóc?

– Masz na myśli lichwiarzy?

– A kogóżby innego? Jeśli pożyczę od nich, żeby spłacić Schmitta, to zyskam kilka dni, żeby wynegocjować jakiś kredyt. Dojdą wprawdzie odsetki, ale gdybym zdobył chociaż pięćset funtów, kupiłbym sobie trochę czasu.

– Znam kilku. Ale wątpię, czy uda się tak szybko zebrać całą sumę. Czemu nie pójdziesz do banku? – John bębnił starannie opiłowanymi paznokciami po stole. – Tam wiedzą, kim jesteśmy, wiedzą, że rodzina ma majątek, który wkrótce przejdzie na mnie. Nie mógłbyś zaciągnąć pożyczki na poczet spadku?

– Próbowałem już wcześniej. – Stephen tym razem niczego nie ukrywał. – Mówią, że mój brat jest zdrów jak koń i musieliby za długo czekać.

– Znam pewnego Polaka, nazywa się Emil Kruszyński. Mieszka w pobliżu East End. On da ci pieniądze na czas.

– Na jaki procent?

– Pięćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt! – Stephen wydał policzki i zapatrzył się na kelnerkę, która sprzątała w boksie naprzeciwko. Kiedy wycierała stół, jej pulchny tyłeczek kołysał się na boki. – Trochę dużo.

– Dolicza sobie za ekspresową usługę. Będzie wiedział, że masz nóż na gardle. Naprawdę nie ma już nic do sprzedania?

– Tylko dom przy Harley Street, który i tak ma hipotekę obciążoną po dach. Wątpię, czy pozostałby nam chociaż pens.

– To musisz albo przekonać bank, albo odwiedzić Polaka.

– Wiesz, kogo widziałem dziś w domu twojego stryja przy Belgrave Square? – rzekł Stephen, marszcząc brwi. – Charlesa Pope'a.

– Protegowanego Trencharda? Tego, który był na przyjęciu? – John wyglądał na zmieszanego. – Co on tam znowu robił?

– Kto wie? Ale tam był. Zaśmiewali się z twoją ciotką nie gdzie indziej jak w jej osobistym

saloniku. Przyłapałem ich, kiedy już wychodził. To bardzo podejrzana sprawa. Zaczterwienił się na mój widok. Naprawdę!

– Chyba nie sądzisz, że mieli schadzkę? – zażartował John.

– Dobry Boże, nie! – Stephen zachichotał i odchylił się na ławce. – Ale powiem ci, że coś się tu święci. Ona inwestuje w jego interesy...

– Taak? – John aż się wyprostował. Teraz, kiedy ojciec wspomniał o pieniądzach, od razu go to zaciekało. – Skąd u niej w ogóle to zainteresowanie handlem, a zwłaszcza firmą jakiegoś nieznanego typu znikąd?

– No właśnie. I wyglądali na bardzo, bardzo zaprzyjaźnionych, jak na osoby, które dopiero co się poznały. Pamiętasz, jak oprowadzała go po salonach w tamten wieczór? To było wręcz niestosowne. Kobieta o jej pozycji z takim młokosem...

– Kim on jest? Czy ktoś coś wie o jego pochodzeniu? Na pewno da się coś wywęszyć.

– O niczym takim nie wiem. Mnie też się ten typ nie podoba, a zwłaszcza nie podoba mi się jego wpływ na lady Brockenhurst. Przez niego robi z siebie idiotkę.

– A wiesz, ile zainwestowała?

– No... Młody Pope wyglądał na bardzo zadowolonego, więc wyobrażam sobie, że dość sporo. Czemu, u licha, daje pieniądze obcemu, skoro mój drogi brat nie pomaga nawet własnym krewnym?

– No właśnie. – Przy stole zapadła cisza, podczas której ojciec z synem dumali nad niesprawiedliwością tego świata.

– Musimy dowiedzieć się, kim on jest – odezwał się wreszcie Stephen.

– Chyba mogę ci pomóc.

– Jak?

– Jestem w dość dobrych stosunkach z młodszą panią Trenchard. Mówiła mi, że jej teść zna Pope'a od pewnego czasu.

Ojciec rzucił mu bystre spojrzenie.

– W jak dobrych?

– Wpadłem na nią przypadkiem w National Gallery i poszliśmy na herbatę.

– Taak? – Stephen aż za dobrze znał swojego syna.

– Wszystko odbyło się bardzo przyzwoicie. Towarzyszyła jej pokojówka. Mógłbym wypytać, co jeszcze o nim wie.

– Ta pokojówka?

– Miałem na myśli panią Trenchard, ale może to nie taki zły pomysł. Służba wszystko potrafi wywęszyć. A jeśli tam coś się święci w związku z Pope'em, to ja chcę o tym wiedzieć. Trzeba się tylko poużalać, że gość robi interesy z tym prostakiem Trenchardem, a moja wybredna ciotka zaczyna ni z tego, ni z owego łądować w niego pieniądze. Pieniądze, które pewnego dnia, jeśli zimny wiatr powieje we właściwą stronę, będą nasze. Czy to takie dziwne, że chcemy wiedzieć dlaczego?

Stephen przytaknął energicznie.

– Odpowiedź na pewno jest u Trenchardów.

– A kiedy ją poznamy, wyśledzimy, jaki to ma związek z ciotką.

– Tak, tak. Coś między nimi musi być. To znaczy, między Pope’em a Caroline albo może między nim a Peregrinem. A jeśli do tego dojdziemy, wtedy Caroline – skoro już tak swobodnie poczyna sobie z finansami – będzie skłonna zapłacić za utrzymanie tej sprawy w sekrecie.

– Czyżbyś sugerował szantaż? – Tym razem John wyglądał na zszokowanego.

– Zdecydowanie. Zaczniemy od tego, że wyciągniesz ten sekret od służących Trencharda. – Stephen zaczął machać nogą pod stołem. To może być odpowiedź na jego modlitwy.

Dwa dni później John wszedł do pubu The Horse and Groom przy Groom Place. Miejsce to dzieliło zaledwie pięć minut marszu od Eaton Square i okazałych rezydencji Belgravii, a jednak był to zupełnie inny świat.

Udało mu się doprowadzić do krótkiego spotkania ze Speer na chodniku przed domem Trenchardów. Pod pretekstem planowania kolejnej schadzki z Susan wydobył z niej, gdzie ich służący zwykli spędzać swoje wolne godziny. Oczywiście od razu zorientowała się, że John coś knuje, on zaś przez chwilę rozważał, czy nie poprosić jej, aby powęszyła trochę w jego imieniu. Podejrzewał jednak, że pokojowa wymienia się informacjami ze swoją panią, a na razie wolał nie wtajemniczać kochanki we wszystkie swoje sprawy. Owszem, była zachwycająca, ale tak szybko wskoczyła mu do łóżka, że obudziło to jego czujność. Wyraźnie nie należała do ostrożnych i John nie wiedział, do jakiego stopnia może jej zaufać. Wkrótce pokojówka poinformowała go, że jeśli potrzebuje pomocy ze strony kogoś z domowych, powinien zacząć od pana Turtona, kamerdynera. Pije on zwykle w The Horse and Groom, czyli tuż za rogiem. Johna z początku to zaskoczyło. Kamerdynery są zwykle opłacani najlepiej z całej służby i dlatego wykazują się największą lojalnością wobec chlebodawców. Uznał jednak, że Speer musi wiedzieć, o czym mówi.

Już po drodze do pubu uderzył go w nozdrza odór rozlanego piwa i mokrych trocin. John często bywał w dzielnicach o złej sławie, ale nawet on uznał, że pub The Horse and Groom to trochę zbyt wiele, jak na jego gust.

Zamówił kufel piwa i stanąwszy w kącie, plecami do ściany, czekał. Speer mówiła, że pan Turton zwykle zagląda tu na jednego w okolicach piątej – i rzeczywiście, punktualnie o tej godzinie, kiedy zegar nad barem nie skończył jeszcze bić, w drzwiach ukazał się wysoki, szczupły mężczyzna o poszarzałej twarzy, w czarnym płaszczu i błyszczących czarnych butach. Zdawał się zupełnie nie pasować do tego lokalu, ale ledwie odsunął krzesło, pospieszył do niego barman z butelką ginu i nalał mu do szklaneczki, nie zamieniając z nim ani jednego słowa. Turton podziękował mu skinieniem głowy; może nie był zbyt rozmowny, ale z pewnością należał do stałych klientów.

– Pan Turton, nieprawdaż? – zagadnął John.

Turton odsunął szklaneczkę i dopiero wtedy podniósł wzrok.

– Być może. – Z bliska wyglądał na znużonego. – Czy ja pana znam?



– Nie. – John usadowił się naprzeciwko. – Ale z tego, co wiem, możemy ubić interes.

– Pan i ja? – Turton zaniepokoił się nieco. Miał zwyczaj odsprzedawać na boku różne kawałki wołowiny, dobrego sera, czasem kilka butelek bordo, czego nikt w domu nawet nie zauważył. Miał cichą umowę z panią Babbage: ona składała nieco większe zamówienie, naprawdę nic, co mogłoby zwrócić uwagę, na przykład kilka dodatkowych bażantów z Glanville, ciut więcej baraniny niż rodzina potrzebowała, a on to upłynniał. W pubie dobrze go znano; przesiadywał tam od piątej do szóstej po południu i prowadził swoje drobne interesy. Naturalnie odpalał coś pani Babbage. Może nie tyle, na ile zasługiwała, ale w końcu to on ponosił ryzyko, ona musiała tylko „mylić się” w zamówieniach, z czego nikomu nie przyszłoby do głowy robić jej zarzutu. Turton pracował u Trenchardów od prawie dwudziestu pięciu lat, zaczynał niedługo po śmierci ich córki, więc cieszył się zaufaniem. Jediną osobą, którą musiał mieć na oku, była pani Frant – ta wstrętne intrygantka wszędzie wtykała nos, ale z panią Babbage miał tak znakomity układ, że za nic nie dopuściłby, aby gospodyni go zepsuła. Teraz, mierząc Johna wzrokiem od góry do dołu, od razu zauważył jego kosztowne ubranie i złotą dewizkę zegarka. Ten gość zdecydowanie nie wyglądał na takiego, który potrzebuje kawałka szynki.

– Wątpię, czy mógłbym mieć z panem jakiś wspólny interes.

– I tu się pan myli. – John upił łyk piwa. – Szukam pomocy w pewnej osobistej sprawie, a pan wydaje mi się odpowiednią osobą. Oczywiście w grę wchodzi skromne wynagrodzenie.

– Jak skromne?

– Zależy od rezultatów – odparł z uśmiechem John.

To już Turtona zainteresowało. Można tu i tam opylić kawałek wołowiny, ale prawdziwe pieniądze, sumka na czarną godzinę, też by się bardzo przydały. Dlatego pozwolił młodemu dżentelmenowi postawić sobie kolejny gin, a potem zamienił się w słuch.

Czterdzieści minut później wyszli razem z pubu i skierowali się w stronę Eaton Square. Turton poprosił Johna, żeby zaczekał na niego kilka minut za rogiem stajni. Zna idealną osobę, kogoś, kto od lat pracuje w tym domu i zawsze chętnie zarobi coś na boku. „To kobieta, która wie, jak się ustawić” – zapewnił Johna na odchodnym. „Wspomni pan moje słowa”.

John stał na ulicy, pod latarnią gazową, z postawionym kołnierzem i nasuniętym na czoło kapeluszem. Za blisko stąd do domu Trenchardów, żeby mógł się czuć komfortowo. Tylko tego brakuje, żeby napatoczyła się Susan albo i sam Trenchard...

Wkrótce Turton zjawił się z powrotem w towarzystwie tęgawej kobiety w czarnym kapeluszu i kosztownym jedwabnym szalu w rdzawym kolorze.

– Pan pozwoli – wyciągnął rękę – oto panna Ellis, pokojowa pani Trenchard. Pracuje w tym domu od trzydziestu lat. Jeśli nie wie czegoś o sprawach rodziny, to znaczy, że nie jest to warte zachodu. – Turtona irytowało, że musiał dzielić się zadaniem z panną Ellis, ale nie miał wyjścia. Z panem Trenchardem układało mu się całkiem nieźle, ale absolutnie nie mógłby się nazwać jego powiernikiem, natomiast panna Ellis... Ona i pani Trenchard znały się jak łyse konie. Aż dziw bierze, że pani nigdy dotąd nie przyszło do głowy, że Ellis tylko czeka na stosowną ofertę, by zdradzić jej

sekrety, a teraz przy odrobinie szczęścia stanie się to możliwe.

– Ach tak, panna Ellis. – Szkoda, że Speer od razu go z nią nie skontaktowała. John podejrzewał, że nie podoba się jej wysoka pozycja Ellis wśród domowników, i tu akurat się nie mylił. Teraz będzie musiał opłacić szczerze tych dwoje, co było przykre, ale Turton słusznie mówił. Nikt tak szybko nie zwącha rodzinnych sekretów jak pokojowiec i pokojowa. Podobno połowa moźnych tego świata każe swoim osobistym służącym szpiegować innych za dodatkowe wynagrodzenie. John zwrócił się z uśmiechem do Ellis, która czekała obok w milczeniu.

– Może przejdziemy do razu do interesów?

— 6 —

Szpieg we własnych szeregach



James Trenchard siedział w swoim biurze przy Gray's Inn Road przy eleganckim biurku w stylu empire z okuciami ze złoczonego brązu. Wielki, wyłożony boazerią gabinet, z obrazami o poważnej tematyce i paroma imponującymi meblami, usytuowany był na pierwszym piętrze, nad kancelarią adwokacką. Niewątpliwie James miał jakąś wizję siebie jako dżentelmena przedsiębiorcy. Większość jego współczesnych mogłaby uznać to określenie za oksymoron, on jednak lubił tak właśnie o sobie myśleć i uzewnętrzniać to w swoim otoczeniu. Na okrągłym stoliku w rogu leżały starannie ułożone rysunki Cubitt Town, a nad kominkiem wisiał piękny portret Sophii. Namalowany jeszcze w Brukseli, przedstawiał jego córkę w najbardziej urzekającym okresie – młodą, ufną, z oczami utkwionymi w widza, w kremowej sukni i modnej w tamtych czasach fryzurze. Podobieństwo było świetnie uchwycone i być może z tego powodu Anna nie chciała powiesić tego portretu przy Eaton Square – zbyt wielki smutek w niej budził. James przeciwnie, lubił patrzeć na ukochaną zmarłą córkę i wspominać ją w dość rzadkich momentach ciszy i samotności.

Dziś jednak wpatrywał się w rozłożony na biurku list. Przyniesiono go w obecności sekretarza, ale James wolał odłożyć czytanie do czasu, gdy zostanie sam. Teraz obracał list na wszystkie strony w pulchnych dłoniach, przebiegając raz po raz wzrokiem kaligraficzne pismo na grubym kremowym papierze. Bez otwierania koperty wiedział, kto ją przysłał, gdyż identyczne pismo otrzymał już wcześniej. Zawiadamiano go w nim, że znajduje się na liście kandydatów do klubu Athenaeum, a teraz zapewne nadeszła decyzja, podpisana przez Edwarda Magratha, sekretarza. James wstrzymał oddech; tak gorąco pragnął być przyjęty, że aż nie śmiał otworzyć koperty. Wiedział, że dla wielu osób Athenaeum nie jest najlepszym z nowoczesnych klubów. Mieli fatalną kuchnię, a w towarzystwie uważano ich za londyński azyl duchownych i akademików. Ale trudno zaprzeczyć, że nadal spotykali się tam dżentelmeni, z tą tylko różnicą, że nieco rewolucyjny regulamin umożliwiał przyjmowanie na członków także wybitnych postaci ze świata nauki, literatury i sztuki, a nawet osób zasłużonych w służbie publicznej, bez względu na urodzenie i rodzaj wykształcenia.

Ta polityka spowodowała napływ bardzo różnorodnych członków w przeciwieństwie do konserwatywnych klubów z St James's. Dlatego przyjęto do Athenaeum Williama Cubitta, a czyż on, James Trenchard, nie pomógł obu braciom zbudować pół nowoczesnego Londynu? Czy to nie służba publiczna? William wysunął jego kandydaturę kilka miesięcy temu, a ponieważ odpowiedź długo nie nadchodziła, James nękał przyjaciela o przyspieszenie nominacji. To prawda, nie jest idealnym kandydatem, nawet przy obecnych, bardziej liberalnych kryteriach; synowi straganiarza trudno będzie sforsować bastiony establishmentu, ale czyż Bóg byłby aż tak okrutny, by dopuścić odmowę? Wiedział, że nie ma najmniejszej szansy na przyjęcie do White's, Boodle's, Brooks's bądź innych naprawdę eleganckich klubów, czy jednak naprawdę nie zasługuje nawet na Athenaeum? Poza tym doszły go słuchy, że potrzebują gotówki, którą on dysponuje w nadmiarze. Oczywiście istnieje ryzyko, że narazi się na afronty i szyderstwa, a Anna nigdy nie zrozumie, co to miejsce ma w sobie takiego, czego nie zapewnia mu dom, ale on mimo wszystko ma potrzebę przynależności do

Wielkiego Świata i jeśli warunkiem mają być pieniądze, to chętnie je wyłoży. I oby na tym się skończyło.

Aby oddać Jamesowi sprawiedliwość, warto zauważyć, że w pewnym, bardzo niewielkim stopniu zdawał sobie sprawę z absurdalności swoich ambicji. Wiedział, że niechętnie pochlebstwa różnych głupców i dandysów nie wnoszą do jego życia żadnej realnej wartości, a jednak... Nie potrafił opanować tego sekretnego głodu ludzkiego uznania. To on gnał go wciąż do przodu, zmuszając do ciągłego zwiększania tempa.

Do gabinetu zajrzał sekretarz.

– Pan Pope czeka za drzwiami, proszę pana. Pyta, czy zaszczyci go pan rozmową.

– Naprawdę? W takim razie go poproś.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, panie Trenchard – Charles wysunął się szybko zza drzwi, jak zawsze z ujmującym uśmiechem – ale pański kancelista powiedział, że jest pan u siebie, a ja mam ważną nowinę.

– Bardzo proszę. – James odłożył list na biurko i wstał, by ucisnąć młodemu człowiekowi rękę. To dziwne, jaką przyjemność sprawiał mu sam widok wnuka. – Zechce pan usiąść?

– Za pozwoleniem, wolę postać, jestem zbyt podekscytowany.

– Ach tak?

– Lady Brockenhurst była tak uprzejma, że napisała mi, ile zamierza wraz z mężem zainwestować w moje przedsiębiorstwo. I teraz mam już całą sumę, nic więcej mi nie trzeba!

Najwyraźniej aż pękał z radości, chociaż starał się nad sobą panować. Był naprawdę wspaniały, bez cienia wątpliwości.

– Od przybytku głowa nie boli – zauważył James.

Patrząc na tego młodego, tryskającego energią zapaleńca, czuł, że jest bliski spełnienia marzeń, a mimo to wcale się nie cieszył. Nie ma co się łudzić. Osobliwość tego przypadku – wielka pani inwestuje fortunę w przedsięwzięcie pana Nikt – aż się prosi o komentarz. Do tego te trudne do wyjaśnienia względy, jakie lady Brockenhurst okazywała Charlesowi na przyjęciu – i tylko patrzeć, jak ktoś doda sobie dwa do dwóch.

Ale Charles jeszcze nie skończył.

– Łącznie z tym, co i pan dołożył, mam wystarczająco, żeby w całości spłacić kredyt, sfinansować nowe krosna, wyposażyć fabrykę w nowe narzędzia i w ogóle poprawić wydajność. Mogę też zaplanować podróż do Indii, zorganizować dostawy surowej bawełny, zatrudnić tam agenta, a potem już tylko siedzieć i patrzeć, jak nasza produkcja wysuwa się na czoło przemysłu. Oczywiście żartuję, bo ani mi się śni siedzieć... – dodał ze śmiechem.

– Oczywiście. – James skłął się w duchu, że od początku nie sfinansował sam całego przedsięwzięcia, tak żeby nie dopuścić do interwencji hrabiny. Mógł sobie na to z łatwością pozwolić, tylko nie chciał, żeby Charlesowi wszystko szło zbyt gładko, niechby chłopak nauczył się czegoś o interesach w nowoczesnym świecie. Teraz miał chęć kopnąć się za to w kostkę, bo po raz

kolejny lady Brockenhurst udało się wtargnąć w jego życie. Odkąd poznała prawdę, nic jej już nie powstrzyma. Czemu, ach, czemu Anna musiała jej powiedzieć? Ale nawet zadając sobie to pytanie po raz tysięczny, rozumiał, że z tej drogi nie ma odwrotu i lada chwila wszystko się zawali. – No dobrze, przyznaję, że trochę mnie pan zaskoczył. Kiedy tamtego wieczoru usłyszałem o zamiarach hrabiny, zadałem sobie pytanie, jak to jest możliwe, i nawet wątpiłem, czy dotrzyma słowa. A jednak dotrzymała. Myliłem się i szczerze mnie to cieszy.

Charles energicznie mu przytakiwał.

– Zamierzam najpierw zgromadzić tyle surowej bawełny, żeby starczyło na roczną produkcję. Następnie popłynę do Indii i dołożę ostatni element do tej układanki. I wtedy uznam, że wszystko jest załatwione.

– Tak, załatwione... I wciąż nie ma pan pojęcia, skąd u lady Brockenhurst to zainteresowanie? Nigdy nie napomknęła, czemu chce panu pomóc? To takie dziwne...

– Ma pan rację. – Charles kręcił głową z niedowierzaniem. – Ona naprawdę mnie lubi i popiera, cokolwiek to znaczy. Zaprasza do domu. Ale nigdy nie wspomina, skąd w ogóle dowiedziała się o moim istnieniu.

– No cóż... Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

– Tak. Kiedyś z pewnością dowiem się prawdy. Powiedziała, że przypominam jej kogoś, kogo bardzo lubiła, lecz to chyba nie może być prawdziwy powód? – Charles uniósł brwi na samą myśl.

– Nie, raczej nie. Musi być w tym coś więcej.

Ależ ja umiem kłamać, myślał James. Nigdy bym nie podejrzewał, że mogę komuś patrzeć prosto w oczy i łąć z taką łatwością, z jaką składam podpis. Z każdym dniem dowiadujemy się o sobie czegoś nowego.

Odruchowo wziął z biurka list i go otworzył. Rzeczywiście była to odpowiedź od Edwarda Magratha. James przebiegł wzrokiem pierwsze akapity, by zatrzymać się na ostatnim: „Z wielką przyjemnością przyjmujemy Pana do klubu Athenaeum”. Uśmiechnął się ironicznie, ciekaw, jak długo potrwa, zanim poproszą go o rezygnację.

– Dobre wieści? – zainteresował się Charles, który obserwował go ze swojego miejsca przed kominkiem.

– Zapisałem się do Athenaeum – oznajmił James, rzucając list na biurko.

Co za ironia losu... Ledwie zdążył przeobrazić się w „swojego” czy przynajmniej kogoś w tym rodzaju, a tu zaraz wszystko się z hukiem zawali. Caroline Brockenhurst nigdy nie dotrzyma słowa, a jeśli nawet, ludzie i tak odgadną prawdę. Najpierw oczywiście zawiadomi męża, aby uzyskać zgodę na inwestycje...

Tak się jednak składało, że akurat w tym James gruntownie się mylił. Hrabina musiała tylko powiedzieć mężowi, że chce wesprzeć młodego Pope’a, a lord Brockenhurst, jak zawsze, uznał, że żona najlepiej pokieruje ich interesami. Natomiast Trenchard słusznie przypuszczał, że gdy tylko sekret wyjdzie na jaw, w ciągu jednego dnia znajdzie się na językach całego Londynu. Wtedy Sophia zostanie okrzyknięta dziwką, a on, James Trenchard – ojcem ladacznicy. I tak współczucie Anny dla

hrabiny skończy się zgubą Trenchardów.

Świadom wiszącego nad głową miecza Damoklesa James zdecydował, że skoro jego szczęście i tak długo nie potrwa, mógłby równie dobrze wycisnąć je do ostatniej kropli. Dlatego zaprosił Charlesa na uroczysty lunch w swoim nowym klubie i po chwili obaj wyszli na zalaną słońcem ulicę. Siedząc obok wnuka we własnym powozie z Quirkim na koźle w drodze na Pall Mall, nie mógł oprzeć się myśli, że to chyba jeden z najszcześniejszych dni w jego życiu. Oto z synem Sophii u boku przekroczy za chwilę próg szacownej siedziby najelegantszego klubu, do jakiego kiedykolwiek będzie miał szansę należeć. Już sama świadomość tego skłoniła go do uśmiechu.

W imponującym holu, w którym uwagę zwracały szczególnie okazałe schody, wśród marmurowych posągów i białych, złożonych kolumn serce Jamesa zabiło nieco szybciej. Przepych, który tak go onieśmielał podczas spotkania z Williamem Cubitem, nagle przeobraził się w starego przyjaciela.

– Za pozwoleniem – rozległ się głos mężczyzny w czarnym garniturze i białej koszuli. Ze swoimi siwymi włosami i świdrującymi niebieskimi oczami przypominał Jamesowi Robespierre’a. – Czym mogę panu służyć?

– Nazywam się Trenchard. – James grzebał w kieszeni w poszukiwaniu listu. – James Trenchard. – Machnął papierem przed nosem mężczyzny. Cała jego pewność siebie nagle się gdzieś ulotniła. – Jestem nowym członkiem.

– Ach, tak, pan Trenchard. – Steward ukłonił się grzecznie. – Witamy w klubie. Czy zje pan dziś u nas lunch?

– Zdecydowanie – odparł James, zacierając ręce.

– Czy z panem Cubitem?

– Z panem Cubitem? Nie. – James się zmieszał. Skąd mu to przyszło do głowy?

Klubowy ważniak zmarszczył brwi, demonstrując lekki niesmak.

– Mamy taki zwyczaj, proszę pana, że nowy członek je u nas swój pierwszy lunch w towarzystwie członka wprowadzającego.

Ta jego wyniosłość stawała się trudna do zniesienia.

– Czy to przepis regulaminu? – Uśmiech zastygł Jamesowi na ustach.

– Nie, proszę pana, tylko zwyczaj.

Czuł, że znów wszystko zaczyna się w nim skręcać ze złości. Z jednej strony pragnął z całego serca być tutaj traktowanym jak „swój”, z drugiej najchętniej wdeptałby w ziemię tych wszystkich bufonów.

– Skoro tylko zwyczaj, to dziś odłożymy go na bok. Jestem tu z moim... – tu zakaszłał – z moim gościem, panem Pope’em.

– Oczywiście, proszę pana. Przejdą panowie prosto do jadalni czy najpierw spędzą jakiś czas w salonie?

James odzyskiwał już panowanie nad sobą.

– Raczej od razu coś zjemy. Dziękuję. – Uśmiechnął się do Charlesa, znów czując pewny grunt pod nogami.

Z holu, obok klatki schodowej, poprowadzono ich do jadalni. Sala o wielkich oknach, wychodzących na bujną zieleń Waterloo Gardens, robiła wrażenie przestronnej i widnej. Wskazano im stolik w prawym rogu i gdy tylko padło pytanie, czy czegoś się napiją, James poczuł się już całkiem odprężony.

Zamówiwszy dwa kieliszki szampana, rozłożył na kolanach dużą lnianą serwetę. To naprawdę coś rozkosznego, że jego tak długo hołubione marzenia wreszcie się spełniają. Kiedy kelner nalewał im wino, James wodził wzrokiem po sali: grupki panów przy lunchu, wielkie wazony z kwiatami, na bocznej ścianie rząd obrazów przedstawiających wyścigi konne. Dlaczego wszyscy dżentelmeni muszą udawać, że interesują się końmi, myślał, podnosząc kieliszek.

– Zdrowie pańskie i pańskiego nowego przedsięwzięcia! – Próbował trącić się z Charlesem kieliszkiem, ale w porę przypomniał sobie, że nie wypada. Czy jego gość zauważył tę gafę? Jeśli tak, to tego nie okazał. Oczywiście, jako prawdziwy dżentelmen jego wnuk nie zwraca na takie rzeczy uwagi. Przez chwilę niemal mu zazdrościł. – Jestem z pana bardzo dumny – oznajmił zgodnie z prawdą.

James, chociaż wiedział, że to niemożliwe, zawsze pragnął być właśnie taki jak Charles. Chociaż w tajemniczych komnatach Brockenhurst House jego wnuk mógł się czuć nieco niepewnie, tutaj, w klubowym otoczeniu, wśród wielu znakomitych dżentelmenów zarabiających na swoje utrzymanie, był zupełnie spokojny i opanowany. Czy James powinien po prostu wyznać mu prawdę? Niebawem i tak wszystko wyjdzie na jaw. Czy nie lepiej powiedzieć mu, kim jest, teraz, w tej miłej, spokojnej atmosferze, zamiast dopuścić, żeby usłyszał to jako plotkę na jakimś przyjęciu?

– Żeby uruchomić tak szybko, jak pan, przedsięwzięcie tego rodzaju, trzeba mieć określone cechy charakteru. Trzeba umieć skupić się na celu, być zdeterminowanym i gotowym do ciężkiej pracy, a jednocześnie mieć duże poczucie realizmu. Widzę w panu wiele z siebie samego.

– To wielka pochwała, panie Trenchard – odrzekł ze śmiechem Charles, sprowadzając Jamesa z hukiem do rzeczywistości. Oczywiście, że nic chłopakowi nie powie, dopóki sekret się nie wyda. Może lady Brockenhurst zwariuje. Albo umrze. Może wybuchnie kolejna wojna z Francją. Wszystko może się zdarzyć.

– Tak właśnie uważam. Świetna robota – dodał pospiesznie, zanim emocje wzięły górę. – A mówiąc językiem ludzi interesu – kontynuował rzeczowo, wyciągając z wewnętrznej kieszeni surduta jakieś papiery – myślę, że zyski, mimo wstępnych nakładów, mogą być ogromne. I wcale nie musi pan długo czekać. Ludzie potrzebują bawełny, to fakt. – Wyglądził dokumenty. – Jeśli przestudiuje pan uważnie te rubryki...

– Za pozwoleniem, sir. – James podniósł wzrok i zobaczył tego samego mężczyznę, który powitał go przy wejściu. – Bardzo mi przykro, panie Trenchard, ale dokumentów związanych z interesami nie dopuszczamy w żadnej części tego budynku. I tym razem, niestety, jest to przepis regulaminu – dodał, aby nie narazić się na zarzut niegrzeczności.



– Oczywiście. – Jamesowi poczerwieniały uszy. Czy nie mogą chociaż przez chwilę uszanować jego godności wobec wnuka? Czy jego upokorzenie musi sięgnąć dna?

– To moja wina – pospieszył z pomocą Charles. – To ja poprosiłem pana Trencharda, żeby mi coś pokazał. Nie jestem członkiem klubu, więc proszę mi wybaczyć tę ignorancję.

– Dziękuję panu.

Steward się ulotnił, a James znów zaczął przyglądać się wnukowi. Z pewnym zaskoczeniem uświadomił sobie, że Charles nigdy nie zazna tego poczucia niepewności, które przez całe życie nękało jego dziadka. Nie będzie czuł się gorszy z powodu braku znajomości zasad obowiązujących w towarzystwie, nie zagubi się na dużym przyjęciu czy raucie.

– Ależ z nich formalisci – zauważył Charles. – Przecież powinni być dumni z każdego członka, który ma jakieś firmowe papiery do pokazania.

Trenchard patrzył w stół. Charles go usprawiedliwia, co oznacza, że zrobiło mu się żal protektora, ale także ma w sobie dość empatii, by chcieć oszczędzić jego uczucia. Ta myśl wydała mu się bardzo pocieszająca. Wkrótce podano pierwsze danie i reszta lunchu upłynęła bez incydentów. Jedli łososia, przepiórki i „śnieżki” ryżowe z jabłkami, a potem po plasterze cheddara z kostką galaretki pigwowej. „Jem lunch z moim własnym wnukiem” – powtarzał sobie w duchu James i serce omal nie rozsadzało mu kamizelki.

– Wcale nie takie złe to było, prawda? – Dokończył mały kieliszek porto, który zamówił do sera. – Zważywszy na kiepską reputację tutejszej kuchni.

– Uważam, że wręcz wyśmienite – odrzekł z całą powagą Charles. – Ale obawiam się, że muszę już iść. Nie powinienem wychodzić na tak długo.

James odsunął krzesło i wstał.

– W takim razie wyjdziemy razem.

Ruszyli wolnym krokiem do holu, gdzie natychmiast natknęli się na rozwścieczonego Olivera.

– Oliver? – zdziwił się James. – Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Powiedzieli mi w biurze. Czekałem już dwadzieścia minut.

– Czemu nie kazałeś mnie zawiadomić?

– Bo podali mi tu godzinę, o której przyszedłeś, a skąd ja mogłem wiedzieć, że będziesz siedział półtorej godziny przy lunchu! Kiedy zostałeś członkiem?

To wyraźne rozdrażnienie syna stało się krępujące. Jakim żalosnym osobnikiem musi się wydawać swojemu siostrzeńcowi, myślał James, cierpliwie czekając, aż Oliver się opanuje.

– Przykro mi, jeśli straciłeś przeze mnie czas. Pan Pope i ja świętowaliśmy właśnie pewną dobrą nowinę.

– Pan Pope? – Oliver obrócił się na pięcie. Wściekłość tak zmąciła mu wzrok, że nie zauważył stojącego obok młodego człowieka. – Pan Pope! A pan co tu robi?

– Jedliśmy razem lunch – wyjaśnił Charles pojednawczo i z całą uprzejmością, ale nic to nie dało.

– Dlaczego?

– Pan Pope otrzymał dziś wspaniałą wiadomość – oznajmił James. – Udało mu się zebrać całą sumę na planowaną inwestycję. A ponieważ ja dowiedziałem się właśnie, że przyjęto mnie do klubu, postanowiliśmy to uczcić.

– Znów jakaś inwestycja? – Oliver spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– Pański ojciec okazał się nadzwyczaj uprzejmy i bardzo mi dodał otuchy. – Jeśli Charles spodziewał się powstrzymać tymi słowami przyływ złości Olivera, to się pomylił.

– Ale pan przecież wcześniej wiedział, że ojciec da panu pieniądze. Więc nie musieliście tego świętować.

– Rzeczywiście, ale dziś otrzymałem wiadomość od innego inwestora, który gotów jest wyłożyć tyle, ile mi potrzeba, a nawet więcej.

Oliver wbił w niego wzrok.

– Ma pan prawdziwy talent do nakłaniania ludzi, aby sięgali do kieszeni, panie Pope. Skąd w panu aż taki entuzjazm? Pamiętamy, jak dopiero co hrabina Brockenhurst wodziła pana po salonach niczym okazową jałówkę. Gdybym miał pańskie zdolności, skończyłyby się moje kłopoty.

– Dość tego. – Jamesa dręczyło poczucie winy. Prawda wyglądała tak, że przełożył nieślubnego wnuka nad legalnego syna. Mógł jedynie przypuszczać, że Oliver jest po prostu zazdrosny, ale jeśli tak, to ma rację. – Jeśli lady Brockenhurst podoba się wspierać pana Pope’a, to nie nasza sprawa.

– Lady Brockenhurst? – Tym razem na twarzy Olivera odmalowało się czyste zdumienie. – Więc w jednej chwili hrabina zdradza „lekkie zainteresowanie” pańskimi projektami, a w następnej przekazuje panu całą potrzebną sumę? Cóż za kolosalna odmiana! – Głos ociekał mu jadem.

James przeklął się w duchu. Zupełnie niechcący wypuścił dzina z butelki. No dobrze, już za późno, żeby to cofnąć.

– Rzeczywiście, uwierzyła w moje przedsięwzięcie i oczekuje, że się jej to opłaci.

– Bo to bardzo dobry projekt – poparł go James. – Podjęła mądrą decyzję.

– Naprawdę? – Oczy Olivera się zwęziły.

Zapadło milczenie. Charles nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Dziękuję za lunch, panie Trenchard – odezwał się po chwili. – Teraz jednak muszę już panów opuścić. – Skinął głową Oliverowi i wyszedł z klubu.

Oliver obrócił się twarzą do ojca.

– Zechcesz, proszę, oświecić mnie, co cię tak pociąga w tym człowieku? Po prostu nie mogę pojąć, dlaczego mój własny ojciec, a teraz także hrabina Brockenhurst ładują forszę w jakiegoś nadętego bubka znikąd. Co się za tym kryje? Jest w tym całym interesie coś, czego mi nie mówisz.

– Całkowicie się mylisz. Jest bardzo uzdolniony, a jego przedsięwzięcie ma ręce i nogi. – Już wymawiając te słowa, James zdawał sobie sprawę, że nie odpowiada na pytanie. – A jego zmarły ojciec, wielebny pastor Pope, to mój stary przyjaciel.

– Tak stary, że nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie? – James uśmiechnął się kwaśno. – No cóż, jednak nim był. To on mnie poprosił, żebym miał

oko na jego syna, kiedy Charles po raz pierwszy przyjechał do Londynu i znalazł pracę w handlu bawełną. Naturalnie, gdy dowiedziałem się o śmierci jego ojca, poczułem się tym bardziej odpowiedzialny i chciałem mu pomóc, na ile to możliwe.

– I oczywiście udało ci się, nieprawdaż? – Głos Olivera niebezpiecznie zbliżał się do pisku. – Pomogłeś „Charlesowi”, i to jak! – Szyderczy ton syna wprawiał Jamesa w zakłopotanie. – Nawet bardziej niż własnemu synowi. Masz! – Wyciągnął do ojca plik papierów. – Przyszedłem, aby ci to wręczyć. – Nie zadał sobie trudu, by poczekać, aż ojciec je pochwyci, więc kartki wypadły mu z ręki, tworząc wokół Jamesa papierową kałużę.

– Panie Trenchard! – Natychmiast wyrósł przy nich jak spod ziemi nieubłagany prześladowca w czerni. – Pozwoli pan sobie pomóc.

Kucnęli razem i zaczęli zbierać pokryte liczbami strony, ku wyraźnemu zgorszeniu dwóch starszych członków, którzy właśnie wychodzili z klubu.

James nie wrócił tego dnia do biura. Za bardzo wstrząsnęło nim ordynarne zachowanie syna. Zanim jednak dotarł na Eaton Square, początkowa wściekłość zdążyła z niego opaść, ustępując miejsca pewnemu rozżaleniu. Gdyby inaczej pokierował tym wszystkim! Gdyby nie oddali obcym ludziom syna Sophii! Czyż wtedy okoliczności jego urodzenia dawno nie zbladłyby w ludzkiej pamięci? Czyż on sam nie mógłby cieszyć się takim lunchem jak dzisiejszy bez lęku o ujawnienie sekretu, za to z całą dumą dziadka z sukcesu wnuka? Ale czy Charles wyrósłby na takiego dżentelmena, gdyby wychowali go Trenchardowie? Na tę myśl serce mu się ścisnęło. Czyżby przybrani rodzice wywiązali się z tego zadania lepiej, niż zrobiliby to własni dziadkowie?

– Masz bardzo poważną minę. – Anna siedziała przy toaletce, kiedy mijał jej otwarte drzwi.

– Naprawdę? – Przystanął w korytarzu. – Jadłem dziś lunch z panem Pope’em. Przesyła ci ukłony.

Jeśli nawet jego żonę to zaskoczyło, powstrzymała się od komentarza. James nie zauważył krzątającej się w pokoju Ellis. Zanim Anna zdążyła go ostrzec, kontynuował swoje:

– Pewnie cię nie zdziwi, że lady Brockenhurst przekazała mu brakującą sumę na dokończenie inwestycji.

Anna, zamiast odpowiedzieć, szybko zwróciła się do pokojowej:

– Dziękuję, Ellis, to wszystko. Tylko zabierz tę różową i sprawdź, czy uda ci się wywabić plamę.

James analizował w głowie wypowiedziane przed chwilą słowa, kiedy w drzwiach ukazała się pokojowa z suknią przewieszoną przez ramię i ruszyła w stronę schodów. Powiedział coś niewłaściwego? Raczej nie. Wszedł do pokoju żony i zamknął drzwi.

– Powinniśmy wymyślić jakieś hasło, na wypadek gdyby horyzont nie był czysty.

Anna się z nim zgodziła.

– Jakie to smutne! Mamy tyle sekretów, że aż musimy posuwać się do szyfrów. – Wzięła na ręce Agnes i zaczęła bawić się jej uszami. – Opowiedz mi o tym lunchu.

– Charles odwiedził mnie w biurze, aby przekazać dobre wieści. Zaprosiłem go do Athenaeum.

– Przyjęli cię? Czemu mi nie powiedziałaś?

– Dziś z rana dostałem list z decyzją. No więc dała mu brakującą sumę.

– Rozumiem.

– Rozumiesz? – Jego ton jasno wskazywał powagę tej chwili.

– Przynajmniej tyle, że trudno będzie to wytłumaczyć, jeśli się wyda.

– Nie trzeba żadnych wyjaśnień. W każdym razie z jej strony. Ludzie domyślą się prawdy, a ona ją potwierdzi.

Anna zmarszczyła brwi. Wiedziała lepiej niż James, że lady Brockenhurst tylko czeka, aż wieść się rozniesie, bo wtedy razem z mężem będzie mogła otwarcie cieszyć się wnukiem. Dała słowo, że nic nie powie, ale przeczyć też nie ma zamiaru.

– Może jest jakaś szansa, że nie powiążą tego z Sophią? – James próbował uchwycić się słomki.

Anna wyraźnie uznała sprawę za beznadziejną.

– Względy, jakie mu okazujesz, świadczą same za siebie. I każdy, kto widział ich razem w Brukseli, zaraz sobie wszystko skojarzy. A gdy tylko się rozniesie, że Pope jest synem lorda Bellasisa, dokopią się i do matki. – Wstała z psem na rękach. – Porozmawiam z nią. Zaraz pójde i sama do niej przemówię.

– I to coś da?

– Nie wiem, ale przynajmniej nie zaszkodzi. A ponieważ to moja wina, mam obowiązek spróbować zapobiec katastrofie.

James nie skomentował jej słów o winie, ale gniew mu już minął. Utknęli w martwym punkcie. Nawet on wiedział, że nie ma co w kółko o tym mówić. Zresztą aż do tej chwili nie przyszło mu do głowy, że jego zainteresowanie młodym człowiekiem może się obrócić przeciwko niemu samemu.

– Czy mam zawiadomić Quirka, żeby nie wyprzęgał koni, jeśli już tego nie zrobił?

– Pójde pieszo, to blisko.

– Mam pójść z tobą?

– Nie. I nie martw się, nikt nie będzie nastawał na cnotę damy po sześćdziesiątce.

Włożyła kapelusz, wzięła szal i wyszła, zanim zdążył coś powiedzieć.

Spacer na Belgrave Square okazał się zbyt krótki, by Anna zmieniła zdanie, ale teraz, kiedy stanęła przed Brockenhurst House, nie bardzo wiedziała, o co właściwie chce prosić. Z zasady nie działała pochopnie; zwykle wszystko starannie rozważała, biorąc pod uwagę różne za i przeciw. Ale lady Brockenhurst miała w sobie coś takiego, co pobudzało do natychmiastowej reakcji. Ta jej arogancja doprowadzała Annę do szału.

Pukając do drzwi, nie przejmowała się już, jak niezwykła może się komuś wydać jej nieoczekiwana wizyta. Była poirytowana i miała po temu powody. Jeśli okaże się, że lady Brockenhurst nie ma w domu, to znajdzie sobie jakąś ławkę i poczeka. Zerknęła na ogrody pośrodku skweru. Zważywszy na swoje upodobanie do ogrodnictwa, miała trochę za złe zarówno mężowi, jak

panu Cubittowi, że żaden z nich nie poprosił jej o opinię, kiedy je urządzano, ale i tak prezentowały się nieźle.

Nagle drzwi wejściowe się otworzyły i stanął w nich lokaj, najwyraźniej zaskoczony jej widokiem. Nie uprzedzono go, że ma się kogoś spodziewać.

– Czy zastałam panią hrabinę? – spytała Anna, kierując się prosto do holu.

– Kogo mam zaanonsować?

– Panią Jamesową Trenchard.

– Proszę bardzo. – Lokaj skłonił się i ruszył na schody. – Zechce pani tu poczekać, sprawdzę, czy pani hrabina jest w domu.

Anna uśmiechnęła się, słysząc tę formułkę. Naprawdę chodziło w niej o to, czy lady Brockenhurst jest gotowa ją przyjąć. Przysiadła na chwilę na złoconej sofie, ale zaraz wstała. Uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że nie może się doczekać tej ostatecznej rozgrywki. Puls jej przyspieszył, tym bardziej że szła bardzo szybko. Utkwiła wzrok w zamkniętych podwójnych drzwiach na górze – najwyraźniej toczyła się za nimi jakaś dyskusja. Na widok poruszającej się klamki natychmiast obróciła się tyłem do schodów, udając, że przygląda się portretowi jednego z przodków lorda Brockenhursta pędzla Lely’ego<sup>[30]</sup>. W swojej wysokiej peruce i z małym spanielem rozciągniętym u nóg wyglądał na dość zadowolonego z siebie.

– Pani Trenchard? – zapytał lokaj, materializując się u jej boku. – Pozwoli pani za mną.

Anna wręczyła mu szal i rękawiczki, po czym ruszyła za nim po schodach.

– Pani Trenchard! – rozległ się głos hrabiny, gdy tylko otwarto drzwi. – Obawiam się, że nie zdążyła pani na podwieczorek. Zechcesz przynieść pani herbatę, Simonie? – Lokaj skłonił się lekko.

– Nie, proszę się nie trudzić – zaprotestowała Anna. – Nie mam na nic ochoty. – Po raz kolejny wkroczyła na różowy dywan Savonnerie. – To bardzo uprzejmie, że zgodziła się pani mnie przyjąć – ciągnęła, przywołując na pomoc całą swoją śmiałość. – Obiecuję nie zająć pani zbyt wiele czasu. Przyszłam tu, bo...

Caroline Brockenhurst od razu zorientowała się w bojowym nastroju niespodziewanego gościa, dlatego przejęła inicjatywę.

– Proszę siadać, pani Trenchard. – Wskazała Annie obity adamaszkiem fotelik. – Pamięta pani lady Marię Grey z mojej skromnej kolacyjki?

Anna spojrzała w stronę okna, gdzie stała ładna blondynka w bladozielonej sukni. A więc nie są tu same. Poczła przez chwilę coś w rodzaju wdzięczności do hrabiny, że nie dopuściła do wyjawienia żadnego z ich sekretów.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Pamiętam panią z przyjęcia, ale chyba nie przedstawiono nas sobie.

– Rzeczywiście, nie – przyznała Anna.

– Tak się cieszę, że zechciała pani do mnie zajrzeć – powiedziała hrabina tonem sugerującym coś wręcz przeciwnego.

– Akurat przechodziłam tędy. – Anna przysiadła naprzeciwko gospodyni. – I chciałam z panią o czymś porozmawiać, ale to może poczekać.

– Zostawię panie same – zaproponowała Maria.

– Nie ma potrzeby – odrzekła Anna. – To naprawdę nie ma znaczenia. – Właściwie poczuła się niezręcznie. Nie mogła wypomnieć hrabinie jej głupiej hojności wobec Charlesa, więc nie miała powodu przedłużać swojej wizyty. Teraz myślała tylko, jak by tu się wycofać, nie wzbudzając zdziwienia.

– Lady Maria właśnie mi opowiadała o swoim przypadkowym spotkaniu z moim młodym protegowanym Charlesem Pope'em. Przedwczoraj wpadła na niego na tym skwerze, więc przypuszczam, że akurat wyszedł z naszego domu. Pamięta go pani, prawda? – Cały czas patrzyła Annie prosto w oczy. W co ona gra?

– Ach tak, Charles Pope. – Anna patrzyła, jak gospodyni bawi się wachlarzem, to rozkładając go, to zwijając. Czy oczekuje jakiejś reakcji, czy też droczy się z nią dla zabawy? Jeśli tak, to gorzko się rozczaruje. – To bardzo uroczy młody człowiek.

– Zgadzam się z panią! – wykrzyknęła entuzjastycznie Maria, zupełnie nieświadoma toczącej się rozgrywki. – Uroczy i zajmujący. Ostatecznie poszliśmy razem w stronę Biblioteki Londyńskiej i chyba mojej pokojówce to się nie spodobało. A mamie, kiedy o tym usłyszała, to już na pewno. Ale było za późno, ha, ha, ha! Kim on właściwie jest? Jak go pani poznała, milady?

– Już nie pamiętam. – Caroline musi świetnie grać w karty, pomyślała Anna. Z niczym się nie zdradza. – Ale oboje z mężem uważamy go za bardzo obiecującego.

Maria przytaknęła energicznie.

– Opowiedział mi o swoich planach i ewentualnej podróży do Indii. Była pani w Indiach, pani Trenchard? – Anna zaprzeczyła ruchem głowy, a Maria paplała dalej: – Ja wprost marzę, by tam pojechać. Te wszystkie kolory, ten chaos... Wuj opowiadał mi, jak tam pięknie. Ale ja i tak nigdy nie podróżuję. – Westchnęła smętnie. – Niby spędzam sporo czasu w Irlandii, bo mamy tam posiadłość, ale to przecież nie zagranica, prawda? – Uśmiechnęła się zachęcająco, ale nikt nie odpowiedział, więc kontynuowała: – Do Włoch też chciałabym się wybrać. I w ogóle zaliczyć całą Wielką Trasę Europejską, jak młodzi panowie. Zobaczyć Dawida Michała Anioła, wędrować korytarzami Galerii Uffizi. Pani musi lubić sztukę, lady Brockenhurst. Mama mówi, że pięknie pani maluje...

– Naprawdę? – wyrwało się Annie, zanim zdążyła pomyśleć, jak to zabrzmiało.

– Czy to takie dziwne? – spytała hrabina.

– Ale wciąż jeszcze nie wyjaśniła mi pani, dlaczego tak ją zainteresował pan Pope – przypomniała Maria. Anna zastanawiała się, czy ta dziewczyna wie, jak bardzo się zdradza ze swoimi uczuciami.

– Nie pamiętam dokładnie, kto nam go przedstawił – odrzekła ostrożnie Caroline, ale my z mężem lubimy popierać młode talenty w miarę naszych możliwości. Jak pani wiadomo, nie mamy już żadnego żyjącego potomka, więc chętnie pomagamy cudzym dzieciom.

Może i jest w tym coś z prawdy, myślała Anna. Ale jeśli nawet, to te słowa więcej ukrywają, niż wyjaśniają.

– Powiedział, że mogę odwiedzić go w biurze – ciągnęła Maria.

– Tak powiedział? To chyba trochę przedwcześnie – mruknęła lady Brockenhurst z nieprzeniknioną twarzą. Annie się wydało, że hrabinie zaświtała w tym momencie jakaś myśl. Czyżby znów coś knuła? A jeśli tak, to co?

– No bo... – Maria poczerwieniała lekko. – Być może sama coś takiego zasugerowałam, ale on nie próbował mnie zniechęcić. Spuściła wzrok, trzepocząc przez chwilę długimi rzęsami, a policzki poróżnowiały jej jeszcze mocniej. Wiedziała, że zachowała się niemądrze. Jest już przecież przyrzeczona. Matka jasno postawiła sprawę: przyszłość Marii widzi u boku Johna Bellasisa. Posiadłość w Irlandii, którą pochwaliła się wcześniej, jest zadłużona, i chociaż jej brat stara się wycisnąć ze spadku po ojcu, co się da, powiedziano jej bez ogródek, że to na niej spoczywa obowiązek zapewnienia matce utrzymania na stare lata. Zawahała się teraz, bo o mało nie wyznała, czego naprawdę chce, ale skoro lady Brockenhurst tak interesuje się Charlesem, to może dałaby się namówić...

Anna przyglądała się hrabinie. Czy też zauważyła ten rumieniec i nerwowość, z jaką dziewczyna skubie wachlarz? Z pewnością jest bardzo odważna. Annie dość się spodobała.

– No dobrze – zaczęła hrabina i zaraz umilkła. Maria Grey jest zaręczona z bratankiem jej męża i oczywiście zgodnie z zasadami konwenansu nie należy jej zachęcać do takich kontaktów. Ale Anna dobrze odgadła: Caroline Brockenhurst miała swój własny plan, chociaż być może powzięła go dopiero teraz. – Jeśli rzeczywiście chce pani tam pójść, to nie widzę przeszkód. Ja już u niego byłam, ale mamy jeszcze to i owo do omówienia, więc...

Maria nie wierzyła własnym uszom.

– Naprawdę?! – To coś absolutnie niezwykłego. Ciotka Johna Bellasisa proponuje jej wspólną wizytę u pana Pope’a w City!

– Raczej nie powinniśmy zapowiadać tego spotkania – ciągnęła gładko hrabina. Pan Pope mógłby się poczuć zobowiązany do podjęcia specjalnych starań, a co do pani, moja droga... Chyba lepiej, żeby to wypadło dość spontanicznie.

Wszystkie zrozumiały, co to oznacza: że taką „spontaniczną” wizytę łatwiej się wytłumaczy lady Templemore.

– Czy i ja mogłabym się przyłączyć? – spytała niewinnie Anna.

Caroline drgnęła. Jak dziwnie jest mieć wspólny sekret z osobą, z którą poza tym nic ją nie łączy! A jednak ten sekret naprawdę należał do nich obu, przynajmniej na razie. Anna nie myliła się, że hrabina miała już dość tych kłamstw. O wiele bardziej wolałaby działać jawnie. Socjeta uzna to za sensację, pogada trochę, jaki to łobuz był z tego Edmunda, pośmieje się nad gazetami, i na tym się skończy. Ale ponieważ Caroline zdążyła już Charlesa pokochać, nie mogła pozostać zupełnie obojętna na pośmiertną reputację tej dziwki, która go urodziła, a nawet nie okazać odrobiny współczucia jej matce.

– Oczywiście. Skoro pani sobie życzy...

Anna siedziała w milczeniu. Odwiedzi swojego wnuka, znów będzie miała okazję, by z nim

porozmawiać. Kiedy spotkała go na przyjęciu, owładnęła nią radość, ale z powodu furii męża nie odważyła się zamienić z nim nawet kilku słów. Teraz będą mogli się oficjalnie poznać, gdyż udział Jamesa w jego przedsięwzięciu stanie się do tego idealnym pretekstem. Oczywiście, gdy prawda wyjdzie na jaw, ich związek zostanie poddany ciężkiej próbie, ale zanim rozpęta się burza, jest szansa przynajmniej na rozmowę. Nie mogła oprzeć się takiej pokusie.

– Bardzo bym tego pragnęła – usłyszała własny głos. – Może przy okazji zrobimy jakieś zakupy i w ten sposób jeszcze bardziej uprzyjemnimy sobie ten dzień.

I w ten sposób rzecz została ustalona. Idąc do domu, Anna czuła, jak perspektywa tej wyprawy rozgrzewa ją od środka mimo zimnego wieczoru. Nawet gdyby miał to być kolejny sekret przed mężem.

Tego wieczoru przy obiedzie panowała u Trenchardów napięta atmosfera. James był zmęczony i zamyślony, Oliver także miał zły nastrój. Dzień takiego sukcesu powinien zostać zwieńczony wspólnym z synem lunchem w nowym klubie ojca, a tymczasem James wolał świętować w towarzystwie Charlesa Pope'a, człowieka znikąd, który zafascynował go zarówno swoją uwagą, jak pieniędzmi. To taki sezonowy bohater: zdobył poparcie lady Brockenhurst, jest zapraszany na kameralne spotkania w jej domu... Wystarczy, by wzbudzić zazdrość każdego, i rzeczywiście Oliver bardzo mu zazdrościł.

Susan czuła nie tyle przygnębienie, co niepokój. Od czasu schadzki w Isleworth John Bellasis nie odezwał się do niej ani słowem, a oczekiwała przynajmniej listu. Raz rozmawiał na ulicy ze Speer, o czym ta nie omieszczała jej zawiadomić. Podobno bardzo zależało mu na następnym spotkaniu, ale jakoś nie spieszył się ani z zaproszeniem, ani z propozycją. Susan zmusiła Speer, by towarzyszyła jej do Albany, i przez dłuższy czas przechadzały się po Piccadilly jak dwie ulicznice w nadziei na „przypadkowe” spotkanie, ale na próżno. Krew napływała jej do twarzy na samo wspomnienie, a jedzenie straciło smak; Susan zastanawiała się teraz, czy aby nie popełniła błędu, wskazując tak ochoczo do łóżka Bellasisa. Czy nie wydała mu się zbyt łatwa? Zmarszczyła brwi. Problem w tym, że naprawdę go polubiła. Był przystojny i ujmujący, nie wspominając już o tym, że miał odziedziczyć pokaźny majątek. Krótko mówiąc – idealny mężczyzna do ucieczki od koszmarnej rodzinki, w której utknęła. Spojrzała na dłubiącego w jedzeniu męża i bezwiednie westchnęła. W przeciwieństwie do Olivera John był wspaniałym, pełnym wigoru kochankiem.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – zaniepokoiła się Anna.

– Tak, mamo, oczywiście.

– Bo jesteś jakaś rozkojarzona.

– Obawiam się, że coś mi dolega od czasu tej wyprawy do Isleworth. Mogłam się czymś zarazić od kogoś z tamtejszych mieszkańców. – Zadygotała, żeby bardziej uwiarygodnić swoje słowa.

– Bardzo mi przykro. – Anna zmierzyła synową wzrokiem. Coś się w niej zmieniło, coś w zachowaniu, ale co? Trudno powiedzieć.

– Jak ci poszło u lady Brockenhurst? – spytał James, przesuwając na talerzu langustę. On także nie



wydawał się głodny.

Anna zerknęła na kamienne twarze Billy'ego i Morrisa, którzy stali po obu stronach kominka.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Nie miała pretensji o niezapowiedzianą wizytę?

– Byłaś u lady Brockenhurst? – zainteresowała się Susan, wyraźnie niezadowolona, że ominęła ją taka okazja.

Anna potwierdziła.

– A może spotkałaś tam jej bratanka?

– Pana Bellasisa? Nie. – Swoją drogą, co za dziwne pytanie! – Była tam za to jego narzeczona.

– Narzeczona? Naprawdę? – Głos Susan przybrał nieco ostrzejszy ton.

– Lady Maria Grey. Śliczne stworzenie, bardzo mi się spodobała.

– Widziałem ją na tamtej kolacji – wtrącił Oliver, dając znak Billy'emu, by dolał mu zupy. – Nic nadzwyczajnego.

– Rozmawiałaś z hrabiną? – dopytywał się James.

– Tak. – Czy on musi zadawać takie pytania przy służbie albo nawet przy Susan i Oliverze?

Prawdę rzekłszy, to niecierpliwość sprawiła, że na chwilę zapomniał o potrzebie dyskrecji. Ale spojrzenie Anny sprowadziło go z powrotem do szeregu.

– Dobrze, porozmawiamy później.

Żona odpowiedziała mu uśmiechem.

Ellis przykucnęła u stóp Anny z haczykiem do guzików, żeby rozpiąć jej buciki. Od gadatliwego Billy'ego słyszała już, że pani była u lady Brockenhurst, co bardzo ją zaintrygowało.

– Miło spędziła pani popołudnie?

Ellis nie wiedziała, za jakiego rodzaju informacje zapłacił jej pan Bellasis ani co pani Trenchard wiadomo o tym Charlesie Popie. A jednak państwo mają jakiś pilnie strzeżony sekret. Najlepszy dowód, że pozbyli się jej z pokoju, a potem pani wyszła z domu bez uprzedzenia. Teraz Ellis wiedziała już dokąd.

– Owszem. – Anna zsunęła bucik z nogi i poruszyła palcami w jedwabnych pończochach. – Wiesz, one wcale nie są wygodne.

Najwyraźniej pani nie jest tak naiwna, jak Ellis się spodziewała, ale trzeba próbować dalej.

– Pewnie nie nadają się do długich spacerów, proszę pani.

– Nie chodziłam daleko. – Anna zdjęła kolczyki i przejrzała się w lustrze. – Tylko na Belgrave Square. – Zauważyła siedzącą przy krześle Agnes i wzięła ją na rękę.

– Ach tak? – Ellis zastygła z haczykiem w rękę.

– Tak. – Anna nie tyle mówiła do Ellis, co wyrażała na głos swoje myśli. Prawdę rzekłszy, bardzo ekscytowała ją perspektywa wizyty w biurze Charlesa. Oczywiście nie powie o tym Jamesowi, ale

miała ochotę z kimś podyskutować. – Co wiesz o Bishopsgate?

– O Bishopsgate? – Ellis podniosła głowę. – A po co chce pani tam chodzić? – Zdjęła jej drugi bucik.

– Tak sobie, bez powodu. – Anna w ostatniej chwili powstrzymała się od podawania wścibskiej pokojówce zbędnych informacji. – Wybieram się do biura pewnej osoby, ale nie byłam tam od lat, więc zastanawiam się, czy nie warto przy okazji zobaczyć czegoś jeszcze.

– Podobno są tam magazyny, w których można tanio kupić materiały. Popytam, kogo trzeba. A kiedy to ma być?

– Nie wiem dokładnie. W ciągu kilku dni. – Anna nie chciała udzielać więcej żadnych odpowiedzi, bo powiedziała już dość. – Może jutro obejrzymy tę starą żałobną suknię z bombazyny? Chcę sprawdzić, czy da się ją uratować, czy lepiej zamówić nową. Zawsze trzeba mieć w szafie żałobną suknię.

Ellis przytaknęła. Wiedziała, że rozmowa na temat Bishopsgate jest skończona.

John Bellasis hojnie wynagrodził Ellis za jej trudy. Nieczęsto zdarza się pokojowej dostać suwerena za wiadomość usłyszaną przy rozpinaniu butów. Ale kiedy dowiedział się, że jej chlebodawcy odbyli rozmowę w cztery oczy, po czym pani Trenchard odwiedziła lady Brockenhurst, a następnie zapowiedziała wyprawę do Bishopsgate, John omal nie parsknął śmiechem. To już jest coś. Dobrze wiedział, kto pracuje w Bishopsgate, a jednocześnie utrzymuje kontakty z lady Brockenhurst i Trenchardami. Po relacji ojca z wizyty w Brockenhurst House John koniecznie musiał dowiedzieć się wszystkiego o tym Charlesie Popie.

– Ale nie wymieniła nazwiska Pope’a?

– Nie przypominam sobie, proszę pana. Nie tym razem.

– A jednak musi coś go łączyć z hrabiną. – John wstał i dopił resztkę ginu z małego kieliszka. – To znaczy oprócz tej inwestycji.

– Tak pan sądzi? Raczej trudno w to uwierzyć – mruknęła Ellis spod szala, którym starannie osłaniała twarz. Włożyła go w ostatniej chwili, na wypadek gdyby ją kto przyłapał na rozmowie z panem Bellasisem. Musiała dbać o swoją reputację.

– Nie zrozum mnie źle. Nie wiem naprawdę, co tam między nimi jest, ale coś musi być. I głowę daję, że to coś wszystkich nas jeszcze zaskoczy.

– Skoro pan tak mówi... – Ellis zacisnęła usta i splotła ramiona. Lubiła dobre historie, ale ta raczej do nich nie należała.

– Zapamiętaj moje słowa. To młody przedsiębiorca z ambicjami i w pewnym stopniu ją wykorzystuje.

– Wykorzystuje? Jak?

– To właśnie musimy wykryć – oznajmił stanowczo John, odstawiając kieliszek. – A kiedy tak się stanie, hrabina z pewnością zapłaci fortunę, by to zachować w sekrecie.

Ellis aż otworzyła usta.

– Fortunę?

– I ty pomożesz mi ją zgarnąć.

Następnego dnia Ellis stanęła przed wejściem do sutereny Brockenhurst House. Była zdenerwowana i nawet nie próbowała tego ukrywać. Wczoraj w The Horse and Groom pan Bellasis polecił jej skontaktować się z pokojową lady Brockenhurst i dowiedzieć czegoś na temat gości jej pani. A zwłaszcza dlaczego hrabina przyjmuje tego Charlesa Pope’a w swoim osobistym salonie za zamkniętymi drzwiami. Pan Bellasis podsunął jej pomysł, aby zaczęła od pytania, czy pani Trenchard nie zostawiła przypadkiem wachlarza po tamtym wieczornym przyjęciu. Oczywiście to tylko taki pretekst. Zresztą Ellis miała ten wachlarz w kieszeni, na wypadek gdyby zaszła konieczność „znalezienia go”.

Wygładziła pelisę, poprawiła kapelusz i zapukała.

– Tak? – W progu stanął młody chłopak w ciemnozielonej liberii Brockenhurstów.

– Jestem panna Ellis. Osobista pokojowa pani Jamesowej Trenchard.

– Kogo?

Ellis przygryzła wargę. Gdyby pracowała u jakiejś księżnej, nie trzymano by jej na progu.

– Pani Jamesowej Trenchard. Była u pani hrabiny na przyjęciu i przypuszcza, że mogła zostawić tu wachlarz.

– Musi pani porozmawiać z panem Jenkinsem.

W suterenie Brockenhurst wszyscy uwijali się jak w ukropie. Pokoje i korytarze były tu obszerniejsze niż przy Eaton Square i dochodziło więcej światła. Wyglądało to imponująco i Ellis, której wskazano miejsce na twardej ławce przed pomieszczeniem kredensowym, poczuła ukłucie zazdrości.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, każdy robił, co do niego należało. Przez otwarte drzwi naprzeciwko widziała trzech lokajów zajętych polerowaniem srebra. Na stole przykrytym szarym materiałem piętrzył się imponujący stos półmisek do przystawek i gorących dań, tac, sosjerek, waz, imbryków do herbaty, czajników i co najmniej dwóch tuzinów talerzy. Tego akurat zadania Ellis im nie zazdrościła. Trzeba zanurzać palce w misce z „różem” – miękkim czerwonym proszkiem zmieszany z amoniakiem – i trzeć srebro do połysku, aż ręce pokryją się pęcherzami. A jednak ci lokaje wydawali się zadowoleni, być może dlatego, że mieli okazję do pogawędki.

– Panna tutaj poczeka, pójdę po pana Jenkinsa.

Ellis skinęła głową. Przez wewnętrzne okno na prawo widziała zapracowaną kucharkę. Pochylona nad stolnicą, zagniałała właśnie ciasto. Na ścianach i półkach kuchni rozmieszczono wielką kolekcję miedzianych rondli. Kucharka to podnosiła ciasto, to rzucała je z powrotem, otrzepując dłonie w chmurze mąki. Przez pył w powietrzu przebijały się promienie wpadającego przez okno słońca.

– Panna Ellis?

Ellis aż podskoczyła. Tak ją zafascynowała kucharka, że nie usłyszała kroków.

– Pan Jenkins!

– Podobnież panna czegoś szuka?

– Tak, proszę pana, wachlarza mojej pani. Mówi, że mogła go tutaj zostawić po przyjęciu. Zastanawiałam się, czy nie zawieruszył się razem z którymś wachlarzem pani hrabiny. Gdybym mogła porozmawiać z jej pokojówką...

– Niestety nikt nie znalazł żadnego wachlarza. – Jenkins obrócił się do drzwi, gotów odprowadzić ją do wyjścia.

– Och... – Ellis na chwilę straciła głowę. Musiała koniecznie zamienić słowo z pokojową lady Brockenhurst, inaczej cała wizyta na nic. – Pani Trenchard prosiła też, żebym zapytała pokojową pani hrabiny o jej fryzurę.

– Fryzurę? – Siwe, krzaczaste brwi Jenkinsa uniosły się wolno.

– Tak, proszę pana. Moja pani była pod wielkim wrażeniem i prosiła, żebym się dowiedziała, jak osiągnąć taki efekt – zakończyła z triumfalnym uśmiechem.

Jenkins zmarszczył czoło. Nie po raz pierwszy spotykał się z tego rodzaju prośbą. Pokojówki ciągle dzieliły się swoimi pomysłami.

– Dobrze, sprawdzę, czy panna Dawson jest wolna. Proszę tu poczekać. Ale jeśli akurat jest u pani, to nic nie da się zrobić.

Dziesięć minut później zjawiała się pokojowa Dawson. Osobiście uważała prośbę za nieco impertynencką, ale pochlebiło jej trochę uznanie dla własnych zdolności fryzjerskich. Całe godziny spędzała na czesaniu sztucznych włosów dla swojej pani, zawsze sprawdzając, czy kolor nie wyblakł, i w skrytości ducha uwielbiała, gdy ktoś to docenił. Poprowadziła Ellis tylnymi schodami i korytarzem do obitych sukniem drzwi koło prywatnego apartamentu lady Brockenhurst.

Z wielkich okien przestronnych pokoiów hrabiny na drugim piętrze rozciągał się wspaniały widok na ogrody i skwer. Była tam nie tylko ogromna sypialnia z łóżem z baldachimem, złożonymi fotelikami i stolikiem, lecz także oddzielny salonik i oczywiście ubieralnia.

– Podobają się pani te akwarele? – spytała Dawson, oglądając się na Ellis, którą właśnie prowadziła przez sypialnię. Większość z nich namalowała sama pani hrabina. Na tej jest ich dom – wskazała jeden obraz – Lymington Park. Należy do rodziny od roku tysiąc sześćsetnego.

– Pomyśleć tylko! Wcale nie wygląda na taki stary. – Ellis miała w nosie zarówno dom, jak i obrazy.

– Dwa razy go przebudowywano. Ta posiadłość ma ponad dziesięć tysięcy akrów. – Dawson irracjonalnie chlubiła się majątkiem chlebobawców, jakby pławiąc się w odbitym blasku ich chwały.

– Robi wrażenie, to jasne. Cudownie musi być pracować u tak utytułowanej rodziny... Żebym to ja miała takie szczęście!

Już wchodząc do garderoby, Ellis wiedziała, że czeka ją niełatwe zadanie, jeśli w ogóle uda się je wykonać. Dawson, jak większość staroświeckich służących, wyraźnie żyła życiem swoich państwa.

Krępa, o szerokiej twarzy i powolnych ruchach, zachowywała się dość przyjaźnie, ale nie przejawiała chęci do plotek, przynajmniej nie poza ścisłym kręgiem w kwaterach dla służby, nie wyglądała też na nielojalną. Zbyt długo pracowała w tym domu i teraz zależało jej tylko na skromnej pensyjce, którą otrzymywałyaby na starość. Nie miała nic do wygrania na niedyskrecji wobec osoby z zewnątrz.

– Pracowałam jeszcze u hrabiny wdowy.

– Dwa pokolenia hrabin, to ci dopiero szczęście! – Ellis przymilała się, jak mogła. – I pewnie podróżowała pani dużo, znacznie więcej niż ja, widziała pani tyle ciekawych rzeczy!

– Nie mogę narzekać. Rzeczywiście, dobrze mi się żyło z tą rodziną. – Ellis pomyślała, że ma do czynienia z rzadkim przypadkiem szczęśliwej służącej. Ta Dawson nie dyszała żądzą odwetu za tysiąc zniewag. Nie uważała, że bogowie odwrócili się od niej, skazując na życie w służbie. Przeciwnie, była z niego zadowolona, przez co Ellis nie miała żadnego punktu zaczepienia. W zasadzie i ona nie mogła powiedzieć, że nie lubi pani Trenchard; po prostu należały do innego gatunku. Pomimo tylu lat na służbie boleśnie odczuwała niesprawiedliwość stosunku zależności, dlatego zdradzając Annę, nie miała wyrzutów sumienia. Przecież każdy grosz, który od niej dostawała, słusznie się jej należał. Zarobiła te pieniądze nieustanną harówką, cały czas kłamiąc, płaszcząc się i z konieczności udając, że takie życie jej odpowiada, choć najchętniej utopiłaby swoich chlebodawców w łyżce wody. Potrafiła kłamać Annie prosto w twarz, bez zmrużenia oka, a jeśli wiedziała, że nikt jej nie złapie, kradła. Teraz miała nadzieję znaleźć pokrewną duszę w pokojowej lady Brockenhurst. Myślała, że Dawson będzie jej wdzięczna i skwapliwie skorzysta z okazji, by odegrać się na hrabinie, ale wobec tego muru lojalności Ellis zupełnie straciła głowę.

– Nic dziwnego, że tyle pani wie o układaniu włosów – spróbowała z innej beczki. – Dużo mogłabym się od pani nauczyć, nawet w moim wieku. – Zaśmiała się, mówiąc to, a Dawson jej zawtórowała. – Na mojej pani fryzura hrabiny wywarła ogromne wrażenie – kłamała jak z nut, wiedząc, że ma w tym wprawę. W końcu przeszła ciężką szkołę.

– Naprawdę? – Dawson dotknęła piersi, wzruszona wbrew sobie.

– O tak! Proszę mi powiedzieć, jak się robi te śliczne loczki przed uszami?

– To taki mały sekret. – Dawson wysunęła szufladę toaletki, odsłaniając wielki zbiór żelazek do włosów i papilotów. – Odkryłam to dawno temu w Paryżu i odtąd stale używam. – Pokazała jej wyjątkowo wąską i delikatną korbówkę. – Rozgrzewam je tutaj, na ogniu.

– Ale jak? – dopytywała się Ellis z nabożnym podziwem.

– Mam tu takie urządzenie, które pasuje do paleniska. – Wyjęła mały mosiężny ruszt.

– Co też oni jeszcze wymyślą? – dziwowała się uprzejmie Ellis, modląc się w duchu, żeby wreszcie skapnął jej jakiś kąsek.

– To wspaniałe, kiedy się zastanowić, jak też dawałyśmy sobie radę trzydzieści lat temu. Chociaż – dodała Dawson – może najważniejszy jest porządny zapas włosów. Bardzo sobie cenię madame Gabriel na tyłach Bond Street, ona ma dobre źródła. Podobno większość jej włosów pochodzi od zakonnicek. Od razu się czuje, że są lepszej jakości niż te od ubogich dziewcząt – grubsze i bardziej

błyszczące.

Podczas gdy Dawson rozwodziła się dalej na temat techniki rozgrzewania włosów, tak żeby im nie zaszkodzić, i roli perfumowanych papilotów w zapobieganiu przypadkom łysienia, Ellis wodziła oczami po pokoju. Na toalecie ustawionej między wysokimi oknami zauważyła emaliowany portrecik oficera w mundurze sprzed dwudziestu lat.

– Kto to jest?

Dawson poszła za jej wzrokiem.

– To biedny lord Bellasis, syn pani hrabiny. Zginął pod Waterloo. Taka straszna tragedia! Jaśnie pani dotąd nie może się otrząsnąć. To było jej jedyne dziecko.

– Rzeczywiście, tragedia. – Ellis przyjrzała się uważnie portrecikowi, bo odpowiedź Dawson dała jej pretekst, by podejść bliżej.

– Świetna robota. Namalował go Henry Bone<sup>[31]</sup>. – Znów ta jej duma ze stanu posiadania rodziny!

Ellis zmrużyła oczy. Twarz jakby znajoma... Te ciemne kędziory i niebieskie oczy przypominały jej kogoś, kto dawno temu bywał w domu Trenchardów... chyba w Brukseli? No tak, skoro zginął pod Waterloo... Nagle sobie przypomniała. To znajomy panny Sophii, rzeczywiście bardzo przystojny. Dziwnie jest widzieć jego podobiznę na toalecie lady Brockenhurst. Ale nie pisnęła ani słowa. Ellis nigdy nie zdradzała tego, co wie, jeśli jej do tego nie zmuszono.

– Czy pani hrabina była zadowolona z przyjęcia?

– O, tak sędzę.

– Moja pani także, i to bardzo. Podobno poznała wiele interesujących osób.

– Nie każdy ma wstęp do Brockenhurst House – zauważyła niefrasobliwie Dawson, wyraźnie zapominając, że sama nigdy nie będzie tam gościem.

– Był tam jakiś młody człowiek, który wyjątkowo przypadł jej do gustu. Zaraz, zaraz... jak mu tam? Czy nie pan Pope?

– Pan Pope, o tak. Bardzo sympatyczny dżentelmen. I wielki faworyt pani hrabiny. Poznała go całkiem niedawno, ale teraz bywa tu dość często.

– Ach tak?

Dawson zrobiła zagadkową minę. Co ona, u licha, sugeruje? Zgarnęła przybory do włosów i zaczęła je pakować.

– Tak. Pani hrabina i jej mąż interesują się jego przedsiębiorstwem. Lubią popierać młodych ludzi, potrafią być w tym bardzo hojni.

To ostatnie niezupełnie się zgadzało, przynajmniej dotychczas, ale Dawson nie zamierzała pozwolić, by ktoś obcy uznał, że dzieje się coś niestosownego. A jeśli pani Trenchard rzeczywiście chce się czesać tak jak hrabina, to musi sama poszukać fryzjerskich sztuczek, myślała, zamykając z trzaskiem szufladę.

– Jakie to godne podziwu! – Ellis zrozumiała, że posunęła się za daleko, i koniecznie chciała ratować sytuację. – Nigdy o tym nie słyszałam. Taka wielka pani wspiera obiecującego młodego

człowieka w jego przedsięwzięciu! Pani Trenchard dość dobrze wszystkim zarządza, ale nie można by jej nazwać kobietą interesu czy kimś podobnym.

– Może to i niezwykle, ale prawdziwe. – Głos Dawson brzmiał już spokojniej, czyli Ellis udało się ją ułagodzić. – W tych dniach zamierza odwiedzić go w City. W jego biurze. Przecież nie zacznie inwestować, dopóki nie sprawdzi, o co chodzi w tym interesie, co to, to nie.

– Naprawdę daje mu pieniądze? Musi być uroczy. – Ellis nie zdołała się pohamować i twarz Dawson znów spochmurniała.

– Nie rozumiem, co ma wspólnego jedno z drugim. Pani hrabina ma dużo zainteresowań. – O mały włos nie wygadała się, że pani zabiera z sobą lady Marię. Chciała podkreślić w ten sposób, że nie ma w tym nic niestosownego, ale zaraz zadała sobie pytanie, po co opowiada tej obcej osobie o rodzinnych sprawach. – I to wszystko, co mam do powiedzenia. Chyba już czas na panią, panno Ellis. Jestem bardzo zajęta i na pewno pani także ma co robić. Do widzenia. Rozumiem, że trafi pani do wyjścia?

– Oczywiście. – Ellis próbowała wziąć ją za rękę. – Dziękuję, była pani bardzo uprzejma.

Tym razem jednak nie poszło jej tak gładko.

– Nie ma o czym mówić – odrzekła Dawson, odsuwając się. – Muszę już iść.

Gdy Ellis znalazła się na korytarzu, pomyślała, że raczej nieprędko dostanie się ponownie do tego domu, ale specjalnie się tym nie zmartwiła. Panna Dawson nigdy nie zdradzi żadnego sekretu, to jasne. Poza tym Ellis ma jednak dla pana Bellasisa pewną konkretną informację, za którą powinien jej zapłacić. Pytanie brzmi, co zrobi potem.

— 7 —

Człowiek interesu





Kiedy na Eaton Square zajechał powóz z lady Brockenhurst oraz lady Marią Grey, Ellis o mało nie pękła z ciekawości. Stojąc przy oknie ubieralni pani Trenchard, wyteżęła wzrok, ale ponieważ od jej oddechu zaparowała szyba, niezbyt dobrze widziała, co się dzieje na ulicy. Hrabina w eleganckim kapeluszu z piórem i parasolką w ręku wychylała się właśnie do przodu, mówiąc coś do stangreta. Obok niej w otwartym powozie siedziała pod falbaniastą parasolką młoda dama w spódnicy w biało-niebieskie paski i dopasowanym granatowym zakiecie w wojskowym stylu. Na głowie miała niebieski kapelusz obsyty kremową koronką i w ogóle wyglądała olśniewająco. Panie nie zeszły na chodnik, tylko jeden z lokajów zadzwonił do drzwi.

Ellis wiedziała, że przyszedł po jej panią, więc czym prędzej zbiegła na dół ze wszystkimi niezbędnymi rzeczami. Pani Trenchard czekała już w holu.

– Czy będę pani jeszcze potrzebna tego ranka? – spytała pokojowa, podając jej zieloną narzutkę.

– Nie, dziękuję.

– Pewnie jedzie pani w jakieś miłe miejsce.

– Owszem, dość miłe.

Annę zbyt pochłaniała perspektywa wyprawy, by zwrócić uwagę na to pytanie. Zresztą skoro ukryła jej cel przed Jamesem, tym bardziej nie zamierzała wyjawiać go pokojowej.

Oczywiście Ellis już wcześniej odgadła, dokąd wybiera się pani, chciała tylko usłyszeć potwierdzenie. Ale nie dała po sobie poznać urazy.

– Doskonale, proszę pani, życzę miłej zabawy.

– Dziękuję. – Anna skinęła głową lokajowi, który otworzył jej drzwi. Też na wszelki wypadek zabrała parasolkę.

Obie panie powitały ją uśmiechem. Maria przeniosła się na przeciwległą ławeczkę i siedziała teraz plecami do koni. Anna doceniła ten kurtuazyjny gest wobec osoby niższego stanu. W zasadzie nie zanosilo się, by cokolwiek miało jej zepsuć ten dzień. Lady Brockenhurst nie należała wprawdzie do najmilszych towarzyszek na świecie, ale jednak trudno zaprzeczyć, że miały z sobą coś wspólnego i dziś w pewien sposób będą to świętować.

– Czy na pewno pani wygodnie, moja droga?

Anna przytaknęła.

– To jedziemy.

Stangret szarpnął lejce i powóz ruszył.

Caroline Brockenhurst postanowiła być dzisiaj miła dla Anny Trenchard. Podobnie jak ona, nie mogła się doczekać spotkania z wnukiem, a jej współczucie dla kobiety, której świat miał się lada moment zawalić, okazało się silniejsze niż przedtem. Przypuszczała, że już niedługo cała historia wyjdzie na jaw, po czym pamięć Edmunda pozostanie co najmniej nienaruszona, a reputacja Sophii

Trenchard legnie w gruzach. To naprawdę bardzo smutne i nawet Caroline nie mogła tego nie widzieć.

Patrząc po drodze na mur ogrodów Buckingham Palace, Anna nie mogła oprzeć się refleksji: Jak dziwnie urządzone jest ten świat! Młoda, zaledwie dwudziestoparoletnia mieszkanka tego pałacu stała się najwyższym celem aspiracji towarzyskich; o dostęp do niej zabiegali mądrzy, utalentowani mężczyźni, którzy podobnie jak James, mogli się poszczycić dużymi osiągnięciami. Uważali to za niebывały sukces, zwieńczający ich życiowe dokonania, a przecież... co ona takiego zrobiła? Nic. Tylko się urodziła. Anna nie była rewolucjonistką, nie życzyła swojemu krajowi żadnego przewrotu. Nie lubiła republikanów i gdyby dano jej taką szansę, z radością złożyłaby królowej najgłębszy ukłon, ale mimo to widziała irracjonalność systemu, w którym przyszło jej żyć.

– Och, spójrzcie, jest w Londynie! – wykrzyknęła Maria, patrząc w górę. Rzeczywiście, nad dachem pałacu powiewała królewska chorągiew z masztu na tylnym dziedzińcu. Anna przyglądała się potężnemu portykowi z kolumnami, z jego oszklonym *porte-cochère*, który miał osłaniać rodzinę królewską przy wysiadaniu z powozu. Właściwie każdy mógł ich zobaczyć, jeśli się nad tym zastanowić, ale przecież na pewno już przywykli do ludzkiej ciekawości.

Powóz jechał dalej przez Mall i wkrótce oczom Anny ukazały się wspaniałe budowle Carlton House Terrace<sup>[32]</sup>, które nawet po dziesięciu latach wciąż zachwycaly ją swoją nowoczesnością.

– Podobno pod numerem pięć zamieszkał lord Palmerston<sup>[33]</sup> – ekscytowała się Maria. – Zna pani te domy, pani Trenchard?

– Nigdy nie byłam w żadnym z nich.

Marii nic nie było w stanie uciszyć. Zachowywała się jak dziecko w sklepie z zabawkami, fascynując się dosłownie wszystkim, ale obie starsze panie wiedziały, co się za tym kryje.

– Och, jak mi się podoba ten stary książę Yorku! Na tym pomniku wygląda jak żywy, bardzo się z tego cieszę. – Powóz dotarł właśnie do przerwy w zabudowie, gdzie szerokie schody

prowadziły do kolumny z pomnikiem drugiego syna króla Jerzego III<sup>[34]</sup>. – Ciekawe, jak wysoki jest ten posąg.

– Mogę to pani powiedzieć – rzekła Anna z uśmiechem. – Byłam w tym miejscu pięć lat temu, kiedy go wznoszono. Ponad dwukrotnie przewyższa wzrostem przeciętnej mężczyznę, czyli ma około dwunastu stóp.

Niewątpliwie spodobała się jej ta dziewczyna. Polubiła ją za to, że pokochała Charlesa, chociaż wiedziała, że nic z tego nie będzie, ale także ze względu na nią samą. Maria miała charakter, odwagę i gdyby jej życie potoczyło się inaczej, mogłaby dokonać wielu interesujących rzeczy. Oczywiście jako córka hrabiego o ograniczonych środkach nie miała zbyt wielu możliwości, ale to już nie jej wina.

Anna poczuła ukłucie żalu, że Jamesa nie ma tu z nimi. Pewnie powiedziałyby, że ma zajęta dosłownie każdą chwilę, ale przecież znalazłby czas. Cieszył się towarzystwem wnuka, znał go przecież o wiele lepiej niż ona, i nie zamierzał przed nikim tego ukrywać. Nawet przed Oliverem.

A jednak nie powiedziała mu o planowanej wyprawie. Prawdę rzekłszy, pozwoliła mu myśleć, że po rozmowie z nią hrabina obiecała bardziej dyskretnie okazywać Charlesowi swoje względy. Dlatego ta wizyta w jego biurze, *en pleine vue*, w otwartym powozie, w towarzystwie jego własnej żony i pięknej młodej arystokratki, wzbudziłyby w nim grozę. Anna aż za dobrze wiedziała, że Caroline Brockenhurst nie ma żadnego interesu w dochowaniu tajemnicy, a ten popis tylko przyspieszy jej ujawnienie, za co James z całą pewnością obciąży winą żonę. Czy to dlatego nic mu nie powiedziała? I czy rzeczywiście czułaby się winna, gdyby do tego doszło? W końcu mąż okłamywał ją od lat... a jeśli nie okłamywał, to nie mówił prawdy. Teraz kolej na nią. Ale przede wszystkim chodziło jej o to, by znów zobaczyć wnuka.

Jadąc ulicami Londynu w stronę City i Bishopsgate, panie gawędziły ze sobą na neutralne tematy i w pewnej chwili, już w Whitehall, lady Brockenhurst spytała:

– Czy znalazła pani wachlarz?

– Wachlarz?

– Ten śliczny *duvelleroy*, który miała pani na przyjęciu. Zwróciłam na niego uwagę. Co za szkoda, że go pani zgubiła!

– Ależ wcale go nie zgubiłam! – odrzekła Anna, wzruszona, że hrabina w ogóle zapamiętała taki drobiazg.

– Nic nie rozumiem. Pani pokojówka specjalnie przysłała do nas, żeby go poszukać. A przynajmniej tak mi powiedziano.

– Naprawdę? Moja Ellis? To dziwne, muszę ją wypytać po powrocie.

Anna uświadomiła sobie, że Ellis rzeczywiście zachowywała się ostatnio dość nietypowo. Jak mało wie się o służbie... Nawet o osobistej pokojowej czy pokojowcu, którzy cały czas są w pobliżu. Gadają i śmieją się, kiedy się ich do tego zachęci, czasem zaprzyjaźniają się z chlebodawcami albo przynajmniej robią takie wrażenie. Ale tak naprawdę, co o nich wiadomo?

Niebawem powóz opuścił elegancki Londyn i jechał teraz krętymi, ciasno zabudowanymi uliczkami starego City, którego wygląd nie zmienił się od czasów Plantagenetów. Annie rzuciło się w oczy, jak bardzo zaniedbane są niektóre obszary, nawet jeśli leżą w pobliżu głównych arterii. Stangret Hutchinson robił co w jego mocy, by trzymać się z daleka od mniej przyjemnych części miasta, ale im dłużej jechali, tym bardziej dawał się im we znaki odór rynsztoków i ciasnota wąskich uliczek.

Zbliżając się z wolna do celu, mijali obskurne stragany targu przed kościołem St Helen. Na bruku i w bocznych uliczkach tłoczyły się wyładowane wozy, których właściciele zachwalali głośno swój towar, utrudniając krzykami rozmowę w powozie: „Groszek! Sześć pensów za peck<sup>[35]</sup>!”, „Piklingi z Yarmouth! Trzy za pensa!”, „Pyszne młode króliki!” – darł się jakiś młodzik, idąc obok ich pojazdu i wymachując nieszczęsnymi puszystymi stworzeniami, które wiły mu się w rękę.

– Czy muszą trzymać je żywe? – spytała z westchnieniem Maria, bardziej siebie samą niż chłopaka. Ten jednak obejrzał się i spojrzał jej w oczy.

– Jak inaczej mogłyby być świeże, panienko?

Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę – być może zaskoczony tą uwagą ślicznej osobki z jakiejś odległej planety – wreszcie wolno otarł nos wierzchem dłoni i ruszył w stronę kolejnego powozu.

Chłopcy i dziewczynki, przeważnie na bosaka, bawili się czym popadnie: starymi skrzynkami, cegłami, muszlami po ostrygach. Jedno z dzieci miało nawet starą obręcz, wyrzuconą zapewne przez jakiegoś synka zamożniejszych rodziców. Te, które mogły się bawić, wyglądały na zadowolone, inne nie miały czasu na rozrywki. Dokładały wszelkich starań, żeby sprzedać, co tylko wpadło im w ręce. Anna zauważyła może sześciolatniego zaniedbanego chłopczyka, który przepychał się przez tłum, wymachując sznurkiem brudnej cebuli. Na kamiennych schodkach siedziała z głową opartą o mur siwa staruszka, mimo słonecznego dnia szczelnie owinięta czarnym płaszczem. Trzymała przed sobą koszyk pełen wrzosu i jajek. Wszystkie panie milczały, mocno poruszone widokiem tej strasznej nędzy i głodu.

Maria pierwsza przerwała ciszę:

– Nie mogę patrzeć na bose dzieci! Biedactwa, jak im musi być zimno!

– Ja też. – Anna dotknęła ze współczuciem jej kolana.

Dla Caroline Brockenhurst zabrzmiało to zbyt sentymentalnie.

– Ale co możemy na to poradzić? Tego nie załatwi żadna dobroczynność.

– Bo oni potrzebują czegoś więcej niż tylko dobroczynności – zauważyła Maria. – Im trzeba jakiejś gruntownej zmiany.

Anna potakiwała jej milcząco.

Biuro Charlesa Pope'a mieściło się na drugim piętrze starego, obskurnego budynku, który kiedyś musiał być prywatnym domem, ale od dawna służył tak poważnym sprawom jak pomnażanie pieniędzy. Pokoje znajdowały się na tyle wysoko, że nie dobiegał do nich hałas z ulicy. Po pokonaniu kilku kondygnacji stromych schodów nie musiały nawet o nic pytać, bo drzwi natychmiast się otworzyły i stanął w nich Charles.

– Lady Brockenhurst! – wykrzyknął z szerokim uśmiechem, spiesząc na powitanie. – Co za wspaniała niespodzianka! – I rzeczywiście wyglądało, że prawie nie wierzy własnym oczom.

Caroline ucieszyła ta szczerą radość. Zastanawiała się wcześniej, czy jednak nie uprzedzić Charlesa, ale zależało jej na wyczuciu atmosfery tego miejsca, a gdyby dała mu czas, na pewno starałby się wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Przed pierwszą wizytą napisała do niego, tym razem jednak nie. Oczywiście zawsze istniało ryzyko, że go nie zastanie, ale postanowiła je podjąć. Nie wiedziała jednak, że Anna Trenchard tak bardzo bała się, by wizyta nie wypadła nie w porę, że dzień wcześniej wysłała Billy'ego, aby bez podawania nazwisk sprawdził, czy pan Pope na pewno będzie w biurze następnego dnia po południu. Tak więc Charles spodziewał się, że ktoś go odwiedzi, ale nie wiedział kto. Już po odjeździe powozu Ellis dowiedziała się o wszystkim od Billy'ego, miała więc kolejny kąsek dla pana Bellasisa; naturalnie Anna zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tych podstępnych machinacji.

Podczas wizyty w Bishopsgate Caroline najbardziej ciekawiła reakcja Charlesa na obecność Marii Grey.

– Nie mogę uwierzyć, że panią tu widzę! – wykrzyknął bez namysłu, zaraz się jednak poprawił: – To znaczy... wszystkie panie.

Jeśli Caroline wcześniej tylko przypuszczała, że między młodymi coś się dzieje, to po takim powitaniu nabrała pewności. A przynajmniej pewności, że coś mogłoby się dziać, gdyby tylko im na to pozwolono.

– Lady Brockenhurst wspomniała, że wybiera się w te strony, więc się wprosiłam na jej towarzyszkę. Mam nadzieję, że panu to nie przeszkadza.

– Ależ skąd, ani trochę. Wręcz przeciwnie.

Maria wyciągnęła do niego rękę. Charles wyraźnie się zawahał: Czy ma ją uścisnąć? A może ucałować? Ta świeża biało-niebieska spódnica zupełnie nie pasowała do jego obskurnego miejsca pracy. Te blond loki, te śliczne usta... Nie śmiał nawet spojrzeć jej w oczy.

– To bardzo uprzejmie, że nie ma pan nic przeciwko tej naszej inwazji – pospieszyła mu na pomoc Caroline.

Lady Brockenhurst stara się zatuszować moją niezręczność? Czy naprawdę mam to wypisane na twarzy? – myślał Charles, boleśnie świadom, że Maria jest zaręczona z bratankiem męża hrabiny. Ale jakoś nie widać po niej oburzenia.

Maria pierwsza odzyskała rezon.

– Jesteśmy w drodze do sklepu z jedwabiami – paplała wesoło. – To Nicholson i Spółka. – Miała własne powody, by nie zdradzać prawdziwych motywów ich wizyty. – I po prostu nie mogliśmy się powstrzymać, by nie wpaść do pana na małą inspekcję.

Wziął od niej parasolkę i czerwieniąc się, odłożył ją na bok.

– Czym mogę panie poczęstować? Herbatą? Może winem?

Rozglądał się nerwowo po pokoju, jakby gdzieś na półce kryła się zapomniana butelka, w sam raz na taką okazję. Nagle zobaczył stojącą nieco z tyłu Annę.

Lady Brockenhurst wysunęła się do przodu.

– Pozwoli pani przedstawić sobie pana Charlesa Pope’a. Pani Trenchard jest żoną pana Jamesa Trencharda, który tak panu pomógł.

Hrabina uśmiechnęła się leciutko. Jak to wahadło władzy wychyla się w przód i w tył! Niecały miesiąc temu nawet nie wiedziała, że ma wnuka. Anna Trenchard trzymała ją w nieświadomości przez całe ćwierć wieku. A teraz to ona go jej przedstawia. Cóż za rozkoszna ironia losu!

Charles popatrzył na panią Trenchard. Miała miłą twarz i życzliwe oczy, którymi zdawała się go badać spod kapelusza. I chyba już gdzieś się spotkali, chociaż nie umiałyby powiedzieć gdzie. Nagle go olśniło.

– Rozmawialiśmy już u lady Brockenhurst, ale bardzo krótko.

Anna uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Rzeczywiście. – Naprawdę chciało jej się krzyczeć, chwycić go w ramiona i trzymać przy piersi, ale chociaż wiedziała, że nie może, i tak czuła się szczęśliwa. Jej uśmiech nie kłamał.

– Poznał pan wtedy tak wiele osób... – Hrabina zaśmiała się cichutko. Anna rzuciła jej wymowne spojrzenie; lady Brockenhurst aż za dobrze bawiła się tą niezręczną sytuacją.

– Słyszałem o pani od pana Trenchara – ciągnął Charles. – To mój dobroczyńca w niewiarygodnym wprost stopniu. Jestem mu ogromnie wdzięczny za całą pomoc, jaką mi okazał, i cieszę się, że mam przyjemność podejmować tu jego małżonkę. – Uśmiech Charlesa też był bardzo szczerzy. – Zechcą panie przejść do gabinetu?

Wprowadził je do pokoju w głębi, gdzie znajdowała się sofa i kilka krzeseł. Ledwie usiadły, Charles rzucił się do zgarniania papierów, które zalegały na każdym skrawku powierzchni.

– Przypominam sobie, że przerwano nam rozmowę, kiedy mój mąż upuścił kieliszek – powiedziała Anna, która ciągle odtwarzała sobie w głowie ten moment.

– Pani mąż był dla mnie nadzwyczaj uprzejmy, naprawdę. Okazał mi zupełnie wyjątkową wspinałomyślność i zaufanie. Bez tego nie mógłbym nawet marzyć o uruchomieniu własnej przędzalni. Po prostu odmienił moje życie.

Lady Brockenhurst słuchała tego wszystkiego bez protestu, ale na jej twarzy pojawił się cień niezadowolenia, który Charles natychmiast zauważył. Nie spodobało się jej, że dzieli rolę dobroczyńcy z tym irytującym człowieczkiem.

– Taki sam dług wdzięczności mam też wobec pani, lady Brockenhurst – dodał szybko. – Państwo oboje przeczyci most nad przepaścią dzielącą mnie od przyszłości. Teraz będę mógł zacząć z większym rozmachem. – Chyba dobrze wybrnął z sytuacji?

– Ależ pan umie bić pianę! – zauważyła Maria. – Gdybym nie wiedziała, mogłabym pomyśleć, że próbuje pan sprzedać nam jakieś szczotki!

Nie takiej reakcji oczekiwał, ale Maria klasnęła w dłonie i zaraz wybuchnęła śmiechem. Na szczęście akurat w tym momencie pomocnik Charlesa wniósł tacę z zastawą do herbaty, ale nic z tamtej chwili nie umknęło uwagi Caroline.

– Czy to Indie? – zapytała Maria, wskazując rozwieszoną na ścianie wielką mapę.

– Tak – odparł Charles, zadowolony, że rozmowa zoczyła na bezpieczniejsze terytorium.

Dziewczyna wstała, żeby dokładnie się przyjrzeć.

– Jest aktualna?

– Najnowsza. Stale ją aktualizują. Im lepiej zbadane są kolejne prowincje, tym więcej szczegółów przybywa.

– Jakie to cudowne!

– Naprawdę się pani podoba? – Charles się rozpromienił i zaraz ofuknął się w duchu. Przecież tak mu zależało, żeby zrobić na Marii wrażenie swoją powagą i zdecydowaniem, a zamiast tego szczerzy się jak klaun w cyrku po każdym jej zdaniu. – Miałem kiedyś mapę administracyjną, gdzie terytoria zaznaczono zgodnie z tym, pod czyim są zarządem. Księstwa tubylców były zielone, a rejony podlegające Kompanii Wschodnioindyjskiej różowe. Ale to jest mapa fizyczna i jak pani widzi, pokazano tu głównie rzeki, góry i pustynie.

– Aż trudno sobie wyobrazić tak ogromny kraj. – Maria przesunęła palcem w gienzowej kremowej rękawiczce po powierzchni szkła. – Bengal... Pendżab... Kaszmir... – Westchnęła. – Cóż to za dzikie i romantyczne miejsce!

– Część kraju z pewnością jest bardzo dzika i niezagospodarowana. Żyją tam tygrysy... – Charles starał się mówić tonem znawcy. – A także słonie, węże i małpy. Jest wiele różnych religii i języków, po prostu osobny świat.

– Ach, jakże bym chciała zobaczyć tygrysa w dżungli! – Maria stała teraz twarzą do niego, tak że czuł na policzkach ciepło jej oddechu.

– To proszę pamiętać, żeby siedziała pani wtedy na grzbiecie słonia.

Aż otworzyła usta.

– Czy oni tak podróżują?

– Używają słoni tak jak my powozów. – Wiedział, że powinien się odsunąć, ale nie chciał. Jeśli ją to krępuje, to niech sama się cofnie. A jednak także nie ruszyła się z miejsca, a jej spódnica na sztywnych halkach dotykała jego kolana. – Najwyraźniej są inteligentne i bardzo posłuszne, ale jazdę na nich można porównać do pływania łodzią po morzu. Człowiek kołysze się przy każdym kroku.

– Wyobrażam sobie – rzekła, przymykając oczy.

– A tędy – Charles przesunął ręką po szczycie mapy – przebiega część jedwabnego szlaku, który zaczyna się w Chinach i przez te góry dociera w głąb Europy.

– To teraz kolej na bawełnę. – Maria czuła się wprost wspaniale, nawet lepiej, niż się spodziewała. Zastanawiała się dlaczego. Czy tylko z powodu obecności tego mężczyzny? Czy naprawdę trzeba tak niewiele?

– Mam wrażenie, że handel bawełną odbywa się od dość dawna – zauważyła Anna, także podchodząc do mapy.

– Owszem – potwierdził Charles. – I z czasem Indie muszą go zdominować.

– Podobno pierwsze skrzypce grają w nim producenci z południowych stanów Ameryki. – Maria wyraźnie przyjechała w pełni uzbrojona w stosowne informacje.

– Gdzie pani to wyczytała?

Spłonęła rumieńcem.

– Zapomniałam... Gdzieś tam. – Prawdę rzekłszy, przewertowała wszystkie książki i publikacje, jakie wpadły jej w ręce. Chciała po prostu mieć coś do powiedzenia podczas następnego spotkania.

– Ja wolę poszukać dostawców w Indiach.

– Dlaczego? – spytała Anna, szczerze tym zainteresowana. Tak przywykła do wiecznych pretensji Olivera do całego świata i narzekań Susan, że prawie zapomniała, jak może wyglądać rozmowa z młodym człowiekiem u progu dorosłości. W przeciwieństwie do jej syna Charles ma jasno wytyczony cel i determinację, by osiągnąć sukces. To naprawdę bardzo krzepiące.

– Amerykanie utrzymują niskie ceny, bo wykorzystują pracę niewolników, a ja jestem zwolennikiem Wilberforce'a i Clarksona<sup>[36]</sup>. Nie wierzę w zyski z niewolniczej pracy w żadnej

formie. – Widząc, że mu przytakują, podniósł rękę. – Ale zanim panie pochwałą moją szlachetność, chcę zaznaczyć, że mam w tym także swój interes. Nie sądzę, żeby niewolnictwo przetrwało w nowoczesnym świecie, a kiedy zostanie zniesione, Ameryka nie wytrzyma współzawodnictwa z Indiami. W dniu, kiedy to nastąpi, wolę mieć firmę na tyle stabilną, żeby znaleźć się w czołówce.

Anna pochwyciła wzrok lady Brockenhurst. Jakiż on jest wspaniały! Nie mogła winić tej kobiety, że chce oficjalnie uznać go za wnuka. A co do uczuć Marii Grey... Czy naprawdę dobre małżeństwo jest poza dyskusją? Wyraźnie widać, że hrabina snuje jakieś plany dla tej pary, nie zważając na męzowskiego bratanka. W końcu córki starego króla z tą aktorką zrobiły dobre partie: hrabina Errol, wicehrabina Falkland, lady de L'Isle...<sup>[37]</sup> I czyż dziesięć lat po powrocie Trenchardów z Brukseli nieślubny syn księcia Norfolk nie ożenił się z lady Mary Keppel? Z całą pewnością gdzieś o tym czytała. Czyż to nie może posłużyć za precedens? I czego życzyłaby sobie Sophia? Oto pytanie, które muszą sobie zadać. Zauważyła, że Charles ją obserwuje, więc zarzuciła go pytaniami:

– Którą część Indii zamierza pan odwiedzić? Jakie są tam możliwości rozwoju? Taki młody człowiek jak pan na pewno ma mnóstwo pomysłów.

– Bo ma – podchwyciła ochoczo Maria. – Żeby osiągnąć aż tyle w tak młodym wieku...

– Zaciekawia mnie pan, panie Pope – rzekła hrabina, podchodząc do biurka. Leżały tam sterty papierów i brązowych pudeł obwiązanych czerwonym sznurkiem. – Może pan służyć za wzór energii i przedsiębiorczości, a mimo to, w przeciwieństwie do większości ludzi, którzy wybrali tę samą drogę, nie urodził się pan do tego. W normalnym trybie syn wiejskiego proboszcza – bo jest pan synem proboszcza, prawda? – mógłby ewentualnie wstąpić do wojska lub marynarki, ale prędzej zostałby wikariuszem kaznodzieją i czekałby, aż ktoś zapewni mu beneficjum.

Anna zastanawiała się, co hrabina chce uzyskać. Jeśli Charles przejawiał jakieś właściwości swojej krwi, to prędzej można by się doszukać wpływu Jamesa niż Bellasisów. Żaden z Bellasisów od czasów wypraw krzyżowych nie trudziłby się nad księgami rachunkowymi. Przez chwilę czuła się wręcz dumna z męża. Może jest irytujący z tymi swoimi aspiracjami, ale to mądry człowiek z prawdziwą żyłką do interesów.

– Skąd pani wie, że jestem synem proboszcza?

Dobre pytanie. Hrabina się zawahała, ale tylko na ułamek sekundy.

– Od pana. Powiedział mi pan o tym przy mojej pierwszej wizycie.

– Ach, no tak. Ale on nie był takim przeciętnym proboszczem, co prawdopodobnie wyjaśnia sprawę. Był niezwykle mądrym człowiekiem.

– Był?

– Zmarł niedawno.

Oczywiście, że zmarł. Anna zapomniała już o tym. James swego czasu powiedział, że przeczytał nekrolog w „Timesie”, ale teraz ją to zastanowiło. Czy nie brakowało mu tej korespondencji? Przecież od dwudziestu pięciu lat regularnie dostawał raporty o postępach ich wnuka... Chociaż odkąd nawiązał kontakt z samym Charlesem, znaczenie informacji od pastora zmniejszyło się niemal do zera.



– Musiał być wspaniały.

– Miałem wielkie szczęście. – Charles zerknął na pastelowy portret nad swoim biurkiem. Przedstawiał starszego siwowłosego mężczyznę w czerni, z białą belfką pastora pod szyją. Uduchowiona twarz o pięknych rysach zwrócona była niemal profilem. W prawej dłoni trzymał książkę, która przy bliższym spojrzeniu okazała się Biblią. Oddane kredą plamy światła dobrze odgrywały swoją rolę, a całość przywodziła Annie na myśl prace George’a Richmonda<sup>[38]</sup>. Prawdę rzekłszy, czuła teraz wdzięczność do wielebnego Pope’a. Być może, przygarniając odrzuconego sierotę z nieprawego łoża, kierował się z początku chęcią zysku, ale z czasem wyraźnie chłopca pokochał i dobrze go przygotował do dalszego życia.

– Niezły portret – orzekła hrabina. – Można sądzić, że dobrze oddaje podobieństwo, chociaż nie znałam modelu. Wygląda na mądrego i dobrego, mam nadzieję, że takim był.

– Miał obie te zalety i jeszcze wiele innych. Chyba już pani o nim opowiadałam.

– Więc proszę mi przypomnieć.

Ależ ona kłamie w żywe oczy! Anna niemal podziwiała ją za to. To właśnie jest nasz problem: że wszyscy musimy kłamać. Tu, w tym pokoju ona i lady Brockenhurst, jak dwa wcielenia kłamstwa, odgrywały przed niczego niepodejrzewającym wnukiem rolę niewiniątek. Nawet Maria kłamała, wciąż udając narzeczoną Johna Bellasisa, chociaż absolutnie nie miała zamiaru za niego wychodzić, a przynajmniej nie z własnej woli. I tylko Charles niczego nie ukrywał, poza jednym: że jest po uszy zakochany w Marii Grey.

– Nie byłem rodzonym dzieckiem Pope’ów – przyznał z całą swobodą, bo i dlaczego miałoby go to krępować? – Moja matka umarła przy porodzie, a ojciec niedługo przedtem zginął w bitwie, w każdym razie tak mi powiedziano. Ojciec był kuzynem pana Pope’a, więc razem z żoną – uważam ją za matkę i tak o niej myślę – uznali, że powinni mnie do siebie wziąć. Sami dzieci nie mieli i może dlatego obydwie strony na tym skorzystały, ale faktem jest, że okazali mi wiele dobroci i miłości.

– A pan Trenchard? Jaką rolę w tym odegrał? – spytała Anna, ciekawa, jak nawiązali pierwszy kontakt.

– Z początku rzeczywiście kierowano mnie na duchownego, tak jak przypuszczała lady Brockenhurst. Ale kiedy podrosłem, ojciec zrozumiał, że mam innego rodzaju zdolności, i udało mu się wyrobić mi praktykę w banku. Niestety po przyjeździe do Londynu od razu się okazało, że nie będzie mi łatwo odnaleźć się w tym środowisku. Dlatego ojciec poprosił swojego starego przyjaciela, pana Trencharda, by zechciał być moim przewodnikiem, dopóki nie stanę na własnych nogach.

Anna obserwowała lady Brockenhurst, która najwyraźniej świetnie się bawiła, poznając coraz to nowe szczegóły sekretnej historii wnuka.

– Jak to się dobrze złożyło, że pastor Pope miał znajomości w tej branży!

– Och, nie tylko w tej, on przyjaźnił się z różnymi ludźmi. Pan Trenchard zainteresował się mną i od tego czasu miał na mnie oko. Kiedy zdecydowałem się odejść z banku, zwierzyłem mu się z pomysłu nabycia przędzalni, a on zgodził się mnie wesprzeć, dzięki czemu stało się to możliwe.

Teraz jeszcze lord i lady Brockenhurst okazali się tak dobrzy, że dołożyli mi resztę potrzebnej sumy, więc mogę finalizować zakup.

– Czy ta przędzalnia już działa? – Maria wyraźnie uznała, że już dostatecznie długo milczy.

– Tak, ale w dość chaotycznym trybie, bo korzystamy z takiej bawełny, jaką akurat uda się znaleźć. Teraz chcę wprowadzić bardziej stabilną organizację, która pozwoli mi rozwinąć skrzydła. I to właśnie umożliwiła mi lady Brockenhurst. Może poprosić o więcej herbaty?

– Raczej nie, dziękujemy. – Anna siedziała z Marią na sofie. Słońce, które wpadało przez spuszczone żaluzje, tworzyło na podłodze świetlne paski. Charles zebrał naczynia po herbacie i ustawił je na tacy. Anna śledziła jego płynne, pełne gracji ruchy. To niewiarygodne, że tłuściutkie niemowlę, które ćwierć wieku temu kwiliło w jej ramionach, wyrosło na tak przystojnego, pewnego siebie mężczyznę.

Maria także go obserwowała. Jego ojciec był żołnierzem i kuzynem duchownego... Co w tym złego? Może i nie najlepsza z niego partia, ale przynajmniej jest dżentelmenem. Owszem, John Bellasis odziedziczył wielki majątek, ale czy Charles sam nie dorobi się fortuny? I do tego szybciej? Lord Brockenhurst trzyma się całkiem dobrze, może żyć jeszcze wiele lat. Te wszystkie myśli przelatywały jej przez głowę, kiedy jednocześnie zasypywała Charlesa pytaniami na temat jego interesów i projektów, chwytając się każdego słowa. Jak długo trwa podróż do Indii? Czy wybiera się sam? Skąd będzie wiedział, że ewentualni dostawcy okażą się wiarygodni?

– Najbardziej liczy się nie tyle wiarygodność, co jakość towaru – tłumaczył z zapalem, chodząc po gabinecie. – Sytuacja w Indiach jest teraz trudna, a bawełna przeważnie niskiej jakości, ale jeśli trafi się już na odpowiedniego dostawcę, to trzeba się go trzymać. Tylko wtedy można zacząć rozwijać działalność. Pogoda jest idealna, więc będzie to możliwe.

– No, no – rozległ się od drzwi jakiś głos, któremu wtórowało głośnie stukanie. – Dobrze powiedziane!

O framugę drzwi opierał się John Bellasis. Charles w oszołomieniu wytrzeszczył na niego oczy.

– Słucham pana? Czym mogę służyć? – Mężczyzna wyglądał znajomo, ale zachowywał się wyniośle, jeśli nie wrogo, jak gdyby już teraz toczyli z sobą wojnę. Z przymrużonymi oczami i zaciętymi ustami John wyglądał jak żywy obraz arogancji.

– John! – wykrzyknęła lady Brockenhurst. – Co ty tu robisz?

– O to samo mógłbym zapytać ciebie, droga ciociu. – Nie czekał jednak na odpowiedź. – Lady Maria, niech ja skonam! Dzień dobry pani! – Kompletnie ignorując Charlesa, ruszył prosto ku osłupiałej Marii.

– Skąd wiedziałeś, że tu będziemy? – spytała hrabina.

– Nie wiedziałem. Przynajmniej nie o wszystkich. Spodziewałem się zastać tu ciebie, ale nie...? – Patrzył pustym wzrokiem na Annę. – O, przepraszam.

– ...panią Trenchard – podpowiedział mu Charles.

– Oczywiście, pani Trenchard. Wiem, kim pani jest. – I rzeczywiście wiedział, siedział przecież koło niej przy jednym stole na przyjęciu, tylko udawał, że nie pamięta. – A lady Maria tutaj to już

prawdziwy dar niebios. – Ton jego głosu wyraźnie świadczył, że w żadnym razie tak nie myśli.

Z początku, gdy otrzymał liścik Ellis, w którym prosiła go, by wyszedł na Piccadilly, dostał szau, że służąca śmie go gdzieś wzywać. Kiedy jednak usłyszał, co Billy jej przekazał – że właśnie dziś ma się odbyć wyprawa do Bishopsgate – przyznał jej rację. Kim jest pan Pope, ten człowiek znikąd, który w tajemniczy sposób skupia na sobie ich uwagę? Musi dotrzeć do sedna sprawy i dowiedzieć się, co ten typ na nich ma. Czy to szantaż związany z jakimś niecnym postępkim z przeszłości stryja? Ale jak wytłumaczyć udział pani Trenchard? Podziękował Ellis i dał jej monetę.

– Pani Trenchard nie powiedziała czegoś więcej? Nie wyjaśniła celu tej wizyty?

– W ogóle o tym nie wspomniała. Wiem o wszystkim od stangreta. Ona z zasady zachowuje takie rzeczy dla siebie.

– Tak? No to zobaczymy, jak będzie śpiewać, kiedy przydybię ją w jaskini lwa. Razem z moją ukochaną cioteczką.

– Ale mnie pan nie wyda? – Ellis nie chciała jeszcze tracić posady. Odejdzie sama, kiedy będzie jej pasowało, ale nie wcześniej.

– Nic się nie martw. Gdyby cię wyrzucili, nie miałbym z ciebie pożytku.

Oczywiście musi jakoś wytłumaczyć, dlaczego śledzi prawie nieznaną sobie Annę Trenchard w drodze na spotkanie, o którym nie powinien wiedzieć.

Czym prędzej ruszył do Brockenhurst House i na szczęście zastał tam stryja. Nie minęło wiele czasu, jak wyciągnął z niego, że Caroline pojechała do Bishopsgate na spotkanie z panem Pope'em.

– Ach tak. Ostatnio bardzo się nim zajmujecie.

– Caroline uważa go za obiecującego, mnie też wydał się dość sympatyczny. – Peregrin nigdy nie kwestionował zainteresowań swojej żony. Niewiele ich miała od śmierci Edmunda.

– Tak się dziwnie składa, że akurat jestem w drodze do Bishopsgate. Mógłbym tam przy okazji zajrzeć i sprawdzić, czy ją zastanę. – Adres biura Pope'a już znał, jego źródła zdążyły go ustalić, a lord Brockenhurst nigdy sobie nie przypomni, że to nie on go Johnowi zdradził. Zapewniwszy sobie alibi, wezwał dorożkę i ruszył w drogę.

I właśnie dotarł do celu, gdzie stanął oko w oko ze swoim przeznaczeniem, do kompletu z panią Trenchard, Marią Grey oraz ciotką.

– Niestety wypiliśmy już herbatę... Czy mam zadzwonić po świeżą, panie...?

Fakt, że Charles nie zdołał go rozpoznać, jeszcze bardziej rozsierdził Johna. Jak ten żółtodziób śmie nie pamiętać go z przyjęcia? Kim on w ogóle jest, że panie tak do niego lgną? To przecież jego, Johna, domena. Ojciec miał rację: jest coś bardzo dziwnego – i mocno nieprzyjemnego – w tym, że ciotka tak się afiszuje z owym panem Nikt. Co więcej, w grę wchodzi pieniądze, co nie podoba się ani ojcu, ani jemu. Aż do tej pory John miał przed sobą względnie łatwą do przewidzenia przyszłość. Po prostu musi aż do śmierci stryja pożyczać pieniądze, po czym ojciec, a najpewniej on sam przejmie schedę, która wszystko ureguluje, a potem już pójdzie jak po maśle. Chyba że pojawienie się pana Pope'a pokrzyżuje im plany.

– Poznał pan już na moim *soirée* bratanka lorda Brockenhursta, pana Bellasisa – wkroczyła do akcji hrabina, wyraźnie zdenerwowana tym podstępным wtargnięciem Johna. Porozumiała się z Anną wzrokiem: wizyta dobiegła końca, pora jechać.

– Pan Bellasis, oczywiście. – Charlesowi ścisnęło się serce. Więc to jest narzeczony Marii. – Naprawdę bardzo przepraszam, tam było tyle osób, że całkiem mnie to przytłoczyło.

– Nie wyglądał pan na przytłoczonego. – John świdrował go wzrokiem. Ten gość nie miał żadnych rekomendacji, a jednak ciotka przejechała pół Londynu, by wypić z nim herbatę w tym bliżej nieokreślonym biurze. – Taak, a więc jesteśmy w komplecie... – dodał, łącząc czubki palców.

– No właśnie, tylko jednego nie rozumiemy – wtrąciła Maria z uśmiechem, który jednak nie sięgał jej oczu. – Co pan tutaj robi?

– Tak, Johnie – podchwyciła lady Brockenhurst. – Co ty tu robisz?

– Wpadłem rano do stryja i dowiedziałem się od niego, że pojechałaś do Bishopsgate. Miałem niedaleko umówione spotkanie i postanowiłem jeszcze raz zobaczyć się z panem Pope’em, bo mnie zaciekawia. Wydaje się bardzo tajemniczy, przynajmniej w moich oczach. Połowa mojej rodziny, a teraz także żona jednego z najświetniejszych budowniczych Londynu, wydeptuje ścieżki do jego skromnych progów, więc rad bym wiedzieć dlaczego. Chyba nie obrazi się pan za słowo „skromne”? – spytał z drwiącą uniżonością.

– Ależ skąd – odparł z wymuszonym uśmiechem Charles.

– No więc – kontynuował John – kiedy usłyszałem, że ty, ciociu, jesteś już w drodze, uznałem to za znakomitą okazję.

Charles poczuł, że powinien jakoś załagodzić sytuację.

– Proszę się nie przejmować, panie Bellasis. Może mi pan wierzyć, że dla mnie także jest to wielka zagadka, dlaczego wszyscy tak dbają o moje dobro. – Tym razem uśmiech wyglądał na bardziej szczerzy.

– Tak sobie myślę – zwrócił się John do Marii. – Wybieram się w czwartek na wyścigi w Epsom. Koń kuzyna bierze udział w gonitwie, więc może pani wraz z lady Templemore zechciałyby mi towarzyszyć?

– Zapytam mamę, ale ona raczej nie przepada za wyścigami.

– A pan, panie Pope? Lubi pan koniki?

– Nieszczególnie. – Serce w nim rosło, bo Maria odrzuciła propozycję spędzenia dnia z tym człowiekiem. Czy można to uznać za znak?

– Tak przypuszczałem. – John stanął przed mapą Indii i założył ręce do tyłu. – Ma pan pewnie tylko bawełnę w głowie. – I zaśmiał się, jakby ta obraźliwa uwaga miała być tylko żartem.

Lady Brockenhurst zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Pora zostawić pana Pope’a jego sprawom. My zresztą także mamy jeszcze coś do załatwienia. John, wybierzesz się z nami na zakupy?

– Nie sądzę, ciociu. Chyba że panie nie ufają własnym decyzjom i potrzebują rady. Jak

wspomniałem, mam tu niedaleko spotkanie.

Lady Brockenhurst pokiwała ze zrozumieniem głową. Oczywiście, że nie zamierzał spędzić reszty dnia na zwiedzaniu magazynów z jedwabiem, i wcale go za to nie winiła.

Tak się składało, że John Bellasis miał inne plany: wybierał się na Trafalgar Square, gdzie w hotelu Morley's umówił się z Susan Trenchard. W ostatecznym rozrachunku doszedł do wniosku, że nic skuteczniej nie zagłuszy uczucia upokorzenia i irytacji niż schadzka z cudzą żoną.

Zarezerwował pokój na jakieś fałszywe kobiece nazwisko. Kiedy otworzył drzwi numeru 27 na pierwszym piętrze, Susan już na niego czekała. Wiedział, że tam jest, bo wcześniej zauważył czekającą cierpliwie w dolnym holu jej pokojową Speer. Susan uprzedziła go, że na wyprawę do Isleworth nie ma czasu, a z kolei on nie powinien zapraszać jej do Albany, przynajmniej na razie. Tamtejsze pokoje niezbyt pasowały do jego wyobrażeń o wielkopańskim luksusie. Na komfort w Isleworth mógł sobie jeszcze pozwolić, ale na Piccadilly już niezupełnie. W rozmowach lubił wymieniać ten adres, napomykając przy okazji, że pod numerem A2 mieszkał kiedyś lord Byron, który jednak nigdy nie zapraszał tam gości, nawet własnej płci. Tak więc tym razem John zapłacił za pokój w Morley's. Wprawdzie wydatek go zirytował, ale kiedy później leżał na łóżku nagi i ukontentowany, musiał przyznać, że Susan jest go warta. Rzadko trafiała mu się bardziej entuzjastyczna kochanka. Większość kobiet, z którymi sypiał, zanudzała go obawami przed ciążą i związanym z tym nieuchronnym skandalem, ale Susan jakby w ogóle to nie obchodziło. Była doskonale uległa, co Johnowi ogromnie odpowiadało i bardzo ją za to lubił.

– Susan, moja droga... – obrócił się w jej stronę i przysunąwszy się bliżej, zaczął całować jej ramię.

– Ależ ty jesteś miły! – Czuła, że zaraz padnie jakaś prośba czy wręcz rozkaz, na tyle go już znała. Znała też jego egoizm i zachłanność, a mimo to w drodze na spotkanie serce waliło jej jak młotem. Nie wiedziała, czy to miłość, czy tylko pożądanie, ale z pewnością coś więcej, niż kiedykolwiek czuła wobec Olivera. Czekala więc teraz, gotowa na jego rozkazy, jeśli tylko będzie mogła je spełnić.

Obserwował ją spod oka.

– Powinienem uważać, bo coraz bardziej cię lubię, wiesz?

Nie był to obezwładniający komplement, ale Susan tak go przyjęła.

– To się cieszę...

– Musisz coś dla mnie zrobić.

– Oczywiście, jeśli tylko potrafię...

– Chcę, żebyś dowiedziała się więcej o Charlesie Popie.

– Co?! – Usiadła i cały nastrój prysł. – Ty także? Powariowaliście wszyscy na punkcie tego wstrętnego typu! Olivera doprowadza do szału.

– Niezbyt chętnie przyznaję rację twojemu mężowi, ale trafiłaś w sedno. – John także się wyprostował. – Nie wiem, o co tu chodzi, ale mu nie ufam. Wydaje mi się, że ma jakiś haczyk na

moją ciotkę, a dziś zaszedłem do jego biura i zastałem tam twoją teściową. A także Ma...

– A także kogo?

– Nieważne.

To wywołało jej uśmiech, chociaż nie takiej reakcji sobie życzył. Widocznie знаła już imię, którego nie wymówił do końca. Na swój sposób ucieszyła się nawet, że zależy mu na jej uczuciach. Może pewnego dnia wykorzysta to przeciw niemu.

– Po co tam poszedłeś? Czy i na ciebie ma jakiś haczyk?

– Chcę wiedzieć, czemu wszyscy tak się za nim uganiają. Czemu to jego właśnie uparli się protegować.

– A nie ciebie, co?

– Ja nie żartuję. – Głos Johna stał się nagle zimny i twardy. No proszę, jak szybko potrafi się zmienić!

– Wiem.

Tylko że ona, Susan, nie jest jego marionetką. Już zadawała sobie pytanie, jak obrócić tę sytuację na własną korzyść.

– Najbardziej mnie niepokoi – ciągnął, siadając plecami do niej na skraju łóżka – dlaczego ładują w niego tyle pieniędzy.

Patrząc na jego profil, widziała, że naprawdę go to martwi.

– Jak się miewa lady Maria?

– A bo co?

– Nic, tak sobie pytam. Ale jeśli dziś ją widziałeś... – Chciała go sprowokować do zaprzeczenia, ale milczał. Zawsze się irytował, gdy zapuszczała się na terytorium jego spraw osobistych, ale przecież sam już się wygadał, że dziewczyna była w biurze Charlesa, Susan zaś lubiła się z nim droczyć. Mogła też narobić mu kłopotów, gdyby tak jej się spodobało, i nie omieszkała mu o tym przypominać.

– Miewa się bardzo dobrze, jeśli o to ci chodzi. Czy nie powinnaś już wracać?

Maria Grey jednak w tym momencie wcale nie miewała się dobrze, gdyż nie potrafiła pokonać matki w dyskusji, którą z premedytacją rozpętał John. W drodze na spotkanie z Susan znalazł czas, by wpaść do swojego klubu w St James's i napisać do lady Templemore liścik z ubolewaniem, że ta nie lubi wyścigów. Na końcu zapytał, czy w takim razie mógłby w najbliższym czasie liczyć na jakąś inną wspólną rozrywkę.

– Dlaczego powiedziałaś, że nie lubię wyścigów? – Lady Templemore siedziała całkiem nieruchomo. Nie wyróżniała się bystrością, ale miała instynkt do ludzi i była święcie przekonana, że dzieje się coś, czego nie pochwała, tylko co?

Maria wiała się jak piskorz pod spojrzeniem matki.

– A lubisz?

– Tak samo jak inne bezsensowne rozrywki, którym musimy się oddawać.

– W takim razie odpisz, że przyjmujesz zaproszenie.

– W imieniu nas obu?

– Nie, tylko w swoim.

Obie wiedziały, o co naprawdę tu chodzi, chociaż żadna jeszcze tego nie przyznała.

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że możesz cofnąć dane słowo? – zaryzykowała w końcu pytanie lady Templemore. Czekala z biciem serca na odpowiedź, ale Maria się nie odezwała. Siedziała w saloniku matki jak grzeczna dziewczynka z rękami w małądrzyk, ani nie przytakując, ani nie przecząc, co nie wróżyło niczego dobrego. Lady Templemore już wcześniej tego się obawiała. Przez chwilę kusilo ją, aby sprowadzić z Irlandii brata dziewczyny, ale porzuciła tę myśl, bo wcale nie miała pewności, czy Reggie wziąłby stronę matki, a nie siostry. Kiedy już wyczerpano wszelkie środki, okazało się, że i tak nic by mu nie przyszło z fortuny Johna. To ona, Corinne Templemore, liczy na zabezpieczenie i komfort u schyłku życia dzięki majątkowi i pozycji zięcia, na co przecież w pełni zasługuje.

– Czyż nie opiekowałam się tobą przez całe życie? Czy nie należy mi się na starość odrobina bezpieczeństwa? Już niedługo przyjdzie ci czekać na mój koniec. – Tłumiąc szloch, odchyliła się na oparcie obitej adamaszkim berżerki i czekała, aż jej słowa przyniosą pożądany efekt. Nie przyniosły.

– Mamo, masz końskie zdrowie i przeżyjesz nas wszystkich. Co do opieki, to oczywiście, zapewnię ci ją w miarę swoich możliwości, więc nie masz się czego obawiać.

Corinne osuszyła ostrożnie oczy.

– Zaopiekujesz się mną, wychodząc za Johna Bellasisa. O nic więcej nie proszę. Co masz przeciwko niemu?

– Nie wiem, czy dostatecznie go lubię... I czy on lubi mnie. – Dla Marii był to zupełnie rozsądny argument, ale matka nie przyjmowała go do wiadomości.

– Phi, też coś! – Lady Templemore w jednej chwili zapomniała o łzach. – Młoda para ma polubić się nawzajem w miarę, jak się będzie poznawać. Ja wychodziłam za twojego ojca, prawie go nie znając. Nie dano mi takiej szansy. Przed zaręczynami nie mogliśmy spotykać się bez przyzwoitki. I nawet potem wolno nam było usiąść koło siebie na sofie, ale nie poza zasięgiem słuchu innych osób. Żadna panna z naszej sfery nie poznaje męża przed ślubem.

Maria patrzyła na matkę w osłupieniu.

– Więc każesz mi brać przykład z twojego małżeństwa z drogim papą?

To był cios poniżej pasa i w pewnym stopniu już go żałowała. Ale lada chwila matka będzie musiała zmierzyć się z faktem, że Maria nie wyjdzie za Johna. Jeszcze wczoraj miała cień wątpliwości, ale po dzisiejszej wizycie wiedziała to z całą pewnością, więc równie dobrze mogła zacząć przygotowywać grunt.

Oczywiście nie miała dowodu na zamiary Charlesa wobec jej osoby. To znaczy w postaci słów.

Ale była całkowicie pewna, że tylko jej pozycja towarzyska i status narzeczonej wstrzymują go od deklaracji. Nie chowano jej pod tak szczelnym kloszem, by nie orientowała się, kiedy mężczyzna jest nią zainteresowany. Wiedziała też, że wystarczy jej kiwnąć palcem, by mieć go u stóp. Bratem się nie przejmowała. Może Reggie nawet chciałby widzieć swoją siostrę hrabiną, ale na pewno nie wbrew jej woli. A Charlesa by polubił, co do tego nie miała wątpliwości. Tak, teraz jej głównym zadaniem będzie przekonać matkę, by pozwoliła jej przyjmować zaloty właściciela przędzalni zamiast przysłego hrabiego, a to nie będzie łatwe. Ale najpierw to, co najważniejsze.

– Dałaś słowo.

Właściwie, słuchając argumentów matki, Maria uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że naprawdę dała słowo Johnowi Bellasisowi. Co ona sobie myślała? Może to dlatego, że nigdy przedtem nie była zakochana i w ogóle nie wiedziała, co to słowo znaczy. Czy teraz jest zakochana? Chyba tak.

– Nie byłabym pierwszą, która zmieniła zdanie.

– Nie odrzucisz tak wspaniałej przyszłości. Nie pozwolę na to. Zabraniam ci! – powtarzała z rozpaczą lady Templemore. Obserwując ją, Maria zdecydowała, że nie będzie drażnić tematu. Na razie. Matka musi stopniowo zrozumieć, że to upragnione przez nią małżeństwo nie dojdzie do skutku, ale na to trzeba czasu. Kiedy tak układała sobie to wszystko w głowie, nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech. Po raz pierwszy pojęła, że planuje prawdziwy mezalians, i na myśl o tej „okropności” gwałtownie zabiło jej serce. Fakt jednak pozostał faktem: taki miała zamiar i ani jej się śniło z niego zrezygnować.

Normalnie Susan nie przyjęłaby zaproszenia Anny do Glanville. Nie cierpiała tego miejsca. Poza wielkim elżbietańskim domem i jego pięknymi ogrodami w samym sercu Somerset nie było tam dla niej nic interesującego ani nawet przyjemnego.

Po pierwsze, zniechęcała ją męcząca podróż przepastną landarą z Quirkim na koźle. Wymagało to starannego planowania, ogromnych ilości bielizny pościelowej, postojów w przydrożnych stacjach dylizansów na lunch, obiad, nocleg i zmianę koni. Podróż trwała co najmniej dwa dni, ale Anna wolała rozkładać ją na trzy. Mówiła, że nie będzie trząść starych kości przy szybkiej jeździe, poza tym musi co pewien czas wyprowadzać Agnes. To wszystko na pewno się zmieni po uruchomieniu nowej kolei żelaznej, ale na razie jest, jak jest, i Susan będzie musiała przez trzy dni (albo i dłużej, gdyby padało i pojazd ugrzązł w błocie) kisić się w powozie i roztrząsać z teściową co bardziej wyrafinowane problemy ogrodnicze.

Głównym jednak powodem jej oporu wobec Glanville było to, że nie widziała sensu tego wyjazdu. Co tam w ogóle jest do roboty poza kolejnymi dyskusjami o ogrodnictwie, spacerami po ogrodach i ciągnącymi się bez końca posiłkami przy długim stole w jadalni? Od czasu do czasu w obiadach uczestniczyli różni miejscowi dygnitarze, chętni do zawarcia znajomości z Jamesem Trenchardem w nadziei, że namówią go, by sypnął pieniędzmi na jakieś zbożne cele. Z okolicznych dziedziców nie pokazywał się prawie nikt. Jak powszechnie wiadomo, myślała zgryźliwie Susan, na wsi wspinaczka po drabinie społecznej jest szczególnie utrudniona. W Londynie ludzie nie przywiązują tak wielkiej wagi do tego, kim jesteś, jeśli tylko ubierasz się przyzwoicie i mówisz to,



co trzeba. Na wsi nie są już tak tolerancyjni. Chciało się jej ziewać na samą myśl o tych sprawach.

Tym razem jednak John wmówił jej, że to dobry pomysł. Kiedy po południu leżeli w łóżku, przedstawił jej cały plan. Ma wywiedzieć się szczegółowo, kim jest Charles Pope i dlaczego James Trenchard tak skwapliwie go finansuje, nie wspominając o osobliwym sojuszu, jaki zawiązał się pomiędzy ciotką Johna a teściową Susan. Być może kryje się w tym coś, na czym mogłaby skorzystać. A w każdym razie, ze względu na własne plany, opłaca się jej mieć w Johnie dłużnika.

Oliver zdziwił się chyba najbardziej ze wszystkich, że Susan postanowiła spędzić z rodzicami cały miesiąc na wsi. Zwykle na taką propozycję reagowała awanturą i łzami, co kończyło się dla niego wyprawą do jubilera po jakiś kosztowny drobiazg. Ale nie tym razem.

Zgoda żony na wyjazd bardzo go ucieszyła. Prawdę rzekłszy, ostatnio odkrył, że wolałby raczej mieszkać na wsi niż w Londynie. Włożył wiele wysiłku, by zainteresować się firmą pana Cubitta, ale w końcu przekonał się, że jest stworzony na wiejskiego dziedzica. Bo i czemu nie? Wychowali go na dżentelmena i oto wyniki. Znacznie bardziej odpowiadały mu polowania, cała ta tradycja i bezpretensjonalna swoboda wiejskiego życia niż ślęczenie nad planami i rachunkami w biurze ojca albo Williama Cubitta. Obchodziłby posiadłość, rozmawiał z dzierżawcami, słuchał, co im leży na sercu. Czułby się potrzebny i ceniony. Dawniej myślał, że po śmierci rodziców nie będą mieszkać w Glanville; Susan upierała się przy czymś bardziej okazałym bliżej Londynu, ale później, kiedy w zasadzie żyli już każde po swojemu, zaczął się zastanawiać, czy nie udałoby się pójść na jakiś kompromis. Nie miał jednak żadnego potomka, a życie w takim domu jak Glanville wymaga kontynuacji...

Aż serce w nim podskoczyło, kiedy powóz minął wysoką bramę z kamienia w kolorze miodu. Na końcu tej drogi stał piękny trzypiętrowy dom, w znacznie lepszym stanie niż wówczas, gdy matka go znalazła w roku 1825. Kierując się wielkopańskim kaprysem, James polecił wtedy żonie wyszukać „wiejską siedzibę” dla rodziny. Oczywiście spodziewał się czegoś eleganckiego, lecz wygodnego, jakiejś solidnej budowli w Hertfordshire czy Surrey, a przynajmniej względnie blisko Londynu. Ale Anna miała inne pomysły. Kiedy przypadkiem trafiła na Glanville, piękny przykład stylu przejściowego pomiędzy gotyką a renesansem, z ogrodami i parkiem otoczonym tysiącami akrów ziemi uprawnej, wiedziała, że tego właśnie szukała, i to w zasadzie od zawsze. Niestety okazało się, że są tam niemal wszystkie rodzaje zgnilizny i insektów, a także wielki przeciekający dach, toteż James z początku za nic nie chciał się zgodzić na zakup. W ogóle nie to miał na myśli, nie chciał mieszkać w Somerset, poza tym nie wyobrażał sobie domu, który wymagał kompletnej przebudowy. Mimo to Anna się uparła, co w jej życiu zdarzyło się dotąd zaledwie kilka razy.

Teraz, prawie dwadzieścia lat później, oboje uważali Glanville za jej największy sukces. Z pietyzmem odremontowała dom, zakochując się w jego drobnych osobliwościach, takich jak kamienne mały na frontonach czy Dziewięciu Bohaterów<sup>[39]</sup> ustawionych w niszach. Czasem James myślał, że to dzieło miłości kompensuje żonie coś innego: skoro nie mogła uratować ich córki, to uratuje chociaż ten wspaniały stary dom. Im więcej wkładała wysiłku i entuzjazmu, im więcej życia udawało się tchnąć w to zapuszczone miejsce, tym bardziej nabierało blasku.

Do największych jej osiągnięć należały ogrody, stworzone właściwie od zera. Kiedy powóz

zajechał przed dom, na Annę czekał już główny ogrodnik Hooper. Zanim jednak go powitała, rytuałowi musiało stać się zadość i Turton, który przyjechał tu przed nimi, wystąpił naprzód, aby otworzyć drzwi.

– Pani, mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż. – W głosie kamerdynera zabrzmiała nuta rezygnacji. Prawdę rzekłszy, Turton czuł się w Glanville tak samo jak pani Oliverowa. Również źle znosił samą podróż, a już najbardziej nie mógł się pogodzić z brakiem profesjonalizmu tutejszej służby, którą musiał zarządzać podczas pobytów na wsi, będących, jego zdaniem, czystą stratą czasu. W przeciwieństwie do większości arystokratów, którzy swoje wiejskie posiadłości traktowali jako główne rezydencje, Trenchardowie za swoją siedzibę uważali Londyn. Dlatego też do Somerset zabierali tylko kilku niezbędnych służących, takich jak Turton, Ellis, Speer i Billy, któremu na wsi dochodził jeszcze obowiązek ubierania Olivera. Z początku wozili z sobą także panią Babbage, ale kiedy napięcia i kłótnie, które z jej powodu wybuchały w kuchni, stały się zbyt uciążliwe, Anna postanowiła zatrudnić miejscową kucharkę. Pani Adams okazała się i bardziej dobroduszną, i mniej wymagającą w kwestii składników, które należało sprowadzać ze stolicy. W rezultacie na stół podawano znacznie prostsze potrawy, a obsługa była nieco powolniejsza, przez co Turton cały czas demonstrował cierpiętniczą minę.

– Dziękuję, Turton. Chyba już wszyscy zdążyli się rozpakować?

– Robimy co w naszej mocy, biorąc pod uwagę okoliczności – brzmiała niewróżąca niczego dobrego odpowiedź, ale Anna nie zamierzała dać się wciągać w problemy służby od razu po przyjeździe. Doskonale wiedziała, co czuje Turton, sama jednak uważała, że jeśli Glanville ma przetrwać, to właściciele muszą wspierać miejscową społeczność. Oznacza to przede wszystkim dawanie posad synom i córkom dzierżawców oraz tych, którzy już pracowali na terenie posiadłości. Bo inaczej dokąd mieliby pójść ci młodzi? Potrzebowali pracy i to ich, właścicieli, obowiązkiem było im ją zapewnić. Jeśli Turtonowi się to nie podoba, to już jego, a nie jej sprawa.

– Och, jest Hooper! – Anna, zacierając ręce, ruszyła mu na spotkanie. – Co słychać nowego?

– Ależ moja droga! – zawołał za nią James. – Może najpierw wejdziemy do domu? Na pewno jesteś zmęczona.

– Za chwilę. Chcę tylko usłyszeć, co się działo w ogrodzie pod moją nieobecność, poza tym Agnes potrzebuje spaceru.

– Tylko się nie przemęczaj – rzucił jeszcze, wchodząc z innymi do środka. Ale w zasadzie nic mu to nie przeszkadzało. Lubił widzieć, że żona jest szczęśliwa, zresztą jak zawsze, gdy przyjeżdżali do Glanville.

Wieczorem zasiedli do obiadu w pokoju, który powstał z dawnego kredensu i spiżarni. Tak stare domy jak ten nie mogły się poszczycić osobną jadalnią, gdyż ich pierwotni mieszkańcy jadali razem ze służbą w wielkiej sali. Anna jednak uznała, że jej pietyzm wobec epoki elżbietańskiej ma swoje granice, więc przy okazji remontu dachu kazała wyburzyć ścianę dzielącą oba te pomieszczenia i na uzyskanej przestrzeni stworzyć kameralną jadalnię dla rodziny, z boazerią na ścianach, wielkim kominkiem i dużymi oknami wychodzącymi na wschodni taras. Lubiła ten pokój, tym bardziej że sama

go wymyśliła, gdy tylko objęła dom w posiadanie.

Szła właśnie galerią w stronę schodów, kiedy Ellis dogoniła ją z szalem.

– Może się pani przydać.

Ellis była w dobrym humorze. Wieś jej zawsze służyła, a w przeciwieństwie do Turtona lubiła bryłować wśród tutejszej służby. Rzadko kiedy miała okazję delektować się poczuciem swojej wyższości, ale tutaj, w głębi Somerset, stawała się źródłem wszelkiej wiedzy na temat *beau mond*. Mogła snuć opowieści o życiu w Londynie, opisywać nowe sklepy, rozwodzić się nad szczegółami najnowszej mody. Właściwie nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż dzielenie się przy stole w sali dla służby najświeższymi plotkami na temat lorda Takiego czy lady Owakiej. I pracy na wsi też miała mniej. Nie urzędowało się tylu przyjęć, państwo rzadziej spędzali wieczory poza domem, toteż prawie się nie zdarzało, by musiała czekać do późnej nocy na panią w jej ubieralni.

Kiedy Anna weszła do salonu, James wiercił się w fotelu przy ogniu. Wiedziała, co to oznacza.

– Czemu nie zadzwonisz po Turtona? Sprawdź, czy możemy już iść na górę, chciałabym się wcześniej położyć.

– Naprawdę? – Zerwał się czym prędzej i szarpnął taśmę dzwonka.

Susan i Oliver także zeszli już na dół i Annie nikt nie musiał przypominać, że paplanina synowej doprowadza Jamesa do szału. Prawdopodobnie zamierzał szukać pociechy w porządnym kielichu bordo. Anna przyjrzała się młodej kobiecie: z pewnością wyglądała na bardzo ożywioną. Chociaż zazwyczaj w Glanville chodziła naburmuszona, tym razem wyraźnie się postarała. Speer upięła jej włosy w kok, a szmaragdy w uszach ładnie się odcinały na tle bladożółtego jedwabiu sukni.

Gdy tylko Susan poczuła na sobie wzrok Anny, od razu przeszła do rzeczy:

– Nie zgadniecie, kogo widziałam niedawno na Piccadilly. – Nie podejmowała tego tematu, kiedy telepali się powozem po gościńcu, ale teraz nie było sensu dłużej zwlekać.

– Nawet nie będę próbować – odparła Anna, głaszcząc Agnes, która siedziała przy niej na fotelu.

– Pana Bellasisa!

– Ach tak? Bratanka lorda Brockenhursta?

– We własnej osobie. Poznaliśmy się wtedy na przyjęciu. No więc idę ja sobie ze Speer do rękawicznika, a tu nagle on!

– Wyobrażam sobie. – Anna zaczynała rozumieć, że ta rozmowa dokądś zmierza, ale niekoniecznie tam, gdzie by sobie życzyła. Na szczęście w tym momencie wszedł kamerdyner i już po chwili zasiedli przy stole w jadalni.

Susan wytrzymała, dopóki wszyscy nie nałożyli sobie na talerze pierwszego dania, ale ani chwili dłużej. Ledwie lokaj odstąpił od stołu, wróciła do tematu:

– Mówił mi, że widział mamę ze swoją ciotką w biurze pana Pope’a.

– Co? – wykrzyknął James, odkładając sztucce.

– Ach... – Susan w udawanym przestraszeniu zasłoniła sobie usta. – Czyżbym powiedziała coś niestosownego?

– Oczywiście, że nie. – Głos Anny brzmiał bardzo spokojnie. – Ojciec interesuje się tym panem, więc kiedy lady Brockenhurst zaproponowała, żebyśmy go odwiedziły, wyraziłam zgodę. Po prostu byłam ciekawa.

– Ale ani w połowie tak jak ja – wtrącił Oliver. Anna z przerażeniem stwierdziła, że musiał zacząć pić, jeszcze zanim zeszła na dół. – Co to jest, że mój drogi ojciec dwa razy bardziej interesuje się poczynaniami tego Pope’a niż naszą pracą w Cubitt Town?

– To nieprawda. – James już się szykował do udzielenia żonie reprimendy, gdy nagle znalazł się w defensywie wobec syna. – Lubię pana Pope’a. Uważam jego plany za sensowne i sam spodziewam się na nich zyskać. Inwestuję w różnego rodzaju przedsięwzięcia, powinieneś już o tym wiedzieć.

– Powiedzmy. Ale ciekaw jestem, czy wszystkich przedsiębiorców zapraszasz na lunch do swojego klubu. I czy lady Brockenhurst każdego wspólnika w interesach oprowadza po swoich salonach.

Jamesa zaczęło to już złościć.

– Lubię i podziwiam pana Pope’a. Szkoda, że nie jesteś chociaż w połowie taki pracowity jak on.

– Nie martw się, ojcze. – Oliver już nawet nie próbował się hamować. – Dobrze wiem, że pan Pope ma wszystkie cnoty, których mnie brakuje.

Susan uznała, że nie będzie dolewać oliwy do ognia. Ustaliła już ponad wszelką wątpliwość, że pan Pope odgrywa w tej kłótni nadzwyczaj ważną, choć tajemniczą rolę, ale na razie nie zamierzała posuwać się dalej. Lepiej siedzieć i patrzeć, jak jej mąż coraz bardziej się ośmiesza.

– Usiądź, Oliverze – upomniała go Anna, bo jej syn zerwał się na nogi i wygrażał ojcu palcem, niczym jakiś wędrowny kaznodzieja z wiejskiego jarmarku.

– Nie chcę! Turton! Zanieś mi obiad do pokoju. Nie będę tu siedział i sprawiał ojcu zawodu swoim widokiem! – I wypadł z jadalni, trzaskając za sobą drzwiami.

Nastała cisza. Po chwili odezwała się Anna:

– Turton, zrób, jak sobie życzy pan Oliver. I poproś panią Adams, żeby łaskawie przygotowała tacę. – Potem zwróciła się do synowej, zdecydowana zmienić atmosferę: – No, Susan, masz teraz coś do roboty na dole czy zastanowimy się razem, jak umilimy sobie następne dni?

Susan wiedziała, o co chodzi, ale chętnie przystąpiła do gry i podchwyciła temat wiejskich rozrywek.

Tej nocy James nie mógł zasnąć. Po równym oddechu Anny poznał, że wybuch Olivera nie pozbawił jej snu, ale nie chodziło tylko o to. Położyła się na tyle wcześnie, żeby zasnąć przed przyjściem męża i uniknąć przesłuchania w sprawie wizyty w Bishopsgate. Tak przynajmniej podejrzewał, ale przecież nie będzie jej budził. Co ona sobie myśli? Czy tylko on w tej rodzinie stara się nie dopuścić do zrujnowania ich życia? A co do Olivera: za bardzo go rozpuścili. Teraz jest zazdrosny o Charlesa, ale gdyby nie Charles, znalazłby sobie kogoś innego. Czego on chce? Czego oczekuje? Żeby ojciec wszystko mu podał na srebrnej tacy?

James kręcił bezradnie głową. Pamiętał z dzieciństwa, jak ciężko pracował jego własny ojciec,

a potem także on sam. Jak długo zajmował najniższe miejsce w hierarchii, upokarzany przez wszystkich tych oficerków, kiedy zdobywał dla nich chleb, mąkę, wino i amunicję na brudnych ulicach Brukseli. Pamiętał także ryzyko, które podjął po powrocie. Postawił swoje zasoby na braci Cubitt i rozbudowę Belgravii, cóż to było za przedsięwzięcie! Nieprzespane noce, nerwowe dni... No ale teraz są tutaj, w swoim pięknym domu w Somerset, z tym podłym niewdzięcznikiem i jego równie zepsutą żoną. Oboje oczekują, że on, James Trenchard, będzie ich utrzymywał na poziomie, do którego zdążyli przywyknąć, i ani im się śni ustąpić. Jakże by chciał mieć przy sobie Sophie! W duchu wciąż uważał ją za swoje jedyne prawdziwe dziecko. Podobnie jak on, Sophia nie liczyła się z barierami, łamała je i przekraczała, bez zbędnego narzekania i skarg brała od życia, co jej się należało. I prawdę rzekłszy, nigdy go nie opuściła. Odkąd ją utracili, prawie nie było minuty, w której by o niej nie myślał. Śmiała się, żartowała z niego, ale zawsze z miłością. Nie po raz pierwszy czuł, że ma policzki mokre od łez po ukochanej córeczce.

Reszta pobytu w Glanville upłynęła bez większych incydentów, chociaż stosunki między ojcem i synem pozostały napięte. James wypytał Annę o jej odwiedziny w biurze Charlesa, ona zaś wytłumaczyła mu, że dowiedziawszy się o planowanej wizycie lady Brockenhurst, uznała za właściwe zaproponować jej swoje towarzystwo. Chciała po prostu zapobiec ewentualnym niedyskrecjom ze strony hrabiny, co jednak nie okazało się konieczne. James ostatecznie uznał, że brzmi to dość rozsądnie, i więcej nie naciskał na żonę w tej sprawie, chociaż wyczuwał, że ta zaczyna przyzwyczajać się do myśli, iż prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Tymczasem Anna spacerowała z psem po parku, omawiała nadchodzący sezon z ogrodnikiem i wcześniej chodziła spać.

Susan usiłowała wyciągnąć od teściowej więcej informacji, ale Anna trzymała się twardo i nie zamierzała zdradzić nawet najmniejszego szczegółu.

– Przecież musi istnieć jakiś powód zainteresowania ojca panem Pope'em – podpytywała ją Susan podczas przechadzki długą aleją lipową z Agnes drepczącą z tyłu. – Zwłaszcza że lord i lady Brockenhurst wyraźnie czują to samo. Bardzo mnie to ciekawi.

– To niech cię przestanie ciekawić, bo nic na to nie poradzę. Po prostu go lubią i uważają, że kiedyś odwdzięczy się im za ten patronat. To wszystko.

Susan była jednak dostatecznie sprytna, by wiedzieć, że to grubo nie wszystko, tylko nie mogła wymyślić, jak dowiedzieć się więcej. Próbowwała pociągnąć za język Ellis, ale spotkała się ze zdecydowaną odmową. Ellis miała swoją dumę. Ani jej było w głowie dać się kupić przymilaniem pani Oliverowej.

Jeszcze przed powrotem do Londynu ojciec i syn znów zaczęli z sobą rozmawiać, chociaż rana wyraźnie się jątrzyła. Susan, ze swojej strony, przetrwała jakoś miesiąc na łonie natury i teraz głowiła się, jak sprawić, aby te strzępy informacji, które udało się jej zdobyć, wydały się Johnowi czymś cennym.

Nie musiała długo czekać na liścik z propozycją „przypadkowego” spotkania w Green Park, więc czym prędzej udała się tam razem ze Speer.

– No wiem, że ten Pope jest dla nich ważny – powtarzał z niecierpliwością John. – Ale dlaczego?

– To musi mieć coś wspólnego z jego przedsięwzięciem.

– Nonsens! Każdy widzi, że tu nie chodzi tylko o pieniądze.

Susan wiedziała, że John ma rację.

– Oliver jest wściekły. Uważa, że przez tego typa znikąd został zepchnięty na drugi plan.

John miał w odpowiedzi tylko zgryźliwą uwagę:

– Oczywiście zawsze bardzo współczułem twojemu mężowi, moja droga, ale jego gniew na nic mi się teraz nie przyda.

– No tak. – Susan zdawała sobie sprawę, że nie dostarczyła mu tego, czego się spodziewał, więc długi pobyt w Glanville okazał się bezowocny. Niestety od ostatniego spotkania w hotelu Morley's trapiło ją coś jeszcze. Zamierzała poruszyć ten temat tu i teraz, ale widząc zdenerwowanie Johna, postanowiła to odłożyć. Nie mogła jednak czekać w nieskończoność.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Co ci jest? Wyglądasz na przemęczoną.

– Naprawdę? Nie, to nic.

Ale to nie było „nic”, o czym świetnie wiedziała.

John szedł za Susan aż na Eaton Square, z czego nawet nie zdawała sobie sprawy. Za bardzo zajmowało ją wydawanie gorączkowych poleceń Speer, której kazała koniecznie coś kupić: wstążkę, koronkę, cokolwiek, byle móc czymś usprawiedliwić przed Oliverem całe popołudnie poza domem.

Czekał na rogu, pod latarnią, w nadziei, że Ellis uda się na chwilę wymknąć. Rozczarowały go ogólnikowe informacje zdobyte przez Susan w Somerset, ale właściwie nie spodziewał się niczego więcej, dlatego kazał Ellis nawiązać kontakt z pokojową ciotki; Dawson na pewno zna większość domowych sekretów. Wytłumaczył Ellis, gdzie i kiedy będzie na nią czekał, i wreszcie, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, nadeszła.

– No i co? – spytał, nie bawiąc się w żadne uprzejmości.

– Ach, proszę pana! – wykrzyknęła, załamując ręce z wystudiowaną służalczością. – Chyba nie mam nic pożytecznego do zameldowania.

– Coś musisz jednak mieć.

– Obawiam się, że nie. Ta panna Dawson jest zupełnie inna, niż myśleliśmy.

– Chcesz powiedzieć, że jest lojalna wobec swoich chlebodawców?

Powiedział to z takim niedowierzaniem, że Ellis omal nie parsknęła śmiechem, ale w porę się powstrzymała.

– Na to wygląda, proszę pana.

John westchnął głośno. Ktoś gdzieś musi przecież coś wiedzieć... Trzeba będzie pomyśleć.

– Mam dla ciebie zadanie.

- Oczywiście, służę panu. – Ellis zawsze lubiła udawać pomocną, nawet jeśli niewiele mogła zrobić, bo taka postawa miała wpływ na wysokość napiwków.
- Poproś Turtona, żeby jutro się ze mną spotkał. Tam gdzie zawsze, o siódmej.
- Ale pan Turton musi przed siódmą być w domu, żeby przygotować się do obiadu.
- Więc o szóstej. – Dotąd próbował wysługiwać się kobietami: tu lubiąca plotki pokojówka, tam wścibska synowa, ale nic to nie dało. Czas przemyśleć wszystko od nowa. – Tylko nie zapomnij. – I zanim zdążyła się obruszyć, odszedł.

Charles Pope był w rozterce. Stał właśnie w pobliżu Round Pond w Kensington Gardens i trzymał w ręku list, który dostarczono mu do biura. Obracał go na wszystkie strony, przyglądając się delikatnemu, precyzyjnemu charakterowi pisma. Czy w ogóle powinien tu przychodzić? Czy to ma sens? Co mu to da, poza kolejnymi kłopotami? Już wcześniej Maria Grey pisała do niego, zapraszając go na odwiedziny w domu jej matki przy Chesham Place, ale odmówił. Mężczyzna o jego pozycji nie składa wizyt młodym pannom z jej sfery, zwłaszcza jeśli są zaręczone. W zamian zaproponował, aby spotkali się dzisiaj, o trzeciej przy sadzawce. To miejsce na tyle publiczne, że nie będzie w tym nic nieprzyzwoitego, jeśli „przypadkiem” wpadną na siebie podczas spaceru. Prawda?

Niemniej teraz, kiedy zbliżała się wyznaczona godzina, czuł, że opuszcza go odwaga. Jak mógł myśleć, że ją kocha, skoro gotów jest dla własnej zachcianki narazić jej dobre imię? Ale nawet zadając sobie to pytanie, wiedział, że po prostu musi ją zobaczyć.

Nad sadzawką dął silny wiatr. Na wzburzonej wodzie tworzyły się drobne fale, które zalewały brzegi, rozpryskując się u jego stóp. Mimo to w parku widać było liczne grupki pań, między którymi uganiały się zygzakiem wszędobylskie dzieci. Paru starszych chłopców próbowało puścić czerwonego latawca pod czujnym okiem zaaferowanych nianieek. Kilka popychało dodatkowo wiklinowe wózki z niemowlętami, inne zaś nosiły swoich małych podopiecznych na rękach.

Charles usiadł na ławce i obserwował wynurzające się z wody kaczki, ale jednocześnie zerkał nerwowo na twarze przechodniów. Gdzie ona jest? Może postanowiła nie przychodzić. Jest już dwadzieścia minut po umówionej godzinie. Tak, oczywiście, że się rozmyśliła. Zapytała kogoś o zdanie – matkę czy pokojówkę – a ów ktoś, bardzo słusznie, uznał ten pomysł za szaleństwo. Charles wstał. Najwyraźniej zrobił z siebie głupca; tę śliczną, delikatną pannę dzieliły od niego tysiące mil. Co on tu robi, poza tym, że marnuje czas?

– Najmocniej przepraszam! – Charles obrócił się na pięcie. Stała przed nim w lekkim tweedowym kostiumie, przytrzymując pod brodą wstążki kapelusza i z trudem łapiąc oddech. – Musiałam biec! – Oczy jej błyszczały, a policzki nabrały rumieńców. – Okazuje się, że nie tak łatwo jest uciec przed Ryan. – Nagle roześmiała się, szczęśliwa, że jednak na nią czekał, że się nie rozminęli, jak się obawiała, i wszystko znów było cudowne. Usiedli na ławce.

– Więc przyszła pani sama? – Charles starał się nie zdradzić, jak bardzo jest wstrząśnięty. Przecież tu chodzi o jej reputację!

– Oczywiście, że sama. Chyba nie sądzi pan, że matka wypuściłaby mnie z domu, gdyby miała choć

cień podejrzenia, dokąd idę, a Ryan także nie mogę ufać. Melduje mamie o każdym moim kroku. Ma pan szczęście, że urodził się mężczyzną, panie Pope!

– Ja z kolei cieszę się, że pani nie urodziła się mężczyzną. – I umilkł, stropiony, bo nigdy dotąd nie pozwolił sobie wobec niej na tak śmiałą uwagę.

Znów wybuchnęła śmiechem.

– Może i tak. Ale dziś jestem naprawdę z siebie dumna. Uciekłam pokojówce i po raz pierwszy w życiu wynajęłam dorożkę. I co pan na to?

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że ściąga na nią niebezpieczeństwo.

– Ale nie rozumiem, co dobrego może przyjść z tego spotkania. Zwłaszcza dla pani. Podjęła pani wielkie ryzyko.

– Czyż nie podziwia pan ludzi, którzy podejmują ryzyko? – spytała, przyglądając się kaczkom.

– Nie podziwiałbym człowieka, który pozwoliłby swojej ukochanej narażać reputację. – Nie zauważył, że mówiąc o „ukochanej”, odniósł się wyraźnie do Marii.

Za to ona zauważyła.

– Bo jestem zaręczona?

– Tak, dlatego. Ale nawet gdyby tak nie było... – Westchnął. Czas wrócić z tej baśniowej krainy do rzeczywistości. – Mnie lady Templemore nigdy nie pozwoliłaby starać się o pani rękę.

Chciał w ten sposób definitywnie zakończyć sprawę, a tymczasem jego słowa wyraźnie otworzyły tysięczne możliwości.

– To pan stara się o moją rękę? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

Odwzajemnił jej to spojrzenie. Czy jest sens teraz kłamać?

– Lady Mario... Walczyłbym ze smokami, chodził po rozżarzonych węglach i wkroczył do Doliny Śmierci, gdybym miał chociaż cień szansy na zdobycie pani serca.

Po tej deklaracji zapadła cisza. Maria przywykła wprawdzie do kwiecistych frazesów, ale nie traktowała ich jako wyrazu wielkiej namiętności. Teraz zrozumiała, że ten prostolinijny człowiek pokochał ją z całej duszy i przez tę miłość kompletnie przestał nad sobą panować.

– O nieba! Jakże daleką drogę pokonaliśmy w kilku krótkich zdaniach! Proszę, nazywaj mnie Marią.

– Nie mogę. Powiedziałem pani prawdę, bo uważam, że to się pani należy. Nie mamy jednak mocy, by doprowadzić do szczęśliwego finału, nawet gdyby i pani tego pragnęła.

– A jednak tego właśnie pragnę, panie Pope... Charlesie. Możesz być o to spokojny. – Przypomniła sobie sztywne, oficjalne oświadczenia Johna Bellasisa w porannym saloniku matki i porównywała teraz ze zdumieniem obie te sceny. To jest właśnie miłość, a nie ta nedorzeczna mieszanka uprzejmości, anegdotek i nieudolnych, fałszywych komplementów.

Charles nie odpowiedział. Po prostu nie śmiał spojrzeć w jej piękną, ufną, lecz dumną twarz z obawy, że kompletnie się zatraci. Zresztą bez względu na to, co mówi, przecież i tak złamie mu serce. Nawet jeśli teraz jest gotowa trwać przy nim na dobre i na złe. Może narzekać na swój los



jako kobiety, ale on także przeklinał dzień, w którym urodził się jako dziecko kuzyna wiejskiego proboszcza.

Nagle wzrok jego przykuła jakaś postać idąca zdecydowanym krokiem przez Broad Walk.

– Czy to nie pani matka? – spytał, zrywając się na równe nogi. Coś w sylwetce tej kobiety, jakaś aura zniecierpliwienia, skojarzyła mu się z osobą, która stanęła w drzwiach balkonowych podczas przyjęcia w Brockenhurst House, aż ziejąc niechęcią. Już wtedy zrozumiał, że lady Maria jest dla niego nieosiągalna.

Maria zbladła.

– Pewnie Ryan pobiegła prosto do domu i powiedziała, że się wymknęłam. Musiała słyszeć, jak podawałam adres dorożkarzowi. Uciekaj stąd, szybko.

– Nie mogę. Nie pozwolę pani wziąć na siebie winy.

Kręciła energicznie głową.

– Dlaczego? To naprawdę moja wina. I o nic się nie martw, przecież mnie nie zje. Tylko to nie jest właściwy moment, aby przedstawić jej ciebie jako mojego ukochanego. Wiesz, że mam rację, więc idź już.

Ścisnęła mu rękę, po czym Charles wycofał się żwirowaną ścieżką i ukrył w pobliskich zaroślach.

Tymczasem lady Templemore dotarła już na miejsce.

– Co to za mężczyzna?

– Zgubił się. Pytał o drogę do Queen's Gate.

Maria potrafiła być bardzo przekonująca.

– Moja droga – rzekła jej matka, siadając na ławce. – Chyba już czas na małą pogawędkę.

Charles nie słyszał tej wymiany zdań, chociaż mógł domyślić się treści. Nie dbał jednak o to. Przyspieszywszy kroku, ruszył w stronę Kensington Gore, a serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Już nic się dla niego nie liczyło, zupełnie nic. Kocha Marię, i to z wzajemnością. Powiedziała o nim „ukochany”. To wszystko, co naprawdę musiał wiedzieć. Nawet jeśli złamie mu serce, warto było przeżyć tę chwilę. Co będzie dalej, trudno przewidzieć, ale kocha i jest kochany. Na razie mu to wystarczy.

— 8 —

Pieniądże na życie



John Bellasis zbierał siły przed wkroczeniem w progi rodzicielskiego domu przy Harley Street. Nie wiedział, czemu tak bardzo go nie lubił. Może dlatego, że wyglądał dość nędznie w porównaniu ze wspaniałą rezydencją stryjostwa przy Belgrave Square. Może mu przypominał, że jego rodzice są niezupełnie tak wytworni, jak być powinni. Albo po prostu go nudzili. Tak, uważał ich za nudziarzy, obciążonych problemami, które sami stworzyli, i szczerze mówiąc, czasem miał ojcu za złe, że nie schodzi ze sceny, czyniąc Johna bezpośrednim spadkobiercą stryja. Tak czy inaczej, już kiedy otworzono mu drzwi, poczuł coś w rodzaju znużenia.

Do zaproszeń na lunch u rodziców nie odnosił się z przesadnym entuzjazmem. Zwykle starałby się obmyślić jakiś wykręt, na przykład pilne obowiązki, których niestety nie da się odłożyć. Jednak dziś – po raz kolejny – na gwałt potrzebował gotówki, więc nie miał wyboru – musiał być uprzejmy wobec matki i liczyć na jej pobłażliwość; rzadko bowiem czegoś mu odmawiała. Nie chodziło o jakąś fortunę, tylko drobną sumkę, która pozwoliłaby mu przetrwać do Bożego Narodzenia, poza tym pozostawała kwestia opłacenia usług Ellis i Turtona. Lecz to akurat traktował jako inwestycję: drobny wydatek na rzecz wielkiej nagrody, tak przynajmniej wierzył.

Nie wiedział, co wywęszy kamerdyner do spółki z pokojową, ale instynkt mu podpowiadał, że Trenchardowie coś ukrywają. Na razie przyda mu się każdy nowy fakt dotyczący Charlesa Pope'a i jego koneksji. John stawiał zwłaszcza na Turtona. Potrafił na pierwszy rzut oka rozpoznać człowieka łasego na pieniądze, poza tym kamerdyner cieszy się większą swobodą niż pokojowa pani domu. Chodzi, gdzie chce, i trzyma łapę na kluczach niedostępnych dla służących niższej rangi, natomiast pokojowa ma bardziej ograniczone terytorium. Oczywiście na propozycję przejrzenia papierów pana Trencharda Turton zareagował udawanym oburzeniem, ale wtedy znów okazało się, jakie cuda może zdziałać oferta równa sześciomiesięcznym poborom.

Wszedłszy do frontowego saloniku, John zastał ojca w fotelu przy oknie, zajętego lekturą „Timesa”.

– Mamy nie ma? – spytał, rozglądając się wokół siebie w nadziei, że uda mu się uzyskać dyspensę od lunchu i przejść prosto do rzeczy, czyli kwestii finansowych.

Pokój robił dość dziwne wrażenie. Większość mebli i prawdę rzekłszy, także portretów – wymyślnych, oprawnych w ciężkie złoczone ramy – wyglądała w tym otoczeniu zbyt okazale. Stoły i krzesła nie pasowały rozmiarem; najwyraźniej przeznaczono je kiedyś do większych wnętrz. Nawet lampy wydawały się za duże. Wszystko razem sprzyjało atmosferze klaustrofobii przenikającej cały dom.

– Jest na zebraniu komitetu. – Stephen odłożył gazetę. – W sprawie tej dzielnicy nędzy w Old Nichol.

– W Old Nichol? – skrzywił się John. – Po co traci czas na tę śmierdzącą bandę złodziei, którym tylko walki kogutów w głowie?

– Nie wiem. Pewnie chce ich ratować przed nimi samymi, wiesz, jaka jest. – Stephen z westchnieniem poskrobał się po łysinie. – Zanim wróci, muszę ci powiedzieć... – Zawahał się. Wprawdzie to nie w jego stylu, ale tym razem czuł się zakłopotany. – Ten dług u Schmitta wciąż nie daje mi spokoju.

– Myślałem, że już go spłaciłeś.

– Bo spłaciłem. Hrabia Sikorski wielkodusznie pożyczył mi trochę pieniędzy na początku lata, a na resztę zaciągnąłem kredyt w banku. Ale minęło już sześć tygodni i Sikorski zaczyna zadawać pytania. Chce odzyskać gotówkę.

– A ty myślałeś, że co?

Stephen nie odpowiedział na to pytanie.

– Kiedyś wspominałeś o jakimś Polaku, który oferuje pożyczki...

– Na pięćdziesiąt procent. Poza tym pożyczać od jednego, żeby spłacić drugiego...

John usiadł. Oczywiście, ten moment musiał w końcu nadejść. Ojciec pożyczał ogromne sumy, których nie miał z czego oddać. Dotąd próbował nie myśleć o tym problemie, ale przecież musi stawić mu czoło. John kręcił bezradnie głową. Sam się uważał za nieodpowiedzialnego, ale na pewno kobiety były mniej ryzykownym nałogiem niż hazard.

Stephen patrzył w okno z rozpaczą. Tkwił w długach po uszy. To tylko kwestia czasu, kiedy powiększy armię tych brudnych żebraków i włóczęgów na ulicach. A może po prostu zaciągną go do Marshalsea<sup>[40]</sup> i zamkną, dopóki nie zapłaci? To naprawdę śmiechu warte: jego żona zajmuje się pomaganiem biednym, gdy tymczasem pomoc przydałaby się nieco bliżej domu...

Po raz pierwszy w życiu Johnowi naprawdę zrobiło się żal ojca. Patrzył teraz, jak siedzi w fotelu, nieszczęśliwy i opuszczony, a przecież to nie jego wina, że urodził się jako drugi. Do tej pory, świadomie lub podświadomie, John uważał, że całe zło w jego życiu jest dziełem któregoś z rodziców. To przez nich nie mieszkają w Lymington Park, przez nich nie mają wielkiego domu przy Belgrave Square i przez nich także on sam urodził się jako najstarszy syn drugiego syna, a nie pierwszego. Był dzieckiem, kiedy zginął Edmund Bellasis, ale teraz, jeśli ma być szczerzy, uważa, że po prostu sprawiedliwości stało się zadość i słusznie los uczynił go dziedzicem. Na szczęście rozwiązanie wszystkich kłopotów jest bliskie, bo inaczej nie byłoby nadziei dla żadnego z nich.

– Może ciotka Caroline mogłaby pomóc? – zasugerował, strzepując jakiś pyłek ze spodni.

– Tak sądzisz? Zaskakujesz mnie. – Ojciec obrócił się i złożywszy dłonie, wlepił w niego błagalny wzrok. – Zdawało mi się, że daliśmy sobie z nią spokój.

– Zobaczymy. – John zatarł ręce. – Mój człowiek już nad tym pracuje.

– Chcesz powiedzieć, że wciąż zajmujesz się tym Pope'em?

– Tak.

– Tam zdecydowanie coś jest na rzeczy. On ma na nią jakiś dziwny, wręcz niestosowny wpływ. – Lekko spocona twarz Stephena połyskiwała w słońcu, ciemne oczy strzelały po pokoju. – Wspomnisz moje słowa: Caroline coś ukrywa.

– Zgadza się – potwierdził John, podnosząc się z fotela. W tej desperacji ojca było coś niepokojącego. – Jak tylko czegoś się dowiem, rzucę jej to w twarz. Jednocześnie poruszę kwestię naszej sytuacji finansowej i przypomnę, że jesteśmy rodziną, a rodziny powinny trzymać się razem.

– Tylko bądź ostrożny.

– Będę.

– Gdyby tylko Peregrin pomógł nam od razu, kiedy poprosiłem – głośno myślał Stephen – nie byłibyśmy teraz w takim położeniu.

Tego, jak dla Johna, było już trochę zbyt wiele.

– Zwłaszcza gdybyś, drogi ojcze, nie przegrał pieniędzy, których nie miałeś. I pamiętaj, że to nie „my” jesteśmy w takim położeniu. To ty w nim jesteś. Nic mi nie wiadomo, jakobym miał dług u jednego z najbardziej niemiłych lichwiarzy Londynu.

Stephen już się nie bronił.

– Musisz mi pomóc.

– John! – wykrzyknęła Grace, wchodząc do pokoju. – Jak miło cię widzieć!

John przyjrzał się matce. Miała na sobie prostą ciemnoszarą suknię z długimi obcisłymi rękawami i białym żabotem przy szyi. Cała jej garderoba robiła wrażenie zaprojektowanej specjalnie na poważne zebrania i działalność charytatywną. Prawdę rzekłszy, Grace uważałaby za nieprzyzwoitość wkładanie na takie okazje najmodniejszych strojów i zawsze potępiała panie, które wdychały nad cierpieniami biedaków, mając na sobie kreacje warte więcej niż przeciętny roczny dochód. Oczywiście sama i tak nie mogłaby sobie na nie pozwolić.

– Jak się miewasz? – spytała, poprawiając spłaszczoną pod kapeluszem fryzurę. Podeszła do syna i go pocałowała. – Prawie nie widywaliśmy cię tego lata.

– Doskonale. – Oddając matce pocałunek, rzucił ojcu znaczące spojrzenie. Zawsze umiał przywołać na pomoc swój wdzięk, gdy czegoś potrzebował. – Jak się udało zebranie?

– Och, było przygnębiające. Prawie cały czas rozmawialiśmy o „czarnym poniedziałku”.

– A co to takiego?

– To dzień, w którym trzeba opłacić czynsz. Podobno kolejki do lombardów ciągną się przez całą ulicę.

– Do lombardów? A co oni mogą zastawić?

– No właśnie. – Grace usiadła w fotelu naprzeciwko Stephena. – Bóg raczy wiedzieć, tyle ci powiem. A tak przy okazji, czy masz dla nas jakieś nowiny? – spytała, patrząc mu badawczo w oczy.

– Jakiego rodzaju nowiny?

– No... Mówiąc bez ogródek, nie bardzo rozumiemy tę zwłokę z ogłoszeniem zaręczyn. – Spojrzała na męża, wyraźnie oczekując wsparcia, ale Stephena zbyt pochłaniały własne nieszczęścia, by miał zwrócić na to uwagę.

John wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Czemu nie zapytasz lady Templemore?

Grace nie odpowiedziała, ale Johnowi dało to do myślenia. Właściwie dlaczego jeszcze tego nie ogłosiły? I czy naprawdę tak mu spieszo do tego małżeństwa? Zresztą spieszo czy nie, na pewno nie dopuści, by go odtrącono.

W rzeczy samej, bardzo podobna rozmowa toczyła się właśnie w salonie londyńskiego domu lady Templemore przy Chesham Place. Ten uroczy pokój, urządzony w francuskim stylu – bardziej buduar niż oficjalny salon – zawdzięczał swój wystrój owdowiałej matce lady Templemore, która po śmierci męża opuściła dom, zostawiając go córce. Lord Templemore nigdy nie interesował się specjalnie Londynem, więc aż dotąd we wnętrzach niczego nie zmieniano. W tym momencie jednak jakiś temat wyraźnie zbulwersował zarówno lady Templemore, jak i Marię. Siedziały z ponurymi minami naprzeciwko siebie niczym mistrzowie szachów gotujący się do rozgrywki.

– Powtarzam, że nie rozumiem, po co ta zwłoka, skoro rzecz jest już uzgodniona. – Słowa lady Templemore brzmiały bardzo jednoznacznie, ale ton sugerował, że wcale tak nie jest.

– Ja także powtarzam: po co udajemy, że wyjdę za Johna Bellasisa, skoro wiesz doskonale, że tego nie zrobię? – Maria nigdy nie opisała by siebie jako buntowniczkę. Nie miała nic przeciwko przestrzeganiu większości zwyczajów i tradycji, ale widziała już z nader bliska małżeństwo dwojga niepasujących do siebie osób i nie zamierzała pozwolić, aby ją coś takiego spotkało.

– Więc dlaczego przyjąłś oświadczyńny?

Maria zmuszona była przyznać matce rację. Po co, u licha, przyjęła Johna? Im dłużej to rozważała, tym mniej rozumiała, co też strzeliło jej do głowy. Przedstawiono jej to małżeństwo jako sposób na wyjście z kłopotów finansowych, jako bezpieczną przystań. Wiedziała, że matce brakuje pieniędzy, a i brat nie ma ich za wiele. Dostatecznie często jej to powtarzano. I oczywiście John był przystojny, trudno zaprzeczyć. Ale czemu ona sama okazała się aż tak banalnie słaba? Mogła tylko przypuszczać, że nie będąc nigdy dotąd zakochana, nie znała siły tego uczucia. Ale teraz już ją zna.

– Chyba nie sugerujesz, że spotkałaś kogoś innego... kogo ja nie znam, i to jego wolisz? – W Corinne Templemore już same te słowa zdawały się budzić niesmak.

– Niczego nie sugeruję. Po prostu oznajmiam ci, że nie wyjdę za Johna Bellasisa.

Lady Templemore kręciła głową z dezaprobatą.

– Nie myślisz rozsądnie. Gdy tylko Johnowi przypadnie spadek po stryju, zyskasz pozycję, dzięki której będziesz mogła robić wiele interesujących rzeczy. To będzie dobre, dostatnie życie.

– Może dla kogoś innego, ale nie dla mnie.

Lady Templemore wstała.

– Nie pozwolę ci odrzucić takiej szansy. Byłabym złą matką, gdybym do tego dopuściła. – I ruszyła do drzwi.

– Co chcesz zrobić? – Maria wyraźnie zrozumiała, że matka nie ustąpi i sytuacja jest daleka od rozwiązania.

– Zobaczysz. – Lady Templemore wyszła i Maria została sama.

Kiedy John Bellasis wkroczył do pubu The Horse and Groom, Turton już tam siedział nad kieliszkiem ginu. Na widok nowego gościa skinął lekko głową, ale nie wstał, co zważywszy na ich różne pozycje, mogłoby stanowić dla Johna coś w rodzaju ostrzeżenia. Bellasis usiadł przy stole; był lekko zdyszany i – co u niego niezwykle – miał poczucie winy.

Lunch przy Harley Street okazał się bardziej skomplikowany, niż oczekiwał, więc potrzebował trochę czasu, aby ochłonąć. Matka ostatecznie mu nie pomogła, i to nie dlatego, że nie chciała; po prostu nie miała ani pieniędzy, ani niczego, co nadawałoby się do sprzedania. Przygnębiony tym John udał się na górę, do swojego dawnego pokoju, żeby zabrać kilka rzeczy, i nagle zobaczył na szafie jakieś pudło. Dalsze śledztwo wykazało, że pod warstwą książek kryje się tam wielka waza do ponczu z litego srebra, zawinięta w zielone sukno. Przypuszczalnie zdesperowana matka schowała ją tam zarówno przed ojcem, jak i synem, którego nieużywana sypialnia wydawała się najbezpieczniejszym miejscem w domu. Może przeznaczyła ją dla Emmy? Johnowi na myśl o tym zrobiło się jej żal, ale tak czy inaczej, wazę zabrał. Pilnie potrzebował gotówki, więc nie bez trudności przemycił pakunek na ulicę i idąc w ślady mieszkańców Old Nichol, pojechał prosto do znajomego lombardu przy Shepherd Market. Zapłacono mu dobrze – otrzymał sto funtów, i oczywiście wmówił sobie, że wkrótce wazę odzyska. Niemniej po raz pierwszy zdarzyło mu się ukraść coś rodzicom i potrzebował chwili, by oswoić się z tą myślą.

– No i co? – odezwał się wreszcie. – Ma pan coś dla mnie?

– Dzień dobry panu – rzekł z naciskiem Turton. Chociaż przywykł do krótkich, konkretnych transakcji przy bekonie, sarninie i golonce, uznał widocznie, że ten rodzaj umów wymaga bardziej dostojnej oprawy. – Mogę zaproponować coś do picia?

– Dziękuję, poproszę brandy. – John wiercił się na krześle, czując niemal, jak pieniądze ciążą mu w kieszeni. Miał nadzieję, że ten bufon wykrył wreszcie coś wartościowego. On, John Bellasis, ma ciekawsze rzeczy do roboty niż tracić czwartkowe popołudnie na wysiadywaniu w podrzędnym pubie ze służącym.

Turton dał znak barmanowi, który wziął wielką butelkę brandy i przyniósł ją do stolika wraz z kieliszkiem. Napełniwszy go, zostawił na stole butelkę z wysuniętym do połowy korkiem i poczłapał z powrotem. John wypił jednym haustem i od razu poczuł, jak opada z niego cała irytacja wywołana lunchem i jego następstwami. Co gorsza, rodzice nie odpuścili tematu Marii Grey. Tylko co on mógł na to poradzić? Ogłoszenie w prasie zaręczyn i data ślubu zależały od lady Templemore. Dziewczyna jest ładna, to fakt, myślał, nalewając sobie następny kieliszek, ale czy nie stać go na lepszą partię? Te niewesołe rozważania przerwało mu delikatne chrząknięcie Turtona. Czas wracać do konkretów.

– I co? – spytał ponownie.

– No więc... – zaczął Turton, zerkając na drzwi.

Był zdenerwowany, to oczywiste. I miał po temu powody. Wprawdzie tak zwany Krwawy Kodeks<sup>[41]</sup> uchylono dwadzieścia lat wcześniej i przestępstw popełnionych przez służących przeciwko ich panom nie zaliczano już do zdrady niższego rządu, którą karano śmiercią<sup>[42]</sup>. Niemniej

wśród klas posiadających wciąż utrzymywało się przekonanie, że służący są obcymi ludźmi, uprawnionymi do swobodnego poruszania się po domu na zasadzie zaufania, której złamanie zawsze wymaga skrajnie surowych konsekwencji. Turtonowi nie groził więc stryżek, ale z pewnością ryzykował więzienie. Aby uzyskać dostęp do osobistych dokumentów pana Trencharda, musiał „pożyczyć” sobie komplet kluczy od pani Frant i przejrzeć każdą szufladę w biurku, zanim wśród niezliczonych pudełek natrafił na klucz do prywatnej sekretery. W razie przyłapania niełatwo uzyskałby wybaczenie.

Prawdę rzekłszy, Amos Turton nie był całkowicie pozbawiony sumienia. Pracował w tym domu ciężko przez wiele lat i czuł wobec swoich państwa coś w rodzaju lojalności. Drobne kradzieże, na które sobie pozwalał dzięki uprzejmości pani Babbage, bynajmniej temu nie przeczyły. Po prostu traktował je jako dodatkową uprawnioną korzyść ze swojej pracy. Otwieranie zamków do biurka i szperanie w rzeczach pana to już całkiem inna sprawa, ale Turton z wiekiem coraz częściej miał na uwadze swoje zabezpieczenie na starość, a jego oszczędności w żaden sposób nie spełniały oczekiwań. Zdążył przywyknąć do względnego komfortu i zamierzał cieszyć się nim także w następnych latach. Dlatego kiedy John zaczepił go po raz drugi, Turton zgodził się wysłuchać jego propozycji.

– Mam mało czasu. – John się już znecierpliwiał. Albo ten fagas coś ma, albo nie.

– A co z pieniędzmi?

– Tym niech pan się nie martwi. – John przewrócił oczami, jakby to w ogóle nie stanowiło problemu. – Mam je przy sobie. – Poklepał kieszeń czarnego płaszcza. Nie musiał wspominać, że zdobył je dopiero w drodze do pubu.

– No dobrze, rzeczywiście coś znalazłem. – Turton sięgnął do kieszeni. John aż wychylił się do przodu na widok starej brązowej koperty. – W jednej z tych małych szufladek, zamkniętej na oddzielny kluczyk. – John się nie odzywał; co go obchodzą szczegóły? – W tym liście jest mowa o dziecku. Że dobrze mu idzie nauka o Biblii i pan Trenchard z przyjemnością się o tym dowiaduje.

– O nauce tego dziecka, tak?

– Tak. Opiekun ma nadzieję, że chłopak zrobi karierę w Kościele. Podobno ma do tego zdolności i jest bardzo pilny. I ten piszący spodziewa się, że pan Trenchard mu doradzi, jakie ma dalej podjąć kroki w związku ze swoim podopiecznym, bo potrzeby rosną.

– Słusznie. – John skrobał się w głowę, próbując się skupić.

Turton odczekał chwilę dla większego efektu.

– List podpisał wielebny Benjamin Pope, ale ten chłopiec nie jest jego synem.

– Dlaczego pan mi to mówi?

– Bo on przedstawia te wiadomości o postępach chłopca w taki sposób, aby pan Trenchard był z nich zadowolony. Jak podwładny, który składa raport.

– Ale ja sądziłem, że rad pana Trencharda spodziewano się dopiero po przyjeździe Charlesa Pope’a do Londynu. Czyż nie wtedy spotkali się po raz pierwszy? Tymczasem pan mi mówi, że Trenchard interesował się nim już od dzieciństwa?



Turton przytaknął.

– Na to wygląda.

– Pokaż pan. – John sięgnął po list, ale Turton był szybszy. Jego szczupłe palce mocno ścisnęły kopertę. Nie z nim takie numery. Nie ufał panu Bellasisowi ani trochę. Chce swoich pieniędzy, i to w tej chwili.

– Pan położy na stole list, a ja pieniądze.

– Oczywiście, proszę pana. – Turton z uśmiechem położył na stole list, ale od razu zakrył go dłonią. Przyglądał się, jak John wyciąga gruby zwitek banknotów i odlicza część pod stołem. Pub The Horse and Groom nie był wytwornym miejscem, a dwudziestoma funtami, uzgodnioną ceną za każdą konkretną informację dotyczącą Charlesa Pope'a, nie należało chwalić się w żadnym lokalu. Ludzie potrafili zabijać za znacznie mniej.

John dyskretnie przesunął pieniądze w jego stronę.

– Bardzo panu dziękuję – rzekł Turton, zdejmując jednocześnie dłoń z listu.

Bellasis otworzył kopertę i zaczął przeglądać jej zawartość. Poruszając nieznacznie ustami, sprawdzał informacje Turtona. Oto dowód, że powiązania Charlesa Pope'a z Trenchardem sięgają wielu lat wstecz, zanim jeszcze połączyły ich interesy; dowód, że Charles, jeśli znał prawdę, nie opowiedział całej historii. John dopiero teraz zaczął podejrzewać, że młody człowiek jest synem Trencharda, ale dlaczego ten pomysł wcześniej nie przyszedł mu do głowy? Obrócił kartkę, potem zajrzał do koperty.

– Gdzie druga strona?

– Druga, proszę pana?

– Nie bądź pan taki cwany! – Wcześniejsze poczucie winy wymieszane z brandy zaowocowało stanem bliskim furii. – Ta z adresem autora listu! Gdzie mieszka wielebny Benjamin Pope?

– Ach, o tę stronę panu chodzi! – Turton uśmiechnął się przepraszająco. – Niestety ta strona będzie kosztowała kolejne dwadzieścia funtów.

– Kolejne dwadzieścia funtów! – John wykrzyknął to tak głośno, że pół pubu obróciło się w jego stronę.

– Może zechciałby pan ściszyć głos.

– Ty draniu! – syknął John. – To czyste łajdactwo!

– Wedle uznania, ale moja oferta pozostaje bez zmian.

– Do diabła z twoją ofertą!

– W takim razie wybaczy pan, ale mam jeszcze inne sprawy – odparł Turton, podnosząc się z krzesła. – Do widzenia panu.

John i Stephen Bellasisowie nie byli jedynymi, którzy śledzili Charlesa Pope'a. Własne dochodzenie prowadził także Oliver Trenchard. W bezsenne noce ciągle dręczyły go złe myśli: Czemu ten przybłąda dostaje to wszystko, co przecież jemu, Oliverowi, słusznie się należy? Kim jest

ten człowiek, że ojciec tak go faworyzuje? Bo chociaż myślał, że żal mu tylko każdego pensa, który przeszedł w ręce Charlesa, w gruncie rzeczy najbardziej bolało go oczywiste zainteresowanie i uczucie okazywane temu uzurpatorowi przez jego, Olivera, ojca. I prawdę rzekłszy, właśnie to doprowadzało go do szału. Owszem, zawiódł ojca na całej linii, ale już dawno sobie wmówił, że Jamesa Trencharda nie zadowoliliby żaden syn. Teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił.

Mógł się tego spodziewać. Nigdy nie okazał cienia zainteresowania sukcesami ojca. Sam pragnął tego samego co on: pieniędzy i wysokiej pozycji towarzyskiej, ale nie był gotów na to pracować. Nie obchodziła go firma, nie chciało mu się patrzeć, jak projekt Cubitt Town przynosi owoce. Stwarzał pozory, że coś robi, ale widział, jak patrzy na niego William Cubitt. Nawet świadomość, że ojciec postawił wszystko na jedną kartę, by zdobyć dla niego ciekawe zajęcie, nie wykrzesła w nim iskry entuzjazmu. Przede wszystkim zawsze planował sprzedać wszystkie ojcowskie aktywa, gdy tylko James wyda ostatnie tchnienie. Niemniej okazało się, że uczucia odgrywają tu większą rolę, niż przypuszczał, bo bezdyskusyjnie zżerała go zazdrość. Zazdrość o Charlesa Pope'a i względy, jakie ojciec okazywał temu intruzowi. Wcześniej wmawiał sobie, że chodzi o pieniądze, o ochronę tego, co mu się należy, ale to nieprawda. W jakiś pokrętny sposób chodzi tu o miłość, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Oliver Trenchard po raz pierwszy w życiu miał motyw. Dojdzie do tego, kim jest ten karierowicz, i jeśli tylko zdoła, zniszczy go.

James nigdy nie opowiadał wiele o swoich licznych inwestycjach, a jego rola w przedsięwzięciu Charlesa Pope'a nie należała do wyjątków. Pope zakupił przedziałnię, James pomagał mu ją uruchomić. Nic więcej nie udało się Oliverowi z niego wyciągnąć. W końcu podczas spaceru z matką i Agnes po ogrodach w Glanville dała mu do myślenia jedna, rzucona przypadkiem uwaga. Matka musiała wiedzieć o Charlesie znacznie więcej, niż mu się dotąd zdawało. Z jakiegoś powodu rozmowa zeszła na nową wersję futbolu, wprowadzoną w szkole w Rugby za dykcji wielkiego Thomasa Arnolda<sup>[43]</sup>.

– Nigdy w to nie grałem ani nawet nie chciałem grać – rzekł Oliver. – Robi wrażenie brutalnej gry o niespójnych zasadach.

– Powinieneś zapytać pana Pope'a. Uczył się w tej szkole w czasach doktora Arnolda. – Anna nie widziała nic szczególnie niebezpiecznego w dzieleniu się taką informacją; sprawiała jej przyjemność sama rozmowa o Charlesie. Zresztą wkrótce i tak miały wyjść na jaw jego związki z Brockenhurstami, więc i Oliver dowie się prawdy.

– Skąd wiesz?

– Od ojca. On się interesuje panem Pope'em.

Oliver westchnął.

– Jakbym o tym nie wiedział!

Ale na to Anna już nie odpowiedziała. Schyliła się tylko, by podnieść patyk, który rzuciła jamniczce do aportowania. Zbliżyli się właśnie do pięknie pofalowanego muru z rozpiętymi drzewkami brzoskwiniowymi, który sama kazała odrestaurować. Teraz nie było na nich owoców, ale

i tak wyglądały pięknie w świetle późnego popołudnia. Anna obejrzała się za Agnes.

– Mówią na to mur serpentynowy. Uwielbiam go.

Oliver nie zamierzał dać się odwieść od tematu.

– A gdzie pan Pope kontynuował nauki?

– Na Oksfordzie. Chyba w Lincoln College.

– A potem? – Oliver starał się modulować głos, aby ukryć ogarniający go gniew.

– Z początku rodzice przeznaczili go do stanu duchownego, ale zdolności bardziej predestynowały go do handlu. Dlatego zgłosił się do Schroders Bank i całkiem dobrze sobie tam radził. To wtedy jego ojciec poprosił Jamesa o radę i stąd się wzięło jego zainteresowanie tym młodzieńcem.

– Najwyraźniej mu się spodobał. – Oliver starał się hamować rozgoryczenie. Im częściej słyszał o błyskawicznej karierze tego Pope'a, tym bardziej go nie znosił. Ten gość ma kupę szczęścia, smykałkę do liczb i do tego kocha swoją robotę. – Przypuszczam, że w ten właśnie sposób zdobył pieniądze na przedziałnię.

– Rzeczywiście część sam zarobił. A kiedy postanowił się usamodzielnic i znalazł w Manchesterze tę fabrykę, którą akurat wystawiono na sprzedaż, James wziął na siebie rolę mentora.

– I zapewne pan Pope był mu za to bardzo wdzięczny.

– Zapewne. – Anna zastanawiała się, co też Oliver powiedziała by na wiadomość, że ma siostrzeńca. Z początku czułby się niezręcznie. I to nie dlatego, że zależałoby mu na chronieniu pamięci siostry. Ale przecież w końcu by do siebie przywykli. To znaczy, jeśli w ogóle Trenchardowie mieliby coś do powiedzenia. Bo może to będzie od początku do końca spektakl Brockenhurstów?

Anna rzeczywiście znajdowała przyjemność w roztrząsaniu tych szczegółów, bo też sama dopiero co je poznała. W ciągu kilku spokojnych wieczorów w Glanville, kiedy siedzieli razem w jej pokoju, poprosiła Jamesa, aby opowiedział jej wszystko, co mu wiadomo na temat ich wnuka. On zaś, tytułem ostatecznych przeprosin, spełnił jej prośbę. Chciał w ten sposób wynagrodzić jej całe lata ukrywania prawdy. Nie miał natury krętacza, więc z ulgą zrzucił z serca ten ciężar. W ten sposób Anna dowiedziała się o jego wieloletnich kontaktach z pastorem przez całe dzieciństwo Charlesa, o postępach chłopca w szkole, jego mocnych i słabych stronach, poznając go stopniowo, chociaż nieosobiście. I teraz miała wrażenie, że także go już zna.

Zerknęła w niebo.

– Chyba będzie padać. Może wrócimy? Agnes nie znosi deszczu, jak każdy jamnik.

Idąc powoli zwirowanymi alejkami, opowiadała synowi o nowych planach związanych z ogrodem. Piesek dreptał za nimi, Oliver zaś, słuchając jednym uchem matki, rozmyślał, w jaki sposób to, co usłyszał, wykorzystać do zniszczenia Charlesa.

Ostatecznie nie padało i pod wieczór Oliver udał się na przejażdżkę. Rytm konia zdawał się sprzyjać rozwiązywaniu wszystkich problemów. I rzeczywiście, kiedy już o zmierzchu truchtał

z powrotem, zdecydował, że musi wybrać się do Manchesteru. Jeśli w sprawie Pope'a istotnie jest coś do wykrycia, to idealnym źródłem będzie miasto, w którym ten „złoty chłopiec” stawiał pierwsze kroki jako przedsiębiorca. Jaką miał wtedy reputację? Sprawia zbyt dobre wrażenie, by to mogła być prawda.

– Manchester? – zdziwiła się Anna, kiedy zebrali się przy obiedzie wieczorem.

– Po co chcesz jechać do Manchesteru? – chciał wiedzieć James.

Oliver skwitował ich wątpliwości uśmiechem.

– Muszę się spotkać z paroma ludźmi. Mam kilka pomysłów, którym chciałbym się bliżej przyjrzeć, zanim zacznę o nich mówić.

– Nawet z nami? – Annę zaczęło to intrygować.

– Nawet z wami.

– Chyba nie zamierzasz porzucić Cubitt Town? – James nie mógł znieść myśli, że niepotrzebnie wpakował się w tę krępującą sytuację z wypraszaniem posady dla syna.

– Oczywiście, że nie. Nic się nie martw.

Ale wszyscy się zaciekawili, tym bardziej że nie dał im żadnego punktu zaczepienia. Tej nocy w łóżku Susan zagadnęła go po zgaszeniu świecy:

– Co ty naprawdę chcesz robić w Manchesterze?

– Pilnować własnych interesów – odpowiedział, odwracając się na bok.

Z Londynu do Birmingham wyruszył koleją, którą uruchomiono cztery lata wcześniej. Dworzec Euston znał dość dobrze, bo tę wspianą konstrukcję ze szkła i kutego żelaza zbudował William Cubitt, a Oliver uczestniczył w jego uroczystym otwarciu w lipcu 1837 roku. Niemniej pięciopółgodzinna podróż go zmęczyła, a ilekroć otworzył okno w wagonie, wiatr nawiewał drobinki sadzy.

Z Birmingham do Derby jechał lokalną linią, co okazało się jeszcze mniej wygodne, a resztę drogi odbył dylizansem. Zanim na chwiejnych nogach wysiadł przed Queen's Arms przy Sackville Street, czuł się jak po podróży przez cały kontynent, ale też miał pewną satysfakcję, że jednak tego dokonał.

Odnalezienie przędzalni Pope'a okazało się łatwiejsze, niż się obawiał. Następnego ranka wybrał się na Portland Street, gdzie, jak mu powiedziano, znajdowało się centrum przemysłu bawełnianego, i tam, wśród nowych, eleganckich magazynów i fabryk, skierowano go na David Street, do dużego budynku z czerwonej cegły z tabliczką „Przędzalnia Girtona”. Wszedł do środka i czekał na dyrektora, niskiego mężczyznę w wyświeconym płaszczu, który przedstawił się jako Arthur Swift. Tak, to jest przędzalnia pana Pope'a. Nie, pan Pope przebywa w Londynie. Czy on sam może w czymś pomóc?

Oliver wyjaśnił, że jest znajomym pana Pope'a i sądził, że przy okazji pobytu w Manchesterze będzie mógł zwiedzić przędzalnię. Pan Swift nie widział przeszkód i sam zaproponował, że go oprowadzi. Razem obeszli różne części zakładu, wszędzie wrzała praca.

– Wydaje się, że wszystko dobrze idzie – zauważył Oliver.

Swift przytaknął skwapliwie.

– Nawet bardzo dobrze, dopóki mamy zapewnione dostawy bawełny. Pewnie pan wie, że pan Pope ma dalekosiężne plany związane ze stałym dostawcą z subkontynentu indyjskiego.

– Tak mi mówił. – Oliver przyglądał się robotnikom pracującym przy krosnach w chmurze pyłu i duchocie. – Czy wszyscy są zadowoleni? – zapytał, przekrzykując hałas maszyn.

Mężczyźni na te słowa przerwali pracę. Pytanie ich zaskoczyło, toteż z początku zapanowała cisza, ale potem niechętnie przytaknęli. Swift spojrział ze zdziwieniem na gościa.

– Czemu pan o to pyta? Dlaczego nie mieliby być zadowoleni?

– Bez szczególnego powodu. Po prostu jestem ciekaw.

Ale pan Swift nagle poczuł się niezręcznie. Uświadomił sobie, że nie ma pisemnego polecenia, aby traktować tego pana Trencharda jako mile widzianego gościa, i że zaprosił go do zwiedzania bez dowodu na przyjacielskie stosunki z pryncypałem.

– Jeśli to wszystko, co chciał pan zobaczyć, to pozwolę sobie wrócić do moich zajęć. – Zabrzmiało to dość stanowczo, po czym pan Swift dał swoim ludziom znak, by wznowili pracę, a Oliver zrozumiał, że wizyta dobiegła końca. Zresztą swoje już zrobił i teraz pozostało czekać na rezultaty.

Podziękował z uśmiechem swojemu przewodnikowi za tak szczerze ofiarowany czas i niebawem znalazł się znowu na David Street. Kupił gazetę i ustawił się z nią tak, aby mieć na oku przędzalnię. Nie musiał długo czekać. Specjalnie na swoją wizytę wybrał porę tuż przed obiadem i rzeczywiście wkrótce rozległ się dźwięk dzwonu ogłaszającego półgodzinną przerwę. Z powodu zatykającego płuca pyłu wielu robotników zapewne wyjdzie na powietrze, aby zjeść to, co udało się im odłożyć ze skromnych rodzinnych przydziałów. Faktycznie zaczęli wynurzać się ze środka, mrugając odwykłymi od światła dziennego oczami, i rozglądać za jakimś miejscem do wypoczynku. Niektórzy przynieśli sobie stołki i porozsiadali się na nich wprost na chodniku. Ale jeden odłączył się od reszty i ruszył na drugą stronę ulicy, prosto do miejsca, w którym Oliver ze swoją gazetą podpierał ścianę.

– Dlaczego pan nas o to zapytał? Znaczący, czy jesteśmy zadowoleni? – Robotnik był niskiego wzrostu, jak większość z nich, z ciemnym zarostem na bladej twarzy, co świadczyło, że spędza mało czasu na słońcu.

– No a jesteście?

– Nie, do diabła, nie jesteśmy. – Przyglądał się uważnie Oliverowi. – Czy zamierza pan napędzić panu Pope’owi kłopotów?

Obaj wyraźnie badali grunt. Ale Oliver przebył długą drogę, żeby coś wykryć, i nie widział powodu do szczególnej ostrożności.

– Jakiego rodzaju kłopoty ma pan na myśli?

– Przyjdź pan o ósmej do tawerny King’s Head przy Market Square. Tam się pan dowie – odparł nieznajomy ze złością.

– Mogę poznać pańskie nazwisko?

– To nieważne, na pewno tam będę. Ale nie tylko ze mną będzie pan musiał pogadać.

Oliver skinął głową. Widać nie pozna nazwiska tego typu, ale czy naprawdę go potrzebuje? Udało mu się skontaktować z kimś, kto źle życzy Charlesowi Pope'owi, i po to właśnie tu przyjechał. Czyli na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

Wieczorem dość łatwo odnalazł tawernę, ale była tak zatłoczona i pełna dymu, że dopiero po chwili udało mu się rozejrzeć. Zanim cokolwiek zobaczył, poczuł na łokciu czyjaś dłoń. Należała do jego rozmówcy z fabryki. Robotnik dał mu znak i Oliver ruszył za nim do stolika w rogu, gdzie siedziało już dwóch starszych mężczyzn.

– Moje uszanowanie, jestem Oliver Trenchard. – Tym razem postanowił uzyskać nazwiska, co zapewne by się nie udało, gdyby sam się im nie przedstawił.

– William Brent – odezwał się pierwszy. Był korpulentny, wyraźnie zamożny, ale lekki połysk na jego czerwonej twarzy działał odstręczająco.

– Jacob Astley. – Ten drugi był szczuplejszy, wręcz kościsty i starszy.

Z żadnym z nich nie chciałoby się spędzić Bożego Narodzenia, pomyślał Oliver, zajmując miejsce naprzeciwko. Czekala już na niego szklanka i wielki dzban piwa, więc sobie nalał.

– No dobrze, moi panowie, co dla mnie macie? – zagał z uśmiechem.

– Co pana łączy z Pope'em? – spytał pan Astley. Najwyraźniej nie zamierzał odwzajemnić uśmiechu ani nadawać rozmowie bardziej cywilizowany ton, co usiłował narzucić Oliver. Przyszedł tu w swego rodzaju interesie albo, co bardziej prawdopodobne, dla wyrównania starych rachunków.

– Skoro już musi pan wiedzieć... Mój bliski przyjaciel grubo zainwestował w firmę Pope'a, a ja się boję, że mógł się przez to narazić na poważne straty.

Brent pokiwał głową.

– I ma pan rację. Powinien jak najprędzej wycofać się z tej inwestycji.

– Ale to zrujnowałoby pana Pope'a. To znaczy, gdyby mój przyjaciel wycofał całą sumę.

Oliver nie do końca był pewien, czy to prawda, bo wiedział, że lady Brockenhurst mogłaby z łatwością wkroczyć do akcji i zapobiec takiej hańbie, ale chciał wy badać poziom niechęci tych ludzi do Pope'a.

– On zasłużył sobie na ruinę. – Astley podniósł szklankę do swoich wąskich warg.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– A wie pan, że Pope kupił przędzalnię od wdowy po starym Samuelu Girtonie?

– Owszem.

– Mieliśmy ze starą umowę, ale w nocy przyszedł ten Pope i napędził jej stracha bajkami o groźbie wielkiej ruiny. A potem dotąd jej wmawiał, że tylko on może ją uratować, aż zgodziła się zerwać umowę z nami i sprzedać jemu.

– Ach tak. – Oliver pomyślał o uśmiechniętym młodym człowieku krążącym po salonach lady Brockenhurst. Czy to jest prawdopodobne?

– To jeszcze nie wszystko – dodał Brent. – On oszukuje celników przy imporcie bawełny. Przy wysyłce daje łapówkę za przyznanie towarowi niższej kategorii i dzięki temu po rozładunku w Anglii płaci o połowę niższe podatki.

– Nie można mu ufać – ciągnął Astley. – Powiedz pan swojemu przyjacielowi, żeby wycofał pieniądze póki czas.

Oliver spojrział na człowieka, który go tu przyprowadził.

– A pan co ma z tym wspólnego?

Tamten się skrzywił.

– Gdyby panowie Brent i Astley kupili zakład, to zostałbym dyrektorem. Pope o tym wiedział, a jednak postawił mnie przy krosnach, razem z innymi biednymi frajerami, którzy też nie mieli wyjścia.

– To dlaczego pan się zgodził?

– A co miałem robić? Mam żonę i czwórkę dzieciaków do wykarmienia. – Mięśnie szczęki mu się napięły w tłumionej złości. – Powiedział, że chce mi w ten sposób złagodzić cios, jakim była utrata tamtej posady.

– Ale pan uważa, że nie o to chodziło?

– Oczywiście. Pope to człowiek bez serca. Po prostu chciał mnie upokorzyć w sytuacji, kiedy nie miałem wyboru.

Oliver przyjrzał się całej trójce. Na ostatni zarzut nie ma dowodu, musiał to przyznać, natomiast z pozostałych da się coś ukreślić. To zastraszanie starej kobiety, te oszustwa podatkowe, które najbardziej ze wszystkiego biły w jego ojca.

– Ile z tego możecie przedstawić na piśmie?

Brent zerknął na swoich towarzyszy.

– W sądzie zeznawać nie będziemy. Nie pójdę do sądu dla nikogo na świecie.

– To zrozumiałe – zgodził się Oliver. – Potrzebuję tych informacji, aby przekonać mojego przyjaciela, ale nic z tego nie trafi do sądu. Zresztą nawet gdyby przyszło do najgorszego, stać go na stratę tego, co już zainwestował. Ale za wszelką cenę muszę go namówić, aby się wycofał i nic więcej nie dokładał.

Brent podjął decyzję.

– W tym możemy pomóc. – Porozumiał się wzrokiem z Astleyem. – Chcemy Pope'a usunąć z zakładu, ale zanim to nastąpi, oby jak najmniej osób dało się omotać jego sztuczkom.

– Bo on potrafi być czarujący – rzekł Oliver. – Ludzie zdają się go lubić.

– Taa, dopóki go nie rozgryzą – mruknął Brent.

Podróż powrotna wydawała się już mniej męcząca, gdyż Oliver osiągnął swój cel. Rano do Queen's Arms dostarczono mu dwa listy, które teraz spoczywały bezpiecznie w jego kieszeni. Choćby po drodze miał stracić cały bagaż, na pewno ich nie zgubi. Wsiadając w Birmingham do

londyńskiego pociągu, był w znakomitym nastroju, i nawet, ku zgorszeniu współpasażerów, nucił coś sobie pod nosem.

Wchodząc do sypialni córki, lady Templemore absolutnie nie zamierzała grzebać w jej rzeczach. A przynajmniej to sobie wmawiała. Chciała jedynie sprawdzić, czy panuje tam porządek. Maria wyszła z Ryan, reszta służby przebywała na dole, więc jako matka uznała za słuszne dokonać małej inspekcji.

To postanowienie okazało się trudne do utrzymania, kiedy lady Templemore zobaczyła na stole pod oknem sekretarzyk podróżny Marii. Mógł być zamknięty, ale Corinne wiedziała, gdzie jest kluczyk. Nigdy nie przyznała się do tego córce, na wypadek gdyby ta wiedza miała się jej przydać. Już przedtem zdarzało się jej przeglądać listy Marii. Niemal odruchowo otworzyła sekretną szufladę w biurku, wyjęła kluczyk i odemknęła sekretarzyk. Obity skórą blat do pisania przytrzymał mały mosiężny przycisk, który dał się otworzyć za dotknięciem palca. W środku kryły się listy Marii. Corinne zaczęła je przeglądać. Większość nadawców znała: brat Marii, kuzynki, przyjaciółki z jej dwóch pierwszych sezonów towarzyskich, ale zastanowiła ją mała koperta ze znajomym herbem.

List był krótki. „Moja droga, gdybyś odwiedziła mnie w piątek o czwartej po południu, mogłybyśmy zorganizować kolejną wizytę w Bishopsgate. Caroline Brockenhurst”. Corinne wpatrywała się z niedowierzaniem w kremowy arkusik. Kolejna wizyta! Co to ma znaczyć? Kolejna wizyta w Bishopsgate? Wiedziała, kto tam pracuje. Kiedy Charles Pope odprowadził Marię wraz z pokojówką do Biblioteki Londyńskiej, Ryan powtórzyła jej każde wypowiedziane wówczas słowo. Czyżby Corinne natknęła się wtedy na powód, przez który wszystkie plany zaczęły rozłazić się jej w rękach? I dlaczego lady Brockenhurst zaprasza gdzieś Marię, nie zwróciwszy się najpierw o pozwolenie do jej matki? Potem przypomniała sobie, jak lady Brockenhurst oprowadzała tego pana Pope’a po swoich salonach. Czy to jakiś spisek? Jeśli nie, to czemu Maria nie zająknęła się ani słowem o tym liście? Siedziała przez kilka minut w zamyśleniu. Był czwartek, a Caroline wyznaczyła wizytę na następny dzień. Corinne miała zatem dwadzieścia cztery godziny. Starannie odłożyła list na miejsce, zamknęła sekretarzyk i schowała kluczyk. Jednocześnie podjęła dwie decyzje. Po pierwsze, złoży hrabinie wizytę o tej samej porze co córka. Po drugie... Ale w tym celu musiała najpierw udać się do swojego uroczego biureczka w błękitnym saloniku na pierwszym piętrze. Zabrała się do pisania, a już po godzinie zadzwoniła po lokaja i wręczyła mu dwa listy do zanieśienia pod dwa różne adresy.

Oliver postanowił zawiadomić ojca o swoich odkryciach w biurze, a nie w domu. Kiedy poprzedniego wieczoru wrócił z podróży, wszyscy go przy obiedzie wypytywali, ale nie powiedział im nic konkretnego, rozvodził się tylko nad korzystnymi zmianami i rozwojem Manchesteru.

Wziąwszy pod uwagę szok, jakiego niewątpliwie doznałby ojciec po tych rewelacjach, postanowił wyjawić mu je w zaciszu gabinetu. Ale następnego dnia, kiedy kancelista poprosił go do środka, James bynajmniej się nie zdziwił wizytą syna.

– Chodzi ci o Manchester, tak?



– Dlaczego tak uważasz?

– Najpierw odbywasz jakąś tajemniczą podróż i nie mówisz po co. Potem żądasz, abym poświęcił ci czas, i zastrzegasz, aby nikt nam nie przeszkadzał. To oczywiste, że masz mi do powiedzenia coś, co wiąże się z tą podróżą.

Oliver przytaknął. Może zacząć i od tego.

– Rzeczywiście.

Miał tak grobową minę, że James aż się roześmiał.

– Wyglądasz bardzo poważnie.

– Bo jestem bardzo poważny – odparł Oliver, podchodząc do biurka. Rozejrzał się po gabinecie, zatrzymując na chwilę wzrok na mapie Cubitt Town i portrecie siostry nad kominkiem. Jego wizerunku nie było, co natychmiast odnotował w pamięci. Nikt nigdy takowego nie zamówił, przynajmniej od czasów jego dzieciństwa. Usiadł naprzeciwko ojca.

– Mam pewną wiadomość, ale nie wiem, czy będzie ci miło ją usłyszeć.

– Tak? A jaką?

– Dotyczącą pana Pope'a.

Jamesa to również niespecjalnie zdziwiło. Dawno dostrzegł niechęć Olivera wobec wnuka. Pamięć przykrego incydentu w Athenaeum wystarczająco to potwierdzała. Teraz widział jasno, że syn pojechał do Manchesteru, aby szperać w przeszłości Charlesa. Dlatego westchnął nieznacznie, zanim odpowiedział:

– No mów.

– Mogę stwierdzić, że moja podróż okazała się przydatna. Przynajmniej, mam taką nadzieję, dla ciebie. – James zastanawiał się, jak długo potrwa, zanim syn przejdzie do rzeczy. – Obejrzałem sobie przedziałnię pana Pope'a.

– Przedziałnię Girtona? Świetny zakład, co? – Cierpliwie czekał na zapowiedziane rewelacje.

– Rzecz w tym, że przez przypadek natrafiłem na dwóch ludzi, którzy już dawniej mieli do czynienia z naszym panem Pope'em. To panowie Brent i Astley.

– Przypadkiem, powiadasz?

– No niezupełnie. Dowiedzieli się, że znam pana Pope'a, i mnie odnaleźli.

– Mam wrażenie, że zmierzasz do czegoś, czego nie chcę słyszeć.

– Niestety tak. – Oliver pokiwał głową ze smutkiem. – Podobno pan Pope tak zastraszył wdowę po właścicielu, że wycofała się z wcześniejszej umowy i zgodziła się sprzedać przedziałnię jemu, a nie poprzednim kontrahentom.

– A konkretnie tym panom.

– Chcesz przez to powiedzieć, że historia jest nieprawdziwa? – Ponieważ James nie odpowiadał, Oliver mówił dalej: – Do tego oszukuje celników. Przed załadunkiem zdobywa dla swojej bawełny fałszywy certyfikat niższej jakości, aby na miejscu płacić o połowę niższe podatki.

– Podatki i tak są za wysokie.

– Czy to znaczy, że Pope ma prawo kłamać i kraść? – Oliver widział jednak, że ojca poruszyła ta wiadomość. – Naprawdę chcesz inwestować w łajdaka i oszusta?

– Nie wierzę ci. – James wstał. Teraz rozumiał, że podróż Olivera miała na celu tylko zdyskredytowanie Charlesa w jego oczach. Tym, co go zaniepokoiło, nie były rewelacje na temat Charlesa, tylko gorzka świadomość, że jego stosunki z własnym synem okazały się jeszcze gorsze, niż się obawiał. – Ale go o to zapytam.

– Mam tu dwa dokumenty, jeden od Brenta, drugi od Astleya. Zostawiam ci je na stole. Nie obawiaj się, żaden z tych panów nie chce zeznawać przeciw Pope'owi w sądzie, wyrazili się zupełnie jasno. Ale zgodzili się, że powinieneś znać prawdę.

– Nic dziwnego, że nie pali im się, by opowiadać te bajki w sądzie. – W tonie Jamesa brzmiało już zniecierpliwienie, wręcz gniew. Co to za jakieś typy pakują mu się do życia i próbują podważyć zaufanie do człowieka, którego kocha najbardziej na świecie?

– Wiem, ojcze, jakie to dla ciebie nieprzyjemne. Bardzo mi przykro.

– Doprawdy? – James patrzył na ruchliwą ulicę w dole. – Idę się z nim spotkać.

– Na twoim miejscu przeczytałbym najpierw listy.

– Idę się z nim spotkać.

Z tonu ojca wynikało, że Oliver najlepiej by zrobił, gdyby zostawił już ten temat. Nie był w stu procentach przekonany, jak ma się odnieść do postawionych zarzutów. Może są prawdziwe, a może nie. Pope na pewno rozpozna te nazwiska i już samo to go obciąży. Wystarczyło, że Oliver zasiał w ojcu ziarno wątpliwości. Ale źle zrozumiał jego odpowiedź na przekazaną wiadomość.

James nie zwlekał długo z wizytą u wnuka. Musiał koniecznie potwierdzić jego niewinność.

– Jak pański syn poznał tych panów? – spytał Charles, starając się zachować spokój. Chodził tam i z powrotem, przetrawiając to, co przed chwilą usłyszał.

– Nie wiem.

– Pojechał oglądać moją przędzalnię? – Właściwie Charles już o tym wiedział, bo otrzymał w tej sprawie telegram od pana Swifta.

James wzruszył ramionami.

– Tego także nie wiem. Musiał mieć jakiś powód. – Znał ten powód. Oliver nienawidził Charlesa i zainteresowania, jakim obdarza go ojciec. I to on, James, jest za to odpowiedzialny, przynajmniej częściowo.

Charles był zły. Nie prosił Jamesa o patronat. Doceniał go, ale o nic nie prosił, a teraz za to płaci.

– Chyba chodziło o coś więcej niż „jakiś powód”, skoro zdecydował się na tak daleką podróż. Najwyraźniej miał bardzo konkretny cel. Czy było nim spotkanie z tymi panami?

– Nie wiem. Mówił, że wpadł na nich przypadkiem. Rozumiem, że w tych zarzutach nie ma cienia prawdy?

Ale Charles był w rozterce. Znał Brenta i Astleya. Prawie udało się im kupić od pani Girton tę przedziałnię za ułamek wartości, a Charles w samą porę temu przeszkodził, ratując wdowę od poważnej straty. Potem sam wynegocjował kupno, ale po cenie rynkowej. Naturalnie obaj kontrahenci, będąc tak blisko celu, nie pokochali go za to. Co do oszustw na cle, sprawa była bardziej złożona i Charles nie rozumiał, jak tamci się o niej zwiedzieli. To prawda, zamówił i opłacił ładunek surowej bawełny z Indii. Założył, że miała taką samą jakość jak w poprzedniej dostawie, i zgodnie z tym wypełnił wszystkie dokumenty. Po rozładunku okazało się jednak, że nastąpiła pomyłka i bawełna jest znacznie lepsza. Zgłosił tę zmianę celnikom i uzupełnił wpłatę, ale ślad pozostał. Nie doszło do żadnego oszustwa, ale za to stało się jasne, że Oliver Trenchard pojechał do Manchesteru, aby zaszkodzić Charlesowi, a jego wrogowie dostarczyli mu po temu środków. Oczywiście mógł to wszystko wytłumaczyć Jamesowi, ale z tym właśnie miał problem. Czy naprawdę chce nastawiać pana Trencharda przeciwko jego synowi, skoro już się przez niego sprzeczą? Czy ma odpłacić panu Trenchardowi jego dobroć, psując mu więź z rodziną? Teraz cieszy się poparciem Brockenhurstów i chociaż strata wkładu Trencharda spowolni nieco bieg spraw, Charles nadal może dopiąć swego, tylko w późniejszym terminie. Brent i Astley wyraźnie uznali, że po wycofaniu tych pieniędzy przedziałnia stanie, a oni ją przechwycą od syndyka za ułamek wartości. Niestety gorzko się rozczarują.

– Życzyłbym sobie, aby pan albo powiedział mi, że to bzdury, albo przyznał, że jest w tym ziarno prawdy. – James zaczynał już się niecierpliwić.

Charles jeszcze raz przyjrzał się dokumentom i przedstawionym w nich czarno na białym zarzutom.

– Czy napisali te listy specjalnie po to, aby trafiły do pańskich rąk?

– Najwyraźniej. Ale zaznaczyli przy tym, że nie zamierzają zeznawać przed sądem.

– O, tego bym po nich nie oczekiwał. – Charles ostatkiem sił powstrzymał się od wybuchu.

– To znaczy, że zna pan ich od dawna? Że nie powinniśmy traktować ich serio? Powiedz pan jedno słowo, a zawiadomię Olivera, że te oskarżenia są fałszywe.

– Proszę tego nie robić. – Charles obrócił się twarzą do swojego mentora. – To wszystko się wydarzyło. Niezupełnie tak, jak panu to zrelacjonowano, ale w tych historiach jest trochę prawdy. Nie chcę, żeby przeze mnie doszło do zatargu między panem a pańskim synem. Rozumiem, że powinniśmy pomyśleć o wycofaniu pańskiego wkładu w moją inwestycję. Niestety nie da się tego zrobić od ręki.

James kręcił się już przy drzwiach.

– Nie wycofam moich pieniędzy – rzekł stanowczo. – Co panu nasunęło taką myśl?

– Powinien pan to zrobić, skoro pańskiemu synowi przeszkadza nasze partnerstwo.

James nie odpowiedział. Oto problem! Nie mógł udawać, że jest inaczej, skoro syn na sam widok Charlesa zmieniał się w tygrysa z wyszczerzonymi kłami. James nie zamierzał zrywać z Charlesem, ale nie chciał też mieć wroga w swoim jedynym teraz dziecku. Może powinien dać Oliverowi do zrozumienia, że jego odkrycia odniosły jakiś skutek, ale nie psuć sobie interesów z wnukiem. Po jakimś czasie wszystko mogłoby się ułożyć. Jakie to skomplikowane! Czy nie byłoby prościej, żeby

lady Brockenhurst wreszcie przemówiła?

– Mogę spłacać pana ratami i dołożyć dziesięć procent za niepotrzebne zamieszanie.

James uparcie kręcił głową.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym zamieszaniu. I nie przyjmę tych pieniędzy. – Po raz kolejny nawiedziła go myśl, żeby powiedzieć mu już teraz, kim naprawdę jest. Czy i tak za każdym razem nie zbliżali się coraz bardziej do tego punktu? A jednak się na to nie zdecydował.

Przez resztę dnia James Trenchard żył jak na wulkanie, ale nie dlatego, że zwątpił w Charlesa. Wnuk miał głowę na karku, o tak, potrafił się uprzeć i postawić na swoim, podobnie jak jego matka. Ale nieuczciwość? Nigdy. Myśląc o tym, znowu przywołał przed oczy obraz Sophii. Przypomniał sobie, z jaką determinacją walczyła o zaproszenie na bal do księżnej Richmond. Nic nie mogło jej powstrzymać i nic nie powstrzymało. Jak pięknie wyglądała tamtej nocy... taka pewna siebie, olśniewająca, zakochana... James siedział teraz przy biurku i wzdychał. Oczywiście Charles miał jeszcze ojca. Czy to po nim odziedziczył charakter? Póki Edmund Bellasis żył, mogli tego nie zauważyć, ale trzeba mieć naturę węża, aby uwieść niewinną dziewczynę i zorganizować fałszywy ślub z fałszywym duchownym. Musiał być łajdakiem, a jednak dali mu się podejść. Czy to możliwe, aby i Charles...? Ale nie, to wykluczone. To nie był Charles Pope, którego znał.

Wieczorem Anna zauważyła, że mąż jest dziwnie milczący. Siedział przy obiedzie w kompletnej ciszy, grzebał w talerzu, słuchał rozmowy Olivera z Susan na temat nowoczesnego Manchesteru, nie wtrącając ani słowa. A Oliver miał bardzo dużo do powiedzenia o bawełnianej stolicy. To, co tam widział, wywarło na nim spore wrażenie i rozprawiał o tym z wielkim ożywieniem.

– Czy to znaczy, że podróż ci się udała? – spytała Anna.

– Tak sędzę – odrzekł, zerkając na ojca. Jego ton stał się nagle bardziej czujny.

Susan także prawie nic nie mówiła. Wydawała się mocno zatroskana, choć nie wiadomo z jakiego powodu. Ledwie tknęła jedzenie i wino. Słuchała Olivera, ale bardziej dlatego, żeby nie musieć samej zabierać głosu, niż z ciekawości.

Później, kiedy James stał już w swojej garderobie z wyciągniętymi ramionami, a pokojowiec Miles odpinał mu mankiety koszuli, rozległo się delikatne pukanie i po chwili weszła Anna.

– Miles, mógłbyś nas zostawić na chwilę? – Usiadła na pikowanym fotelu w rogu z Agnes na kolanach.

– Oczywiście, proszę pani – odrzekł pokojowiec z niskim ukłonem.

Miles miał skłonność do uniżoności. Porzuciwszy pełen przeciągów zamek lorda Glenaira w Szkocji, przeniósł się do stolicy niewiele ponad rok wcześniej. Mimo dwa razy większych poborów pracę u Trenchardów traktował przejściowo, planując przy najbliższej okazji znaleźć posadę u wyżej postawionej rodziny. Niemniej z obowiązków wywiązywał się perfekcyjnie.

– Czy mam tu jeszcze wrócić, proszę pana?

– Nie, to wszystko. Dobranoc.

Po wyjściu pokojowca Anna, nie tracąc czasu, zapytała męża wprost, co mu jest. Sama pomogła mu z guzikami, zostawiając fotel do dyspozycji wyraźnie niezadowolonego psa.

– Przez cały wieczór prawie się nie odzywałeś. Co się stało?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Ależ chcę! Bardzo chcę!

James zrelacjonował jej wizytę u Charlesa.

– I co on na to?

– Powiedział, że jest w tym coś z prawdy, chociaż nie pod każdym względem. Potem wystąpił z propozycją zwrotu mojego wkładu. Wiem, o co mu chodzi. Po prostu nie chce wchodzić pomiędzy mnie a Olivera. To leży u podłoża tego wszystkiego. – Wziął z toaletki szczotkę i przesunął nią po łysinie.

– Nie zrobił nic złego, dam sobie rękę uciąć – zadeklarowała Anna, dzielając jednak pragnienie męża, by rozwikłać sprawę do końca. Może już czas poinformować Olivera. Niezbyt wierzyła, że Susan potrafi dochować sekretu (tu się myliła, gdyż jej synowa miała mnóstwo własnych), ale uznała, że trzeba zaryzykować. Kiedy zastanawiała się nad tym, zmierzając do sypialni, zaświtała jej myśl, że mogłaby skorzystać z usług sojuszniczki.

W salonie rozległ się donośny głos lokaja:

– Hrabina Templemore!

Caroline Brockenhurst podniosła na niego zdumiony wzrok.

– Co? – Nie zabrzmiało to jak serdeczne powitanie idącej już w jej stronę przyjaciółki. Caroline oczywiście spodziewała się wizyty córki Corinne, więc nieco zdenerwowała ją ta zamiana. Przez głowę przebiegł jej pomysł, by wysłać kogoś do Marii z zaleceniem, aby nie przychodziła, ale natychmiast uznała go za mało realistyczny. Wstała, by przywitać niepożądanego gościa i zatuszować swoją reakcję. – Jak miło! Akurat przyniesiono herbatę. Pozwolisz, że ci naleję?

– Dziękuję. – Corinne usiadła w ładnym fotelu w stylu Ludwika XV. – Z przyjemnością się napiję, gdy tylko wyjaśnisz mi, co to znaczy. – To rzekłszy, wyjęła z woreczka list Marii i podała go hrabinie.

Lady Brockenhurst patrzyła na niego w osłupieniu. Oczywiście wiedziała, co to jest, jeszcze zanim wzięła arkusik do ręki.

– Zaprosiłam Marię na herbatę – wyjaśniła bez mrugnięcia okiem. – Powinna tu być lada chwila.

– Żeby zaplanować wizytę w Bishopsgate. A może powinnam powiedzieć: kolejną wizytę?

– Jest znakomitą towarzyszką na przejażdżce, wiesz o tym lepiej ode mnie. Doskonale ją wychowałam. – Caroline zdążyła już nalać herbaty i filiżanka spoczywała teraz bezpiecznie w rękach Corinne Templemore.

– Kogo chcesz odwiedzić w Bishopsgate?

– A mamy tam kogoś szczególnego do odwiedzenia? – rzuciła lekkim tonem Caroline.

– Ty mi to powiedz.

– Moja droga, wyraźnie coś cię trapi. Mam nadzieję, że dowiem się, o co chodzi.

Corinne zaczęła się śmiać. Ta nagła zmiana nastroju zbiła Caroline z tropu: może jej przyjaciółka jest chora? Ale lady Templemore znów sięgnęła do woreczka i wyjęła kawałek zadrukowanego papieru.

– Przeciwnie, nie mam najmniejszych powodów do zmartwienia. Mam powód do świętowania i nadzieję, że się do mnie przyłączysz. Widziałaś dzisiejszego „Timesa”? Albo „Gazette”?

– Nie kupujemy „Gazette”, a ja nie czytam „Timesa”. Dlaczego pytasz? Co to jest?

Wygładziła papier i podała Caroline.

Ach, więc o to chodziło:

*Niniejszym ogłasza się zaręczyny Johna Bellasisa Esq., syna wielebnego Stephena Bellasisa i jego  
małżonki,  
z lady Marią Grey, córką hrabiny wdowy Templemore  
i nieżyjącego hrabiego Templemore’a.*

Lady Brockenhurst pilnie przestudiowała całe ogłoszenie. Uczucie druzgoczącego zawodu na chwilę niemal odebrało jej oddech.

– Nie pogratulujesz mi?

Podniosła wzrok i napotkała triumfujące spojrzenie przyjaciółki.

– Ależ tak. Serdeczne gratulacje. Czy data ślubu już ustalona?

– Jeszcze nie. Ale jestem wrogiem długiego narzeczeństwa.

Zanim Caroline zdążyła coś powiedzieć, wrócił lokaj.

– Lady Maria Grey.

Dziewczyna weszła do pokoju, ale na widok matki zatrzymała się w pół kroku.

– Myślałam, że miałaś się dziś zobaczyć z lady Stafford – zauważyła doskonale opanowanym głosem.

– Jak widzisz, zmieniłam zdanie – odparła z równym spokojem Corinne, patrząc jej prosto w oczy.

– Chciałam porozmawiać z lady Brockenhurst o ogłoszeniu.

Maria milczała.

– Gratuluję – rzekła gospodyni.

Maria milczała dalej. Corinne zaczęło to denerwować.

– Przestań się dąsać.

– Ja się nie dąsam. A nie odzywam się dlatego, że nie mam nic do powiedzenia.

Matka nie zdążyła zareagować, gdy znów ukazał się lokaj.

– Pani Trenchard.

Caroline wstała.

– Wielkie nieba, co za dzień!

Anna spieszyła się na widok innych pań w salonie nie mniej niż gospodyni z powodu jej nagłej wizyty.

– O... Gdybym wiedziała, że pani ma gości, nie śmiałabym przeszkadzać. Nie uprzedzono mnie o tym.

– I bardzo dobrze.

Caroline po raz pierwszy naprawdę ucieszyła się z jej odwiedzin. Napięcie między matką a córką stawało się już trudne do zniesienia.

– Pozwolisz, że przedstawię ci panią Trenchard? A to jest lady Templemore.

– Chyba poznałyśmy się już jakiś czas temu na *soirée* – zauważyła Anna przyjaźnie.

– Doprawdy? Możliwe – odparła z roztargnieniem lady Templemore. Myślała właśnie, jakby tu zabrać córkę i wyjść, zanim zaczną się mówić o wyprawie do Bishopsgate.

– Dzień dobry, pani Trenchard – powiedziała Maria, po raz pierwszy przybierając życzliwy ton.

– Dzień dobry, moja droga. Mam nadzieję, że wszystko u pani w porządku. – Anna uścisnęła dłoń dziewczyny.

Lady Templemore aż się wzdrygnęła na tę poufałość. Skąd Maria zna takich ludzi, jak może robić te wszystkie rzeczy bez jej wiedzy? Czy ta kobieta także przyszła tu w sprawie wyjazdu do Bishopsgate? Corinne czuła, że życie córki wymyka się jej z rąk.

– Właśnie świętujemy ogłoszenie zaręczyn lady Marii.

– Ach tak? – Anna poczuła się przykro zaskoczona. Naprawdę nie wierzyła, że może do tego dojść.

– Ukazało się w dzisiejszych gazetach.

– Musiałam nie zauważyć. Obejrzę je po powrocie do domu.

Nic w twarzy Marii nie wskazywało na jakieś nadzwyczajne wydarzenie. Dziewczyna wzięła od lady Brockenhurst filiżankę i piła herbatę, patrząc w przestrzeń.

– Zostawię panie teraz – rzekła Anna. – Przyjdę innym razem.

– Nie, nie. – Lady Templemore już się podnosiła. – To my już wychodzimy. Mamy sobie dużo do powiedzenia, prawda, Mario?

Ale dziewczyna nawet się nie poruszyła.

– Ty wychodzisz, mamó. Ja chciałabym jeszcze omówić z lady Brockenhurst szczegóły tej nowiny. Przecież niedługo zostanie moją ciotką.

– To prawda, moja droga – przytaknęła skwapliwie Caroline. – Jedź, Corinne, a my potem odeślemy Marię naszym powozem. Nic jej się u nas nie stanie.

– Mogę zostać.

– Nie chcę nawet o tym słyszeć. Masz na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Williamie, odprowadź lady Templemore do powozu. – Mówiła tonem carycy wydającej *ukaz* i wyraźnie nie

zamierzała dopuścić do dalszej dyskusji. Przez chwilę wyglądało, że lady Templemore mimo wszystko podejmie walkę, ale ostatecznie zdecydowała się dać za wygraną. Wyszła w towarzystwie lokaja i trzy panie zostały same.

– Nie wyjdę za niego, jeśli o to wam chodzi – zadeklarowała Maria defensywnie, ale oczywiście była wśród przyjaciółek.

– Mogę powiedzieć, że mnie to cieszy? – Anna znowu usiadła.

– I mnie – dodała Caroline. – Chociaż skóra mi cierpie na myśl o rozmowie z moim szwagrem i szwagierką. John zapewniłby pani wysoką pozycję, ale pozycja to nie wszystko, a skoro ja tak mówię, to znaczy, że to prawda.

Wszystkie się roześmiały, w tym Maria z wyraźną ulgą.

– Jak on się miewa? – zapytała, rumieniąc się.

Żadna z pań nie musiała dochodzić, kogo ma na myśli.

– Chyba bardzo dobrze – odrzekła Caroline. – Zresztą nie widziałam go od czasu naszej wspólnej wizyty, a pani?

– Ja także, ale... – Anna zawahała się, czy ma prawo mówić o swoim wnuku w obecności Marii, nawet jeśli ta jest w nim zakochana. To ostatnie stało się teraz dla niej jeszcze bardziej oczywiste.

– No słucham – ponagliła ją Caroline. – Mówienie zagadkami jest wulgarne.

– Nie, to raczej nie zainteresuje lady Marii.

Dziewczyna natychmiast zaprotestowała.

– Interesuje mnie wszystko, co dotyczy pana Pope'a.

Ale zanim Anna coś powiedziała, w drzwiach znów ukazał się lokaj.

– O co chodzi, Williamie?

– Hrabina Templemore siedzi w swoim powozie, milady. Mówi, że czeka na lady Marię.

– Dziękuję, Williamie. Lady Maria za chwilę zejdzie.

Lokaj wiedział, że oznacza to odprawę. Po jego wyjściu trzy panie popatrzyły po sobie.

– Lepiej już idź, moja droga – zdecydowała Caroline. – Nie ma sensu jeszcze bardziej jej denerwować.

– Jeśli go zobaczycie, to go ode mnie pozdrówcie. – Maria wyraźnie zrozumiała, że tę rundę wygrała jej matka. – I niech nie wierzy w to, co piszą w gazetach. – To rzekłszy, opuściła salon.

– A teraz słucham. – Caroline usadowiła się wygodnie w fotelu.

– Proszę bardzo. Mój syn właśnie wrócił z Manchesteru. Przypuszczam, że udał się tam wyłącznie po to, by znaleźć coś, co zdyskredytowałoby Charlesa. Podczas swojego pobytu poznał jakichś ludzi związanych z jego interesami. Ci panowie oskarżają go o nabycie przędzalni w nieuczciwy sposób, a także o oszustwa podatkowe.

– Nie wierzę.

– Ja także, podobnie jak pan Trenchard. Ale mój mąż uważa, że Oliver wygrzebał tę historię tylko



z zazdrości o uwagę, jaką jego ojciec obdarza naszego wnuka. I teraz Charles nie chce podsycać ich konfliktu.

Caroline namyślała się tylko przez chwilę.

– Krótko mówiąc, oszustwo wymyka się z rąk i zagraża jedności waszej rodziny. Ja myślę – rzekła z wolna, jak gdyby wciąż się nad tym zastanawiała – że powinnam uznać Charlesa.

– To znaczy? – Anna miała już serce w gardle.

– Pozwoli pani, że skończę. Wiem, że to kompletna bzdura, ale syn pani wyraźnie zmierza do tego, aby ukazać Charlesa w jak najgorszym świetle. Z jakiegoś powodu wziął się na niego i z czasem będzie coraz gorzej. Poza tym Maria Grey padnie ofiarą wysiłków swojej matki, która chce wypchnąć ją do ołtarza z naszym bezwartościowym bratankiem. Zna pani Henry’ego Stephensona? Ten książęcy bękart poślubił córkę hrabiego i teraz widuje się ich na wszystkich salonach. Już wiemy, że Maria będzie walczyć zębami i pazurami, dopóki nie pozwolą jej wyjść za Charlesa. Oczywiście lady Templemore będzie daleka od zachwyty, ale może przestanie się tak zaciekle upierać, jeśli się dowie, że popieramy ten układ i Maria zawsze będzie w tym domu mile widziana. Moja droga, niech pani to sobie przemyśli. Na Charlesa czeka dobre życie, proszę tylko pozwolić mi działać. Niech ta sprawa stanie się punktem zwrotnym, który doprowadzi do szczęśliwego rozwiązania.

Podczas tej długiej przemowy w Annie z początku wszystko aż krzyczało w proteście, ale później musiała przyznać, że w słowach hrabiny jest jakiś sens. James by się z tym nie zgodził, ale ona, tu i teraz, jaki mogłaby mieć argument?

– Czy to znaczy, że chce pani złożyć coś w rodzaju oświadczenia?

– Oczywiście, że nie. – Lady Brockenhurst niemal się zaśmiała. – Ja tylko pozwolę, by ta wiadomość się rozeszła. Prywatnie przyznam, że Charles jest synem Edmunda i to powinno wystarczyć. – Caroline uśmiechnęła się, zachwycona swoją decyzją. – Oczywiście mamy mało czasu. Będę musiała powiadomić męża, poza tym jest kwestia przekazania nowiny Charlesowi... – Podeszła do drzwi balkonowych i bębniła w zamyśleniu palcami o palce.

– A co z Sophią?

– No tak. Musimy i o tym pomyśleć.

– Kiedy powie mu pani, że Edmund jest jego ojcem, na pewno zapyta także o matkę.

– Może lepiej nic mu nie mówić? Czy nie wolałaby pani zachować jej nazwiska w tajemnicy przed opinią publiczną?

– To znaczy w ogóle wymazać ją z całej historii?

– Ja mam na względzie tylko jej syna. Może mieć dobre, bogate życie, zawrzeć świetne małżeństwo i zyskać najlepszą pozycję towarzyską. Oczywiście powie pani, że jej by to nie obchodziło...

– Nie. – Jakiś impuls zmusił Annę do szczerości. – Dla niej miałoby to znaczenie. Na pewno doceniłaby to, co pani chce zrobić dla Charlesa.

Lady Brockenhurst uśmiechnęła się znacznie łagodniej niż zazwyczaj.

– To bardzo uprzejmie z pani strony. Jestem wzruszona. Czyli się zgadzamy?

– Muszę pomówić z Jamesem.

Ale Anna wiedziała już, że bez względu na to, co któreś z nich powie, sprawa jest przesądzona.

Quirk zawiózł ją z powrotem na Eaton Square. Potem opowiadał na dole, jaka była milcząca i zamyślona podczas tej krótkiej przejażdżki. Przez całą drogę patrzyła tylko przed siebie, pogrążona w myślach.

Już w domu udała się prosto do biblioteki, gdzie jej mąż czytał przy biurku.

– Chce mu powiedzieć – obwieściła, wyłamując sobie palce z rozpacz. – Lady Brockenhurst zamierza uznać Charlesa za wnuka. Mówi, że jakoś przeżyją jego nieślubne pochodzenie, a socjeta i tak go zaakceptuje, jeśli będzie traktowany jako członek rodziny. Nawet wybrała mu już żonę.

– Charles nigdy się na to nie zgodzi.

– Nie, nie. – Podniosła dłoń, po raz kolejny zmuszając się do szczerości. – On tę dziewczynę kocha. Prawdę rzekłszy, ja także, jest urocza. Ale przez nią stracimy go z oczu.

– A Sophia? – James patrzył w ogień. – Jaką rolę odegra w tej szczęśliwej historii?

– Lady Brockenhurst uważa, że Sophia nie powinna odgrywać żadnej roli. Charles będzie synem Edmunda Bellasisa i jego tajemniczej kochanki, która zniknęła w pomroce dziejów. W ten sposób reputacja Sophii ocaleje, a my nie zapłacimy żadnej ceny.

– A więc jest już stracony.

Nie zrozumiała go.

– Kogo masz na myśli, Charlesa? To Sophia będzie stracona.

– Nie. – Jak jego żona, zwykle taka mądra, może nie dostrzegać prawdy? – On jest stracony dla nas.

– W jakim sensie?

– Jeśli Bellasisowie go uznają, to dla dobra naszej córki i wszystkich innych zainteresowanych my będziemy musieli zniknąć z jego życia.

– Nie. – Anna poczuła na policzkach łzy.

James mówił dalej; wiedział, że trzeba jasno postawić sprawę.

– Taka jest prawda. Jeśli hrabina dotrzyma słowa i nie wymieni jej nazwiska, to i my powinniśmy chronić pamięć Sophii. Im częściej byśmy go widywali, tym większe byłoby ryzyko, że ktoś zacznie sobie coś kojarzyć. Skoro kochamy córkę, musimy poświęcić wnuka.

Annę zalała ogromna fala żalu. Poczowała się tak, jakby jej piękne uparte dziecko jeszcze raz umierało.

James ujął żonę za rękę, próbując dodać jej siły do zniesienia tego ciosu.

– Straciliśmy Charlesa na zawsze na rzecz rodziny Brockenhurstów. Niech mu się dobrze wiedzie, a my idźmy dalej swoją drogą.

John Bellasis był wściekły. Nie znosił, jak przypiera się go do muru, a jeszcze bardziej nie podobało mu się to, że dał się wystrychnąć na dudka jakiemuś fagasowi, niechby nawet kamerdynerowi. Sam uważał się za światowca, człowieka bystrego, znającego się na rzeczy, wyrafinowanego, a jednak nie wyczuł niebezpieczeństwa podstępny. Aż trząsał się ze złości w powozie, którym jechał do Buckland, wioski wielebnego Pope'a w Surrey. Ostatecznie dopłacił drugie dwadzieścia funtów temu kundlowi Turtonowi, żeby zobaczyć pierwszą stronę listu i co najważniejsze, poznać adres. Pewnie mógłby dowiedzieć się innymi kanałami, w której parafii sprawował rząd dusz ten pastor, ale jak długo by to trwało? Wyrzucał sobie, że nie zaczął działać wcześniej. Bo jeśli naprawdę miało się to opłacić i jemu samemu, i ojcu, to zanim stawi czoło ciotce, musi doprowadzić do konfrontacji z wielebnym Pope'em i zebrać wszystkie fakty.

Mijając sadzawkę z kaczkami, stadko gdaczących kur i gęgających gęsi, przypominał sobie, dlaczego zamieszkał w Albany. Niektórzy nazwaliby to sielską idyllą: była tu kuźnia z zapracowanym kowalem, a po drugiej stronie murawy zgięty wpół kołodziej mocował szprychy w piąście, ale John nie gustował w takich bukolicznych urokach. Wieś go nudziła, a od świeżego powietrza dostawał kaszlu.

Tuż obok przysadzistego romańskiego kościoła z dużym cmentarzem odnalazł plebanię – ładny, stary kamienny budynek w ogrodzie pełnym róż, chociaż mniejszy i nie tak okazały jak dom ojca w Lymington, co odnotował z zadowoleniem. Nie zachwyciłby go fakt, że Charles dorastał w otoczeniu dorównującym jego własnemu. Poleciał stangretowi poczekać i ruszył ogrodową ścieżką do wejścia.

– Słucham pana?

Drzwi otworzyła starsza gospodyni. Zgarbiona, z siwymi włosami zebranymi pod czepkiem i długim haczykowatym nosem, przypominała sępa, którego John widział w nowym ogrodzie zoologicznym w Regent's Park, gdzie kiedyś pewien przyjaciel zaprosił go na prywatne zwiedzanie. Przedstawił się jako pan Sanderson i wyłuszczył, o co mu chodzi, po czym zaproszono go do skromnego salonu. Było tam ciepło i wygodnie, palił się ogień, a nad kominkiem wisiał pastel, na którym John od razu rozpoznał młodego Charlesa Pope'a. Może malował go ten sam artysta co portret pastora w biurze jego syna. Był to dość romantyczny wizerunek: model pozował w rozpiętej pod szyją koszuli, na głowie miał burzę niesfornych kędziorów, ale z niebieskich oczu wodziła siła. John patrzył na niego z lekkim niepokojem, zważywszy na motyw, który go tu przywiódł.

– Dzień dobry panu – rozległ się damski głos.

John się odwrócił. W drzwiach stała korpulentna kobieta w średnim wieku, zapewne po pięćdziesiątce, w prostej czarnej sukni bez żadnych ozdób. Miała życzliwe spojrzenie i włosy porządnie upięte pod wdowim czepkiem, z wyjątkiem starannie zakręconych pukli wokół twarzy.

– Moje uszanowanie pani.

Wskazała mu miejsce w fotelu przy ogniu i sama usiadła naprzeciwko.

– Czym mogę panu służyć?

– Właściwie miałem nadzieję na rozmowę z pani mężem.

– W takim razie obawiam się, że odbył pan tę podróż na próżno. Pastora Pope’a nie ma już wśród nas. W najbliższy wtorek minie rok od jego śmierci. Zresztą miał pan szczęście, że jeszcze mnie tu zastał, bo wkrótce będę musiała zostawić to miejsce jego następcy.

– To bardzo okrutny przepis.

– Ależ nie. Dano mi na wyprawdzkę cały rok i uważam, że to bardzo wielkoduszne. Nie musi się pan o mnie martwić. Syn zabiera mnie do Londynu i tam zamieszkam razem z nim. Czeka mnie więc zupełnie nowa przygoda, co w moim wieku można uznać za szczęście. – Aż poróżowiła na samą myśl o tym.

John był zły na siebie. Czemu nie odkrył tego wcześniej? Nagle w drzwiach ukazała się kobieta, która wpuściła go do domu. Wniosła ostrożnie tacę z zastawą do herbaty i umieściła ją na stole w rogu. Kiedy znów zostali sami, pani Pope wstała i zaczęła napełniać filiżanki.

– Czy mogę panu w czymś pomóc?

– Cóż... Właściwie chciałbym porozmawiać z pani synem.

– To pan go zna? – spytała z uśmiechem.

– Poznaliśmy się. – John zastanawiał się, jak wiele kart ma odkryć na samym początku. – Byłem w jego biurze w City.

– Ach, więc ma pan nade mną przewagę. – W jej łagodnych oczach błysnęła duma.

– Doskonale sobie radzi. – Zrozumiał, że więcej z niej wyciągnie, przedstawiając się jako przyjaciel, a nie wróg Charlesa.

Zaśmiała się radośnie.

– Wiem, wiem. W handlu bawełną tak samo. Wprawdzie na początku nie tego ojciec po nim oczekiwał, ale dzięki Bogu dostatecznie długo żył na tym świecie, aby umieć się cieszyć z osiągnięć syna.

– A zatem oczekiwał czegoś innego?

– Nie tylko on, ja także. Wtedy za najlepszą przyszłość dla niego uważaliśmy karierę duchownego, ale kiedy Charles podrósł, okazało się, że ma innego rodzaju zdolności. – Wspominanie dawnych dni sprawiało jej wyraźną przyjemność.

John sączył herbatę.

– Dlaczego powiedziała pani „na początku”?

To było niezręczne, ale pani Pope tego nie zauważyła.

– No bo... Chodzi o okres, kiedy zaczęliśmy... to znaczy, kiedy Charles był malutki, a my zastanawialiśmy się nad jego edukacją. Tak dobrze się uczył! – Najwyraźniej uznała, że zręcznie wybrnęła z kłopotliwego pytania i należy się jej nagroda. Sięgnęła po herbatnik.

John zdecydował się na stanowczy krok:

– Czy ma pani jakieś własne dzieci, pani Pope, czy też Charles jest jedynym pani podopiecznym?

Patrzyła na niego w osłupieniu, ale John wykonał przeproszający gest.

– Powiniennem się wytłumaczyć. Jestem przyjacielem Jamesa Trencharda i to przez niego poznałem Charlesa.

Wyraźnie się rozluźniła, a jej chwilowy popłoch rozplynął się w uśmiechu.

– Ach, rozumiem.

– To cudowne, że pan Trenchard podjął się pieczy nad chłopcem od chwili jego narodzin. Postąpił bardzo wielkodusznie.

– O tak.

– Czy tylko on czuwał nad młodym Charlesem, odkąd przyjęli go państwo pod swój dach? Może jeszcze ktoś inny na niegołożył?

Ale pani Pope w końcu zorientowała się, że coś tu jest nie tak, jak jej się wydawało. Zachmurzyła się i odstawiła filiżankę.

– Czego właściwie pan ode mnie chce?

– Niczego. – John w zasadzie uzyskał już wszystko, więc nie przejął się, że sytuacja może wymknąć mu się z rąk. – Tyle słyszałem o państwie od Jamesa, że kiedy przejeżdżałem tędy, postanowiłem was poznać.

Pani Pope jednak odtworzyła już sobie w głowie cały przebieg rozmowy.

– Skoro tak, to dlaczego nie wiedział pan, że mój mąż nie żyje? – Wstała. – Nie wierzę panu. Nie wierzę, że zna pan Charlesa, a jeśli nawet, to źle mu pan życzy. Teraz, kiedy o tym myślę, nie wierzę także, że pan Trenchard rozmawiał z panem o nas. I na pewno powiadomię go o pańskiej wizycie.

Ponieważ John podał fałszywe nazwisko, tym także niewiele się przejął.

– Bardzo mi przykro, że panią zdenerwowałem, ale gdyby pani tylko...

– Proszę, aby pan już wyszedł. – Podeszła do dzwonka, pociągnęła za sznur, a kiedy rozległ się ostry pojedynczy brzęk, czekała w milczeniu, aż zjawi się gospodyni. – Janet, pan Sanderson wychodzi.

John wstał.

– Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Dziękuję za herbatę.

Ale pani Pope nie odezwała się już ani słowem, czekała tylko, aż gość opuści jej dom. Potem usiadła przy biurku i zaczęła pisać z furią na arkusiku papieru.

Susan Trenchard przyjechała do Isleworth, aby rozmówić się ostatecznie z Johnem, a przynajmniej zwierzyć mu się ze swoich obaw. On jednak jej nie słuchał. Za bardzo pochłaniały go własne myśli, nawet kiedy oddawała mu się w miłosnym gniazdku, które zdążyła już tak dobrze poznać. Teraz powiedział jej dlaczego.

– Mówisz poważnie? – Obróciła się na bok, żeby spojrzeć mu w twarz. W momencie przyjazdu nie za dobrze się czuła, ale ta nowina tak ją zdumiała, że wszystko inne straciło znaczenie.

– Całkiem poważnie. To on, prawda? – John spojrział na zegar. Naprawdę powinien już się

ubierać. Musi zdążyć na obiad, ale w ogóle nie miał na to ochoty. Przesunął dłonią po jej ciepłej gładkiej skórze. Uzależnił się od tej kobiety i coraz niechętniej myślał o zerwaniu z tym nałogiem.

– Pan Trenchard i nieślubny syn? – Susan zaczęła się śmiać; przy świetle jej oczy błyszczały w taki sposób, że nie mógł przestać w nie patrzeć. – Ależ to skończony nudziarz!

– Nawet nudziarze to robią.

– Jakbym nie wiedziała! – Susan jęknęła na wspomnienie bezowocnych wysiłków Olivera. – Więc co się stało z tym chłopcem? Wiemy, gdzie on jest teraz?

– Jest już całkiem dorosły. To wszystko wydarzyło się dwadzieścia sześć lat temu. Ale tak, bardzo dobrze wiemy, gdzie jest. – John uśmiechnął się triumfalnie.

– Droczyś się ze mną! Dlaczego? Czy ja go znam?

– To zależy. Jak dobrze znasz Charlesa Pope’a?

Susan usiadła i wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Charles Pope?

– Na to wygląda.

Rzuciła się z powrotem na poduszki.

– No rzeczywiście jest w tym jakiś sens. Oliver dostaje szału, że pan Trenchard staje na głowie dla tego człowieka. Pomaga mu od chwili, gdy znalazł się w Londynie, a teraz zainwestował sporo w jakieś jego interesy w Manchesterze. Obsypuje go swoimi względami, a pewnego dnia Oliver zaskoczył ich przy wspólnym lunchu w klubie ojca. I żebyś słyszał, jak Trenchard o nim mówi! Ledwie go wspomni, usta same składają mu się do uśmiechu. Gdybym nie znała mojego teścia tak dobrze, mogłabym sądzić, że się w nim kocha! A z pewnością bardzo go lubi.

John skrzywił się z niesmakiem.

– Co za horrendalna myśl! Czy pani Trenchard coś podejrzewa? Jak sądzisz?

Susan zmarszczyła brwi.

– Raczej nie. Lubi pana Pope’a i sam widziałeś, że odwiedzała go w miejscu pracy. Ale może ją tłumaczyć zainteresowanie jej męża tą przedziałnią. Ona jest zupełnie nieprzenikniona, ta moja teściowa. Trudno odgadnąć, co myśli.

– Lubisz ją?

Zastanowiła się.

– W zasadzie tak. Bardziej niż ona mnie. Gdybym miała zabrać któreś z nich do nowego życia, to wzięłabym ją.

– Do nowego życia? A kiedy się ono zaczyna?

– Tego nie wiem. – Przesunęła językiem po dolnej wardze, nadając jej połysk.

John zaczął się ubierać.

– Mnie interesuje, czy twój teść trzymał to w sekrecie przed własną rodziną. Większość mężczyzn już dawno by się przyznała. Połowa wielkich angielskich rodów miała nieślubne potomstwo i nie

robi z tego tajemnicy. Więc czemu nie Trenchardowie?

– Jemu brakuje pewności siebie. Prawdopodobnie myśli, że w ten sposób oszczędza żonie przykrości albo chroni Olivera, który oczywiście nie przyjmie miło takiej nowiny. Ale w gruncie rzeczy chodzi o coś innego. Trenchard się boi o swoją pozycję w towarzystwie.

John parsknął śmiechem.

– On nie ma żadnej pozycji w towarzystwie.

– Ale myśli, że ma. A przynajmniej o tym marzy. – Teraz i ona zaczęła się śmiać. Ale nagle spoważniała. – Czekał no. Jeśli Pope jest bękartem Trencharda, to czemu hrabina Brockenhurst tak się nim interesuje? Przecież pamiętasz, jak paradowała z nim po swoich salonach.

– Wiem. – John zapinał koszulę i przyglądał włosy przed lustrem. – Ile ona mogła mieć lat w roku urodzenia Charlesa? Czterdzieści jeden?

Susan wlepiała w niego zdumiony wzrok. Co on sugeruje?

– Nie bądź śmieszny.

– Co Trenchardowie robili na tym przyjęciu? Skąd lady Brockenhurst ich wytrzasnęła? Przecież ona nie obraca się w takich sferach.

– W ogóle cię nie słucham.

Susan wstała z łóżka i zaczęła zbierać z podłogi porozrzucaną bieliznę.

Ale John zaczynał się już przywiązywać do swojej koncepcji.

– Czemu uważasz to za niemożliwe? Czyż to nie wyjaśnia wszystkiego, łącznie z sekretem?

Podeszła do niego, aby jej pomógł z gorsetem, i cierpliwie czekała, aż pozapina wszystkie haftki.

– Ćwierć wieku temu hrabina Brockenhurst musiała być jedną z najbardziej pociągających kobiet w Anglii. Jako córka księcia i siostra księżnej miała ogromne wpływy i zajmowała szczytową pozycję w towarzystwie. A po drugiej stronie? James Trenchard, kwatermistrz armii księcia Wellingtona, dostawca żywności, gruby, nadęty człowieczek z klasy pracującej, o twarzy rzeźnika, bez majątku i poważniejszych pieniędzy, a w każdym razie na pewno nie tak bogaty jak teraz. Musiałby być chyba rosyjskim carem, żeby zaciągnąć do łóżka lady Brockenhurst.

Johna to nie przekonywało.

– Ale założę się, że już wtedy rozpychał się łokciami, wykorzystywał każdą okazję, byle iść w górę. A czy istniała lepsza drabina niż moja droga cioteczka?

Susan, która zdążyła już włożyć suknię, obróciła się do niego plecami, żeby ją zapiął.

– Nie powinieneś mówić takich rzeczy, John. To bardzo niebezpieczne.

– Może i niebezpieczne, ale to nie znaczy, że nieprawdziwe. A masz jakieś inne wytłumaczenie, które pasuje dosłownie do wszystkiego?

Nie odpowiedziała. Patrzyła w milczeniu, jak John wciąga buty. Wyprostował się, sięgnął po pelerynę... Był gotów do wyjścia.

— 9 —

Przeszłość to obca kraina





Anna Trenchard siedziała przy stole i jadła na śniadanie jajecznicę. Razem z Jamesem pół nocy nie spali, zastanawiając się, co zrobią, kiedy lady Brockenhurst oficjalnie uzna Charlesa za wnuka. Ostatecznie Anna musiała przyznać rację mężowi. Gdy tylko hrabina powita Charlesa w swojej rodzinie, oni po prostu go utracą. Nigdy nie będą mogli mu wyjaśnić, kim dla niego są, przynajmniej jeśli zechcą chronić pamięć Sophii. Musi im wystarczyć, że James zainwestował w przedsięwzięcie Charlesa i został jego benefaktorem. Może uda im się podtrzymać jakiś rodzaj kontaktu poprzez ten wspólny interes, chociaż i tu trzeba bardzo uważać, żeby ktoś nie odkrył prawdy.

Do jadalni zajrzał Turton.

– Czy mam podać więcej tostów, proszę pani?

– Dla mnie nie, ale może pani Oliverowa zechce.

Skinął głową i poszedł przekazać polecenie. Anna wiedziała, że Turton podziela opinię Jamesa w kwestii śniadań: to czyste dziwactwo, żeby mężatki schodziły rano na dół, obie panie powinny żądać, aby przynoszono im tace do sypialni. Anna jednak uważała, że ten zwyczaj prowadzi do rozleniwienia, i nigdy mu nie ulegała, a James już dawno zrezygnował z perswazji. Mieszała teraz jajka widelcem, nie podnosząc ich do ust. Wszystko to razem wydawało się okropnie niesprawiedliwe, ale czyż sama nie jest sobie winna? Czyż to nie ona razem z Jamesem oddali dziecko z domu i utrzymywali jego istnienie w tajemnicy? Czy nie ona pierwsza powiadomiła o tym lady Brockenhurst? Po raz nie wiadomo który zastanawiała się, czy na pewno zrobiła wszystko, aby uratować Sophię. Dlaczego jej piękna córka umarła? A gdyby zostali w Londynie? Gdyby opiekował się nią londyński lekarz? Już nie wiedziała, na kogo się gniewać: na Boga czy na siebie.

Tak bardzo pochłoneły ją myśli o tym, „co by było, gdyby...”, że prawie nie zauważyła nadejścia Susan.

– Dzień dobry, mamó.

Susan miała na sobie ładną poranną suknię w szarym kolorze, a jej włosom Speer musiała poświęcić co najmniej pół godziny. Upięła je wysoko z tyłu, a z obu stron twarzy wypuściła po kilka ciasno skręconych loków.

– Dzień dobry, moja droga. Jaką masz śliczną fryzurę!

– Dziękuję. – Susan stanęła przed półmiskami na podgrzewaczach, ale zaraz usiadła na swoim miejscu i zwróciła się do Turtona, który właśnie wrócił: – Poproszę tylko o tost i filizankę kawy.

– Już podaję, proszę pani.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się promiennie do teściowej, co ta natychmiast odwzajemniła.

– Bardzo jesteś dziś zajęta?

– O tak. Zakupy, przymiarka, potem lunch z przyjaciółką. – Z jej tonu, podobnie jak z twarzy, promieniowała wesołość, ale Susan bynajmniej nie było dziś do śmiechu, wręcz przeciwnie.

Niemniej, jako dobra aktorka, wiedziała, że dopóki nie podejmie konkretnych decyzji, nie może się zdradzić ze swoim zmartwieniem.

– Gdzie jest Oliver?

– Na przejażdżce. Wypróbowuje tego nowego konia. Wyruszył o świcie, co dla stajennego było dość przykre. Chciał pokazać się w parku z nowym nabytkiem.

Tymczasem Turton przyniósł gorące tosty na ruszcie.

Susan podziękowała mu i wzięła jednego, ale wyraźnie nie miała apetytu.

Anna uważnie przyglądała się synowej.

– Jesteś dziś jakaś roztargniona. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Susan z uśmiechem pokręciła głową.

– Nie sądzę, to drobiazg. Po prostu układam sobie listę spraw na dzisiaj. I niepokoję się o przymiarkę. Podczas ostatniej spódnica leżała fatalnie i modłę się, żeby krawcowej udało się ją poprawić.

– Cóż, jeśli to tylko to... – Anna się uśmiechnęła, ale bez przekonania. Widziała przecież, że synową coś nurtuje, ale nie miała pojęcia co. Przyglądając się jej, zauważyła leciutkie wypełnienie zarysu szczęki, również kości policzkowe nie wystawały jej tak jak dotąd. Czyżby przybrała na wadze? To by wyjaśniało, dlaczego prawie nic nie je. Nie, Anna powstrzyma się od komentarza. Nie wyobrażała sobie przykrzejszej uwagi niż wytknięcie komuś, że tyje. Susan podniosła wzrok, jakby uświadomiła sobie, że jest obserwowana. Ale zanim zdążyła się odezwać, pojawił się Turton z listem na srebrnej tacce.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyniesiono to przed chwilą.

– Dziękuję, Turton. – Anna wzięła list. Obejrzała nowy znaczek (czerwony, jednopensowy – co za rozsądna innowacja!) i stempel z Faversham w Kent, ale nie mogła sobie przypomnieć nikogo, kto tam mieszka.

– Zostawię cię, mamó, żebyś mogła spokojnie go przeczytać – zaproponowała Susan, wstając. Naprawdę chodziło o to, że zebrało się jej na mdłości i czuła, iż będzie lepiej, jeśli pójdzie do swojego pokoju. Kłamstwa rodzą tyle komplikacji, pomyślała, nie po raz pierwszy zresztą.

Anna zerknęła na nią znad koperty.

– W takim razie miłego lunchu. Mówiłaś, że z kim masz się spotkać?

Ale Susan zdążyła już wyjść.

List był od Jane Croft, dawnej pokojowej Sophii w Brukseli. Anna zapamiętała ją jako sympatyczną dziewczynę, którą jej córka bardzo lubiła. Nie rozmawiały nigdy na ten temat ani przed, ani po śmierci Sophii, ale jako osobista pokojowa Croft musiała wiedzieć o jej ciąży. Kiedy przeprowadziły się z Sophią do Derbyshire, Croft została w londyńskim domu za samo utrzymanie i dach nad głową do czasu powrotu swojej pani, co oczywiście nigdy nie nastąpiło. Potem przyjęła posadę poza stolicą, ale z Trenchardami rozstała się bez pretensji, a im było przykro patrzeć, jak

wyjeżdża. Na pożegnanie dostała premię oraz doskonałe referencje. Jak widać, odegrały one należycie swoją rolę, bo kiedy Anna po raz ostatni słyszała o Croft, dawna pokojówka pracowała jako główna gospodyni u Longworthów z Sydenham Park, gdzieś w pobliżu Faversham w hrabstwie Kent. Anna zaczęła czytać list i nagle wstrzymała oddech. Jeśli przedtem zaskoczył ją sam fakt otrzymania wiadomości od Croft, to po zapoznaniu się z jej treścią o mało nie zemdląca z wrażenia.

Okazało się, że Croft i Ellis pozostawały w kontakcie i co kilka miesięcy wymieniały listy. Ostatnio Croft zaniepokoiły plotki, które Ellis włączyła do swojej ostatniej epistoły. Dotyczyły one młodego mężczyzny nazwiskiem Charles Pope. „Chętnie porozmawiałabym o tym z Panią osobiście, ale pisać na ten temat już nie chcę”. Anna wpatrywała się w te słowa, czując, że zaczyna ścisnąć ją w dołku.

Z początku po prostu rozgniewała się na Ellis. Po co, do licha ciężkiego, pisała do Croft o Charlesie? Co miała do powiedzenia na jego temat? Był młodym przemysłowcem, wspieranym przez jej męża, więc co to obchodziło służbę? Nagle przyszło jej do głowy, że Ellis mogła ją szpiegować i podsłuchiwać jej rozmowy z Jamesem. Na tę myśl zamarło w niej serce. Ellis faktycznie przez ostatnie miesiące zachowywała się dziwnie: co to za jakaś podejrzana historia z rzekomo zgubionym wachlarzem? Anna podniosła głowę i zobaczyła Turtona, tkwiącego nieruchomo na swoim posterunku przy kominku.

- Z łaski swojej powiedz Ellis, żeby przyszła do mnie, do salonu.
- Oczywiście, proszę pani – odrzekł z jak zwykle kamienną twarzą.

Ellis na pierwszy rzut oka zorientowała się, że pani nie chodzi o zwykłą naradę w sprawie sukni czy nowego przybrania kapelusza.

– Zamknij, proszę, drzwi. – Głos Anny brzmiał zimno i oficjalnie. Odwróciwszy się, by spełnić polecenie, Ellis szybko przebiegła w myśli wszystko, co mogłoby ją zdradzić. Czy ktoś ją widział z panem Bellasisem? Czy ktoś w pubie rozpoznał ich oboje? Desperacko wysilała mózgowicę, próbując na oczekaniu wymyślić wiarygodną historyjkę, która usprawiedliwiłaby ich spotkanie, ale nic nie przychodziło jej do głowy, a tymczasem stała już oko w oko z Anną.

– Ellis, dostałam list od Jane Croft.

– Naprawdę, proszę pani? – Ellis pozwoliła sobie na leciutkie westchnienie ulgi. Nie rozumiała, o co tu chodzi, ale na pewno nie ma to nic wspólnego z panem Bellasisem, bo absolutnie nic o nim nie pisała.

– Dlaczego pisałaś do niej o panu Popie?

Przez chwilę Ellis miała pustkę w głowie. Dlaczego pisała o nim do Jane? Pewnie dlatego, że pan tak się nim zainteresował, bo o co innego mogłoby tu chodzić?

– Może i wspomniałam coś, że pan bardzo wspiera swojego nowego protegowanego. Na pewno nic więcej. Przykro mi, jeśli panią uraziłam, bo absolutnie nie miałam takiego zamiaru.

Ten popłoch w połączeniu z urażoną niewinnością okazał się bardzo skuteczny. Anna przyjrzała się Ellis uważnie. Może mimo wszystko nic wielkiego się nie stało. James rzeczywiście niebywale

zainteresował się przedsięwzięciem Charlesa. Wszyscy na dole świetnie o tym wiedzieli i co z tego? Trochę się uspokoiła, ale wciąż pozostawały inne sprawy do wyjaśnienia.

– Skoro już tu jesteś... Dlaczego chodziłaś do Brockenhurst House po wachlarz, którego wcale nie zgubiłam?

Jak pani Trenchard to odkryła? Pewnie to sprawka tej „szczęśliwej niewolnicy” Dawson. Ellis szybko zapanowała nad wyrazem twarzy.

– To niezupełnie tak, proszę pani.

– Nie? A jak?

– Po tamtym przyjęciu komentowała pani fryzurę hrabiny, więc poszłam do jej pokojowej, żeby wy badać, jak ona to robi.

Anna zmarszczyła brwi.

– Nie przypominam sobie, żebym mówiła coś o fryzurze lady Brockenhurst.

– Ależ tak, proszę pani. A ja chciałam tylko panią zadowolić. – Ellis znów zrobiła tę swoją minę zranionej łani i znów jej się upiekło.

– A wachlarz?

– Ach, to przez moje roztrzepanie. Nie mogłam go znaleźć po pani powrocie z przyjęcia, więc pomyślałam, że musiał tam zostać.

– Dlaczego mnie nie zapytałaś?

Ellis się uśmiechnęła; czuła, że wygrywa.

– Nie chciałam pani zawracać głowy, zresztą i tak wybierałam się tam w sprawie tej fryzury.

– I ostatecznie gdzie był wachlarz?

– Włożyłam go do niewłaściwej szuflady, proszę pani. Pewnie byłam taka śpiąca, kiedy pani wróciła, że musiałam się zagapić.

Celny strzał. Anna nie mogła wyzbyć się poczucia winy, że trzyma pokojową na nogach do wczesnych godzin rannych tylko po to, żeby pomogła jej się rozebrać. I Ellis o tym wiedziała.

– Doskonale. Ale na przyszłość pomyśl dwa razy, zanim zaczniesz się rozpisywać do przyjaciółek o sprawach naszej rodziny. – Anna była już pewna, że przesadziła. – Możesz odejść... Aha, jeszcze jedno – dodała, kiedy Ellis ruszyła już do drzwi. – Croft przyjedzie, żeby się ze mną zobaczyć. Chcę, by u nas przenocowała, jeśli oczywiście się zgodzi. Możesz zawiadomić o tym panią Frant?

– Kiedy ma przyjechać?

– Jeszcze nie wiem. Pewnie w ciągu paru najbliższych dni. Wybiera się do Ameryki, do brata.

– Oczywiście, proszę pani.

Ellis zamknęła za sobą drzwi z uczuciem pewnej ulgi, że opanowała problem. Ale ta wymiana zdań zrodziła więcej pytań niż odpowiedzi. Przecież ledwie wspomniała tego Pope’a w liście do Jane, a jednak jej przyjaciółka uznała za stosowne napisać w tej sprawie do pani Trenchard po dwudziestu pięciu latach milczenia. Dlaczego? I dlaczego pani tak się wściekła, skoro w treści listu

nie było nic godnego uwagi? Oto wiadomość dla pana Bellasisa, a jeśli nie jest warta kolejnego suwerena, to ona nie nazywa się Mary Ellis.

– Panie Turton – syknęła, zszedłszy do sutereny. – Proszę na słówko.

Turton nie lubił, kiedy jego własny personel, i to damski, nim komenderował, ale coś w tonie Ellis kazało mu ustąpić. W końcu John Bellasis płacił im obojgu, a ta kobieta w każdej chwili mogła sprawić, że wyląduje w więzieniu. Gestem zaprosił ją do swojego kantorka i zamknął starannie drzwi.

– Jane Croft napisała do naszej pani list i ma tu przyjechać.

– Kto to jest Jane Croft?

– Dawno temu była pokojową ich córki. Wyjechała po śmierci panny Sophii.

Turton się zniecierpliwiał.

– Nie rozumiem, co to ma ze mną wspólnego.

– Cały czas pisywałyśmy do siebie z Jane i kiedyś wspomniałam jej coś na temat pana Pope’a. Kamerdynerem wyraźnie to wstrząsnęło.

– A po co, do diaska?

Ellis kręciła głową.

– To nic takiego. Po prostu napisałam, że pan Trenchard ma nowego faworyta. Ale to wystarczyło, żeby Jane zawiadomiła panią, a ta zaraz wezwała ją do Londynu.

Turton przyjął to do wiadomości. Oczywiście wiedział więcej niż Ellis na temat powiązań Charlesa Pope’a z rodziną Trenchardów. List, który wykradł swojemu panu, jasno wskazywał, że młody człowiek jest jego synem, ale nawet Turton nie rozumiał, jaką rolę odegrała w tym dawna pokojowa zmarłej córki.

– Powinniśmy powiedzieć o tym panu Bellasisowi – przerwała jego zadumę Ellis.

– Racja. – Nie miał pojęcia, co mu to da, ale może jest to jakiś sposób, aby na nowo wkraść się w jego łaski. Turton wiedział, że John Bellasis nie darował mu podstępu z podwójną opłatą za list przybranego ojca Charlesa Pope’a. – Zaraz do niego pójde.

– Nie, ja to zrobię. – Jeśli szykuje się jakiś napiwek, to sama chciała go zgarnąć. – W końcu pani mówiła to do mnie. Będzie pan musiał jakoś mnie usprawiedliwić, gdyby po mnie dzwoniła w czasie mojej nieobecności.

– Tylko proszę mu powiedzieć, że to ja panią wysłałem.

Ellis skinęła głową. Jeśli przedtem podejrzewała, że sprawy między kamerdynerem a ich wspólnym zleceniodawcą nie układają się za dobrze, to teraz nabrała pewności.

Maria Grey siedziała z książką na ławce przy Belgrave Square, kiedy zobaczyła zbliżającą się matkę. Nie mieszkały przy tym skwerze, ale ponieważ Chesham Place znajdował się dość blisko, udało się im zdobyć klucz do ogrodów, co uważano za cenny przywilej<sup>[44]</sup>. Nieopodal, na innej ławce, Ryan dziergała coś na drutach. Dziewczyna tak przywykła do tego, że jest traktowana jak

więzień pod strażą, że nie zwracała już na to uwagi. Lady Templemore przystanęła na chwilę, żeby nacieszyć się widokiem córki. Maria miała na sobie ciemnoczerwoną suknię z długimi rękawami, mocno dopasowaną w talii. Wyglądała jak średniowieczna księżniczka w oczekiwaniu na powrót ukochanego z wyprawy krzyżowej. Niewątpliwie była bardzo ładna i wszystko nadal mogło ułożyć się jak najlepiej, gdyby tylko ona, Corinne Templemore, zdołała jeszcze przez pewien czas utrzymać nad nią kontrolę.

– Co robisz?

– Czytam. – Maria pokazała matce książkę.

– Mam nadzieję, że nie powieść – zauważyła Corinne, ale z uśmiechem.

– Poezje. *Adonais* Shelleya<sup>[45]</sup>. To elegia na śmierć Johna Keatsa.

– Godne podziwu. – Lady Templemore usiadła obok córki na ławce. Wiedziała, że musi trzymać nerwy na wodzy, nie podnosić głosu i niczego nie krytykować, dopóki sytuacja nie zostanie opanowana. – Mam dobre wieści.

– Jakie?

– Louisa zaprasza cię do Northumberland.

– Do Northumberland?

Lady Templemore przytaknęła skwapliwie.

– Zazdroszczę ci. Belford jest cudowny o tej porze roku.

– A... co ja tam będę robić?

– A co robisz tutaj? Będiesz spacerować, jeździć konno, czytać... Zawsze to lubiłaś. – Paplała dalej wesoło, jakby proponowana podróż była jakąś cudowną, niebywałą okazją. – Marzę, aby się wyrwać z Londynu, od tego brudu i mgły. Sama pomyśl: przechadzki po klifach, morskie widoki...

Urwała nagle, jakby przytłoczona potęgą tej uwodzicielskiej scenerii.

Oczywiście córka od razu ją przejrzała.

– Ale mam, ja wcale nie chcę opuszczać Londynu. Przynajmniej nie w tym momencie.

– Oczywiście, że chcesz.

– Nie.

– Moja droga. – Corinne ujęła córkę za rękę. – Może pozwolisz, że to ja zdecyduję, co jest dla ciebie najlepsze? Chociaż ten jeden raz? – Słowom towarzyszył słodki, urzekający uśmiech. – Ja w tym czasie wszystko przygotuję i po powrocie zobaczysz, jak wszystkie dziewczęta skręcą się z zazdrości.

– Niby co przygotujesz?

– Ależ twój ślub. Pierwszą przymiarke zrobimy jeszcze przed wyjazdem. Potem, jak będzie już uszyta kopia z perkalu, ktoś zawiezie ją do Belford i tam ją przymierzysz. A ostatnia miara gotowej sukni odbędzie się już po twoim powrocie. Wtedy zostanie jeszcze parę dni na drobne poprawki.

Maria zamknęła starannie książkę.

– Czy ustaliłaś już datę?

Lady Templemore zachichotała w duchu. Tu ją ma! Szykowała się na łązy i walkę, a tymczasem Maria wyraźnie pogodziła się z losem.

– Tak. Wymieniliśmy listy z pastorem Bellasisem i zdecydowaliśmy się na pierwszą środę grudnia. Tym sposobem spędzisz jesień na północy i wrócisz wypoczęta, zadowolona i gotowa na nową przygodę.

– I tą nową przygodą ma być John Bellasis?

– Małżeństwo dla młodej panny zawsze jest nową przygodą.

Maria przytaknęła z powagą.

– I gdzie się ona rozpocznie?

– Chcieli, żeby ślub odbył się w Lymington, ale ja, jeśli nie masz nic przeciwko temu, skłonna jestem poprosić o udostępnienie Brockenhurst House. Naprawdę nie możemy wlec się aż do Irlandii, a po naszej stronie nie ma żadnego innego odpowiedniego miejsca. Ale koncepcja wesela w Londynie całkiem mi odpowiada, a poza tym oszczędzi się wszystkim trudów podróży. Kameralna uroczystość w Belgravii, jak to miło brzmi. – Spojrzała na widoczny między drzewami rząd okien na pierwszym piętrze. To okna sali balowej, gdzie odbędzie się wesele, które im obu zapewni przyszłość.

– Bardzo to uprzejmie ze strony lorda Brockenhursta.

– Właściwie gotów jest nas gościć w każdym ze swoich domów. Cieszy się z wyboru Johna, tak mi powiedziano, i z wielką radością przyjmie cię do rodziny.

Ton rozmowy brzmiał tak normalnie, że Corinne pozwoliła sobie na pewien optymizm; może jednak naprawdę wszystko się dobrze ułoży.

– A co na to wszystko lady Brockenhurst?

Corinne zerknęła podejrzliwie na córkę, ale ta patrzyła prosto przed siebie, bez żadnych oznak rozdrażnienia czy napięcia. Po prostu zadała pytanie.

– Na pewno będzie zachwycona.

– Ale jeszcze z nią nie rozmawiałaś?

– Nie, jeszcze nie. – Aż westchnęła ze szczęścia. – Napiszę do niej, a na jutro możemy zamówić przymiarę i w ogóle nadać bieg całej sprawie.

Maria wracała z matką na Chesham Place półprzytomna z przerażenia. Może i przywykła do życia pod ciągłym nadzorem, ale nie do takiego uczucia grozy, jakie teraz nią owładnęło. Hałas dzieci bawiących się na skwerze, głosy ptaków, szum wiatru, rozmowy przechodniów słyszała coraz ciszej w tle, aż wreszcie miała w uszach już tylko łoskot własnego serca. Zagryzła mocno wargę i zacisnęła pięść, wbijając sobie paznokcie w zagłębienie dłoni. Musiała pomyśleć, i to szybko. Nie poślubi tego człowieka, prędzej umrze. Do tej pory wydawało się jej to jakąś odległą, niesprecyzowaną koncepcją, szalonym planem matki, który nigdy nie doszedłby do skutku. Teraz jednak był o krok od realizacji, a ona nie mogła znieść nawet myśli o tym. Ale musi. Bo jedno wiedziała z całą

pewnością: trzeba działać, póki nie będzie za późno.

John Bellasis domyślił się sekretu Jane Croft. Ledwie Ellis zaczęła opowiadać o porannym incydencie, zrozumiał, że właśnie odnalazł się brakujący element łańcucha. Jane Croft była matką Charlesa Pope'a! Musiała nią być. Dwadzieścia pięć lat temu w Brukseli ona i James Trenchard...

– Ładna była? – zapytał, kompletnie zaskakując Ellis. – To znaczy w młodości.

– Dość ładna, jak na mój gust. A bo co? – Zupełnie straciła wątek. O co mu znowu chodzi?

Domyśliwszy się roli Jane Croft w życiu Jamesa Trencharda, John szybko zrozumiał cel jej przyjazdu do Londynu. Chce zobaczyć syna! Chce go zobaczyć, zanim wyjedzie do Ameryki. Pewnie nie zamierza tu wracać, ale przed opuszczeniem Anglii na zawsze pragnie go ujrzeć jako dorosłego mężczyznę.

Obrócił się do czekającej kobiety.

– Czy zanim panna Sophia zmarła, ta Croft tygodniami mieszkała u was tylko za samo utrzymanie, nie wykonując żadnej pracy? Dobrze mówię?

– Nie miała nic do roboty, bo panienka wtedy wyjechała.

John kiwał głową, próbując opanować natłok myśli. Trzymali dziewczynę w domu, karmili, pozwalali wypoczywać, dopóki jej czas nie nadszedł, a potem wysłali gdzieś na poród. Wszystko zorganizował James Trenchard, ale musiał mieć przecież zgodę żony. Na pewno o wszystkim wiedziała. Czy była zła na męża? Czy mu wybaczyła? Raczej to drugie, skoro Croft postanowiła zobaczyć się z dawną panią teraz, kiedy minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd ją zdradziła. Ale nie wyraził tych myśli słowami, a Ellis ta cisza zaczynała przerażać.

– Muszę już iść, proszę pana. Inaczej zaczną mnie szukać. – Ale nadal nie ruszała się z miejsca, w nadziei na napiwek, którym nie zamierzała dzielić się z Turtonem.

– Zamelduj, jak już pojawi się w Londynie. Chcę wiedzieć wszystko, co uda ci się wywęszyć. Wciągnij ją w rozmowę, przeszukaj rzeczy, dowiedz się wszystkiego, co jej wiadomo o panu Popie.

Zaczynało go to ekscytować. Oczywiście pozostał do wyjaśnienia jeszcze jeden trop, i to pod wieloma względami najważniejszy. Co ma do tego wszystkiego lady Brockenhurst? Wcale go nie zaskoczyło, że jednak nie była matką Pope'a. Susan miała rację. Jak w ogóle mogłoby do czegoś dojść między nią a takim Trenchardem? A jednak istniało jakieś powiązanie, i to silne. A kluczem do tej zagadki mogła być Jane Croft. John gotów był postawić ostatniego pensa na to, że w tym szczególnym ogniwie kryje się źródło zysku.

– To idź. Daj mi znać, jak tylko będziesz coś dla mnie miała.

Ale Ellis nadal ani drgnęła i oboje wiedzieli dlaczego. Wreszcie John wygrzebał z kieszeni spodni gwineę. Porwała ją i ruszyła do wyjścia, mijając jakąś postać, która na jej widok szybko dała nura za próg.

Susan Trenchard prawie wbiegła do domu, w którym mieszkał John. Stał jeszcze przy wejściu na schody, kiedy się pojawiła.



– O mały włos bym wpadła! Właśnie minęłam się z pokojową mojej teściowej.

– Powinnaś mnie uprzedzić o swoich wizytach.

– Uprzedziłam. Spodziewam się, że lunch już czeka.

– Nie martw się o to. Zaraz wyślemy mojego służącego, żeby coś nam przyniósł. – Ruszył na górę.

Nie lubił przyjmować gości w tym domu. Skromne pokoje nie świadczyły należycie o jego pozycji.

– Co cię tu sprowadza? Co to za pilna sprawa?

– Hm. Nie będę ci o tym opowiadać na schodach.

Co innego w zaciszu jego mieszkania. Bóg raczy wiedzieć, co się wtedy wydarzy.

Ellis nigdy nie miała szczęścia w życiu. Urodzić się po to, żeby komuś służyć, to nie jest los godny pozazdroszczenia, poza tym zawsze tak wychodziło, że o każdy kolejny krok musiała toczyć boje. Ale tego dnia, kiedy Jane Croft przybyła na Eaton Square, aby spotkać się z jej panią, Ellis po raz pierwszy poczuła, że złapała Pana Boga za nogi.

Od tej chwili ciągle powtarzała sobie w głowie plan Johna Bellasisa. W dniu przyjazdu przyjaciółki ma wygospodarować trochę czasu na pogawędkę w cztery oczy, aby wykryć, co Jane wie na temat Charlesa Pope'a, a także w miarę możliwości przeszukać rzeczy koleżanki. To wszystko powinna zrobić jeszcze przed jej rozmową z Anną Trenchard. Ciężka sprawa, ale pan Bellasis bardzo na to nalegał, a Ellis wiedziała, że w razie powodzenia z pewnością może liczyć na dobry napiwek.

I w końcu się udało. Croft przyjechała dosłownie kilka minut po wyjściu pani Trenchard, która wybrała się na zebranie charytatywne gdzieś w Park Lane i w domu spodziewano się jej najwcześniej za dwie godziny. Czas okazał się łaskawy dla Jane, myślała Ellis, mierząc ją wzrokiem z góry na dół. Dawna pokojowa była dostatecznie pociągająca, by żołnierskie głowy obracały się na jej widok przez wszystkie lata w Brukseli, kiedy razem z panią Sophią beztrosko włóczyły się po mieście. Dziwna sprawa z tą wojną. Nie tylko Ellis zauważyła, że w jej obliczu wszyscy stają się tacy lekkomyślni i impulsywni, jakby odór zbliżającej się śmierci zachęcał do czerpania z życia pełnymi garściami, bez względu na wszystko.

– Świetnie wyglądasz. Nic a nic się nie postarzałaś.

– Dziękuję. – Croft poprawiła brązowe włosy, które posiwiały tylko trochę przy skroniach. – Ty także – skłamała uprzejmie.

– Pani Trenchard wróci za parę godzin. Zaraz poprosimy panią Babbage o trochę chleba i sera, a potem utniemy sobie pogawędkę jak za starych dobrych czasów. – Wskazała jej miejsce w kącie sali dla służby, a sama poszła wydać polecenia.

– Dziękuję, dziękuję, jak to miło z twojej strony – ucieszyła się Croft, niczego nie podejrzewając.

Tak więc przy chlebie, serze oraz szklaneczce cydru opowiedziały sobie wzajemnie wszystkie nowiny. Życie Croft po odejściu od Trenchardów potoczyło się całkiem dobrze, polubiła swoją posadę gospodyni, mimo całej odpowiedzialności, która zresztą wiązała się z dodatkowymi zarobkami.

– To dlaczego, jak słyszę, wybierasz się do Ameryki?

Croft uśmiechnęła się, wyraźnie podekscytowana.

– Mój brat wyemigrował tam wiele lat temu, niedługo po moim powrocie z Brukseli. Pracuje w budownictwie i świetnie mu się powodzi.

– A gdzie się osiedlił?

– W Nowym Jorku. Tam się dużo buduje od przełomu wieków i on wypłynął właśnie na tej fali. Teraz kończy własny dom przy ulicy, którą nazywają Piątą Aleją, i chce, żebym mu go poprowadziła.

– Jako służąca?

– Jako jego siostra. Dotąd się nie ożenił.

Ellis uniosła brwi.

– Jeszcze może to zrobić, skoro jest taki bogaty.

– Myśli o tym. Ale i tak chce, żebym z nim zamieszkała.

Ellis poczuła, że wzbiera w niej zazdrość. Croft przestanie być służącą i zamieszka w pięknym domu w nowym kraju. Gdzie tu sprawiedliwość, kiedy ona, Ellis, wciąż musi się kłaniać i ścibolić każdy pens, szpiegując i kradnąc?

– Mam nadzieję, że przywykniesz do tamtejszego klimatu – rzekła cierpko. – Podobno wielkie upały i mrozy bardzo źle wpływają na nastrój.

– Jakoś sobie poradzę – odparła Croft, świetnie zdając sobie sprawę, co się dzieje w głowie koleżanki. – Oczywiście będę musiała zdecydować, co zrobić z wolnym czasem, bo dotąd czegoś takiego nie znałam.

– To ci dopiero problem! – Ellis zdobyła się na rzadki u niej uśmiech. – Kiedy wypływasz?

– W czwartek. Rano jadę do Liverpoolu, na co nie bardzo się cieszę, ale na szczęście wszystkie rzeczy poza jedną torbą wysłałam wcześniej do hotelu. Tam spędzę noc, a następnego ranka wsiadam na statek.

Ellis miała silną pokusę ostudzić zapał Croft i przy okazji popsuć jej całą przyjemność, ale się w porę opanowała.

– Po co chciałaś się zobaczyć z panią Trenchard?

Croft wzruszyła lekko ramionami.

– Może to coś ważnego, a może drobiazg bez znaczenia. – Zawahała się, niepewna, czy ma mówić dalej.

– Wiesz, że miałam przez ciebie kłopoty? Wspomniałaś w liście, że pisałam ci coś o panu Popie. – Ellis wyglądała bardziej na urażoną niż złą.

– Nie, o tym nie wiedziałam. Bardzo mi przykro.

– Więc chyba jesteś mi winna wyjaśnienie.

No tak. Croft nie miała pojęcia, że jej koleżanka nie jest tylko zwykłą zazdrośnicą.

– Podczas pakowania wszystko uporządkowałam. Przejrzałam stare listy i inne pamiątki,

a wszystko, na czym mi szczególnie nie zależało, wyrzuciłam. Wiesz, jak to jest.

– Oczywiście.

– No więc natrafiłam na jakieś papiery panienki Sophii i chciałam je przekazać pani Trenchard. Nie wiem, czy je zatrzyma, ale po prostu uważałam, że nie powinnam niczego niszczyć. No i pomyślałam, że najlepiej będzie zrobić to, zanim wyjadę. Na pewno pani wrzuci je do ognia, gdy tylko wyjdę z pokoju.

– I po to jechałaś taki kawał?

– Niezupełnie. Mieszkałam w Kent, więc to oznaczało tylko przerwę w drodze do Liverpoolu. Poza tym od lat nie byłam w Londynie. Słyszałam o budowlach naszego pana, czytałam ich opisy w gazetach, ale chciałam zobaczyć na własne oczy, jak zmieniło się miasto, bo nie wiem, czy jeszcze będę miała taką okazję.

Ellis natychmiast dostrzegła w tym szansę.

– Oczywiście, rozumiem, i zaraz coś ci powiem. Najlepiej pójdź teraz, będziesz miała mnóstwo czasu do powrotu pani, co najmniej dwie godziny. Dam ci spis ulic i placów, które powinnaś obejrzeć, a ty potraktuj to jak miłą rozrywkę.

Croft pokiwała głową, ale nie uszła jej uwagi jakaś nerwowość w tonie koleżanki.

– Pewnie nie możesz iść ze mną? Wiesz, od dość dawna nie chodziłam po Londynie...

Ellis zaśmiała się dobrodusznie.

– Gdybym tylko mogła! Mam po uszy roboty, ale nic się nie martw. Jeśli chcesz, dam ci na dorożkę, to wszędzie cię obwiezie.

– Nie trzeba, mam pieniądze.

– No to korzystaj, bo szybko nie trafi ci się taka okazja.

– Cóż, to prawda. Co mam zrobić z torbą?

– Zaraz każę chłopakowi zanieść ją do pokoju. Będziesz dziś spała ze mną.

Croft wstała i poszła po pelerynę, którą wcześniej powiesiła w korytarzu.

Kilka minut później Ellis zaniósła torbę Jane do pokoju Turtona, gdzie we dwójkę przejrzeni jej zawartość. W jeszcze krótszym czasie znaleźli to, czego szukali: dużą skórzaną saszetkę z plikiem listów i innych papierów.

– Musimy się spieszyć – zauważyła, widząc, jak uważnie Turton przegląda dokumenty.

Kamerdyner się namyślał.

– Co on nam za to da?

– Przecież nie możemy ich wykraść, bo gdy tylko wróci pani i zechce je zobaczyć, wszystko się wyda. Musimy zrobić kopie, i to zaraz, przed jej powrotem.

Turton nie wyglądał na przekonanego.

– Ale skąd mamy wiedzieć, ile za nie dostaniemy?

Ellis traciła już cierpliwość.

– Panie Turton, nie wiem dlaczego, ale pokłócił się pan z panem Bellasisem i ma to wpływ na pańskie decyzje. Ja myślę jasno. Mamy okazję sprzedać coś, na czym mu zależy. Targować się będziemy później, a na razie musimy zrobić kopie, bo tylko wtedy będzie miał co kupić. Potem pani dostanie oryginały i nikt się o niczym nie dowie.

– Czemu panna sama ich nie przepiszesz?

– Bo... – zaczęła Ellis i urwała. Chciała powiedzieć, że nie umie pisać, ale to nieprawda. Umiąca, lecz nie dość ładnie jak dla oczu pana Bellasisa. I złościło ją, że Turton o tym wie.

Turtona wyraźnie bawił jej popłoch.

– No dobrze, zaraz to wszystko przepiszę, a panna zanieś te kopie panu Bellasisowi. Ale proszę nie dawać mu ich do ręki, dopóki nie uzgodnicie ceny. Chyba że sam pójde.

– Nie. Jeśli jest na pana zły, to nie będzie skłonny dużo zapłacić.

Turton przyznał jej słusność; rzeczywiście był w tym jakiś sens.

Rozstrzygnąwszy tę sprawę, szybko wziął się do dzieła. Zasiadł przy biurku z piórem ze stalówką i atramentem, podczas gdy Ellis stała na warcie. Pisał na grubym białym papierze, prawie się nie odzywając, a kiedy skończył, polecił jej szorstko:

– Zanieś mu, panna, te kopie, tylko przedtem odłóż oryginały na miejsce.

– A to ma jakąś wartość?

Namyślał się przez chwilę.

– Dla pana Bellasisa mogą być warte albo bardzo wiele, albo nic.

Ellis go nie zrozumiała.

– Jak to?

Ale Turton nie rozwinął tematu. Oddał jej skórzaną saszetkę z oryginałami, aby włożyła ją z powrotem do torby i zaniósła do swojej sypialni na strychu.

Pół godziny później Ellis czekała na dziedzińcu w Albany. Wreszcie na ganku ukazał się służący z informacją, że pan Bellasis jest w domu i gotów jest ją przyjąć.

Reakcja Johna na widok dokumentów okazała się niezupełnie zgodna z jej oczekiwaniami. Czytał je w absolutnej ciszy, kiedy ona stała cierpliwie przy drzwiach. Potem jeden z listów przeczytał powtórnie z twarzą tak nieruchomą, jakby wykuto ją w kamieniu. Nie mogła rozpoznać, czy jest zadowolony, zafascynowany czy przerażony. W końcu podniósł wzrok.

– Gdzie są oryginały?

– Tam, gdzie trzymała je panna Croft, w jej torbie. W moim pokoju.

– Przyniesiesz mi je – zażądał tonem wodza wydającego rozkaz.

Ellis kategorycznie odmówiła.

– Nie mogę. Wiedziałyby, kto je zabrał, i co potem?

– Nic mnie to nie obchodzi. Masz mi je natychmiast dostarczyć. Jeśli cię za to wyrzucą, dam ci

tytułem rekompensaty tysięcy funtów.

Ellis nie wierzyła własnym uszom. Ile? Tysiąc funtów? To więcej niż kiedykolwiek śmiała marzyć, i za co? Za tych kilka kartek, które Croft skomentowała w tak zagadkowy sposób? Patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca.

– Czy wyraziłem się jasno?

Potwierdziła, wciąż jak wrośnięta w ziemię.

– To wynocha! – ryknął, wrywając ją wreszcie z letargu.

Otworzyła z impetem drzwi, zbiegła po schodach i pognąła przez Piccadilly, aż ludzie się za nią odwracali.

Kiedy dotarła do sutereny numeru 110, była tak zasapana, że z trudem łapała powietrze. Turton czekał na nią w swoim kantorku.

– Ile zarobiliśmy?

Zignorowała to pytanie.

– Czy Jane Croft wróciła?

– Przed dwudziestoma minutami. Tylko o kwadrans wyprzedziła panią.

Serce Ellis waliło jak młotem.

– To pani Trenchard też już jest?

– Tak. Pytała o pannę, więc powiedziałem, że wyszłaś, i chyba się tym nie przejęła. Zdjęła na górze pelerynę i kapelusz, a potem udała się prosto do salonu.

– A Jane...?

– Też tam już jest. Pani natychmiast po nią zadzwoniła i panna Croft poszła od razu na górę.

Czyli jest jakaś nadzieja. Jeśli Croft nie zdążyła wejść do ich pokoju, to papiery wciąż mogą być w jej torbie. Ellis obróciła się na pięcie i popędziła po schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz, przez całe trzy piętra. Minęła salon, sypialnie obu małżeństw, aż wreszcie dotarła na strych i do swojego pokoju. Na łóżku leżała otwarta torba, ale skórzana saszetka zniknęła.

W tym momencie Mary Ellis zrozumiała, że właśnie przeszło jej koło nosa tysięcy funtów. Czy coś w tym rodzaju.

Anna nie mogła się nacieszyć widokiem dawnej pokojowej swojej córki. Zawsze ją lubiła, a Croft, chociaż znacznie teraz starsza, bynajmniej nie zmieniła się nie do poznania. Rozmowa z nią zdawała się cofać je obie do szczęśliwszych czasów. Anna pozwoliła nawet tej służącej, która przestała nią być, siedzieć w swojej obecności i poczęstowała ją szklaneczką kordiału.

– Pamiętasz ten słynny bal u księżnej Richmond?

– Oczywiście, proszę pani. Przez te wszystkie lata często mnie pytano o ten wieczór. – Upiła trochę kordiału. Wydał się jej dość cierpki, ale zaszczyt picia go w towarzystwie pani stanowił dostateczną rekompensatę. – Pamiętam też, jak pięknie panienka wyglądała w tamtej sukni.

– I jak pięknie miała ułożone włosy... – dodała Anna z zadumą.

– O tak, sporo się przy nich napracowałam – przyznała Croft i obie się roześmiały.

Dobrze było choć raz pośmiać się, a nie płakać, nad wspólnymi wspomnieniami o Sophii. Ale nagle dalszy ciąg tych wspomnień wymusił zmianę tonu.

– Była bardzo przygnębiona po powrocie do domu.

– Tak – potwierdziła Croft, nie ośmielając się rozwijać tematu.

– Minęło wiele lat i cieszę się, że dobrze ci się powodzi. Przypuszczam, że twoje życie w Ameryce będzie jeszcze pełniejsze i da ci wiele satysfakcji. Ale ponieważ możemy się już nie spotkać...

– Bo też naprawdę się nie spotkamy – zauważyła cicho Croft.

– No tak. – Anna zapatrzyła się na ogień w kominku. – Dlatego może ten ostatni raz zdobędziemy się na szczerłość?

– Oczywiście, proszę pani.

– Czy wiesz, co wydarzyło się tamtej nocy na balu?

– Wiem. – Croft dziwnie się czuła, prowadząc taką rozmowę z osobą, przed którą dawniej musiała dygać. Zupełnie jakby teraz były sobie równe. Zresztą jeśli chodzi o tę sprawę, tak właśnie było. – Wiem, że lord Bellasis, którego wszyscy uważaliśmy za takiego porządnego dżentelmena, oszukał panią Sophię, a ona przekonała się o tym właśnie tej nocy.

– Czy przedtem wiedziałaś o tej sztuczce ze ślubem?

– Nie. – Croft bardzo chciała pokazać, że nie miała pojęcia o sekretach swojej młodej pani, dopóki ta nie zmusiła jej do ich wysłuchania. – Nie zająknęła się ani słowem, aż do chwili, gdy odkryła oszustwo. I oczywiście, gdy okazało się, że... – Sączyła wolno kordiał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– ...że jest w ciąży. – Anna też dziwnie się czuła, poruszając ten temat z kimś poza mężem i lady Brockenhurst. Nigdy przedtem tego nie robiła.

– Prosiłam ją, aby powiedziała pani, i to natychmiast. Ale ona była jak w jakimś transie, zupełnie nie mogła się na to zdobyć.

– W końcu się zdobyła.

– No tak.

Popatrzyły sobie w oczy. Wiedziały tak wiele o tym, czego nie wiedział nikt inny. Nikt oprócz Jamesa. Nawet lady Brockenhurst, która myślała, że wie wszystko, nie знаła Sophii, więc ominęła ją połowa tej historii.

– Powiedziała mi na tyle wcześnie, że mogłam zaplanować nasz wyjazd. I wszystko poszłoby gładko, gdyby...

– ...gdyby nie umarła. – Croft miała oczy pełne łez, a jedna z nich ściekała już po jej policzku. Anna miała chęć uściskać dawną pokojówkę za te łzy nad jej utraconą córką. – Przypuszczam, że to dziecko jest już dorosłe. Czy nadal mieszka u pastora Pope'a? A może jest w Londynie? Bo rozumiem, że to jest ten młody pan Pope, o którym pisała mi Ellis?

– A skąd ty wiesz o pastorze Popie?

– Przepraszam panią. Nie wiem, czy zechce pani tego słuchać...

– Mów, proszę.

Ton Croft, choć od tamtych wydarzeń upłynęło wiele lat, brzmiał teraz przepraszająco.

– Bo widzi pani, panienska Sophia do mnie pisywała. Aż do samego końca. W tych listach wymienialiśmy myśli o dziecku, o tym, co będzie dalej, więc także o tym, że ma być oddane do pastorostwa Pope'ów w Surrey. Pamiętam, że pastorowa nie miała dzieci, chociaż zgubiłam list, w którym panienska o tym wspomniała.

Anna słuchała jej w osłupieniu.

– Czyli wiesz o wszystkim.

– Żywej duszy o tym nie mówiłam, przysięgam z ręką na sercu. – Tu Croft wykonała odpowiedni gest. – I nigdy, przenigdy tego nie zrobię.

Wzięła skórzaną saszetkę i położyła ją na kolanach.

– Są tu jakieś papiery, proszę pani. Jeden z nich świadczy o tym fałszywym ślubie. Podpisał go człowiek, który przedstawił się jako duchowny. Nazywał się Bouverie. Pewnie gdyby nie to oszustwo, można by ten dokument uznać za świadectwo ślubu. Jest także pismo od tego Bouveriego. Opisuje w nim, jak ta para młodych pobrała się w Brukseli, tak daleko od kraju. – Urwała i wyciągnęła dwa arkusiki. – Dała mi je tamtej nocy w Brukseli, kiedy wróciła z balu, i kazała spalić, ale jej nie posłuchałam, zabrakło mi odwagi. Czułam, że nie mam prawa ich zniszczyć.

– Rozumiem. – Anna wzięła kartki i zaczęła przeglądać ich treść.

– Ale teraz wyjeżdżam z kraju, więc uznałam, że najlepiej będzie przekazać to wszystko pani. Zwłaszcza po tym, jak panna Ellis wspomniała mi w liście o panu Popie. Nie wiem, czy zechce pani to zatrzymać, czy będzie wolała spalić, to już do pani decyzji. – I z tymi słowami wręczyła jej saszetkę.

– Dziękuję, Croft... Właściwie powinnam teraz mówić „panno Croft”. To naprawdę bardzo wielkoduszny i przemyślany gest. – Anna zajrzała do środka. – A te pozostałe papiery...?

– To listy panienski Sophii o jej planach związanych z dzieckiem. Pisze w nich o lekarzu, akuszerce i tym podobnych sprawach. Nie mogę znieść myśli, że na przykład padnę trupem i jakiś cudzoziemiec natknie się na te informacje. Powtarzam, najlepiej im będzie u pani. Zatrzymałam jeden z tych listów na pamiątkę, ale nie ma w nim nic, czego ktoś obcy nie mógłby przeczytać.

Anna uśmiechnęła się na to i oczy znów jej wezbrały łzami. Wolno przesunęła czubkami palców po okrągłych literach każdego listu. Kochana Sophia... Nawet teraz sam widok jej pisma wyciskał jej z oczu łzy. Jak dziecinnie wygląda z tymi wszystkimi pętelkami i zawijasami! Sophia zawsze miała taki wyrazisty charakter pisma; Anna wyobraziła ją sobie przy biurku, z gęsim piórem w ręku.

– Dziękuję – powtórzyła. – Jestem bardzo wzruszona, bo widzisz, tak mało nam po niej zostało. Tak niewiele wspomnień. Cudownie jest odzyskać coś z niej po tylu latach.

Tej nocy, sama w swojej sypialni, Anna czytała wszystko jeszcze raz. Nie mogła powstrzymać łez,

ale miłość do utraconej córki, jej głos, który brzmiał jej w uszach, kiedy czytała obmyślane przez nią frazy, wręcz podnosiły ją na duchu. Jeszcze nie powie o tym Jamesowi, na jakiś czas zatrzyma te listy dla siebie. Wstała i zamknęła je w małej szafce, żeby mąż ich zbyt wcześnie nie odkrył.

Oliver nie mógł się doczekać lunchu z ojcem w Athenaeum. Odkrycie wątpliwej przeszłości Pope'a kosztowało go sporo zachodu i pieniędzy, ale to już skończone i miał teraz nadzieję na nowy rozdział w stosunkach z wymagającym rodzicem. W końcu oddał mu sporą przysługę, dał pretekst do wycofania się, zanim wyjdzie na głupca przez Pope'a i jego wstrętą bawełnę. Ojciec przyznał, że Charles nie zaprzeczył oskarżeniom, co Olivera zaciekawilo. Listy potwierdziły oczywiście winę Pope'a, ale i tak spodziewał się, że Charles będzie próbował się jakoś wyłgać, a tu nic z tego. No dobrze, niech mu będzie. Nadszedł czas, aby Oliver i James zrobili krok do przodu w nowym, lepszym duchu rodzinnej miłości i współpracy.

– Dzień dobry panu – powitał go steward, odbierając od niego laskę ze srebrną gałką i jedwabny kapelusz. Oliver uśmiechnął się z zadowoleniem. Było tu tak kulturalnie. Oto właściwe dla niego miejsce. Idąc za mężczyzną przez hol, obok okazałych schodów, dotarł do jadalni z oknami sięgającymi niemal od sufitu do podłogi. Wnętrze, chociaż wielkie, robiło wrażenie kameralnego dzięki boazerii z ciemnego drewna i karmazynowemu, wzorzystemu dywanowi.

– Ojczy! – pomachał do Jamesa, który czekał na niego przy narożnym stoliku.

– Oliverze – James z jowialnym uśmiechem wstał na powitanie syna – cieszę się, że cię tu widzę. Mam nadzieję, że jesteś głodny. – Wyraźnie chciał wprawić syna w dobry nastrój. Poprzednie miesiące obfitowały w napięcia i niepokoje, więc zależało mu na poprawie stosunków i złagodzeniu atmosfery. Tego jednak dnia nie sądził, by dane mu było osiągnąć ten cel, zważywszy na to, co miał do powiedzenia.

– To znakomicie. – Oliver zatarł ręce i usiadł.

James widział ten synowski optymizm i pewność siebie, ale miał też świadomość ich źródła. No cóż, pomyślał, pozwólmy, by to Oliver pierwszy poruszył wiadomy temat.

Otworzyli menu.

– Gdzie byłeś rano? – spytał James.

– Jeździłem konno. Była piękna pogoda i na Rotten Row panował straszny tłok, ale bardzo mi odpowiada ten nowy wałach.

– Spodziewałem się ciebie na zebraniu przy Gray's Inn Road.

– Jakim zebraniu? – Oliver zerknął z ukosa na kartę. – Co to jest *hogget*?

– Starsze od jagnięcia, młodsze od barana. – James westchnął cicho. – Omawialiśmy różne etapy nowej budowy. Czy nie zawiadomiono cię o tym?

– Może i tak. – Oliver pochwycił wzrok kelnera. – Napijemy się czegoś?

James przyglądał się synowi, kiedy ten zamawiał na początek butelkę chablis, a potem bordo. Czy on zawsze musi sprawiać mu zawód? Z takim trudem zapewnił mu pracę przy jednym z najbardziej ekscytujących projektów w kraju, a Oliver nie wykazuje nawet cienia zainteresowania. Powiedzmy,



że ta rozbudowa nie osiągnęła jeszcze najciekawszego stadium – na razie odbywa się bagrowanie ogromnych połaci bagnistych terenów East Endu – ale ten problem jest znacznie głębszy. Oliver zdaje się nie rozumieć, że do prawdziwego spełnienia na tej ziemi dochodzi się ciężką pracą. Życie pojęte jako ciąg chwilowych przyjemności nikomu nie da satysfakcji, która wymaga solidnego zaangażowania, i to całym sobą.

Gdyby Oliver usłyszał te myśli wypowiedziane głośno, na pewno by się rozsierdził. On chętnie by się zaangażował, ale nie w kierunku wybranym dla niego przez ojca. Najchętniej zamieszkałby w Glanville, a do Londynu przyjeżdżał jedynie na sezon. Doglądałby swoich włości, gawędził z dzierżawcami i był ważną figurą w hrabstwie. Czy to takie złe albo haniebne? Nie. Ojciec nigdy nie potrafił docenić innych wartości niż te, które sam wyznawał. To właśnie Oliver by mu powiedział, i szczerze mówiąc, miałby trochę racji. Ale kiedy tak siedzieli z kieliszkami wina w dłoniach, obaj wiedzieli, że za ich krzesłami czai się widmo Charlesa Pope’a i prędzej czy później ten temat musi wypłynąć. Oliver pierwszy nie wytrzymał nerwowo.

– No więc – zaczął, wbijając nóż w mięso – jak ci poszło odstawienie pana Pope’a od piersi?

– Co masz na myśli?

– A jak ci się zdaje? Zawsze tak mocno obstawałeś przy trzymaniu się uczciwych reguł gry. Chyba mi nie powiesz, że porzuciłeś swoje zasady?

– Owszem, ulokowałem pieniądze w jego kompanii – odparł ostrożnie James. – To nadal jest dobra inwestycja.

Oliver wychylił się do przodu.

– A co z listami, które ci dałem? – zaszeptał napastliwie. – Mówiłeś, że przedstawiłeś mu te zarzuty, a on nie zaprzeczył?

– To prawda. – James wybrał kuropatwę i już tego żałował.

– No więc?

James miał teraz głos gładki jak aksamit. Nawet przy poskramianiu dzikiego zwierzęcia nie mógłby przemawiać łagodniej.

– Nie wierzę, że to wszystko jest całkiem... słuszne.

– Nie rozumiem – najeżył się Oliver. – Twierdzisz, że to kłamstwo? To by znaczyło, że ja jestem kłamcą, czyż nie?

– Nie. – James próbował ugłaskać syna. – Nie sądzę, żeby ktoś tu kłamał, a już najmniej ty.

– Gdyby ci ludzie napisali nieprawdę, Pope przecież by zaprzeczył.

– Nie jestem tego pewien. Poza tym kiedy zajmujesz się handlem...

Oliver drgnął. Czemu ojciec nie pozwala rodzinie odciąć się od tych handlarskich korzeni? Czy to taka wielka prośba?

– No więc kiedy zajmujesz się handlem – powtórzył James z naciskiem – nabierasz wyczucia do ludzi. Charles Pope nigdy nie oszukałby celników. To nie w jego stylu.

Oliver zmiął serwetkę.

– Zapytam jeszcze raz: czemu sam nie zaprzeczył?

– Mów ciszej. – James rozejrzał się po sali. Kilku biesiadników zaczęło już zwracać na nich uwagę.

– Mam cię zapytać po raz trzeci? – Oliver jeszcze bardziej podniósł głos, rzucając z głośnym szczękiem sztucze na talerz. James nie musiał odwracać głowy, by wiedzieć, że robią z siebie przedstawienie na całą salę i wkrótce staną się tematem podekscytowanych rozmów w bibliotece. A tego sobie absolutnie nie życzył.

– Doskonale, skoro nalegasz... Uważam, że Charles Pope nie chce być powodem naszych kłótni. Nie broni się, bo nie chce nas dzielić.

– Ale przecież już to zrobił, prawda? Stoi między nami od dłuższego czasu! – Oliver odepchnął krzesło i stał teraz, gotując się ze złości. – Oczywiście, ty trzymasz jego stronę! Czemu przez ułamek sekundy myślałem, że jest inaczej? Do widzenia, ojcze! Obyś dobrze wyszedł na tym swoim Popie! – Wypluł z siebie te słowa jak truciznę. – Niech on cię pociesza, bo we mnie nie masz już syna!

W sali zrobiło się cicho. Kiedy Oliver się obrócił, zobaczył wlepionych w siebie co najmniej tuzin par oczu.

– Do diabła z wami wszystkimi! – wrzasnął i odrzuciwszy w tył głowę, wymaszerował z klubu.

W tym samym momencie Charles wpatrywał się w swoim biurze w portret przybranego ojca. Wmawiał sobie, że powinien szaleć z radości. To kluczowy etap jego kariery. Inwestycja spłacona, łącznie z podróżą do Indii, i wszystko uczciwie załatwione. Ale jakoś nie miał ochoty opuszczać teraz Londynu, a nowe perspektywy straciły dla niego blask. Prawda była taka, że to z powodu Marii Grey nie chciało mu się wyjeżdżać. Wziął do ręki pióro. Czy rzeczywiście gotów jest poświęcić wszystko, co osiągnął, żeby być blisko tej, która nigdy nie zostanie jego żoną? Czemu życie musi być takie trudne? Jak mogło dojść do tego, że pokochał kobietę zaręczoną z kimś innym? A nawet gorzej: taką, która jest całkowicie poza jego zasięgiem. Przed nim już tylko nieszczęście i upokorzenie. Znowu patrzył na portret. Jaką radę miałyby dla niego ten mądry człowiek?

– Przepraszam pana... – Do otwartych drzwi zapukał kancelista. W ręku trzymał kopertę.

– Tak, słucham?

– Posłaniec przyniósł to przed chwilą. Podobno to coś pilnego.

– Dziękuję. – Charles wziął list i przyjrzał się pismu. – On tu jeszcze jest?

– Nie, proszę pana.

– Dziękuję – powtórzył Charles. Zaczekał z otwarciem, aż kancelista wyjdzie.

*Mój drogi Charlesie – czytał, mając w uszach jej głos – muszę się z Tobą natychmiast zobaczyć. Będę do czwartej w księgarni Hatcharda<sup>[46]</sup>. Proszę, przyjdź.*

*Szczerze oddana*

*Maria Grey*

Wpatrywał się przez chwilę w list, potem wyszarpnął z kieszonki zegarek; serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Było już kwadrans po trzeciej – strasznie późno! Chwycił płaszcz i kapelusz, po czym wybiegł z biura, nie bacząc na zdumionych kancelistów.

Miał trzy kwadranse na dotarcie do Piccadilly. Wypadł na ulicę... nigdzie ani śladu dorożki! Stał na chodniku, wokół niego kłębili się przechodnie obojga płci, spieszący się w swoich sprawach. Którędy najszybciej? Czy jeśli pobiegnie, zdąży na czas? Dłonie zaczęły mu się pocić, w piersi czuł nieznośny ciężar. Ruszył przed siebie pędem, ale po chwili zmienił zdanie i wtargnął na jezdnię, gorączkowo rozglądając się za dorożką.

– Ej! – wrzasnął jakiś potężnie zbudowany mężczyzna na wozie. – Z drogi!

Boże, proszę, modlił się w duchu Charles, biegnąc w stronę Leadenhall Market. Już nigdy Cię o nic nie poproszę, tylko pomóż mi złapać dorożkę! I nagle, gdy tylko skręcił w Threadneedle Street, wypatrzył wolny pojazd.

– Hej! Tutaj! – wołał, machając rękami.

– Dokąd, proszę pana? – spytał woźnica.

– Do Hatcharda na Piccadilly! – Charles opadł na siedzenie z czarnej skóry, z trudem łapiąc oddech. – Najszybciej jak się da! – I mruknął pod nosem: – Dzięki Ci, Boże! – Oczywiście wiedział, że nie skończy się na tej jednej prośbie.

Brakowało pięć minut do czwartej, kiedy dorożka stanęła przed księgarnią. Charles wyskoczył, zapłacił woźnicy, dodając hojny napiwek, i przez oszklone podwójne drzwi wpadł do emporium z wykuszowymi oknami. Stał jak wryty. Gdzie ona jest? Lokal był ogromny, a o tej porze dnia tłoczyło się tam mnóstwo kobiet z twarzami ukrytymi pod rondami wiązanych pod brodą kapeluszy. Sprawdził jeszcze raz czas. Przecież musi na niego czekać, na pewno wie, że przyjdzie, ale gdzie jej szukać? Popatrzył między półki z powieściami, ślizgając się wzrokiem po morzu krynolin na sztywnych halkach. Próbował zajrzeć pod ronda budek, kiedy ich właścicielki przeglądały książki, dyskretnie wymawiając jej imię: „Mario? Mario?”. Jedna z dziewcząt uśmiechnęła się, ale większość unikała skromnie jego wzroku i próbowała się odsunąć. Wziął do ręki egzemplarz *Mansfield Parku* Jane Austen i udawał, że czyta, ale cały czas zerkał między regały. Gdzie ona może być? Jakie książki lubi? Jaki temat może ją interesować? Nagle wykrzyknął głośno:

– Indie! – Inni klienci aż się cofnęli. – Przepraszam! – Podbiegł do mężczyzny, który ustawiał książki na półkach. – Gdzie znajdę coś na temat Indii?

– W dziale Podróże i Imperium Brytyjskie – Pomocnik księgarza od razu wyczuł jego ignorancję. – Drugie piętro.

Charles pomknął po schodach niczym płotkarz na sprincie i nagle ją zobaczył. Stała we wnęce i przewracała kartki jakiejś książki. Nie zauważyła jego nadejścia, on zaś, teraz, kiedy już ją odnalazł, pozwolił sobie na chwilę rozkoszowania się jej widokiem. Miała na sobie tabaczkową spódnicę z żakietem oraz pasujący kolorem kapelusz, przybrany jasnozielonymi listkami z jedwabiu. Twarz skupiona na książce wydała mu się jeszcze piękniejsza niż dotąd. To prawda, myślał, bez

względu na to, jak piękna jest w mojej wyobraźni, rzeczywistość zawsze poza nią wykracza.

Nagle wyczuła jego utkwiony w siebie wzrok i przycisnęła książkę do piersi.

– Charles! Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz!

– Dostałem twój list dopiero kwadrans po trzeciej. Spieszyłem się jak mogłem.

– Pewnie się gdzieś zatrzymał ten wstrętny posłaniec. – Uśmiechała się jednak. Charles przyszedł i wszystko znów jest w porządku. Wsunęła mu dłoń do ręki na powitanie, ale on nie ujął jej palców w swoje. Teraz przypomniała sobie, po co go wezwała, i cofnęła dłoń. Twarz jej spoważniała. – Musisz mi pomóc.

Mówiła z takim niepokojem, że od razu pojął, iż nie sprowadziła go tu z kokieterii.

Postanowiła wyjawić mu całą prawdę.

– Matka zamierza wysłać mnie do swojej kuzynki w Northumberland. Chce mnie usunąć z Londynu, żeby w tym czasie przygotować wszystko do mojego ślubu z Johnem Bellasisem. Ustaliła już datę. – Ku swemu niezadowoleniu zaczęła płakać, ale zaraz otarła oczy rękawiczką i odrzuciła w tył głowę, jakby chciała wyzbyć się wszelkiej słabości.

Wbrew wcześniejszemu postanowieniu Charles pozwolił sobie objąć jej plecy ramieniem.

– Jestem tu teraz – rzekł po prostu, jakby ten fakt wszystko zmieniał, jakby uważał, że tak być powinno.

Rzuciła mu spojrzenie buntowniczkę.

– Ucieknijmy stąd razem! – szepnęła. – Zostawmy wszystko i wszystkich za sobą.

– Ach, Mario! – Zupełnie nie mógł zapanować nad uczuciami. Jakże chciał jej wyznać, że pokochał ją od pierwszego wejrzenia, już na tamtym balkonie podczas *soirée* w Brockenhurst House. Że niczego na świecie bardziej nie pragnie, jak tylko z nią uciec. Uciec i nigdy nie wracać. Dotknął jej miękkiego policzka.

– Nie możemy. Na pewno sama to wiesz.

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

– Dlaczego?

Westchnął. Już ich obserwowało kilku klientów – oto dwoje kochanków, w tym ona na granicy łez. Miał przygnębiające wrażenie, że świetnie się bawią ich kosztem.

– Nie chcę odpowiadać za zrujnowanie ci życia. Jeśli uciekniesz z kupcem z East Endu, wszystkie drzwi w Londynie się przed tobą zatrzasną. Jak mógłbym do tego dopuścić, skoro cię kocham?

– Skoro mnie kochasz?

– Tak, kocham cię. Nie chcę być narzędziem twojego upadku – mówił, kręcąc głową. Znów rozejrzał się wokół siebie. – Nawet przez to spotkanie aż prosisz się o kłopoty. Jak pozbyłaś się pokojówki?

– Jakoś się uwolniłam, mam w tym wprawę. – Ale ton jej był bardziej smutny niż żartobliwy. – Więc co ty mi mówisz? Że mam umrzeć jako stara panna? Bo za Johna Bellasisa nie wyjdę, nawet gdyby mama zamknęła mnie w wieży i trzymała o chlebie i wodzie do końca moich dni.

Nie wytrzymał i uśmiechnął się, słysząc ten bojowy ton.

– Musimy iść – zauważył. – Zaczynamy zwracać na siebie uwagę.

– Kogo to obchodzi? – Smutek zniknął, na jego miejscu pojawił się bunt.

– Mnie. – Charles myślał teraz gorączkowo. Jak tu ochronić Marię, a jednocześnie nie zrujnować jej życia? Nagle zrozumiał, dokąd powinni się udać. – Idziemy – rzekł zdecydowanie. – Mam pewien pomysł.

– Czy dobry? – Maria zaczynała odzyskiwać nadzieję. Może Charles nie chce z nią uciec, ale nie zamierza jej opuścić.

– Tak mi się wydaje. Niedługo się przekonamy.

I pociągnął ją lekko ku schodom.

O wpół do piątej pojazd zatrzymał się przed Brockenhurst House przy Belgrave Square. Maria i Charles wysiedli i zapłaciwszy dorożkarzowi, udali się spieszenie do drzwi.

– Hrabina na pewno coś wymyśli – przekonywał Charles Marię, kiedy stali na schodach. – Nie udaję, że dobrze ją znam, ale ona lubi i ciebie, i mnie.

Maria nie do końca w to wierzyła.

– Może to i prawda, ale John jest bratankiem jej męża, a w naszej sferze więzy krwi zawsze biorą górę nad przyjaźnią.

W tym momencie drzwi otworzył lokaj w liberii. Ledwie weszli do środka, zrozumieli, że dom jest pełen gości. Pokojówki czekały w pogotowiu, aby odebrać okrycia pań, a przy schodach na górę stał drugi lokaj.

– Co tu się dzieje? – spytał Charles.

– Jaśnie pani ma gości na herbacie. A państwo nie są zaproszeni? – Lokaj zmarszczył brwi, bo wpuścił ich, zakładając, że tak jest.

– Na pewno się ucieszy, że przyszliśmy – zapewnił go gładko Charles.

Lokaj przyjął to do wiadomości, ale trochę się zdenerwował. A jeśli nie zaproszono ich celowo? Nie wiedział, czym bardziej się narazi: wpuszczając ich, chociaż mogą nie być mile widziani, czy nie wpuszczając, chociaż hrabina mogła sobie tego życzyć. Ostatecznie przypomniał sobie, że widywał już tych dwoje na innych zebraniach towarzyskich, więc uznał, że lepiej będzie pozwolić im wejść.

– Wprowadź pana Pope'a i lady Marię Grey do salonu – polecił temu przy schodach.

Ruszyli więc na górę.

– Że też zapamiętał nasze nazwiska – szepnął Charles.

– Taki ma obowiązek. Ale czy my dobrze robimy?

Kiedy dotarli do salonów połączonych podwójnymi drzwiami, ten pierwszy okazał się całkowicie wypełniony paniami. Na środku jednak stało też kilku panów, którzy śmiali się i rozprawiali z ożywieniem. Czarne poranne surduty ostro kontrastowały z morzem kolorów, a szerokie spódnice damskich strojów falowały wokoło niczym lilie wodne na jeziorze. Między gośćmi kręciła się

służba, roznosząc talerze z tartinkami i ciastami i napełniając z imbryków filiżanki. Kilka pań podniosło na nowo przybyłych zaciekawiony wzrok.

– Gdzie my ją znajdziemy? – zmartwiła się Maria, ale odpowiedź nadeszła sama.

– Tutaj – odezwała się zza ich pleców lady Brockenhurst.

Stała tuż za nimi, uśmiechnięta i może nieco zaskoczona.

– Bardzo przepraszamy, że wtargnęliśmy na pani przyjęcie, lady Brockenhurst... – zaczął Charles, ale gospodyni mu przerwała.

– Nonsens. Bardzo się cieszę, że was widzę. – Hrabina przez chwilę przyglądała mu się z przyjemnością. – Zaprosiłabym was, ale nie sądziłam, że moglibyście uznać to zgromadzenie za choć trochę zabawne. – Miała na sobie suknię z blad różowego adamaszku, wykończoną koronką, z wąską kryzką pod szyją – dość formalny strój, ale jednak gustowny. I tylko Maria wiedziała, że jeszcze do niedawna hrabina nigdy nie włożyłaby niczego w tym kolorze.

– Potrzebujemy pani rady.

– Bardzo mi to pochlebia.

– Tylko być może nie takiej, jakiej chciałaby pani udzielić. – Mimo wszystko Maria nie miała pewności, że wynik będzie po jej myśli. – Może się pani czuć w obowiązku poprzeć przeciwną stronę.

– Ach, więc mamy zajmować jakieś strony? – spytała ironicznie Caroline, unosząc brwi. – Ciekawe. Może przejdziemy do mojego buduaru, moja droga? To jest zaraz po drugiej stronie podestu.

Maria stropiła się nieco.

– A może pani zostawić gości?

– O tak. – Lady Brockenhurst wiedziała już, co nadciąga, gdyż spodziewała się tego od pewnego czasu. Wiedziała też, jak zamierza postąpić.

– A Charles?

– Pan Pope zostanie tutaj. To nie potrwa długo. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Oczywiście – odparł Charles, uszczęśliwiony, że hrabina zdaje się tak życzliwie odnosić do ich kłopotów.

Obie panie ruszyły w stronę drzwi, innych niż te, przez które weszli. Nagle hrabina przystanęła.

– Muszę pana ostrzec, panie Pope. Spodziewam się tu dziś lady Templemore.

Maria uchwyciła wzrok Charlesa. Nie była to pomyślna wiadomość.

– Dziękuję za tę przestrożę.

I rzeczywiście, w tym momencie w progu drugiego salonu stanęła lady Templemore. Na dole powiedziano jej, że Maria już przybyła w towarzystwie pana Pope'a, co skwitowała milczeniem. Podejrzewała coś w tym rodzaju, odkąd Ryan powiadomiła ją, że panienska się jej wymknęła. Ale fakt, że zastała ich oboje tutaj, przyprawił ją o szok. Znaczyło to, że uznali lady Brockenhurst za swoją sojuzniczkę... jak mogło do tego dojść? Corinne Templemore nie chciało się wierzyć w taką

zdradę ze strony starej przyjaciółki. Oczywiście aż do momentu, kiedy na własne oczy zobaczyła, jak Maria opuszcza salon w towarzystwie uśmiechniętej Caroline, a pan Pope odłącza się od nich, by brylować w otoczeniu podstarzałych piękności. Kilka pań skinęło Corinne głowami, ale nie miała ochoty do nich podchodzić. Na wprost niej, na obitej adamaszkiem *bergère* siedziała jakaś dystygowana dama około sześćdziesiątki. Ubrana była w błękitny, szamerowany złotem jedwab, na szyi nosiła sznur ciężkich lśniących pereł, a w uszach kolczyki z perłami. Ufryzowane włosy upięte miała w tyle głowy, na jej kolanach leżał wachlarz z piór. Na widok Corinne wyraźnie się ożywiła.

– Lady Templemore! Dzień dobry pani! – Już wcześniej zauważyła, że Corinne nie odrywa oczu od tego młodego człowieka na końcu salonu, i zaciekało ją to. Było coś fascynującego w tej milczącej kontemplacji. Czyżby jakiś nieprawdopodobny *liaison*? Dogasający romans pana Wiosny z panią Jesienią? Prawda to czy nie, na jej oczach wyraźnie rozgrywała się jakaś intryga.

Wyrwana z zadumy Corinne wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Księżno... Jak musi panią uszczęśliwiać sukces tej wprowadzonej przez panią mody. Popołudniowe herbatki z pewnością przetrwają nas wszystkich.

Księżna Bedford przyjęła komplement ze skromnością.

– Bardzo pani uprzejma, ale nigdy nie wiemy, co naprawdę przetrwa. – Mówiąc to, wodziła oczami za wzrokiem lady Templemore, ku owemu przystojnemu młodemu człowiekowi.

Corinne uśmiechnęła się zimno.

– Może i tak – odrzekła tak ostro, że księżna od razu zrozumiała, iż owo ewentualne zauroczenie ciemnowłosym nieznanym musi z pewnością być skrywaną namiętnością. – Ale czasami wiemy, co nie przetrwa. Chociaż absolutnie nie mam z tym nic wspólnego.

Po czym ruszyła dalej przez ciżbę gości. Manewrując zręcznie spódnicami, nie oglądała się ani na prawo, ani na lewo, dopóki nie stanęła przed Charlesem Pope'em.

Ten rozmawiał właśnie ze swoją sąsiadką i z początku jej nie zauważył.

– Panie Pope!

– Lady Templemore! Moje uszanowanie! – W duchu podziękował hrabinie za przestrożę, bo inaczej wstrząs mógłby się odbić na jego twarzy.

– Mogłam się domyślić, że jest pan w to wmieszany – rzekła z nieprzejeжданą miną.

– Wmieszany... w co?

– Proszę mi tu nie kłamać!

Charles poczuł, jak przeszywa go lodowaty chłód. Od początku wiedział, że zbliża się chwila, w której będzie musiał zmierzyć się z matką Marii. Nawet kiedy powiedział sobie, że ta dziewczyna jest poza jego zasięgiem i próbował się z tym pogodzić, gdzieś w tyle głowy kryło się przekonanie, że nie uniknie tej batalii.

– Ja nie kłamię – odparł z całym spokojem, na jaki mógł się zdobyć. – Powiem wszystko, czego pani zapragnie. Spotkałem ją u Hatcharda, a ponieważ wydała mi się zdenerwowana, przywiozłem ją tutaj. Jest teraz z lady Brockenhurst.

– Spotykaliście się w sekrecie, nie myśl pan, że nie wiem. Ja wiem o panu wszystko. – Corinne ściszyła głos, ale mimo to dama, która koło nich siedziała, przeniosła się gdzie indziej. Musiała się domyślić, że dzieje się coś ważnego, co znacznie wykracza poza zwykłe plotki, i wypada zostawić rozmawiającym więcej miejsca.

Oczywiście Corinne mijala się z prawdą, mówiąc, że wie wszystko, ale jednak było tego całkiem sporo. Po tamtym pierwszym spotkaniu pokojówka Ryan dostarczyła jej dość informacji, by Corinne próbowała dowiedzieć się więcej. W niedługim czasie udało się jej ustalić, że Pope jest synem wiejskiego pastora i zaczyna karierę w handlu. I żeby komuś takiemu przyszło do głowy, że mógłby ubiegać się o rękę jej córki? Już sam pomysł obrażał ją do szpiku kości.

Charles, świadom ciekawskich spojrzeń, kierujących się w ich stronę, także obniżył ton głosu, ale miał nadzieję, że mówi dostatecznie stanowczo. Nie da się zastraszyć tej kobiecie, bez względu na jej pozycję.

– Owszem, spotkaliśmy się kilka razy, ale nie w sekrecie. – Oczywiście zachował się wtedy trochę naiwnie i zdawał sobie z tego sprawę. Na przykład Kensington Gardens mogły uchodzić za miejsce publiczne, ale jednak umówili się tam potajemnie. Albo dlaczego krył się po krzakach niczym zbiegły więzień, gdy tylko zobaczył nadchodzącą lady Templemore? Swoje słowa tłumaczył sam przed sobą tym, że nie do niego należało wyjawić łączące ich uczucie matce ukochanej. Powinna dowiedzieć się o tym w stosownym czasie od córki, ale czy Maria się na to zdobędzie? Mogła zdecydować inaczej, chociaż teraz jej już o to nie podejrzewał. Jeśli była gotowa z nim uciec, to znaczy, że jest dostatecznie silna, by stawić czoło matce.

Gwoli ścisłości trzeba przyznać, że Corinne miała coś na swoje usprawiedliwienie. Ładna i dobrze urodzona, chociaż niebogata, mogła liczyć na beztrudne życie, gdyby jako szesnastolatka nie poślubiła człowieka, który już od chwili, gdy wyszli z kościoła, pozostawał w stanie permanentnej złości. W rezultacie spędziła prawie trzydzieści lat w lodowatej atmosferze domu na pustkowiu, znosząc obelgi męża. Lord Templemore nawet umarł w gniewie. Kiedy wracał z polowania, koń odmówił wzięcia bramki, wobec czego lord póty go chłostał, aż w końcu zwierzę stanęło dęba i go zrzuciło. Upadając, rozbił sobie głowę o kamień i to był koniec piątego lorda Templemore'a. Wyzwolona z burzliwego małżeństwa wdowa widziała w Johnie Bellasisie oazę zasłużonego spokoju i komfortu, toteż z niecierpliwością wyglądała ślubu córki, a tu jakiś obcy człowiek przychodzi znikąd i psuje wszystkie plany.

Niestety lady Templemore źle podeszła do konfrontacji z Charlesem. Gdyby zdobyła się na większe umiarkowanie, pozyskała jego sympatię, odwołała się do poczucia honoru, mógłby się wycofać. Ale bezpośredni atak musiał dać wręcz przeciwny skutek. Patrząc na jej zaczerwienioną z gniewu twarz, Charles uświadomił sobie, że paradoksalnie to lady Templemore doprowadziła go do zmiany decyzji. Pewnie wiedząc o tym, wpadłaby w jeszcze większą złość, ale taka była prawda. Wtedy, w księgarni, odmówił prośbie Marii, bo uznał, że powinien raczej zmusić ją do porzucenia go, niż pozwolić, by reszta jej życia upłynęła w atmosferze skandalu. Ale ta władcza, arogancka kobieta zmieniła jego pogląd na tę sprawę. W rzeczy samej, gdyby w tym momencie Maria zaproponowała mu wspólną ucieczkę, prawdopodobnie by się zgodził.



Tak czy inaczej, Corinne Templemore nie przyjechała tu dyskutować z tym impertynenckim plebejuszem. I tylko się bała, że straszny gniew, jaki czuła, wyrwie się jej z ust, a wtedy dojdzie do sceny, która jeszcze przed zapadnięciem ciemności będzie na językach całej Belgravii. Żeby jakoś się uspokoić, zaczęła wygładzać fioletowy jedwab swojej spódnicy. Dopiero kiedy już w pełni odzyskała panowanie nad sobą, raz jeszcze spojrzała w twarz swojego przeciwnika.

– Panie Pope, przepraszam za moje niegrzeczne zachowanie.

– Ależ... – Podniósł dłoń w pojednawczym geście. – Proszę już o tym nie myśleć.

– Nie zrozumiał mnie pan. Przeprosiłam pana tylko dlatego, że przez moją niegrzeczność może pan zignorować to, co mam do powiedzenia. Faktem natomiast jest, że pomysł jakiegokolwiek związku między panem a moją córką uważam albo za przestępstwo, albo za niebywałą wprost głupotę. Pan wie najlepiej, co z tego jest prawdą.

Czekała na odpowiedź, ale on zdobył się na nią dopiero po chwili:

– Maria i ja...

– Lady Maria – poprawiła go z naciskiem.

Westchnął i zaczął od początku:

– Lady Maria i ja...

Przerwała mu jeszcze raz:

– Panie Pope, nie ma żadnego „lady Maria i ja”. To absurd. Musi pan zrozumieć jedno: moja córka jest klejnotem, do którego panu tak samo daleko jak do gwiazd. Zarówno dla własnego, jak i jej dobra proszę o niej zapomnieć. Jeśli ma pan chociaż cień honoru, zostawi ją pan w spokoju. – To rzekłszy, oddaliła się z powrotem na kanapkę koło księżnej, wzięła od przechodzącego lokaja talerzyk i filiżankę, po czym najspokojniej w świecie wdała się w pogawędkę z sąsiadką. Człowieka, którego przed chwilą próbowała wdeptać w ziemię, nie zaszczyciła już ani jednym spojrzeniem.

Ledwie znalazły się w buduarze, Caroline zamknęła drzwi i gestem zaprosiła Marię, by usiadła.

– Przypuszczam, że chodzi o bratanka mojego męża, nieprawdaż?

Maria przytaknęła ruchem głowy.

– Częściowo. Nie wyjdę za niego, bez względu na to, co mówi mama.

Tym razem to Caroline skinęła głową.

– Wyraziła to pani dostatecznie jasno, kiedy dowiedzieliśmy się o ogłoszeniu zaręczyn w gazetach.

– Od tamtej chwili wszystko przybrało jeszcze gorszy obrót. – Maria, mówiąc, wodziła wzrokiem po ładnie urządzonej sypialni z delikatnymi meblami i ogniem migoczącym na kominku. Za złoconą ramę lustra zatknięto kilka zaproszeń. Na stoliku do robótek leżał tamborek z rozpiętym kawałkiem częściowo zahaftowanego płótna. Obrazu wdzięcznego nieładu dopełniały porozrzucane książki, kwiaty i listy. Jakże beztrąsko płynie życie lady Brockenhurst, jest takie pełne swobody, nic tylko zazdrościć... Nagle jednak przypomniała sobie, że jej gospodyni straciła jedyne dziecko.

Caroline patrzyła na nią, czekając na dalszy ciąg.

– Zaczynam się niecierpliwić.

– Tak, tak. – Maria odchrząknęła. Rzeczywiście czas nagiął. – Mama zorganizowała mi wyjazd z Londynu do swojej kuzynki, pani Meredith w Northumberland.

– A dla pani byłoby to przykre?

– Nie o to chodzi. Ja ją nawet lubię. Ale mama chce wykorzystać ten czas na przygotowania do mojego ślubu, tak aby mógł się odbyć już kilka dni po moim powrocie.

Caroline namyślała się przez chwilę: a więc miała rację. Cała ta sytuacja zmierza do punktu krytycznego. Chwila, którą od tak dawna odtwarzała sobie w wyobraźni, zbliżała się wielkimi krokami. Mimo to Caroline wiedziała, co musi zrobić. Poczła lekkie ukłucie żalu na myśl, że złamie obietnicę daną Annie Trenchard, ale szczerze mówiąc, czy można tego uniknąć? Anna z pewnością jej wybaczy, gdy tylko pozna fakty.

– Mario – zaczęła – mam ci do powiedzenia coś, co wolałabym zachować w sekrecie przed panem Pope'em. Obiecuję, że już niedługo Charles pozna całą prawdę.

– Dlaczego nie może poznać jej teraz?

– Bo sekret dotyczy go osobiście i może okazać się dla niego większym dramatem niż dla pani. Poza tym musiałabym wyjawić go w obecności lorda Brockenhursta, którego nie ma teraz w Londynie. Ty też przy tym będziesz, ale na razie nie wolno ci nic mówić. Muszę mieć na to twoje słowo.

Maria w całym swoim życiu nie słyszała czegoś bardziej intrygującego.

– Dobrze... Skoro rzeczywiście w niedługim czasie się dowie...

– Mówię ci to teraz, bo jak się przekonasz, dotyczy to twojej własnej pozycji. Wszystko się zmieni... może niezupełnie zgodnie z życzeniem twojej matki, ale twoja pozycja ulegnie zasadniczej zmianie i być może to przekona Corinne. – W ten sposób lady Brockenhurst zadeklarowała jasno, po czyjej stronie stoi.

– Co mam robić do tego czasu?

– Zostać tutaj, w moim domu.

W tym stanowczym tonie lady Brockenhurst kryło się coś niepokojącego. Hrabina nie miała wątpliwości, jakiego rezultatu życzyliby sobie kochankowie, i najwyraźniej wiedziała, że potrafi do niego doprowadzić.

Maria potrząsała głową, jakby pragnęła uwolnić się od blasku marzeń, które wkradały się do jej umysłu i serca.

– Mama nie zaakceptuje Charlesa. Bardzo chciałabym wierzyć, że tak się stanie, ale to wykluczone. Jeśli mamy być razem, musimy stąd uciec i stworzyć sobie własne życie z daleka od niej.

– A co na to Charles?

– Nie zgadza się. – Maria podeszła do okna i patrzyła na powozy gości tłoczące się na placu. – Mówi, że nie chce być przyczyną żadnego skandalu, który by mi zaszkodził.

– Niczego innego się po nim nie spodziewałam.

Maria obróciła się znów twarzą do pokoju.

– Może i tak. Ale sama pani widzi, że moja sytuacja jest beznadziejna.

Lady Brockenhurst uśmiechnęła się; zdawała się w ogóle nie rozumieć, że ta konkluzja jest ostateczna.

– Usiądź, moja droga, i posłuchaj. – A gdy Maria usadowiła się wreszcie na aksamitnej kanapie obok jej fotela, Caroline nabrała powietrza i zaczęła: – Pewnie wiadomo ci, że lord Brockenhurst i ja mieliśmy syna Edmunda, który zginął pod Waterloo.

– Tak, wiem. Bardzo mi przykro.

Jakie to dziwne, myślała Caroline, że znów jest w stanie mówić o Edmundzie jak o dobrej i radosnej postaci ze swojej przeszłości, nie zaś przez woal łez. A wszystko przez tę dziewczynę, którą z całą determinacją pragnęła uczynić centrum swojego życia.

– No więc, zanim zginął...

— 10 —

Przeszłość powraca



John Bellasis siedział w wielkim skórzanym fotelu w bibliotece klubu Army and Navy przy St James's Square i popijając kawę, czytał „Puncha”<sup>[47]</sup>, nowy magazyn, o którym wiele słyszał, ale nigdy jeszcze nie miał okazji go przejrzeć. Ubrany w modne kanarkowe spodnie, błękitną walenczką kamizelkę, białą koszulę i czarny surduty, prezentował się dość elegancko, co kosztowało go trochę wysiłku. Umówił się tu ze znajomym, Hugonem Wentworthem, i bardzo mu zależało, żeby nie wyglądać na pechowca.

Wentworth był członkiem tego klubu, otwartego w roku 1837, kiedy to na tron wstąpiła młoda królowa Wiktoria. Uprawniał go do tego stopień oficera 52. regimentu lekkiej piechoty, ale John bynajmniej mu nie zazdrościł. Ponieważ do Army and Navy przyjmowano wyłącznie wojskowych, rozmowy bywały tam nudne, a kuchnia... no cóż, także pozostawiała wiele do życzenia. Nie bez powodu kapitan Higginson Duff nazwał ów klub „The Rag”, czyli „Ścierka”. Podobno kiedyś podano mu tam wyjątkowo niesmaczną kolację, którą opisał jako aferę rodem z Rag and Famish<sup>[48]</sup>, podejrzanego domu gry (bywał tam czasem ojciec Johna) słynącego z brudu i ohydnych jedzenia. Uwagę tę, chociaż celowo obraźliwą, inni członkowie uznali za na tyle zabawną, że odtąd o klubie nie mówiono inaczej niż „The Rag”<sup>[49]</sup>.

– Bellasis! – rozległ się od progu tubalny głos Hugona Wentwortha, olśniewającego w oficerskim mundurze. – Tu jesteś! – Zmierzał w jego stronę zamaszystym krokiem, tupiąc głośno ciężkimi wysokimi butami. – Wyglądasz nad wyraz szykownie. Z pewnością znasz się na męskiej modzie.

John kręcił skromnie głową.

– Nonsens. Powszechnie wiadomo, że żadne cywilne ubranie nie umywa się do munduru.

Hugo kaszlnął znacząco.

– Czy jest za wcześnie na kieliszek madery?

– Nigdy nie jest za wcześnie na kieliszek madery – odparł John, zastanawiając się w duchu, jak długo będą ciągnąć tę pogawędkę, zamiast przejść do interesu, który go tu sprowadził.

– To świetnie. – Hugo rozejrzał się po sali i uchwycił wzrok kelnera. – Poproszę dwa razy maderę.

– Co nowego u ciebie? – spytał John. Najwyraźniej trzeba odbębnić trochę tego nudziarstwa, zanim Wentworth zdecyduje się zacząć.

Hugo spoważniał.

– Właśnie się dowiedziałem, że jadę na Barbados. Ani trochę mi to nie odpowiada. Nie znoszę upału.

– Wyobrażam sobie.

– No cóż, będzie, co ma być. A tak przy okazji, widziałem w „Timesie” ogłoszenie o twoich zaręczynach. Gratuluję, to śliczna dziewczyna.

– Rzeczywiście spotkało mnie wielkie szczęście – zgodził się bez przekonania John.

– Kiedy ślub?

– Chyba niebawem.

Grobowy ton kolegi uświadomił kapitanowi Wentworthowi, że czas na kolejny krok.

– A więc – położył przed sobą jakiś pakiet i wyjął z niego kilka dokumentów – tak jak prosiłeś, przeprowadziłem małe dochodzenie.

– I? – John wyprostował się w fotelu. Na to właśnie cały czas czekał. Odkąd przeczytał kopie listów dostarczone przez Ellis, po prostu odchodził od zmysłów. A kiedy nie wróciła z oryginałami, jak jej kazał, musiał pogodzić się z faktem, że nie da się ich zniszczyć ani nawet zapobiec ujawnieniu. W pierwszym z listów Sophia zawiadamiała swoją pokojową, że spodziewa się dziecka, które natychmiast po porodzie ma być oddane na wychowanie rodzinie Pope’ów. To jeszcze przełknął. Dawno doszedł do wniosku, że Charles Pope musi być połączony jakimiś więzami krwi z głównymi stronami w tej grze. Z początku podejrzewał, że jest on synem Jamesa Trencharda, teraz okazało się, że jego córki. W sumie wyglądało to dość uczciwie. Trenchardowi zależało, by trzymać sprawę w sekrecie ze względu na dobre imię Sophii, i John to rozumiał. Listy pomogły mu także wypełnić puste miejsca w układance. Ojcem dziecka Sophii Trenchard był Edmund Bellasis, kuzyn Johna. Wszystko to miało sens: patronat Trencharda nad Charlesem Pope’em, oczywiste uczucie, jakim darzyła go lady Brockenhurst... Nie widać w tym odkryciu nic zaskakującego, przeciwnie, po raz pierwszy, odkąd Charles Pope wkroczył w ich życie, wszystko stało się jasne.

Potem jednak przeczytał pozostałe kartki. Pierwsza z nich okazała się najwyraźniej świadectwem ślubu zawartego w Brukseli. To wtedy obiecał Ellis aż tysiąc funtów za dostarczenie oryginałów. Pokojowa pobiegła do domu, a John zabrał się do wertowania reszty. Nagle natrafił na zagadkę. Jeśli ten ślub rzeczywiście się odbył, a Sophia i Edmund zostali mężem i żoną, to dlaczego postanowiono ukryć fakt narodzin dziecka? Dlaczego umieszczono chłopca u Pope’ów? Czemu nie wychowywali go dziadkowie w przepychu Lymington Park? Nie ogłosili go kolejnym wicehrabią Bellasisem, dziedzicem lorda Brockenhursta, spychając Stephena i Johna na dalsze miejsca w sukcesji? Odpowiedź znalazł w ostatnich listach z pakietu. Sophia pisała w nich o swoim przerażeniu, wstydzie i o tym, że padła ofiarą „podstępu”. Więc o to chodziło? Że nie było prawdziwego ślubu? Że świadectwo okazało się fałszywe, chociaż Bellasis wmówił dziewczynie co innego? To musi być to! Po prostu inne wytłumaczenie nie pasowałoby do faktów. Kim wobec tego był ów Richard Bouverie, który podpisał fałszywe świadectwo ślubu, dołączając do niego wyjaśnienie, dlaczego ceremonia odbyła się w Brukseli? Może to kolega Edmunda z regimentu? Bo inaczej skąd by się tam wziął? Ale jedno jest oczywiste: Sophia uwierzyła, że Bouverie jest prawdziwym duchownym, i dzięki temu Edmundowi udało się zaciągnąć ją do łóżka.

Zanim jednak John pozwoli sobie na odtrąbienie zwycięstwa, potrzebuje całkowitej pewności, że Bouverie był szarlatanem. Dopiero wtedy będzie mógł jasno myśleć i poczuje grunt pod nogami. Tamtego dnia, nie doczekawszy się powrotu Ellis, zrozumiał, że mimo wszystko nie uda mu się spalić oryginałów w kominku swojego skromnego salonu. Rzucił się wtedy na sofę z butelką brandy i zaczął wysilać mózg. Nad ranem przypomniał sobie znajomego Hugona Wentwortha, kapitana w 52.

regimencie lekkiej piechoty i miłośnika historii wojskowości. To w tym regimencie służył Edmund Bellasis. Wentworth z pewnością będzie mógł dotrzeć do rejestrów i sprawdzić, czy Bouverie był tam oficerem. Napisał więc do Hugona, dostarczając mu tyle informacji, ile uznał za stosowne, i w imię starej przyjaźni poprosił o przeprowadzenie „drobnego śledztwa”.

I tak oto znaleźli się w klubie.

Hugo poklepał się po piersi.

– No i mam tu twój list, w którym pytasz mnie o tego Richarda Bouveriego. Tak naprawdę był on wilebnym Richardem Bouverie, młodszym synem lorda Tidwortha, i rzeczywiście służył w pięćdziesiątym drugim regimencie razem z twoim kuzynem, lordem Bellasisem. Obydwaj zginęli pod Waterloo.

W tym momencie Johnowi spadł kamień z serca. Edmund zachował się jak łajdak, podobnie jak jego kompan, a Sophia została uwiedziona, wskutek czego na świecie zjawił się Charles Pope, ale on, John, nadal ma prawo do swojego dziedzictwa.

– Chyba możemy sobie pozwolić na jeszcze jeden kieliszek? – spytał z uśmiechem.

– Nie mam nic przeciwko temu. Ale przedtem... mam tu coś jeszcze. – Hugo rozłożył arkusik pokryty swoim drobnym pismem.

Johna przeszył zimny dreszcz.

– Jakie „jeszcze”?

Hugo odchrząknął i zaczął czytać z notatek:

– „Kapitan Bouverie odszedł z wojska w roku tysiąc osiemset drugim, po podpisaniu z Napoleonem traktatu w Amiens, po czym przyjął święcenia”.

– Ale mówiłeś, że walczył pod Waterloo...

– Tak, i tu jest pies pogrzebany. – Hugo wygładził arkusik z wyraźną przyjemnością, czując, że natrafił na coś sensacyjnego.

– Mów dalej – poprosił John lodowatym głosem.

– Wydaje się, że tuż po ucieczce Napoleona z Elby, w lutym tysiąc osiemset piętnastego Bouverie zdecydował się na powrót do regimentu.

– I pozwolono mu na to? Duchownemu?

– Wszystko wskazuje na to, że tak. Być może jego ojciec pociągnął za jakieś sznurki, kto wie? W każdym razie przyjęto go z powrotem. Oto przykład Kościoła wojującego! – Hugo roześmiał się, zadowolony z żartu. – Musiał być z niego dzielny chłop. Kiedy stary Bonio zdobył ponownie Paryż bez jednego wystrzału, Bouverie pewnie zdał sobie sprawę, że mocarstwa nigdy się z tym nie pogodzą i bitwy nie da się uniknąć. Najwyraźniej uznał, że ma obowiązek walczyć o swój kraj.

Serce Johna waliło jak młotem. Milczał przez chwilę, żeby złapać oddech.

– A czy miał prawo udzielić ślubu, skoro znów został oficerem?

– O tak! Święcenia przyjął, zanim walki się rozpoczęły, i w chwili śmierci był pełnoprawnym pastorem.

– Czyli każdy ślub, którego udzielił w Brukseli przed bitwą, powinien być ważny?

– Tak, nie ma obawy. Wszyscy, których połączył, są teraz mężem i żoną. Mam nadzieję, że udało mi się uspokoić cię w tym względzie. – Czekał, aż John coś powie, ale ten patrzył tylko przed siebie pustym wzrokiem. – Mówiłem przecież, że mam dobre wieści. Pomachał do kelnera, wskazując puste kieliszki, a ten niebawem pospieszył z karafką. – Na pewno będziesz chciał mi podziękować, ale naprawdę nie musisz, te dociekania sprawiły mi wielką przyjemność. Przyszło mi do głowy, że kiedyś może napiszę coś o tamtych czasach. Pytanie tylko, czy potrafię się zmobilizować. – Ale John nadal się nie odzywał. Hugo znów próbował go zagadywać, nie pojmując przyczyn tego milczenia. – Mogę zapytać, o kogo chodziło z tym ślubem, którym tak się martwiłeś? Czy kryje się za tym jakaś ciekawa historia?

John nagle się ocknął.

– Och nie, to po prostu mój daleki krewny. Żona zmarła przy porodzie, mąż zginął w bitwie, a syn niepokoi się trochę o swoją pozycję. – Uniósł żartobliwie brwi, na co jego kompan się roześmiał.

– No cóż, możesz mu powiedzieć, że nie ma powodu do niepokoju. Jest dzieckiem tak samo prawowitym jak nasza mała księżniczka<sup>[50]</sup>.

Caroline Brockenhurst siedziała w swojej bawialni i czyściła pędzle. Miała przed sobą rozpięte na sztalugach płótno i drewnianą paletę, na której plamy farb tworzyły krąg barw od brązów, błękitów i zieleni po różne odcienie żółci, różów i bieli. Obok, na tacy leżała kolekcja ściereczek, szpachli oraz pędzli, różniących się szerokością, kształtem i grubością.

– Nie ruszaj się – rzekła, patrząc zza płótna na Marię, która siedziała na bladobrzoskwiniowej kanapce. – Obawiam się, że zbyt długo nie używałam olejów i trochę wyszłam z wprawy.

Caroline nie mogła dość się nacieszyć obecnością Marii w swoim domu. Początkowo zaproponowała dziewczynie azyl, gdyż za wszelką cenę chciała ją zachować dla wnuka, ale w miarę upływu czasu po prostu polubiła jej towarzystwo. Pociągnęła pędzlem w dobrze wybranym miejscu ładnej, jasnej twarzy, która zaczynała się wyłaniać z płótna. Chyba przedtem nie zdawała sobie sprawy ze swojej samotności, a jednak od śmierci Edmunda musiała ją odczuwać, chociaż jak wszyscy z jej sfery nigdy by się do tego nie przyznała. Teraz, przy Marii, ciężar ostatnich dwudziestu pięciu lat jakby zelżał, a świat zaczął znów nabierać żywszych barw.

Mimo to nie wszystko szło po jej myśli. Kiedy Maria po raz pierwszy zwróciła się do niej o pomoc, hrabina postanowiła, że zabierze dziewczynę do Lymington, z czasem zaprosi tam także Charlesa, a potem za jednym zamachem wyjawi prawdę i jemu, i mężowi. Ale następnego dnia po tamtym proszonym podwieczorku Peregrin przysłał jej ze wsi wiadomość, że wyjeżdża na polowanie do Yorkshire, skąd będzie wracał *via* Londyn. Tak więc Caroline wraz z Marią musiały czekać przy Belgrave Square, aż zawita tam lord Brockenhurst.

– Miałaś ostatnio jakieś wieści od mamy?

– Nie. Pewnie zjawi się niedługo razem z Reggie'em albo kimś innym, żeby mnie stąd wyciągnąć.

– Wtedy my chwycimy cię za drugie ramię i nigdzie nie puścimy. Zresztą czyją stronę zajmie



Reggie?

Maria się uśmiechnęła. Rzeczywiście w razie konfrontacji liczyła na pomoc brata.

Przy drzwiach rozległ się szelest i lady Brockenhurst podniosła wzrok.

– O co chodzi, Jenkins?

– Proszę jaśnie pani, w holu czeka lady Templemore. – Kamerdyner zbyt dobrze orientował się w sytuacji, by wprowadzić gościa do salonu bez zapowiedzi.

Caroline spojrzała na Marię.

– O wilku mowa...

– No tak – zgodziła się dziewczyna. – Ale prędzej czy później musimy stawić jej czoło, więc równie dobrze możemy zrobić to teraz. – Wstała i poprawiła spódnicę.

Hrabina po krótkim namyśle skinęła głową.

– Wprowadź, proszę, hrabinę do salonu.

Kamerdyner skłonił się lekko i wyszedł.

– Ty lepiej tu zostań. – Caroline zdjęła kitel malarski i przejrzała się w lustrze nad kominkiem.

– Nie – odparła Maria. – Tu chodzi o moją przyszłość i nie zamierzam się chować.

– No dobrze, pójdziemy więc razem. – I ruszyły przez galerię na spotkanie z przeciwnikiem. Zielone marmurowe kolumny, które łączyły balustradę z ozdobionym stiukami plafonem, zdawały się nadawać temu przemarszowi oficjalny charakter. Zupełnie jakbyśmy szły na sąd, pomyślała Maria.

Kiedy Caroline wkroczyła do salonu, lady Templemore siedziała już na adamszkowej berżerze à la Ludwik XV. Wyglądała dystyngowanie, ale także samotnie, co wzbudziło u gospodyni lekkie wyrzuty sumienia.

– Mogę ci coś zaproponować? – spytała, siłąc się na jak najzyczliwszy ton.

– Moją córkę – odparła lady Templemore bez cienia uśmiechu.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Maria. Wcześniej zatrzymała się przed lustrem w galerii, by poprawić włosy, zanim stanie przed surowym obliczem matki.

– Oto jestem, mammo.

– Przyjechałam, żeby cię zabrać do domu.

– Nigdzie nie pojedę – odrzekła Maria tak zdecydowanie, jak to sobie zaplanowała.

Słowa te wywołały zaskoczenie, a nawet szok. Lady Templemore nigdy nie przyszło do głowy, że własne dziecko mogłoby jej nie posłuchać. Przez chwilę nikt nic nie mówił, ale to ona pierwsza przerwała milczenie.

– Moja droga...

– Nie, mammo. Nie wracam do domu. A w każdym razie nie teraz.

Corinne z trudem odzyskiwała równowagę.

– Ale jeśli rozejdzie się pogłoska... a przecież musi się rozejść... to co ludzie pomyślą?

Maria z całkowitym spokojem zajęła miejsce na sofie. I z każdą minutą coraz bardziej rosła

w oczach lady Brockenhurst.

– Pomyślą, że przebywam u ciotki mojego narzeczonego, co można uznać za całkowicie normalne. Wkrótce jednak usłyszą, że to małżeństwo nie dojdzie do skutku, a ja zamierzam poślubić pana Charlesa Pope’a. Z pewnością bardzo ich to zainteresuje i wywoła wiele dyskusji. Kimże jest ten pan Pope, zapytają i będą ekscytować się tym aż do chwili, kiedy usłyszą wieść o ucieczce kolejnych kochanków albo bankructwie jakiegoś wielkiego przedsiębiorcy z City. Wtedy z całym zapalem rzucą się na tę nową sensację, a o nas zapomną i pozwolą nam żyć dalej w spokoju. – Wygłosiwszy swoją przemowę, złożyła ręce w małą rękawiczkę i zastygła w tej pozycji na sofie.

Lady Templemore patrzyła na nią z przerażeniem. To chyba jakiś odmieniec podrzucony przez złe wróżki, które skradły jej prawdziwe dziecko. Zamiast odpowiedzieć, zaatakowała lady Brockenhurst:

– To twoja robota. Ty ją zdemoralizowałaś.

– Jeśli z takim rezultatem – odparła tamta – pozostaje mi się tylko cieszyć.

Ale Corinne jeszcze nie skończyła.

– Po co to robisz? Z zazdrości, że moje dzieci żyją, a twój syn zginął? O to ci chodzi? – Jej spokojny, wręcz miły ton robił znacznie większe wrażenie, niż gdyby krzyczała i rwała włosy z głowy.

Caroline Brockenhurst dopiero po dłuższej chwili odzyskała oddech.

– Corinne – zaczęła, ale lady Templemore uciszyła ją gestem.

– Przepraszam, ale po imieniu mogą mi mówić tylko osoby, które darzę przyjaźnią.

– Ależ mam – wtrąciła Maria – przecież nie musimy się obrażać jak jakieś przekupki.

– Wolalabym, żeby obraziła mnie przekupka niż własna córka.

Maria wstała. Musiała wykorzystać ten moment, by popchnąć sprawę do przodu. Inaczej i ona, i matka utkną w martwym punkcie.

– Proszę cię, mam – przemówiła, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej rzeczowo. – Nie wrócę do domu, dopóki nie zrozumiesz, że nie mogę poślubić Johna Bellasisa. Gdy tylko pogodzisz się z moją decyzją, nasze stosunki z pewnością się poprawią.

– Po to, żebyś mogła wyjść za pana Pope’a? – Ton lady Templemore nie brzmiał zachęcająco.

– Tak, mam. – Maria westchnęła. – Ale nawet wtedy może nie wszystko okaże się tak złe, jak ci się teraz wydaje. – Zerknęła na Caroline, jakby oczekiwała, że gospodyni przejmie stery rozmowy. Sama nie bardzo wiedziała, ile może powiedzieć.

Lady Brockenhurst dobrze zrozumiała to spojrzenie.

– Maria ma rację. Pan Pope nie jest aż tak niewiadomego pochodzenia, jak się z początku wydawało.

– Czyżby?

– Podobno jego ojciec był synem hrabiego.

Zapadła cisza, podczas której Corinne zdawała się przetrwać tę zaskakującą wiadomość.

Dopiero po namyśle znowu zabrała głos:

– Zapewne z nieprawego łoża? Czy raczej to sam pan Pope jest nieślubnym dzieckiem? Bo nie widzę tu innego wyjaśnienia, jeśli to w ogóle prawda.

Lady Brockenhurst wzięła głęboki wdech. Nie była jeszcze gotowa do wyłożenia wszystkich kart.

– Mogłabym ci przypomnieć, że piętnaście lat temu nieślubny syn księcia Norfolk ożenił się z córką hrabiego Albemarle i dzisiaj oboje wszędzie są mile widziani.

– Więc myślisz, że skoro Stephensonom uszło to na sucho, tak samo stanie się z Charlesem Pope'em? – Z tonu lady Templemore nie wynikało, że się z tym zgadza.

– A dlaczego nie? – Maria nigdy nie słyszała u Caroline tak miękkiego głosu. Hrabina posunęła się do błagania, i oczywiście Maria wiedziała dlaczego.

Ale Corinne Templemore pozostała nieugięta.

– Po pierwsze dlatego, że księżę wychował Stephensona jak własnego syna i uznał go zaraz po narodzinach. A po drugie, nic mi nie wiadomo, jakoby lady Mary Keppel złamała zaręczyny z jakimś hrabią, żeby wyjść za tamtego. Przez to, że wtrąciłaś się w nie swoje sprawy, moja córka rezygnuje z pozycji, dzięki której mogłaby uczynić wiele dobra. Możesz być z siebie dumna!

– Jako żona Charlesa też będę mogła czynić dobro. – Marię coraz bardziej irytowała nieustępliwość matki.

Na to hrabina Templemore wreszcie podniosła się z miejsca. Caroline musiała przyznać, że swoją postawą Corinne naprawdę robiła wrażenie: była doskonale ubrana, nieugięcie surowa, a gdy wyprostowała się dumnie – tym bardziej imponująca.

– W takim razie, moja droga, będziesz musiała obejść się bez pomocy matki, bo ja cię już nie chcę. Zaraz po powrocie do domu przyślę tu Ryan z twoimi rzeczami. Możesz ją zatrzymać jako swoją pokojową, ale na własny koszt, w przeciwnym razie ją zwolnię. Poproszę też pana Smytha z Hoare's<sup>[51]</sup>, aby objaśnił ci, na jaki dochód z funduszu powierniczego ojca możesz liczyć. I to z nim, a nie ze mną, musisz się odtąd kontaktować. Ja się ciebie wyrzekam. Masz teraz wolną rękę i sama sobie będziesz sternikiem. Ty zaś – zwróciła się do Caroline z nienawiścią w oczach – ukradłaś mi córkę i zrujnowałaś życie, więc cię za to przeklinam.

I majestatycznym krokiem ruszyła schodami na dół, zostawiając oniemiałe Marię i lady Brockenhurst samym sobie.

Susan Trenchard nie potrafiła dobrze określić swojego nastroju. Czasem przepełniała ją nadzieja, jakby jej życie lada moment miało zmienić się na lepsze. Czasem jednak wszystko widziała czarno i wtedy zdawało się jej, że stoi na skraju przepaści.

Podczas ostatniej wizyty w Albany powiedziała Johnowi, że jest w ciąży. Zrobiła to, gdy tylko znaleźli się w zaciszu jego saloniku. Słuchał jej z zagadkową miną, wyraźnie zaskoczony, chociaż z początku bez gniewu.

– Myślałem, że nie możesz mieć dzieci. Że na tym polega cała zabawa.

Co za dziwny dobór słów!

– Co to ma znaczyć? Jaka zabawa?

Pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

– A jesteś pewna?

– Całkowicie. Ale nie byłam jeszcze u lekarza.

– Aha. Może powinnaś. Masz jakiegoś zaufanego?

– Jestem mężatką. Dlaczego miałabym potrzebować akurat „zaufanego”?

– To prawda. Ale idź do takiego, który będzie wiedział, co zrobić.

Znów mówił niejasno... Widziała jednak, że jest roztargniony. Dopiero co wyszła od niego pokojowa Anny i Susan przypuszczała, że mógł dowiedzieć się od niej czegoś, może o tym tajemniczym panu Popie, który tak pochłania jego uwagę?

Tak czy inaczej, ustalili, że Susan w określonym dniu wybierze się do lekarza, a potem zawiadomi o wyniku Johna, który będzie na nią czekał w Albany. No i właśnie przyszła, ale nie zastała go w domu. Małomówny służący wprowadził ją do bawialni i wskazał fotel przy ledwie tłącym się ogniu. Pan miał spotkanie w St James's i pewnie się przeciągnęło, ale powinien niedługo wrócić. Co to znaczy „niedługo”? Tego służący nie wiedział, podobnie jak ona sama, gdyż siedziała tu już prawie godzinę.

Pod nieobecność Johna miała jednak czas, aby ocenić swoją sytuację. Czy liczyła na to, że się pobiorą i tym samym wyrwie się z koszmarnego domu Trenchardów? Kiedyś, w marzeniach – tak, ale teraz, kiedy pierwsze zauroczenie minęło, nie wierzyła już, że można by ją uznać za idealną kandydatkę na następną hrabinę Brockenhurst. Córka kupca, do tego rozwódka? Nie ma dla takiej miejsca w historii rodu Bellasisów. Zresztą jak długo ciągnęłaby się sprawa rozwodowa? Czy uda się znaleźć życzliwego członka Parlamentu, który złożyłby projekt prywatnej ustawy o ich rozwodzie<sup>[52]</sup>, i czy zdążyliby wziąć ślub przed narodzinami dziecka? Prawie na pewno nie.

Więc czego właściwie chciała? Pozostać na zawsze metresą Johna? Wynająć gdzieś dom i wychowywać uznane przez niego dziecko? Gdy tylko umrze jego stryj, będzie miał mnóstwo pieniędzy na taki układ, a jednak... jednak... Susan nie wiedziała, czyby jej odpowiadało takie życie poza kręgiem socjety, nawet na tak nudnym i pospolitym szczeblu, jaki udało się jej osiągnąć. Ale czy zdoła jeszcze wytrzymać z Oliverem? Czy w ogóle będzie mogła nadal być jego żoną? Może jej mąż nie jest geniuszem, ale z pewnością domyśli się, że to nie jego dziecko. Nie współżyli ze sobą od miesięcy. Co za ironia losu, że przez wiele lat litowano się nad nią jako bezpłodną, a tymczasem była to nieprawda. „Wina” musiała leżeć po stronie Olivera, ale oczywiście on w to nie wierzył. Może lepiej będzie zostać utrzymanką Johna?

Nareszcie drzwi się otworzyły.

– No? – spytał John.

– Czekam już prawie godzinę!

– Przecież już jestem. Co masz mi do powiedzenia?

Dobrze wiedziała, że nie ma sensu nawet próbować go obwiniać.

– Zrobiłam to, o co prosiłeś. Byłam u lekarza, jestem w ciąży. Od trzech miesięcy albo dłużej.

Zdjął kapelusz i cisnął nim o podłogę.

– Ale czy się tym zajmie? A może już się zajął?

Te słowa chlasnęły ją jak nóż. „Czy się tym zajmie?”. We wszystkich rozważaniach Susan traktowała dziecko jako istotną część swoich kalkulacji. Ani razu nie przyszło jej do głowy, że mogłaby się go pozbyć. Dziesięć lat czekała, by zająć w ciążę, a kiedy wreszcie się jej udało, John chce to dziecko po prostu usunąć, i to z narażeniem jej życia? I nawet nie widzi potrzeby, by o tym dyskutować.

Pokręciła niecierpliwie głową.

– Oczywiście, że nie! – Odczekała chwilę, żeby uspokoić oddech, i dodała: – Nie chcę usuwać tego dziecka. Myślisz, że mogłabym to zrobić? Czy ty nic do niego nie czujesz?

John patrzył na nią wyraźnie zaintrygowany.

– Czemu miałbym coś czuć?

– Bo jesteś jego ojcem?

– Kto tak powiedział? Mam jakiś dowód? Wskoczyłaś mi do łóżka przy pierwszej sposobności. Czy mam z twojego zachowania wnosić, że jesteś nową madame Walewską, czystą i nietkniętą, dopóki nie padło na nią spojrzenie cesarza? – Roześmiał się chrapliwie, nalał sobie brandy z przygotowanej karafki i wypił ją jednym haustem.

– Wiesz, że jest twoje.

– Ja nic nie wiem. – Napełnił znowu kieliszek. – To twoja sprawa, nie moja. Jako twój przyjaciel mogę pomóc ci finansowo w jej rozwiązaniu, ale skoro odmawiasz, to na tym kończy się moja odpowiedzialność. – Opadł na fotel.

Susan z początku zapłonęła takim gniewem, że poczuła się, jakby połknęła ogień. Była jednak na tyle mądra, by trzymać nerwy na wodzy. Jeśli podniesie głos, nic od Johna nie uzyska. Ale gdyby rozegrała dobrze swoje karty, to może znalazłby się jakiś sposób.

– Czy ty się dobrze czujesz? – spytała, zmieniając temat. – Wydajesz się jakiś znużony.

Popatrzył na nią, zaskoczony nagłą łagodnością w jej głosie.

– A ciebie to obchodzi?

Susan kuła żelazo póki gorące.

– John, nie wiem jak ty – ciągnęła z czarującym uśmiechem – ale ja kocham cię od wielu miesięcy. Twoje szczęście znaczy dla mnie więcej niż cały świat. Oczywiście, że mnie to obchodzi. – Już wymawiając te słowa, zdumiewała się własną obłudą, ale widziała, że odniosły skutek. Jacy słabi są mężczyźni! Zupełnie jak psy: raz poklepiesz po grzbiecie i jest twój do końca życia. – No więc może dowiem się, o co chodzi?

Westchnął i odchyliwszy się na oparcie, założył ręce za głowę.

– Tylko o to, że wszystko straciłem.

– E, nie może być aż tak źle.

– Nie może? Nie mam już nic. Jestem nikim i tak już będzie zawsze.

Wstał i podszedł do okna, skąd miał widok na dziedziniec przed frontem budynku. Przyglądał się bezmyślnie ruchowi ulicznemu, przechodniom spieszącym się gdzieś w codziennych sprawach, gdy tymczasem jego własne życie zdawało się rozwiewać jak smuga dymu.

Susan zrozumiała, że ma do czynienia z czymś więcej niż napad złego humoru.

– Co się stało?

– Właśnie się dowiedziałem, że jednak nie zostanę następnym hrabią Brockenhurstem. Nie odziedziczę majątku mojego stryja. Ani Lymington Park, ani niczego. – Nie obchodziło go, że Susan się dowie. Anna i James Trenchardowie pewnie widzieli dokumenty Sophii i prędzej czy później pokażą je, komu trzeba. A kiedy poznają całą prawdę, nie omieszkają roztrąbić jej na cały świat.

– Nie pojmuję. – To niezwykle odkrycie oderwało na chwilę myśli Susan od jej własnych kłopotów.

– Ten typ... ten Charles Pope... To on jest dziedzicem. Okazało się, że to wnuk mojego stryja. Ot, palec losu.

– To jednak nie jest synem mojego teścia? Bo tak mi wcześniej mówiłeś...

– Tak mi się zdawało, ale to nieprawda. Pope jest synem mojego kuzyna Edmunda.

– Więc dlaczego wcześniej go nie uznali? Czemu nosi nazwisko Pope? Czy nie powinien nazywać się... zaraz, jak brzmi ten tytuł?

– Wicehrabia Bellasis.

– Dobrze, więc czemu się tak nie nazywa?

– Powinien, ale o tym nie wie. – John roześmiał się sucho.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy myśleli, że jest z nieprawego łoża. Dlatego został odsunięty, wychowany poza Londynem, nosi fałszywe nazwisko.

Susan naprawdę to zaciekawiło. Jej umysł pracował na tak wysokich obrotach, jakby był nowoczesnym parowozem.

– Kiedy się o tym dowiedzieli?

– To ja się dowiedziałem. Na razie nikt nie ma o tym pojęcia. Edmund i córka Trenchardów zawarli w Brukseli małżeństwo. Przed bitwą pod Waterloo. Ale dotąd wszyscy uważali ten ślub za nieważny, zorganizowany tylko po to, by dziewczyna dała się uwieść.

Susan aż zamruwała. Tyle rewelacji naraz! Siostra Olivera, której pamięć tak czczono w rodzinie, została uwiedziona... No nie, właściwie to nie. Przynajmniej nie przed ślubem. W głowie się to wszystko nie mieści.

– Więc powiadasz, że jeszcze nikt nie zna prawdy?

– Tak sądzę. Bo widzisz, pewien mój znajomy to sprawdził i ślub okazał się ważny. – Wyciągnął

z wewnętrznej kieszeni plik papierów. – Obie rodziny myślały, że udzielił go oficer bez odpowiednich uprawnień, a tymczasem ten oficer był także pastorem Kościoła anglikańskiego. Tutaj mam na to dowód.

– No to podziwiam cię, że dotąd go nie spaliłeś. Bo jeśli nikt jeszcze nie wie...

Na to znów się roześmiał.

– Nie masz za co mnie podziwiać. Dawno bym to zrobił, ale to bez sensu. Mam tylko kopię tego świadectwa. Oryginały są poza moim zasięgiem.

– Ale jeśli dotąd nie widzieli dokumentów twojego znajomego...

– I tak dowiedzą się prawdy. Prędzej czy później.

I tu Susan dostrzegła swoją szansę. Nie dopuści, by jego strata zrujnowała jej nadzieje. Natychmiast zrozumiała, iż dla niej jest to realna możliwość. Spełnienie ambicji.

– John... Jeśli to wszystko prawda i nici z twojego tytułu...

– Oraz pieniędzy.

– Tak, z pieniędzy także. Więc czemu nie mielibyśmy się pobrać? Wiem, że jako głowa rodu nigdy byś mnie nie wybrał, ale teraz jesteś tylko synem młodszego syna, a to raczej niewiele. Rozwiódę się z Oliverem i zamieszkam u ojca. On ma mnóstwo pieniędzy, a ja jestem jedynaczką, zatem dziedziczę wszystko. Całkiem nieźle by się nam żyło. Urodziłabym ci więcej dzieci. Mógłbyś uzyskać patent oficerski albo kupilibyśmy ziemię. Pewnie znalazłyby się jakieś lepiej urodzone kandydatki, ale które z nich zaspokoilyby twoje potrzeby? – Umilkła. Z jej punktu widzenia brzmiało to jak dobry interes. Ona miałaby męża z socjety, a on środki na życie godne dżentelmena. Zresztą, wzięwszy pod uwagę jego sytuację, John nic na tym nie straci, może jedynie zyskać.

Patrzył na nią tak długo, że wydało się jej to wiekiem. A potem odrzucił w tył głowę i wybuchnął gromkim śmiechem, zarykując się tak, że aż mu łzy ciekły po policzkach. W pewnej chwili urwał i obrócił się ku niej.

– Jak ty sobie to wyobrażasz? Czy ja, John Bellasis, bratanek hrabiego Brockenhursta, którego przodkowie walczyli na wyprawach krzyżowych i prawie każdym ważnym polu bitwy w całej Europie... – Wpatrywał się w nią złymi, zimnymi jak kamień oczami. – Ty naprawdę myślałaś, że ktoś taki mógłby ożenić się z rozwiedzioną córką jakiegoś parszywego handlarza?

Susan aż się cofnęła. Wciągnęła gwałtownie powietrze, czując się, jakby ją oblano kubłem lodowatej wody. A John znów parsknął śmiechem, teraz wręcz histerycznym. Wszystkie jego nieszczęścia znalazły nagle upust w tej dzikiej, okrutnej wesołości.

To był mocny, perfidny cios. Susan wstała i przyłożyła ręce do rozplamionej twarzy. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

Ale John jeszcze nie skończył.

– Nie rozumiesz? Potrzebuję znakomitego małżeństwa, teraz nawet bardziej niż przedtem. Nie dla mnie Maria Grey, trusia z wiecznie spuszczonej oczami i pustą kieszą. To musi być świetna partia, słyszysz? I bardzo mi przykro, moja droga, ale nigdy nie brałem cię pod uwagę w tym planie. Biedna

mała Susan Trenchard. Marna dziwka, pomiot jakiegoś kupczyka. Ale dowcip!

Przez chwilę siedziała nieruchomo, w kompletnej ciszy, dopóki nie odzyskała kontroli nad ciałem i głosem.

– Czy mógłbyś poprosić swojego służącego, żeby sprowadził mi dorożkę? Zejdę już teraz, razem z nim.

– A nie możesz sama jej sobie wezwać? – odparł takim tonem, jakby nigdy się nie znali.

– Proszę cię, John. Nie musimy rozstawać się w taki sposób.

Być może dzięki resztkom uczciwości i honoru burknął w końcu: „No dobrze”, i wyszedł z pokoju, by wydać polecenie. Susan tylko na to czekała. Porwała rozrzucone wokół fotela papiery, wepchnęła je do woreczka i błyskawicznie wypadła za drzwi. W połowie schodów usłyszała, że ją woła, ale jeszcze przyspieszyła kroku. Minutę później siedziała już w dorożce. Kiedy John wybiegł na chodnik i z furią w oczach rozglądał się po Piccadilly, Susan cofnęła się od okienka i opadła na kanapkę.

Oliver Trenchard siedział w bibliotece przy Eaton Square i popijając brandy, przeglądał „Timesa”. Według własnej (bo nie swojego ojca) oceny miał za sobą dzień pełen zajęć, chociaż firma braci Cubittów nie odegrała w nim żadnej roli. Większą część poranka spędził na przejażdżce konnej po Hyde Parku, potem odwiedził krawca przy Saville Row, by zaakceptować krój bryczesów myśliwskich, wziął udział w proszonym lunchu przy Wilton Crescent, po czym przyłączył się do grupy przyjaciół na partyjkę wista. Sam nie należał do zagorzałych graczy; nie lubił zbyt wiele przegrywać. I prawdę rzekłszy, chociaż ojciec wciąż wytykał mu próżniaczy tryb życia, Oliver nie miał poważniejszych słabostek. Owszem, kiedy czuł się podle, zwykł zalewać robaka, ale jego prawdziwym grzechem mogły być kobiety. Niestety przy każdej próbie zorganizowania jakiejś schadzki wyrastała mu przed oczami Susan, z tym swoim wyniosłym uśmiechem i gotowością do flirtu z każdym, byle nie z własnym mężem. Wtedy Oliver rezygnował z podboju i potulnie wracał do domu. Gdyby tylko potrafił o niej zapomnieć, na pewno by mu się powiodło... A przynajmniej tak sobie wmawiał, zagłębiając się w fotelu i podnosząc do ust kieliszek w nadziei, że uniknie spotkania zarówno z ojcem, jak i z Susan.

Mimo zamieszkiwania pod tym samym dachem Oliverowi udało się nie odezwać do ojca od czasu pamiętnego lunchu w Athenaeum. Rano specjalnie wychodził z domu znacznie później niż James, a wracał często nad ranem, spodziewając się, że rodzice dawno leżą w łóżku. Tego dnia jednak przeliczył się w swoich rachubach: myślał, że ojciec je obiad na mieście, a tymczasem ledwie odstawił kieliszek i złożył gazetę, do biblioteki wkroczył James.

Na widok syna zatrzymał się w pół kroku; najwyraźniej także się go tu nie spodziewał.

– Skończyłeś już „Timesa”? – spytał z lekkim zakłopotaniem.

– Chętnie ci go odstąpię, jeśli sobie życzysz – zaproponował uprzejmie.

– Nie, nie przeszkadza ci. Przyszedłem tylko po książkę. Wiesz może, gdzie jest twoja matka?

– Na górze. Była dziś na długim spacerze i chciała odpocząć przed obiadem.

– W takim razie nie zadałeś sobie trudu, by z nią porozmawiać?



– Nie pokłóciłem się z nią – odparł chłodno Oliver.

– Tylko ze mną. – James poczuł, że napięcie między nimi zbliża się do punktu kulminacyjnego. Czy wreszcie dojdzie do otwartej potyczki, skoro tak długo ją odwlekali?

– Z tobą i Charlesem Pope’em.

– A ty tak bardzo go nie lubisz, że przejechałeś pół Anglii, żeby tylko zniszczyć jego dobre imię.

– To on je w ogóle miał? – prychnął Oliver i znów wetknął nos w gazetę.

– Zapłaciłeś swoim znajomkom w Manchesterze za napisanie tych listów?

– Wcale nie musiałem. Oni chcieli go zniszczyć tak samo jak ja.

– Ale dlaczego? – James kręcił z niedowierzaniem głową, wpatrując się w syna. To wprost nie do pojęcia. Oto Oliver, próżniak i pasożyt, czyta sobie w najlepszą gazetę w tej przytulnej bibliotece, urządzonej w najwytworniejszym stylu. W blasku lamp olejnych połyskują bogato złożone grzbiety książek, nad kominkiem wisi portret króla Jerzego III, a między półkami, pod długą ścianą stoi intarsjowane biurko. Czy można sobie wyobrazić przyjemniejsze wnętrze? Toż to oaza cywilizacji w środku wielkiego miasta, tak bardzo różna od obskurnej, niszczącej scenerii jego własnej młodości. Co taki Oliver zrobił, aby sobie na to wszystko zasłużyć? Nic. Czy przynajmniej czuł się szczęśliwy, spełniony albo chociaż zadowolony?

– A więc specjalnie wybrałeś się aż do Manchesteru, żeby znaleźć coś, cokolwiek, co zdyskredytowałoby pana Pope’a w moich oczach, tak?

– Tak – przyznał Oliver, nie widząc sensu w dalszym ukrywaniu swoich zamiarów.

– Dlaczego chciałeś zrujnować człowieka, który nigdy nie zrobił ci nic złego? – zdumiał się James.

– Nie zrobił mi nic złego? – powtórzył z namysłem Oliver. – Przecież ukradł mi ojca i jest na najlepszej drodze do ograbienia mnie z majątku. To ma być nic?

James prychnął z oburzeniem.

– To bzdura.

Ale tym razem Oliver zdecydował się powiedzieć wszystko. Ojciec chce dociec, co kryje się za jego nienawiścią do Pope’a? Świetnie, zaraz się dowie.

– Poświęcasz mu całą swoją uwagę! Temu intruzowi, jakiemuś przybłądzie? Ładujesz w niego pieniądze i nie szczędzisz pochwał!

– Bo w niego wierzę.

– Bardzo możliwe. – Oliver prawie łkał. Czuł, że zaczyna się trząść. – Ale ty, na Boga, ani trochę nie wierzysz we mnie i chyba nigdy nie wierzyłeś! Nigdy mnie nie wspierałeś, nie zatroszczyłeś się o mnie, nawet nie wysłuchałeś...

James poczuł wzbierającą w piersi złość.

– Przypominam ci, że dla twojej kariery postawiłem wszystko na jedną kartę, ryzykując utratę przyjaźni Cubittów, których szanuję najbardziej na świecie! A ty w nagrodę opuszczasz każde zebranie, odwołujesz ważne spotkania dla konnych przejażdżek, polowań, spacerów po parku! Czy

nie mam prawa czuć się zawiedziony? Nie mam prawa uważać, że mój syn nie jest wart tych wszystkich zabiegów, jakie dla niego podjąłem?

Oliver patrzył na swojego ojca, tego zaciętrzewionego człowieka bez godności i znaczenia, odzianego w przyciasny surdut. Co on wie o urokach życia? Dziwne, że Oliver przy całej swojej pogardzie tak bardzo łaknął jego uznania. Nie rozumiał ani tej sytuacji, ani siebie samego, ale nie zamierzał dłużej milczeć na temat tego, co najbardziej go trapi.

– Przykro mi, ojcze, ale nie zamienię się z Sophią na miejsca, co, jak obaj wiemy, jest twoim najgorętszym życzeniem. Nie położę się w grobie ani jej nie wskrzeszę, to nie jest w mojej mocy.

To rzekłszy, otworzył z impetem drzwi i zostawił ojca samego w pełgającym blasku kominka.

Susan była dziwnie milcząca, kiedy Speer układała jej włosy przed obiadem. Pokojowa podejrzewała, że stosunki jej pani z panem Bellasisem musiały się popsuć, ale oczywiście mogła się tylko domyślać, o co im poszło. Wiedziała zarówno o ciąży pani Oliverowej – takich rzeczy nie da się ukryć przed osobistą pokojową – jak i o tym, że ojcem dziecka jest pan Bellasis, bo przez jedenaście lat jej służby Susan nie przydarzyło się nawet poronienie. Ale jeśli pani żywiła w związku z tym jakieś nadzieje i jeśli właśnie dziś omawiała tę sprawę z panem Bellasisem, jej plany zapewne spaliły na panewce.

– Czy mam już panią ubierać?

– Trochę później. Mam jeszcze coś do zrobienia. Mogłabyś znaleźć mi kawałek papieru i wstążeczkę?

Susan czekała cierpliwie, aż pokojowa przyniesie jej żądane przedmioty. Potem wyjęła z woreczka plik papierów, zawinęła je w biały papier, związała wstążką i zapieczętowała pakiet woskiem, który wyjęła z sekretarzyka w rogu pokoju.

– Chcę, żebyś to zaadresowała. Napisz tylko: „Wielmożny pan James Trenchard”.

– Ale dlaczego, proszę pani?

– Mniejsza o to dlaczego. Pan Trenchard nie zna twojego pisma, a moje zna. Nie proszę cię o zachowanie tego w sekrecie. Wiesz już dostatecznie dużo, by doprowadzić mnie na szubienicę.

Speer nie do końca to uspokoiło, ale usiadła przy sekretarzyku i spełniła polecenie. Susan podziękowała jej, wzięła pakiet i wyszła z pokoju.

James już kończył się przebierać, kiedy usłyszał pukanie.

– Kto tam?

– To ja, ojcze.

Nie przypominał sobie, żeby Susan kiedykolwiek odwiedziła go w ubieralni. Ale do kompletnego stroju brakowało mu tylko wierzchniego okrycia, więc otworzył drzwi i zaprosił ją do środka, jednocześnie odprawiając pokojowca.

– Czym ci mogę służyć?

– Właśnie wracałam do domu, kiedy tuż przed drzwiami ktoś wręczył mi ten pakiet.

Zachowywała się potulnie, co jak na nią było tak niezwykle, że James nabrał podejrzeń, że coś się za tym kryje. Popatrzył na przesyłkę, którą mu podała.

– Ktoś... ale kto?

– Nie wiem, jakiś chłopak. Zaraz potem uciekł.

– Dziwne. – Otworzył kopertę i od razu zaczął przeglądać jej zawartość. W miarę jak odwracał kartki, krew coraz bardziej odpływała mu z twarzy. Na koniec podniósł wzrok na synową.

– To był służący? Może goniec?

– Nie wiem, po prostu chłopiec.

James milczał przez dłuższą chwilę.

– Muszę z tym pójść do pani Trenchard.

– Ale przedtem mam ci jeszcze coś do powiedzenia. – Susan zebrała całą odwagę, zamierzając postawić wszystko na jedną kartę. Wiedziała, że musi rozegrać to właściwie, więc przybrała skromną minę i wzięła głęboki wdech. – Spodziewam się dziecka.

I nagle szczęście Jamesa podwoiło się, potroiło, zwielokrotniło. W tej jednej chwili imię jego córki zostało uratowane od hańby, przed wnukiem otworzyła się możliwość wielkiego dziedzictwa, syn zaś, następny Trenchard z rodu, miał dać mu własnego dziedzica! Przez sekundę myślał, że zaraz eksploduje z radości. Zaledwie w parę minut od wejścia synowej odmieniło się całe jego życie.

– Och, moja droga... Jesteś pewna?

– Całkowicie. Ale teraz musisz iść do matki.

– Mogę jej powiedzieć?

– Oczywiście.

Kiedy Susan wróciła do swojej sypialni, gdzie Speer przygotowywała właśnie jej stroje na wieczór, w zasadzie czuła znaczną ulgę. Doprowadziła do ruiny Johna Bellasisa, co stanowiło jej najważniejszy cel. Jeśli Trenchardowie nie znali dotąd prawdy, to poznają ją dzisiaj. Teraz musiała zabrać się do ratowania własnej reputacji, a chociaż rezultat podjętej gry był jeszcze nieznanym, cieszyło ją, że koniec już widać.

John Bellasis kłął w duchu własną głupotę, że od razu nie spalił oświadczenia Bouveriego. Po jakie licho zatrzymał ten papier, co mu to dało? Gdyby go zniszczył, Susan zostałyby tylko kopie listów, których oryginały i tak już były w posiadaniu Anny Trenchard. Kto wie, jak długo jeszcze Trenchardowie wierzyliby w nieważność tego małżeństwa i hańbę córki? A tak jest zrujnowany, wszystko wymknęło mu się z rąk. Szkoda, że od razu nie udusił tej żalostnej kobiety, której to zawdzięcza.

Wiedziony impulsem, złapał dorożkę i kazał się wieźć na Eaton Square, ale kiedy już wysiadł, zaczął się wahać. Zadzwoń do drzwi – i co? Wpuszczą go, po czym ktoś – raczej nie Susan – go przyjmie, a on co powie? Po dalszych kilku minutach postanowił nie czekać, aż ktoś z rodziny albo ze służby wypatrzy go pod parkanem ogrodu, tylko od razu udać się za róg, do pubu The Horse and

Groom, gdzie zawsze spotykał się z Turtonem. Gdyby teraz go tam zastał, może by go skłonił... do czego? Żeby ponownie ukradł dla niego te papiery? Co by mu to dało? Susan na pewno już je pokazała rodzinie i teraz wszyscy wiedzą, że Bouverie był prawdziwym pastorem. Z łatwością znajdą więcej dowodów na poparcie swoich roszczeń. No i dobrze. W takim razie po prostu napije się czegoś dla ukojenia nerwów i wróci do Albany. Dwadzieścia minut spaceru w chłodnym powietrzu wieczoru powinno ostudzić jego wściekłość. Pchnął drzwi do pubu i rozejrzał się po wnętrzu.

Ale to nie Turton opierał się o długi, pokancerowany i brudny bar. Ze szklaneczką płynu wyglądającego na whisky stał tam Oliver Trenchard. Na jego widok wpadł Johnowi do głowy pewien pomysł – może desperacki, ale takie właśnie rodzą się z rozpacz. Wiedział od Susan, że Oliver nienawidzi Charlesa Pope'a, którego obwinia o odseparowanie go od ojca, i że zrobiłby wszystko, aby się go pozbyć. Była kochanka poinformowała go także, że Pope zdaje sobie sprawę, iż stał się przyczyną niesnasek między ojcem a synem, nad czym głęboko ubolewa. I chociaż nie zaprzeczył oskarżeniom, James nie uwierzył w ich prawdziwość. Susan dzięki wrodzonej bystrości szybko rozwikłała tę zagadkę, z czego nie omieszkała zwierzyć się Johnowi. Najwyraźniej Pope poczuł się niezręcznie, że przez niego ojciec zwrócił się przeciwko synowi, i teraz stara się nie dolewać oliwy do ognia. John zmarszczył brwi. Czy tych nieporozumień nie da się wykorzystać do jego celów? Czy Pope nie zrobiłby wszystkiego, co w jego mocy, żeby je zatuszować? Czy wreszcie on, John, nie mógłby go uczynić swoim narzędziem?

Plan rysował się coraz wyraźniej. Oliver chciał usunąć Pope'a ze swojej drogi – to żaden sekret. Zadenuncjował go przed wieloma osobami, w tym przed własną żoną. Gdyby więc Pope'owi przydarzyło się coś złego, czy to nie Oliver Trenchard zostałby pierwszym podejrzanym? A gdyby jeszcze znaleźli dowód, że Oliver i Pope się spotkali...

Oliver podniósł wzrok. Zobaczył, że John go obserwuje, i aż zamrugał, by upewnić się, że to nie złudzenie.

– Pan Bellasis? To pan? Co pan robi w tej cuchnącej norze?

– Musiałem się napić, żeby trochę ochłonać – padła dziwna odpowiedź.

– Ochłonać, powiada pan?

John podszedł bliżej i ostrożnie oparł się o bar tuż obok Olivera.

– Czy coś panu mówi nazwisko Charles Pope? – Uśmiechnął się w duchu, widząc, że Oliver czerwienieje z gniewu.

– Jeśli jeszcze raz je usłyszę...

John dał znak barmanowi, by dolał im whisky.

– Najchętniej dałbym mu taką nauczkę, żeby popamiętał do końca życia.

– A ja z przyjemnością panu dopomogę – podchwycił ochoczo Oliver.

– Naprawdę? – John chwycił szklaneczkę i wypił zawartość do dna. – Bo faktycznie mógłby mi pan pomóc, jeśli ma pan taki zamiar.

Właściciel obrzucił długim spojrzeniem dwóch mężczyzn, którzy z pochylonymi głowami szeptali

coś do siebie. Cóż to za pilna narada? Widywał już tutaj tych panów, ale nigdy razem.

James wszedł do sypialni żony w momencie, kiedy Ellis wciąż jeszcze układała jej włosy.

– Możemy porozmawiać w cztery oczy?

Anna podziękowała pokojowej.

– Wróc za dziesięć minut – przykazała jej, po czym zapytała męża. – O co chodzi? Coś się stało?

– Spójrz na to. – Położył przed nią papiery.

Przebiegła wzrokiem kilka arkusików.

– Skąd to masz?

– Jakiś chłopak wepchnął je Susan do rąk, kiedy wracała do domu. Co o nich sądzisz? To, oczywiście, są kopie.

– Wiem, że to kopie – odparła Anna, wstając. – Oryginały są u mnie.

Przekręciła kluczyk w szafce i wyjęła listy, które dostała od Jane Croft. Wręczyła mu je bez słowa i od razu zauważyła, jak Jamesa to zabolalo.

– Czemu nie powiedziałaś mi o nich wcześniej?

Nie miała ochoty przyznać, zgodnie z prawdą, że po prostu chciała zachować częśćkę Sophii dla siebie. Tylko chwilowo, przynajmniej tak sobie wmówiła. Potem na pewno by mu pokazała. Czy rzeczywiście? Tego już Anna nigdy się nie dowie.

– To są dokumenty dotyczące tego fałszywego małżeństwa. Sophia jeszcze w Brukseli kazała swojej pokojówce je spalić, ale Croft jej nie posłuchała. Niedawno postanowiła mi je przekazać, bo wybierała się do Ameryki. Niestety one niczego nie zmieniają.

James przez dłuższy czas przyglądał się żonie. Waga tego, co miał do powiedzenia, po prostu odebrała mu mowę. Annę to zaintrygowało.

– Jeśli coś mi umknęło, to słucham. – Usiadła i cierpliwie czekała.

– Owszem, coś ci umknęło. – James oddzielił jeden dokument od reszty. – To nie jest kopia i nigdy dotąd tego nie widziałaś. – Anna wzięła od niego arkusik. – Ktoś zbadał życie tego niby fałszywego pastora, a konkretnie wielebneho Richarda Bouveriego. Okazało się, że przyjął święcenia, zanim wstąpił do wojska, i dlatego miał pełne prawo przeprowadzić ceremonię. Innymi słowy, ślub był ważny, Sophia przed śmiercią została lady Bellasis, Charles zaś urodził się jako prawowity potomek.

– A Edmund okazał się uczciwym człowiekiem. – Oczy Anny napełniły się łzami na myśl, jak bardzo zniesławili i oczernili tego dzielnego młodzieńca, który może działał pod wpływem impulsu i zachował się niemądrze, ale naprawdę kochał ich córkę i pragnął tylko jej dobra. Zaraz jutro pójdzie do kościoła i pomodli się za jego duszę.

– Jakie to podobne do ciebie, że o tym pomyślałaś!

James także się cieszył, że tak trafnie ocenił wielbiciela córki. Przez ostatnie ćwierćwiecze obwiniał się za upadek Sophii, teraz zaś zachodził w głowę, jak mógł tak łatwo dać się przekonać i nie wnikać w tę sprawę głębiej. Dlaczego tak po prostu przyjęli do wiadomości niesprawiedliwą

opinię córki, która ujrzawszy Bouveriego przed domem Richmondów, uznała go z góry za oszusta? Ale jakże łatwo jest poprawiać rzeczywistość z perspektywy czasu...

Anna nie odrywała wzroku od leżących przed nią papierów.

– Mówisz, że jak Susan to zdobyła?

– Jakiś chłopak na ulicy wsunął jej pakiet do rąk.

– Ale ja znam to pismo i...

Nie dokończyła zdania, bo w progu ukazała się Ellis.

– Czy mam już panią ubierać?

Anna przytaknęła i pokojowa ruszyła w jej stronę. Na widok Jamesa zgarniającego dokumenty z toaletki zatrzymała się w pół kroku i wciągnęła gwałtownie powietrze. Zupełnie nieprzygotowana na to, co zobaczyła, nie zdołała powstrzymać okrzyku, który wyrwał się jej z ust:

– Skąd pani to ma?

Dopiero miny obojga Trenchardów uświadomiły jej, co powiedziała. Natychmiast podjęła desperacką próbę ratunku:

– To znaczy... Miałam na myśli... Co za interesujące dokumenty!

Teraz zabrała głos Anna. W końcu, jeśli to pismo wydało się jej znajome, miała do wyboru zaledwie kilka osób.

– A może byś mi opowiedziała, co o nich wiesz? – Wpatrywała się badawczo w twarz przerażonej kobiety, swojej pokojowej od trzydziestu lat. Jak mało o niej wiedziała! Czy gdyby zamieniły się rolami, ona, Anna, mogłaby zdradzić swoją wieloletnią chlebodawczynię? Raczej nie, ale też nigdy nie musiała znosić goryczy upokorzeń ani innych przykrości, tak typowych dla życia służby domowej.

James zaczynał się już niecierpliwić.

– Jeśli masz na swoje usprawiedliwienie coś, co zmniejszy twoją winę, to lepiej od razu to powiedz.

Ellis miała kompletny mętlik w głowie. Oczywiście powinna dopilnować, aby pan Bellasis spalił te kopie na jej oczach zaraz po przeczytaniu. Ale czyby jej posłuchał? Raczej nie. Myślała gorączkowo. Posada przepadła, z tym już nic nie da się zrobić, może jednak przynajmniej udałoby się uniknąć więzienia?

– To pan Turton, proszę pana. On znalazł te papiery w torbie panny Croft i on sporządził kopie.

– Na czyje polecenie?

Ellis znów się namyślała. Skłamała już raz, mówiąc, że Turton szukał papierów, ale czy jest sens brnąć dalej? Czy opłaca się jej ratować skórę pana Bellasisa? Nie, od niego nie wyciągnie już ani pensa. Zresztą co on by na tym zyskał? Była jeszcze sprawa jej referencji. Jak znajdzie inną pracę bez dobrego świadectwa? A pani Trenchard na pewno jej go nie da. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko się rozpłakać. Płacz na zawołanie zawsze Ellis dobrze wychodził.

– Tak mi przykro, psze pani... Gdybym wiedziała, że tak panią tym zranię, nawet palcem bym ich nie tknęła...

– Patrzyłaś, jak Turton przepisuje listy panny Sophii, i nie pomyślałaś, że mnie to może zaboлеć? –

W głosie Anny pojawiły się twarde tony.

James wiercił się na krześle.

– Ważne, dla kogo były te kopie.

Ellis uznała, że jeśli zdobędzie się na nieco szczerości, może zyskać na czasie.

– Wiem, psze pana, że stracę posadę. Ale ja nie jestem zła.

– Dobra także nie – wtrąciła ostro Anna.

– Byłam słaba, tak. Ale bez referencji przyjdzie mi umrzeć z głodu.

– Aha. – James panował już nad sytuacją. Wcześniej niż żona pojął, o co toczy się gra. –

Rozumiem, że jeśli dostaniesz te swoje referencje, to nam powiesz, kto kazał zrobić te kopie. Mam rację?

Oczywiście, że miał, więc Ellis nic już nie mówiła, tylko stała potulnie ze spuszczonej oczami.

– Doskonale. – James uciszył gestem żonę, która już otwierała usta. – Damy ci referencje, może nie jakieś nadzwyczajne, ale takie, dzięki którym znajdziesz stosowne zatrudnienie.

Ellis odetchnęła z ulgą. Dobrze, że starczyło jej przytomności umysłu, by rozegrać ostatnią kartę.

– Pan Turton przepisał te dokumenty dla pana Bellasisa.

– Dla pana Bellasisa? – Anna nie wierzyła własnym uszom. – Bratanka lorda Brockenhursta?

– Tego samego, psze pani.

James myślał intensywnie.

– Oczywiście, że dla niego! I to on grzebał w przeszłości tego Bouveriego, co my powinniśmy byli zrobić już dwadzieścia lat temu. Gdyby Bouverie okazał się fałszywym pastorem, John Bellasis zostałby z czasem kolejnym hrabią Brockenhurstem, a tak obejdzie się smakiem. – Zapomniał na chwilę o obecności Ellis, ale dyskretne kasznięcie żony sprowadziło go na ziemię.

– A ty, Ellis, jaką odegrałaś w tym rolę? – spytała Anna.

Pokojowa znów się zawahała. Ile powinna zdradzić? Obiecali jej referencje, a znała Trenchardów na tyle, by wiedzieć, że nie cofną danego słowa. Mimo to nie ma potrzeby mówić więcej niż to konieczne.

– Pan Turton kazał mi zanieść te kopie do mieszkania pana Bellasisa.

Anna pokiwała głową.

– Dobrze, możesz odejść. Noc spędzisz tutaj, ale jutro masz się wynieść. Razem z referencjami.

Ellis dygnęła i opuściła pokój, cichutko zamykając drzwi. Mogło być gorzej, myślała, schodząc na dół. Płacono jej dobrze do końca, a dzięki napiwkowi od pana Bellasisa miała też trochę oszczędności. Znajdzie kolejną posadę u kogoś na tyle naiwnego, że nie będzie mu się chciało wnikać w jej przeszłość.

James Trenchard ujął żonę za rękę.

– Nie wolno nam nikomu o tym wspomnieć. Ani Charlesowi, ani Brockenhurstom, ani rodzinie.

Musimy najpierw skrupulatnie sprawdzić informację o tym duchownym, aby mieć całkowitą pewność, że małżeństwo Sophii było ważne. Potem dowiemy się, w jaki sposób sprawić, by uznano je za oficjalne. Nie trzeba pochopnie rozbudzać w nikim nadziei.

Anna zgodziła się z mężem. Oczywiście, że się ucieszyła, po prostu oszalała z radości. Ale pewne elementy tej historii nie wydawały się całkowicie logiczne. Skoro John Bellasis zadał sobie trud zbadania prawdziwości tego małżeństwa, to czemu nie dopilnował, by jego odkrycie nie trafiło w niepowołane ręce? Przecież powinien się modlić, by ważność ślubu kuzyna udało się zachować w sekrecie. Edmund nie żył, podobnie jak Sophia i Bouverie. Jedynym dowodem pozostawał ten papier, więc gdyby go spalił, nikt nigdy by się nie dowiedział. Czemu postąpił tak lekkomyślnie? I kim był ów chłopak, który przekazał Susan przesyłkę?

– Mam jeszcze jedną wiadomość. – Głos Jamesa wyrwał ją z zamyślenia. – Wypadło mi to na chwilę z pamięci, ale bardzo się ucieszysz... – Zrobił pauzę dla większego efektu. – Susan jest w ciąży.

To było jak odpowiedź na milczące pytanie Anny. Czym prędzej przywołała na twarz wyraz zachwyty.

– Naprawdę?

James skwapliwie przytaknął, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Dopiero co mi powiedziała. Po ponad dziesięciu latach małżeństwa! Wszyscy straciliśmy już nadzieję – a tu proszę! Czy to nie nadzwyczajne? Ciekawe, co się zmieniło.

– No właśnie, ciekawe.

Oliver zjawił się w domu dość późno, więc kiedy zajrzał do pokoju żony, ta była już całkowicie ubrana.

– Chyba już zejdem – powiedziała.

– A schodź sobie, możecie nawet siadać do obiadu, jeśli wola.

Widziała, że jest zły. Znowu pokłócił się z ojcem? Chwiał się na nogach i opierał o framugę, z trudem łapiąc równowagę. Aha, więc jest pijany. Mniejsza o to. Zejdzie na dół sama i wykorzysta to sam na sam z rodzicami najlepiej, jak potrafi. Domyślała się, że czeka ją ciężka próba, ale jeśli zręcznie wszystko rozegra, jeśli tylko przeciągnie ich na swoją stronę, może uda się uniknąć katastrofy. Najtrudniej będzie z Oliverem, nie ma jednak sensu z nim rozmawiać, dopóki nie wytrzeźwieje. Kluczem do tej batalii jest odwaga i chociaż Susan zbywało na innych zaletach, tej akurat jej nie brakowało.

Teściowie czekali już w salonie. Susan z bijącym sercem podeszła do Anny. Ona jedna w tym domu miała tyle rozumu i znajomości ludzkiej natury, aby domyślić się prawdy.

– Ojciec już ci powiedział?

– Tak. Moje gratulacje. – W głosie Anny nie było entuzjazmu. Patrzyła na synową, jakby jej dotąd nie znała.



– No co z tobą? – ryknął James z drugiego końca pokoju. – Uściskajże ją!

Anna nachyliła się i chłodno cmoknęła synową w policzek, co ta zgodnie z zasadami odwzajemniła.

– Oliver zejdzie za chwilę. Dopiero co wrócił do domu. Prosił, żeby zaczynać bez niego.

– Och, chyba możemy poczekać – zasugerowała Anna. – Jamesie? Czy rozmówiłeś się już z Turtonem?

– Nie, zamierzałem zrobić to po obiedzie. Myślisz, że to tchórzliwie z mojej strony?

– To ważne, żeby dowiedział się od nas, a nie od Ellis, chociaż może już być za późno.

– Bardzo słusznie. I chyba także powinniśmy mu dać jakieś referencje, skoro Ellis ma je otrzymać. A jak już będę na dole, to poszukam paru butelek szampana. – To rzekłszy, wyszedł, zostawiając kobiety same.

Susan ubrała się na ten wieczór starannie, chociaż skromnie, w jasnobrązową szyfonową bluzkę i ciemniejszą szeroką spódnicę z jedwabiu. Włosy miała upięte w prosty kok z dwoma kunsztownymi lokami przy uszach. Całość sprawiała wrażenie doskonałej prostoty, jak przystało na porządną, uczciwą matronę, filar społeczeństwa. Przynajmniej taki efekt chciała osiągnąć, w czym Anna od razu się zorientowała.

– Usiądźmy, dobrze? – zaproponowała, wybierając dwa złoczone fotele po obu stronach marmurowego kominka. Po chwili milczenia spytała bez ogródek: – Dlaczego John Bellasis dał ci te papiery?

Zaskoczona Susan na chwilę straciła oddech, ale w samą porę powstrzymała się od kłamstwa. Anna domyśliła się prawdy, przynajmniej częściowo, więc jej synowa bardzo rozsądnie uznała, że pora się poddać, gdyż żadne kręactwa już jej nie pomogą.

– Nie zrobił tego. Sama je wzięłam.

Ach, więc to tak. Anna niemal polubiła Susan za tę szczerość.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Według niego zawierają dowód, że Charles Pope jest legalnym dziedzicem lorda Brockenhursta. Gdyby je ujawniono, John wszystko by stracił. Nie mogliście o tym wiedzieć, bo inaczej po co pan Pope miałby się zajmować jakąś zrujnowaną fabryką na północy kraju?

– Wiedzieliśmy o małżeństwie, ale uważaliśmy, że jest nieważne.

– John przypuszczał, że jeśli wpadną wam w ręce te listy, zbadacie fakty i prędzej czy później poznacie prawdę.

Anna westchnęła.

– Powinniśmy byli to zrobić już dwadzieścia pięć lat temu, ale teraz pan Bellasis nas wyręczył. Doprawdy, co za ironia losu! Gdyby zostawił tę sprawę w spokoju, pewnie nigdy byśmy się nie dowiedzieli. – Nagle błysnęła jej w głowie myśl, od której zrobiło się jej słabo. – Zaraz, zaraz... Właściwie dlaczego chciałaś mu zaszkodzić? Skoro byliście kochankami...?

I znowu obcesowość pytania na chwilę zbiła Susan z tropu, ale teraz znalazła się w prawdziwych

opałach i musiała powiedzieć prawdę:

– Chciałam, żeby się ze mną ożenił, jeśli rozwiodę się z Oliverem. Wiedząc, że jest dziedzicem lorda Brockenhursta, nie śmiałam o tym marzyć, a jeśli nawet... no cóż, po prostu bujałam w obłokach. Ale skoro okazało się, że nie ma ani pensa i jest tylko młodszym synem młodszego syna, uznałam to za całkiem możliwe. Będę miała więcej pieniędzy niż on. Znacznie więcej.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. – Głos Anny brzmiał tak, jakby omawiały wady i zalety nowej kucharki. – Powiedziałabym, że mogłaś być odpowiedzią na jego modlitwy.

– Cóż, tak się nie stało. Po prostu roześmiał mi się w twarz na pierwszą wzmiankę.

– Rozumiem. – I Anna rzeczywiście rozumiała. Susan dała się otumanić przystojnemu mężczyźnie jego stylem i manierami z wyższych sfer. Poznali się w momencie, gdy czuła się samotna, jałowa i niekochana. – Więc jednak nie jesteś bezpłodna. To musi być duża ulga, aczkolwiek rodzi pewne komplikacje.

Na twarzy Susan pojawił się cień uśmiechu.

– Gdybym wiedziała, że to z powodu Olivera, bardziej bym uważała. – Cóż to za dziwna rozmowa! Rozejrzała się po pokoju, z jego przyjemnym kolorytem, lśniącymi meblami, obrazami. Tak dobrze go знаła, ale już nigdy nie pomyśli o nim w ten sam sposób. Dyskutują teraz z teściową jak równe sobie, wręcz jak dwie przyjaciółki, co sprawia dość niezwykle wrażenie, chociaż Susan zawsze miała o Annie lepsze zdanie niż o pozostałych członkach rodziny.

– I o to właśnie chodzi. – Głos Anny nabrał poważniejszych tonów. Pojawił się w nim prawdziwy smutek. – Oliver jest niezdolny do ojcostwa.

To oczywiste, że ją to martwi, myślała Susan. Dla matki czymś okropnym musi być świadomość, że syn nigdy nie da jej dziedzica.

– Na razie wiemy, że nie może mieć dzieci ze mną. Ale przecież Napoleon nie miał dzieci z Józefiną, a doczekał się ich z Marią Luizą.

– Oliver to nie Napoleon – zamknęła dyskusję Anna i pogrążyła się w zadumie. Ciszę zakłócało teraz tylko tykanie zegara na kominku i trzaskanie ognia. Nagle podniosła głowę i spojrzała synowej prosto w oczy. – Muszę wiedzieć, jaki układ chcesz nam zaproponować.

– Układ? – Susan nigdy nie myślała o tym w takich kategoriach.

– Czy teraz, kiedy John Bellasis się od ciebie odciął, chcesz zostać z Oliverem?

Serce Susan waliło jak młotem. Następne minuty zdecydują o jej losie.

– Tak, pragnę pozostać w tej rodzinie.

Nagłe szczekanie sprawiło, że obie podskoczyły. Agnes obudziła się na swoim miejscu na dywaniku i trącała nosem spódnicę swojej pani, domagając się wzięcia na kolana. Ułożywszy pieska, Anna kontynuowała: – Jak to wyjaśnisz Oliverowi? Przecież na pewno się zorientuje, że dziecko nie jest jego.

– Tak, oczywiście. Ale biorę to na siebie.

– W takim razie czego oczekujesz od Jamesa i ode mnie? – Annę ciekawiło, ile z tego było z góry

zaplanowane. W rzeczywistości Susan wymyśliła wszystko w ostatniej chwili, ale miała dość klasy, by zachować pozory przemyślanego działania.

– Chcę, żeby Oliver zobaczył, jak bardzo ojciec cieszy się z tej nowiny, jaki jest z niego dumny i szczęśliwy. Od dawna nie udało mu się zadowolić ojca.

Anna umilkła na tak długo, że Susan zaczęła się zastanawiać, czy te niebывałe negocjacje w ogóle do czegoś doprowadzą. Ale w końcu teściowa zdecydowała się przemówić:

– Chcesz więc, żeby Oliver zrozumiał, jak wiele mógłby zyskać, gdyby uznał to dziecko za swoje, czy tak?

– Tak, to będzie jego zwycięstwo. – Susan zaczynała już w to wierzyć.

Anna pokiwała wolno głową.

– Zrobię, co tylko możliwe, i dochowam twojego sekretu, ale pod jednym warunkiem: jeżeli zamieszkacie w Glanville.

Susan osłupiała. Zamieszkać w Somerset? Dwa albo i trzy dni drogi od stolicy?

– Mamy tam mieszkać? Na stałe? – spytała, jakby pytanie odnosiło się do kogoś innego.

– Tak, na stałe. A w zamian ja dotrzymam sekretu.

Do Susan zaczynało docierać, że nie ma wyboru. Anna niby negocjowała, ale w gruncie rzeczy wydała jej rozkaz.

I jeszcze nie skończyła.

– Najwyższy czas pojąć, że Oliver nigdy nie zazna szczęścia w karierze, jakiej pragnął dla niego James. Nigdy się nie wybije w handlu, budownictwie ani niczym podobnym. Doskonale, niech zostanie wiejskim dziedzicem, skoro właśnie tego chce. Kto wie? Może mu się powiedzie. – W rzeczywistości utrata Glanville to dla niej cios prosto w serce. Jak utrata ręki czy nogi, a nawet gorzej: połowy życia. Glanville było jej miłością i radością, ale skoro dla jej dziecka ma się stać ratunkiem, to niech tak będzie. – Oczywiście będę tam przyjeżdżać, ale nie jako pani domu. Odtąd ty zajmiesz tę pozycję... jeśli się zgodzisz. Zgadzasz się?

Susan już wiedziała, że żadna inna decyzja nie wchodzi w rachubę. Bo co właściwie los miał dla niej w zanadrzu? Albo zostanie rozwódką z nieślubnym dzieckiem, żyjącą gdzieś na wygnaniu, odrzuconą przez każdego, kto ma choć trochę aspiracji, albo panią wielkiego domu w Somerset, mężatką z dzieckiem, grającą odpowiednią rolę w społeczności właścicieli ziemskich. To w zasadzie nietrudne, ale...

– A będę mogła przyjeżdżać do Londynu na sezon?

Anna uśmiechnęła się – po raz pierwszy, odkąd Susan weszła do salonu.

– Tak, co roku na dwa miesiące.

– A na okazjonalne wizyty?

– Też. Ale sama się zdziwisz, jak bardzo zagustujesz w wiejskim życiu, gdy tylko go zaznasz. – Po chwili dodała: – Mam jeszcze jeden warunek.

Susan nastawiła uszu. Jak dotąd ten układ wydawał się do przeżycia, skoro tak trzeba.

– Jaki?

– James nigdy się nie dowie. To dziecko będzie jego wnukiem, i koniec, nie wolno nam dopuścić, by zaczął coś podejrzewać.

– Ja na pewno nie puszczę pary z ust. I dopilnuję, żeby Oliver także nigdy się nie zdradził. Ale ja też mam warunek.

Annę to zaskoczyło.

– Myślisz, że masz prawo stawiać warunki?

– Tylko ten jeden: Oliver nie może domyślić się, że ty znasz prawdę. Pochodzenie dziecka ma pozostać jego i moim sekretem. Tylko wtedy Oliver zachowa godność.

– No tak, rozumiem. Dobrze, masz moje słowo.

– Słowo na co? – rozległ się nagle od progu głos Jamesa, ale Anna zdołała zapanować nad sobą.

– Że dostaną Glanville na swój użytek. Dziecko powinno wychowywać się na wsi. Znalazłeś szampana?

– Kazałem podać na koniec obiadu.

Jak łatwo potrafiła odwrócić jego uwagę! Ale zanim zdążył coś powiedzieć, drzwi się otworzyły i wszedł Oliver. Przebrał się i ochlapał twarz wodą, dzięki czemu, ku wielkiej uldze Susan, udało mu się wytrzeźwieć. Dziwne myśli przelatywały jej przez głowę, kiedy na niego patrzyła. Zanim zaśnie dzisiejszej nocy, jej dalszy los – w ten czy inny sposób – zostanie rzesądzony.

Ledwie jego syn przekroczył próg jadalni, uśmiechnięty od ucha do ucha James wybuchnął spontanicznym aplauzem:

– Hura! Niech żyje nasz kochany zuch! Wielkie gratulacje! – Ścisnął go tak mocno, że nawet nie dostrzegł oszołomionej miny bohatera wieczoru.

Oliver spojrzał na matkę i otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, ona pierwsza zabrała głos:

– To cudowna nowina, Oliverze. Omówiliśmy już wszystko z Susan i równie dobrze mogą oznajmić to teraz: przejmujecie Glanville. Musisz porzucić Londyn, zakończyć obecną karierę i zamieszkać w Somerset.

– Co to ma znaczyć? Nigdy nie było mowy o żadnym kończeniu kariery – nastroszył się James, wypuszczając syna z objęć. Ale Anna natychmiast uciszyła go gestem.

– Mamy mnóstwo pieniędzy, więc dlaczego nie? Właściwie co chcemy udowodnić? Oliver jest urodzonym wiejskim dziedzicem, a nie człowiekiem interesu. – Patrzyła wyzywająco na męża, świadoma faktu, że to jeden z najważniejszych momentów w ich małżeństwie; niemal przypadkiem zapada kluczowa decyzja, która wszystko zmienia. James od dzieciństwa Olivera chciał, aby syn poszedł w jego ślady, co doprowadziło tylko do wzajemnych pretensji, nieporozumień i rozdzwienku głębokiego ponad wszelkie wyobrażenie. – Czy nie wolałbyś podziwiać go raczej niż ciągle doznawać zawodu? – szepnęła mu do ucha. – Rób swoje interesy z Charlesem, a Oliverowi pozwól iść własną drogą.

James rzucił jej przeciągłe spojrzenie i w końcu niechętnie skinął głową, co Anna skwitowała uśmiechem.

– Dzięki ci, Boże – mruknęła, sama nie wiedząc, komu jest bardziej wdzięczna: Stwórcy czy mężowi.

– Co tu się dzieje? O czym wy mówicie? – pytał zupełnie zdezorientowany Oliver. W jednej chwili spełniły się wszystkie jego marzenia, ale dlaczego?

James westchnął. Zaakceptował już decyzję Anny.

– Być może twoja matka ma rację. Dziecko powinno chować się na wsi.

– Dziecko? – Oliver nie dowierzał własnym uszom.

– Nie musimy dłużej trzymać tego w tajemnicy, najdroższy – odezwała się Susan chłodnym, rzeczowym tonem. – Już im powiedziałam. Ogromnie się cieszą, a mama chce nam oddać Glanville. Żebyśmy mogli tam żyć jak prawdziwa rodzina. – Zalewała go teraz potokiem słów, szczebiocząc radośnie jak debiutantka przed pierwszym balem, specjalnie po to, aby dać mu czas na zebranie myśli. A ponieważ zauważyła, że się zachmurzył, zdwoiła wysiłki. – Czyż to nie cudowne? Czy nie tego zawsze pragnęłaś? – Świdrowała go oczami, jakby chciała wprowadzić go w hipnotyczny trans niczym słynny pan Mesmer<sup>[53]</sup>, wreszcie podeszła bliżej i biorąc męża w ramiona, szepnęła mu do ucha: – Nic nie mów. Pogadamy później, ale jeśli teraz piśniesz słowo, możemy wszystko stracić i już nigdy nie zyskać takiej szansy. Po prostu siedź cicho. – Oliver zeszywniał, ale więcej się nie odezwał. Zanim wzniesie topór, musi pomyśleć.

Pan Turton nie posiadał się z gniewu. Służył tej rodzinie przez ponad dwadzieścia lat, a teraz wyrzucają go na ulicę jak psa. Przed samym obiadem pan mu oznajmił, że ma opuścić dom do rana, i od tej chwili Turton nie ruszał się od stołu w sali dla służby. Reszta personelu omijała go szerokim łukiem i tylko panna Ellis, która również dostała wymówienie, dotrzymywała mu towarzystwa przy butelce najlepszego margaux, jakie znalazł w piwnicy.

– Pij, panna – zachęcał towarzyszkę niedoli. – W razie czego jest więcej.

Ellis sączyła ostrożnie znakomity trunek. Chętnie delectowała się dobrym winem, ale nie zamierzała się upić. Mogłaby wtedy utracić kontrolę nad sobą, a na coś takiego nigdy by sobie nie pozwoliła.

– Co pan teraz robi?

– Mam kuzyna w Shoreditch, mogę się u niego zatrzymać. W każdym razie na parę dni. – Turton kipiał z wściekłości. – Będę miał czas się rozejrzeć i zastanowić co dalej.

Ellis przytaknęła.

– To wszystko przez panią Oliverową. Gdyby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, nie tkwilibyśmy teraz w tym bagnie.

– A co ona takiego zrobiła? – zdumiał się kamerdyner. – Podobno jakiś chłopak na ulicy wepchnął jej te papiery do rąk, tak przynajmniej mówiła panna Speer. To co miała z nimi począć?

– Co pan mi tu opowiada! – Ellis wzniosła oczy z rozpaczą. – Pani Oliverowa to lepsze ziółko. Jak pan myśli, skąd nagle ta ciąża po dziesięciu latach małżeństwa?

– Ciąża? Skąd pannie o tym wiadomo?

– Osobistej pokojowej nie zadaje się takich pytań. – Ellis dopiła wino i sięgnęła po butelkę. – Uwierz mi pan na słowo. Pani Oliverowa bawiła się z panem Bellasisem w męża i żonę.

– Z panem Bellasisem? – Turton poczuł się nagle, jakby zasnął i wszystko go ominęło.

– Widziałam ją w Albany, kiedy zanosiałam mu te papiery. Właśnie wychodziłam, a ona uskoczyła w bok, ale i tak ją zauważyłam. Nie było żadnego chłopaka. To pani Oliverowa zabrała te papiery, żeby się zemścić, i nawet jej się nie dziwię. Liczyła, że pan Bellasis będzie jej wierny, ale przecież nie zawracaliby sobie głowy córką handlarza, no gdzie tam! – Parsknęła gorzkim śmiechem.

– Taaak. – Turton zamyślił się na chwilę. – A czy jest w tym coś dla nas, panno Ellis? Coś, co dałoby się wykorzystać?

Wytrzeszczyła oczy, bo właśnie zaświtała jej ta sama myśl.

– Od niego raczej nic już nie wyciągniemy. Co go obchodzi, że świat uzna ją za latawicę? Ale ona mogłaby zapłacić za milczenie. Gdybyśmy poczekali, aż dziecko przyjdzie na świat...

– Nie sądzę. – Aż podskoczyli na dźwięk tego głosu. Dotąd uważali, że są sami, a tymczasem w progu stała panna Speer.

– A panna co tu robi? Szpieguje nas? – zapytał Turton ostro, jakby wciąż jeszcze sprawował rządy na dole.

– Przepraszam, panie Turton, ale już pan nie jest kamerdynerem w tym domu. Wylali pana. – Twardy ton Speer zdawał się odbijać echem od ścian. – Więc niech się panu nie zdaje, że może mi tu rozkazywać. – Żadne z nich nie znało dotąd Speer od tej strony. Pokojowa podeszła do stołu i zajęła przy nim miejsce. Zachowywała się całkiem swobodnie, bez cienia zakłopotania, a kiedy znów się odezwała, jej głos przypominał łagodne mruczenie kota.

– Jeśli ktoś z was ośmieli się nagabywać panią Oliverową, listownie albo słownie, to złożę na was na policji doniesienie o kradzieży. Będę przeciwko wam świadczyć w sądzie i skazę was na więzienie. A potem już do końca życia nikt was nie przyjmie na służbę.

Zapadła kompletna cisza i dopiero po chwili odezwała się Ellis:

– A co ja niby ukradłam?

– Produkty z kuchni. Kradliście je do spółki: wino, mięso i inne zapasy. Przez te wszystkie lata nieźle żeście się obłowili, to musiało być warte setki funtów.

– To nieprawda! – oburzyła się Ellis. Owszem, sporo ma na sumieniu: szpiegowwała, kłamała, ale nigdy nie splamiła się kradzieżą.

– Możliwe. Ale pani Babbage będzie świadczyć przeciw pani. Jak zaczną śledztwo, okaże się, że te rzeczy ginęły, kiedy oboje byliście tu zatrudnieni, a przecież kucharka nie oskarży samej siebie. – Speer uśmiechnęła się i zaczęła oglądać sobie paznokcie.

Turton dopiero teraz uświadomił sobie, że razem z posadą utracił także władzę. Po namyśle skinął

głową. Oczywiście, kucharka nie nadstawi karku, żeby ratować skórę kamerdynera czy Ellis, która zawsze traktowała ją jak gorszą od siebie.

– Idę spać – oznajmił, wstając.

Ale Speer jeszcze nie skończyła.

– Musicie dać mi słowo. Oboje. Że kiedy opuścicie ten dom, nigdy już o was nie usłyszymy.

Ellis patrzyła w osłupieniu na tę czujną i opanowaną osobę, która dyktowała im warunki.

– Ona się pani pozbędzie, panno Speer. Pani za dużo wie. Pani Oliverowa nie znieśie pani przy sobie na dłuższą metę.

Speer zamyśliła się na chwilę.

– Możliwe. Ale jeśli każe mi się wynosić, to dopilnuję, żeby dała mi takie referencje, które zapewnią mi posadę nawet w pałacu Buckingham. – Wiedząc, że to prawda, Ellis nie próbowała wdawać się w dyskusję. Speer zaś kontynuowała: – Na razie jest moją panią, a ja mam obowiązek chronić ją przed zakusami takich jak wy.

Ellis zerknęła na pana Turtona. Tak mało uwagi poświęcali dotąd tej niepozornej dziewczynie, która nagle uznała, że może im rozkazywać!

Pierwszy zabrał głos kamerdyner:

– Możesz panna spać spokojnie. O mnie już na pewno nigdy nie usłyszysz. – I z lekkim ukłonem wyszedł z sali.

– Wygrałaś, suko! – syknęła Ellis, ruszając w jego ślady.

Speer nie przejęła się inwektywą. Była na to o wiele za twarda. Zastanawiała się teraz, jak uświadomić pani Oliverowej, co dla niej zrobiła... Musi być jakiś sposób. Wiedziała, że Ellis miała rację. Pani Oliverowa ani chybi pokaże swojej pokojowej drzwi i zatrudni taką, która nie będzie miała pojęcia o panu Bellasisie i innych sekretach. Ale jak sama zaznaczyła, kiedy nadejdzie taka godzina, to górą będzie ona, Speer. Na razie pan Turton i panna Ellis zeszli ze sceny, a ona była panią sytuacji.

Susan położyła się pierwsza. Wieczór upłynął pod znakiem radości, głównie dzięki Jamesowi, który jako jedyny nie miał o niczym pojęcia. Pozostali – Susan, Oliver i Anna – znali prawdę, więc nieco nużyło ich wysłuchiwanie nieustannych toastów szampanem. Susan wycofała się z jadalni, gdy tylko uznała, że może sobie na to pozwolić. Wiedziała, na co się zanoszą, i nie musiała długo czekać.

– Czyje to dziecko? – Wbrew wszelkiej logice obiad z szampanem otrzeźwił Olivera jeszcze bardziej. Stał teraz w progu, a Susan szykowała się do wzięcia ostatniej przeszkody. Jeśli się jej uda, będzie miała przed sobą otwartą drogę. Specjalnie wysłała wcześniej Speer na dół i kiedy Oliver się zjawił, leżała już w łóżku. Zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej. A zatem bez względu na to, co myślał, nie chciał, by ktoś go podsłuchał.

Była gotowa stawić mu czoło.

– Nieważne czyje. Twoja żona jest w ciąży. Rodzice szaleją ze szczęścia, a przed tobą otwiera się

możliwość takiego życia, jakiego zawsze pragnąłeś.

– Rozumiem, że mam się na to zgodzić?

– A nie chcesz?

Krążył niespokojnie po pokoju, przyglądał się książkom na półkach i bibelotom na biurku, cały czas głośno myśląc:

– Skąd mam wiedzieć, że ta tajemnicza postać, ten ojciec widmo nie stanie się odtąd częścią naszego życia? Mam to tolerować? Mam być potulnym rogiem?

– Nie. Nie zdradzę jego nazwiska, bo jest bez znaczenia. I nigdy go już nie zobaczę, a przynajmniej nie z własnej woli.

– Przypuszczam, że prędzej czy później powinienem się tego spodziewać. Zawsze lubiłaś się mizdrzyć i robić z siebie idiotkę. Widziałem to wiele razy.

Normalnie na taki zarzut odpowiedziałaby ciętą ripostą. Jako bystrzejsza od Olivera zawsze miała nad nim przewagę. Tym razem jednak zmilczała, instynktownie badając grunt, po którym przyszło jej stąpać. Po dłuższej chwili Oliver opadł ciężko na fotel przy ogniu, obracając go tak, by mógł widzieć jej twarz.

– Czy nie zamierzasz chociaż mnie przeprosić?

Susan zebrała się w sobie przed wytoczeniem najśmielszego ze swoich argumentów. Miała czas go przemyśleć, więc była przygotowana.

– Nie, bo zrobiłam to świadomie. Jestem w ciąży i urodzę nasze dziecko. Po prostu osiągnęłam swój cel.

– Chyba mi nie powiesz, że to było celowe?

– A czy ja kiedykolwiek zrobiłam coś bez zastanowienia? Czy chociaż raz działałam pochopnie?

Poznała po jego minie, że wbrew sobie zaczyna jej wierzyć.

– Więc straciłaś nadzieję, że to ja mógłbym być sprawcą twojej ciąży?

– Próbowaleś od prawie jedenastu lat.

– Ale myśleliśmy, że to ty jesteś bezpłodna.

– Rzeczywiście, teraz jednak znamy prawdę. – Czy udało się jej zapobiec wybuchowi zazdrości i awanturze, których tak się obawiała? Ostrożnie brnęła dalej: – Rozumiesz, chciałam się upewnić, że to ja, a nie ty... Bo przecież musiało to być jedno z nas.

– No i mamy skutek. – Miał nieprzeniknioną minę.

– Tak, to jest skutek. Spodziewam się naszego dziecka. Chłopca czy dziewczynki, ale twojego dziedzica. Czy naprawdę poświęciłbyś swoje życie dla Glanville – domu i posiadłości, gdybyś nie miał ich komu przekazać? Czy nie o to chodzi w twoich ambicjach?

– Chcę własnego dziecka.

– I będziesz je miał. Dzięki mnie, bo ja też tego pragnę. Gdybym nie zrobiła tego, co zrobiłam, pozostałbyś bezdzietny do końca życia.



Na to Oliver umilkł. Po obu stronach kominka wisiały dwa owalne portrety w kredzie – jego i Sophii jako dzieci. Siostra musiała wtedy liczyć około sześciu lat, a on trzy albo cztery. Z wełnianego surducika wystawał mu kołnierz wykończony falbanką. Mgliście sobie przypominał, że przekupiono go pomarańczą, aby się nie ruszał. Tymczasem za jego plecami Susan kontynuowała swój wywód:

– Otworzymy znów w Glanville pokoje dziecinne, które pozostawały zamknięte, odkąd matka kupiła ten dom. Nauczysz dziecko jeździć konno, pływać, łowić ryby, strzelać, jeśli to będzie chłopiec... Tylko w ten sposób możesz stać się ojcem.

Kiedy znów obrócił się do niej twarzą, doznała wstrząsu, bo miał oczy pełne łez.

– Więc powiadasz, że zrobiłaś to dla mnie?

– Dla nas obojga. – Poczula, że wreszcie może pokierować rozmową zgodnie ze swoim życzeniem. – Męczyliśmy się coraz bardziej i sobą, i swoim życiem. Bezdzielnosć kładła się cieniem na każdym naszym dniu. Na pewno prędzej czy później doszłoby do separacji i co by nas wtedy czekało?

– Czemu nie zapoznałaś mnie wcześniej z tym planem?

– Z dwóch powodów. Mogłam naprawdę być bezpłodna, a wtedy nic by z tego nie wyszło i tylko jeszcze bardziej byś się oddalił.

– A ten drugi powód?

– Zabroniłbyś mi. A tak zostaniemy rodzicami.

Nie odpowiedział na to, ale szybko sięgnął po chustkę, żeby otrzeć oczy. Tak naprawdę Susan odnalazła w Oliverze głęboko ukrytego mężczyznę, którego nie dostrzegała przez większość lat małżeństwa. Czekala teraz, niemal bez ruchu, z rękami na kołdrze, patrząc, jak chodzi tam i z powrotem po haftowanym dywanie przed łóżkiem. Z ulicy dobiegały odgłosy walki psów i Oliver wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, co się tam dzieje.

Przebaczy jej, teraz już to wiedział. Nie był pewien, czy zrobiła to dla niego, czy dla siebie, ale w każdym razie nie chodziło jej tylko o to, żeby po prostu wziąć sobie kochanka. Tego akurat by nie zniósł. No i miała rację. Życie, jakiego zawsze pragnął, bardzo dobre życie, leżało w zasięgu jego ręki...

– Jedna sprawa – rzekł, nie ruszając się z miejsca, z twarzą nadal zwróconą ku oknu.

– Mów. – Susan poczuła, że napięcie zaczyna ustępować.

– Od dzisiaj nigdy więcej nie wspomnimy, że to nie moje dziecko. Nawet między sobą.

Wreszcie mogła swobodnie oddychać. Oparła się wygodnie na ozdobionych koronką poduszkach i przemówiła głosem kochającej kobiety:

– Dlaczego miałabym utrzymywać inaczej? Przecież to twoje dziecko, kochanie. Kto inny śmiałyby rościć sobie do niego prawo?

Wtedy do niej podszedł i pocałował ją w usta. Z początku wzbudziło to w niej odruch obrzydzenia, ale Susan dobrze znała swoje obowiązki. Nie pociągał jej ten mężczyzna; czy

kiedykolwiek coś do niego czuła? Nawet nie gustowała w jego towarzystwie. Ale jeśli miała na tej ziemi odnieść jeszcze jakiś sukces, to jego uczucie grało w tym kluczową rolę. Doskonale, nauczy się go lubić. Przewycięży nawet fizyczny wstręt i zgodzi się z nim współżyć. W końcu musiała kiedyś choć trochę darzyć go sympatią. Oczywiście Oliver gruntownie się mylił. Z Johnem Bellasisem łączył ją normalny romans, który wyszedł na jaw, ale ta wersja należała już do przeszłości, odeszła w niebyt, a Susan ma na podorędziu nową: jak bardzo musiała się poświęcić, aby urodzić mężowi dziecko i wspólnie z nim je wychować. Za rok szczerze w to uwierzy, a jeśli się mocno postara, zapomni, jak było naprawdę. Z tą myślą rozchyliła usta i świadoma swojego kunsztu w tych sprawach zdobyła się na prawdziwie namiętny pocałunek. Z początku przeszkadzał jej tylko zbyt duży język męża, przesycony kwaśnym smakiem wina, ale niech mu tam.

Grunt, że wyszła na prostą.

— 11 —

Dziedzictwo



Caroline Brockenhurst patrzyła w osłupieniu na swojego gościa. To, co przed chwilą usłyszała, jeszcze nie całkiem do niej dotarło.

– N-nie rozumiem – wykrztusiła wreszcie.

Anny bynajmniej to nie zdziwiło; naprawdę było dużo do przetrawienia. Ona sama długo myślała, jak by tu najlepiej przedstawić tę nową sytuację, ale w końcu doszła do wniosku, że po prostu powie to, co musi:

– Teraz już mamy pewność, że pani syn Edmund tuż przed swoją śmiercią zawarł ważne małżeństwo z naszą córką. Wobec tego Charles Pope, a właściwie Charles Bellasis, jest ich prawowitym synem, wicehrabią i dziedzicem swojego dziadka.

Tego dnia James Trenchard wrócił do domu, aż promieniejąc radością. W rękę trzymał dowód, na który czekał. Jego prawnicy zarejestrowali małżeństwo Sophii, a Komitet Przywilejów<sup>[54]</sup> je zatwierdził. To ostatnie zajęło wprawdzie sporo czasu, ale przejrano dokumenty i nie dopatrzone się żadnych uchybień. Innymi słowy, nie istniał już żaden powód, by utrzymywać sprawę w sekrecie, Anna zdecydowała więc, że natychmiast muszą zawiadomić o wszystkim lady Brockenhurst. Od razu udała się na Belgrave Square, gdzie właśnie przed chwilą przekazała jej nowinę.

Caroline siedziała w milczeniu, a tysiące sprzecznych myśli walczyły o miejsce w jej w głowie. Czy Edmund naprawdę nie wspomniałby im ani słowem, że się ożenił? I to z córką kwatermistrza Wellingtona? W pierwszej chwili ogarnęło ją oburzenie. Jak mogło do tego dojść? Dziewczyna musiała być sprytna jak łasica. Caroline wiedziała od siostry, księżnej Richmond, że Sophia zwracała uwagę swoją urodą, ale najwyraźniej była też z niej niezła intrygantka... Z czasem jednak zaczęło do niej docierać coś znacznie ważniejszego: oto mają z Peregrinem prawowitego dziedzica – przedsiębiorczego, zdolnego i mądrego wnuka! Oczywiście młody człowiek musi natychmiast porzucić handel, o to jednak nie ma obaw; zrobi to, gdy tylko pozna fakty, a jego talenty przydadzą się w Lymington albo w innych rodowych posiadłościach. Zresztą są jeszcze nieruchomości w Londynie, w których od ponad stulecia niewiele się dzieje, więc naprawdę będzie mógł się wykazać. Na razie Caroline skoncentrowała się znów na siedzącej przed nią kobiecie. Nawet teraz nie można by ich nazwać przyjaciółkami, ale wrogami też nie. Zbyt wiele miały ze sobą wspólnego.

– I Charles o niczym nie wie?

– Nie. James chciał mieć stuprocentową pewność, że nie będzie żadnych przeszkód, które doprowadziłyby do rozczarowania.

– Rozumiem. No dobrze, z samego rana wyślemy Charlesowi wiadomość. Państwa zapraszam jutro na obiad, wtedy razem mu wszystko powiemy.

– A lord Brockenhurst? Podobno nie ma go w Londynie.

– Jest w Yorkshire na polowaniu. Jutro wraca, przynajmniej tak zapowiedział. Na wszelki wypadek zادهpeszuję do niego, żeby na pewno przyjechał tutaj, a nie do Hampshire. – Milczała przez

chwile. – Skoro panu Trenchardowi udało się uzyskać potwierdzenie małżeństwa, jak wytłumaczył panińskie nazwisko córki na świadectwie urodzenia Charlesa?

Anna się uśmiechnęła.

– Wszyscy mężowie są prawowitymi ojcami każdego dziecka urodzonego w trakcie trwania małżeństwa.

– Nawet ci nieżyjący?

– Jeśli dziecko urodziło się w ciągu dziewięciu miesięcy od śmierci ojca, prawo zakłada, że jest on jego rodzicem. Bez względu na to, czy żona przyjęła jego nazwisko czy nie, w rejestrze figuruje jako ojciec.

– Czy ojciec może nie uznać dziecka?

Anna się zamyśliła.

– Pewnie istnieją jakieś procedury, ale w tym przypadku wystarczy spojrzeć na twarz Charlesa, by odgadnąć, czyim jest synem.

– To prawda. – Teraz nareszcie hrabinę ogarnęła ciepła fala ulgi i prawdziwej radości. Mieli z Peregrinem dziedzica, którego Caroline już podziwiała z całego serca, a niebawem dzięki niemu zyskają upragnioną rodzinę, którą będą mogli obdarzyć miłością.

Myśli Annę musiały iść tym samym torem, bo zapytała:

– Gdzie jest lady Maria? Co ona wie?

– Powiedziała jej tylko, że Charles jest naszym wnukiem, bo sądziłam, że to może usmierzyć gniew jej matki. Niestety się pomyliłam, ale Maria ma tego świadomość. – Caroline wygładziła spódnice, ciesząc się z góry na reakcję dziewczyny, kiedy przekaże jej nowinę.

– Gdzie ona jest teraz?

– U lady Templemore. Wczoraj przyjechał z Irlandii jej brat i dzisiaj przysłano po Marię stangreta. Pojechała tam na obiad, żeby zobaczyć się z bratem, ale też w nadziei na jego pomoc przy rozmowie z matką. Mam ochotę posłać tam wiadomość, że nie trzeba już żadnych perswazji, ale to chyba i tak musi rozegrać się samo.

Reginald Grey, szósty hrabia Templemore, był człowiekiem z zasadami, chociaż nieco mniej żarliwym w poglądach niż Maria. Na swój sposób przystojny i prawy, wydawał się może nieco nudny, ale siostrę kochał nad życie. Wiele razem przeszli; siedząc w kucki za balustradą podestu na dziecinnym piętrze, słuchali dobiegających z dołu odgłosów awantur, a te niespokojne lata wytworzyły między nimi niełatwą do zerwania więź, którą ich matka niechętnie przyjmowała do wiadomości. Teraz siedzieli wszyscy w jej salonie i łatwo było zauważyć, że atmosfera pozostawiała wiele do życzenia.

– Co słyhać w domu? – spytała Maria dla podtrzymania rozmowy, mając na myśli rodzinną posiadłość w Irlandii. Włożyła na ten wieczór suknię z seledynowego jedwabiu. Wykończony haftem głęboki dekolt podkreślał piękną linię jej ramion i biustu, aczkolwiek efekt ten marnował się

w towarzystwie brata.

– Wszystko w porządku. Straciliśmy ostatnio dwóch dzierżawców, ale przejąłem ich grunty i teraz muszę sam uprawiać około tysiąca akrów. Postanowiłem też wprowadzić poważne zmiany w bibliotece. Zaraz po moim powrocie ma przyjść człowiek w sprawie nowych półek i przeniesienia kominka z błękitnego pokoju. Powinno wyjść całkiem niezłe.

Maria słuchała pilnie, jakby chciała udowodnić, że jest dorosła, więc ma prawo do własnego zdania.

– Na pewno. Papa by się ucieszył.

– Wasz ojciec przez całe życie nie przeczytał ani jednej książki – zauważyła lady Templemore. – Przynajmniej jeśli mógł tego uniknąć. – Wstała i zaczęła przestawiać na kominku miśnieńskie figurki. Wyraźnie nie zamierzała ułatwiać tej rozmowy.

Reggie Templemore uznał, że nie ma sensu dłużej krążyć wokół zasadniczego tematu.

– Z waszych ostatnich listów domyśliłem się, że jesteście skłócone.

Corinne oderwała wzrok od bibelotów.

– Słusznie się domyśliłeś.

Maria postanowiła chwycić byka za rogi.

– Poznałam mężczyznę, którego zamierzam poślubić. Mam nadzieję zrobić to za twoją zgodą i błogosławieństwem. Chcę iść do ołtarza wsparta na twoim ramieniu. Ale uprzedzam, że jeśli nie dasz mi pozwolenia, to i tak nie wyjdę za nikogo innego.

Reggie podniósł ręce, jakby chciał uspokoić spłoszonego konia.

– Hola, hola – przemówił z uśmiechem, starając się odsunąć groźbę kłótni. – Nie ma potrzeby tak się zaciętrzewiać, skoro jesteśmy tu tylko we troje.

– Maria odrzuciła wspaniałą okazję, która mogła odmienić życie nas obu. Nie może oczekiwać, że pogodzę się z jej decyzją. – Corinne wróciła na swoje miejsce. Uznała, że skoro już podjęli tę dyskusję, powinna się do niej przyłączyć.

Reggie odczekał, aż obie panie przyglądzą nastroszone piórka.

– Oczywiście nie znam tego pana. I przykro mi, jeśli wyrzekając się tego małżeństwa, Maria straci możliwość czynienia dobra, ale nie będę udawał, że boleję nad utratą Johna Bellasisa jako szwagra. Jego charakter nigdy nie dorównywał pozycji, jaką miał zająć.

– Dziękuję! – powiedziała Maria, tak jakby jej brat już rozstrzygnął spór. – Poza tym on nie lubi mnie, a ja jego. Tak było od samego początku.

– Więc dlaczego przyjąłś oświadczyzny? – spytała jej matka.

– Bo dałaś mi do zrozumienia, że jeśli go odrzucę, okażę się złą córką.

– Bardzo słusznie. Zrzuć teraz winę na mnie, jak zawsze zresztą.

Corinne westchnęła i zapadła się głębiej w fotel. Miała niejasne wrażenie, że wszystko wymyka się jej z rąk. Myślała, że syn wleje nieco rozsądku do głowy Marii, ale on wyraźnie od początku trzymał jej stronę.

– Nic nie rozumiesz, Reggie. Człowiek, którego twoja siostra wybrała sobie na męża, jest bękartem i handlarzem. – Nie wiadomo, co w jej oczach było większą obelgą.

– Mocne słowa, mamó. – Reggiemu nie bardzo odpowiadał kierunek, jaki przybrała ta rozmowa. – Mario, co ty na to?

Oczywiście Maria też czuła się niezręcznie, bo z tego, co wiedziała, obydwaj zarzuty były zgodne z prawdą. Skorygowała nieco fakty, odpowiadając bratu, ale nie mogła ich zmienić.

– Owszem, Charles urodził się jako nieślubne dziecko pewnego szlachcica i rodzina jego ojca chętnie go u siebie przyjmuje. Jest także szanowanym właścicielem przędzalni w Manchesterze i ma duże plany na przyszłość. – W miarę jak mówiła, jej głos nabierał pewności. – Zobaczysz, że bardzo go polubisz – dodała dla równowagi. – Wiem, że tak się stanie. – I rzeczywiście była o tym święcie przekonana.

Reggiego mocno poruszył entuzjazm siostry. Najwyraźniej uznała, że na wielkiej wadze życia szale jej wybranka i Johna Bellasisa mają równy ciężar. Jakżeby tego pragnął!

– Mogę poznać nazwisko tego szlachcica, który miał przyjemność spłodzić nieślubnego syna?

Maria ociągała się z odpowiedzią. Nie czuła się uprawniona do wymieniania nazwiska Brockenhurstów bez ich zgody.

– Ojciec Charlesa nie żyje – wyjaśniła. – I to dziadkowie otworzyli przed nim drzwi swojego domu. Ale nie wolno mi jeszcze powiedzieć, kim są.

Pewność, z jaką jej córka stawiała to zero na równi ze swoim dawnym narzeczonym, doprowadzała Corinne do szału.

– Ależ wystarczy, że go porównasz z Johnem Bellasisem...

– Mamó! – Tym razem nawet Reggie miał dość uporu matki. – John Bellasis to zamknięty rozdział i już tego nie zmienimy, nawet gdybyśmy chcieli.

– Bo też wcale nie chcemy! – wykrzyknęła z całą mocą Maria.

– No dobrze, ale handlarz? – Corinne nie zamierzała poddać się bez walki.

– Osiem lat temu...

– Proszę cię, Mario. Ani słowa więcej o Stephensonach.

– Ja wcale nie o nich. Chciałam ci tylko przypomnieć, że lady Charlotte Bertie<sup>[55]</sup> wyszła za właściciela stalowni Johna Guesta. – Maria wyraźnie dobrze się przygotowała; prawdopodobnie już wcześniej sporządziła listę wszystkich mezaliansów w najnowszej historii Londynu.

Lady Templemore nie tak łatwo dawała za wygraną.

– Pan Guest był bogatym przemysłowcem i posłem do Parlamentu. Pan Pope nie jest ani jednym, ani drugim.

– Ale będzie! – Maria, rzecz jasna, nie miała pojęcia, czy Charles zechce kiedykolwiek kandydować do Parlamentu, nie zamierzała jednak dopuścić, by górował nad nim jakiś hutnik z Walii.

– Więc powiadasz, że dziadkowie go przyjmują, a ojciec nie żyje.

Maria spłoszyła się nieco. Czyżby zdradziła zbyt wiele? Po co podała aż tyle szczegółów? Czyżby

matka domyśliła się powiązań Charlesa z Brockenhurstami? Zanim jednak zdążyła coś dodać, otworzyły się drzwi i kamerdyner zapowiedział obiad.

– Dziękuję, Strattonie, za chwilę przyjdziemy – odparł Reggie, przyjmując na siebie rolę pana domu, chociaż nigdy nim nie był.

Matka rzuciła mu zdziwione spojrzenie. Właśnie okrywała się szelkierką, przygotowując się na chłód jadalni, i nie widziała żadnego powodu do zwłoki. Ale kamerdyner skinął głową i wycofał się z salonu, pozostawiając rodzinę samą.

– Spotkam się z tym panem Pope’em – rzekł Reggie. – Rano wyślę mu wiadomość i spodziewam się, że znajdzie dla mnie czas, a wte...

– Oczywiście, że znajdzie! – wykrzyknęła Maria, postanawiając także wysłać liścik do Bishopsgate, i to tak, żeby dotarł tam wcześniej.

Reggie mówił dalej. Jak na dwudziestolatka miał już spory autorytet i Maria była dumna, że może nazywać go bratem.

– Wysłucham, co ma do powiedzenia, ale nie mogę ci obiecać, mamó, że poprę twoje stanowisko. Jeśli uznam, że to dżentelmen, zaproponuję mu raczej rozmowę o realnych warunkach i ustaleniach, dzięki którym zabezpieczyłby przyszłość Marii i zyskał prawo wejścia do naszej rodziny.

Corinne odrzuciła głowę z niesmakiem.

– Więc i ty dałeś się pokonać.

Miała jednak w Reggie’u godnego siebie przeciwnika.

– Jestem realistą. Skoro Maria nie chce wyjść za nikogo innego, sprawdźmy chociaż, czy potrafimy porozumieć się z jej wybrankiem. W końcu, mamó, obawiam się, że twój wybór będzie bardzo prosty: albo zechcesz żyć ze swoimi dziećmi w zgodzie, albo prowadzić z nimi wojnę. A teraz chodźmy już na dół.

Susan Trenchard po raz ostatni obchodziła swoje pokoje. Wszystko, z wyjątkiem ubrań i rzeczy potrzebnych w trakcie podróży, było już spakowane. Przeprowadzali się do Somerset. Anna odradzała jej podróż w bardziej zaawansowanej ciąży, więc zdecydowali się jechać już teraz. Susan nie zachwycała perspektywa ani samej podróży, ani życia na wsi, ale pogodziła się i z jednym, i z drugim. Czekало ich wiele pracy: będą musieli urządzić się zarówno w domu, jak i w posiadłości, zwłaszcza zależało jej na doprowadzeniu do godnego stanu pokoi dzieciennych, chociaż przesady zabraniały zmieniania wystroju przed porodem. Martwiła się teraz już tylko Oliverem. Zgodnie z umową od pamiętnej nocy nigdy nie wspominali o ojcu dziecka i w przyszłości także Susan nie zamierzała wracać do tego tematu. Ale mąż ciągle wydawał się jej jakiś zatroskany, nieobecny duchem, więc nabrała obawy, czy przypadkiem nie żałuje swojej decyzji. Wiedziała, do czego jest zdolny, i modliła się, żeby czasem już teraz nie zaczął utrudniać jej życia.

W rogu stała otwarta walizka, do której miała dopakować resztę rzeczy. Pozostałe zniesiono już do wielkiego podróznego powozu, specjalnie sprowadzonego z Somerset. Czekał gotowy do drogi



w bocznej uliczce za domem, gdzie miał go pilnować chłopak na posyłki. Zamierzali wyjechać zaraz po śniadaniu. W odróżnieniu od teściowej Susan chciała dotrzeć do Glanville w dwa dni, więc należało wyruszyć dostatecznie wcześniej. Właśnie przyglądała się ubraniom, które wybrała na podróż, kiedy do pokoju zajrzał Oliver.

– Gotowa?

Przytaknęła. Miała na sobie prostą szarą suknię, całkiem gustowną, ale odpowiednią bardziej na wieczór w zajeździe niż przy rodzinnym stole, gdzie James wymagał bardziej formalnych strojów.

– Wiem, że ta suknia nie jest zbyt elegancka, ale założę jeszcze srebrny naszyjnik i to jej doda szyku. Speer zabrała go na dół do wyczyszczenia, zaraz powinna wrócić.

Oliver słuchał jej jednym uchem. Kiwnął głową bez komentarza i tylko rozglądał się po pokoju.

– Będzie ci brakowało Londynu?

– Wrócimy tu na sezon. – Mówiła radosnym tonem szczęśliwej żony, bo taką właśnie rolę sobie narzuciła.

– To kawał drogi – zauważył. Nie szydził jednak, nie był też zły ani pijany, tylko po prostu smutny. Może martwił się o nią? Opadł na fotel przy kominku i dalej rozglądał się, jakby czegoś szukał, ale Susan nie wiedziała czego.

– Może powiesz mi, co cię trapi? – spytała w końcu z uśmiechem.

Nie zaprzeczył, więc coś musiało w tym być.

– Nie rozumiałabyś.

– Spróbuję.

Ale w tym momencie weszła pokojowa z filigranowym naszyjnikiem. Zapięła go Susan na szyi i małżonkowie ruszyli na dół.

Charles Pope czuł się rozdarty. Dopiero co zaprosił matkę do Londynu i zainstalował ją w pokojach, które wynajął dla nich obojga przy High Holborn. Przebywała tam zaledwie kilka dni i chociaż zapewniała, że bardzo ją cieszy ta odmiana, to po całym życiu spędzonym w wiejskim zaciszu męczył ją hałas i zgiełk nowoczesnego miasta. Charles wiedział, że powinien posiedzieć w domu przynajmniej kilka dni, aby zatroszczyć się o jej wygodę, ale na razie wpatrywał się w list, który dostarczono mu zaledwie godzinę wcześniej.

*Szanowny Panie Pope,*

*zastanawiam się, czy nie zechciałby Pan dotrzymać mi dziś wieczorem towarzystwa. Prawdopodobnie nie, gdyż podczas naszego ostatniego spotkania pozwoliłem, by mój gniew wziął górę nad dobrymi manierami. Wierzę jednak, że gdyby udało nam się dojść do porozumienia, uszczęśliwilibyśmy w znacznym stopniu drogiego nam obu człowieka. Jestem przekonany, że różnice między nami wynikły z mojej, a nie Pańskiej winy, ale uznałbym za wielką uprzejmość, gdyby zechciał Pan wyświadczyć mi tę łaskę i przyszedł do pubu The Black Raven przy Allhallows Lane o godzinie jedenastej wieczorem. Nie mogę stawić się wcześniej, gdyż jestem już umówiony*

*gdzie indziej, a zależy mi, aby sprawy między nami jak najszybciej doprowadzić do porządku.*

*Szczerze zobowiązany*

*Oliver Trenchard*

Charles zdążył przeczytać to już kilka razy. List był bez daty i adresu nadawcy, lecz nie miał powodu kwestionować jego autentyczności. James już wcześniej pokazywał mu kilka notatek, które Oliver sporządził w związku z budową na Wyspie Psów, i pismo wydało mu się to samo. Poza tym aż za dobrze wiedział, że to on jest przyczyną napiętych stosunków Jamesa z synem. Dobrze byłoby pokonać te kłopoty, gdyż marna to z jego strony odpłata za wszystko, co James dla niego uczynił. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zanieść odpowiedzi do domu Trenchardów przy Eaton Square, ale czy nie spłoszyłby w ten sposób nadawcy? Miałby przyciągać uwagę Jamesa do kłótni, zanim znajdzie się rozwiązanie? Nie znał pubu wymienionego w liście, wiedział jednak, że Allhallows Lane to wąska nadrzeczna uliczka niedaleko Bishopsgate i łatwo dojść tam pieszo. Tylko dlaczego tak późno? Jeśli Oliver ma zajęty ten wieczór, można by przecież odłożyć spotkanie do następnego dnia. Ale gdyby Charles odmówił ze względu na późną porę, mogłoby to być zrozumiane jako wykret i brak chęci do zgody, a przecież niczego bardziej nie pragnie.

Ostatecznie postanowił wrócić do wynajętego mieszkania, uspokoić matkę i zjeść z nią posiłek, a następnie udać się na spotkanie. Starsza pani zapewne położy się zaraz po jego wyjściu, zresztą zarówno gospodyni, jak służący będą mieli na nią oko. Z tą myślą kazał przynieść sobie płaszcz.

Maria z bratem i matką nie poruszali przy obiedzie spornych tematów. Usługiwał im kamerdyner i jedyny lokaj, a Corinne nie lubiła rozmawiać o rodzinnych kłopotach w obecności służby. Dyskutowali więc o planach Reggiego w związku z Balligrey, plotkowali o krewnych i znajomych w Irlandii, aż prawie zapomnieli, że obie panie jeszcze przed chwilą wiodły spór, który mógł zakończyć się zwycięstwem tylko jednej z nich.

– Nic nie wspominasz o swoim życiu osobistym – zauważyła żartobliwie Maria. – Czyżbyś nie miał nam nic do powiedzenia?

Reggie uśmiechnął się i sięgnął po kieliszek.

– Doświadczenie nauczyło mnie trzymać karty przy orderach.

– To brzmi obiecująco. Nieprawdaż, mamó?

Ale lady Templemore nie zamierzała dać się wciągnąć w wesołe pogaduszki, kiedy w jej głowie kłębiły się ponure myśli.

– Na pewno powie nam, gdy nadejdzie właściwy moment – ucięła, dając lokajowi znak, że skończyli. Ten natychmiast przystąpił do zbierania talerzy.

– Nie chcę czekać – upierała się Maria, ale wyciągnęła z brata tylko tyle, że córka przyjaciół rodziców wydała mu się „dość sympatyczna” i „być może” coś z tego będzie.

– Jeśli jej rodzice rzeczywiście są naszymi starymi przyjaciółmi, już to samo stanowi balsam dla mojej zranionej duszy – zauważyła Corinne, kiedy służący wyszli na chwilę z jadalni, ale nie

próbowała rozwijać tematu.

Dopiero później, kiedy siedzieli już sami w salonie, odezwała się nagle ni w pięć, ni w dziewięć:

– No więc dobrze.

– Co „dobrze”? – spytała zaskoczona Maria, która właśnie nalewała sobie kawę.

– Poczekam na decyzję Reggiego. Jeśli spodoba mu się twój pan Pope i wyrazi zgodę na wasz związek, ja się dostosuję. To on jest teraz głową rodziny i to on będzie miał na karku tego człowieka jako szwagra. Ja i tak niedługo umrę, więc co warta jest moja opinia? – Usiadła na sofie, podkreślając swoją marną kondycję ciężkim westchnieniem, po czym wzięła ze stolika wachlarz.

Maria i Reggie na chwilę zastygli w bezruchu. Potem dziewczyna rzuciła się przed matką na kolana i ująwszy jej dłonie, zaczęła okrywać je pocałunkami. Po policzkach spływały jej łzy.

– Dziękuję, moja najdroższa, najukochańsza mamó, dziękuję! Nie pożałujesz tego, zobaczysz!

– Już żałuję – odparła lady Templemore. – Ale nie mogę walczyć z własnymi dziećmi, jestem na to za słaba. Dołożę wszelkich starań, żeby polubić człowieka, który ukradł przyszłość mojej córki.

Maria podniosła na nią wzrok.

– Mamó, on niczego nie ukradł. To ja sama, z własnej woli powierzyłam mu swoją przyszłość.

Mimo tego sprzeciwu Corinne pozwoliła jej nadal trzymać się za ręce. I chociaż potem, już w łóżku, uroniła kilka łez nad utratą wymarzonego raju, doszła do wniosku, że zważywszy na wszystko, woli być z dziećmi raczej w dobrych niż złych stosunkach. W końcu za życia ich ojca przeszli razem tak trudną i wyboistą drogę, że teraz nie wypada wypowiadać im wojny.

Owoce podano na pięknym srebrnym epergne. Wokół centralnie usytuowanej misy z różami rozmieszczone były koszyczki z winogronami, śliwkami i brzoskwiniami. Na obu końcach stołu płonęły kandelabry i Anna pomyślała, że w ich łagodnym blasku całość wygląda jak obraz Caravaggia; pani Babbage, jeśli tylko włoży w swoje dzieło odrobinę serca, potrafi być prawdziwą artystką. Zadysponowała dziś uroczysty obiad, aby należycie pożegnać Olivera i Susan – bardzo się ucieszyła, że synowej udało się dojść z mężem do porozumienia. Sama zamierzała dotrzymać umowy i nigdy więcej nie wspomnieć o pochodzeniu dziecka. Przez chwilę kusiło ją, by powiedzieć Caroline Brockenhurst – teraz przecież wszystkie wnuki Anny miały w sobie krew Bellasisów – ale gdyby napomknęła o tym choćby jednej osobie, prędzej czy później prawda dotarłaby do Jamesa, a tego absolutnie nie chciała. Tak więc Susan mogła spać spokojnie, a i Anna była zadowolona. Wprawdzie nie przepadała za synową, musiała jednak przyznać, że jest bystra, potrafi skutecznie dopiąć swego, a fakt, że niedawno cudem uniknęła skandalu, pomógł jej wyrwać się ze skorupy egoizmu i zająć praktyczną stroną ich nowego życia. Wszak doktor Johnson<sup>[56]</sup> napisał, że umysł człowieka, świadomego, że za dwa tygodnie go powieszą, jest zdolny do nadzwyczajnej koncentracji, więc może dotyczy to także kogoś, komu zagraża całkowita ruina. Annie bardzo było żal Glanville. Owszem, będzie tam jeździć, może nawet nie rzadziej niż dotychczas, ale to już nie jej królestwo. Rządy obejmie tam królowa Susan. Mimo to uważała, że warto ponieść taką ofiarę, jeśli dzięki temu Oliver będzie mógł żyć własnym życiem, a nie życiem swojego ojca.

Patrząc teraz przez stół na syna, Anna wyraźnie widziała, że nadal coś go trapi. W ciągu ostatnich dni próbowała go wypytywać, ale bez skutku. Za każdym razem odpowiadał, że to nic takiego, a jednak...

– Ojciec, widziałeś się może ostatnio z panem Pope’em?

Pytanie zaskoczyło całą rodzinę, bo przecież wszyscy wiedzieli, że Oliver nie nosi Charlesa w sercu i normalnie unikałby tego tematu. Nadal nie znał jego prawdziwego pochodzenia, ponieważ James uważał, że Charles pierwszy powinien poznać prawdę, a przynajmniej nie później od innych zainteresowanych. Oliver nie miał także pojęcia o roli Susan w tej historii, a Anna nie zamierzała go o tym informować. To dobrze, że Charles, lord Brockenhurst i Templemore’owie dowiedzą się o wszystkim przy jutrzejszym obiedzie, później zaś przyjdzie kolej na Olivera.

Po chwili ciszy, potrzebnej, by ochłonąć ze zdumienia, James odpowiedział pytaniem:

– Co znaczy „ostatnio”?

– W zeszłym tygodniu. – Oliver jadł brzoskwinie i po podbródku ściekał mu sok. Nie uszło to uwagi Susan, która aż zacisnęła zęby z irytacji, ale zmusiła się do zachowania spokoju. Jeśli mężowi nie przeszkadza sok na brodzie, to niech mu tam. W końcu to jego broda.

– Nie. Przeprowadził się ostatnio do większego mieszkania, żeby sprowadzić matkę... – Uchwycił spojrzenie Anny i szybko się poprawił: – To znaczy panią Pope. Wiedział, że będzie musiał spędzić z nią trochę czasu, zanim się zadomowi na nowym miejscu.

– Aha. Wiesz może, gdzie to jest?

James zaczął obierać brzoskwinie, zastanawiając się, do czego zmierza ta rozmowa.

– Gdzieś w Holborn, jak sądzę. Czemu pytasz?

– Tak sobie, bez powodu.

Anna zauważyła, że Billy zerka z ciekawością na Olivera. Dopiero pod jej spojrzeniem spuścił oczy i zaczerwienił się. Teraz, kiedy został kamerdynerem, trzeba będzie nazywać go Watsonem.

– A ja myślę, że jest powód – wypalił James, już nieco rozdrażniony. Anna przypuszczała, że mąż szykuje się do obrony Charlesa przed ewentualnymi zarzutami, ale Oliver nie był w wojowniczym nastroju, raczej robił wrażenie zmartwionego. – Oliverze, pozwól na słówko. – James rzucił nożyk do owoców na talerz, zmiął serwetkę i wstał. Ruszyli obaj do biblioteki.

Po drodze żaden z nich się nie odezwał, dopiero kiedy James zamknął drzwi, przeszedł prosto do rzeczy:

– No więc o co tu chodzi, he? Czemu jesteś taki zbolący i co to ma wspólnego z Charlesem Pope’em?

Na swój sposób pytanie przyniosło Oliverowi ulgę: wreszcie mógł zrzucić ten ciężar z serca. Opowiedzieć, jak kipiąc z gniewu, poszedł do The Horse and Groom, jak wypatrzył go tam John Bellasis...

– Wiedział, że jestem wściekły na Pope’a, chociaż nie mam pojęcia skąd, i zaczął mnie wypytywać. Był go ciekaw, bo to przecież wielki faworyt jego ciotki. Poza tym zżerała go zazdrość,

od razu się zorientowałem.

– Ale co się wydarzyło? Co on zrobił? I co ty zrobiłeś? – I żeby zająć czymś ręce, James chwycił pogrzebacz i zaczął podsycać gasnący ogień.

Oliver nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, jakich słów użyć, by to, co ma do przekazania, nie zabrzmiało zbyt groźnie. Ale nic nie mógł wymyślić.

– Powiedział, że chce Pope’owi dać nauczkę.

– Jakiego rodzaju nauczkę?

– Nie wiem. Byłem nieźle wstawiony jeszcze przed jego przyjściem. I też czułem złość do Pope’a.

– Nie musisz mi tłumaczyć, że mu źle życzysz. Niczego innego się po tobie nie spodziewam. Mów dalej. – Nie brzmiało to pocieszająco, ale Oliver wiedział, że skoro zaczął, musi dokończyć.

– Poprosił, żebym napisał do Pope’a list. Wyjaśnił, że sam nie może, bo on Pope’a nic nie obchodzi, i na pewno nie zechce odpowiedzieć. Ale gdybym to ja napisał, że żałuję naszej kłótni, a tobie nasze pojednanie sprawiłoby wielką przyjemność, to może zgodziłby się na spotkanie.

– Bo mnie sprawiłoby to przyjemność? – prychnął drwiąco James.

– Widocznie Bellasis domyślał się, że nie podoba ci się mój niechętny stosunek do Pope’a. Tak czy inaczej, napisałem ten list, a potem wypiliśmy po szklaneczkę i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

James patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Napisałeś do Charlesa Pope’a, żeby zwabić go w... w zasadzkę? Kto miał tam na niego czekać? Bandyści nasłani przez Bellasisa? Mam rację?

– Mówiłem już, że byłem pijany.

– Ale nie na tyle, by nie móc utrzymać pióra, na Boga!

Dla Olivera wybuch złości ojca oznaczał przekreślenie cennego pokoju, na który miał nadzieję, odkąd podjęli decyzję o przeprowadzce do Glanville. Znów to samo, co zawsze: jest nieudacznikiem, głupcem i tylko sprawia mu zawód.

– Kiedy miało się odbyć to spotkanie?

– Nie powiedział. Nie pozwolił mi wstawić daty, żeby mógł sam zdecydować, kiedy to wysłać. Pewnie chce zorganizować „komitet powitalny” i wszystko zawczasu przygotować. Dlatego zapytałem, czy widziałeś się ostatnio z Pope’em.

– Gdzie miał się z tobą spotkać? A raczej gdzie miał się spotkać z Bellasisem?

Oliver od tamtego dnia czuł się tak, jakby miał przy sobie butelkę z jakimś niebezpiecznym, nie do końca ukształtowanym sekretem. Nie chciał przyznać, że zachował się naiwnie i głupio, ale tak właśnie było. Teraz ten trujący sekret wymknął się z butelki i rozrósł w jego umyśle na tyle, że na nic więcej nie zostało już miejsca.

– Nie pamiętam.

– Więc się bardziej staraj! – James szarpnął za sznur dzwonka i gdy tylko lokaj przybiegł z jadalni, zaczął wydawać polecenia: – Poślij chłopaka po Quirka i niech natychmiast zajeżdża! Tym

jednokonnym, szybko!

Oliver się zdumiał.

– Dokąd chcesz jechać? Nawet nie znasz jego obecnego adresu, a ja nie mogę sobie przypomnieć miejsca tego spotkania. I skąd wiesz, że chodzi o dzisiejszy wieczór?

James wbił w niego wzrok.

– Jeśli to już się stało i Pope poważnie ucierpiał, nigdy ci nie wybaczę! Ale może jeszcze nic się nie stało, więc musimy go ostrzec, choćbyśmy mieli czekać całą noc przed jego biurem. Teraz gadaj, gdzie to spotkanie. Gdzieś w City? Za miastem? Musisz pamiętać chociaż tyle!

Oliver myślał intensywnie.

– Chyba w City... Tak, bo Bellasis mówił, że Pope dojdzie tam pieszo ze swojego biura.

– W takim razie zaczniemy od Bishopsgate. Ubieraj się, a ja uprzedzę matkę.

– Ojczy!

James zatrzymał się w pół kroku i obrócił twarzą do syna.

– Przykro mi – rzekł Oliver całkiem szczerze, o czym świadczyła jego pobladła twarz.

– Zobaczysz, jak będzie ci przykro, jeśli cokolwiek mu się stanie.

John Bellasis dygotał, chociaż nie wiadomo, czy z zimna czy raczej z powodu tego, co go czekało. Odprawił dorożkę kilka ulic dalej, żeby woźnica nie domyślił się jego celu, i teraz wędrował samotnie przez nocny East End.

Kiedy Oliver Trenchard zostawił go w tamten wieczór w The Horse and Groom, John odłożył na bok list, wmawiając sobie, że nigdy się nim nie posłuży. W ten sposób mógłby jakoś się rozgrzeszyć z tego, że w ogóle dopuścił do jego napisania. Oczywiście wiedział, po co to zrobił. Wiedział o tym od chwili, gdy zobaczył Olivera przy barze i nagle uświadomił sobie, że ma w zasięgu ręki możliwość pozbycia się przeszkody na drodze do swojego szczęścia.

Każdego dnia spodziewał się wezwania do Brockenhurst House. Czy zechcieliby przyjść wraz z ojcem, gdyż wynikły pewne nowe okoliczności, które będą miały wpływ na ich przyszłość? Ale nic takiego nie nadeszło. W prasie nie ukazało się stosowne oświadczenie, ciotka Caroline także się nie odezwała. Trenchardowie muszą już do tej pory znać prawdę, on sam dostarczył im dowód, czego zresztą nie mógł przeboleć. Potem doszedł do wniosku, że pewnie czekają na oficjalne potwierdzenie. Nie pisną nikomu ani słowa, nawet Brockenhurstom, dopóki roszczenia Charlesa Pope'a nie zostaną uwierzytelnione i uznane przez sąd. I zaraz pojawiła się myśl, że jeśli zdobędzie się na ten postępek, jeśli starczy mu odwagi, musi to zrobić, zanim ukaże się oświadczenie. Śmierć wicehrabiego, dziedzica lorda, z pewnością roztrąbiłyby wszystkie gazety w kraju. Ale przykry wypadek młodego handlarza bawełną, który dopiero rozkręca swoje interesy, będzie wart najwyżej drobnej wzmianki u dołu kolumny.

Mimo wszystko zwlekał. Siedząc samotnie w Albany, wpatrywał się w list, aż w końcu zaczął podejrzewać, że nie ma dość charakteru, by naprawić tę straszną niesprawiedliwość, którą los mu

zgotował. Czy mimo wszystko brakowało mu odwagi? Czy bał się wykrycia i w konsekwencji stryczka? Ale jeśli nic nie zrobi i wszystkie jego nadzieje legną w gruzach, to czy takie życie będzie lepsze od stryczka?

Przez te dni nie wychodził z domu, jadał samotnie, obsługiwany przez milczącego służącego, którego zarobki – jak pomyślał John w przeblysku humoru – były poważnie zagrożone. Pił także samotnie, i to sporo, pewien, że nawet to stosunkowo proste życie (zwłaszcza w porównaniu z różnymi szczęściami spośród jego rówieśników) zmieni się na znacznie gorsze, kiedy rozejdzie się wieść, że nie jest już dziedzicem wielkiej fortuny, tylko tonącym w długach nędzarzem bez nadziei na jakikolwiek dochód. Wierzyście osaczą go jak rekiny, czyhając tylko, by oskubać go do ostatniego pensa, a ojciec także go nie uratuje. Rzeczywiście Stephen znajdował się w jeszcze większych opałach niż jego syn. Obaj mogliby ogłosić bankructwo, ale co dalej? Nędzna wegetacja w Paryżu lub Calais na skromnej pensyjce, którą Charles Pope (nie potrafił się zmusić do nazywania go Charlesem Bellasisem) zgodziłby się łaskawie im wypłacać? Czy to rzeczywiście lepsze niż skorzystać z szansy, podjąć wyzwanie prowadzące albo do zwycięstwa, albo na stryczek?

I takie właśnie myśli towarzyszyły mu tego poranka po bezsennej nocy. Wyjął kopertę i położywszy przed sobą otwarty list, całkiem niezłe podrobił pismo, z wyjątkiem jednego słowa „Pope”. Potem włożył notatkę do środka i zapieczętował woskiem. Wyszedł na ulicę, w pewnej odległości od Albany wynajął dorożkę i kazał woźnicy zawieźć list do biura Pope’a, dodając stosowny napiwek.

Oddalając się, pomyślał, że może ten dorożkarz jest łajdakiem, który schowa pieniądze do kieszeni, zniszczy kopertę i weźmie innego pasażera? Cóż, niech będzie, co ma być. Ale wiedział też, że musi poczynić przygotowania. Pójść wcześniej do The Black Raven, sprawdzić odległość pubu od rzeki i sfinalizować plan. Po raz kolejny spędził cały dzień u siebie, leżąc na łóżku albo chodząc po pokoju. Od czasu do czasu zastanawiał się, czy w ogóle ma tam iść. Niech Charles zobaczy, że nikt na niego nie czeka. Wtedy oczywiście zapyta o Olivera Trenchara, a nie Johna Bellasisa, a barman, któremu to nazwisko nic nie powie, wzruszy tylko ramionami. Charles wróci do domu, a rano wstanie, gotów zagarnąć wszystko, co należy się Johnowi. I po rozważeniu tej ostatniej myśli zrozumiał, że musi działać. Nawet jeśli się nie uda, przynajmniej będzie wiedział, że próbował. Nie podda się okrutnym bogom bez walki.

– Późno dziś wrócę, Rogerze – uprzedził służącego, który podał mu płaszcz. – Nie spodziewaj się mnie przed świtem, ale gdybyś nie zastał mnie w łóżku do ósmej, możesz zacząć poszukiwania.

– Gdzie powinienem pytać, proszę pana?

Ale John pokręcił tylko głową i nie odpowiedział.

– Morderstwo? – Przerażenie Olivera, gdy usłyszał sugestię ojca, wcale nie było udawane. A James, chociaż ogarnięty taką furią, że niemal odchodził od zmysłów, nie omieszkał tego zauważyć.

Oliver sądził, że Charles Pope może zostać pobity, ale nic poza tym. Widział, jak bardzo John Bellasis nienawidzi tego człowieka i że szykuje jakąś burdę, która prawdopodobnie ujdzie mu na sucho. Niewątpliwie wynajmie do tej roboty jakichś opryszków, a ci ulotnią się bez śladu tak, że

policja nie będzie miała nic do roboty i sprawa pójdzie w zapomnienie. Ale morderstwo? Podejrzenia Jamesa nie mieściły się jego synowi w głowie. Żeby John Bellasis miał zamordować Charlesa Pope'a?

– Ale dlaczego? – spytał.

Do Bishopsgate mieli kawał drogi i James nie widział powodu dłużej utrzymywać Olivera w nieświadomości. Podczas jazdy oświetlonymi gazem ulicami opowiedział mu całą historię o małżeństwie w Brukseli, o pomyłce Sophii co do jego ważności i o prawdziwej tożsamości Charlesa. A przede wszystkim o zagrożeniu dziedzictwa Johna Bellasisa, któremu zapobiec może tylko usunięcie Charlesa Pope'a na zawsze.

Po chwili milczenia Oliver westchnął.

– Powinieneś być wcześniej mi o tym powiedzieć. Dawno temu, zanim dowiedziałeś się, kim naprawdę jest Charles Pope. Bez względu na jego prawe lub nieprawe urodzenie jest jednak moim siostrzeńcem.

– Martwiliśmy się o reputację Sophii.

– A sądzisz, że nie dochowałbym sekretu, by ochronić dobre imię mojej siostry?

Raz wreszcie James powstrzymał się od ciętej riposty, gdyż uznał to za poważny zarzut, który powinien rozważyć. Ten sam błąd popełnił wobec Anny i potem go pożałował. Dlaczego nie potrafi zaufać członkom własnej rodziny? To jego, a nie ich słabość kazała mu zachować milczenie. Siedział zamyślony, podczas gdy powóz toczył się dalej w noc.

Maria wracała z Chesham Place na Belgrave Square w towarzystwie lokaja matki. Naprawdę nie było potrzeby wsiadać do powozu na dziesięć minut, a ona lubiła chłód nocnego powietrza. Szła sprężystym krokiem, z lekkim sercem, i prawdopodobnie odprawiałaby służącego, ale wiedziała, że zdenerwowałaby tym matkę, a tego absolutnie sobie nie życzyła. Zawsze wierzyła, że Reggie wszystko naprawi, i tak się stało. Teraz oczywiście Charles musi zdać u niego egzamin, chociaż o to była spokojna – przecież jest dżentelmenem. Może nie jakąś nadzwyczajną partią, ale z pewnością dżentelmenem. Ciężko pracującym, inteligentnym i wyposażonym we wszystkie zalety, które Reggie tak ceni. I prawdę rzekłszy, bardzo wzruszył ją sposób, w jaki matka poddała się decyzji syna.

Maria była silna i zdeterminowana w swojej walce. Wyprowadziła się z domu i w pewnym sensie skłóciła Corinne z jej starą przyjaciółką. Kiedy lady Templemore próbowała bronić sprawy Johna Bellasisa, Maria pozostała chłodna i nieugięta, argumentując, że skoro tak mu na niej zależy, czemu o nią nie walczy? Ale nie lubiła kłócić się z matką. Ojciec traktował źle zarówno żonę, jak i dzieci, więc po jego śmierci cała trójka odczuła niejaką ulgę, chociaż żadne z nich by się do tego nie przyznało. Matka zasłużyła sobie na spokojne życie i Maria ubolewała nad ich złymi stosunkami. Teraz z tym koniec. Nie miała wątpliwości, że gdy lady Templemore pozna Charlesa lepiej, to prędzej czy później go polubi. I bez względu na to, czy i on nabierze do niej sympatii, lady Templemore będzie mogła liczyć na jego opiekę, więc ostatecznie odniesie z tego małżeństwa takie same korzyści. Od tej pory stanowili jedną rodzinę i Marię bardzo to cieszyło.



Drzwi do Brockenhurst House otworzył jej nocny stróż, który zawsze czuwał (tak przynajmniej mówił) w skórzanym fotelu w rogu holu, czekając, aż o ósmej zmieni go kamerdyner. Maria odprawiła lokaja matki i powiedziawszy stróżowi „dobranoc”, ruszyła ku schodom. Ten jednak miał dla niej wiadomość:

- Jaśnie pani czeka na panią, milady. Jest w buduarze.
- Nie położyła się jeszcze? – zdziwiła się Maria.
- Nie, milady. Kazała mi przekazać, że chce się z panią zobaczyć.
- Doskonale, dziękuję – odparła Maria i podążyła na górę.

Charles wyszedł ze swojego nowego mieszkania i wziął głęboki wdech. Z przyjemnością chłonał zimne nocne powietrze po wieczorze z matką w nieco przegrzanej bawialni. Mimo wszystko cieszył go ten wspólnie spędzony czas. Matka z podnieceniem oczekiwała odmiany w swoim życiu i było coś wzruszającego w zaufaniu, z jakim zawsze odnosiła się do jego projektów na przyszłość. Wiedziała z góry, że firma Charlesa wkrótce rozszerzy swoją działalność na cały świat, a on sam dorobi się fortuny. Była też święcie przekonana, że syn kupi dom w najmodniejszej dzielnicy Londynu, a ona mu go poprowadzi, oczywiście dopóki się nie ożeni. I najwyraźniej wszystko to miało się stać w najbliższym czasie.

Naturalnie Charles powinien jej powiedzieć, że żonę już sobie znalazł, ale chciał rozegrać to ostrożnie, żeby matka nie pomyślała, że stanie się tylko zbędnym dodatkiem do młodego małżeństwa. Bez względu na to, jak potoczy się jego życie, zamierzał zapewnić jej wszelkie wygody i sprawić, by czuła się mile widziana. Był pewien, że Maria się z tym zgodzi, toteż jak najłagodniej wspomniął matce, że jest ktoś, kogo zamierza jej przedstawić, ta zaś przyjęła to z uśmiechem.

- Powiesz mi, jak się nazywa?
- Maria Grey. Bardzo ją polubisz.
- Na pewno, skoro ty ją wybrałeś.
- Jeszcze nie wszystko jest ustalone.
- Dlaczego, jeśli to ta właściwa osoba?

Mała bawialnia oddana do ich dyspozycji prezentowała się ładnie, zwłaszcza jak na wynajęte mieszkanie w Holborn. Wyposażono ją w perkalowe zasłony i wyściełaną sofę, na której siedziała matka, mając przy sobie stolik do robótek, który z sobą przywiozła. Niby coś haftowała, ale kiedy po jej ostatnim pytaniu zapadła cisza, przerwała pracę i zastygła w oczekiwaniu.

Charles lekko się skrzywił.

– To skomplikowana sprawa. Jej matka jest wdową i oczywiście chce chronić swoją jedyną córkę. Nie całkiem wierzy, że spełniam wszystkie jej oczekiwania wobec przyszłego zięcia.

Pani Pope się zaśmiała.

– W takim razie to bardzo głupia wdowa. Gdyby miała choć trochę rozumu, ucałowałaby ziemię w chwili, gdy przestąpiłeś jej próg.

Charles nie chciał nastawiać matki wrogo wobec rodziny swojej przyszłej żony.

– Lady Templemore ma swoje powody. Wcześniej zaaranżowała dla Marii inne małżeństwo, więc trudno ją potępiać za to, że chce, by jej córka dotrzymała słowa.

– Mam swoje zdanie na temat tej całej lady. – Pogardliwy nacisk na ostatnie słowo był kolejną zapowiedzią przyszłych kłopotów. Charles już żałował, że napomknął matce o swoich trudnościach. – Jeśli dziewczyna widzi, że jesteś o wiele więcej wart niż ten jej żalosny wielbiciel, to po prostu wykazuje zdrowy rozsądek. A matka powinna jej słuchać. – Znów zajęła się robótką, ale kłuła teraz płótno igłą z taką zawziętością, jakby stawiało jej opór. – Dlaczego ona nazywa się Templemore, a jej córka Grey?

– To tytuł jej zmarłego męża, lorda Templemore’a. A Grey to nazwisko rodowe.

– Lord Templemore?

– Gwoli ścisłości, hrabia Templemore.

Po tych słowach szycie zwolniło tempo. Więc Charles może zrobić taką świetną partię! Nic w tym zresztą dziwnego. Zawsze był genialny pod każdym względem. Niemniej ta nowina sprawiła pani Pope szczególną przyjemność, chociaż czuła się z tego powodu trochę winna.

– Niechby sobie był nawet królem Templemore – stwierdziła z całą stanowczością, odrywając się na chwilę od haftu. – I tak mają szczęście, że ich wybrałeś.

Charles uznał, że czas skończyć tę rozmowę.

Na spotkanie z Oliverem Trenchardem postanowił pójść pieszo. Zdąży. Do biura także zamierzał codziennie chodzić piechotą, zresztą nie ma zbyt daleko.

Zdawało mu się, że w liście Olivera dostrzegł rękę wyciągniętą do zgody, a jeśli się nie pomylił, to zamierzał ją przyjąć. Już od czasu pamiętnego lunchu w Athenaeum, kiedy zazdrość Olivera (bo to z pewnością była zazdrość) tak mocno dała mu się we znaki, każde kolejne spotkanie z Jamesem miało posmak trucizny. Potem doszła do tego próba oczernienia go w oczach pana Trencharda za pomocą fałszywych zarzutów tych łajdaków Brenta i Astleya, czyli jawny dowód, że Oliver cały czas ział do niego złością. Niezachwiana wiara Jamesa w niewinność Charlesa tylko dolewała oliwy do ognia. Czy Oliver słusznie oskarżał ojca o zaniedbanie własnego syna na rzecz obcego człowieka? Z tego Charles raczej nie wyszedłby obronną ręką. W każdym razie wszyscy byliby szczęśliwsi, gdyby udało się im zawrzeć pokój. Bardzo sobie cenił pomoc i wsparcie Jamesa Trencharda. I chociaż nie pozostawał ślepy na śmieszności swojego protektora, takie jak uparte lansowanie własnej osoby czy gorączkowe wspinanie się po śliskim słupie awansu społecznego, co Charlesa w ogóle nie interesowało, to dostrzegał także jego inteligencję. James jak nikt inny rozumiał świat interesów, jego przyprawy, odpływy i prądy. Fakt, że zacząwszy od niczego, wdarł się przebojem w hierarchiczny świat dziewiętnastowiecznej Anglii, wcale jego protegowanego nie dziwił. Dzięki naukom pana Trencharda Charles będzie mógł skrócić własną drogę do kariery, dlatego zamierzał w pełni je wykorzystać. I być mu za to szczerze wdzięczny.

W drodze nad rzekę przechodził właśnie koło własnego biura. W ciągu dnia Bishopsgate tętniło

życiem, na wąskich uliczkach turkotały pojazdy, na chodnikach przepychali się zaafetowani przechodnie. Ale nocą próżno by szukać spokojniejszego miejsca. Od czasu do czasu mijał jakiegoś pijaczka, żebraka, nawet samotną prostytutkę, która w tej okolicy raczej nie mogła liczyć na klienta, przeważnie jednak ulice były puste i w ciemności majaczyły tylko wielkie nieoświetlone budynki. W pewnym momencie jakiś dziwny impuls kazał mu się wycofać, zrezygnować ze spotkania i wrócić do domu. Tak jakby nagle otrzymał pilną wiadomość, zupełnie wyraźną, choć niewyjaśnioną. Odsunął jednak tę myśl ze wzruszeniem ramion i postawiwszy kołnierz, kontynuował wędrówkę.

Serce Marii waliło jak młotem. Nie z powodu nowej pozycji ukochanego i jego perspektyw na przyszłość – wszystko to mogła mieć wraz z ręką Johna Bellasisa – ale dlatego, że jej matka przekonała się do Charlesa, zanim się o tym wszystkim dowiedziała. Gdyby nie przyjazd Reggiego, gdyby aż do dzisiejszego wieczora trwały we wzajemnej wrogości, już zawsze by myślała, że matka zmieniła zdanie ze względu na zmianę sytuacji Charlesa. Teraz jednak wiedziała, że przyjęła go takim, jakim był, nie z własnej woli, tylko z miłości do swoich dzieci.

Lady Brockenhurst była tego samego zdania.

– A nie mówiłam? Od razu wiedziałam, że się do niego przekona.

Siedziały w buduarze przy ogniu. Caroline kazała podać dwa kieliszki swojego ulubionego słodkiego sauternes, żeby uczcić nowinę. Żadna z nich nie chciała jeszcze się kłaść.

– Tak, mówiła pani, ale ja nie wierzyłam.

– No cóż, cieszę się, że okazała się prawdziwą matką, a teraz otrzyma nagrodę. Muszę zaprosić ją na jutrzejszy obiad, ale jeszcze jej o tym nie wspominaj, żeby nie psuć niespodzianki.

Maria sączyła wino z misternie złotanego kieliszka.

– I Charles dalej nic nie wie?

– Pan Trenchard wolał zachować sekret, dopóki prawnicy wszystkiego nie potwierdzą. To dość rozsądnie z jego strony. – Caroline wciąż nie chciało przejść przez gardło dobre słowo pod adresem Jamesa Trencharda, ale fakt pozostawał faktem: byli teraz oficjalnie spowinowaceni. Mieli wspólnego wnuka, więc lepiej przyzwyczaić się do tej myśli.

Maria zauważyła pogardliwy uśmiezek gospodyni.

– Charles zapewnia mnie, że pan Trenchard ma wiele cennych zalet. Bardzo go podziwia.

– W takim razie też się o to postaram – odrzekła po krótkim namyśle hrabina.

– I polubiłam jego żonę.

– Tak, właściwie i ja dosyć ją lubię. – Nie był to może wybuch entuzjazmu, ale przynajmniej dobry początek. Co prawda Caroline rzeczywiście zaakceptowała Annę, która w odróżnieniu od męża z obojętnością odnosiła się zarówno do awansu społecznego, jak też do opinii innych o sobie i swojej rodzinie. Zdaniem Caroline wykazywała w ten sposób instynkt prawdziwej damy. Gdyby tylko mąż zechciał wziąć z niej przykład! Hrabina czuła, że będzie musiała przyłożyć rękę do jego oszlifowania, a przynajmniej namówić na to Charlesa.

– Czy zaskoczyło państwa, że syn ożenił się bez ich wiedzy? – Maria pożałowała tego pytania już w chwili, gdy je zadała. Po co otwierać stare rany? Oczywiście, że jej gospodyni musiała poczuć się zaskoczona, wstrząśnięta czy nawet zdradzona, i chociaż wszystko skończyło się szczęśliwie, niełatwo wymazać coś takiego z pamięci.

Ale Caroline dało to do myślenia.

– Sama nie wiem, jak odpowiedzieć. Oczywiście nie uznalibyśmy tej dziewczyny za odpowiednią, o czym on świetnie wiedział. Wolał nas postawić wobec faktu dokonanego, niż zasięgać opinii, która musiałaby być negatywna. Ale może powinnam go za to podziwiać. Edmund był naszym synem, my jednak nie złamaliśmy w nim ducha. I czy rzeczywiście dziewczyna okazała się awanturnicą, podżeganą przez snobistycznego ojca do sięgnięcia po wyższą pozycję? Czy świadomie wykorzystwała swoją urodę, by uwieść niewinnego chłopca, którego nie była warta? – Umilkła, zapatrzona w ogień.

Nastała chwila ciszy, w której ostatnie słowa jakby zawisły w powietrzu.

Z krótkiej zadumy wyrwał Caroline głos Marii:

– A czy to takie ważne?

I lady Brockenhurst musiała przyznać, że to słuszne pytanie. Czy to rzeczywiście takie ważne? Grace Bellasis pochodziła z dostatecznie dobrej rodziny, ale czy dzięki temu John lepiej nadawał się na dziedzica niż Charles? Nie, po tysiakkroć nie! A jeśli nawet Sophii Trenchard czegoś niedostawało, to najwyraźniej oprócz urody miała też ducha walki, zapał i wiele innych zalet. Edmund nie dałby się złapać tylko na ładną buzię. Caroline bardzo lubiła swojego męża, ale Peregrin nie był człowiekiem czynu. Urodził się, by zająć w życiu należne mu miejsce, i nie miał nic przeciwko temu, ale sam nigdy do niczego nie dążył, w przeciwieństwie do Charlesa, który ma przed sobą jasno sprecyzowany cel i z pewnością będzie umiał dobrze zarządzać swoim majątkiem i rodziną. I kiedy Caroline przyjrzała się bliżej jego dwóm dziadkom, od razu zrozumiała, komu wnuk zawdzięcza swoją determinację. Odwróciła się z uśmiechem do siedzącej obok dziewczyny.

– Masz rację, to jest nieważne. Liczy się tylko wspólna przyszłość Charlesa i twoja.

– Ale jutro mu pani powie?

– O, dobrze, że mi przypominasz. Nie wysłałam mu dotąd wiadomości. Napiszę ją jeszcze w nocy i z samego rana wyślę do Bishopsgate.

– A do mojej matki?

– Oczywiście, do niej także. Szykuje się nam wieczór cudów.

Ledwie powóz zatrzymał się przed biurami, James wyskoczył na zewnątrz i zaczął walić pięściami do drzwi, aż na górze otworzyło się okienko i ukazała się w nim rozczochrana głowa kancelisty Charlesa. Prawdopodobnie jego praca wymagała zamieszkiwania nad firmą. Młody człowiek rozpoznał Jamesa po głosie i parę minut później wpuścił go wraz z synem do środka, a sam w nocnej koszuli zabrał się do zapalania lamp.

Ale nie potrafił im pomóc.

– Owszem, pan Pope miał jakieś wieczorne spotkanie. Wcześniej odebrał wiadomość, ale nie

wiem, gdzie się umówił.

– A ta wiadomość... – Ze zdenerwowania głos Jamesa brzmiał tak szorstko, że kancelista aż się cofnął. – Nie mówił od kogo?

– Nie, panie Trenchard. Ale wydawał się zadowolony, wspomniał coś o naprawie zerwanych więzów...

– I nie powiedział nic, co pozwoliłoby domyślić się miejsca spotkania? – Oliver był równie podenerwowany, ale starał się panować nad głosem. Też zależało mu na informacjach, ale rozumiał, że nie ma sensu człowieka straszyć. Jeśli ojciec ma rację i rzeczywiście powstał plan morderstwa, to czy on, Oliver, nie jest współwinny? Czy nie posłużył za przynętę, by zwabić ofiarę w zasadzkę? Sam nie wiedział, co czuje do Charlesa Pope'a teraz, gdy prawda wyszła na jaw, ale z całą pewnością nie chciał, aby go skrzywdzono lub zabito. – Naprawdę nic pan nie wie? Bo przypuszczam, że to miejsce musi być gdzieś blisko, tak aby pan Pope mógł dotrzeć tam pieszo.

Kancelista skrobał się po głowie.

– Ale z biura to on poszedł do domu, żeby zjeść obiad z matką. Ona dopiero co przyjechała do Londynu. Zresztą to też nie jest daleko. – Namyslał się przez chwilę. – Chyba ma pan rację, proszę pana. Wspomniał coś, że to blisko rzeki...

– Mój Boże! – wyrwało się Jamesowi.

– Zaraz, zaraz – zastanawiał się Oliver. – Czy tam jest ulica... niech pomyślę... All Saints? All Fellows?

– Allhallows Lane? – podpowiedział kancelista i teraz Oliver wykrzyknął:

– Tak! Allhallows Lane! I jest tam tawerna. The Black... Swan?

– Jest pub. Nazywa się The Black Raven. – Kancelista modlił się w duchu, żeby ci panowie znaleźli to, czego szukają, a on mógł wrócić do łóżka.

– Chodź pan z nami i wytłumacz stangretowi, jak tam dojechać.

– To dość łatwo objaśnić...

– Idziemy! – ryknął James i pierwszy wybiegł na ulicę.

Kiedy Charles skręcił w wąską brukowaną uliczkę prowadzącą do tawerny, nad Tamizą unosiła się gęsta mgła. Wilgoć przeniknęła nawet jego płaszcz, więc trząsał się z zimna, ciaśniej otulając się grubym materiałem. Znał Allhallows Lane, ale niezbyt dobrze i nigdy nie był tam w nocy, kiedy smród śmieci i resztek zalegających w rynsztokach mieszał się z odorem ryb z pobliskiego Billingsgate Market<sup>[57]</sup>. Rozejrzawszy się dookoła, zobaczył szyld – słabo oświetlony, ale wyraźny: The Black Raven. Im dłużej tu stał, tym dziwniejsze mu się wydawało, że Oliver na ich spotkanie wybrał tak paskudne miejsce. Może przez kurtuazję wolał sam odbyć dłuższą drogę z Eaton Square, niż zmuszać Charlesa do podróży przez pół Londynu. Ale mimo to...

Otworzył drzwi tawerny. Był to długi, nisko sklepiony budynek w elżbietańskim stylu, z czarnymi szachulcami, relikw dawnych czasów w otoczeniu rozrastającego się miasta. Czas nie obszedł się

z nim łaskawie i kojarzył się raczej ze spelunką nawiedzaną przez złodziei, nie zaś syna zamożnego budowniczego z aspiracjami towarzyskimi. Nie był to także lokal, do którego komuś chciałoby się jechać przez pół miasta. Na pewno Oliver po prostu usłyszał gdzieś tę nazwę i nie zdawał sobie sprawy, jak to miejsce wygląda. Ale po chwili namysłu Charles puścił drzwi i wkroczył do środka.

Kiedy wyteżał wzrok w gęstej chmurze fajkowego dymu, uderzyła go fala kwaśnego odoru rozlanego piwa i stęchłego potu. Oczy zaczęły mu łzawić, więc wyciągnął chustkę i osłonił nią nos. W słabym blasku świec, ustawionych na starych beczkach i pozatykanych w pustych butelkach po winie, zobaczył, że sala jest prawie pełna. Większość drewnianych siedzisk zajmowali mężczyźni w obszarpanych płaszczach i roboczych butach; gwar ich rozmów tłumiły rozsypane na podłodze trociny. Na szczęście nie musiał długo czekać. Zaledwie po minucie z kąta podniosła się jakaś postać i ruszyła w jego stronę. Mężczyzna miał na sobie płaszcz, który prawie całkowicie go okrywał, i kapelusz wciśnięty głęboko na czoło.

– Pope? – zapytał, przechodząc. – Chodź pan ze mną.

Z braku lepszego pomysłu Charles wyszedł za nim na ulicę, ale mężczyzna się nie zatrzymał, tylko podążał wolno w stronę rzeki. W końcu Charles stanął.

– Dalej nie idę. Chyba że dowiem się, kim pan jest i czego ode mnie chce.

– Bardzo mi przykro, kolego. Musiałem wyrwać się z tej jaskini nieprawości. Nie dało się tam oddychać. Myślałem, że i ty nie zechcesz dłużej tam przebywać.

Charles przyjrzał mu się i osłupiał.

– Pan Bellasis? – Kogo jak kogo, ale jego się tu nie spodziewał. – Co pan tu robi? I gdzie jest Oliver Trenchard, bo to z nim miałem się tu spotkać?

– Ja także – skłamał gładko John. Zdecydował się to zrobić i ku swemu zdumieniu odkrył, że obecność Charlesa wcale tej determinacji nie zmniejszyła. Wcześniej martwił się, że widok ofiary może przysłonić mu obrany cel, ale tak się nie stało. Był gotów i chciał tego. Musi po prostu doprowadzić swojego wroga na brzeg rzeki. – Oliver Trenchard przysłał mi wiadomość z prośbą o spotkanie w tym miejscu. Tylko dlaczego wybrał taką zakazaną norę?

– Widocznie uznał, że tak będzie wygodniej dla mnie. Pamięta pan, że mam biuro w pobliżu?

– No tak, to na pewno to.

Nic z tej wymiany zdań nie wyjaśniało pytań kłębiących się w głowie Charlesa.

– Nie rozumiem, po co tu jesteśmy. Mieliśmy z Trenchardem do omówienia pewną osobistą sprawę. Co pan ma z tym wspólnego?

John kiwał głową, jakby przyswajał sobie tę informację.

– Mogę tylko założyć, że chce doprowadzić i do naszego pojednania.

Charles przyjrzał się swojemu towarzyszowi. Poznał go, gdy tylko oczy przywykły mu do światła, a właściwie jego braku. Mimo całej tej przyjaznej pogawędki miał minę tak samo butną i wyniosłą jak zawsze, oczy patrzyły zimno, a na ustach czaił się krzywy uśmieszek.

– Nic mi nie wiadomo o jakiejś kłótni między nami.

Nie zauważył, że Bellasis cały czas, powoli, niby bezwiednie, kieruje się ku rzece. Charles stopniowo dostosowywał swoje tempo do jego kroku i tak doszli do miejsca, w którym tylko ulica dzieliła ich od nabrzeża. Wzdłuż tego odcinka rzeki ciągnął się długi niski mur ochronny, sięgający lustra wody. Stali teraz na naturalnym wzniesieniu, na którym go zbudowano, tak że Tamiza płynęła co najmniej dziesięć stóp poniżej. Było tam głęboko, John poznał to po rwącym nurcie, i specjalnie dlatego wybrał na spotkanie pobliską tawernę.

– Obawiam się, że jednak jesteśmy z sobą skłócenii, panie Pope. Czego zresztą szczerze żałuję – rzekł z westchnieniem.

Charles podniósł na niego wzrok. W głosie Bellasisa pojawiło się nagle coś dziwnego, jakiś zduszony, chrapliwy ton, który zmniejszał wymawiane słowa. Zaczął się modlić, żeby drogą akurat ktoś przejeżdżał, ale nie było tam żywej duszy.

– W takim razie mam nadzieję, że możemy dojść do porozumienia – rzekł z całą uprzejmością, jakby ta rozmowa toczyła się w salonie.

– Niestety nie jest to możliwe – mruknął John – gdyż jedyne dopuszczalne rozwiązanie zależy od pańskiej...

– Od mojej...?

– Śmierci! – To rzekłszy, rzucił się na Charlesa i pchnął go plecami na murek. Ten, chociaż zaskoczony, walczył jak tygrys, kopiąc i wyrywając się z całej siły, ale parapet muru wrzynał mu się pod kolana i Johnowi udało się pozbawić go równowagi. Bellasis w miarę walki nabierał coraz większej energii. Podjął już decyzję. Jeśli nie uda mu się zabić Charlesa, i tak powieszą go za usiłowanie morderstwa, więc nie ma nic do stracenia. Wreszcie, zebrawszy wszystkie siły, podstawił Charlesowi nogę, docisnął drugą do jego uda, po czym mocno pchnął go w pierś, rozluźniając chwyt. Charles przekoziółkował tyłem przez mur, a potem poleciał w dół, aż wpadł do lodowatej wody, gdzie od razu zaczął dławić się nieczystościami. Gruby płaszcz, i tak już ciężki jak ołów, bo przesiąknięty wodą, ciągnął go na dno. Charles daremnie próbował przynajmniej zrzucić buty, uchwycić się czegoś, co pomogłoby mu utrzymać się na powierzchni, ale na gładkim murze nie było żadnego występu, co zresztą John wcześniej sprawdził.

Bellasis wpatrywał się w ciemność. Czy Pope już utonął? Czy to, co widać na wodzie, to ciągle jego głowa czy raczej jakaś zmarszczka albo dryfujące odpadki? W swoim skupieniu nie usłyszał za sobą tupotu ani niczego nie poczuł, dopóki czyjeś dłonie nie chwyciły go za ramiona i nie obróciły. Miał przed sobą Jamesa Trencharda i jego syna.

– Gdzie on jest? Co mu zrobiłeś?

– Gdzie jest kto? O kim panowie mówią? Co niby miałem zrobić? – Johnowi nawet nie drgnęła powieka. Jeśli Charles utonął, nic na niego nie mają. Jeszcze teraz mógł się uratować. Każdy szczegół da się zwalić na Olivera, a zeznanie Jamesa będzie bezwartościowe, tak przynajmniej sądził. I wtedy usłyszeli krzyk:

– Pomocy!

Bezcieleśny głos z ciemności zdawał się wołaniem ducha z za grobu.

James bez słowa zrzucił płaszcz i buty, po czym skoczył do wody. Kiedy Oliver i John usłyszeli z dołu plusk i krzyki, wymienili znaczące spojrzenia.

– Daj spokój. – John miał głos łagodny niczym ciepła oliwa. – Niech toną. Twój ojciec miał dobre życie, ale teraz daj mu odejść. Ty dostaniesz swoje dziedzictwo, a ja swoje. Uwolnijmy się od nich obu. – Oliver się zawahał, a ten moment słabości nie umknął uwagi Johna. Wiedział, że Oliver Trenchard jest słaby. – Nie przejmuj się, chłopie. Jest stary, a to długo nie potrwa. Wiesz, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

Do końca życia Oliver będzie próbował zrozumieć, jak chociaż przez chwilę mógł brać pod uwagę takie rozwiązanie, a jednak tak się stało. Śmierć Charlesa Pope'a nie wydawała mu się w tym momencie wielką stratą, ale pokusa, by uwolnić się od ciągłej krytyki? Mieć pieniądze i do tego już nigdy nie wysłuchiwać reprimend...

– Nie! – wrzasnął i zdarłszy z siebie płaszcz, rzucił się do rzeki. Wyraźnie słyszał, że ojciec słabnie już z zimna. James skoczył bez zastanowienia i John Bellasis miał rację: długo by nie wytrzymał. Ale Oliver w ostatniej chwili zdążył go złapać, a potem ujął pod ramiona i zaczął holować do brzegu, każąc Charlesowi uchwycić się w pasie. Jak we trójkę udało się im dotrzeć do muru, tego nigdy nie zrozumie, być może to poczucie winy dodało mu sił, przypominając ten ułamek sekundy wahania. Mało jednak brakowało, by przez stromy mur jego wysiłki spełzły na niczym. Na próżno przesuwając rękami po gładkiej powierzchni cegieł w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia, ale wrzawa nad rzeką zdążyła przyciągnąć grupę klientów pubu, a jeden z nich przyniósł linę.

Jamesa wyciągnięto jako pierwszego, potem Charlesa, a na końcu Olivera. Siedzieli potem we trzech, kaszląc i plując wodą z rzeki, o włos uniknąwszy śmierci. Widząc, że się uratowali, John Bellasis się ulotnił. Wycofał się rakiem przez zgromadzony już tłum, a potem czmychnął na dobre. Może jego ofiary były półprzytomne, ale jeśli ktoś z ratowników widział chociaż część tej sceny, bez skrupułów przekaze go w ręce policji, która pewnie już jest w drodze. John zdjął płaszcz i kapelusz, kopnął je do rynsztoka, po czym dotarł do Bishopsgate, gdzie wsiadł do dorożki i zniknął.

Anna nie mogła sobie przypomnieć swojego snu. Pamiętała tylko, że był dobry, ale nagle wynikły jakieś zakłócenia, a kiedy otworzyła oczy, okazało się, że to pani Frant szarpie ją za ramię.

– Musi pani natychmiast zejść. Zdarzył się wypadek.

Po takim przebudzeniu poczuła wielką ulgę, gdy wbiegłszy do biblioteki zobaczyła Jamesa, Olivera i Charlesa, wprawdzie przemokniętych do suchej nitki, ale jednak żywych. Chyba najbardziej ucierpiał Charles. Służba już nie spała i Anna zaraz zadzwoniła po Billy'ego i Milesa, pokojowca męża, żeby pomogli całej trójce wejść na górę. Inni służący w tym czasie szykowali kąpiel, Anna zaś zbiegła do kuchni i osobiście zajęła się przygotowywaniem gorącej zupy. Nikt nie odważył się niepokoić pani Babbage, toteż pani domu z gospodynią dwoiły się i troiły, po czym pani Frant zaniósła tacę na górę.

Kiedy następnym razem Anna zobaczyła Charlesa, ten leżał w łóżku, czysty i suchy, ubrany w koszulę Olivera. Był senny i zmęczony, ale nic poza tym. James opowiedział jej wystarczająco dużo, by



zrozumiała, co się stało.

– Nadal nie mam pojęcia, dlaczego John Bellasis chciał mnie zabić. Kim ja dla niego jestem albo on dla mnie? – Charlesowi przeżyty koszmar wydawał się kompletnie irracjonalny.

Przez chwilę Annę kusiło, by powiedzieć mu prawdę, tu i teraz, ale było już późno, a on wciąż wyglądał na oszołomionego. Lepiej z tym poczekać, aż będzie w stanie przyswoić sobie sens tego, co usłyszy.

– Pomówimy o tym jutro. Najpierw musimy zdecydować, czy powinniśmy złożyć meldunek na policji. To musi być pańska decyzja.

– Gdybym znał przyczynę, pewnie wiedziałbym, co zrobić – odparł Charles i na tym na razie poprzestali.

Jeszcze tej samej nocy Anna przedyskutowała to z mężem.

– Nie wierzę, żeby Bellasis wrócił na drogę cnoty, jeśli nie powiemy Brockenhurstom. To na nich spadnie odium tej historii, jeśli stanie się ona własnością publiczną.

Ale Jamesowi wciąż nie minął gniew po nocnych przeżyciach.

– Nie widziałas, jak on wrzucił Charlesa do rzeki na pewną śmierć, bo do tego właśnie by doszło, gdybyśmy się w porę nie zjawili.

– Wiem. – Ścisnęła męża za rękę. – Uratowałeś naszego wnuka i bez względu na to, co zdecydujecie, poddam się twojej woli.

– Oliver uratował nas obu. Już trzeci raz zanurzyłem się pod wodę.

– Więc niech go za to Bóg błogosławi. – I było to wszystko, czego miała się kiedykolwiek o tej sprawie dowiedzieć.

Stan ducha samego Olivera przedstawiał się w tym momencie zupełnie inaczej. Susan obudziła się w chwili, kiedy Billy kładł go do łóżka po kąpieli, ale jej mąż uparcie milczał, nie odpowiadając na żadne pytania. Właściwie to od służącego dowiedziała się, co zaszło, a potem Billy zostawił ich samych.

– Odwołam powóz. Możemy poczekać z podróżą, aż zupełnie wydobrzejesz.

Nadal bez odpowiedzi.

– Czy jest coś, czego mi nie mówisz? – spytała, przywołując na pomoc swój szczególnie czuły ton.

Ku jej zdumieniu Oliver wybuchnął płaczem i chwyciwszy ją w ramiona, tulił z taką siłą, o jaką nigdy go nie podejrzewała. Szlochał przy tym tak rozdzierająco, że mało mu serce nie pękło. Więc tylko gładziła go po włosach i szeptała słowa pociechy, wiedząc, że jej plan właśnie się ziszcza. Ani się obejrzy, jak całkowicie odzyska męża i przejmie nad nim władzę.

Lady Brockenhurst postanowiła przyjąć wszystkich w głównym salonie. Chciała, by ten obiad wypadł naprawdę wystawnie, toteż kazała lokajom wystąpić w liberiach. Pierwsi przybyli Trenchardowie, co było do przewidzenia, bo James aż kipiał z ekscytacji na myśl o tym wieczorze.

Caroline, spodziewając się tego, specjalnie poprosiła Marię, by starała się utrzymać go w dobrym nastroju, dopóki nie zbierze się reszta towarzystwa.

Lord Brockenhurst przyjechał, zgodnie z obietnicą, ale te przygotowania kompletnie wytrąciły go z równowagi.

– Co to ma być, u licha, jakieś święto, czy co? – pytał raz po raz, ale żona nie chciała mu powiedzieć. Ponieważ nie brał udziału w dotychczasowych wydarzeniach, mógł równie dobrze usłyszeć nowinę w tej samej chwili co Charles i inni. Napisała też do Stephena i Grace, ale wolała ich nie zapraszać, aby nie być świadkiem ich upokorzenia i klęski. Nie darzyła podziwem nikogo z rodziny męża, ale jednak teraz trochę ich żałowała. Czeka ich całkowita odmiana dotychczasowego trybu życia, bo gdy tylko prawda wyjdzie na jaw, stracą uznanie i kredyt. I chociaż Peregrin może ich od czasu do czasu dofinansować, nie będzie wiecznie dokładał do ich złych obyczajów. Krótko mówiąc, teraz, kiedy wiadomo, że John nie zostanie dziedzicem, muszą nauczyć się żyć zgodnie z zasadą „tak krawiec kraje, jak materii staje”.

Jako następna zjawiała się lady Templemore z synem, którego Caroline nie widziała, odkąd skończył szkołę.

– Czy jest już pan Pope? – spytał z ciekawością.

– Nie – odparł James. – Spędził u nas noc i musiał pojechać po matkę, bo ona też będzie dzisiaj z nami.

Reggie przyjął tę informację z większą radością niż jego własna rodzicielka, chociaż ta uznała, że lepiej od razu chwycić byka za rogi. Tak więc, kiedy w końcu sam Charles wkroczył do salonu z panią Pope wspartą na jego ramieniu, wszyscy byli w komplecie i Caroline poprosiła ich do jadalni.

– Specjalnie odwlekasz ten moment, prawda? – szepnął jej Peregrin, ale nie protestował. Miał rację, robiła to celowo, bo chciała, aby zapamiętali ten wieczór do końca życia.

Kiedy Stephen Bellasis przeczytał list bratowej, zrobiło mu się niedobrze. Przez chwilę nawet myślał, że zwymiotuje, ale teraz po prostu siedział z arkusikiem w drżących dłoniach, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń.

– Co to jest? – spytała Grace. W odpowiedzi podał jej list i obserwował, jak w miarę czytania krew odpływa jej z twarzy.

– Więc dlatego wyjechał. Musiał wiedzieć.

– Może mu powiedzieli.

– Pewnie Peregrin do niego napisał. Tak byłoby uczciwie.

– Uczciwie! – prychnął Stephen. – Kiedy Peregrin zrobił coś uczciwego? – Ale chociaż silił się na pogardliwy ton, wewnątrz dygotał ze strachu. Czy będąc ojcem przyszłego dziedzica, miał nad Peregrinem jakąś władzę? Oczywiście nie. Wyznaczono im rolę aktorów drugoplanowych, których nie bierze się pod uwagę. Nic dziwnego, że John wyjechał.

Wcześniej znaleźli kartkę wsuniętą w szparę pod drzwiami, ale czy John sam ją przyniósł, czy

przysłał służącego, pewnie się już nie dowiedzą. Wyjeżdża z Londynu, w ogóle opuszcza Anglię. Mogą dysponować jego mieszkaniem, zatrzymać te rzeczy, na których im zależy, a resztę sprzedać. On nie wróci. Kiedy już gdzieś osiadzie, da im znać, gdzie można będzie go znaleźć. Stephen po tej wiadomości poczuł się tak, jakby cały jego świat rozpadł się na kawałki. A teraz jeszcze list Caroline pozbawił ich resztek nadziei. Kim jest Charles Pope? To przebiegły kupczyk, który wtargnął do ich życia i okradł z marzeń.

– Przynajmniej teraz wiemy, dlaczego Caroline tak bardzo się nad nim trzęsła – zauważył.

– Wcale nie. Jeśli jest prawym dziedzicem, dlaczego ukrywali go od urodzenia? Nic nie wiemy, nic. Poza tym, że John wyjechał i nie wróci. – Grace mówiła przez łzy, oplakując stratę syna, jego przyszłości, wszystkiego, na co liczyli, co było im drogie. Gdy tylko ta wiadomość rozejdzie się po Londynie, przepadnie im ostatni kredyt i osaczą ich lichwiarze. Trzeba będzie poświęcić dom przy Harley Street, chociaż cena uzyskana z licytacji pewnie nie pokryje długów. Czeka ich powrót na plebanię w Lymington, gdzie postara się trzymać Stephena z dala od pokus, chociaż nie będzie to łatwe. Prawdę rzekłszy, byli żebrakami, a żebracy nie mają nic do gadania. Trzeba walczyć o przetrwanie, poradzić sobie jakoś, zgarnąć choćby najmniejsze okruszki ze stołu Peregrina. Ot i cała ich przyszłość.

Grace wstała.

– Idę na górę. Nie siedź za długo. Postaraj się zasnąć, może rano wszystko będzie wyglądało lepiej. – Nie wierzyła w to, co mówi, podobnie jak jej mąż. Po drodze postanowiła rzucić okiem na srebrną wazę, którą kilka lat temu ukryła w dawnym pokoju Johna. W końcu przeznaczyła ją na czarną godzinę, a chyba trudno o czarniejszą. Musi wynieść to naczynie z domu, bo lada moment może pojawić się syndyk. Ale już od progu zauważyła, że pudła na szafie są poprzeszawiane, więc nie musiała wchodzić na krzesło, by wiedzieć, co się stało. Serce jej się ścisnęło, chociaż nie była zaskoczona. Czego innego mogła się spodziewać przy całym swoim pechu? No dobrze, pomyślała. Oby tylko sensownie wydał to, co mu zapłacono.

Ale idąc podestem do swojego ciemnego i brzydkiego pokoju, zrozumiała, że na to także nie może liczyć.

Oczywiście najbardziej ze wszystkich zdumiał się Charles Pope, chociaż w miarę jak słuchał, tak wiele elementów tej układanki powskakiwało na swoje miejsca. Zastanawiał się teraz, dlaczego nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, czy w grę nie wchodzi jakieś więzy krwi, które wyjaśniałyby rolę Jamesa w jego karierze czy nagłą *idée fixe* Caroline na punkcie inwestowania w przedsiębiorstwo nieznanego sobie młodego człowieka. Tego, że jest prawowitym dziedzicem jej męża, i tak raczej by nie odgadł, ale jakiegoś pokrewieństwa powinien się domyślić.

Jego zaskoczenie własną transformacją dorównywało jedynie temu, jakie stało się udziałem lady Templemore. Matka Marii nie wierzyła własnym uszom: dopiero co z trudem zgodziła się połknąć gorzką pigułkę, a ledwie wzięła ją do ust, okazało się, że to czysty nektar. Naturalnie już po słowach Marii o hrabiowskim pochodzeniu Charlesa podejrzewała, że chodzi o Bellasisów, ale nie dawała niczego po sobie poznać. Była bowiem wciąż wściekła i koniecznie chciała ukarać Caroline za to

wpychanie jej ukochanej córki w objęcia jakiegoś bękarta z bocznej linii. Teraz wszystko się zmieniło. Tę samą pozycję, o której tak marzyła dla Marii, o którą tak walczyła i zabiegała, podają jej teraz jak na tacy, i to jeszcze opromienioną przez miłość. Miała chęć śmiać się, śpiewać i tańczyć z uniesionymi nad głową ramionami, ale musiała powściągnąć swój entuzjazm, żeby jej nie wzięto za jakąś chciwą parweniuszkę, łasą na coś, co nie ma moralnej wartości. Dlatego uśmiechała się tylko miło, kiwała uprzejmie głową i nawet przyłapała się na chichotaniu w kułak z dowcipów Charlesa. Już bowiem zaczynała pojmować, że Maria miała rację, uważając go za atrakcyjnego (nawet bardzo), czego sama przedtem jakoś dziwnie nie dostrzegała.

Reggie Templemore też wyglądał na zachwyconego, ale jego szczęście było mniej skomplikowane i żywiołowe niż matki. Wezwano go do Londynu, by rozstrzygnął rodzinny spór, czego nie znosił najbardziej ze wszystkiego, a tu proszę – cała awantura rozproszyła się w morzu powszechnej radości. W dodatku Charles okazał się tak sympatyczny, że Reggie szczerze cieszył się z wyboru siostry. Niespecjalnie zaangażował się w walkę, co właśnie mu uświadomiono, więc i objawy jego zadowolenia, aczkolwiek wyraźne, były spokojniejszej natury niż innych osób przy stole. Teraz mógł wrócić do siebie i ufniej patrzeć w przyszłość. Szczególnie go ucieszyło, kiedy Charles oznajmił swoim dziadkom (ku euforii jednego i zdumieniu drugiego), że nie zamierza porzucić ani swojej przędzalni, ani przemysłu bawełnianego. Wyznaczy oczywiście kompetentnego zarządcę, ale wie, że ma instynkt do handlu, i nie chce go zaniebierać. Naturalnie Peregrin kręcił nosem na tę sprzeczną z jego wolą ambicję, ale Caroline nie protestowała. Po gruntownym przemyśleniu skłaniała się w tej sprawie do zdania Jamesa Trencharda – prawdopodobnie po raz pierwszy i ostatni. Reggie nie posiadał się z radości, że wreszcie będzie miał w rodzinie kogoś z głową do interesów. Takiego daru niebios brakowało Greyom od stuleci.

Pani Pope prawie nie zabierała głosu, ale chyba to ona z całego towarzystwa była najbardziej poruszona. Jako córka i żona duchownych anglikańskich czuła się dostatecznie nieswojo wśród wspaniałości Brockenhurst House, a cóż dopiero, gdy się dowiedziała, że jej syn pewnego dnia zostanie panem nie tylko tego domu, lecz także wielu innych. W miarę jak wieczór upływał, zrozumiała jednak, że jej miejsce w życiu Charlesa się nie zmieni. Zależało mu, by się cieszyła z jego wywyższenia, a nie czuła się nim zagrożona, więc postanowiła pójść w jego ślady i poddać świątecznemu nastrojowi. Tylko raz pozwoliła sobie wtrącić się do rozmowy, kiedy lord Brockenhurst zasugerował, że teraz Charles powinien porzucić swoje kontakty z rynkiem bawełny.

– O nie – zaprotestowała z całą stanowczością – nigdy pan nie namówi Charlesa do próżniactwa. Równie dobrze mógłby pan kazać rybie przestać pływać, a ptakowi latać.

Na co Caroline zaczęła bić jej brawo, a Charles wznosił toast za zdrowie pani Pope.

Trudno orzec, który z dziadków bardziej szalał z radości z powodu obrotu spraw. James miał wnuka wicehrabiego, i to z głową do interesów. Będzie mógł dzielić się z nim tym wszystkim, co nigdy nie interesowało Olivera. Jego potomkowie zajmą czołowe miejsca w życiu kraju, on zaś, w swoich wyobrażeniach, będzie odtąd otaczał się możnymi tego świata. Anna nie cierpiała na takie urojenia, ale na razie nie widziała powodu, by odzierać z nich męża. W tej chwili uważa się za człowieka sukcesu i niech tak zostanie. Bo i dlaczego nie? Osiągnął wszystko, co sobie zamierzył,

ona zaś chciała, by cieszył się tym tak długo, jak tylko się da. Co do niej, czuła się szczęśliwa, że syna Sophii spotkało takie wyróżnienie. Polubiła Marię. Na swój sposób polubiła też Caroline, i to bardziej, niż się spodziewała. Z tego także była zadowolona. Swoje miejsce widziała bardziej w Glanville z Oliverem i Susan niż w Lymington z Charlesem i Marią, a jeśli nie, to w każdym razie zamierzała wieść spokojne, przyjemne życie. Mogłaby na przykład pomóc przy urządzaniu ogrodów Belgravii. James mógłby ją do tego wciągnąć i na pewno takie zajęcie przyniosłoby jej wiele satysfakcji. Jej syn i wnuk byli dobrze urządzeni, powiedzmy, w przypadku Olivera – wystarczająco dobrze, i nikt nie mógłby życzyć sobie więcej.

Tylko Oliver w całym tym świętującym towarzystwie nie wykazywał entuzjazmu. Kiedy zastanawiał się nad swoimi postępkami, czuł wstyd, upokorzenie, a nawet zdumienie, że mógł się w ten sposób zachować. Zazdrość o syna Sophii wydała mu się z perspektywy czasu dziecinna i chociaż nie wiedział nic o jego pochodzeniu, w niczym go to nie usprawiedliwiało. Może trudno mu się pogodzić z tym, że ojcu więcej radości sprawia wnuk niż syn, ale w końcu wszystko ułożyło się jak najlepiej. Kilka lat sprawowania rządów w Glanville pomoże mu nabrać pewności siebie. A jednak... wciąż nie dawało mu spokoju, że zdecydował się wyręczyć Johna Bellasisa w napisaniu tamtego listu. I jeszcze ten nieszczęsny moment wahania nad brzegiem rzeki... Do tego ostatniego zwłaszcza nie przyzna się nikomu do końca życia, tę winę będzie musiał zabrać z sobą do grobu.

Wcześniej Oliver udał się do mieszkania Bellasisa, lecz powiedziano mu, że wyjechał. Nad ranem załadowano kufry na wóz, który ruszył na dworzec w ślad za dorożką, ale na jaki dworzec, tego portier nie wiedział. Olivera to nie zdziwiło i kiedy później przy Eaton Square przedstawił Charlesowi wszystkie fakty, obaj doszli do wniosku, wbrew życzeniu Jamesa, że tej sprawie nie powinno się nadawać biegu. Wybuchłby ogromny skandal, John trafiłby na szubienicę i żaden z nich nigdy już nie uwolniłby się od cienia tej koszmarnej nocy. W rzeczy samej Charles, wykazując się większą wielkodusznością niż obaj Trenchardowie, zasugerował nawet, że mógłby wyznaczyć Johnowi jakąś skromną pensyjkę. W końcu młody Bellasis całe życie karmił się nadzieją na dziedzictwo i nie posiadał żadnych umiejętności, które pomogłyby mu utrzymać zarówno duszę, jak i ciało. Najwyraźniej utrata perspektyw doprowadziła go do szaleństwa, prawdziwej utraty zmysłów, i czy za to powinno się człowieka wieszać? James jednak, kiedy wreszcie zgodził się na tę propozycję, postawił jeden warunek: jeśli John ma otrzymywać jakąś pensję, to tylko dopóki pozostanie poza granicami Anglii. A także Szkocji, Walii i Irlandii.

– Niech się włóczy po kontynencie w poszukiwaniu jakiegoś schronienia, bo tutaj go nie znajdzie.

I na tym stanęło: John Bellasis ma resztę życia spędzić na wygnaniu albo wrócić do kraju jako nędzarz.

Susan w czasie tej uroczystości miała do odegrania skomplikowaną rolę. Prawdę o Charlesie знаła wcześniej od innych, ale nie mogła się z tym zdradzić, bo dowiedziała się tego od Johna Bellasisa w jego łóżku. Dlatego musiała wydawać okrzyki zdumienia, klaskać i zachwycać się wraz z innymi, czując na sobie wzrok Anny, świadomej, że synowa udaje. Ale od tej pory wszystko pójdzie łatwiej. Nie będą już roztrząsać przeszłości Susan, pochodzenia dziecka ani niczego, co mogłoby naruszyć szczęście młodych państwa Trenchardów. Gdyby Susan znowu zbłądziła, gdyby

unieszczęśliwiła Olivera, wtedy ich położenie by się zmieniło, ale nic takiego im nie grozi. Raz znalazłszy się na skraju przepaści, nie zamierzała tam wracać. Teściowa nigdy jej nie zdradzi, ona zaś nie zdradzi Olivera. Potrafi i chce dotrzymać umowy.

Peregrina Brockenhursta niezwykła wiadomość kompletnie odmieniła. Nie do końca zrozumiał, dlaczego Caroline trzymała go tak długo w nieświadomości, ale machnął na to ręką. Zawsze darzył żonę wielkim szacunkiem. Na świat patrzył jej oczami, pod jej kontrolą i komendą. Teraz jego życie odzyskało sens, zarządzanie majątkiem znowu stało się zasadne, a rodzina miała przed sobą przyszłość. Niemal czuł, jak przypływ energii ożywia jego ciało. Był podekscytowany – czegoś takiego nie zaznał od tak dawna, że ledwie umiał nazwać to dziwne wrażenie. Co do Johna, to nawet mu trochę współczuł. Chłopak postawił wszystko na jedną kartę, a kiedy ją odwrócił, okazało się, że to dzoker. Naradzi się z Charlesem i zobaczą, co da się zrobić. Bo Charles na wszystkim zna się najlepiej, tego Peregrin był całkowicie pewny. Tak. Zostawi to Charlesowi.

Wieczór się skończył i towarzystwo powoli zaczęło schodzić na dół. Powstał pomysł, żeby powóz Trenchardów podwiózł Charlesa z panią Pope do Holborn, ale nie chcieli o tym słyszeć. Charles uparł się, że z łatwością znajdzie dorożkę i to im zupełnie wystarczy. Widząc, że Maria ociąga się z odejściem od ukochanego, Caroline Brockenhurst zaproponowała:

– Jeśli on rzeczywiście zamierza wracać do domu dorożką, to może wyjdiesz z nim, moja droga, i pomożesz mu ją znaleźć?

Pozostałych zaskoczyło, że sugestia ta wyszła od osoby, która zwykle skrupulatnie przestrzegała wszelkich konwenansów, ale Maria zdecydowanym ruchem przyjęła ramię Charlesa, jakby się obawiała, że jego babka może się rozmyślić. Kiedy oboje wyszli, lady Templemore rzuciła gospodyni pytające spojrzenie, ta jednak nie przejawiała ani cienia skruchy.

– Och, nie sądzę, żeby miało z tego wyniknąć coś strasznego – zauważyła.

– Na pewno nie – poparła ją Anna.

Co dla reszty towarzystwa stanowiło aż nazbyt jasny komunikat o sojuszach, jakie miały decydować o losie rodziny przez najbliższe dekady.

Znalazłszy się przed domem, zakochani zaczęli się rozglądać po placu w oczekiwaniu na wolną dorożkę. Maria pierwsza przerwała milczenie:

– Pozwolisz, że włożę ci rękę do kieszeni? Strasznie tu zimno. Nie powinnam wychodzić bez narzutki. – Na co oczywiście Charles zdjął płaszcz i owinął ją, tak że wkrótce ich splecione ręce rozgrzały się w jego kieszeni. – Czy teraz będę mogła pojechać z tobą do Indii?

Namyślał się przez chwilę.

– Jak sobie życzysz. To może być nasza podróż poślubna, jeśli twoja matka nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Niech tylko spróbuje, to będzie miała ze mną do czynienia!

Roześmiał się.

– Musisz uważać mnie za bardzo głupiego, skoro niczego się nie domyśliłem.

Ale Maria się nie zgodziła.

– Skądże znowu. Dla czystych serc wszystko jest nieskalane. Sam nie gustujesz w intrygach, więc nie podejrzewasz tej skłonności u innych.

On jednak kręcił głową.

– Zainteresowanie pana Trencharda dałoby się jeszcze wytłumaczyć. Przyjaźnił się z moim ojcem, a przynajmniej tak myślałem. Można by tym usprawiedliwić to, że przyjmowałem jego pomoc bez zastrzeżeń. Ale lady Brockenhurst? Hrabina, której nagle zachciewa się inwestycji w przedsiębiorstwo prawie nieznanego młodego człowieka? Czy to nie powinna być wskazówka dla kogoś nie tak ślepego jak ja? – Westchnął, wyraźnie nie mogąc sobie tego darować.

– Nonsens – stwierdziła Maria. – Na całym świecie wiadomo, że lepiej jest być łatwowiernym niż podejrzliwym. – To rzekłszy, przechyliła ku niemu twarz, on zaś z prawdziwą przyjemnością złożył na jej wargach pocałunek. Nie wiedzieli o tym wówczas, ale z taką samą namiętnością miał ją kochać do śmierci. I już samo to można by uznać za szczęśliwe zakończenie.

Późnym wieczorem pani Frant szcztokowała Annie włosy przy toalecie. James z Oliverem wciąż siedzieli w bibliotece na dole, popijając brandy, a Charles wrócił z panią Pope do Holborn. Zanim się pożegnali, zaproponowano im, by jak najszybciej oboje przenieśli się do Brockenhurst House, więc ta część ich historii w zasadzie dobiegła końca. Anna nie zazdrościła pani Pope takiej przyszłości; prawdopodobnie czekała ją rola bezpłatnej damy do towarzystwa hrabiny, ale przynajmniej nie będzie czuła się samotna.

– Chyba muszę rozejrzeć się za nową pokojową – zauważyła. Wprawdzie pani Frant znała się na rzeczy, bo pełniła kiedyś i taką funkcję, ale obie wiedziały, że obowiązki gospodyni i pokojowej to zbyt wielkie obciążenie dla jednej osoby.

– Popytam z samego rana kogo trzeba, proszę pani. Może pani na mnie polegać. – Pani Frant nie zamierzała pozostawiać tego zadania pani Trenchard. W końcu to ona wybrała tę wstrętną intrygantkę Ellis, kiedy nikt jej nie dopilnował. Tego rodzaju osoba na pewno nie przeszłaby przez sito pani Frant. – I czy mogłabym coś zasugerować?

– Proszę.

– Czy Billy mógłby pozostać na stanowisku kamerdynera? Jest wprawdzie dość młody, ale zna dom i zwyczaje pana Trencharda. Może warto dać mu szansę.

– Jeśli pani sądzi, że da sobie radę... – Anna nie spodziewała się, że pani Frant zechce na tym stanowisku kogoś tuż po trzydziestce. – Ale czy to nie będzie oznaczało dla pani więcej odpowiedzialności?

– Proszę się o to nie martwić. – Pani Frant świetnie zdawała sobie sprawę, że jeśli pomoże Billy'emu uzyskać tak prestiżową posadę, młody człowiek na zawsze pozostanie jej dłużnikiem. A kiedy już przejmie kontrolę nad kamerdynerem i do tego sama wybierze pani pokojową, jej życie stanie się o wiele prostsze. – Ale to już oczywiście zależy od pani. – To rzekłszy, odłożyła szcztokę na toaletkę. – Czy to wszystko na dziś?

– Tak, dziękuję. Dobranoc.

Gospodyni zamknęła drzwi, zostawiając Annę samą z jej myślami. Owszem, zgodzi się na propozycję pani Frant, w nadziei, że potem wszystko wróci do normy i odtąd będą sobie żyli w spokoju.

Była późna noc i zaczynał siąpić drobny deszczyk, kiedy John Bellasis wracał z obskurnej knajpki w zaułku do swojego taniego, ponurego hotelu. Zostawił tam wcześniej Rogera, żeby rozpakował mu rzeczy i urządził pokoje jako tako wygodnie, ale wciąż wyglądały jak marny substytut i tak skromnego mieszkania w Albany. Wątpił zresztą, czy służący zostanie z nim na długo. Był teraz tak daleko od starych przyjaciół i ulubionych miejsc... I po co? Co mu przyniesie to wygnanie w Dieppe? Co on w ogóle tu robi? Nie wierzył, że nic mu już nie zagraża. Wprawdzie nie wysłano od razu pościgu, jak się obawiał, ale to nie znaczy, że sprawa na zawsze przyschnie. John musi ciągle być w ruchu, nigdy nie zatrzymywać się dłużej w tym samym miejscu, to jedyne wyjście. Ale jak sobie poradzi? Z czego będzie żył? Zaczął się zastanawiać, jak będzie „lichwiarz” po francusku.

Deszcz nagle zmienił się w ulewę, zmuszając Johna do biegu.



# Przypisy

- [1] Bal ten był faktem historycznym (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Arthur Wellesley, książę Wellington (1769–1852) – zwycięzca w bitwie pod Waterloo, przejściowo (w roku 1834) premier Wielkiej Brytanii.
- [3] Wilhelm Orański (1772–1843) – suwerenny książę Niderlandów w latach 1813–1815, potem (do roku 1840) król Wilhelm VI Zjednoczonych Niderlandów i wielki książę Luksemburga.
- [4] Słynna w XIX wieku firma budowlana braci Williama i Thomasa Cubittów, znana z realizacji wielu monumentalnych budowli.
- [5] Królowa Wiktorja (1819–1901) objęła panowanie w roku 1837.
- [6] Thomas Lawrence (1769–1830) – angielski malarz portrecista.
- [7] David Wilkie (1785–1841) – szkocki malarz historyczny i portrecista.
- [8] Sir William Beechey (1753–1839) – angielski malarz portrecista.
- [9] William Kent (1685–1748) – słynny angielski architekt, malarz, projektant wnętrz i ogrodów.
- [10] George Steuart (1730–1806) – słynny szkocki architekt.
- [11] Król Wilhelm IV miał całą gromadkę nieślubnych dzieci i ani jednego prawowitego potomka.
- [12] Sir Robert Peel (1788–1850) – członek Partii Konserwatywnej (torys), dwukrotny minister spraw wewnętrznych (1822–1827 i 1828–1830) i dwukrotny premier Wielkiej Brytanii (1834–1835 i 1841–1846).
- [13] William Lamb, wicehrabia Melbourne (1779–1848) – członek Partii Liberalnej (wig), minister spraw wewnętrznych w latach 1830–1834 i dwukrotny premier Wielkiej Brytanii (1834 i 1835–1841), za pierwszym razem zdymisjonowany przez króla Wilhelma IV.
- [14] Albert Sachsen-Coburg-Gotha (1819–1861) – książę małżonek królowej Wiktorii.
- [15] Albany – trzypiętrowa rezydencja przy Piccadilly, wybudowana w latach 70. XVIII w. przez sir Williama Chambersa dla wicehrabiego Melbourne’a, zamieszkała później przez Fryderyka, księcia Yorku i Albany. Z czasem wnętrza przerobiono na kawalerskie mieszkania pod wynajem.
- [16] Charles Asprey – właściciel sieci sklepów z biżuterią, wyrobami skórzanymi i innymi luksusowymi przedmiotami.
- [17] Athenaeum – jeden z najbardziej szacownych londyńskich klubów, założony w 1824 roku, pierwotnie tylko dla panów, od roku 2002 także dla pań. Budynek w stylu neoklasycyźnym zaprojektował Decimus Burton (1800–1881), do którego osiągnięć należą także Kew Gardens.
- [18] Reform Club – otwarty w roku 1841, znany jest jako nieformalna siedziba Partii Liberalnej (wigów).
- [19] Charles Barry (1795–1860) – angielski architekt, autor licznych projektów monumentalnych budowli, w tym Pałacu Westminsterskiego.
- [20] Travellers Club – klub dla panów, którzy podróżowali za granicę, ich zagranicznych gości oraz dyplomatów stacjonujących w Londynie. Otwarty w roku 1819 w budynku zaprojektowanym przez Charlesa Barry’ego.

[21] Horticultural Society of London – założone w 1804 roku Londyńskie Towarzystwo Ogrodnicze, w 1861 roku przemianowane na Royal Horticultural Society, Królewskie Towarzystwo Ogrodnicze.

[22] Partery węzłowe – płaskie kwietniki ułożone z przeplatających się pasm roślin, charakterystyczne dla ogrodów z czasów baroku.

[23] Duvelleroy – słynny paryski butik z wachlarzami, założony w roku 1827.

[24] Chodzi o francuską rewolucję lipcową 1830 roku, po której tron przypadł królowi Ludwikowi Filipowi Orleańskiemu.

[25] Thomas Bruce 7. hrabia Elgin i 1. hrabia Kincardine (1766–1841) – szkocki dyplomata, znany z grabieży wielu zabytków starożytnej Grecji, które następnie odsprzedał rządowi Wielkiej Brytanii.

[26] John FitzGibbon 2. hrabia Clare (1792–1851) – członek Tajnej Rady Królewskiej.

[27] Tadź Mahal – mauzoleum wzniesione w Agrze (stan Uttar Pradesh) przez Szahdżahana z dynastii Wielkich Mogołów ku czci przedwcześnie zmarłej żony Mumtaz. Budowę, która trwała 22 lata, zakończono w roku 1654.

[28] Flotę hiszpańską, czyli tzw. Niezwyciężoną Armadę, którą Wielka Brytania pokonała w roku 1588.

[29] London Library – jedna z największych na świecie wypożyczalni książek, założona w roku 1841 z inicjatywy Thomasa Carlyle’a.

[30] Peter Lely, właśc. Pieter van der Faes (1618–1680) – angielski malarz i rysownik pochodzenia holenderskiego.

[31] Henry Bone (1755–1834) – angielski malarz portretów na porcelanie i emalii. Z jego usług korzystało trzech kolejnych królów.

[32] Ulica w luksusowej dzielnicy St James’s, w obrębie City of Westminster.

[33] Henry John Temple 3. wicehrabia Palmerston (1784–1865) – angielski polityk, wielokrotny minister, dwukrotny premier.

[34] Fryderyk August Hanowerski (1763–1827) – książę Yorku, dowódca wojsk brytyjskich w wojnie z Napoleonem, marszałek. Kolumnę zaprojektował Benjamin Wyatt, a pomnik – Richard Westmacott.

[35] Dawna miara objętości sypkich towarów – około 9 litrów.

[36] William Wilberforce (1759–1833), Thomas Clarkson (1760–1833) – brytyjscy przywódcy ruchu abolicjonistów dążących do zniesienia niewolnictwa.

[37] Król Wilhelm IV, jeszcze jako książę Clarence, miał wieloletni romans z irlandzką aktorką Dorothy Bland, znaną jako pani Jordan. Z tego związku urodziło się dziesięcioro dzieci.

[38] George Richmond (1809–1896) – angielski malarz, autor portretów, zwłaszcza arystokracji, w tym rodziny królewskiej.

[39] Dziewięciu Bohaterów (Nine Worthies) – trzy triady historycznych i legendarnych postaci reprezentujących pogaństwo, judaizm i chrześcijaństwo. Są wśród nich między innymi mityczny Hektor, Juda Machabeusz i Gotfryd de Bouillon.

[40] Marshalsea Prison – znane więzienie w Southwark (obecnie dzielnica Londynu), gdzie trzymano między innymi dłużników. Zamknięto je ostatecznie w roku 1842.

[41] Krwawy Kodeks (Bloody Code) – potoczna nazwa wyjątkowo surowego brytyjskiego kodeksu karnego, zgodnie z którym karano śmiercią nawet za drobne przestępstwa w rodzaju kradzieży. Nazwa ta przyłgnęła do owego kodeksu już po jego uchyleniu w roku 1823, kiedy to karę śmierci ograniczono do przypadków morderstwa i zdrady.

[42] Zdrada niższego rzędu (*petty treason*) – przestępstwo popełnione przez podwładnego na szkodę przełożonego.

[43] Thomas Arnold (1795–1842) – angielski pedagog, historyk i duchowny. Był rektorem zreformowanej przez siebie szkoły w Rugby, która stała się wzorem angielskiej szkoły średniej.

[44] Pośrodku Belgrave Square znajduje się ogród dostępny tylko dla właścicieli tamtejszych domów, którzy otrzymują do niego klucze.

[45] Percy Bysshe Shelley (1792–1822) – słynny poeta angielski, przedstawiciel epoki romantyzmu. Poemat *Adonais: Elegy on the Death of John Keats*, poświęcony zaprzyjaźnionemu z autorem poecie Johnowi Keatsowi (1795–1821), powstał w roku 1821.

[46] Hatchard's Bookshop – najstarsza księgarnia w Londynie, założona w roku 1797.

[47] „Punch” – słynny ilustrowany tygodnik satyryczny, założony w roku 1841 przez Henry'ego Mayhew i Ebenezera Landellsa.

[48] Ścierka i Głód.

[49] Klub Army and Navy znany jest pod tą nazwą po dziś dzień.

[50] Córka królowej Wiktorii i księcia Alberta, Alicja (1843–1878).

[51] C. Hoare & Co. – najstarszy prywatny bank brytyjski, założony w roku 1672.

[52] Zgodnie z obowiązującym wówczas w Anglii prawem można było uzyskać rozwód między innymi dzięki tak zwanej ustawie prywatnej, dotyczącej konkretnego przypadku, uchwalanej przez Izbę Gmin.

[53] Franz Anton Mesmer (1734–1815) – niemiecki lekarz, twórca teorii magnetyzmu.

[54] Komitet Przywilejów i Postępowania (Committee for Privileges and Conduct) – Komitet Izby Lordów sprawujący nadzór nad przywilejami jej członków oraz ich zachowaniem.

[55] Lady Charlotte Guest, *née* Bertie (1812–1895) – znana głównie jako wybitna tłumaczka na angielski zbioru średniowiecznych sag walijskich, któremu nadała tytuł *The Mabinogion* (sagi te ukazywały się także po polsku w przekładach różnych tłumaczy), w roku 1833 poślubiła walijskiego właściciela stalowni, posła do Parlamentu, Johna Josiaha Guesta.

[56] Samuel Johnson (1709–1784) – słynny angielski pisarz i leksykograf, autor między innymi słownika języka angielskiego (*A Dictionary of the English Language*).

[57] Billingsgate Fish Market – słynny londyński targ rybny, pod koniec XX wieku przeniesiony na Wyspę Psów.